

CARL  
HILASEN

STRIPTease



# CARL HIAASEN

Wybitnie utalentowany pisarz i dziennikarz. Jego czarny humor nie ma sobie równych we współczesnej prozie amerykańskiej.

Hiaasen urodził się na Florydzie, tam też rozgrywa się akcja wielu jego książek. Jako reporter „Miami Herald” wslawił się serią artykułów, demaskujących najrozmaitsze skandale i afery: od korupcyjnych po narkotykowe. Jego rubryka prasowa stała się postrachem wszystkich tych, którzy balansują na granicy prawa. Hiaasen nie oszczędza nikogo, nawet osób postawionych najwyżej w społecznej hierarchii. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień przyznawanych dziennikarzom.

Hiaasen jest bardzo ceniony również jako autor niezwykle popularnych powieści obyczajowo-sensacyjnych, m.in.: **Sezon turystyczny** (1986), **Podwójne oszustwo** (1987), **Druga skóra** (1989).

**Striptease** (1993) wciąż nie schodzi z amerykańskich list bestsellerów. W 1996 roku powieść została sfilmowana. Główną rolę zagrała rewelacyjna Demi Moore. Wkrótce kolejna powieść Hiaasena – **Strefa huraganu**.

*Styl Hiaasena jest jego charakterystycznym znakiem firmowym; ukazując w karikaturnie amerykańskie instytucje i styl życia, łączy we właściwy tylko sobie sposób drastyczną brutalność akcji z komizmem i czarnym humorem.*

## STRIPTease

W podrzędnym nocnym klubie na Florydzie zaczyna pracować jako striptizerka piękna Erin. Jej życie łączy się dość spokojnie dzięki opiece i przyjaźni wykidajły Shada. Nieoczekiwanie jednak bijatyka, wywołana przez pewnego kongresmiana, uruchamia lawinę niezwykłych zdarzeń. Szantaż, morderstwa, podejrzane interesy, machinacje polityczne i zbrocenia seksualne stają się elementami skomplikowanej układanki...

Carl  
HIAASEN

**STRIPTease**

Przekład  
Sławomir Kędzierski



Tytuł oryginału STRIPTEASE

Ilustracja na okładce

VISION

Film Distribution Company

Redakcja merytoryczna

EWA PIOTRKIEWICZ

Korekta

BARBARA KAPCZYNSKA

Copyright © 1993 by Carl Hiaasen

For the Polish edition Copyright © 1996 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7169-136-X

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1996. Wydanie I

Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

*Dla oszałamiającej Esther Newberg*

Powieść ta jest fikcją literacką. Wszystkie postacie i ich nazwiska zostały albo wymyślone, albo użyte w nieprawdziwej sytuacji. Przedstawione wydarzenia są absolutnie wymaginowane, chociaż opis zawodów zapaśniczych topless w prażonej kukurydzy z kremem oparty jest na faktach.

## 1.

Wieczorem szóstego września, w wigilię ślubu Paula Gubera, jego kumple urządzili mu wieczór kawalerski w znajdującej się niedaleko Fort Lauderdale knajpie ze striptizem. Klub nazywał się „Żwawy Bóbr” i znany był w całym hrabstwie ze swych olśniewających nagitek, czyli tancerek nago, oraz rozwodnionych koktajlów rumowych. Mniej więcej o północy Paul Guber był już kompletnie pijany i beznadziejnie zakochany w ośmiu czy dziewięciu striptizerkach. Za dwadzieścia dolarów siadały mu na kolanach i pozwalały wtulać twarz w ich aromatyczne dekolty. Paul czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Jego przyjaciół roznosił rubaszny humor. Wyli szaleńczo i polewali scenę szampanem. Prysznic początkowo irytował tancerki, ale wreszcie dały się porwać duchowi powszechnej zabawy. Ociekając korbelem, utworzyły roześmiany szereg i wymachiwały wysoko nogami w rytm starej melodii Boba Segera. Bąbelki migotały niewinnie w ich włosach łonowych. Paul Guber i jego koledzy aż ochrypli od pełnych pożądania wrzasków.

O wpół do trzeciej groźnie wyglądający bramkarz ogłosił ostatni numer. Gdy kumple Paula robili zrzutkę na zapłacenie gigantycznego rachunku, Guber spokojnie wczoił się na podium i przyłgął do jednej z tancerek. Był zbyt pijany, aby stać, więc chwiał się na kolanach, namiętnie obejmując kobietę w nagiej talii. Uśmiechała się do niego pogodnie i poruszała w rytm muzyki, podczas gdy on trzymał

się jej jak tonący marynarz. Przycisnął policzek do opalonego brzucha dziewczyny i zamknął oczy. Tancerka, która miała na imię Erin, głośko go po włosach i powtarzała: — Idź do domu, słoneczko, i odpocznij przed swoim wielkim dniem.

Jakiś mężczyzna wrzasnął na Paula, aby wynosił się ze sceny, i przyjaciele Gubera uznali, że to pewnie bramkarz. W klubie obowiązywały wyraźne przepisy zabraniające dotykania tancerek za friko. Sam Paul nie usłyszał ostrzeżenia — wyglądał, jakby był w transie rozkoszy. Jego najlepszy kumpel Richard, z którym dzielił pomieszczenie w firmie brokerskiej, wyjął aparat i zaczął fotografować Paula i naga kobietę. — Szantaż — oświadczył wesoło. — Buł forsę albo wysłał fotki twojej przyszłej teściowej. — Wszyscy obecni w klubie zdawali się doskonale bawić. I dlatego właśnie przyjaciele Paula byli tak wstrząśnięci, gdy nagle nieznamy facet wskoczył na scenę i zaczął okładać go pustą butelką po szampanie.

Na głowę Paula spadły trzy, cztery, pięć silnych ciosów, mimo to Guber nie wypuszczał tancerki, która robiła wszystko, co w jej mocy, aby nie dać się trafić. Gość z butelką był wysoki i ubrany w drogi garnitur. Miał brzuszek i srebrne włosy, ale jego wąsy były czarne i podkręcone. Nikt z kawalerskiej paczki Paula Gubera nie znał tego człowieka.

Z gardła mężczyzny łomoczącego w czaszkę maklera wydobywały się zwierzęce, bulgoczące odgłosy. Bramkarz zdążył wkroczyć do akcji, dopiero gdy butelka po szampanie się rozbiła. Schwycił siwowłosego faceta pod pachy i wszystko wskazywało na to, że zamierza zrzucić go ze sceny w sposób, który niechybnie musiałby skończyć się połamaniem kilku ważnych kości, okazał się jednak wystarczająco czujny, by zauważyć, że siwy ma towarzysza, ten zaś ma pistolet, być może naładowany. Czując zdrowy szacunek do wyrobów Colt Industries, bramkarz postawił więc ostrożnie napastnika i pozwolił mu uciec z klubu wraz z uzbrojonym kompanem.

Zadziwiające, ale Paul Guber nie upadł. Aby zabrać go do szpitala, sanitariusze musieli siłą oderwać jego palce od pośladek tancerki. W poczekalni izby przyjęć zmartwieni przyjaciele pili kawę za kawą, starając się uzgodnić wyjaśnienie, które mogliby podać narzeczonej Paula.

W chwili gdy pojawiła się policja, sala „Żwawego Bobra” była pusta. Wycierający krew ze sceny bramkarz upierał się, że niczego nie



widział. Gliniarze byli najwyraźniej zawiedzeni, że dziewczyny poszły już do domu, i nie przykładali się zbytnio do dochodzenia w sprawie pijackiej napaści, skoro nie było też jej ofiary. Z rzekomego narzędzia przestępstwa pozostała jedynie kupka połyskujących zielonych odłamków. Bramkarz zapytał, czy może wyrzucić je do śmieci, i gliny chętnie wyraziły zgodę.

Ślub Paula Gubera odłożono na czas nieokreślony. Przyjaciele niedoszłego pana młodego wyjaśnili jego niedoszłej oblubienicy, że Paula napadnięto na parkingu koło synagogi.

W samochodzie pędzącym na południe autostradą federalną kongresman David Lane Dilbeck potarł skronie i zapytał:

— Bardzo paskudna sprawa, Erb?

A Erb Crandall, jego lojalny sekretarz i wytrwały inkasent, odparł:

— Jedna z najgorszych.

— Nie wiem, co mnie naszło.

— Napadłeś na człowieka.

— Demokratę czy republikanina?

— Nie mam zielonego pojęcia — stwierdził Crandall.

Kongresman jęknął, widząc pistolet na kolanach:

— Jezus, Maria, Józefie święty! Tylko nie to!

— Nie miałem wyboru. Niewiele brakowało, a byłbyś zmasakrowany — wyjaśnił beznamiętnie Crandall.

Minęło pięć minut, zanim Dilbeck odezwał się ponownie:

— Erb — powiedział. — Uwielbiam nagie kobiety. Słowo daję.

Crandall skinął obojętnie głową. Nie wiedział, co ma sądzić o kierowcy Davy'ego. Dilbeck zapewniał go, że szofer nie zna angielskiego, jedynie francuski i kreolski. Mimo to Erb wbił wzrok w tył czarnej głowy, zastanawiając się, czy facet czasem nie podsłuchuje. W dzisiejszych czasach każdy może być szpiegiem.

— Wszyscy mają jakieś słabostki — ciągnął polityk. — Moja jest natury cielesnej. — Zdarł przyklepiony wąsik. — Załatwmy sprawę do końca, Erb. Co właściwie zrobiłem?

— Wskoczyłeś na scenę i zaatakowałeś młodego człowieka.

Kongresman się skrzywił.

— W jaki sposób?

— Walnąłeś go butelką w głowę — rzekł sekretarz. — Wielokrotnie.

— I nie powstrzymałeś mnie? Przecież to twoje cholerne zadanie, Erb: uniemożliwić mi pakowanie się w takie sytuacje. Nie pozwalać, aby moje nazwisko dostało się do prasy.

Crandall burknął, że podczas incydentu znajdował się akurat w toalecie.

— Czy dotykałem tę dziewczynę? — spytał Dilbeck.

— Nie tym razem.

Erb polecił po francusku haitańskiemu kierowcy, żeby zatrzymał samochód i poczekał, a następnie poprosił kongresmana, by z nim wysiadł. Podeszli do pustego przystanku autobusowego i usiedli na ławce.

— Po co te bzdury? — obruszył się Dilbeck. — Możesz swobodnie mówić w obecności Pierre'a.

— Mamy problem. — Crandall zetknął czubki palców obu dłoni. — Uważam, że powinniśmy zadzwonić do Moldy'ego.

Polityk odparł, że nie ma mowy, pod żadnym pozorem.

— Ktoś cię dzisiaj wieczór rozpoznał — oświadczył Crandall. — Ktoś w tym klubie striptizowym.

— Boże! — Dilbeck zamknął oczy i uszczypnął się w grzbiet nosa. — Przecież to rok wyborów, Erb.

— Jakiś mały palancik, nie wiem, jak się nazywa. Gdy wybiegaliśmy, stał przy tylnych drzwiach. Taki chudy dupek w okularach jak ze szkła butelkowego.

— I co powiedział?

— „Brawo, Davey”. Patrzył prosto na ciebie.

— Ale przecież wąsy...

— A potem dodał: „Rycerskość jeszcze nie umarła”. — Erb przybrał bardzo ponurą minę.

— Czy sprawiał wrażenie faceta, który chciałby mącić?

Crandall resztką sił powstrzymywał się przed parsknięciem śmiechem.

— Wygląd bywa mylący, Davidzie — oznajmił. — Rano zadzwonię do Moldy'ego.

Gdy ponownie siedzieli już w samochodzie jadącym dalej na południe, kongresman spytał o stan zdrowia zaatakowanego przez siebie mężczyzny.

— Nie mam pojęcia — oświadczył sekretarz. Zamierzał zadzwonić do szpitala później.

— Czy wyglądał na martwego?

— Trudno zgadnąć — uchylił się od odpowiedzi Crandall. — Było za dużo krwi.

— Boże! — westchnął Dilbeck. — Boże, muszę jakoś wziąć się w karby. Erb, pomódlmy się. Podaj mi dłonie. — Wyciągnął ręce do Crandalla, ale ten otrząsnął się z uścisku jego lepkich łap i warknął:

— Daj sobie siana.

— Proszę, Erb. Podajmy sobie dłonie. — Polityk błagalnie machał palcami. — Połączmy ręce i pomódlmy się razem.

— Nie ma mowy, do cholery! — burknął sekretarz. — Pomódl się za nas obu, Davidzie. I módl się jak wszyscy diabli.

Następnego wieczoru Erin, rozbierając się przed występem, napomknęła Shadowi, że porozumiała się ze szpitalem:

— Powiedzieli mi, że już nie jest na intensywnej terapii... Ten człowiek, którego pobito.

Shad ani na chwilę nie podniósł wzroku znad stolika.

— Dzięki Bogu — oświadczył. — Teraz wreszcie będę mógł zasnąć.

— Przestraszyłam się pistoletu — dodała Erin, wkładając estradowy stanik. — Przecież wcale nie wyglądał na ochroniarza, prawda? Ten facet z bronią.

Shad był niezwykle zajęty. Próbował za pomocą chirurgicznej pin-cety odchylić plombę z aluminiowej folii zamykającą pojemnik z niskokalorycznym jogurtem jagodowym. W garderobie było fatalne oświetlenie, a on miał nie najlepszy wzrok. Pochylał się nad jogurtem jak zegarmistrz.

— Muszę się skoncentrować — burknął do Erin.

Patrzyła na martwego już karalucha, i to dość okazałego, nawet jak na standardy Florydy. Owad, z nogami sterczącymi w powietrzu, leżał na stoliku koło lewego łokcia Shada.

— Niech zgadnę — rzekła. — Miałeś kolejny przebłysk geniuszu. Shad oderwał się od swojego zajęcia i przerzucił papierosa

z jednego kącika ust w drugi. Zaciągnął się mocno, a potem dwoma strumieniami wydmuchnął dym z nozdrzy.

— Jak to, do cholery, wygląda? — zapytał.

— Jak szwindel — odparła Erin. Stała za drzwiami i zsunęła spodnicę. — Dla mnie wygląda to na szwindel.

Shad triumfalnie zdjął foliową plombę (nienaruszoną) z pojemnika z jogurtem i ostrożnie położył ją na stole. A następnie złapał pin-cetą martwego karalucha za jedną z jego kruchych brązowych nóg.

— Czy to nie twoja muzyka? — zapytał dziewczynę. — Van Morrison. Lepiej zabieraj stąd swój tyłek.

— Zaraz — powiedziała i wciągnęła czerwone minifigi z konikami morskimi. Gdy je kupowała, myślała, że jest to turecki wzór i dopiero któraś z koleżanek tancerek zauważyła, iż są to po prostu koniki morskie. Uśmiechnięte koniki morskie.

Erin wyszła zza drzwi. Shad nie podniósł wzroku.

— Czy kręciła się tu policja? — spytała.

— Nie. — Bramkarz uśmiechnął się do siebie. Gliniarze zazwyczaj nie docierali dalej niż do baru, a tam zapominali, po co właściwie przyszli. Błąkali się po „Żwawym Bobrze” z wytrzeszczonymi oczyma, oszołomieni jak małe dzieci w Disney Worldzie. Gliny stawały się absolutnymi matołami wobec gołych cycków.

Erin przyznała, że nigdy dotąd nie widziała, by ktokolwiek oberwał tak mocno jak ów facet poturbowany butelką po szampanie.

— Cud, że ten wariat nie uszkodził mu mózgu — oznajmiła.

Shad potraktował jej słowa jako krytykę swojego czasu reakcji.

— Wskoczyłem na scenę najszybciej, jak potrafiłem — odparł nieco obronnym tonem.

— Nie martw się tym — uspokoiła go dziewczyna.

— Nie wyglądał na takiego. Że nagle odbije mu palma.

Erin zgodziła się z nim. Gość z butelką po korbeltu nie sprawiał wrażenia typowego striptizowego świra. Miał jedwabny krawat i sy-pał dwudziestkami jak konfetti.

Sprawdziła, czy na jej szpilkach nie ma śladów krwi.

— Paskudna sprawa — zauważyła.

— Jasne. A jak myślisz, dlaczego tu siedzę, pieprząc się z tym zdechłym karaczanem? Bo ten mały dupek jest moim kluczem do wolności.

Pewną ręką chirurga umieścił karalucha na powierzchni niskokalorycznego jogurtu, a następnie trzonkiem pincety nacisnął go lekko. Owad powoli zniknął bez śladu w głębi mlecznego napoju.

— Jesteś wielkim, zwariowanym marzycielem — oświadczyła Erin.

Shad odebrał jej sarkazm bez emocji.

— Masz „Wall Street Journal”? — zapytał.

— Nie. — Zastanawiała się, do czego zmierza.

— Według „Journal” — wyjaśnił — Spółka Mleczarska „Delicato”, dzięki temu, że niskokaloryczny jogurt owocowy „Delicato” stanowi najlepiej sprzedający się produkt w skali całego kraju, jest warta sto osiemdziesiąt dwa miliony dolarów. Akcje przez cały czas trzymają się wysoko.

— Shad, nie dadzą się nabrać na ten numer — ostrzegła Erin. Nie mogła uwierzyć, że znowu próbuje.

— Spóźniasz się, dziecinko. — Machnął kciukiem w stronę sceny. — Wielbiciele czekają.

— Mam czas. To długi numer. — Włożyła bluzkę (która odfruwiała po pierwszym numerze) i buty (które zachowywała przez cały wieczór).

— Dlaczego tak bardzo lubisz tę piosenkę? — zainteresował się Shad. — Przecież nawet nie masz piwnych oczu.

— Nikt nie patrzy na moje oczy — odrzekła. — A melodia jest dobra do tańczenia, nie sądzisz?

Shad przyglądał się uważnie jogurtowi. Z mazi wyłoniła się kosmata brązowa noga. Czy przypadkiem nie poruszyła się?

— Widziałas *Wyzwolenie!* — zwrócił się do dziewczyny. — Film, nie książkę. I tę ostatnią scenę, w której z wody wynurza się pomarszczona martwa ręka? No to podejdź i popatrz na tego pieprzonego karalucha.

— Dziękuję, nie skorzystam. — Erin spytała, czy pan Oczko jest na sali. Tak przeżywano jednego z jej stałych wielbicieli, kościstego mężczyznę o wyglądzie mola książkowego w dziwnych prostokątnych okularach. Zazwyczaj siadał przy stoliku numer trzy.

— O rany, nagle ni stąd, ni zowąd mam się nim zająć?

— Zadzwoił i zostawił mi wiadomość — wyjaśniła tancerka. — Powiedział, że ma dla mnie wielką niespodziankę. Tylko tego mi brakowało. — Delikatnie poperfumowała się za uszami. Właściwie nie

miała pojęcia, dlaczego to robi. Nikt nie mógł dotrzeć do niej aż tak blisko, żeby poczuć ich zapach. W przeciwieństwie do innych striptizerek Erin odmawiała tańczenia na stolikach. Jej zdaniem dziesięć zielonych jest śmieszną ceną za to, aby pozwolić jakiemuś pijaczkowi chuchać sobie w kolana.

— Jeżeli chcesz, wykopię go, gdy tylko się zjawi — zaproponował Shad.

— Nie, ale dobrze byłoby, żebyś trzymał się blisko — poprosiła. — Szczególnie po tym, co się zdarzyło ubiegłej nocy.

— Nie ma sprawy.

— Na wszelki wypadek — dodała.

A teraz szminka. Szef wołał landrynkowy szkarłat. Erin wprawdzie słyszała o tym od innych dziewczyn, ale miała to w nosie i trzymała się koloru czerwonego wina.

Bramkarz odsunął się lekko od swojego jogurtu i zawołał:

— Hej, chodź i zobacz. Jest jak nowy.

— Wsadzą cię do więzienia. Coś takiego nazywa się sabotażem.

— Raczej przebłyskiem geniuszu — sprostował Shad. — I musisz wiedzieć, że już załatwiłem sobie adwokata, który nie może się doczekać chwili, kiedy zajmie się tą sprawą. A także psychologa, który przysięgnie, że gdy po utworzeniu jogurta znalazłem tego pieprzonego karalucha, zostałem kurewsko straumatyzowany...

Erin się roześmiała.

— Straumatyzowany? Przecież nawet nie wiesz, co to słowo znaczy.

— Że mnie totalnie zmuliło. A teraz popatrz... — Podniósł pincetą plombę. — Idealnie! Najmniejszego naderwania. Te sukinsyny nie będą więc mogły powiedzieć, że ktoś włamał się do sklepu i kombinował z towarem.

— Sprytne — przyznała dziewczyna. Sprawdziła w lustrze włosy. Większość tancerek nosiła peruki, ale jej się wydawało, że peruka ją spowalnia, ogranicza ruchy. A zgubienie peruki było jedną z najgorszych rzeczy, jakie mogły się zdarzyć na scenie. To oraz okres.

— Jak wygląda moja pupa? — zapytała. — Czy widać szparkę?

— Nie, dziecino. Jest zakryta.

— Dzięki — odparła. — Powodzenia.

— Dobra, możesz się ze mnie śmiać. I tak będę bogaty.

— Nic nie zdoła mnie zadziwić. — Mogła tylko zazdrościć Shadowi optymizmu.

— Rzecz w tym — wyjaśnił — że te naprawdę wielkie firmy nie procesują się w takich sprawach, bo robi im to tylko złą prasę. Prawnik mi wytłumaczył, że po prostu płacą poszkodowanemu. Kupę forsy.

— Klient nazywa się Killian — poinformowała Erin. — Stolik numer trzy. Daj mi znać, jak przyjdzie. — I wyszła. Shad słyszał stukot jej obcasów, gdy wchodziła na scenę, brawa i okrzyki, w których było tyle samo entuzjazmu co dżinu.

Zerknął do pojemnika. Noga karalucha zniknęła i powierzchnia jogurtu sprawiała wrażenie gładkiej i nienaruszonej. Majstersztyk sabotażu! Shad umieścił folię w plastikowej torbie, przesuwając kciukiem i palcem wskazującym po spojeniu — dowód rzeczowy. Ostrożnie zaniósł pojemnik z jogurtem do lodówki tancerek i postawił go na drugiej półce, między opakowaniem z sześcioma butelkami dietetycznego sprite'a i miseczką z twarogiem. Na etykietce jogurtu „Delicato” przykleił ręcznie wypisane ostrzeżenie:

*Nie jeść albo...*

Przeczytał kartkę kilka razy i uznał, że ton zakazu nie jest wystarczająco stanowczy. Napisał więc następną i przykleił ją pod pierwszą:

*Własność Shada.*

Potem wyszedł do baru, aby sprawdzić, czy nie trzeba komuś skopać tyłka. No i jasne, przy stoliku numer osiem sprzedawca samochodów Volvo z maślanymi oczyma usiłował ssać palce u nóg kelnerki z koktajlami. Shad bez wysiłku wyrzucił go przez tylne drzwi, po czym wyciągnął z chłodziarki pepsi i usiadł na stołku przy barze.

O północy wszedł chudy facet w kwadratowych okularach i zajął to samo miejsce co zwykle przy stoliku numer trzy. Bramkarz podszedł i usiadł obok niego.

Na scenie Erin tańczyła z zapalem.

W jednym się myli, pomyślał Shad. J a zwracam uwagę, jakie ma oczy. Każdego wieczoru. I z całą pewnością są zielone.

## 2.

Malcolm J. Moldowsky nie zawahał się przed nazwaniem członka Kongresu Stanów Zjednoczonych Dave'a Dilbecka „gówniarzem z kartą do głosowania”.

Na co Dilbeck, który zdawał sobie sprawę z wpływów i pozycji Moldowsky'ego, odpowiedział:

— Bardzo cię przepraszam, Malcolmie.

Spacerując po gabinecie kongresmana, Moldowsky rzucał pełne zimnej pogardy spojrzenia na każdy dyplom, każdy pamiątkowy przycisk do papieru, każdą żalostną pamiątkę długiej i niczym szczególnie nie wyróżniającej się kariery politycznej Dilbecka.

— Przewiduję kłopoty — oświadczył. Był manipulatorem, nad manipulatorami, chociaż na jego kwestionariuszu podatkowym figurował zupełnie inny zawód.

Dilbeck jednak zapewniał, że nie będzie żadnych kłopotów. Najmniejszych.

— Zniknęliśmy, zanim pojawiła się policja — oznajmił.

Moldowsky był niskim, kłopotliwie niskim mężczyzną, ale rekompensował sobie ów niedostatek, ubierając się jak członek rodziny królewskiej i oblewając się drogą wodą kolońską. Nietrudno więc było do tego stopnia znaleźć się pod wrażeniem wspaniałości garderoby Malcolma J. oraz roztaczanego przezeń zadziwiającego aromatu, że uwagi niejednego uchodziły jego słowa, zawsze mające swój ciężar gatunkowy.



— Słuchasz mnie? — zapytał Dave'a Dilbecka.

— Powiedziałeś, że będą kłopoty, a ja odparłem, że nie dostrzegam żadnych.

Górna warga Moldowsky'ego podwinęła się, odsłaniając małe, spiczaste zęby typowe dla prymitywniejszych naczelnych. Zbliżył się do Dilbecka i rzekł:

— Czy nazwisko Gary'ego Harta coś ci mówi? Wpadka sto jeden... A może potrzebujesz kursu odświeżającego?

— Tam było co innego — zaproponował kongresman.

— Rzeczywiście. Pan Hart nie wysłał nikogo na ostry dyżur.

Polityk czuł gorąco buchające od podsuwającego się coraz bliżej Moldowsky'ego, jego ostry miętowy oddech, a także zapach importowanego włoskiego pizma — wystarczająco silny, aby wytruć termity. Kongresman szybko wstał. Pewniej się czuł, przemawiając do czubka głowy tego faceta, niż rozmawiając z nim twarzą w twarz.

— Coś takiego już się nie powtórzy — obiecał. — Z całą pewnością.

— Doprawdy?

Jad, którym ociekała riposta Moldy'ego, wprawił Dilbecka w nerwowy nastrój.

— Spojrzałem w głąb swojej duszy i przeprowadziłem rachunek sumienia — oznajmił.

Moldowsky zrobił krok do tyłu, aby kongresman mógł zobaczyć jego twarz.

— Davidzie — odezwał się. — Problem nie tkwi w twojej duszy, ale w twoich spodniach.

Dilbeck poważnie pokręcił głową.

— Ta słabość ma charakter duchowy, Malcolmie. Jedyne jej objawy są fizyczne...

— Jesteś tak pełen gówna...

— Hej, mogę to przezwyciężyć — zaręczył polityk. — Potrafię zapanować nad tymi zwierzęcymi popędami, sam się przekonasz.

Malcolm Moldowsky ze zniecierpliwieniem uniósł rękę.

— Ty i te twoje cholerne popędy. Przecież mamy rok wyborów, Davey. I to jest pierwszoplanowa sprawa. Tylko gówniarz z kartą do głosowania mógłby w roku wyborów wetknąć nos do knajpy z gołymi dupami. Po drugie, twój człowiek wyciągnął broń, a przypadkiem taki czyn uważa się za przestępstwo.

— Malcolmie, nie oskarżaj Erba.

— A po trzecie — kontynuował Moldowsky — w czasie gdy byłeś w akcji, rozpoznał cię klient tego wspaniałego lokalu. Co pociąga za sobą cały łańcuch możliwości, a żadna z nich nie jest dobra.

— Hej, hej, hej! — Dilbeck zetknął ze sobą czubki palców obu rąk, jak trener proszący o czas. — Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

Malcolm Moldowsky roześmiał się ostro.

— Na tym polega moja praca, kongresmanie. — Znowu zaczął chodzić z kąta w kąt. — Dlaczego walnąłeś tego człowieka butelką? Nic nie mów... masz jakieś układy ze striptizerką, prawda? Nosi pod sercem dziecię twjej miłości, co?

— Nawet nie wiem, jak się nazywa — wyznał Dilbeck.

— A jednak poczułeś niedające się opanować pragnienie obrony jej honoru. Rozumiem, Davidzie. Rozumiem doskonale.

— To choroba i nic poza tym. Nigdy nie powinienem przebywać w pobliżu nagiej kobiety.

Z kongresmana uszła cała wola walki. Moldowsky okrążył biurko i podszedł do niego.

— Taki syf jest ci obecnie zupełnie niepotrzebny — oznajmił łagodniejszym już tonem. — Masz na głowie kampanię. Głosowanie w sprawie cukru. Musisz prowadzić komitet. — Próbował przyjaźnie klepnąć polityka w ramię, ale nie starczyło mu wzrostu. Ograniczył się więc do pogłaskania jego łokcia. — Zajmę się tym — obiecał.

— Dziękuję Mmm...Malcolmie. — Dilbeckowi omal nie wymknęło się słówko „Moldy”, którym przezywano Moldowsky'ego za jego plecami. Fanatycznie przestrzegający higieny Malcolm nienawidził tego przydomku \*.

\* Gra słów: *Moldy* (amer.) — zapleśniały (przyp. tłum.).

— Mam tylko jedną prośbę — ciągnął Moldowsky. — Trzymaj do listopada swojego Davida Jr, w spodniach. Potraktuj to jako osobistą przysługę dla mnie.

Dilbeck się zaczerwienił.

— Ponieważ — kontynuował Malcolm J. — wolę nie myśleć, jak twoi wyborcy oceniliby takie zachowanie. Wszyscy ci podstarzali obywatele zamieszkujący luksusowe domy, konserwatywni Kubańczycy

na Ósmej ulicy, idealistyczni yuppiesi koło plaży. Co by sobie pomyśleli, gdyby kongresman Davey dał się zamknąć z bandą tancerek go-go? Jakie według ciebie wywarłoby to wrażenie?

— Nie najlepsze — przyznał polityk. Strasznie chciał się napić.

— W dalszym ciągu jesteś starszym w kościele?

— Diakonem — sprostował kongresman.

— Doprawdy? — Malcolm Moldowsky uśmiechał się okrutnie. — Jeżeli najdzie cię ochota na jakąś laskę, zadzwoń do mnie. Coś ci załatwię. — Zaczął mówić ciszej. — Jest rok wyborów, diakonie, musisz być ostrożny. Jeżeli chcesz mieć balangę, zorganizujemy ją u ciebie. Umowa stoi?

— Stoi — odparł Dilbeck. A gdy Moldy wyszedł, otworzył okno i wciągnął głęboki haust świeżego powietrza.

Co kilka lat Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalał hojne dotacje cenowe dla paru rolniczych milionerów z wielkiego stanu Floryda, którzy zostali potentatami dzięki cukrowi. Cena tego produktu była poważnie zawyżona i gwarantowana przez rząd. Ten bezwstydnny rabunek załatwiał dwie sprawy — podtrzymywał bogactwo amerykańskich plantatorów i podcinał zmagającą się z trudnościami gospodarkę biednych państw karaibskich, niemogących sprzedawać bogatej Ameryce własnych zbiorów trzciny nawet za połowę sztucznie wywindowanej ceny.

Z przyczyn politycznych rządowe dofinansowanie przemysłu cukrowniczego ozdabiano patriotyczną motywacją, określając je jako pomoc dla walczących o przetrwanie rodzin farmerskich. Istotnie, niektóre z wielkich, przedsiębiorstw cukrowniczych były własnością rodzinną, ale członkowie owych rodzin bardzo rzadko mieli bezpośredni kontakt z ziemią. Ich najbliższym kontaktem ze zbiorami były kostki cukru, które wrzucali do kawy w Klubie Bankierów. Potomkowie plantatorów trzciny cukrowej nie narażali się na nagłą śmierć na rozprażonych słońcem polach, gdzie błoto aż kipiało od węży i insektów. Przeprowadzanie morderczych żniw pozostawiano raczej jamajskim i dominikańskim robotnikom sezonowym, którzy za wymachiwanie maczetami w palącym słońcu otrzymywali haniebnie niską zapłatę.

Tak było od stworzenia świata i sprawa ta nie spędzała snu z powiek

ludziom takim jak Moldowsky. Jego zadaniem, jednym z wielu zresztą, było dopilnowanie, aby dotacje rządowe dla Wielkiego Cukru przechodziły przez Kongres bez najmniejszych zgrzytów. Aby osiągnąć ten cel, potrzebni mu byli kongresmani i senatorzy wykazujący należyte zrozumienie dla problemów plantatorów. Na szczęście w Waszyngtonie było ono towarem wciąż łatwo dostępnym na rynku. Oczywiście w zamian za finansowe wsparcie kampanii wyborczej.

Tak więc Moldowsky zawsze mógł zorganizować głosy, bez najmniejszego kłopotu. Ale głosy do niczego by się nie przydały, gdyby ustawy cukrowej nie przygotowano poza komitetem, a w bieżącym roku w Komitecie Kongresu panowało dzikie zamieszanie w związku ze sprawami, które nie miały nic wspólnego z rolnictwem. Aż trzech poprzednio pokornych kongresmanów, dotkniętych nagle tajemniczymi atakami wyrzutów sumienia, oznajmiło, że będą głosowali przeciwko dotowaniu cukru. Demonstracyjnie protestowali też przeciw udręce pracowników sezonowych i koszmarnemu zatruciu Everglades, do których plantatorzy regularnie odprowadzali miliardy litrów ścieków.

Malcolm Moldowsky doskonale wiedział, że dysydenckich kongresmanów nic nie obchodziła nędza zbieraczy trzciny cukrowej, nie obeszłoby ich również, gdyby Everglades zajęły się ogniem i spłonęły na popiół. Tak naprawdę zakwestionowanie ustawy cukrowniczej było akcją odwetową wymierzoną przeciwko przewodniczącemu komitetu, niejakiemu Davidowi Dilbeckowi. Oddał on decydujący głos, który przekreślił sympatyczną dwudziestodwuprocentową podwyżkę dla niego samego i jego czcigodnych kolegów z Izby Reprezentantów.

Dilbeck popełnił ów niewybaczalny grzech przez czysty przypadek. Był pijany i po prostu przycisnął nie ten guzik, kiedy poddawano pod głosowanie sprawę podwyżki diet. Jego stan zabalsamowania osiągnął taki stopień, iż należałoby uznać za spory cud, że w ogóle udało mu się dotrzeć na miejsce, a co dopiero nawiązać bezpośredni kontakt z maszyną do głosowania. W południe następnego dnia skacowany kongresman włączył telewizor tylko po to, aby zobaczyć George'a Wilta wychwalającego jego odwagę. Dilbeck nie miał pojęcia, dlaczego cały miniony wieczór objęty był przerwą w życiorysie. Gdy

jego personel wyjaśnił mu, co zrobił, podczołgał się do kosza na śmieci i puścił pawia.

Zamiast jednak powiedzieć całą prawdę — i całą zasługę za swój czyn przypisać producentom rumu Barbancourt — David Dilbeck pojawił się w „Nightline” i oznajmił, że jest dumny z oddanego przez siebie głosu, albowiem nie jest to odpowiedni czas, by Kongres bogacił się publicznym groszem. W głębi duszy był wściekły na samego siebie, bo potrzebował tego dodatkowego szmalu bardziej niż ktokolwiek.

A teraz jego koledzy kontratakowali. Wiedzieli, że fundusz wyborczy Dilbecka zależy od Wielkiego Cukru, a z kolei Wielki Cukier potrzebuje go do poparcia sprawy cen. W związku z tym członkowie Izby postanowili umoczyć kolegę na całego i w ten sposób dać mu nauczkę.

Malcolm J. Moldowsky zdawał sobie sprawę, że sytuacja staje się koszmarna, a ocalenie ustawy cukrowniczej będzie wymagało uruchomienia wszystkich jego manipulatorskich talentów. Co byłoby zupełnie niemożliwe, gdyby Dilbecka przyłapano na skandalu seksualnym. Po wielu latach spędzonych na pełzaniu po politycznych rynsztokach Malcolm J. wciąż nie mógł wyjść z podziwu, jak potwornie głupio zachowuje się większość polityków. Nie żywi nawet cienia współczucia dla kongresmana Dilbecka, ale mimo to mu pomoże.

Stawką były miliony dolarów. A więc Moldy zrobi wszystko, co trzeba, i za każdą cenę.

Dziewczyny domyślały się, że Erin ma jakieś zmartwienie. Odbijało się to na jej występie.

— Znowu Darell — rzekła Urbana Sprawł, z pewnością największa i najwspanialsza ze wszystkich tancerek. Urbana była najlepszą przyjaciółką Erin w „Żwawym Bobrze”.

— Nie, nie chodzi o Darrella — odparła Erin. — A właściwie tak i nie.

Darrell Grant był jej eksmężem. Rozwiedli się po trwającym pięć koszmarnych lat małżeństwie, którego rezultatem było cudowne dziecko. Córeczka. Długa i niezwykle kosztowna walka w sądzie zmusiła Erin do wypróbowania swoich sił w charakterze egzotycznej

tancerki, ponieważ zawód ten był lepiej płatny niż praca urzędniczki. W jej nowym zajęciu nie było niczego egzotycznego, ale również okazało się nie tak paskudne, jak się obawiała. Pieniądze ledwo wystarczały na pokrycie wydatków związanych ze sprawą rozwodową.

I wtedy Darell wykazał się sprytem. Złożył w sądzie skargę na Erin, dowodząc, że nie jest ona odpowiednią matką, i zaprosił sędziego z sądu rodzinnego, by na własne oczy zobaczył, jak była pani Grant zarabia na życie. Sędzia przesiedział siedem numerów tanecznych i jak na dobrego chrześcijanina przystało, doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli wrażliwa i podatna na wpływy córeczka znajdzie się pod opieką ojca. Fakt, że Darell Grant był ćpunem, wyrokowcem i handlował kradzionymi wózkami inwalidzkimi, nie martwił sędziego w takim stopniu jak to, że Erin zdejmuje publicznie majtki. Stróż prawa wygłosił jej surowy wykład na temat moralności i przyzwoitości, po czym orzekł, że może widywać swoje dziecko w co trzeci weekend i w Wigilię Bożego Narodzenia. Jej adwokat założył apelację i Erin potrzebowała pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek. Tymczasem sędzia z sądu rodzinnego stał się regularnym klientem „Żwawego Bobra” i siadywał w zacienionej łoży niedaleko automatów do gry. Erin nie zamieniła z nim ani słowa, ale Shad zawsze dawał wyraz swoim uczuciom, w tajemnicy sikając do podawanej mu whisky Jack Daniels.

— No, dalej, nie zmuszaj mnie, żebym wyciągała z ciebie każde słowo obcęgami — naciskała Urbana. Zmywały makijaż przed poobijanym lustrem w garderobie.

Erin przyznała, że martwi ją klient.

— Przezywają go Pan Oczko. A naprawdę nazywa się Killian.

— Stolik numer trzy — uzupełniła tancerka znana jako Monique Jr. W klubie tańczyły dwie Moniki i żadna z nich nie chciała zmienić imienia. — Znam tego faceta — dodała Monique Jr. — Śmieszne okulary, brzydki krawat, marne napiwki.

— Masz z nim kłopoty? — Urbana Sprawł zwróciła się do Erin.

— Nie pojawił się przez kilka wieczorów.

— O rany! — zawołała Monique Jr. — Wezwij pieprzone FBI.

— Nie rozumiesz. Chodzi o moją sprawę rozwodową. — Erin otworzyła torebkę i wyjęła papierową serwetkę, złożoną w małeńki

kwadracik. — Podał mi to któregoś wieczoru. Chciał porozmawiać, ale siedział koło niego Shad i dlatego do mnie napisał.

Monique Jr przeczytała w milczeniu liścik, po czym podała go Urbanie Sprawł. Pan Killian napisał starannie, małymi drukowanymi literkami, najwyraźniej starając się zrobić to czytelnie:

*Mogę Ci pomóc odzyskać córkę. Nie chcę w zamian niczego oprócz miłego uśmiechu. Czy mogłabyś także dodać do swojego programu ZZ Top? Odpowiadałaby mi dowolna piosenka z pierwszego albumu. Dziękuję.*

— Chłopy są gotowe spróbować wszystkiego — oznajmiła sceptycznie Monique Jr. — Wszystkiego, byle się dobrać do majtek.

Erin uważała jednak, że warto posłuchać, co Killian ma do powiedzenia.

— A może naprawdę może mi pomóc?

Urbana Sprawł złożyła list i oddała go przyjaciółce.

— Erin, skąd on wie o Angeli?

— Wie wszystko. — Po raz pierwszy zetknęła się z klientem, który tak się zachowywał. Przez trzy tygodnie z rzędu Killian tkwił przy stoliku numer trzy. — Mówi, że mnie kocha — oświadczyła Erin. — Wcale go nie ośmielałam. I wcale nie opowiadałam mu o swoich sprawach osobistych.

— Zdarza się — stwierdziła Urbana. — Nie ma na to rady. Trzeba tylko zachować spokój.

Erin oznajmiła, że sprawa na niej wrażenie raczej nieszkodliwego.

— Nic nie zaszkodzi, jeżeli go wysłucham. Jestem w takiej sytuacji, że muszę próbować wszystkiego.

— Powiem ci jedno — oświadczyła Monique Jr. — Ten mały kutas powinien nauczyć się, jak dawać napiwki.

Shad wsunął głowę przez drzwi.

— Zebranie zespołu — poinformował kaszłąc. — Za pięć minut, w gabinecie.

— Spadaj! — warknęła Urbana Sprawł, która była zasadniczo gołą. Shad naprawdę tego nie zauważał. Jedenaście lat pracy w klubach striptizowych całkowicie uodporniło go na widok nagich piersi. Uważał, że jest to już choroba zawodowa. A więc kolejny powód, żeby stąd spieprzać, zanim będzie za późno.

— Powiedz panu Orly'emu, że zaraz będziemy! — zawołała Erin.

Shad wycofał się, zamykając za sobą drzwi. Wykidajło kojarzył się Erin z zółwem — miał wielką guzowatą głowę, zawsze wilgotną i całkowicie łysą, oraz haczykowaty nos nawisający nad cienką, surową linią ust, co nadawało całej twarzy dość odstraszący wyraz. O ile Erin dobrze zauważyła, Shad nie miał również ani brwi, ani rzęs.

— Paskud — oświadczyła Monique Jr.

— Nie jest taki zły — Erin narzuciła niebieski szlafrok frote i włożyła sandaalki. A potem opowiedziała koleżankom o najnowszym pomysle Shada dotyczącym wykorzystania martwego karalucha.

— W jogurcie! — wykrzyknęła Monique Jr. — Boże, ależ to obrzydliwe!

— Mam nadzieję, że mu się uda — oznajmiła Urbana Sprawł. — I że dostanie milion zielonych, a potem wyjedzie stąd i zamieszka na Tahiti.

Możesz sobie marzyć, pomyślała Erin. Shad nigdzie nie pojedzie, chyba że zleci mu to pan Orly.

Gabinet Orly'ego wyłożony był imitacją czerwonego pluszu i jego właściciel nienawidził tego tak samo jak wszyscy inni. Jaskrawy wystrój wnętrza zdążył wybrać poprzedni właściciel klubu, zanim go zastrzelono i porzucono na paśmie szybkiego ruchu autostrady międzystanowej numer pięć. Orly twierdził, że zbrodnia ta nie miała nic wspólnego z upodobaniem tamtego faceta do imitacji pluszu, ale raczej była konsekwencją faktu, iż nie zdołał rozliczyć się w terminie z ogólnych dochodów. Co oznaczało, że podbierał kasę. Imitacja pluszu pozostała na ścianach gabinetu Orly'ego, aby przypominać podwładnym, że jeżeli nie jest się w tym bardzo dobrym, nie powinno się defraudować u zawodowych defraudantów.

Gdy tancerki zgromadziły się przed biurkiem Orly'ego, ogarnęła go zmieszana fala zapachów egzotycznych perfum i natychmiast zaczęła spazmatycznie kichać i kaszleć. Shad przyniósł mu pudełko papierowych chusteczek i puszkę doktora Peppera. Orly dał całe przedstawienie, polegające na wydmuchiwaniu nosa, a następnie sprawdzaniu zawartości chusteczki w celu ustalenia, co z siebie wydalil.



Erin spojrzała na Urbanę Sprawł i przewróciła oczyma. Ten facet był świnią.

— Dobra — rozpoczął właściciel lokalu. — Dziś wieczorem porozmawiamy o tańcu. Dotarli do mnie skargi.

Żadna ze striptizerek nie odezwała się ani słowem. Orly wzruszył ramionami i mówił dalej:

— Zasadniczo problem polega na tym, że powinnyście, dziewczyny, więcej się ruszać. Mam tu na myśli wasze tyłki, a także wasze zderzaki. Przyglądałem się dziś wieczorem i w wypadku paru z was miałem wrażenie, że obserwuję rozkładanie się zwłok. Najmniejszego drgnienia. — Przerwał i otworzył z trzaskiem doktora Peppera, którego piana zaczęła wydobywać się na zewnątrz. Gdy oblizął językiem krawędź puszek, kilka tancerek jęknęło głośno.

Orly podniósł wzrok i zapytał:

— Czy któraś ma jakieś kłopoty? Jeżeli tak, to chętnie posłuchamy.

Erin podniosła rękę.

— Panie Orly, styl naszego tańca zależy od muzyki.

Jej szef skinął puszką.

— Mów dalej.

— Jeżeli piosenki są szybkie, tańczymy szybko. Jeżeli wolne, tańczymy wolno... — kontynuowała.

— Już to przerabialiśmy — uciął Orly. — Chciałyście same wybierać sobie piosenki i zgodziłem się pod warunkiem, że będą to dobre, ostre kawałki. Ale słowo daję, część tego gówna jest absolutnym rzygiem.

— Janet Jackson, Madonna... Nie nazwałabym tego rzygiem — odezwała się Urbana Sprawł. A Paula Abdul? Też coś!

Takie podejście do Orly'ego, który nie odróżniał Janet Jackson od Bo Jackson było błędem. Odstawił lemoniadę i otarł wilgotne dłonie.

— Wiem tylko, że dzisiaj wieczorem przy stoliku numer cztery widziałem gościa, który spał jak dziecko. Spał! Jego twarz znajdowała się w odległości najwyżej trzydziestu centymetrów od futerka Sabriny, a mimo to ten dupek chrapał! Widziałem na własne oczy. — Pochylił się do przodu i podniósł głos. — Powiedzcie mi, co można sądzić o striptizerce, która usypia klienta?

Sabrina czesała trzymaną na kolanach kasztanowowłosą perukę

i milczała. Tancerki wołały nie polemizować z panem Orlym, który przechwalał się swoimi związkami ze zorganizowaną przestępczością. Poza tym niektóre kobiety nie prezentowały się najlepiej na scenie i dobrze o tym wiedziały. Najbardziej miłosiernym określeniem ich występów było „totalna apatia”. Erin próbowała pomagać koleżankom w przygotowywaniu kroków, ale właściwie dziewczyny niechętnie pojawiały się na próbach.

— Szybko, wolno lub pośrednio — to bez znaczenia — oświadczył Orly. — Rzecz w tym, żebyście przypomniały sobie, co wam Bóg dał, i zaczęły tym poruszać. — Kichnął gwałtownie, wyciągnął chusteczkę i wepchnął ją do obu dziurek w nosie. Przemawiał dalej i chusteczka trzepotała przy każdym słowie. — Pomyślcie o tym jako o drobnym bara-bara. Bara-bara w rytm muzyki. Liczy się nie cholerna szybkość, ale ruch, na litość boską, podejście do sprawy. Nie płacę wam, dziewczyny, żebyście nudziły moich klientów, rozumiano? Facet, który śpi, nie kupuje mojej wody i możecie być pewne jak wszyscy diabli, że nie wciska wam forsy za podwiązki.

Ponownie odezwała się Erin:

— Panie Orly, wspomniął pan o podejściu. Zgadza się, że mamy z tym problem w naszym klubie, i chyba wiem, z czego on wynika.

Jej wypowiedź zwróciła uwagę wszystkich. Ożywił się nawet Shad.

— Chodzi o nazwę — wyjaśniła Erin. — „Żwawy Bóbr” to bardzo wulgarnie\*. Orly wyszarpnął chusteczkę z nosa. Normalnie za taką uwagę wylałby każdą tancerkę, ale Erin bardzo ożywiła działalność klubu. Była jedną z niewielu jego podwładnych, które rzeczywiście potrafiły tańczyć.

\* „Bóbr” w slangu amerykańskim stanowi określenie kobiecych genitaliów (przyp. tłum.).

— A mnie się „Żwawy Bóbr” podoba — oświadczył. — Nazwa wpada w ucho, jest sprytna i brzmi tak, jakby się rymowała.

Erin upierała się, że jest wulgarna i poniżająca.

— I ma zły wpływ na morale zespołu — dodała. — Sprawia wrażenie, że jesteśmy bandą dziwek, co nie jest prawdą.

Orly poradził jej, żeby się wyluzowała.

— Przecież to podpucha, kochanie. Jesteśmy lokalem ze striptizem,

na litość boską. Kto chciałby zapłacić siedem dolców po to, żeby oglądać s k r o m n e dziewczyny?

W tym, co mówił, był jakiś sens, ale mimo to Erin się upierała.

— Zdaję sobie sprawę z charakteru naszej pracy, co jednak wcale nie oznacza, że jesteśmy pozbawione godności. Gdy przyjaciele lub krewni pytają, gdzie pracujemy, niektóre z nas kłamią. Po prostu wstydzą się wymieniać tę nazwę.

Orly sprawiał wrażenie bardziej rozbawionego niż urażonego. Spojrzał na pozostałe tancerki i zapytał:

— Czy to prawda?

Parę skinęło głowami. Właściciel lokalu odwrócił się w stronę Shada.

— A jak ty? Wstydzisz się, że tu pracujesz?

— O, nie — odparł bramkarz. — Taka była moja życiowa ambicja.

— Puścił oko do Erin, która próbowała się nie roześmiać.

Orly kołysał się w fotelu, skrzyżowawszy ręce za głową. Pod obiema pachami jego biała koszula była koloru werniksu.

— Nazwa pozostaje — oświadczył.

— A może by tak zorganizować konkurs? — zasugerowała Erin.

— Wybralibyśmy najlepszą.

— Nie!

— Pamiętam, jak ten lokal nazywał się „Pałac Przyjemności” — wtrąciła Urbana Sprawł. — A przedtem „Nauszniki”.

— A ja pamiętam go jako „Wybór Dzentelmena” — stwierdziła Monique Jr. — To było, zanim władze stanowe zamknęły go za prostytucję.

Orly skrzywił się na sam dźwięk tego słowa.

— Dobra, a teraz jest „Żwawy Bóbr” i tak zostanie, dopóki będę tego chciał. — Wciąż był winien dwa patyki za nową markizę nad wejściem.

— Świetnie — oznajmiła Erin. Zostaje „Żwawy Bóbr”. Bardzo eleganckie.

Nie zwrócił na nią uwagi.

— Staje na tym, że zaczynacie na serio pracować nad swoim tańcem. — Otworzył szufladę i wyciągnął stos kaset wideo. — Mam je z lokalu w Dallas. Weźcie je do domu i zobaczcie, jak doskonale ruszają się te dziewczyny. Dostają każdego wieczoru trzy—cztery setki w napiwkach, co wcale mnie nie dziwi.

Shad rozdał kasyty tancerkom.

— Panie Orly — odezwała się Urbana — nie mam magnetowidu.

— Mogę ci wypożyczyć.

— Czterysta w jeden wieczór? — zdziwiła się Erin. Może warto by się przejechać do Dallas. A nuż są jeszcze wolne miejsca?

Szef zignorował ją ponownie.

— Jeszcze jedna sprawa — oświadczył — i możecie zbierać się do domu. Chodzi mi o wydarzenia tamtego wieczoru. O bójkę na scenie.

Monique Jr zauważyła, że trudno nazwać ten incydent bójką. Po prostu jakiś facet wymachiwał butelką.

— Mniejsza o określenie — uciął Orly. — Niczego nie widziałyście, zrozumiano? Jeżeli ktoś będzie pytał, powiedzcie Shadowi.

Polecenie zaskoczyło Erin. W „Żwawym Bobrze” często wybuchały awantury, ale pan Orly rzadko się nimi interesował.

— O co chodzi? — zapytała. — O policję?

— Pamiętajcie, że nie płacę wam za udzielanie informacji. Dostajecie pieniądze za rozbieranie się. — Wypił doktora Peppera, beknął i cisnął puszkę Shadowi, który złapał ją bez trudu. — A teraz wszystko jest jasne?

Striptizerki potwierdziły apatycznie.

— Dobra. — Zaczął szykować się do kichnięcia, ale się opanował. Tancerka o imieniu Sabrina nieśmiało podniosła rękę i Orly pozwolił jej mówić, byle szybko.

— Chodzi mi o gościa, który spał przy stoliku numer cztery — wyjaśniła. — Naprawdę to nie była moja wina, panie Orly. Był na prochach.

— Kochanie, nie obchodzi mnie, nawet jeżeli był podłączony do respiratora. Chcę, żeby w moim klubie wszyscy mieli oczy szeroko otwarte. Zrozumiano?

Dziewczyny wstały i otoczone chmurą perfum, wyszły z gabinetu. Szef polecił Erin, aby zatrzymała się na minutkę. Gdy byli już sami, zapytał:

— Czy ten facet cię wtedy nie zranił?

— Jaki? Ten, który mnie obściskiwał, czy ten z butelką?

— Obojętne. Po prostu jeżeli coś ci się stało, powiedz mi. Jeśli masz jakieś skaleczenia, siniaki, cokolwiek, załatwimy ci lekarza. Na koszt firmy.

Na koszt firmy? Wiadomość oszołomiła Erin. Wyjaśniła Orly'emu, że jest cała i zdrowa.

— Dobrze — odparł. — Ale chcę, byś wiedziała, że coś takiego już się nie powtórzy. Rozmawiałem poważnie z Shadem.

— To nie była jego wina...

Przerwał jej machnięciem ręki.

— Wykidajło jest po to, aby pilnować porządku. Płacę temu dupkowi niezłą forszę.

Erin wstała.

— Jeszcze jedno — zatrzymał ją Orly. — To, co mówiłem dzisiaj, nie odnosiło się do ciebie. Jeżeli chodzi o taniec i tak dalej, jesteś ostatnią dziewczyną, która musiałaby oglądać jakieś pieprzone wideo. Jesteś jedną z najlepszych, jakie kiedykolwiek mieliśmy.

— Dziękuję, panie Orly.

— Muzyki nie trawię. Jest cholernie słodka, ale jak rany, robisz z nią wszystko, co trzeba. Nie mogą oderwać od ciebie oczu.

— Dziękuję — powtórzyła.

— Tak trzymać — zakończył Orly. — Jeżeli będziesz czegośkolwiek potrzebowała, mówię poważnie czegośkolwiek, daj mi znać.

Erin opuściła gabinet absolutnie pewna, że wpakowała się w niezłe kłopoty.

Gdy szła do swojego samochodu, mężczyzna, którego przezywano Pan Oczko, już na nią czekał.

### 3.

Gdy Paul Guber odzyskał przytomność, pierwszą osobą, którą spostrzegł koło swojego szpitalnego łóżka, był prawnik. Domyślił się tego bez żadnych wyjaśnień. Kimże innym mógł być facet w trzyczęściowym garniturze?

— Nazywam się Jonathan Peter Mordecai — powiedział prawnik. Do okazałego brzucha przyciskał cienką dyplomatkę ze skóry w kolorze czerwonego wina. — Jestem tu, aby pomóc panu w każdy możliwy sposób.

Zwoje mózgowo Paula Gubera ociekały morfiną. Próbował się odezwać, ale miał uczucie, że usta wypełnia mu popiół. Jego pole widzenia było wąskie i rozmyte po brzegach, jak w marnym telewizorze. W kadrze pojawiła się kobieta. Jej usta się poruszały.

— Kochanie, jak się czujesz?

Była to Joyce, jego narzeczona. Paul widział, jak wyciąga rękę i dotyka wzniesienia na kocu — jego lewej stopy. Z przyjemnością stwierdził, że nie jest sparaliżowany.

— Pańscy przyjaciele powiedzieli mi, co zaszło — oświadczył Mordecai. — Szczerze mówiąc, byłem wstrząśnięty. W jakim to świecie żyjemy.

Guber zamrugał gwałtownie, starając się poprawić zdolność widzenia.

— Szczęście, że uszedł pan z życiem — oznajmił Mordecai.

Paul nie był tego taki pewien. Zastanawiał się, co Richard i pozostali

powiedzieli Joyce na temat wieczoru kawalerskiego. Pojawienie się prawnika w pokoju szpitalnym kazało mu podejrzewać najgorsze.

Otworzył usta, żeby na wszelki wypadek zacząć się usprawiedliwiać, lecz adwokat powstrzymał go, unosząc wiotką różową dłoń.

— Byłoby lepiej, gdyby pan tego nie robił — rzekł, uśmiechając się jak wilk.

Joyce w końcu go przedstawiła:

— Mordecai jest moim kuzynem. Najstarszym synem wujka Dana, poznałeś już wujka Dana. Zadzwoiłam do niego natychmiast, gdy usłyszałam, co się stało.

W każdym razie nie zdradzała żadnych morderczych zamiarów. Paul poczuł ulgę, ale w dalszym ciągu zachowywał ostrożność.

— Zapewne nie pamięta pan wiele — stwierdził Mordecai. — To było do przewidzenia.

Paul jednak pamiętał wszystko. Joyce poklepała go po przykrytych kocem łydkach.

— Och, Paul — westchnęła. — Nie mogę uwierzyć, że mogło się stać coś takiego.

— W mojej branży — wyjaśnił Mordecai — nazywa się to poważnym zaniedbaniem.

Paul kaszlnął, odnosząc wrażenie, że przez gardło przeciągnięto mu tarkę do sera.

— Niech pan nie próbuje mówić — ponownie poradził prawnik. — Został pan ciężko pobity i doznał poważnego uszczerbku cielesnego oraz psychicznego. Stało go uszczerbku, będącego wynikiem poważnego zaniedbania.

Słowa docierały do Paula jak z głębi tunelu, lecz zdołał uchwycić ich ogólny sens. Adwokat miał cholerną ochotę kogoś zaskarżyć, Paul natomiast chciał zlikwidować ten pomysł w zarodku — długotrwałe procesowanie się z klubem striptizowym nie spodobałoby się ani jego pracodawcom, ani przyszłym teściom.

— Nie interesuje nas, kto popełnił ów czyn — mówił dalej Mordecai. — Interesuje nas, jak do tego dopuszczono. Innymi słowy, interesuje nas odpowiedzialność. Jesteśmy zainteresowani odszkodowaniem, na które nie stać byłoby zwykłego ulicznego bandziora.

Joyce podeszła do wezglowia łóżka i zaczęła gładzić Paula po czo-  
le.

— Ktoś musi za to zapłacić — oświadczyła cicho.

Mordecai szybko uzupełnił jej wypowiedź:

— Nie jest pan jedyną poszkodowaną osobą, panie Guber. Odwołanie ślubu to straszliwe przeżycie dla obu stron. Zwłaszcza dla pańskiej przyszłej małżonki.

— Te wszystkie specjalnie wydrukowane ozdobne zaproszenia — dodała Joyce. — Muzycy, kwiaciarz, kaucja w sali recepcyjnej. „Hyatt” nie jest tani.

Paul zamknął oczy. Może wszystko tylko mu się śniło. Może nie było żadnej nagiej damy tańczącej pod van Morrisona.

— Na dobrą sprawę nie mogłem uwierzyć własnym uszom, gdy pański przyjaciel Richard relacjonował nam okoliczności wypadku — ciągnął prawnik. — Zostać napadniętym na terenie synagogi!

Paul jęknął mimowolnie.

— Proszę się nie martwić, zamierzamy podjąć stosowne działania — zapewnił Mordecai. — Może pan na to liczyć. — Uniósł dyplomatkę takim gestem, jakby znajdowały się w niej jakieś tajne dokumenty.

— Eee... — odezwał się Paul, ale Joyce przycisnęła dwa palce do jego warg.

— Teraz odpoczywaj — wyszeptała. — Wrócimy tu później.

— I ani słowa nikomu — ostrzegł go adwokat Mordecai. — W mojej branży najlepszym klientem jest bezradny klient.

Paul Guber poczuł ukłucie w ramię i gdy otworzył oczy, zobaczył piękną pielęgniarkę robiącą mu zastrzyk. Ogarnęła go tak wielka wdzięczność, że chciałby pocałować ją prosto w usta.

Matka Erin mieszkała w Kalifornii ze swoim piątym mężem. Co dwa tygodnie pisała do córki listy — bardzo szczegółowe sprawozdania z wypraw na zakupy. I za każdym razem kończyła błaganiami: „Rzuć tę straszną pracę! Porzuć to obrzydliwe miejsce! Zamieszkaż z nami!”

Matka nie akceptowała tańczenia nago jako sposobu zarobkowania. Erin natomiast nie akceptowała wychodzenia za mąż dla pieniędzy. W rezultacie ich rozmowy prawie zawsze kończyły się kłótnią. Każdy kolejny ojczym proponował Erin pomoc finansową, ale ona



nie chciała wziąć ani centa. Jej matkę doprowadzało to do szału. Tu się gra o pieniądze, powtarzała. My, dziewczyny, powinnyśmy trzymać się razem!

Prawdziwy ojciec Erin, który również był bogaty, zginął w wypadku samochodowym, gdy była jeszcze mała. Pewnego wieczoru upił się i wjechał swoim eldorado do kanału melioracyjnego. Trzy młode kobiety z tylnego siedzenia zdołały się wydostać i dopłynąć do brzegu. Ojciec Erin miał szczęście, bo mu się to nie udało.

Jadąc na pogrzeb, jej matka oznajmiła, że bardzo żałuje, iż ten sukinsyn nie przeżył, bo mogłaby się z nim rozwieść w sposób odpowiedni do jego grzechów. W ciągu lat, które minęły, matka Erin stała się ekspertem do spraw rozwodów, jak również wdowieństwa. Nie było przypadkiem, że każdy kolejny ojczym dziewczyny był bogatszy i starszy od swojego poprzednika. Gdy Erin dorosła, pogodziła się z prawdą, że matka jest wieczną poszukiwaczką złota, która nigdy nie będzie szczęśliwa ani zadowolona. Z drugiej strony jej ojczymowie dokładnie wiedzieli, co ich czeka, a jednak sprawiali wrażenie, jakby im to wcale nie przeszkadzało. W taki oto sposób Erin uzyskała jedną z najważniejszych życiowych lekcji — atrakcyjna kobieta może zdobyć wszystko, co chce, ponieważ mężczyźni są tak śmiesznie słabi. Zrobiliby w s z y s t k o za najbardziej mglistą obietnicę seksu.

Erin niemal zapomniała o tej nauce aż do chwili, gdy jej małżeństwo się rozpadło, a ona została bez pieniędzy i musiała toczyć zaciętką walkę o swoją córkę. Cały koszmar sytuacji dotarł do niej dopiero wtedy, kiedy adwokat wyjaśnił jej, jak mogą kształtować się koszty uzyskania stałej opieki nad Angelą. Cyfra ta oszołomiła Erin. Było to o wiele więcej, niż sekretarka mogła zarobić w ciągu dwóch—trzech lat. Wszystko zależy, oznajmił prawnik, jak wielkim kutasem zechce okazać się jej były mąż, Darell. Największym, jak to możliwe, odparła Erin.

Wiedziała już, że regularna praca od dziewiątej do piątej nie wystarczy i musi znaleźć inny sposób zarobkowania. Tamtej nocy wróciła do domu, stanęła przed lustrem w sypialni i powoli zdjęła ubranie, zaczynając od bluzki. Wydało jej się to bezsensowne. Włączyła muzykę — Mitcha Rydera wraz z Detroit Wheels i spróbowała jeszcze raz. Erin zawsze dobrze tańczyła, ale nigdy nie widziała odbicia siebie golusienkiej, pływającej przed wielkim lustrem.

Chociaż uznała, że ma dobrą figurę, czuła się głupio. Kto chciałby płacić za oglądanie czegoś takiego? — pomyślała.

Następnego wieczoru poszła do „Żwawego Bobra”, aby wyczuć atmosferę. Lokal był zatłoczony, a muzyka bardzo głośna. Minęła prawie godzina, zanim Erin zdołała rozluźnić się w wystarczającym stopniu, by zacząć zwracać uwagę zarówno na uzdolnienia występujących, jak i na publiczność. Zauważyła, że wiele kobiet było wyjątkowo złymi tancerkami, które usiłowały zastąpić umiejętności scenicznymi grypsami. Najczęściej polegało to na wykonaniu półobrotu, pochyleniu się i wypięciu pośladków. Innym trikiem, stosowanym w momentach gdy beznadziejnie traciły rytm, było zatrzymanie się w pół kroku i lubieżne oblizanie wskazującego palca. Cała męska część widowni przestawała się wówczas nudzić i wiwatowała dziko. Erin obserwowała z rozbawieniem, jak klienci rzucają się chwiejnym krokiem w stronę sceny, gwizdząc i wymachując mokrymi od piwa banknotami. Jakże łatwo ich rozbawić! — stwierdziła. Między tym, co się tu działo, a tym, co robiła jej matka, istniała niewielka różnica — była to ta sama prowokacyjna gra, to samo podstawowe równanie: wykorzystaj, co masz, aby zdobyć, co chcesz.

Następnego ranka Erin wypila dwa kubki czarnej kawy i zadzwoniła do matki w San Diego.

— Zgadnij, co ci powiem? — zaczęła i wyświergotała wiadomość do słuchawki.

Matka przyjęła jej decyzję z dezaprobatą. Oznajmiła, że to niegodny sposób zarabiania na życie, nawet jeżeli Erin miałaby się tym zajmować jedynie przez parę miesięcy, a ponadto knajpa nie jest miejscem, w którym można spotkać facetów z klasą.

— Forsa jest dobra — oświadczyła dziewczyna — i myślę że dam sobie radę.

— Nie z twoimi cycuszkami — zawyrokowała matka.

Skromne wymiary biustu Erin od dawna były tematem ich dyskusji. Matka (która miała już za sobą trzecią implantację) wierzyła, że ingerencja chirurgiczna zwiększyłaby szansę córki na zainteresowanie jej osobą dobrego partnera. Uważała, że Darell Grant jest klasycznym przykładem, iż kobiety o małych piersiach przyciągają wszelkiego rodzaju życiowe śmiecie. Utrzymywała również, że istnieje

matematyczna zależność między rozmiarami biustu a stanem finansów kandydata na męża.

Erin odparła, że zadowolona ją to, czym obdarzył ją Pan Bóg, i jest pewna, iż klienci uznają ją za seksowną.

— Ha! — zawołała matka. — Przekonasz się, młoda damo. Zobaczysz, kto dostaje największe napiwki: dziewczyny z największymi zderzakami.

Matka się myliła. Jej córka była naprawdę dobrą tancerką.

Erin zdziwiła się, spotkawszy Jerry'ego Killiana na parkingu przed „Żwawym Bobrem”. Podał jej bukiet żółtych róż i małe pudełeczko, w którym znajdował się naszyjnik z brylantami. A potem oświadczył, że kocha ją nad życie.

— Niech pan spróbuje wziąć się w garść — zaproponowała Erin.

— Straciłem głowę.

— To widać.

— Z miłości.

— Nie zna mnie pan — oświadczyła Erin. — Jeżeli jest pan w czymś zakochany, to w moim tańcu. I być może w tym, że jestem wówczas naga.

Twarz Killiana była wykrzywiona cierpieniem.

— Kochałbym cię tak samo, gdybyś była kasjerką w banku — rzekł.

— Całkowicie ubrana?

— W worek po kartoflach — oznajmił.

Erin przyjęła róże, ale oddała mu naszyjnik. Otworzyła samochód i położyła kwiaty na przednim siedzeniu, a przy okazji poszukała na podłodze rewolweru. Na wszelki wypadek.

— Erin, wiem o tobie wszystko. Czy przeczytałaś mój list?

— Każdy może pójść do sądu, panie Killian. Wszystko jest w dokumentach.

Nagle Killian ukląkł na jedno kolano.

— Jestem poważnym człowiekiem.

— Niech pan tego nie robi — poprosiła ze znużeniem Erin.

— Kocham cię. Załatwię sprawę opieki. — Jego głos płonął namiętnością. — Odzyskam dla ciebie dziecko.

Zachowaj spokój, nakazała sobie Erin. Straszliwie chciała go zapytać, w jaki sposób chce to osiągnąć, jak tego dokona.

— Panie Killian, proszę wstać. Niszczy pan zupełnie dobre spodnie.

On jednak klęczał w dalszym ciągu. Złożył ręce na piersi, zupełnie jakby się modlił.

— Sędzia ma ochotę na wyższe stanowisko. Pragnie dostać się do sądu federalnego.

— A pan, jak sądzę, ma znajomości?

Killian się rozpromienił.

— Jeden telefon i zobaczy twoją sprawę w zupełnie innym świetle.

— Coś panu powiem o tym sędzi — rzekła Erin. — Przychodzi do klubu, siada z tyłu i bawi się sobą, kiedy tańczy.

— Bardzo dobra informacja — stwierdził Killian. — Postaramy się ją wykorzystać.

— Niech pan da spokój...

— Proszę — przerwał jej — nie lekceważ moich możliwości.

A co, jeżeli rzeczywiście może załatwić sprawę? — pomyślała Erin. Jeżeli istotnie ma jakieś możliwości wywarcia nacisku?

— Niech mi pan opowie o swoich kontaktach. Dlaczego pański telefon miałby wszystko zmienić?

— Nie mój — odparł Killian. — Pewnego kongresmana Stanów Zjednoczonych.

Erin wyjęła z torebki kluczyki do samochodu i zadzwoniła nimi niecierpliwie.

— Rozważ to, Erin — ciągnął radośnie Killian. — Kongresman prosi cię o przysługę. Czy ośmieliłabyś się odmówić? Zwłaszcza gdy masz nadzieję zostać sędzią federalnym? I jeżeli potrzebujesz jakiegoś poparcia w Waszyngtonie?

Delikatnie dotknął jej ręki i zauważyła, że palce mu drżą.

— Twoja mała dziewczynka... — odezwał się — ma na imię Angela. Powinna z tobą być.

Erin poczuła dławienie w gardle. Dźwięk imienia jej córki wypowiedzianego przez obcego człowieka nappełnił ją smutkiem.

— Ja również jestem samotny — zwierzył się Killian.

— Niech się pan nie da ponieść uczuciom.

— Masz rację, Erin. Bardzo przepraszam. — Wstał i otrząpał

spodnie. — Pracowałem nad tym planem i poczyniłem pewne postępy. Daj mi jeszcze tydzień, a wyznaczą ci nowy termin w sądzie. I jestem pewien, że tym razem sędzia odniesie się do twojej sprawy z większym zrozumieniem.

Pochylał się, aby ucałować jej dłoń, gdy Shad schwycił go z boku. Właściwie trudno to było uznać za starcie, bo Killian nie stawiał żadnego oporu. Wydawało się, że zwiotczał gwałtownie, a gdy spadły mu okulary, na jego twarzy pojawił się rozmarzony wyraz.

Erin poprosiła bramkarza, żeby nie robił mu krzywdy.

— Dlaczego?

Killian leżał, rozciągnięty na wilgotnym asfalcie. Kiedy uniósł głowę, w jego policzku tkwiły komicznie ziarenka żwiru.

— Jestem słowny — oświadczył twardo.

Shad wyciągnął palec w jego stronę.

— Nie wracaj tu, kutasino.

— Czy wyraża pan opinię kierownictwa? — zapytał Killian.

Wykidajło oparł na jego gardle podeszwę swojego buta numer trzystaście.

— Ostrożnie — powtórzyła Erin.

— Ale to takie kuszące.

— Przecież ja ją kocham — wychrypiał Killian. — Straciłem z miłości rozum.

Shad pokręcił głową.

— Jesteś żalorny — stwierdził. — Ale masz dobry gust.

— Nie lekceważ mnie. Mam też pewne wpływy.

Bramkarz spojrział na Erin. Wzruszyła ramionami.

— Zostań moją żoną! — zawołał Killian.

Shad pochylił się i schwycił go za kołnierz.

— Dość tego! — warknął.

Erin zapuściła silnik samochodu. Shad nie pozwolił Jerry'emu Killianowi wstać, dopóki nie odjechała.

Następnego wieczoru Monique Sr oświadczyła w garderobie, że przy stoliku numer siedem siedzi Carl Perkins.

Erin, która właśnie naprawiała obcas, podniosła głowę i zapytała:

— Gitarzysta Carl Perkins? Monique Sr rozpromieniła się.

— A czy jest jakiś inny?

Regularnie dostrzegała na widowni jakieś znakomitości. W ubiegły wtorek widziała Williama Kunstlera, słynnego prokuratora. Tydzień wcześniej aktora Martina Balsama. Oczywiście wszystkie te obserwacje były całkowicie wymaginowane, ale żadna z tancerek nie robiła z tego sprawy. Każda miała swój prywatny sekret dający jej motywację, pewną wewnętrzną siłę, która wypychała ją na scenę, w chwili gdy zaczynała grać muzyka. Dla Monique Sr taką inspiracją była wiara, że w klubie znajduje się ktoś słynny, kto zechce zabrać ją stąd i zmienić jej życie na zawsze. Erin pomyślała, że Monique Sr bardzo sprytnie wybiera osobistości. Ich nazwiska były bardzo dobrze znane, ale twarze nie stały się symbolami narodowymi. Na przykład wybór Carla Perkinsa był genialnym pociągnięciem. W pełnym dymu błękitnym mroku „Zwawego Bobra” przynajmniej tuzin gości przypominał legendarnego muzyka. Był to wymysł nie do zakwestionowania i Erin podziwiała inwencję koleżanki.

— Stary Carl dał mi całe czterdzieści dolców napiwku — mówiła Monique Sr. — No, ale stać go na to. Napisał przecież *Blue Suede Shoes*.

— Wspaniała piosenka — przyznała Erin, przybijając obcas. Monique Sr była chodzącą encyklopedią rock and rolla.

Shad wszedł do garderoby bez pukania. Podał Erin wygniecioną kopertę, poznaczoną czerwonym urzędowym atramentem. Jej ostatni list do Angeli wrócił z adnotacją: „Adresat wyjechał”.

— Och, nie! — jęknęła Urbana Sprawl.

Erin z gniewem zgmiotła list w dłoni. Ten skurwysyn Darrell znowu wyciął jej ten sam numer — wyprowadził się bez uprzedzenia. I zabrał Angie.

— Nie ma nowego adresu? — spytała Monique Sr.

Erin zakląła wściekle. Cóż za przeklęty skurwiel z tego faceta. Jakim cudem mogła się w nim zadurzyć?

— Weź wolną noc, dziecino — zaproponował Shad.

— Nie mogę. — Erin wyciągnęła szminkę oraz szczotkę do włosów i zaczęła robić makijaż. — Tańczyć, tańczyć, tańczyć — szepnęła cicho.

Motywacją Monique Sr były jej fikcyjne znakomitości. Erin miała Darrella Granta. Sędzia na sprawie rozwodowej polecił mu nigdzie nie wyjeżdżać, ale równie dobrze mógłby mówić do kota po walerianie. Za każdym razem gdy jej byłego męża ogarniała żądza wędrówki, Erin widziała, jak koszty sądowe rosną o następne pięć tysięcy. Odnalezienie tego skurwysyna, a potem dostarczenie mu pozwu kosztowało majątek.

— Masz szczęśliwy wieczór — oznajmił Shad, podając jej następną kopertę. Była czyściutka, bladozielona, z jej nazwiskiem wypisanym znajomymi drukowanymi literami.

— Pozwoliłem sobie — wyjaśnił.

— Otworzyłeś ją?

— Tak, po tym, co się stało. Masz rację.

— Powiedziałam ci, że jest niegroźny.

— Jeżeli nie jest, to będzie — stwierdził bramkarz.

Erin dwukrotnie przeczytała list:

*Plan w toku realizacji. Wkrótce udowodnię Ci siłę mojego uczucia. Wciąż czekam na uśmiech i ZZ Top.*

Pozostałe tancerki domagały się, by pokazała im wiadomość, ale Erin schowała list do torebki.

— Nie, ten jest osobisty — odparła.

— Mam jedno zastrzeżenie: nieuważnie słucha — rzekł Shad.

Ostrzegł Pana Oczko, że jego zaloty nie są dobrze widziane.

Erin postanowiła nie robić sobie nadziei. Zapewne Monique Jr miała rację — Killian usiłuje dobrać się jej do majtek, nic poza tym. Może cała ta historia o kongresmanie i sędzi była tylko biciem piany? A może nie. Pozostawało pytanie, jak daleko Killian zechce się posunąć, aby wyrzucić na niej wrażenie.

Zaczęła szcztokować włosy długimi, równymi pociągnięciami i nasłuchiwała, czy z głośników nie rozlegnie się jej piosenka. Wychodziła na scenę jako następna.

Malcolm J. Moldowsky nie wzdragał się przed załatwianiem interesów z właścicielem należącej do mafii knajpy ze striptizem. Właściwie wolał nawet to, niż mieć do czynienia z kongresmanami i senatorami.

Początkowo Orly był ostrożny i ironiczny. Zapytał, dlaczego biuro

wielkiego kongresmana zawraca sobie głowę tym, kto odwiedza taki jak jego lokal. Ale gdy tylko Moldowsky poruszył problem zezwoleń na wyszynk alkoholu i ich przedłużania, Orly stał się wzorcowym przykładem przyjacielskich uczuć i chęci współpracy. Na podstawie rachunków płaconych kartą kredytową zidentyfikował klienta zajmującego stolik numer trzy i gdy tylko ów gość pojawił się w klubie, natychmiast przekazał tę wiadomość. Do tego czasu Moldy oczywiście dowiedział się już, kim jest ten człowiek, ponieważ nawiązał on kontakt z kongresmanem Davidem Lane'em Dilbeckiem.

Moldowsky był jednak wdzięczny Orly'emu za przekazaną informację. Wiedza o tym, gdzie bywa Jerry Killian, zawsze mogła się przydać.

— Nic się nie stało — oświadczył Orly. — Mój pracownik znalazł się tam pierwszy.

— Młoda dama nie doznała żadnych obrażeń?

— Najmniejszych. Ale rzecz jasna, jakiś napalony świr nie może uganiać się za moją najlepszą tancerką.

— Rozumiem, panie Orly.

— Widzi pan, miewałem ładniejsze dziewczyny. Dłuższe nogi, większe cyce. A ta nawet nie jest blondynką, lecz potrafi tańczyć jak nie wiem co i nagania mi dobrą klientelę. A o to właśnie chodzi w moim interesie.

— Taki incydent już się nie powtórzy — zapewnił go Moldowsky.

— Gdyby minął pan tę dziewczynę na ulicy, nie zechciałby się pan za nią obejrzeć. Ale jak Boga kocham, potrafi się poruszać.

— Takie naturalne talenty są rzadkie — przytaknął Moldowsky. — W mojej branży również.

— Rozumie pan, nie mogę pozwolić, żeby faceci wałęsali się po parkingu, czyhając na dziewczyny. Zjawi się jakiś służbisty gliniarz i zaraz zrobi z tego zaczepianie mężczyzn w celach nierzędu. Przerabiałem już coś takiego. Jak sam pan powiedział, muszę myśleć o swoim zezwoleniu.

— Pan Killian miał pewne problemy osobiste.

— A kto ich nie ma? — zauważył Orly. — Taki już jest ten pieprzony świat, prawda?

— Tak, tak, oczywiście. — Moldowsky ponownie pochwalił Orly'ego



za pomoc i dyskrecję. — Jeżeli będziemy mogli w jakiś sposób zrewanżować się za pańską uprzejmość, proszę dać nam znać.

— Niech pan powie o mnie dobre słowo — poprosił Orly.

Powiedzieć dobre słowo? Komu — rodzinie Gambina? Moldy uśmiechnął się w duchu.

— Nie ma sprawy — odparł.

— Poza tym mój brat ma drobne kłopoty z urzędem podatkowym. Może zna pan tam kogoś?

Nic nie jest zbyt proste, pomyślał Moldowsky.

— Nie mogę obiecać żadnego cudu — oznajmił. — Ale wykonam parę telefonów.

Orly podziękował mu i dodał:

— Nie chciałbym, aby tego Killiana spotkały jakieś przykrości. Raczej staram się oszczędzić mu kłopotów. Chociaż mój człowiek, Shad, ma ochotę rozszarpać tego dupka.

— Pan Killian już się tu nie pojawi — zapewnił Moldowsky.

— No i dobrze.

Orly nie zapytał o szczegóły. A Moldy nie miał najmniejszego zamiaru mu ich przekazywać.

## 4.

Darrell Grant mieszkał na przedmieściu o nazwie Lauderhill, dysponującym wyjątkowo rozległym wyborem zdewastowanych mieszkań. Wynajął umeblowany bliźniak w zaułku, gdzie na każdym bez wyjątku trawniku przed domem stał samochód na kołkach. Erin zastanawiała się, czy nie jest to przypadkiem warunek wynajmu.

Przed domem Darrella Granta tkwił zardzewiały buick riviera, a z jego tablicy z przyrządami wyrastał ostrokrzew. Tablica rejestracyjna informowała, że samochód stoi w tym miejscu od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, a więc tkwił tu na długo przed sprowadzeniem się Granta. Dlaczego jeszcze go stąd nie zabrano, nie było specjalną zagadką — holowanie kosztuje.

Drugą połowę ponurego domu-bliźniaka Darrella zajmowało dwoje mormońskich misjonarzy, którzy grzecznie przywitali wysiadającą Erin. Misjonarze smarowali właśnie swoje rowery, przygotowując je do kolejnej wędrówki wśród grzeszników południowej Florydy. Dziewczyna podziwiała ich zapał i wytrwałość — tutejsi mieszkańcy trudno poddawali się nawracaniu.

— Czy widzieliście państwo dzisiaj pana Granta? — zapytała.

Odpowiedzieli, że nie, pan Grant nie pokazywał się mniej więcej od tygodnia. Erin na wszelki wypadek zastukała do drzwi. Darrell zakleił wychodzące na ulicę okna aluminiową folią i nie sposób było zajrzeć do środka. Gdy Erin skierowała się w stronę tylnej części domu, jeden z młodych mormonów ostrzegł ją, że musi uważać,

ponieważ całe podwórze pełne jest części wózków inwalidzkich.

Ostrożnie pokonała tor przeszkód składający się z rdzewiejących obręczy, szprych, hamulców, ram i podnóżków. Doszła do wniosku, że kradzieże wózków inwalidzkich muszą być dla Darrella bardzo dobrym interesem, skoro porzucił tyle cennych elementów — albo znowu siedzieli mu na karku gliniarze, zmuszając go do pospiesznego wyjazdu.

Oczywiście Darrell nie zamknął na klucz drzwi kuchennych. Gdy Erin je otworzyła, przekonała się, że jej były małżonek rzeczywiście zniknął. Zgodnie ze swoim zwyczajem ukradł wszystko, co nie było przybite gwoździami, oraz kilka przedmiotów, które były. Zdematerializowały się meble, dywany, lampy, krany, wentylatory sufitowe, gniazdko telefoniczne, a także zbiornik spłuczki w ubikacji. Pan Grant był niewątpliwie mistrzem szabrownictwa — pracowicie wydłubał nawet kafelki z podłogi w kuchni. Erin nie bardzo mogła uwierzyć, że jest popyt na używane linoleum, ale być może Darrell wyprzedzał rynkowe trendy. W handlu kradzioną własnością również one występowały.

Darrell wyczyścił wszystkie pokoje oprócz jednego — sypialni Angie. Gdy Erin tam weszła, jęknęła z wrażenia.

Ściany były gołe, nie licząc kilkunastu starych gwoździ i lustra w kształcie serca, ale podłogę pokrywały popsute lalki Barbie z pobrywanymi głowami, muppety bez kończyn, dzieci z Kapuścianej Grządki o porozpruwanych brzuchach. Lalki te miały jedną cechę wspólną — każda była prezentem od niej.

Taki właśnie był styl Darrella Granta. Nie potrafił wyrazić swoich myśli słowami, toteż zastępował je popisami kretyńskiej przemocy.

Serce Erin łomotało z wściekłości. Wyobraziła sobie, jak Darrell w pokoju ich córki metodycznie oddziela lalki od pozostałych zabawek Angeli, a potem masakruje je nożem do steków, sekatorem albo Bóg wie czym jeszcze... i pozostawia lustro, aby móc oglądać swoje czynny.

Nie! — pomyślała. Nie w tym celu zostawił lustro. Zrobił to dla niej, aby mogła zobaczyć samą siebie w momencie dokonania tego odkrycia, swój wyraz twarzy, gdy ujrzy wewnątrz sypialni Angie. Żeby mogła zobaczyć, jak płacze.

Ale nie płakała.

Nie dotykając niczego, opuściła pokój. A potem szybko wyszła na zewnątrz i zapytała przyjaznych mormonów, czy mogłaby pożyczyć od nich aparat fotograficzny.

Siostra Darrella Granta mieszkała w miasteczku przyczep samochodowych czterdzieści pięć kilometrów na południe od Miami. Dzieliła podwójny trajler z mężczyzną pracującym na nocne zmiany jako strażnik w elektrowni atomowej Turkey Point. Nazywał się Alberto Alonso. Gorąco powitał Erin w drzwiach wejściowych. Fakt, że była zawodową striptizerką, przyprawił go o absolutny zawrót głowy.

— Wejdz, wejdz! — zapraszał. Rozłożył szeroko ramiona, próbując ją objąć, chociaż właściwie wyglądało to raczej, jakby zamierzał się na nią rzucić. Zgrabnym unikiem wymknęła mu się.

— Gdzie jest Rita? — zapytała.

— Na dworze, ze szczeniakami — odparł Alberto. — Nowy miot Lupy. Chcesz zobaczyć? Mamy jednego albinosa.

— Może później — odparła. Lupa była rodzinnym ulubieńcem — krzyżówką owczarka niemieckiego i dzikiego wilka z Mount McKinley. W regularnych odstępach czasu Rita krzyżowała Lupę z innymi wilkami i udawało się jej sprzedawać szczeniaki po trzysta dolarów od sztuki, czasami więcej. Takie *macho* psy były najnowszym krzykiem mody, od kiedy przestano interesować się bulterierami.

— Szósteczka dzieci — informował Alberto. — I jedynym psem jest ten albinos. Żebyś zobaczyła, jakie ma jaja.

— Musisz być z tego bardzo dumny.

— Próbuję zainteresować elektrownię.

— Czym?

— Wilkami oczywiście. — Uśmiech Alberta odsłonił szczyrby między dziurawymi zębami. Erin nie miała pojęcia, jakim cudem ktoś mógł ufać strażnikowi z takimi ubytkami w zębach.

— Tylko pomyśl — ciągnął Alberto. — Stada wilków patrolujące granice obiektu. I znika zagrożenie terrorystami. Oraz sabotażem.

Drzwi się otworzyły i do środka wpadła Rita.

— Al, ile razy trzeba ci powtarzać, że to nie są psy strażnicze? Nie mają do tego predyspozycji.

Jej wygląd — w domowej sukience, sznurkowych mokasynach,

masce łapacza baseballowego i roboczych rękawicach z grubego płótna sięgających powyżej łokci — przypomniał Erin, że żadne z rodzeństwa Darrella nigdy nie było choć w przybliżeniu normalne ani przystosowane do życia w społeczeństwie. W rodzinie Grantów proces prokreacji stał się genetyczną ruletką.

— Cześć, Rita — przywitała ją.

— Ooo, cześć. — Rita zdjęła maskę, odsłaniając paskudny świeży szew sięgający od środka czoła do grzbietu nosa. — Lupa — wyjaśniła. — Jest cholernie nerwowa z powodu szczeniaków.

— Erin, słoneczko. Co powiesz na drinka? — zapytał Alberto.

— Chętnie napiję się wody.

— Myślałem o d r i n k u .

— Zrób dwa — poleciła Rita.

— Dla mnie tylko woda — przypomniała Erin. — Nie mogę zostać długo.

Alberto był wyraźnie rozczarowany. Poczłapał do lodówki i zaczął mocować się z pojemnikiem na lód. Rita zdjęła rękawice i oznajmiła:

— No cóż, zrobiłaś nam niespodziankę.

— Chodzi mi o Darrella — wyjaśniła Erin. — Znowu zniknął.

— Nie podniecaj się tym.

— Wiesz, gdzie jest?

— Nie, łaskawa pani, nie wiem. — Rita usiadła na pokrytej sztuczną skórą sofie, która zasyczała pod jej ciężarem. — Wciąż pracujesz w tym gołotkowicie?

Erin wiedziała, że z Ritą nie pójdzie łatwo. Jej życiową rolę było granie głupiej. Alberto stanowił słabszy punkt.

— Słyszałam, że zarabia się tam niezłą forszę — ciągnęła Rita. — Ale tak powinno być, do cholery.

— Kiedy ostatni raz rozmawiałeś ze swoim bratem? — drążyła Erin.

— O Boże, zupełnie nie pamiętam.

Alberto pojawił się z wodą dla Erin i burbonem dla Rity w słójkach po dżemie Fred Flintstone. Ni stąd, ni zowąd zapytał nagle:

— A co z prywatnymi przyjęciami? Pytali mnie chłopaki z elektrowni. Mówili o wynajęciu sali bankietowej w Ramada.

— Nie występuję na prywatnych przyjęciach — oświadczyła Erin. — Tańczę w klubie. I to wszystko.

— A jak inne dziewczyny?  
— Musiałbyś zwrócić się do nich z tym pytaniem, Alberto.  
— Był w tym twoim lokalu. Jak on się nazywa? — odezwała się Rita.

— „Żwawy Bóbr” — przypomniał jej Alberto.

Rita zmarszczyła brwi.

— Myślałam, że „Różowa Farma”.

— Nie, to zupełnie inny — zaprotestował Alberto.

— No cóż, w każdym razie widział, jak tańczysz.

— Naprawdę? — Ricie wcale nie podobała się myśl o Albercie wślizgującym się do klubu, aby na nią popatrzeć. Mogła sobie wyobrazić, jak zdaje szczegółowe sprawozdanie swoim kumplom w Turkey Point. Doprawdy żalosne. Erin była wśród jego znajomych jedyną osobą, którą uważał za znakomitość.

— Mam nadzieję, że podobało ci się przedstawienie — powiedziała słodziutko. — I że warto było wydać pieniądze.

— O rany! — Rita zapaliła papierosa. — Mówił o tym całymi tygodniami. Można by pomyśleć, że nigdy w życiu nie widział włosów łonowych.

Alberto Alonso wreszcie się zaczerwienił.

— Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś. Przysłałabym ci szampana do stolika.

— Żartujesz? Prawdziwego szampana?

Na podwórzu wybuchło pełne wycia i szczekania zamieszanie. Rita schwyciła maskę i wybiegła za drzwi.

— Uważaj! — zawołał w ślad za nią Alberto.

Erin poprosiła go, żeby usiadł.

— Nie odwiedzamy się już tak często jak dawniej — zauważyła.

— No cóż, cały ten rozwód i tak dalej.

— Ale przecież możemy być dalej przyjaciółmi — zaproponowała Erin.

— Bardzo mi się to podoba — rzekł Alberto. Przysunął bliżej krzesło. — Przyjaciele. Ty i ja! — Słysząc było, jak dyszy ciężko, a jego brwi sprawiały wrażenie wilgotnych.

Erin niezbyt często widywała mężczyzn, którym poca się brwi.

— Każdy medal ma dwie strony — mówiła dalej. — Darrell miał swoje wady.

— Fakt. Nie jest święty.

Słyszeli, jak na zewnątrz Rita wykrzykuje przekleństwa pod adresem wilka. A potem rozległ się mrozący krew w żyłach wrzask.

— Cholera — burknął Alberto. — Założę się, że znowu pojawił się kot.

Erin delikatnie dotknęła jego kolana.

— Muszę znaleźć Darrella. Sprawa jest bardzo ważna.

— Przeprowadził się.

— Wiem o tym.

— Nie martw się, kochanie. — Alberto położył na jej ręce swoją tłustą, wilgotną dłoń. Niezgrabnie próbował spleść palce ich dłoni, ale Erin cofnęła rękę.

— Gdzie on jest, Alberto?

— Rita by mnie zabiła.

— Przecież mówimy o mojej córce.

Alberto nerwowo zerknął w stronę drzwi.

— Posłuchaj, dzwonił tu przez parę tygodni, ze trzy razy na tydzień. Jak zawsze chciał pieniędzy. Ale nie jestem pewien, gdzie jest.

— Ponownie spróbował wziąć ją za rękę, lecz Erin się wyswobodziła.

— Wszystko mogłoby mi pomóc — powiedziała. — Stan, hrabstwo, cokolwiek. Nawet kod strefowy.

— Rozmawiała z nim Rita, nie ja — wyjaśnił Alberto. — Darrell nigdy mi o niczym nie mówi. Nie dowierza stróżowi prawa i kropka.

Podawanie się za stróża prawa było ze strony Alberta Alonso zdecydowaną przesadą, ale Erin pominęła milczeniem ten drobiazg. Jego podania o pracę odrzucały wszystkie komendy policji w południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Choć w głębi duszy był policjantem, nie dysponował odpowiednim profilem psychologicznym. Gdy przychodziło do analizy jego akt, najczęściej padało określenie „niestabilny”.

— Nie martw się — dodał Alberto uspokajająco. — Jestem pewien, że Angie ma się doskonale.

— Nie ma się doskonale, Alberto. Jest przecież z tym moim porąbanym mężem.

Alberta zatkało z wrażenia. Hałas panujący na podwórzu nagle umilkł. Rita wsunęła głowę przez drzwi.

— Gdzie jest ta cholerna łopata?

— Myślałem, że tam, gdzie grabie — odparł Alberto.

— Ale jej nie ma! — Drzwi zamknęły się z hukiem.

Erin poprosiła Alberta o aspirynę.

— Boli cię głowa?

— Straszliwie — zapewniła.

— Biedactwo. — Wstał i ujął jej twarz w dłonie. — Jesteś rozpalona, kochanie.

— Alberto, nie mam gorączki, tylko ból głowy.

— Przyniosę ci trochę bayera. Zaraz wracam. — Przeszedł do łazienki i zaczął grzebać w szafce. — Jest advil! — zawołał. — A także tylenol, anacin, excedrin PM. Wolisz tabletki czy te nowe żelatynowe kapsułki?

Wrócił do saloniku z naręczem pigułek, proszków i kapsułek. Rita była już w pokoju i siedziała na sofie, zaciągając się gwałtownie papierosem. Erin zniknęła.

— Proszę, proszę. — Głos Rity ciął jak brzytwa. — Prawdziwy Marcus Welby.

Erin doskonale zdawała sobie sprawę, że kradzież poczty w Stanach Zjednoczonych jest przestępstwem federalnym, zagrożonym karą grzywny, więzienia lub obu łącznie. Wiedziała również, że w południowym okręgu Florydy prokurator przeznacza dokładnie zero roboczogodzin na ściganie kradzieży korespondencji, ponieważ cały swój czas poświęca prowadzeniu dochodzeń przeciwko handlarzom narkotyków, przemytnikom broni, obalonym zagranicznym dyktatorom, kierownikom kas oszczędnościowo-pożyczkowych, skorumpowanym miejscowym politykom i nieuczciwym gliniarzom wszystkich stopni.

Działania federalnego systemu prawnego były Erin dobrze znane, ponieważ jej poprzednia praca, zanim została nagistką, polegała na przepisywaniu i katalogowaniu raportów operacyjnych dla Federalnego Biura Śledczego. Erin była wydajna, dokładna i spostrzegawcza. Pod pewnymi względami przewyższała inteligencją agenta FBI, z którym się kontaktowała. Chociaż jego system rejestracji był nienaganny, miał słabe wyczucie terenu. Erin lubiła go i próbowała pomóc, ale agent był młody, niedoświadczony i beznadziejnie środkowoza-  
chodni w swoim podejściu do spraw. Południowa Floryda pożerała go żywcem.



Gdy Erin zwolniono z pracy, agent (który nazywał się Cleary), był tym faktem bardziej wstrząśnięty niż ona. Próbował wszystkiego, na co pozwalała sztywna hierarchia służbowa urzędu, aby zmienić tę decyzję, lecz bezskutecznie. Erin uznano za osobę niespełniającą wymogów bezpieczeństwa po tym, jak jej mąż został postawiony w stan oskarżenia za czwarte przestępstwo popełnione w ciągu jego życia — wielką kradzież jedenastu foteli inwalidzkich z wioski emerytów Sunshine Grove. Nie miał znaczenia fakt, że była wówczas w separacji z Darrellem Grantem — dzwonił do niej z więzienia i to wystarczyło. Dzwonił do niej do pracy, idiota! Mówił jej, żeby się pośpieszyła i spławiła tego Camaro, i na litość boską, niech nie pozwala gliniarzom zaglądać do bagażnika. Wywrzaskiwał te polecenia, zapominając o tym, że większość telefonów z aresztu — i wszystkie do budynku FBI — były automatycznie rejestrowane.

Erin nigdy nie podejrzewano o współudział, ponieważ na obu taśmach jej odpowiedzi udzielane Darrellowi Grantowi brzmiały krótko i wyraźnie: „Ty dupku. Gdzie jest moja córka?”

Chociaż nie chciała opuszczać pracy, nie była rozgoryczona. Rozumiała sytuację. Nikt nie powinien się wiązać z zawodowym kryminalistą, a zwłaszcza pracownik FBI. Agent Cleary był niepokieszony i napisał jej oszałamiającą opinię „Do każdego zainteresowanego” na oficjalnym papierze FBI. Był to z jego strony gest pełen wyzwania. Ale gdy Erin poprosiła o pracę w „Żwawym Bobrze”, opinia okazała się zbędna. „Pokaż mi piersi — oznajmił pan Orly. — Doskonale. Kiedy możesz zacząć?” Erin nie miała sumienia powiedzieć agentowi Cleary'emu o swoim nowym zajęciu.

Jak na ironię, oskarżenie przeciwko Darrellowi Grantowi wycofano, ponieważ zgodził się zostać tajnym informatorem urzędu szeryfa. Jego pierwszym wyczynem było zakapowanie swoich trzech złodziejskich koleżek. W nagrodę za to otrzymał całkowicie nową nienaganną przeszłość, którą zawdzięczał klawiszowi kasującemu w komputerze szeryfa. Usunięcie poprzednich notowań Darrella było najzupełniej nielegalne, ale nie bezprecedensowe. Poza tym gdyby pojawiły się jakieś komplikacje, jego prowadzący zawsze mogli twierdzić, że skasowanie danych to godny pożałowania wypadek. Komputery do rejestrowania przestępców znane były z takich spontanicznych wykasowań.

W czasie późniejszej walki o opiekę nad Angella Erin przekonała

się, że walczy nie tylko przeciwko Darrellowi Grantowi, obywatelowi doskonałemu, ale również przeciwko detektywom, którzy głupio wierzyli, że Grant dla nich pracuje. Tak więc za każdym razem gdy wyznaczano następną datę rozprawy, uprzejmie wysyłali go z miasta na tajną operację. Zaświadczeń informujących o wadze misji dostarczano mu na pęczki. W tych rzadkich zaś przypadkach, gdy Darrell zjawiał się na sali sądowej, nie było żywej duszy, która mogłaby zeznać pod przysięgą całą prawdę o jego kryminalnych wyczynach. Sala sądowa była wówczas wyczyszczona równie dokładnie jak pamięć komputera. W sprawie przestępczej działalności Darrella Granta sędzia zdany był jedynie na słowa Erin, a te spokojnie odrzucał.

Wykończona finansowo i zniechęcona Erin mimo wszystko nie chciała się poddać. Zamierzała ścigać eksmęża tak długo, dopóki okaże się to konieczne. Angeli groziło niebezpieczeństwo nie dlatego, że Darrell był osobnikiem gwałtownym, lecz dlatego, że był niezmiennie roztrzepany. Jego wpadka albo inne nieszczęście były tylko kwestią czasu i dopiero wtedy zacząłby się prawdziwy koszmar. Wówczas córka Erin znalazłaby się pod opieką wielkiego stanu Floryda, który nie był znany ze szczególnej troski o dzieci.

Angie nigdy nie zostanie podrzutkiem. Erin nie mogła do tego dopuścić. Aby ocalić dziewczynkę, zrobiłaby wszystko, w tym również ukradła pocztę Rity Grant ze stołu w kuchni.

Włączyła taśmę Jimmy'ego Buffetta, położyła się na łóżku i zaczęła przeglądać listy szwagierki. Miała na sobie obcięte dżinsy i luźną hawajską koszulę. Na zaczesane w koński ogon włosy nałożyła różową bawełnianą czapkę baseballową. Jej nagie stopy podrygiwały w rytm muzyki i zaczęła spoglądać w przyszłość z większym niż dotąd optymizmem.

Większość skradzionej korespondencji była bezwartościowa z punktu widzenia jej prywatnego śledztwa: rachunek za elektryczność, prenumerata „Penthouse'a”, pełen nostalgii list od kolejnego zbłąkanego członka rodziny (młodszego brata Darrella symulującego chorobę umysłową w szpitalu stanowym w Chattahoochee) i pismo w sprawie członkostwa z Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego, do którego kandydowali Rita i Alberto.

Tylko jeden dokument przedstawiał jakąś wartość dla Erin — rachunek telefoniczny. Nie trzeba było szkolenia FBI, aby odszukać

pozycje dotyczące rozmów zamiejscowych i ustalić miejsce pobytu jej eksmęża. Nie uciekł daleko — Erin naliczyła siedem rozmów telefonicznych na koszt odbierającego, przeprowadzonych z numeru w Deerfield Beach. Wszystko doskonale pasowało. W Deerfield Beach mieszkali przede wszystkim inwalidzi. A kiedy idzie się na rentę, ma się fotel inwalidzki.

Wyłączyła stereo i podniosła słuchawkę telefonu. Gdy wybierała numer, jej ręka drżała — nie ze zdenerwowania, lecz z wściekłości. Odebrał po sześciu sygnałach. Udając głos staruszki, Erin powiedziała, że dzwoni ze Stowarzyszenia Świętego Wita i zbiera dary dla bezdomnych.

— Jakie dary? — zapytał Darrell Grant.

— Wszystko, co ma pan zbędne. Żywność, ubrania, sprzęt medyczny.

— Na przykład fotele inwalidzkie? — upewnił się.

Erin nasłuchiwała, czy w tle nie rozlegnie się głos dziecka, ale dobiegał do niej jedynie głos z telewizora nadającego jakiś talk show.

— Halo? — odezwał się Darrell. — Czy chcecie państwo fotele inwalidzkie?

— Obecnie mamy dosyć foteli i łóżek na kółkach. Będziemy jednak niezwykle wdzięczni za każdy inny sprzęt medyczny.

— Bardzo szkoda — stwierdził Grant. — Mam parę używanych foteli inwalidzkich w zupełnie dobrym stanie.

Erin pohamowała pragnienie wrzaśnięcia do słuchawki czegoś strasznego. Wciąż udając starą kobietę, rzekła:

— No cóż, właśnie otrzymaliśmy transport nowiutkich foteli z Okręgowego Zarządu Szpitali. Ale dziękujemy za dobre chęci.

— Tak? Jakiego typu?

— Doprawdy nie umiem powiedzieć. Czy mogę zapisać, że ofiaruje pan nieco żywności i bielizny pościelowej?

— Jasne — odparł Darrell. — Lepiej będzie, jeżeli sam to państwu przywiozę. Niech mi pani poda wasz adres. I jeszcze raz przeliteruje nazwisko tego świętego, dobrze?

Erin uśmiechnęła się. Cóż za rycerz.

## 5.

Moldowsky nie wiedział, że Jerry Killian szaleje z miłości. Nie miało to zresztą znaczenia — szantaż pozostaje szantażem.

— Gdzie jest Dilbeck? — zapytał Killian.

— Przychodzę jako osobisty przedstawiciel kongresmana. — Malcolm Moldowsky wyjął notes z monogramem i złote wieczne pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki. — W porządku, przejdźmy do warunków.

— Nie tak szybko.

Siedzieli na górnym pokładzie „Królowej Dżungli”, jaskrawo pomalowanej makiety bocznokołowca, jednej z tych, które pływały w dół i w górę Intercoastal Waterway w Fort Lauderdale. Spotkanie w tym miejscu było pomysłem Killiana. Czuł się bezpieczniej w otoczeniu rozgadanych turystów oraz uczestników różnych zjazdów i konferencji.

— Wyraźnie prosiłem o spotkanie z kongresmanem — oznajmił.

Moldowsky westchnął z wyrozumiałością.

— Pan Dilbeck jest bardzo zajęty. Dziś rano zwiedza Małe Haiti, po południu otwiera park domino w Małej Hawanie, wieczorem zaś przemawia do Demokratycznych Synów i Córek Nikaragui na Wygnaniu.

Killian gwizdnął lekceważąco.

— Mamy rok wyborów, przyjacielu — wyjaśnił Moldowsky.

— Nie musi się niczego obawiać z mojej strony.

— Powiedziałem tylko, że jest zajęty.

Killian złożył ręce na piersi.

— I dlatego wysłał faceta zajeżdżającego jak bidet w Bangkoku?

— Czy to aluzja do mojej wody kolońskiej?

— Bez obrazy. Osobiście jestem zwolennikiem bruta.

Malcolm J. spokojnie kreślił gryzmoły w notatniku.

— Nic się nie stało.

— Ten pański kongresman jest bardzo łatwo podniecającym się chłopcem. Sprzął na kwaśne jabłko tego biednego palanta w klubie striptizowym. — Killian spodziewał się jakichś wyjaśnień, ale Moldowsky dalej gryzmolił bez słowa.

— Ma problem z paniami — ciągnął Jerry Killian. — Uważam, że trzeba by mu pomóc, zanim zaczną rozchodzić się plotki.

— Czy możemy przejść do interesów? — zapytał jego rozmówca.

— Wspominam o tym tylko dlatego, że się o niego niepokoję. Może wyrządzić komuś krzywdę albo jemu ktoś zrobi coś złego. Takie bary są niebezpiecznymi miejscami.

— Przekażę mu to. Czy możemy już zacząć?

Killian punkt po punkcie przedstawił swoje żądania. Były tylko dwa. Moldowsky słuchał beznamiętnie i notował. Gdy szantażysta skończył, Moldy podniósł głowę i oznajmił:

— Bezcelnie wygórowane wymagania.

„Królowa Dżungli” czterokrotnie zawyła syreną. Kapitan próbował w ten sposób zwrócić uwagę obsługującego zwozzonego most.

— Konkretnie które?

— Oczywiście finansowe. Milion dolarów!

— Dajmy spokój pieniądzom. A co z drugą sprawą?

Moldowsky spojrział na niego.

— Dać spokój pieniądzom?

— Jasne. Po prostu was podpuszczałem. — Killian roześmiał się serdecznie i dał znak kelnerowi, aby przyniósł jeszcze dwa piwa.

— Pozwoli pan, że się upewnię. Nie chce pan żadnych pieniędzy. Ani centa? — rzekł Moldowsky.

Killian zdjął swoje grube okulary i podniósł je pod światło, sprawdzając, czy nie są zabrudzone.

— Jak na faceta, który ubiera się tak wystrzałowo, cholernie ciężko pan myśli — oświadczył. — Nie, panie Osobisty Przedstawicielu,

nie chcę pieniędzy. Chcę jedynie, żeby załatwił prostą sprawę sądową.

— Niech pan mówi ciszej.

— Grant kontra Grant.

— Tak, już zapisałem — potwierdził Moldowsky. — Prawo do opieki. Dlaczego pan interesuje się tą sprawą?

— Nie pański interes — odparł Killian. — I jeżeli zacznie pan węszyć, natychmiast pójdę na policję i zamelduję, co widziałem w „Żwawym Bobrze”. A wtedy na pewno przeczyta pan o tym w nagłówkach.

Most wreszcie się podniósł, aby przepuścić „Królową Dżungli”, i turyści nagrodzili ów fakt idiotycznymi oklaskami. Pojawił się kelner z piwami i Moldowsky wraz z Killianem wypili je w ciszy, która zapanaowała na pokładzie po tej chwilowej wesołości.

— Wspaniały rejs — oświadczył błyskotliwie Killian. — Mają coś takiego również w Miami, prawda?

— W zatoce Biscayne. Rejs koło domów znakomitości. — Moldowsky pozostawał uprzejmy, mimo że uznał Jerry'ego Killiana za fiuta. Ale fiuty również mogą sprawiać kłopoty.

— Na przykład jakich?

— Bee Geesów.

— Którego?

— Całej tej cholernej bandy. Wszyscy mają domy nad wodą.

— Czy dom Madonny również jest w programie?

— Niewątpliwie — odparł z westchnieniem Moldowsky. Powoli kierował rozmowę z powrotem na sprawę szantażu. — Dlaczego uważa pan, że kongresman Dilbeck może wpłynąć na miejscowego sędziego zajmującego się rozwodami? To znaczy, jeżeli będzie chciał spełnić pańskie żądanie.

— Proste. Ten sędzia ma powyżej uszu spraw rozwodowych. Pragnie awansu, a konkretnie uzyskania nominacji do sądu federalnego. Do tego zaś potrzebne są koneksje polityczne.

Moldowsky zmarszczył czoło.

— Ale to Senat zatwierdza...

— Wiem! — Killian ze złością schwycił krawędź stołu. — Wiem o tym, nadęty kutasie! Wiem, że Senat zatwierdza nominacje. Lecz list od kongresmana z pewnością by mu pomógł, prawda? Mógłby wpłynąć

na niektórych senatorów w Komisji do Spraw Sądownictwa. Mam rację?

— Oczywiście — przytaknął Moldowsky. — Całkowitą. — Patrzył na tandetny krawat szantażysty nurzający się w kuflu z piwem. Killian zauważył jego spojrzenie i szybko wyciągnął krawat. Jeżeli poczuł się zakłopotany, nie dał po sobie tego poznać.

— Sędziemu bardzo pochlebi wiadomość od członka Kongresu Stanów Zjednoczonych. I w tym rzecz, o czymś takim właśnie mówimy, panie Osobisty Przedstawicielu — nie o wpływie, ale raczej o zrobieniu dobrego wrażenia. Kogo obchodzi, czy ten kauzyperda w ogóle zasiądzie w sądzie federalnym? Chcemy, aby uznał, że może to osiągnąć. Aby był przekonany, że Dilbeck ma dość atutów, by umożliwić mu ten awans. Ale ja odnoszę wrażenie, że jesteś pan po prostu małą wścibską płotką od przekazywania wiadomości.

Niekiedy Malcolm J. Moldowsky żałował, że jest tak opanowany. Po tylu latach działania jako polityczny manipulator w żadnej sytuacji nie czuł się już osobiście obrażony. W jego branży emocje są ryzykowne. Zakłócają zdolność oceny, łatwo można poważnie się przełiczyć, poddać idiotycznym odruchom. Oczywiście byłoby przyjemnie walnąć Jerry'ego Killiana tak, aby plunął krwią i zębami, lecz taki gest niczego by nie załatwił. Ten człowiek kierował się motywami o wiele głębszymi i gwałtowniejszymi niż chciwość, co czyniło go dodatkowo niebezpiecznym.

Moldowsky oznajmił więc:

— Zobaczę, co się da zrobić.

— Tak właśnie sądziłem.

— A w tym czasie niech pan nie chodzi do tego klubu striptizowego. — Malcolm J. Moldowsky zamknął notes i zakręcił pióro. — Jeżeli się tam pan pokaże, koniec z umową. Jasne?

— W porządku — odparł Killian. — Dam sobie z tym radę. Ale na samą myśl o tym bolało go serce.

Złożenie pozwu przeciwko synagodze było wyzwaniem pod każdym względem. Mordecai miał kłopoty ze znalezieniem precedensów. Źródła prawnicze nie zawierały żadnych informacji na ten temat i równie trudno przychodziło mu wykrzesanie z siebie entuzjazmu.

Gdy opowiedział o sprawie swojej matce, trzasnęła go w twarz rękawicą kuchenną, przypominając mu w ten sposób, że jego dwaj wujkowie byli ortodoksyjnymi rabinami.

Plany Mordecaia dotyczące sprawy Paula Gubera utrudniali przyjaciele samej ofiary. Nie mogli bowiem przypomnieć sobie ani nazwy, ani lokalizacji synagogi, przy której nastąpił ten okrutny napad. Młodzi ludzie twierdzili, że powodem ich zaniku pamięci były: ciemność, późna pora i alkohol, ale Mordecai podejrzewał co innego. Wspólna amnezja najczęściej bywa objawem spisku. Zastanawiał się, czy nie zapytać Gubera o prawdziwe okoliczności incydentu, ale gdyby Paul otworzył usta i zaczął mówić, niechybnie zniszczyłby fundament strategii procesowej Mordecaia. A on chciał, aby sąd ujrzał maklera, który pod wpływem obrażeń stał się bezradnym niemową. Makler, który w dalszym ciągu mógł pracować przy telefonie, nie był aż tak pożałowania godnym poszkodowanym. Plan Mordecaia wymagał, żeby biedny pan Guber zachował milczenie.

Prawnik postanowił zastosować pomoce wizualne. Zdobył mapę hrabstwa Broward i umocował ją na wysokich sztalugach. Szpilkami z kolorowymi główkami zaznaczył lokalizację każdej synagogi od Tamarac po Hallandale. Wpadł na pomysł, aby ustawić Paula Gubera i jego kołesiów przed mapą. To albo ożywi ich pamięć, albo pomoże ustalić wiarygodną wersję. Synagogi w najzamożniejszych dzielnicach oznaczył szpilkami o lśniących zielonych łebkach. W ten subtelny sposób sugerował, gdzie znaleźć odpowiednio bogatego winowajcę.

Mapę zanesiono do pokoju szpitalnego Paula Gubera, a jego przyjaciele zebrali się po obu stronach łóżka. Mordecai cofnął się i czekał. Mężczyźni przyglądali się mapie przymrużonymi oczyma. Pomrukiwali. Wskazywali palcami. Pocierali podbródki w udawanym skupieniu. Scena była groteskowa. Po godzinie prawnik kazał im iść do domu i wszystko przemyśleć.

Przed drzwiami pokoju szpitalnego narzeczona Paula zapytała:

— Co to ma znaczyć?

— Że ta sprawa przestaje mnie interesować — odparł adwokat.

Gdy Mordecai wrócił do swojego biura, odniósł wrażenie, że sekretarka odczuła wyraźną ulgę na jego widok, i było to coś niezwykłego. Zaprowadziła go do sali konferencyjnej, gdzie czekał na niego



nowy klient. Mordecai musiał zebrać całą odwagę, żeby podać rękę temu facetowi.

— Jestem Shad — przedstawił się mężczyzna. — Rozmawialiśmy przez telefon.

Przybysz był barczysty, guzowaty i łysy. Miał na sobie kurtkę, spadochroniarskie spodnie i czarne kowbojskie buty. Jego uścisk dłoni przypominał chwyt zapaśnika.

Sekretarka Mordecaia zniknęła błyskawicznie. Adwokat usiadł przy stole i gestem ręki poprosił klienta, żeby zrobił to samo.

— Ma pan lodówkę? — zapytał Shad.

— Słucham?

Shad otworzył brązową papierową torbę i wyjął plastikowy pakiet z nienaruszoną foliową plombą. Podniósł ją teatralnym gestem i pokazał Mordecaiowi. Potem sięgnął ponownie do torby i wydobył pojemnik z owocowym niskokalorycznym jogurtem „Delicato”. — Jagodowy — oznajmił, odpakowując go z zabezpieczającej przezroczystej folii.

— Ach tak — powiedział Mordecai. — Pan jest tym człowiekiem z insektem.

— Karaluchem — wyjaśnił zdecydowanym tonem Shad. Przesunął jogurt po blacie stołu. Prawnik obejrzał go ostrożnie i nic nie znalazł.

— Czy jest tutaj? — Popatrzył na gładziutką mleczną powierzchnię.

— Jasne — potwierdził klient. — I to duży.

Mordecai podniósł woskowany pojemnik pod światło.

— Wolalbym go zobaczyć.

Shad podał mu łyżkę mówiąc:

— Szczęśliwych łowów.

Adwokat się zawahał.

— Najpierw powinniśmy zrobić parę zdjęć. — Zadzwoił po sekretarkę i polecił jej przynieść aparat fotograficzny. Chwilę później oddzwoniła i poinformowała, że skończył się film.

— Mam nadzieję że przynajmniej ma pan lodówkę? — upewnił się Shad.

— No cóż, oczywiście.

— I chciałbym dostać pokwitowanie.

Mordecai poczuł się urażony.

— Nie ma pan do mnie zaufania?  
— Jeszcze nie — odparł Shad.  
— Niech się pan nie martwi. Podpisaliśmy przecież umowę.  
— Mimo to wolałbym dostać pokwitowanie. Tutaj spoczywa moja przyszłość. — Wskazał na pojemnik z jogurtem. — Moja emerytura.

Mordecai wyjaśnił, jakie jest postępowanie w takich przypadkach. Gdy doszedł do części dotyczącej honorarium, zobaczył, że klient sztywnieje.

— Czterdzieści procent? Tyle pan dostaje?

— Takie jest zwyczajowe postępowanie, panie Shad. Może pan sprawdzić.

— Czterdzieści pieprzonych procent!

— Większość adwokatów pobiera podobne honoraria.

— Naprawdę? — Shad opuścił głowę i pochylił się nad stołem. — Znam faceta, który wziął sprawę ze szcurem za trzydzieści trzy plus wydatki.

— No cóż — rzekł zaniepokojony Mordecai. — Moje czterdzieści procent obejmuje wszystkie koszty. — Nie miał ochoty słuchać o innych przypadkach, ale musiał wiedzieć. — Skoro mówi pan o szcuzrze...

— Mały norweski. — Shad pokazał, jakich rozmiarów. — Mniej więcej taki. To było w „Beef N' Reef w Wilton Manors. Otworzyłem stek w sosie i proszę, bingo, szczur! Leży sobie na moim specjalnym zeberkiem. Przecież samo mówienie o tym wywołuje uraz.

Obraz, który pojawił się w wyobraźni Mordecaia, sprawił, że adwokat milczał przez chwilę.

— I złożył pan pozew?

— Tak, ale coś się stało. Druga strona... Doprawdy nie wiem. Niech pan wierzy albo nie, lecz wystąpili z pozwem przeciwko mnie i mój adwokat powiedział, że lepiej zapomnieć o wszystkim. — W głosie Shada dźwięczała gorycz. — Nie zapłaciłem skurwysynowi ani centa — oznajmił znacząco. — Taka była umowa.

— Cóż, jest to typowa umowa obejmująca nieprzewidziane wypadki. — Gdy wrócili do znajomych zagadnień, Mordecai poczuł się o wiele lepiej. — Procesowanie się z dużą firmą to trudne zadanie. I kosztowne.

— Przez telefon twierdził pan, że pójdą na ugodę.

— Zapewne tak, panie Shad, ale nie bez walki. Dlatego właśnie biorę czterdzieści procent. W razie wygranej.

Mordecai nie okazywał dzikiego optymizmu, który z całą pewnością przypadłby Shadowi bardziej do gustu. Bramkarz zastanawiał się, czy wybrał sobie odpowiedniego adwokata.

— Jak długo jogurt będzie jeszcze dobry? — zapytał.

Prawnik odparł, że nie wie.

— Lepiej niech się pan dowie. — Shad podniósł pojemnik. — Kiedy to gównno zacznie się psuć, niech pan uważa. Smród jest taki, że tapety odłóżą.

— Jeżeli będzie trzeba, zamrozimy go — oświadczył Mordecai.

— To nie jest lunch — upomniał go Shad — ale dowód rzeczowy. Lepiej niech pan nie upieprzy procedury przechowania.

— Oczywiście, że nie — odparł adwokat i pomyślał: Procedura przechowania? Co jest z tym facetem?

— Niech mi pan coś powie o swoim atutowym psycholu — zażądał klient.

— Dobry specjalista. Korzystałem z jego usług w innych przypadkach. Powinien pan zacząć się z nim spotykać możliwie najszybciej i tak często, jak się da.

— A kto będzie płacił?

Mordecai uśmiechnął się ojcowsko.

— Proszę się nie martwić. W ostatecznym rozrachunku „Delicato” poniesie wszystkie koszty. A my tymczasem będziemy musieli sporządzić szczegółową obdukcję lekarską.

— Nigdy nie byłem u psychologa — przyznał się Shad. — Mam wrażenie, że raczej mi się to nie spodoba.

— Musimy koniecznie udokumentować pańskie cierpienia i szkody. Pomogą później określić wysokość odszkodowania.

— Chce pan powiedzieć: ile forsy?

— Dokładnie tak. Sąd musi wiedzieć, jakie przeżył pan katusze. Być może będzie pan też musiał rozważyć ewentualność porzucenia pracy.

— Tego nie mogę zrobić — oświadczył stanowczo Shad.

— Utrata dochodów bardzo zwiększyłaby wyznaczoną przez sąd kwotę. W takim razie może urlop zdrowotny?

Shad odparł, że nie, nie porzuci pracy, i Mordecai się wycofał. Omówią ten problem kiedy indziej.

— A gdzie pan pracuje? — zapytał.  
— W przemyśle rozrywkowym — odparł klient.  
— Doprawdy? — Adwokat nie mógł sobie tego wyobrazić. — Czy pan... występuje? — Może w cyrku, pomyślał.

Shad pokręcił głową.

— Ochrona. Zapewniam ochronę.

— Czy wolno zapytać, gdzie?

— W lokalu ze striptizem.

Mordecai wziął głęboki wdech. Oczywiście wyobraźni zobaczył, jak ława przysięgłych robi tak samo, a z ich oczu znikają resztki współczucia. Pożałował samego siebie — cały dzień był tak cholernie paskudny. Najpierw klęska z Paulem Guberem, a teraz to. Dlaczego nigdy nie udaje mu się dopaść idealnych powodów — cudownych małych dzieci, urzekających młodych wdów, smutnych, lecz energicznych emerytów?

Nie dla mnie, uznał Mordecai. Ja dostaję bramkarza z gołotkowa. I to nawet nie bramkarza z jakimś normalnym wyglądem, ale bezwłosy, cierpiący na wytrzeszcz oczu odrzut ze „Star Treku”.

— Co, do diabła? — zaniepokoił się Shad. — Jeżeli nie ma pan ochoty na tę sprawę, niech pan po prostu powie. — Zaczął grzebać łyżką w jogurcie. — Chciałbym, żeby pan to zobaczył.

— Och, nie trzeba — zaprotestował adwokat. — Wierzę panu.

Odepchnął się obiema nogami, odjeżdżając razem z fotelem od stołu konferencyjnego. Wstał dokładnie w tej samej chwili, gdy Shad natrafił na swój samorodek.

— Ha!

— Mój Boże — jęknął Mordecai.

— A nie mówiłem? Pieprzony karaluch, czy nie?

Prehistoryczne obrzydlistwo wypełniało całą łyżkę, którą facet podsunął Mordecaiowi pod sam nos. Adwokat skrzywił się z obrzydzeniem. Martwy karaluch tkwił z rozpostartymi skrzydłami w niebieskiej gęstej kałuży. Jego upstrzone jogurtem czułki opadły martwo.

Shad był bardzo z siebie dumny.

— No i co?

— Niech go pan włoży z powrotem — wychrypiął prawnik.

— Wyobraź pan sobie — kontynuował Shad — siada pan do śniadania i...

— Nie!

— Ma pan ochotę puścić pawia, co?

— Tak — wyszeptał Mordecai i żeby zachować równowagę, złapał się za krawędź stołu. — Proszę go z powrotem włożyć do jogurtu. Proszę.

Shad ostrożnie wrzucił owada do pojemnika i delikatnie zamieszał zawartość. Wkrótce insekt zniknął pod powierzchnią.

— Proszę — oznajmił. — Gdzie jest lodówka?

— Powiem Beverly, żeby panu pokazała. — Adwokat otarł twarz chustką do nosa.

— Czy to znaczy, że umowa stoi?

— Stoi — przytaknął Mordecai.

Czasy były ciężkie, a karaluch to karaluch.

## 6.

Monique Sr oznajmiła, że przy stoliku numer czternaście pije piwo Alan Greenspan.

Orly klasnął w tłuste dłonie.

— Widzisz? Kolejny powód, dla którego powinnaś zostać w pracy. — Nie chciał, żeby Erin wzięła wolny wieczór. — Słynny komik na widowni, nie powinnaś tracić szansy.

— Alan Greenspan — wyjaśniła uprzejmie Erin — jest ekonomistą.

— Właśnie ten — Monique Sr podtrzymała swoją informację. — Sam możesz sprawdzić. Corona z butelki, bez limona.

— Nie mówiąc już o tym, że mamy dziś wtorek — upierał się Orly. — A we wtorek są zapasy w oleju. Nasz jedyny wieczór z dużą widownią.

— Nie występuję w zapasach — przypomniała mu Erin. — Ani w oleju, ani w budyniu, ani w błocie. Żadnych zapasów.

Nagie zapasy w oleju były tradycją „Żwawego Bobra”, lecz Erin odmówiła brania w nich udziału. Jej zdaniem zawodowe tancerki nie powinny tarzać się w mokrych wannach razem z gołymi do pasa, na wpół przytomnymi pijaczkami. A po drugie, Erin nie podobał się wygląd oleju. Orly dość nieprecyzyjnie wyrażał się na temat jego marki. Jednego dnia twierdził, że to Wesson, drugiego, że Mazzola. Erin miała przeczucie, że ani jedno, ani drugie. Pewnego razu pojawił się inspektor sanitarny, aby zbadać na miejscu olej pod kątem

obecności flory bakteryjnej. Zadziwiające, ale w pojemniku do zapasów nie znalazł ani jednego żywego mikroba. Tajemnica wyjaśniła się wieczorem tego samego dnia, gdy inspektor powrócił ze swoimi czterema kumplami z pracy. Siedzieli przy stoliku w pierwszym rzędzie, otrzymując dzięki uprzejmości pana Orly'ego tyle amaretto, ile zdołała wchłonąć.

— Wtorek jest naszym najlepszym wieczorem — powtarzał właściciel lokalu. — A w kwestii formalnej, potrzebujemy wszystkich naszych najlepszych tancerek.

— Proszę, panie Orly. Mam osobistą sprawę do załatwienia.

— Jaka?

— Muszę spotkać się z moim byłym mężem — wyjaśniła Erin — aby omówić kwestię opieki nad naszą córką.

W tym miejscu Urbana Sprawł wyraziła swoją opinię na temat Darrella Granta, opisując go tak barwnie, że pan Orly natychmiast wysunął propozycję załatwienia na niego kontraktu.

— To nie jest konieczne — odparła Erin.

— Może więc pobicie? Okaleczenie? Powiedz tylko słowo. — Orly odegrał pantomimiczną scenkę rozmowy przez telefon. — Jeżeli zna się odpowiednich ludzi, wszystko jest prościutkie.

— Dziękuję, ale sama dam sobie radę. — Erin udawała, że bierze sobie mafijne przechwałki pana Orly'ego za dobrą monetę. Przypominał Sycylińczyka w taki samym stopniu jak David Letterman.

Urbana Sprawł naciskała szefa, żeby dał Erin wolny wieczór z powodu jej zaginionej córeczki. Orly'ego jednak jej interwencja nie poruszyła w najmniejszym stopniu.

— Obiecuj mi, że naprawdę będziesz załatwiała swoje sprawy rodzinne, a nie przemkniesz się cichaczem na przesłuchanie parę przecznic dalej.

— No jasne — parsknęła Erin. — Całe życie marzyłam, aby pracować dla tych świrusów.

Pan Orly cierpiał na pewną manię prześladowczą. Bał się mianowicie, że utraci swoje najlepsze striptizerki na rzecz „Różowej Farmy”, która agresywnie działała na rynku pracy, oferując oszałamiające premie. Jej właściciele wprowadzili ostatnio wieczory tańca pełnokontaktowego, które miały stanowić konkurencję dla nagich zapasów w oleju w „Żwawym Bobrze”. Pełnokontaktowy taniec nie był właściwie tańcem we właściwym tego słowa znaczeniu, lecz raczej

intensywnym ocieraniem się o przednie części ciała całkowicie odzianych klientów. Rozrywka była zdecydowanie o wiele bardziej erotyczna niż zapasy w oleju i na pewno o wiele mniej brudząca. Orly czuł się więc bardzo zagrożony.

— Powiedz mi prawdę — naciskał na Erin.

— Mówię prawdę. Spotykam się z moim byłym mężem. — Wzięła do ręki torebkę, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

— Jeżeli mi pan nie wierzy, niech pan zapyta Shada. Idzie ze mną.

— Mój Shad? — Pan Orly zmarszczył się z niepokojem.

— Wyświadcza mi przysługę — wyjaśniła Erin. — Mogą być klopoty.

— W takim razie bądź cholernie ostrożna.

— Będę.

— Strasznie trudno znaleźć dobrego bramkarza — stwierdził Orly. — O wiele trudniej niż tancerki, słowo daję.

Erin po raz pierwszy spotkała Darrella Granta w szpitalu okręgowym hrabstwa Broward. Jej matka odzyskiwała tam siły po operacji odwrócenia pępka — po prostu zapłaciła chirurgowi plastycznemu tysiąc pięćset dolarów, aby zmienił jej pępek z wypukłego na wklęsły. Erin nawet nie przypuszczała, że taka operacja jest możliwa, ale matka zapewniła ją, iż wszystkie znane modelki zrobiły to samo.

Erin stała właśnie, przy łóżku matki, podziwiając dzieło chirurga, gdy do pokoju wszedł Darrell Grant ze świeżą zmianą bielizny i czystą kaczka. Pracował jako salowy w szpitalu i, jak dowiedziała się później, tu właśnie zasmakował w narkotykach i nabył umiejętność kradzieży foteli inwalidzkich. Darrell w najmniejszym jednak stopniu nie sprawiał wrażenia kryminalisty. Erin w naiwności swej wierzyła, że wszyscy przestępcy mają popsute zęby, tłuste włosy i więzienne tatuaże. Zakładała, że krótko ostrzyżeni, przystojni mężczyźni obdarzeni są tą samą naturalną zaletą co ładnie uczesane, przystojne kobiety — świat traktuje ich lepiej, nie mają więc powodu do niewłaściwych zachowań.

A Darrell Grant był niezwykle przystojnym młodym człowiekiem o szczupłej twarzy i błyszczących, kpiarskich oczach. Zaprosił ją do



szpitalnej kawiarni i oczarował spreparowaną naprędce historią swojego życia. Najważniejszym punktem tej bajdy było autentyczne odznaczenie Brązowej Gwiazdy, które przechowywał w kieszonce na piersi szpitalnego kitla. Powiedział Erin, że otrzymał je za zabicie kubańskiego snajpera w czasie inwazji na Grenadę. Postanowiła nie podawać w wątpliwość jego opowieści, wiedziała bowiem, że Pentagon rozdał około stu tysięcy medali za to, że uczyniono tę maleńką korzenną wysepkę ponownie bezpieczną dla „Holiday Inns”. O wiele później dowiedziała się, że Darrell w rzeczywistości zdobył Brązową Gwiazdę razem z dwiema skrzynkami micheloba, włamawszy się do biura Legionu Amerykańskiego.

Chodzili przez sześć miesięcy, wzbudzając tym przerażenie matki Erin. Podsuwała córce jednego za drugim lekarzy, prawników i księgowych, dziewczyna jednak uważała ich za zbyt poważnych i zajętych sobą. Niektórzy z nich równie dobrze mogliby być jej ojcami, natomiast Darrell Grant był impulsywny, pełen dziwacznych pomysłów i potrafił ją rozśmieszyć. Wtedy ten szczegół wydawał jej się bardzo ważny. Decyzja o wyjściu za niego za mąż była nagła i gwałtowna. Erin osiągnęła w ten sposób swój cel — wyrwała się z pazurów matki.

Socjopatyczna strona osobowości Darrella Granta nie dawała o sobie znać przez jakieś osiemnaście miesięcy, aż wreszcie odrzucił wszelkie pozory uczciwej pracy i w pełni poświęcił się działalności przestępczej. Aby wyjaśnić dziwne godziny pracy i zmienne dochody, wmówił Erin, że sprzedaje wyposażenie medyczne. Jego chłopięcy wdzięk i humor zniknęły wkrótce w dramatyczny sposób pod lodowatym podwójnym czarem amfetaminy i metthaqualonu. Stawał się albo szalonym derwiszem, albo zombie, w zależności od chemicznego cyklu. Erin, która była wówczas od niedawna w ciąży, nie chciała rezygnować z małżeństwa, nie dając mu szansy na poprawę. Myśl o rozwodzie była dla niej niemal tak przerażająca jak myśl o przenikliwym „a nie mówiłam” matki.

Gdy Darrell dowiedział się, że Erin oczekuje dziecka, przysiągł, że się zmieni. Przestał brać prochy, usunął wszystkie kradzione rzeczy z garażu i podjął pracę sprzedawcy preparatu antykorozyjnego w sklepie Chryslera. Stał się nowym człowiekiem mniej więcej na miesiąc. W pewien czwartek Erin po powrocie z pracy zastała go w saloniku, pracowicie spiłującego numery seryjne z pediatrycznego fotela

inwalidzkiego. Przyłapany na gorącym uczynku, Grant wpadł we wściekłość i dwukrotnie uderzył żonę w twarz. Zabawa skończyła się gwałtownie, gdy ta trzasnęła go w grdykę, przewróciła na podłogę i wyrzuciła w jąka trzonkiem miotły. Po raz pierwszy Darrell zobaczył, że jego małżonka wpadła w furję, i zrobiło to na nim wrażenie. Od tej pory nie tknął jej nawet palcem. Zamiast tego dawał upust swoim uczuciom, niszcząc cenne dla niej przedmioty — dzieła sztuki, meble, albumy z fotografiami, ulubione ubrania. Gdy Angela przyszła na świat, małżeństwo jej rodziców rozpadło się już nieodwracalnie.

Erin nie zadreżczała się wyrzutami sumienia. Dała się nabrać i dostała nauczkę. Teraz musiała się skoncentrować na tym, żeby odebrać mu Angelę.

Czekając wraz z Shadem w samochodzie, przedstawiła swój najnowszy plan.

— A więc to pułapka — powiedział bramkarz.

— Właśnie.

— Nie przywiezie żadnych foteli dla biednych.

— Nie — odparła Erin. — Będzie próbował je ukraść.

Shad wypluł coś przez okno.

— I ty wyszłaś za mąż za takiego gnoja?

— Wszyscy popełniamy błędy.

— Czy nie czujesz nienawiści — dociekał bramkarz — gdy miłość nagle się odwraca i gryzie cię jak jakiś cholerny grzechotnik? Tak się zdarza, jak Boga kocham. Zdarza się każdego dnia.

Erin pokazała mu fotografie zmasakrowanych lalek w sypialni Angeli.

— Jezu Przenajświętszy — westchnął.

— Zależy mi tylko na mojej córce. I o to tutaj chodzi.

Shad nie odzywał się przez kilka minut. A potem zapytał Erin, czy jest zadowolona ze swojego prawnika.

— Nie mam całkowitego przekonania do mojego — dodał. — Trzeba go jakoś podkreślić.

— Mój adwokat jest w porządku — oznajmiła Erin. — To system doprowadza mnie do pasji.

— Wiesz co? — Shad lubił gawędzić z Erin na ten temat. Miał wtedy wrażenie, że są wojownikami na tym samym polu bitwy. —

Jeżeli jest coś takiego jak prawdziwa sprawiedliwość, odzyskasz swoją córeczkę, a ja wzbogacę się na moim zdechłym karaluchu.

— Byłoby fajnie — przyznała spokojnie Erin.

Samochód stał w najdalszym, najciemniejszym kącie parkingu przy pasażu handlowym w Oakland Park. Adres, który Erin podała Darrellowi Grantowi, należał do zbankrutowanej wypożyczalni wideo usytuowanej po przeciwnej stronie placu. W oknach pozostało kilka plakatów filmowych i z samochodu widać było powiększoną podobiznę Arnolda Schwarzeneggera w okularach słonecznych.

— Skąd wiesz, że się tu dzisiaj zjawi? — odezwał się Shad.

— Ponieważ powiedziałam mu, że wywożę fotele w środę rano. Będzie próbował je podpieprzyć.

— Jakiś konkretny model?

— Najbardziej ceni sobie everest-and-jennings — odparła Erin.

— Rolls i theradyny też są dobre.

Jej odpowiedź zaintrygowała Shada. Do tej pory uważał, że wszystkie fotele są właściwie takie same.

— Rolls-Royce?

Erin wyjaśniła mu, że nie, to inna firma. Wtedy zapytał ją, dlaczego jej były nie kradnie samochodów, jak wszyscy inni.

— Ponieważ nie potrafiłby spać na krótko nawet pieprzonego tosterka — odrzekła. — Samochody są zbyt skomplikowane dla Darrella Granta.

Shad ponownie splunął przez okno. Wydawało się, że celuje w określony fragment krawężnika.

— Co konkretnie mam mu zrobić, kiedy się tu zjawi?

— Działaj na wycucie — zaproponowała Erin.

— Mogę mu coś złamać. Na przykład zacząć od palca. — Bramkarz pomachał jednym ze swoich. — Wszystko zależy od tego, jak poważnie podchodzisz do sprawy.

— Chcę po prostu z nim pogadać. — Dziewczyna oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy. Pomyślała o młodym mężczyźnie pobitym do utraty przytomności na scenie „Żwawego Bobra”: czy w dalszym ciągu leży w szpitalu? Pamiętała oszalały wyraz twarzy napastnika, świszczące, zwierzęce pomruki, jakie wydawał, wykonując zamachy butelką po szampanie.

Czy to ja? — pomyślała Erin. Czy wywołuję u mężczyzn takie odruchy? Przedtem Orły, a teraz Shad proponują okaleczenie jej byłego

męża. Dla nich to zdawkowa uprzejmość, jak wymiana akumulatora w samochodzie albo podłączenie aparatury stereo.

— Kość łokciowa jest niezła — ciągnął Shad. Postukał Erin w przedramię, aby pokazać, w którym miejscu. — Łomem prosto tutaj i będzie uważnie słuchał, co mamy mu do powiedzenia.

Tancerka wyprostowała się.

— Muszę cię o coś zapytać. Czy sprawiam wrażenie kobiety, na której przemoc robi wrażenie?

Mruknął coś pod nosem.

— Pytam poważnie, Shad. Czy tak o mnie myślisz?

Przechylił potężną głowę i spojrzał na nią z zaciekawieniem. W ciemności przypominał ogolonego niedźwiedzia.

— Po prostu na tym się najlepiej wyznaję. Jak nakopać komuś do dupy. Na tym polega moja praca.

— A więc nie chodzi o mnie?

— Ha! Nie, nie o ciebie.

— Bo tego rodzaju rzeczy wcale mnie nie bawią.

— Dlaczego więc trzymasz rewolwer pod fotelem?

Erin nie przychodziła do głowy żadna przekonująca odpowiedź.

— W porządku, dziecino — uśmiechnął się Shad. — Masz do tego prawo.

— Nigdy go nie użyłam — zapewniła.

— Ale możesz. — Shad skrzyżował ramiona. — Chcę tylko powiedzieć, że przemoc bywa użyteczna. Czasami to najlepszy sposób, aby dać do zrozumienia, w czym rzecz.

— Nie z Darrellem. — Jakikolwiek obrażenia tylko by go uszczęśliwiły. Czy mógłby znaleźć lepszy dowód, że Erin trzyma z niewłaściwymi osobami i nie jest w stanie zaopiekować się Angela? Ten sprytny skurwysyn wycisnąłby ze swojej złamanej kończyny wszystko, co by się dało. Nosiłby gips, dopóki sam nie odpadłby ze starości.

— Twoja broszka — oświadczył Shad.

— Muszę z nim tylko porozmawiać.

— Doskonale.

Ale w głębi duszy Erin przez chwilę rozkoszowała się wizją Darrela Granta przerabianego przez Shada na befsztyk tatarski. Zapewne powinna się wstydzić tego uczucia, ale nic z tego.

Szczególnie gdy przypominała sobie, co zrobił z lalkami Angie.

O północy Shad poszedł poszukać automatu z colą. Erin włożyła do odtwarzacza taśmę Buffetta i puściła ją cicho. Najbardziej lubiła karaibską piosenkę. Jej wyobraźnia rozwinęła żagle i wkrótce już śniła o jasnych plażach i ukrytych przystaniach. Szła na bosaka wśród fal przypląwu, zagłębiając palce w piasku.

Gdy otworzyła oczy, jej buty zniknęły. Obydwoje drzwi starego farlaine'a były otwarte, a kiedy wyszła z samochodu, stanęła na czymś z plastyku, co z trzaskiem rozprysło się na ostre odłamki. Zgniotła leżącą na bruku taśmę Buffetta.

Erin zastygła w bezruchu.

— Shad?

Jakaś ręka schwyciła ją za włosy, wczepiła się w nie z całej siły i odchyliła gwałtownie jej głowę do tyłu tak, że widziała jedynie niebo. Poczula, jak o jej gardło opiera się coś ostrego.

— W dalszym ciągu chrapiesz jak świnia. — To był Darrell Grant.

Erin mimowolnie zadrżała. Czowała się zawstydzona, że widzi ją aż tak przerażoną.

— Nie mogę uwierzyć, że usiłowałaś mnie wystawić — powiedział. — Nie mogę uwierzyć, do kurwy nędzy.

— Co? — Erin nie poznawała brzmienia własnego głosu.

Darrell Grant uderzył ją dłonią po ustach i nakazał, żeby się zamknęła, do cholery. Oboje usłyszeli kroki.

— Twój przyjaciel — szepnął Darrell. — Będzie zabawa.

Shad wyłonił się z mroku, trzymając w jednej ręce dietetyczną colę, a w drugiej nieotwartą puszkę z napojem Canada Dry. Postawił obydwie na ziemi, gdy tylko dostrzegł długi nóż przyłożony do szyi Erin. Darrell Grant ostrzegł go jednak, żeby nie robił żadnych głupstw. W mroku nie sposób było zobaczyć wyrazu twarzy bramkarza.

— Mam pomysł — oznajmił Grant. I zaproponował Shadowi, żeby położył się na brzuchu albo poszukał kubałka na krew Erin.

Ten skinął głową i się położył. Darrell puścił byłą żonę i natychmiast skoczył na bramkarza, wbijając kolana w jego gigantyczne łopatki.

A potem, pękając ze śmiechu, zdołał skrępować przeguby Shada elastycznymi plastikowymi kajdankami.

— Daj spokój — odezwała się Erin wciąż roztrzęsionym głosem. Jej eksmałżonek oparł trzymany oburącz sztylet o podstawę nagiej

czaszki bramkarza i gładka skóra ugięła się pod naciskiem ostrza.

Erin znowu poprosiła go, aby się uspokoił, ale Darrell tylko zaśmiał się szaleńczo. Obracał rękojeść noża w dłoniach tak, że czubek ostrza wwiercał się w skórę Shada. Dziewczyna dostrzegła pierwszą, niemal czarną w mdłym świetle, kroplę krwi.

— Boli? — zapytał Grant.

— Nie — odparł zupełnie szczerze Shad. Słabo odczuwał fizyczny ból. Lekarze nie bardzo wiedzieli, dlaczego.

— Od kiedynosisz nóż? — odezwała się Erin.

— A od kiedy zadajesz się z paskudnymi łysymi Amazonkami? Grant wstał i machnął sztyletem jak mieczem. Miał szmergla na punkcie szybkości. — Przypuszczam, że twoja obecność dzisiejszego wieczoru na tym właśnie parkingu jest zwykłym zbiegiem okoliczności? *En garde!* — Zakreślił ostrzem „Z” w powietrzu. — Co, myślałaś, że jestem ślepy? Widziałem twój samochód już od trzeciej przecznicy. Erin, Jezu, ale byłby z ciebie wspaniały szpieg. Może następnym razem urządzisz pokaz ogni sztucznych?

— Dupek! — rzuciła dziewczyna.

Uśmiechnął się krzywo.

— Czy tak się wyrażają w Stowarzyszeniu Świętego Wita? To ty rozmawiałaś ze mną przez telefon, prawda? O tych nowiutkich fotelach inwalidzkich.

— Chyba zgłupiałaś.

— W takim razie wyjaśnij mi to! — Oskarżycielskim gestem wyciągnął sztylet w stronę farlaine'a. — I to! — Szturchnął Shada czubkiem brązowego kowbojskiego buta. — Wystawiłaś mnie, do kurwy nędzy!

— Darrell, wszystko zapamiętam — ostrzegła Erin. — Napaść z bronią zagrażająca życiu, pozbawienie wolności osobistej, włamanie, posiadanie narkotyków...

— Zamknij się! — warknął. — Chcesz, żebym uwierzył, że ty i ten Igor zatrzymaliście się tu na bara-bara? Wiem, że jesteś samotna, Erin, ale to przecież śmieszne. Nawet iguany są przystojniejsze od niego.

Pomyślała o rewolwerze w samochodzie i ile kroków dzieli ją od fotela kierowcy. A potem zrezygnowała z tego pomysłu. Zastrzelenie

Darrella oznaczałoby, że nigdy więcej nie zobaczy Angie. Sędzia już tego dopilnuje.

— Juniorze? — kątem ust odezwał się Shad. Leżał twarzą na asfalcie i nie miał innego wyjścia. — Juniorze, posłuchaj. Ta pani i ja pracujemy razem. Podwoziła mnie do domu, kiedy przegrzała się ta kupa gówna udająca forda. Zatrzymaliśmy się więc, aby ostudzić chłodnicę, i to wszystko. Tak wygląda cała sytuacja.

Darrell Grant kucnął i pociągnął Shada za nos.

— O rany, niech mnie licho. To mówi.

Cudowne prochy, pomyślała Erin.

— Co się stało z twoimi włosami? — zapytała i Darrell zaperzył się, słysząc jej ironiczny ton. Jak na człowieka, który zawodowo okradał inwalidów, był zaskakująco prózny w sprawach dotyczących swojego wyglądu.

— Trochę je rozjaśniłem — oświadczył. — Bo co?

— I ten zarost — dodała Erin. — No, no, daj popatrzeć.

— Nie ma mowy. — Wstał, urażony.

— Czy jesteś na etapie Dona Johnsona?

— Zamknij się, Erin!

Próbowała odwrócić jego uwagę od Shada i dalszych zabaw z nożem.

— Założę się, że kupięś sobie do kompletu białego płóciennego Armaniego.

— Pieprz się! — warknął Darrell. Gdy schował sztylet za pasek, Erin poczuła się nieco pewniej. Miała nadzieję, że jej były małżonek zajmie się teraz zwykłą sprzeczką.

Ale Grant stanął nagle na głowie Shada, wbijając w nią obcasы butów.

— Zejdz! — krzyknęła.

— Zmuś mnie.

— Darrell, przestań!

Shad nie wydał żadnego dźwięku. Erin nie była pewna, czy jest jeszcze przytomny.

— Tu mi się podoba — zaświergotał radośnie Grant. Balansował na czaszce Shada, jakby to był pień drzewa.

— Nie rób tego! — błagała go Erin.

— A ile jest dla ciebie wart? Dwudziestkę?

Erin popatrzyła na twarz bramkarza tkwiącą pod butami Granta. Oczy miał zamknięte, lecz mięśnie szczęki były napięte.

— Dwadzieścia doliców! — warknął Darrell. — Szybko, szybko!

Wrzucił jej torebkę pod samochód i teraz musiała się tam po nią wczłogać. Grant zachichotał szyderczo, patrząc, jak gramoli się na czworakach.

— To mi się podoba — powiedział. — Wracają wspomnienia.

Erin mechanicznie grzebała w torebce, szukając pieniędzy.

Znalazła dwudziestodolarowy banknot i podała go eksmężowi. Powąchał go, jakby była to lampka koniaku.

— Niesamowite — oznajmił. — Pokazujesz tylko swoją cipę i faceci rzucają ci forszę. Czyż to nie wspaniały kraj, Erin? Czy nie czujesz się dumna, że jesteś Amerykanką?

W tej chwili jedyną osobą, której nienawidziła bardziej od Darrella Granta, była ona sama. Za to, że wyszła za niego za męża.

— Zejdź z tego człowieka — poleciła lodowatym tonem.

Darrell zeskoczył z głowy Shada.

— Gdzie jest Angie?

— Cała i zdrowa — odparł. — Jeżeli będziesz grzeczną mamuszką, pozwolę jej zadzwonić do ciebie w Boże Narodzenie.

— Wrócimy do sądu. — Głos Erin drżał. — Pogwałciłeś nakaz sędziego.

— Z powrotem do sądu! — Ryk Darrella przeszył noc. — Z powrotem do sądu! Uwielbiam to.

— Co się z tobą stało, Darrell? — Naprawdę chciała wiedzieć. Był jeszcze gorszy niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni.

Wyszarpnęła nóż zza paska i pochylił się nad Shadem. Przez chwilę Erin obawiała się, że chce mu poderżnąć gardło, i wyobraziła sobie, jak rzuca się na plecy Darrella, wbijając mu paznokcie w oczy.

— Nie rób tego! — ostrzegła.

— Czego?

Trzymając sztylet jak pióro, Grant wesoło nakreślił literę „G” na czubku głowy Shada. Krew zaczęła spływać strumykami, tworząc maleńkie kałuże w fałdach mięśni u podstawy czaszki. Erin poczuła zawrót głowy i zrobiło jej się zimno. Bramkarz w dalszym ciągu się nie odzywał, ale oczy miał otwarte.

— Proszę! — Darrell Grant wstał i zaczął podziwiał swoje dzieło.



- Co chciałeś tym udowodnić? — zapytała Erin.
- Nie wracamy do sądu.
- Mylisz się, Darrell.
- Wygrałem, kochanie. Zdobyłem wszystkie kulki, pamiętasz?
- A co zrobiłeś z moimi butami?

Znowu rozległ się przeraźliwy śmiech.

- Obudź się, Dorotko. Już nie jesteś w Kansas!

A potem obszedł samochód Erin, przebijając po kolei każdą oponę pchnięciem noża. Następnie kopnął obie puszkami z napojami i wielkimi susami pobiegł przez parking. Gdy zniknął w ciemności, Erin słyszała, jak śpiewa *Somewhere Over the Rainbow*.

Leżący u jej stóp Shad przewrócił się na wznak i zamrugał, patrząc w gwiazdy.

- Miły facet — oznajmił. — Szkoda, że się wam nie, ułożyło.

## 7.

Następnego wieczoru Erin tańczyła pod muzykę ZZ Top. W swojej kolekcji płyt nie miała pierwszego albumu tego zespołu, w związku z czym kupiła nowsze nagrania. Kevin, klubowy disc jockey, z uznaniem przyjął mocną gitarę i szybki rytm basów. Stali klienci klubu raczej nie mieli nic przeciwko zmianie tempa.

Mężczyzny, którego nazywano Pan Oczko, nie było na sali. Erin obawiała się, że Shad wypłoszył go ze „Żwawego Bobra” na zawsze. Albo być może facet dał sobie spokój z jej podrywaniem.

Tyle jeżeli chodzi o miłość.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi Jerry Killian stał się dla Erin słomką nadziei w jej walce o Angelę. Załatwienie czegokolwiek z Darrellem Grantem było wykluczone, ale może Killian zdołałby dotrzeć do sędziego. Może właśnie polityczne naciski były jakimś sposobem. Erin musiała dowiedzieć się czegoś więcej o kongresmanie, który był łącznikiem Killiana.

Na początek jego nazwisko.

Tańczyła poza światłem reflektorów wystarczająco długo, aby osłonić oczy i przyjrzeć się tylnym rzędom. Sędzia znajdował się w tej samej łoży co zwykle, niedaleko automatów do gry. Monique Sr stała na blacie stołu, wyginając się jak palma w czasie burzy. Siedział nieruchomo, patrząc na nią szklanymi oczyma. Erin domyśliła się, że jego ręce pod stołem są bardzo zajęte.

Po zakończeniu numeru pan Orly zjawił się w garderobie i oznajmił, że akceptuje nową muzykę.

— Im szybsza, tym lepsza — powiedział.

Urbana Sprawł orzekła, że ZZ Top jest niebezpieczny dla zdrowia.

— Cycki mnie bolą jak diabli — stwierdziła.

— Hej — zganil ją pan Orly. — Mamy już dosyć tego rapowego gówna. Ice Puke czy jak im tam.

— Ice Cube! \*

\* Gra słów: *Ice Cube* — kostka lodu, *Ice Puke* — lodowy rzyg (przyp. tłum.).

— W kwestii formalnej: możesz wytrzymać osiem minut hard rocka.

— Tylko patrzeć, jak będę miała rozstępy — narzekała Urbana.

— Znajdę jakieś wolniejsze kawałki — zaproponowała Erin.

— O, nie! — zaprotestował pan Orly. — Szybkie są dobre. Wszyscy się pocą, wszyscy piją.

— I wszyscy dają napiwki — dorzuciła Monique Sr, wymachując pięćdziesiątką. Pozostałe tancerki zagwizdały z podziwem.

— Sprawa zamknięta — oświadczył Orly i zniknął.

Gdy program wreszcie dobiegł końca, Erin zmyła szybko makijaż i się ubrała. Urbana zapytała, dlaczego tak się spieszy.

— Mam sprawę do załatwienia.

— O trzeciej w nocy?

— Jestem z kimś umówiona.

— Obiecay mi, że nie z Darrellem. — Urbana i wszystkie inne dziewczyny wiedziały o koszmarnym wydarzeniu przy samochodzie Erin. Widziały również cięcia sztyletu na łysinie Shada.

— Nie martw się — uspokoila ją Erin. — To tylko Jerry Killian. — Zapięła zamek błyskawiczny džinsów i włożyła sandaalki.

— Pan Oczko? — zdziwiła się Monique Jr. — Dlaczego?

— Żeby porozmawiać.

— Fatalny pomysł — uznała Monique Sr.

— Trudno o lepszy o trzeciej w nocy. — Erin obejrzała swoje odbicie w lustrze. — Drastyczne sytuacje wymagają drastycznych metod.

— Bądź cierpliwa — poradziła Urbana Sprawł. — Wróci. Zwłaszcza jeżeli będziesz tańczyła jego piosenkę.

— Nie mogę czekać — oznajmiła Erin.

- W jaki sposób zamierzasz go znaleźć?
- Już go znalazłam.
- Książka telefoniczna — uśmiechnęła się Urbana.
- Nic z tego — odparła Erin. — Niezamieszczony, zastrzeżony.
- Jakim cudem zdobyłaś jego adres?

— Badania — wyjaśniła tajemniczo Erin. Nie mogła powiedzieć im prawdy. Jeden jej telefon wysłał agenta Cleary'ego do klawiatury komputera. Cleary ucieszył się, że może jej pomóc, i nie zadawał żadnych pytań. W dalszym ciągu czuł się nieswojo z powodu jej zwolnienia.

Monique Jr skonstatowała, że wizyta u Pana Oczko w środku nocy jest zupełnym szaleństwem.

- Przecież równie dobrze może być świrem albo jakimś sadystą.
- Och, uważam, że jest niegroźny.
- To samo mówili o Tedzie Bundym.

— Dziękuję — mruknęła Erin, biorąc torebkę i kostium do występów — za podniesienie mnie na duchu.

Bez specjalnego wysiłku Urbana Sprawł zagroziła jej drogę do drzwi.

- Daj mu czas do weekendu — zaproponowała.

Erin poczuła ogarniające ją zmęczenie. Brakowało jej już siły na przekonywanie dziewczyn. One miały rację. To było szaleństwo.

- Cierpliwości — uspokajała ją Urbana.

— Do weekendu — obiecała Erin. — Jeżeli wytrzymasz tyle czasu nową muzykę.

Monique Jr oznajmiła, że ZZ Top jest dynamitem i że nie będzie już nigdy tańczyła pod rap. Jako kostium do *Sharp-Dressed Man* chciała mieć biały cylinder i frak.

Marszcząc brwi, Urbana uniosła w dłoniach swoje gigantyczne piersi.

— Gdybyś musiała skakać z takimi zderzakami, zobaczyłabyś, co to znaczy. A więc wypchajcie się waszym ZZ Topem i dajcie mi wolny Ice Cube.

Erin okazała jej współczucie. Fakt, że nie mogła sobie wyobrazić, jak można iść przez życie z tak wielkim biustem. Żadna z tancerek nie wątpiła, że prawdziwa jest pogłoska, jakoby Urbana przyduśiła nim kiedyś faceta. Brzmiało to zupełnie prawdopodobnie.

- Do zobaczenia jutro — pożegnała się z przyjaciółkami Erin.

— Wracasz do domu? — zapytała Monique Sr. — Ale szczerze.

— Do domu — potwierdziła Erin.

Shad pojechał za nią swoim samochodem. Po prostu, żeby się upewnić.

Moldowsky zastał kongresmana w trakcie masażu. Rudowłosa kobieta w złocistym kostiumie klęczała nad nim okrakiem, uderzając kantami dłoni w jego blade łopatki. Miała jak na manikiurzystkę bardzo długie paznokcie.

— Przywitaj się z Eve. — Słowa Dilbecka rozbrzmiewały komicznym pogłosem przy każdym uderzeniu.

— Halo, Eve — powiedział Moldowsky. — Musimy przez chwilkę pogadać na osobności. Nie masz nic przeciwko temu?

Eve odparła, że nie, nie ma sprawy. Mówiła z lekką brytyjską wymową.

— Wskakuj pod prysznic — zaproponował jej Dilbeck. — Będę tam za minutkę.

Gdy wyszła z pokoju, Moldowsky zapytał:

— Davidzie, gdzie jest twoja żona?

— Sądzę, że na zakupach.

— Sądziysz?

— Tak, na zakupach. Poleciałem Pierre'owi, żeby jechał wolno.

— Jesteś beznadziejnym fiutem — stwierdził Moldowsky.

Kongresman usiadł i okrył się ręcznikiem.

— Co ja takiego znowu zrobiłem, Malcolmie? Do cholery, zachowujesz się jak moja matka.

Usłyszeli szum wody w kabinie prysznicza w głębi korytarza. Moldy wskazał w tę stronę gestem głowy.

— Czy ona jest dziwką?

— Jeszcze nie wiem — odparł Dilbeck. A nawet jeżeli, to co? Nie ma zielonego pojęcia, kim jestem, Malcolmie. Właśnie przyjechała tu z Londynu.

— Cudownie. Dłonie ponad wodą.

— Co w ciebie wstąpiło?

— Ustawa cukrowa. Twoi koledzy ostro pogrywają i moi klienci są poważnie zaniepokojeni. Chcą się dowiedzieć, czy nie postawili swoich pieniędzy na niewłaściwego konia.

— Wyluzuj się. Dziś wieczorem podejmuję młodego Christophe-  
ra.

Wyluzować się? — pomyślał Moldowsky. Ten bałwan ma kurwę w  
wannie, ofiarę napaści w szpitalu i szantażystę na karku, który gotów  
jest pójść do gazet.

— Rozmawiałeś z sędzią? — zapytał.

Dilbeck skinął głową.

— Tak, byliśmy na lunchu.

— I co?

— Wyraził wdzięczność za okazanie zainteresowania jego karie-  
rą. Jak powiedziałaś, serce ciągnie go do sądu federalnego. — Dilbeck  
wstał i poprawił ręcznik. Tęsknie spojrzął w głąb korytarza, skąd do-  
biegał delikatny plusk prysznic.

— A co z Grant kontra Grant? — dociekał Moldowsky.

— Och, omówiliśmy tę sprawę. — Kongresman zaczął wędrować  
po pokoju, starając się znaleźć po zawietrznej wody kolońskiej Mo-  
ldy'ego. — Sędzia jest głęboko religijnym człowiekiem — oświadczył.  
— Albo przynajmniej takiego udaje.

— Powtórnie urodzony, jak sądzę?

— Kilkakrotnie. Jest głęboko przekonany, że podjął słuszną de-  
cyzję w sprawie opieki. Mam wrażenie, że jest osobiście zaintereso-  
wany tą sprawą.

— To prawda — przytaknęła Moldowsky.

— Stwierdził, że matka jest ladacnicą. — Czy to też prawda,  
Malcolmie?

— Nie mam pojęcia.

— Jest coś, o czym mnie nie informujesz.

— O bardzo wielu rzeczach cię nie informuję, Davidzie.

— Mam słabość do ladacnic.

— Nawet o tym nie myśl. — Moldy z zasady nic nie mówił Dil-  
beckowi. Im mniej kongresman wiedział, tym lepiej. — No i na czym  
stało?

— On mnie nie potrzebuje, Malcolmie. Gra w golfa z pieprzonym  
senatorem.

Moldowsky zaklął z przygnębieniem.

— ...senatorem z komitetu sądowiczego. Gdy pojawi się najbliż-  
szy wakat z naszego okręgu, sędzia ma go jak w banku. Nie potrzebu-  
je nas, powtarzam.

— A więc nie załatwi sprawy — rzekł Malcolm J. — Nawet przez uprzejmość.

— „Ta kobieta jest dziwką i grzesznicą. Nie może wychowywać dziecka”. Tak brzmiały jego słowa, Malcolmie. Cytował także Biblię.

— To fatalna wiadomość.

— Tak — przyznał Dilbeck. — Trudno uznać ten lunch za udany.

Moldowsky z irytacją uderzył pięścią o pięść.

— Nie pójdzie na łapówkę? Bezpośrednią forszę?

— To się kłóci z jego zasadami — wyjaśnił David Dilbeck. — Ale nie ma nic przeciwko obciążeniu druta za friko.

Na szyi Moldowsky'ego zaczęła pulsować żyłka.

— Sprawdźmy, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Jeżeli ta pani zrobi dobrze sędziemu, otrzyma opiekę nad swoim dzieckiem...?

— Obiecał, że rozważy sprawę. To wszystko.

— Wiesz, co ci powiem, Davidzie. Jesteś niezwykłym negocjatorem. Tylko cię brakowało przy tych cholernych rozmowach SALT.

— Moldy zaczął spacerować wściekle z kąta w kąt. — Co to za pieprzony sędzia? Cytuje Biblię. Jaką? Księgę Fiuta?

— Hej — zaprotestował kongresman. — Przecież mówimy o jednym głupim daniu loda.

Moldowsky zagonił go w kąt i schwycił za ramiona.

— Killian na to nie pójdzie. Matka dziecka też nie. Do diabła, Davey, nie mam żadnej moralności, ale nawet ja bym nie poszedł na taki układ. To najwredniejsza rzecz, o jakiej w życiu słyszałem.

Opary wody kolońskiej Moldy'ego sprawiały, że kongresmanowi zaczęły łzawić oczy.

— Sędzia nie weźmie szmalu, Malcolmie. Próbowałem.

— To haniebne.

— Nawet za jego kampanię — dodał Dilbeck. — Proponowałem, że przepchnę ją przez PAC, ale odmówił. Rozumiesz, dlatego właśnie stara się o federalny stołek, żeby nie kandydować więcej na swoje obecne stanowisko. Ma bardzo paskudną opinię o politykach.

Hydraulika wydała metaliczny zgrzyt, gdy przysznic przestał działać. Na ten odgłos kongresman odwrócił się gwałtownie. Na jego twarzy pojawił się znajomy nieprzytomny wyraz seksualnego szaleństwa.

— Jesteś beznadziejny — burknął Moldowsky.

- Co? — Dilbeck oblizwał dolną wargę.
- Powiedziałem, że jesteś beznadziejny. Idź sprawdzić, co się dzieje z twoją przyjaciółką. Wyjdę sam.
- Dziękuję, Malcolmie.
- I staraj się nie narobić kłopotów dzisiaj wieczorem.
- Oczywiście — zapewnił kongresman. — Będzie ze mną Erb.
- Doskonale — rzekł Moldy. Erb Crandall był dobry, ale był sam. A w niektóre wieczory Dilbeck wymagał wzmożonej opieki.

Gdy Moldowsky szedł korytarzem, drzwi do łazienki otworzyły się gwałtownie i otoczyła go gęsta chmura aromatycznej pary. Stała w niej Eve, szczupła, mokra i z zaróżowionymi policzkami. Jeżeli Moldy był choć trochę oszołomiony, nie dał tego po sobie poznać. Uprzejmie odsunął się na bok i gestem poprosił ją, żeby przeszła.

- Masz mydło w uszach — zauważył.

Niecałe dwie godziny później kongresman David Lane Dilbeck był klasycznym przykładem męskiego zadowolenia i zrelaksowania. Uśmiechał się, puszczał kółka z dymu, stepował obcasami, pomrukiwał w rytm muzyki. Świeży rum z colą zmaterializował się w odległości kilku centymetrów od jego palców, dodatkowo poprawiając mu nastrój, po jego prawej ręce siedział zaniepokojony, skulony Erb Crandall, trzymając w dłoni szklanekę soku pomarańczowego. Co chwila zerkał w stronę drzwi, lada moment spodziewając się policyjnego nalotu. Siedzący z lewej strony kongresmana mężczyzna, który nazywał się Christopher Rojo, złożył pięćdziesięciodolarowy banknot w gołębia i puścił go w kierunku sceny, na której kobieta tańczyła ostrożnie z dwuipółmetrowym pytonem birmańskim. Szczęki gada owinięte były taśmą klejącą i ktoś namalował mu na pysku wąsiki. Erb Crandall domyślał się, że miała to być żartobliwa aluzja do Hitlera.

— Czyż to nie wspaniałe? — zapytał Dilbeck. — Czyż ona nie jest niezwykła, Erb? A co powiesz o tym cholernym wężu?

- Tak — odparł Crandall. — Co za życie.

Kobieta, która posługiwała się scenicznym pseudonimem Lorelei, ułożyła pytona w zadziwiający sposób. Ogon węża opadał w dół przedziałkiem między pośladkami, a potem przechodził pomiędzy nogami na wznórek łonowy.



— Doskonale wytresowane zwierzę — stwierdził kongresman.

Christopher Rojo również był pod wrażeniem. Teraz robił następny samolocik ze studolarowego banknotu. Rojo był bogatym młodym człowiekiem z niewielkimi ambicjami i mnóstwem wolnego czasu. Jego rodzina miała ogromną plantację trzciny cukrowej na południowym brzegu jeziora Okeechobee, ale Christopher nigdy jeszcze tam nie był. Oglądał jednak fotografie. Plantacja wyglądała na śmierdzącą dziurę, był więc zaskoczony, że przynosi taką fortunę. Rojo miał takie pieniądze, że nie mógł właściwie ich wydać. A Bóg świadkiem, że bardzo się starał.

— Bierz, Davey — powiedział. — Twoja kolej.

Dilbeck wziął papierowy samolocik i rzucił go w stronę tancerki z pytonem. Kiedy wylądował między jej stopami, puściła oko do obu mężczyzn i zrobiła elegancki szpagat. Podniosła pieniądze i udała, że pokazuje je pytonowi. Kongresman śmiał się do rozpuku. Lorelei zgrabnie wstała, pomachała ręką i zniknęła za kulisami. Występ się skończył.

Erb Crandall oklapnął z ulgą. Może uda się przebrnąć przez ten wieczór bez żadnego incydentu.

— Na ile stawiasz? — zapytał Rojo Dilbecka.

Polityk z namysłem wypił łyk rumu.

— Trzydzieści osiem B — oznajmił. — Całkowicie naturalne.

— A ja — rzekł Rojo, wymachując banknotami — twierdząc, że ma osiemdziesiąt centymetrów plastyku-fantastyku. — Wyglądził pięćdziesięciodolarowy banknot na blacie stołu i David Dilbeck zrobił tak samo. Odwrócili się do Crandalla, który dał znak, że nie bierze udziału w zakładzie. Zajmowali się tym cały wieczór, za każdym razem, gdy na scenie pojawiła się nowa tancerka. Każdy zakład dotyczył wymiarów piersi i czy są chirurgicznie modelowane.

Rojo przegrywał z kretesem i Crandalla wcale ten fakt nie dziwił.

Kongresman miał bezbłędne oko, jeżeli chodziło o kobiece kształty.

Była to jego życiowa pasja, której tylko niewiele ustępowała miłość do łapówek.

Rojo wstał, chwycąc się na nogach, i zawołał mężczyznę o imieniu Ling. Wkrótce przy stoliku pojawił się niewielki Azjata w czarnym smokingu i czapeczce baseballowej jankesów. W niczym nie przypominał współwłaściciela klubu ze striptizem, ale nim był.

— Panie Ling! —zawołał Rojo, otwierając szeroko ramiona. — Niech nam pan udzieli informacji na temat Pytoniej Damy.

— Ma na imię Lorelei — wtrącił się Dilbeck. — Okaż choć trochę szacunku.

Rojo usiadł, a kongresman wskazał leżące na stole pieniądze.

— Panie Ling — oświadczył. — Widzi pan, jaka jest stawka.

Ling pokiwał wyrozumiale głową.

— Chodzi o parametry jej zderzaków?

— W samej rzeczy.

— Panna Lorelei ma trzydzieści osiem B.

— Ha! — krzyknął tryumfalnie Dilbeck.

Schwycił pieniądze, lecz Christopher Rojo złapał go za rękę.

— Sztuczne! — syknął młody człowiek. — Niech mu pan powie, panie Ling. Niech mu pan powie, że to wstawki, i podzielimy forszę.

— Nie, proszę pana — odparł Ling. — Lorelei jest w całości Lorelei.

— *Mierda* — zaklął Rojo.

Kongresman z dumną miną zgarnął pieniądze.

— W „Różowej Farmie” tylko najlepsze. Tylko najdoskonalsze — zapewnił Ling.

— Sama śmietanka — przyznał Dilbeck.

— Gdzież indziej zobaczycie panowie takiego wielkiego węża? — przechwalał się Azjata. — Taki wąż mógłby zjeść kucyka.

— Założę się, że tak samo Lorelei. — Kongresman zachichotał z własnego niewiarygodnego dowcipu. Ale nie był to lekki, przelotny chichot, lecz głęboki, groźny pomruk. Erb Crandall „stał się nagle bardzo czujny.

— Davey, robi się późno — oznajmił.

— Bzdura. — Polityk zapalił papierosa. — Panie Ling, chciałbym się spotkać z tą pytonią księżniczką.

— Ja też — dodał Christopher Rojo.

Właściciel lokalu wzruszył ramionami.

— Z wężem czy bez?

— Bez — rzekł Dilbeck. — Powiedz jej pan, że mam własnego.

Rojo ryknął na całe gardło. Erb Crandall poprawił się niespokojnie w krześle. Na pewno nie był to dobry pomysł.

— Daj spokój, Davey — uspokajał. — Masz przemawiać jutro rano.

Kongresman przybrał kretyńską pozę.

— Cztery tuziny i siedem lat temu z naszych napletków powstał nowy naród...

Crandall nie uśmiechnął się.

— Dobra, Erb — ustąpił nieco Dilbeck. — Gdzie, u diabła, mam przemawiać?

— W Izbie Handlowej.

— Kurwa! — Polityk klepnął Roja po ramieniu. — Chris, w życiu nie widziałeś takich sztywniaków. Powinna nazywać się Izbą Prosektoryjną.

— Mimo wszystko — upierał się Crandall — twoje wystąpienie jest przewidziane dokładnie na siódmą trzydzieści.

— Dostarczymy go tam — obiecał młodzieniec.

— A więc — zapytał nieco zniecierpliwiony Ling — chcecie panowie taniec pełnokontaktowy czy nie?

Dilbeck rozłożył ramiona.

— Brzmi to czarująco, bracie Ling. Idź sprowadzić tę jak jej tam...

— Pannę Lorelei?

— Absolutnie.

Crandall przysunął się do Dilbecka i zaczął mu coś stanowczo perswadować prosto do ucha. Kongresman kręcił głową, przez cały czas nie odejmując szklanki od ust.

— Jedna małutka kontaktowa lambada — upierał się siorbiąc. — W czym może mi zaszkodzić?

— Tak — poparł go Rojo. — Pozwól biedakowi się zabawić.

Dalsze protesty byłyby bezcelowe. Crandall zebrał ze stołu wszystkie puste butelki i potencjalnie niebezpieczne przedmioty. Potem wykonał wolną rundę po klubie, żeby przekonać się, czy nie ma kogoś znajomego. Nie martwił się prasą, ponieważ reporterzy nie zarabiali dość dużo, aby kręcić się po takich lokalach jak „Różowa Farma”. Erb Crandall obawiał się republikanów. Wystarczyłby jeden szpiegujący gdzieś z ciemnego kąta i czcigodny David Lane Dilbeck byłby ugotowany. Kretyńska peruka i ciemne okulary sprawiały, że wyglądał jeszcze bardziej podejrzanie, a czapka szofera, którą pożyczyl od Pierre'a, była przynajmniej o trzy numery za mała. Nieustannie mu spadała, toteż Dilbeck przypiął ją do peruki. Za każdym razem gdy poruszała się czapka, wraz z nią wędrowała do góry peruka.

Ale nawet Christopher Rojo zdawał się tego nie zauważać. Drobny problem Dilbecka był tylko jego problemem — goście w lokalach z gołymi panienkami nie tracili czasu na przyglądanie się sobie nawzajem. Tancerki całkowicie pochłaniały ich uwagę.

Tego wieczoru klub był wypełniony ledwo w połowie i Crandall nie spostrzegł żadnego przedstawiciela cudownego świata polityki. Gdy wrócił do stolika, krzesło kongresmana było puste. Rojo wskazał mu dalszą część klubu, gdzie wzdłuż jednej ze ścian znajdował się rząd pozłacanych kabinek. Były one zarezerwowane dla pełnokontaktowego tańca i innych prywatnych rozrywek.

— Wsunąłem mu dwie setki — wyjaśnił Rojo. — Chciał trzy, lecz dałem dwie. — Wystarczy.

Crandall usiadł i spojrzął na zegarek. Daruje Dilbeckowi dziesięć minut.

— Człowieku, ale jestem zmęczony — oznajmił Rojo. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął mały foliowy pakiecik. — Chcesz niucha?

Erb poczuł, że opadają mu ręce.

— Cudownie, Chris. Cóż za wspaniały pomysł. Czy mogę? — Rozwinął pakiecik i przyjrzał się proszkowi. Młodzieniec uśmiechnął się zachęcająco. Crandall odpowiedział mu uśmiechem.

A potem zebrał w ustach ślinę i wypluł ją w całości na prochy Christophera Rojo.

— Jezu! — krzyknął młody człowiek.

Crandall podsunął mu pakiecik.

— Pozbądź się tego — rozkazał — kiedy będziesz wychodził.

— Ty zwariowany sukinsynu!

— Chris, posłuchaj. Jeżeli nie znikniesz w ciągu trzydziestu sekund, doniosę o tym twojemu staremu. To pierwsze, co zrobię, *mañana*.

Rojo zobaczył, jak rodzinne fundusze wyparowują mu sprzed samego nosa. Pospiesznie owinął zmoczoną śliną kokainę w chusteczkę z monogramem.

— Proszę — zwrócił się do Crandalla. — Jesteś zadowolony?

— Powiedziałem, spadaj.

— A co z moją kolejką?

Crandall nie zrozumiał jego pojękiwania.

- Z węzową damą, Erb. Jestem następny w kolejce po Daveyu!
- Przelóż imprezę na później — polecił mu sekretarz kongresmana. Po czym wstał i wyruszył na poszukiwanie Dilbecka.

Nic tak nie odwracało uwagi Davida Dilbecka od kłopotów jak pełnokontaktowy taniec. Głosowanie w sprawie cukru, reelekcja, żona, szantaż — kogo to obchodzi? Był sam na sam z pytonią księżniczką i kołysali się w rytm nuconych melodii Johnny'ego Mathisa. Kongresman opierał dłonie na pośladkach Lorelei, która ocierała swoje rozkosznie naturalne wypukłości o jego zwiotczały tors faceta w średnim wieku. Jej głos brzmiał słodko i szczerze, a włosy pachniały jak orchidee. Dilbeck poczuł, że sztywnieje. Życie było piękne.

Gdy spróbował rozpiąć stanik Lorelei, zablokowała jego ruch.

- Niu, niu — szepnęła.
- Co?
- Takie jest prawo, dziecinko.
- Nie przejmuj się tym — poradził.
- Posłuchaj, jeżeli chcesz wolny numer, nie mogę być naga. Takie jest prawo. Jeżeli jestem naga, nie możesz mnie nigdzie dotykać.

Dilbeck miał bardzo mgliste pojęcie o przepisach hrabstwa dotyczących nieprzyzwoitego zachowania.

— Przykro mi, dziecinko — stwierdziła Lorelei i węzowym ruchem otarła się o niego biodrami. — To nie jest takie złe, prawda? — Przycisnęła go do drzwi kabinki.

- Mam pomysł — rzekł Dilbeck.
- Tak?
- A może rozebrałabyś się do połowy? Wtedy będę mógł dotykać cię tam, gdzie jesteś ubrana.

— Miły pomysł — odparła Lorelei — ale albo wszystko, albo nic.

Tańczyli więc w dalszym ciągu do momentu, aż Dilbeck poczuł, że szturcha ją przez spodnie.

- A co zrobimy z n i m ? — zapytał cicho.
- Będziemy go podziwiać — oznajmiła tancerka — lecz nic poza tym.

Kongresman z niepokieszoną miną spojrział na swoje podbrzusze.

— Posłuchaj — powiedziała — przecież możesz być gliniarzem. Skąd mam wiedzieć?

Zerwał z głowy czapkę razem z peruką i okazał pytoniej damie swoje prawdziwe oblicze.

— Nie jestem policjantem. Jestem członkiem Kongresu Stanów Zjednoczonych.

— Tak, a ja jestem Glorią Steinem.

Zachowanie Lorelei uświadomiło Dilbeckowi, że taniec wkrótce dobiegnie końca.

— Ile mamy jeszcze czasu? — spytał.

— Mniej więcej czterdzieści pięć sekund, dziecinko.

Kongresman szybko rozpiął koszulę i położył się na plecach.

Lorelei spojrzała na niego niepewnie.

— Zatańcz na mnie — poprosił.

— Za ile?

— Dwieście zielonych.

— Na obcasach, czy na bosaka?

— Jedna noga tak, a druga tak — poinstruował, zamykając oczy.

Lorelei ostrożnie stanęła na jego torsie.

— Co to za blizna?

— Podwójny bajpas — mruknął. — Nie przejmuj się. Jestem jak nowy. A teraz tańcz, proszę.

— Jezu — jęknęła tancerka.

— O, tak. Dobra dziewczynka.

— Powiedz mi, jeżeli będzie bolało.

— Powiem, jeżeli nie będzie — odparł.

Nielatwa jej było utrzymać równowagę ze względu na gąbczastą i nierówną topografię Dilbecka.

— Masz cudowny talent — stwierdził kongresman, pojękując rozkosznie pod jej ciężarem. Jego dłonie jak pajęczki wędrowały w stronę własnego podbrzusza.

— O nie, tylko nie to. — Lorelei nastąpiła na jego przeguby. — Nie wolno.

— Puść, mamuśku.

— Jeżeli chcesz się bawić ze sobą, idź do domu i rób, co chcesz.

David Dilbeck krzyknął tylko raz. Następnie rozległa się seria

mokrych, chlupoczących dźwięków. A potem kongresman zaczął miotać się epileptycznie pod zaskoczoną dziewczyną, kopiając sztywnymi nogami i przewracając szaleńczo wytrzeszczonymi oczami.

Lorelei bała się zdjąć stopy z jego rąk i w duchu przeklinała, że nie wzięła forszy z góry. Jeżeli ten dupek wyciągnie kopyta, będzie musiała przeszukać mu kieszenie.

Dilbeck zaczął podskakiwać jak pod wpływem elektrowstrząsów. Żeby nie upaść, tancerka zapała się ramionami w ścianę kabinki. Nagle drzwi się otworzyły i jakiś obcy facet złapał ją pod pachy. Wyніósł na zewnątrz i zapytał, czy nie jest ranna. Powiedziała, że w środku został jej pantofelek. Mężczyzna odparł, że w tej sytuacji pewnie nie zechce go nosić, i podał jej trzysta dolarów.

— Dzięki — odparła Lorelei. — Nic mu nie będzie?

— Niech się pani nie martwi.

Kiedy składała pieniądze, jej ręce się trzęsły.

— Wie pan, co mi powiedział? Że jest kongresmanem.

Erb Crandall roześmiał się.

— Niektórzy faceci próbują wszystkich sposobów. — Sięgnął do kieszeni po następną setkę.

## 8.

Nazajutrz Malcolm Moldowski wykonał telefon. Spotkanie miało się odbyć w klubie kręglarskim na Sunrise Boulevard.

— Bierz pan pierwszy lepszy tor — powiedział mężczyzna. — To Wieczór Ligowy.

Moldowski miał tak małe stopy, że musiał pożyczyć damskie buty. Wziął czteroipółkilogramową kulę i chusteczką z monogramem próbował wyczyścić pełne flory bakteryjnej otwory na palce. Zmusił się, by nie myśleć, kto przed nim dotykał kuli.

Grał samotnie przez godzinę, aż pojawił się mężczyzna. Był wielki jak beczka do wina i miał na sobie brązową koszulę UPS. Spojrzał na wyniki Moldowsky'ego i ocenił:

— Nieźle.

— Oszukiwałem — przyznał Moldy, ciskając kulę. Przewrócił ogółem najwyżej czterdzieści kręgli, ale na tablicy wyników przyznał sobie sto sześćdziesiąt cztery punkty.

Mężczyzna włożył buty do kręgli i zaczął rzucać.

— Wybrał pan dobry tor — pochwalił Moldowsky'ego.

Podeszła kelnerka i przybysz odesłał ją gestem ręki. Moldowsky podał mu grubą brązową kopertę.

— Wszystko tu jest — powiedział. — Bilety również. Niech pan sam sprawdzi.

— O nie — odparł kręglarz. — Nie obchodzi mnie, co jest w środku. Jestem tylko posłańcem.



Rzucił podkreconą kulę, która pozostawiła kombinację siedem – dziesięć.

— Jest pan graczem? — zapytał Malcolma J. — Chwileczkę, głupio pytam. Oczywiście, że tak. W przeciwnym razie nie chciałby się pan w to bawić.

— Dobry wniosek.

— Stawiam pięć dolców, że zrobię tę parkę.

— Jasne — odparł Moldy. — Daję piątkę. Jego brak zainteresowania byłby wyraźnie widoczny nawet dla trzylatka.

Wielki mężczyzna postarał się, aby wszystko wyglądało łatwo. Dotknął kulą siódemki, wystarczająco silnie, aby ją przewrócić tak, że potoczyła się i straciła dziesiątkę.

— To najtrudniejszy rzut w kręglach — wyjaśnił. — Wiedział pan o tym?

— Niezwykle — rzekł Moldowski ziewając. Podał facetowi pięć jednodolarówek. — Niech pan poprosi swoich ludzi, aby załatwili sprawę jak najszybciej. Mamy nieprzekraczalny termin.

— Nie wiem, u diabła, o czym pan mówi — odparł mężczyzna — ale z przyjemnością przekażę dalej. Pański rzut, kolego.

Z nieszczęśliwą miną Moldy stanął na początku toru. Zrobił trzy drobne krociki i cisnął kulą w dół toru. Jakimś cudem udało mu się trafić.

— Czysty przypadek — przyznał.

— W najlepszym stylu — stwierdził mężczyzna w koszuli UPS. — Teraz niech pan jedzie do domu, dobrze? Wszystko jest pod kontrolą.

Jedna jedyna paskudna wiadomość potwierdziła ciężkie jak ołów poczucie daremności, które towarzyszyło Mordecaiowi od dnia ukończenia wydziału prawa na dwieście siódmej pozycji wśród dwustu dwunastu studentów.

Kłęska była szczególnie bolesna, ponieważ nadeszła w rzadkim momencie optymizmu. Prawnik ze Spółki Mleczarskiej „Delicato” przybył do biura Mordecaia, aby uzgodnić ewentualną ugodę w sprawie zanieczyszczonego karaluchem jogurtu jagodowego. Dla Mordecaia skłonność firmy do prowadzenia negocjacji (bez uprzedniej

wymiany nieprzyjemnej korespondencji) była cudownym zaskoczeniem. Ugoda poza salą sądową oszczędziłaby mu wielogodzinnych, męczących przygotowań do procesu, uniknąłby również konieczności narażania wysokiego sądu na widok swojego klienta, Shada-bramkarza.

Nieformalny charakter spotkania sprawił, że nadzieje Mordecaia gwałtownie wzrosły. Adwokat z „Delicato” był uprzejmy, rozsądny i nie sypał idiotycznymi pogroźkami. Doskonale zdawał sobie sprawę z konsekwencji nagłośnienia takiego procesu w mediach. Obawiał się głównie telewizji — w stanie Floryda dozwolone było wnoszenie kamer na salę sądową. Obydwaj panowie doszli do wspólnego wniosku, że kolorowy film przedstawiający karalucha wyciąganego z pojemnika „Delicato” podważyłoby zaufanie klientów do firmy. Zakres szkód, widziany pod kątem sprzedaży, zależał od tego, jak wiele sieci rynkowych odebrałoby satelitarny przekaz z sali sądowej. Pragnienie uniknięcia takiego ryzyka stało się oczywiste, gdy adwokat przedstawił wstępną propozycję — ugoda w granicach „środkowych wartości sześciocyfrowej sumy”. Mordecai z najwyższym trudem opanował się, by nie okazać zachwyty.

Oczywiście prawnik „Delicato” zechciał obejrzeć karalucha Shada, zapewniając jednocześnie, że to czysta formalność. Miał ze sobą aparat fotograficzny, aby udokumentować zanieczyszczenie produktu. Zdjęcia mogą się przydać, wyjaśnił, gdyby klienci chcieli kwestionować potrzebę ugody. Krótki pokaz slajdów w sali konferencyjnej powinien wpłynąć na zmianę ich zdania.

Mordecai był oczarowany systematycznością adwokata. Teraz już wiedział, w jaki sposób niepełnowartościowość produktu mogła stanowić obiecujące pole działania, zwłaszcza jeżeli udawałoby się unikać sali sądowej.

Żałował, że nie może dzielić swojego tryumfu z Beverly, która miała wolne w związku z kolejną trzydniową migreną. W czasie jej nieobecności Mordecai korzystał z usług dochodzącej sekretarki o imieniu Rachel, której niezmiennie szampański humor rekompensował nieznamość stenografii i koszarne tempo pisania na maszynie. Mordecai zawołał teraz zastępczynię do gabinetu i poprosił, żeby przyniosła z lodówki jagodowy jogurt. Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy i adwokat wszystkiego się domyślił.

— Przyniosę nowy — oznajmiła szybko — w czasie przerwy na lunch.

Mordecai nie mógł znaleźć słów na wyrażenie swojej konsternacji. Prawnik „Delicato” uprzejmie poprosił go o możliwość skorzystania z telefonu w drugim pokoju.

— Och, Rachel! — jęknął załamany Mordecai.

— Kupię wieloowocowy. Osiem rodzajów tropikalnych owoców.

— Rachel!

— Słucham, proszę pana?

— Co cię napadło?

— Byłam głodna.

— Czy nie zauważyłaś, że opakowanie było otwarte?

— Myślałam, że to jogurt Bev. Nie chciałam, żeby stał tam i kwaśniał.

— Rachel — rzekł Mordecai. — Ty nic nie rozumiesz.

— Bardzo pana przepraszam. — Zaczęła płakać.

— Zamknij się! — krzyknął adwokat. — Zamknij się natychmiast!

— Gdy pomyślał o Shadzie, poczuł, że na karku występuje mu pot. Jak mu o tym powie? Jaka cholerna awantura go czeka? Mordecai oplakiwał również własną finansową stratę — czterdzieści procent zera wynosi zero.

— Nie wiedziałam, że jogurt jest pana — łkała Rachel. — Nie wiedziałam, że pan lubi jogurt.

— Nie cierpię jogurtu. Dostaję po nim sraczki.

Poczucie winy sekretarki zmąciło zdziwienie.

— To dlaczego tak się pan gniewa?

— Ponieważ zjadłaś mój dowód rzeczowy — odparł dziwnie śpiewnym głosem Mordecai. — Jak ci smakował, Rachel?

— Jogurt?

— Tak, jogurt. Może był trochę skawalony?

— A wie pan, chyba tak. — W jej głosie brzmiał niepokój. — Zwolni mnie pan?

— Och, coś gorszego — oznajmił Mordecai. — Usiądź, proszę.

— Co chce pan zrobić?

— Coś, co sprawi mi ogromną przyjemność. Mam zamiar poinformować cię, co właściwie zjadłaś.

Dzień wizyt.

Erin czekała pod zachmurzonym niebem w Holiday Park. Wybrała ławkę nie opodal kortów tenisowych, na których uczył się grać Chris Evert. Dzisiaj rozgrywały na nim deblowy mecz pary frankofońskich Kanadyjczyków. Mieli najbielszą skórę i najbardziej niebieskie żyły, jakie Erin kiedykolwiek widziała.

Darrell Grant zawsze zmuszał ją do czekania, ponieważ świadomość, co to dla niej znaczy, dawała mu poczucie władzy. Zjawił się więc czterdzieści pięć minut za późno, wioząc Angelę na wózku inwalidzkim.

— Mamusiu, zobacz, co dostaliśmy w szpitalu!

Erin postawiła córkę na chodniku i powiedziała Darrellowi, żeby spadał.

— Jak się ma twój paskudny przyjaciel? — zapytał.

— To mamusia ma przyjaciela? — zdziwiła się Angela.

— Nie, kochanie, nie mam.

Erin była wściekła, że Darrell wykorzystuje dziewczynkę do kradzieży foteli inwalidzkich. Gdyby go złapano, konsekwencje byłyby straszliwe — władze stanowe zabrałyby córeczkę na zawsze. Erin miała pełne prawo nawrzeszczyć na niego, wygarnąć mu, jakim beznadziejnym jest idiotą, ale nie chciała zatruwać sobie krótkich chwil, które mogła spędzić z Angelą.

— Widzę, że masz nowe opony — zauważył Darrell.

Erin całkowicie go zignorowała. Sprawdziła sukienkę Angie, jej skarpetki i bieliznę, aby upewnić się, czy są czyste. Ale jak na socjopatę Darrell dobrze radził sobie z praniem.

— Opiekuj się moją małą, ładną partnerką — rzucił, odprowadził pusty fotel do furgonetki i zaczął czekać. W dni wizyt nigdy nie spuszczał z oczu Erin i Angeli. Doskonale wiedział, że gdyby tylko nadarzyła się okazja, uciekłyby z córką.

Erin wzięła dziewczynkę za rękę i ruszyły na spacer.

— Jak się czujesz, kochanie?

— Doskonale.

— Poznałaś jakichś nowych przyjaciół?

— Byłam w piątek u cioci Rity. Ma prawdziwego wilka!

Wspaniale, pomyślała Erin. Zwariowana Rita i jej puchate ludojady.

— Trzymaj się z daleka od wilków, Angie. One czasami potrafią być złośliwe.

— Powiedziała, że mogę wziąć jedno dziecko, mamusiu.  
— Nie, kupimy ci prawdziwego szczeniaczka...  
— Ale tatuś się nie zgodził. Obiecał, że kupi mi ptaka.  
— Ptaka? — zapytała Erin. Tak, to pragnienie każdej czterolatki.  
— Mówiącego — wyjaśniła Angie. — Jak Wielki Ptak, tylko mniejszego.

— Czy będziesz go lubiła?

— Tatuś chce, żeby go nazwać Garbusek. Czy to dobre imię?

— Nie — rzekła Erin. — Nie bardzo.

Podeszły do granicy parku. Darrell Grant jechał powoli za nimi swoją furgonetkę. Erin urządziła piknik pod drzewem. Jadły z Angielką kanapki z masłem orzechowym i śpiewały piosenki z *Electric Company*. Podbiegła szara wiewiórka i karmiła ją chrupkami serowymi.

Za dziesięć trzecia Darrell zaczął trąbić. Gdy Erin nie zareagowała, oparł się w irytujący sposób na klaksonie. Ciągłe wycie całkowicie stłumiło łagodne odgłosy parku. Kanadyjczycy przestali grać w tenisa i zaczęli przeklinać Darrella po francusku.

— Na litość boską! — jęknęła Erin.

— Czy to tatuś tak hałasuje?

— Obawiam się, że tak. — Erin uściśnęła córeczkę i pocałowała ją. We włosach dziewczynki poczuła zapach cholernych papierosów Darrella.

— Mamusiu, zapomniałam ci coś powiedzieć.

— Co, kochanie?

— Straciłam wszystkie moje lalki.

— Bardzo mi przykro.

— Kiedy się przenosiliśmy, tatuś nie mógł ich znaleźć.

— Kupię ci nowe — obiecała Erin. Nie mogła zdradzić Angeli, co zrobił jej ojciec. Czegoś takiego w żaden sposób nie dałoby się wytłumaczyć.

— Kocham cię, Angie.

— Ja też cię kocham, mamusiu. Czy mogę powiedzieć tatusiowi o nowych lalkach?

— Niech to będzie niespodzianka.

Od agenta Cleary'ego Erin uzyskała następujące informacje o Jerzym Killianie. Miał sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, siedemdziesiąt kilogramów wagi, czterdzieści osiem lat i był rozwiedziony. Opracowywał taśmy wideo w lokalnej filii CBS i był zdeklarowanym demokratą. Prowadził chevroleta caprice, kupił okulary u drugorzędnego optyka, prenumerował pisma: „Newsweek”, „Harper's”, „The New Yorker”, „Rolling Stone”, „Consumer Reports” i „Hustler”. Jego ekszona otworzyła niedawno sklep z makramami na przedmieściu Atlanty i Jerry był jednym z żyrantów pożyczki. Mieli dwie córki na Uniwersytecie Stanowym w Georgii. Jerry wykupił abonament na mecze Miami Dolphins. Wypożyczał wszystkie filmy Debry Winger. Kredyt na jego karcie Visa wynosił trzy tysiące dolarów. Jesienią wyjeżdżał na pstrągi do zachodniej Montany i zawsze wynajmował mały samochód. W życiu nie był aresztowany.

I mieszkał przy Green Duck Parkway w Fort Lauderdale na Florydzie.

Erin najpierw zadzwoniła i Killian był oszołomiony, usłyszawszy jej głos. Zanim otworzył jej drzwi, włożył marynarkę i krawat.

— W torebce mam nabity rewolwer — oświadczyła Erin.

— W porządku.

— Jestem tu tylko w interesach.

— Rozumiem — rzekł Killian.

Przeczuwała, że mieszkanie będzie w idealnym porządku i nie pomyliła się. Pachniało w nim środkiem Lemon Pledge. Usiedli naprzeciwko siebie przy owalnym stole.

— Chciałam panu podziękować — oznajmiła. — Muzyka, którą pan zaproponował, jest doskonała do tańca scenicznego.

Killian się rozpromienił.

— Wypróbowała ją pani? Tak mi przyjemnie.

— Powinien pan przyjść do klubu i zobaczyć. Powiedziałałam Shadowi, że nie mam nic przeciwko temu.

— Naprawdę? — Zamyślił się. — Może trochę później.

— Dlaczego później, a nie teraz?

— Sprawa powoli dojrzewa. Jednym z warunków umowy jest, żebym się trzymał z daleka od „Żwawego Bobra”. — Przerwał na chwilę. — To dla mnie najtrudniejsza rzecz. Tak bardzo mi pani brakuje.

Zaczyna się, pomyślała Erin. Pora na wiadro zimnej wody.

— Czy mogę ci mówić Jerry? — zaproponowała.

— Byłbym w siódmym niebie...

— Posłuchaj, Jerry. Muszę wiedzieć coś więcej o tej tak zwanej sprawie. W końcu chodzi tu o moje życie. O moją córeczkę.

— Oczywiście. Rozumiem, że mi nie ufasz.

— Nie znam cię.

— Erin — zaczął. — Nie zrobię niczego, co mogłoby zagrozić twojej córce. Moje uwielbienie jest pełne, trwałe i czyste. Jestem nim ogarnięty w dzień i w nocy. Jestem owładnięty miłością.

Serce Erin nie drgnęło ani trochę.

— Jerry, kto jest tym kongresmanem? — zapytała.

— Jego obwód wyborczy znajduje się gdzie indziej. Nie znasz jego nazwiska.

— Może spróbuję. Czytam gazety.

— Nazwisko jest bez znaczenia — oświadczył Killian. — Rzec w tym, że ma poważny kłopot z kobietami. Jest mi bardzo niezręcznie wdawać się w szczegóły.

— Och, proszę.

— Jestem dżentelmenem. Tak mnie wychowano.

— A ja striptizerką, Jerry. Pewnego razu gość zżarł minifigi z rowka na mojej pupie — przeżuł je, połknął i popił southern comfortem. A potem wyrzygał gumkę.

Uszy Killiana zapłonęły czerwienią.

— Chodzi mi o to — mówiła dalej Erin — że nic, co męczyzna zrobi, nie może mnie zaszokować. Mój były mąż wycina swoje inicjały na głowie innych ludzi. Czy twój kongresman jest równie rozrywkowy?

— Nie chronię jego — zaprotestował Jerry Killian — ale ciebie.

— Na wypadek gdyby były kłopoty?

Killian wstał i poprosił:

— Chodź ze mną.

Erin poszła za nim w głąb mieszkania. Trzymała torebkę mocno wciśniętą pod ramię i przez jej materiał wyraźnie czuła kształt rewolweru. Killian otworzył drzwi do maleńkiej gościnnej sypialni, przekształconej w prywatny panteon. Ściany ozdabiały fotografie reklamowe miejscowych tancerek nago. Ciekawe, że wszystkie ujęcia były standardowymi portretami do ramion. Bez obawy wywołania

zgorzenia można by je pokazywać w przedszkolu. Zdjęcie Erin oprawione było w drewniane ramki, umieszczone pośrodku i oświetlone osobną mosiężną lampką. Spoglądając na swoją kolekcję, Killian oznajmił:

— Nie ma nic piękniejszego od uśmiechu kobiety.

— Och, doprawdy? — odparła Erin. — Czy dlatego przychodzisz do „Żwawego Bobra”? Aby oglądać nasze uśmiechy?

— To wrota do prawdziwej miłości i spokoju ducha. Czym jest cała reszta bez uśmiechu? Tylko piersiami i kępką włosów.

— Jerry?

— Słucham.

— Przyprawiasz mnie o dreszcze.

— No cóż, Erin. Przyznaję, że straciłem głowę.

— Znasz wszystkie te dziewczyny?

— Znałem. Przyjaźniłem się z nimi. I kiedy tylko mogłem, pomagałem im. — Wskazał platynową blondynkę o ostrym nosie i sztywnymi od tuszu rzęsach. — Allison miała kłopoty z narkotykami. Załatwiłem jej bardzo dobry program odwykowy i dzisiaj jest już czysta.

Erin zapytała, czy w dalszym ciągu tańczy.

— Nie, już nie. — Killian podszedł blisko do fotografii, podziwiając ją tak, jakby to był Monet. — Tydzień po zakończeniu kuracji wyszła za mąż za specjalistę od pielęgnacji drzew i przeniosła do Tallahassee. Nie dostałem od nich nawet kartki pocztowej. — Odwrócił się do Erin, rozpromieniony. — Ale nic nie szkodzi! O nic nie prosiłem.

— Oprócz uśmiechu.

— Tylko kiedy pochodzi z serca.

Erin zgasiła światło i przeszli z powrotem do saloniku. Usiadła obok niego na ławie i zaczęła przemawiać, jakby był małym chłopcem.

— To nie jest gra — stwierdziła.

— Słyszałem, że nazywają mnie Pan Oczko.

— Wszyscy cię lubimy, Jerry. To przyjacielskie przezwisko.

— Wyglądam na słabeusza i mola książkowego.

— Raczej na naukowca.

— Niech cię nie mylą pozory, Erin. Grywam w futbol.

Ujęła go za obie ręce — standardowy gest blokujący ruchy.



— Co konkretnie masz na tego kongresmana?

Killian odparł, że nie może jej powiedzieć. Uwolnił jedną rękę i wykonał gest, jakby zamykał usta na zamek błyskawiczny.

— Musi to być coś ważnego — podpuszczała go Erin — skoro może mieć wpływ na sędziego.

— Nie mogę rozmawiać na ten temat — powtórzył Killian. — To męska sprawa.

Erin westchnęła i uwolniła jego rękę.

— Ale mój problem, Jerry. Czy mogę wierzyć w twoją historię? Czy mogę pokładać nadzieję w czymś, o czym nic nie wiem? Cała sprawa z Angie i Darrellem była koszmarem.

— Rozumiem — odparł. — Czytałem akta w sądzie. Dlatego znam nazwisko sędziego.

— Gdybym wiedziała coś więcej, może zdołałabym pomóc ci coś zorganizować.

— Wszystko jest doskonale zorganizowane — zapewnił Killian.

Nie ustępował ani trochę. Zazwyczaj czule trzymanie za rękę wystarczyło, by załatwić sprawę, ale nie tym razem. Erin wstała i oznajmiła:

— A więc dobrze, Jerry. Jak długo wszystko potrwa?

— Spodziewam się telefonu dziś po południu.

— Kongresmani pracują w niedziele?

— Owszem, jeżeli sprawa dotyczy ich kariery.

Erin stała przy drzwiach, próbując znaleźć jakiś sposób przekazania tego, co musiała.

— Jeżeli wszystko się uda, jeżeli odzyskam Angie... no cóż, nie będę mogła ci niczego dać, Jerry. Powinieneś o tym wiedzieć.

— Masz na myśli...

— Wiesz, o co mi chodzi — rzekła. — Będę ci dozgonnie wdzięczna za twoją pomoc. Tylko tyle mogę ci obiecać.

— Czy wyglądam na załamane go?

— Troszeczkę.

— No cóż, któż by nie był na moim miejscu? — Roześmiał się cicho. Założę się, że zwolnisz się również z klubu?

— Oczywiście. Gdy tylko odzyskam Angie.

— W takim razie jest jedna rzecz, którą mogłabyś dla mnie zrobić. — Podeszedł do aparatury stereo i zaczął przeglądać stos płyt kompaktowych. — Chwileczkę! — zawołał. — Proszę!

Chwilę później mieszkanie wypełnił ostry rock — *She's Got Legs* w wykonaniu zespołu ZZ Top. Erin spoglądała na Killiana z udawaną dezaprobatą.

— Niech zgadnę — powiedziała.

— Można cię prosić?

— Tylko jeden taniec — zastrzegła się Erin.

Urbana skręciłaby jej kark.

Kiedy Erin po raz pierwszy wyszła na scenę w klubie, wymiotowała przed i po występie. Urbana Sprawł wzięła ją na stronę: „To jest jak chodzenie po linie, rozumiesz? Wszystko dobrze, dopóki nie patrzysz w dół”. Monique Jr przytuliła ją i szepnęła: „Wyobraź sobie, że idziesz spać. I dlatego jesteśmy rozebrane”. A Monique Sr oświadczyła: „Przestań płakać, na litość boską. Przy stoliku numer dziewięć siedzi Bobby Knight!”

Minął tydzień, zanim Erin znalazła metodę, która zadziałała. Za każdym razem, gdy zaczynała się zastanawiać, dlaczego to robi, myślała o Angie. Kiedy znajdowała się na scenie, wszystko polegało na pogrążeniu się w marzeniach inspirowanych przez muzykę. Dlatego była taka wybredna w jej doborze — piosenki musiały coś znaczyć. Jeżeli odbierała ją dobrze, straszliwy niepokój powoli zniknął i Erin stawała się cudownie niezależna od otoczenia. Zapominała, że podskakuje w stroju Ewy przed salą pełną pijaków. W jej wyobrażonym świecie mężczyźni na widowni oklaskiwali jej wysokie wymachy nóg i płynne piruety, a nie kształt tyłka.

Początkowo uśmiechanie się przychodziło jej z wysiłkiem — nie była przecież szczególnie zachwycona swoją pracą. Poza tym zauważała, że wielu gości również wcale się nie uśmiecha. Zamiast tego obserwowali ją z badawczym i beznamiętnym wyrazem twarzy, niczym jurorzy na konkursie bydląt. I ponownie Urbana Sprawł udzieliła jej dobrej rady: „Miły uśmiech zawsze robi lepsze wrażenie niż metrowe zderzaki!”

Erin zaczęła się więc zmuszać do uśmiechu i jej zarobki od razu się poprawiły. Mężczyźni podchodzili i wsuwali złożone dziesięciodolarowe banknoty za jej podwiązki albo gumkę fig. Wielu widzów wyraźnie się denerwowało, stając tak blisko niej, i najwyraźniej bało się dotknąć jej uda. Erin ciągle uświadamiała sobie absurdalną siłę

seksu — zwyczajna kobieca nagość przekształcała niektórych mężczyzn w jękających się durniów o spoconych dłoniach. Co bardziej odważnych widzów do prób obmacywania i wysuwania wulgarnych propozycji zniechęcała groźna obecność Shada.

Erin przewyciężyła wstydlivość w ciągu miesiąca. W przeciwieństwie jednak do niektórych innych tancerek nigdy nie była całkowicie swobodna na scenie. Czuła lekki dreszczyk, drażniąc swoich wielbicieli, nie porywały jej jednak ich okrzyki i pogwizdywania. Natomiast obie Moniki uwielbiały takie hałaśliwe objawy uznania, ponieważ dzięki nim miały wrażenie, że są słynnymi gwiazdami. Im bardziej nieokiełznana była widownia, tym bardziej szalony stawał się ich występ. Erin nie grała pod publiczność. Jej sposobem ucieczki i motywem działania była muzyka. Gdy śpiewał van Morrison, ona rzeczywiście tańczyła w świetle księżycy.

Ale tak było w klubie, nie w mieszkaniu widza.

Mimo wszystko jednak nie czuła lęku. Najwyraźniej Pan Oczko był bezradny w jej obecności i wsadziłby język do kontaktu, gdyby go o to poprosiła. Erin dodatkowo zneutralizowała go, pytając, kogo przedstawia sepiowana fotografia kobiety o kędzierzawych włosach, spoglądająca na nich z kredensu. Jak podejrzewała wcześniej, była to kochana nieżyjąca już matka Jerry'ego. Erin czuła się bezpieczniej pod czujnym okiem świętej pamięci pani Killian.

Jerry uprzętnął owalny stół i pomógł jej wejść na jego blat. Podała mu swoje sandały i torebkę. Killian już całkowicie zapomniał o rewolwerze, kongresmanie, szantażu, jaki jest dzisiaj dzień...

Drewno pod stopami Erin było gładkie i chłodne. Tańczyła przez cztery minuty i nawet nie zdjęła sweterka. Jerry był oszołomiony. — Cudownie — powtarzał bez przerwy.

Gdy piosenka dobiegła końca, wsunął coś do tylnej kieszeni jej dzinsów. Nie był to napiwek.

W drzwiach cmoknęła go po siostrzanemu w policzek. Killian aż podskoczył, gdy dotknęła go ustami.

— Jeżeli będę miał dobre wiadomości, zobaczysz mnie przed klubem — obiecał.

— Bądź ostrożny — poprosiła Erin, chociaż na dobrą sprawę nie czuła szczególnego niepokoju. W najgorszym wypadku kongresman powie mu, żeby kazał się wypchać.

Stojąc na schodkach przed wejściem, pomachał serdecznie, gdy szła do samochodu. Odpowiedziała mu takim samym gestem i uśmiechnęła się swoim najlepszym uśmiechem. Uznała, że Killian jest całkiem w porządku.

Wróciwszy do domu, wyjęła z kieszeni liścik i rozłożyła go na stole kuchennym. Na karteczce znajdowały się słowa:

*Dziękuję Ci za zbawienie mojej duszy.*

Tego wieczoru Erin pracowała w „Żwawym Bobrze” na dwie zmiany, w nadziei, że pokaże się Jerry Killian. Ale się nie zjawił. Następnego ranka zatelefonowała do jego mieszkania, nikt się jednak nie odzywał. Gdy zadzwoniła do telewizji, kierownik dziennika poinformował ją, że pan Killian wyjechał na wakacje. Spodziewano się go za dwa tygodnie.

W klubie wróciła do swoich dawnych podkładów muzycznych — Clapton, Credence Clearwater, Allman Brothers. Szybko dawała się ovladnąć gitarze bluesowej, a wtedy świat zdawał się o wiele lepszy.

Nigdy więcej nie zobaczyła już Jerry'ego Killiana.

## 9.

Wieczorem szesnastego września w gospodzie „Lozeau Lounge” w zachodniej Montanie bracia Skyler wypili po sześć piw, porzucali strzałkami w wypchanego łosia i posprzecjali się na temat kosmicznego znaczenia piosenki Randy Travis.

Potem pojechali do domu, który znajdował się w dolinie w górach Bitterroot. Johnny Skyler prowadził, ponieważ jego bratu Faronowi czterokrotnie zawieszano i dwukrotnie cofnięto prawo jazdy. Było to niemałe osiągnięcie jak na wielki i wolny stan Montana, w którym prowadzenie samochodu i picie uważano za nierozzerwalnie związane ze sobą prawa obywatelskie.

Johnny Skyler jechał drogą gruntową w stronę Clark Fork River i wąskiego stalowego mostu, który prowadził ich do żon i dzieci oczekujących w identycznych podwójnych przyczepach, nabytych z dwudziestoprocentową zniżką na wiosennych targach w Spokane. Pieniądze, które bracia Skyler zaoszczędzili na zakupie swoich ruchomych domów, zostały przeznaczone na godny cel – wielką antenę satelitarną ustawioną na płaskiej polance między dwiema przyczepami. Paraboliczne okropieństwo tkwiące pomiędzy królewskimi jodłami Douglasa i sosnami Ponderosa było największą inwestycją, jaką kiedykolwiek przedsięwzięli Johnny i Faron. Mania zapasów! Japońskie przedstawienia rewiowe! Pewnego wieczoru, przerzucając kanały, trafili na faceta, który rozmawiał z prawdziwym króliczkiem z „Playboya”! Dziennikarz był tak opalony, że Skylerzy doszli do

wniosku, iż mógłby być Indianinem, gdyby nie to, że gadał zbyt szybko i śmiał się zbyt głośno. Na szyi faceta wisiał złoty medalion gruby jak gęsia kupa. Johnny i Faron nie mogli wyjść z podziwu.

Nie ma wątpliwości, że właśnie telewizja satelitarna uchroniła rodziny Skylerów od rozpadu. W czasie długich i ponurych zim tylko ona ratowała obu mężczyzn przed szaleństwem z nudów, w lecie natomiast bawiła ich żony i dzieci, dzięki czemu Johnny i Faron mogli do późna pozostawać poza domem — otworzyć kolejne piwko, kopnąć puszkę, patrzeć, jak słońce zachodzi nad szczytami gór.

Ale tego dnia od Idaho szybko nadciągała burza. Nie należało się spodziewać zachodu słońca, lecz groźnego i nagłego zmierzchu. Posiniałe chmury piętrzyły się nad Bitterroots i chłodny wiatr pędził wzdłuż rzeki. Łomotał blaszanym szyldem z ceną wiszącym nad dystrybutorem benzynowym przed „Lozeau Longue”. W gospodzie Johnny Skyler cofnął się o krok i cisnął jeszcze jedną strzałkę w wypchanego łosia, ściągnął brata ze stołka barowego i oznajmił, że lepiej będzie, jeżeli pojedą do domu, póki jeszcze cokolwiek widać.

Gruntowa droga prowadziła prosto w dół zbrocza na stare stalowe przeszło przerzucone nad rzeką. Grube krople deszczu zaczęły uderzać o ich bronco, dziurawiąc warstwę brązowego kurzu na przyciemnionym szkle przedniej szyby. Ze względu na silny wiatr Johnny Skyler jechał wolno. Pierwszy bieg. Długie światła. Obie ręce na kierownicy. Podjeżdżając do mostu, starannie naprowadzał koła ciężarówki na dwie deski śliskie już od padającej mżawki.

W połowie mostu Faron Skyler powiedział:

— Zatrzymaj!

Jego brat zahamował, wrzucając luz.

— Tam — rzekł Faron.

— Na rzece?

— Tak. Widziałem ponton.

— Niemożliwe — odparł Johnny Skyler. Opuścił szybę. Było zbyt ciemno, aby cokolwiek dostrzec na Clark Fork.

— Poczekaj na błyskawicę — zaproponował jego brat.

W górze doliny fioletowy błysk rozświetlił na ułamek sekundy rzekę. W ciągu tej krótkiej chwili Johnny spostrzegł ponton w odległości jakichś dwudziestu metrów od mostu.

— Spójrz tam, koło tej kamienistej mielizny — wskazał Faron.  
— Tak, widziałem.  
— Dostrzegłeś faceta?  
— Nie — Johnny przygasił reflektory i zmrużywszy oczy, wpatrywał się w gęstniejący mrok. Deszcz zaczął coraz silniej, mocząc mu lewy rękaw koszuli. Johnny splunął mocno i wiatr cisnął mu ślinę z powrotem w twarz.

Kolejny zygzak błyskawicy — wysoko i daleko. Ponownie rozjaśnił dolinę i znowu zapadła ciemność. Ale oko Johnny'ego zarejestrowało całą scenę — czerwony ponton z rozrzuconymi wiosłami przesuwany się wzdłuż wąskiej kamienistej ławicy rozdzielającej rzekę na pół. Mężczyzna w pontonie siedział odwrócony plecami do mostu. Miał na sobie oliwkową kamizelkę i czapkę. I jedno, i drugie wyraźnie świadczyło, że jest kimś z miasta. Jego ręce były opuszczone, a na kolanach leżała wędką.

— Zwariowany skurwiol — zawyrokował Faron Skyler.  
— Myślisz, że potrzebuje pomocy?  
— Do diabła, tak. Ktoś powinien mu policzyć klepki w głowie. Zwariowany, pieprzony morderca pstrągów.

Johnny nie był pewien, co robić, nie był nawet pewien, co w ogóle należałoby przedsięwziąć. W miarę jak zbliżała się do nich rozbłyskująca elektrycznością paszcza burzy, stalowy most wydawał mu się coraz mniej odpowiednim miejscem postoju. Grzmoty zaczęły już wstrząsać jego konstrukcją.

— Lepiej niech się zabiera z wody — zauważył Johnny, patrząc na miejsce, w którym po raz ostatni widzieli ponton. Jeszcze przez moment zastanawiał się, czy nie pospieszyć z pomocą, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. W tym miejscu brzegi Clark Fork były kamieniste i strome, a Skylerowie mieli w sobie oczywiście mnóstwo piwa. Jedyne określenie, jakie przyszło Johnny'emu do głowy, było słowo „katastrofa”.

Przyłożył ręce do ust i wrzasnął pod wiatr:

— Hej tam!  
— Daj spokój, człowieku — zmitygował go Faron. — Nie może cię usłyszeć.

Johnny spróbował znowu:

— Hej ty!

Kolejny błysk i następny migawkowy widok pontonu spływającego

w dół rzeki. Wędkarz zdawał się nie słyszeć okrzyków. Wędką w dalszym ciągu spoczywała na jego kolanach i nadal nawet nie dotykał wiosel — jedno wskazywało w górę rzeki, a drugie w przeciwnym kierunku.

— Co za pieprznity skurwysyn — powtórzył swoją opinię Faron.

— Coś mi tu nie gra.

Błyskawica eksplodowała w pobliżu i obaj bracia zakryli głowy rękami. Usłyszeli trzask pękającej na trzy części masztowej sosny.

— Pora jechać — oświadczył Faron. — Nie uważasz?

Johnny Skyler miał złe przecucie. Spoglądał w dół Clark Fork, oczekując na dalsze błyskawice, aby jeszcze raz spojrzeć na szalonego łowcę pstrągów.

— Nic mu nie będzie, Johnny. Trochę dalej brzegi są już niskie. Nawet ślepy pies by do nich dopłynął.

— Może i tak. — Johnny nigdy dotąd nie widział tak późno wieczorem pontonu na tym odcinku Clark Fork. Następne miejsce nadające się do wyciągnięcia łodzi na brzeg i załadowania jej do samochodu znajdowało się dwanaście mil w dół rzeki. I kto, u diabła, wyprawia się na ryby nocą i w czasie burzy?

— Mógłbyś, do kurwy nędzy, przydepnąć gaz? — zapytał Faron.

— Nie mam ochoty upiec się na tym cholernym moście. A poza tym stracimy mecz.

Od kiedy Denver weszło do pierwszej ligi, Faron stał się fanatykiem baseballu. Jego brat miał do tych rozgrywek obojętny stosunek. Futbol to co innego. Dzięki swojemu talerzowi mogli oglądać nawet Argonautów.

— Jest wpół do dziesiątej — rzekł Johnny Skyler. — Mecz już się prawie skończył.

— Kurwa, racja.

— Faron, już go nie widzę.

— Może przepłynął za wielki zakręt.

— Nie, nie mógł. Przecież nie wiosłował. Chyba że miał na swoim pontonie evinrude'a.

— Musi się tylko trzymać, a nic mu nie będzie — oznajmił Faron.

— No, ruszaj wreszcie!

— Jeszcze chwilkę. — Deszcz zaczął już strumieniami, łomocząc



o dach bronco. Johnny podkreślił w końcu szybę, nie spuszczać oczu z rzeki.

W niebie trzasnęło i woda zmieniła się w różowe lustro. Tym razem bracia bez trudu dostrzegli mały czerwony ponton obracający się na wolno płynącym nurcie.

— O mój Boże — westchnął Johnny Skyler.

Faron schwycił obiema dłońmi półeczkę pod przednią szybą.

— Cholerny, zwariowany skurwysyn! — powiedział.

Ponton był pusty. Mężczyzna zniknął.

Skylerowie wyskoczyli z ciężarówki i popędzili w stronę rzeki.

Deszcz przestał padać dwie godziny później. Do tej pory zjawiał się motorówką szeryf hrabstwa Mineral wraz z ochotnikiem pletwonurkiem. Służba Leśna Stanów Zjednoczonych obiecała, że jeśli warunki pogodowe znowu się nie popsują, przyślą czterech strażników i śmigłowiec. Kilku mieszkańców przybyło z pontonami, łódkami i wodoodpornymi latarkami. Mały kemping na brzegu rzeki w Forest Grove posłużył jako punkt dowodzenia poszukiwaniami, które według miejscowych standardów były zarówno bohaterskie, jak i szalenie męczące.

O świcie odnaleziono ponton wciśnięty bokiem pod podpory mostu 1-90, dokładnie na zachód od Lozeau. Wiosła zniknęły, a w środku nie było żadnych wskazówek, kim był zaginiony wędkarz. Pusta puszka po napoju Colt 45 i zgniecione opakowanie po snickersach były jedynym dowodem, że w pontonie kiedykolwiek znajdował się jakiś człowiek.

Poszukiwania ciała trwały osiemnaście godzin i okazały się bezskuteczne. Do Forest Grove przyjechał reporter z „Missoulian” i przeprowadził wywiad z braćmi Skylerami, którzy przedstawili bogato ubarwione sprawozdanie z tego, co widzieli na rzece w czasie burzy. Następnie pozwolili na zdjęć przy śmigłowcu Służby Leśnej. Przez kilka następnych dni bracia dzięki swemu talerzowi satelitarnemu systematycznie oglądali Program Obywatelski, ale nie doczekali się żadnej informacji o akcji ratowniczej na Clark Fork ani o swojej w niej roli. Sława dotknęła braci Skylerów w skromniejszy sposób — minęło wiele lat, zanim przyszło im zapłacić za piwa wypite w „Lozeau Lounge”.

Dzieci drugiej żony Ala Garcii nazywały go Al i on uważał, że to w porządku. „Tato” nie wchodziło w rachubę. Dzieciaki miały już swego tatę, który siedział w więzieniu dzięki Garcii.

Bo sierżant poznał swoją drugą żonę, aresztując jej męża za mordstwo związane z narkotykami. Nie miała do niego żalu. A sześć miesięcy po procesie wystąpiła o rozwód i wyszła za Ala.

„Najwyraźniej awansujesz w hierarchii społecznej — powiedział jej kiedyś Garcia. — Od handlarza prochami do detektywa z wydziału zabójstw”. „Niezbyt wielki awans” — odparła. I ta szybka riposta najlepiej charakteryzowała Donnę. Dzieci również były w porządku — chłopiec i dziewczynka w wieku ośmiu i dziewięciu, a może dziewięciu i dziesięciu lat — Garcia nigdy nie mógł tego zapamiętać. Ogólnie rzecz biorąc, bardzo się przywiązał do dzieciaków i wcale nie miał poczucia winy z powodu tego, co zaszło.

Gdy chłopiec po raz pierwszy zapytał go, kiedy jego prawdziwy tatuś wyjdzie z więzienia, Al ujął jego małą rączkę i odparł: „Nigdy, Andy”. Na pytanie zaś, dlaczego, Garcia wyjaśnił: „Ponieważ twój tatuś strzelił człowiekowi między oczy”. Andy docenił powagę sytuacji. Jego siostra Lynne — o rok młodsza albo o rok starsza — stwierdziła, że być może jej tata miał powód, żeby zastrzelić tamtego faceta. „Sto tysięcy powodów — odrzekł Garcia — ale żaden z nich nie był dość dobry”. W tej właśnie chwili z kuchni jak burza wypadła Donna i kazała im siedzieć cicho, bo w przeciwnym razie...

Kiedy nadeszła pora ich pierwszych rodzinnych wakacji, Donna wybrała zachodnią Montanę, ponieważ ani ona, ani dzieci nigdy nie widzieli gór. Al uznał, że bardzo dobrze. Wykonał parę telefonów i dowiedział się, że Montana mimo swoich związków z Dzikim Zachodem jest spokojna i bezpieczna. W hrabstwie Dade na niektórych skrzyżowaniach było więcej wypadków śmiertelnych niż w całym tamtym stanie.

Donna wynajęła niewielki domek z drewnianych bali nad rzeką Clark Fork, mniej więcej dziewięćdziesiąt kilometrów od Missouli. Garcia nie był człowiekiem zafascynowanym życiem w plenerze, ale chata nad wodą wydawała mu się wspaniałym pomysłem. Obiecał Andy'emu i Lynne, że pomoże im złowić wielkiego pstrąga tęczowego i będą mogli go usmażyć na kolację. Donnie zaś przyrzekł, że nie

będzie rozmawiał o pracy i ani razu nie zadzwoni do Miami, żeby dowiedzieć się, co jest z otwartymi sprawami.

W ciągu czternastu lat pracy w wydziale zabójstw sierżant Al Garcia osobiście przeprowadził dochodzenie w sprawach tysiąca dziewięćdziesięciu dwu morderstw. Jego przekleństwem był fakt, że pamiętał każde z nich, z najdziwniejszymi nawet szczegółami: *Rescue 911* w telewizji w czasie gdy obrysowywali ciało, fałszywy rolex na przegubie ofiary, smród przypalonych grzanek w kuchni, fotografia w przedpokoju przedstawiająca denata bawiącego się w Disney Worldzie. Al Garcia nienawidził niezawodnej precyzji swojej pamięci. Dzięki niej był wspaniałym detektywem, lecz zarazem głęboko udręczonym człowiekiem.

Montana okazała się lepszym miejscem, niż się tego spodziewał — rozległa i przyjazna, może z paroma zaledwie wyjątkami. Recepcjonistka w motelu w Missouli spojrzała na niego ostro, gdy zobaczyła nazwisko na karcie kredytowej. W obecnych czasach niełatwo być Garcia z Miami. Niektórzy w takiej sytuacji automatycznie zakładają, że ma się sześć kilo prochów w bagażniku i naładowane uzi pod przednim siedzeniem.

Następnego dnia, gdy dotarli do chaty nad rzeką, Al nieomal zapomniał, skąd przyjechał i jak zarabia na życie. Stojąc na drewnianym pomoście, uznał dolinę rzeki za najspokojniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widział. Wdychał przesycone zapachem sosny powietrze, zamknął oczy i prawie utonął w ciszy okolicznych lasów. Pierwszego dnia Andy zauważył dwie sarny. Następnej nocy Lynne znalazła małą białą czaszkę martwego skunksa. Chciała ją zabrać do domu na Florydzie, ale Donna orzekła, że nie, pochowają ją przyzwoicie w ogródku.

Trzeciego dnia Andy wbiegł na brzeg tak szybko, że Garcia pomyślał, iż goni go niedźwiedź. Chłopak krzyczał z daleka:

— Al, lepiej chodź! Chodź szybko!

Garcia poradził mu, żeby wziął na wstrzymanie i złapał oddech. Ale Andy schwycił go za rękaw i pociągnął mocno. — No, chodź. Nad rzekę.

— Co tam znalazłeś, synu?

— Pływaka! — zawołał chłopiec.

Garcia poczuł, jak żołądek mu się skręca. Mieszkając pod wspólnym dachem z gliniarzem od zabójstw, dzieciaki Donny opanowały

dość makabryczny słownik. Wiedziały wszystko o rozczłonkowaniu, Johnach i Juanach Doe\*, postrzałach, zejściach naturalnych i nie za bardzo naturalnych. \*

John (Juan) Doe — fikcyjne personalia niezidentyfikowanej osoby; NN (przyp. tłum.).

I oczywiście o pływakach.

Sierżant ruszył za Andym w dół zbocza, do rzeki, a potem wszedł do wody. Podeszwy jego tenisówek ślizgały się na kamienistym dnie. Ciało pływało na wznak, zaplątane w naniesionych przez wodę gałęziach. Twarz topielca była sina i nabrzmiała, oczy wytrzeszczone jak u postaci z kreskówki.

— Czy nie żyje, Al? — Chłopiec stał na brzegu, złożyłwszy z bardzo poważną miną swoje małe ręce na piersi. — Jest martwy, prawda?

— Całkowicie — potwierdził Garcia.

— A nie mówiłem!

Denat miał na sobie ciężkie gumowe spodnie i oliwkową kamizelkę z wieloma małymi kieszonkami. Sierżant odpiął kieszeń na lewej piersi i wyjął portfel. Znajdowały się w nim trzy banknoty studolarsowe, pół tuzina czeków podróźnych i laminowane prawo jazdy w znajomych kolorach.

— Niech to wszystko jasna cholera! — zaklął Garcia.

— O co chodzi, Al? — zapytał Andy.

— Biegnij i powiedz matce, żeby zadzwoniła po policję.

Chłopiec wystartował jak z procy. Martwy mężczyzna patrzył wytrzeszczonymi oczyma z bulgoczącej rzeki.

— Ale z ciebie kutas. — Al zwrócił się do zwłok. — Musiałeś zepsuć mi wakacje?

Popatrzył na prawo jazdy denata i zaklął paskudnie. Ten sukinsyn był z Fort Lauderdale w stanie Floryda.

Dlaczego? — zastanawiał się Garcia. Dlaczego nie mogą zostawić mnie w spokoju?

## 10.

Shad był zaintrygowany kosmatymi i wielobarwnymi brwiami psychiatry.

— Prawdziwe? — zapytał.

— Bardzo proszę — powiedział lekarz odsuwając się — bez dotykania.

Była to pierwsza wizyta Shada u psychologa — człowieka Mordecaia. Gość nazywał się Vibbs, był cwaniakiem z Palm Beach i najlepszym przyjacielem adwokata. Na ścianie wisiał laminowany dyplom uniwersytetu Yale, ale Shada bardziej zainteresował stojący na biurku słoik z landrynkami. Wypchał sobie nimi policzki i zaczął ssać.

— Niech mi pan powie o karaluchu — poprosił doktor Vibbs.

— Wielki skurwysyn. — Słowa wydobywały się z ust Shada z grzechotem.

— Czy przyprawił pana o rozstrój nerwowy?

Shad roześmiał się, otwierając wilgotną paszczę pełną miętówek i mlekoli.

— Rozstrój? Do diabła, zostałem strauumatyzowany. Niech pan to zapisze.

Doktor Vibbs był wstrząśnięty widokiem potężnej, łysej postaci pacjenta. Większość podopiecznych Mordecaia okazała się zupełnie w porządku, ale ten był zupełnie inny. Gdy bezwłosy facet pochylał się, żeby podnieść papierka od cukierka, psychiatra zauważył literę „G” wyciętą na skórze jego głowy. Doszedł do wniosku, że Shad zrobił to własnoręcznie.

Vibbs sondował ostrożnie.

— Muszę zadać panu kilka osobistych pytań. To standardowa procedura przy tego rodzaju ocenie.

— Niech pan sobie ocenia — oznajmił Shad. — Powiedziałem już, że doznałem kurewskiego szoku. Czego pan jeszcze chce?

— Czy ma pan złe sny?

— Nie.

— Nawet o karaluchu? Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

— Aha — powiedział Shad. Domyślił się, o co chodzi. — Właśnie mi pan przypomniałeś, że mam straszliwe koszmary.

— To rozumiałe — stwierdził psychiatra, notując gwałtownie. — Proszę mi o nich opowiedzieć.

— Śni mi się, że goni mnie po Sunrise Boulevard gigantyczny karaluch z jogurtem kapiącym mu z oczodołów.

— Rozumiem — rzekł psychiatra, nie podnosząc głowy znad notatek. Shad uznał jego słowa za zachętę, aby lepiej się postarał.

— No tak, a więc ten potworny karaluch gania mnie tam i z powrotem, śliniąc się i rycząc jak tysiąc tygrysów. Ten skurwiel jest wielki jak cysterna. I trzyma martwe dziecko w zębach.

— Rozumiem...

— A kiedy jest już blisko... zamienia się w moją mamusię!

— Dobrze — oznajmił niewzruszony doktor Vibbs. — Proszę mi powiedzieć coś więcej o swojej matce.

— Co?

— No, interesują mnie stosunki między panem a pańską matką.

— Interesują? — W oczach Shada zapłonęło dziwne światło. Wyciągnął Vibbsa z fotela i położył go twarzą do podłogi. Potem wziął piękne, oprawne w drewno nożyczki i rozciął mu ubranie od karku do pośladków. Następnie odszukał na biurku obrotowy stojak z pieczętkami, wyszukał wśród nich czerwoną, z napisem BEZ UBEZPIECZENIA, po czym ostemplował nim cały nagi tors doktora. Minęło dużo czasu, zanim Shadowi skończył się tusz, a w trakcie całej operacji z gardła psychiatry wydobywały się smutne, skamlące dźwięki.

— Co za szmelc! — poskarżył się Shad. Cisnął pieczętkę na biurko i wziął na drogę całą garść landrynek.

— Jest pan świrnięty! — zawołał Vibbs.

— Wcale nie. Prawidłowe słowo brzmi „straumatyzowany”. Powinieneś je zapisać.

- Niech pan sobie pójdzie — zażądał Vibbs. Shad stanął nad nim.
- Nie pójdę, dopóki go nie przesyłabizujesz.
- Czego?
- No, dalej, psycholu. Strau-ma-ty-zo-wa-ny... Trzęsącym się, ale wyzywającym głosem psychiatra przesyłabizował słowo idealnie.
- Brawo — pochwalił go Shad, przechodząc nad nim. — I wybij sobie z głowy moją mamusię. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Aby stłumić niepokoje wśród pracowników „Żwawego Bobra”, Orly miał w zwyczaju tłuc pięścią w stół i wspominać mafię. Chwalił się odwiecznymi więzami przyjaźni z Angełem Bruno, Nickym Scarfo, Grubym Tonym Salerno i innymi słynnymi gangsterami, których nazwiska wyciął z czasopism sensacyjno-kryminalnych. Opowiadał także o krwawych kłótwach i pewnej śmierci, która spotykała tych, którzy je pogwałcili. Taki występ zazwyczaj odnosił pożądany efekt i neutralizował wszelkie żądania podniesienia płac, wypłaty zasiłków chorobowych lub niewielkiej poprawy warunków pracy w klubie. Prawdę mówiąc, Orly nie miał żadnych związków ze zorganizowaną przestępczością. Mafia nie była zainteresowana „Żwawym Bobrem”, ponieważ lokale ze striptizem upodobała sobie policja. Orly uzyskał tę wiadomość z pierwszej ręki od jedyne go autentycznego mafiosa, jakiego kiedykolwiek spotkał, specjalisty od lichwy sążonego za polamanie kciuków niewypłacalnemu sprzedawcy u Chryslera. Orly poszedł do sądu w celu przeprowadzenia osobistych studiów, aby dowiedzieć się, w jaki sposób naprawdę działa mafia. W czasie przerwy podszedł do gangstera i nawiązał przyjacielską rozmowę. Gdy zapytał, czy lichwiarz zna kogoś z rynku chętnego na kluby striptizowe, facet skrzywił się i odparł, że kurwa nie, za duży swąd. Ale wypożyczalnie wideo, stwierdził mafios, to zupełnie inna sprawa. Taka wypożyczalnia może być bardzo atrakcyjną inwestycją. Orly był rozczarowany, lecz z grzeczności dotrwał do ogłoszenia wyroku. Sędziowie (a wśród nich kilku niedawnych nabywców produktów Chryslera) byli w widoczny sposób nieporuszeni opowieścią nieszczęsnej ofiary. Niektórzy z nich uśmiechali się, gdy sprzedawca relacjonował, jak jego dłonie znalazły się w drzwiach stalowoniebieskiej limuzyny

new yorker. I całą tę demonstrację siły przeprowadzono z powodu sześciuset dolarów długu! Orly był pod wrażeniem i bez przerwy hołubił marzenie, że któregoś dnia mafia uczyni go partnerem.

Ale na razie musiało mu wystarczyć jedynie złudzenie. Stał teraz twarzą w twarz z pokojem pełnym niezadowolonych tancerek. Jak zwykle rzeczniczką grupy była Erin.

— Sprawa numer jeden — zaczęła, — Klimatyzacja.

Orly się skrzywił.

— O co tym razem chodzi?

— Jest o wiele za zimno — wyjaśniła Erin. Przyłączyła się do niej Urbana Sprawł.

— Termostat jest nastawiony na dwadzieścia stopni. To strasznie mało.

Orly odwrócił się do Shada, który z obojętną miną stał w kącie.

— Chłodno ci?

— Nie — odparł wykidajło. — Ale ja nie za bardzo reaguję na temperaturę.

— No cóż — rzekł właściciel lokalu. — Mnie zupełnie odpowiada dwadzieścia.

Ponieważ jesteś gadem, pomyślała Erin. Odpowiedziała jednak inaczej:

— Ma pan na sobie sweter, panie Orly. My natomiast odmrażamy sobie gołe tyłki.

Orly zatarł dłonie.

— Zimno sprawia, że wyglądziecie seksowniej. Macie takie twarde, sterczące sutki. Klienci to lubią, prawda?

W pokoju zapanowało napięcie.

— Gratuluję — odezwała się Erin. — Udało się panu osiągnąć nowe dno.

— Uwważaj— ostrzegł ją. — Uwważaj, co mówisz.

Zazwyczaj pokorna Monique Jr dodała:

— Nie mogę uwierzyć... Dlatego utrzymuje pan takie zimno? Żeby nam sztywniały cycki?!

— Sutki — oznajmił Orly — są w naszej branży niezwykle ważną częścią ciała.

Z rogu dobiegł stłumiony śmiech Shada.

— Niech pan podkręci termostat albo nie będziemy tańczyć — zagroziła Erin.



— Udam, że tego nie słyszałem — powiedział Orly.

Erin wzięła długopis i napisała na bibule: 25 STOPNI ALBO NIE TAŃCZYMY!

— Udam, że tego nie widziałem. — Orly nie ustępował. Czekał, żeby Erin się wycofała. Wtedy tak samo postąpiłyby pozostałe tancerki.

— Nieposłuszeństwo może być niebezpieczne, młoda damo — dorzucił tonem pogroźki. — Pamiętajcie, co się przydarzyło biednemu Gonzalowi.

Biedny Gonzalo był poprzednim właścicielem „Żwawego Bobra”, którego podziurawione pociskami zwłoki wyrzucono na autostradzie. Orly twierdził, że była to kara za podbieranie pieniędzy z automatów do gry.

— W kwestii formalnej dodam, że Gruby Tony lubi, aby sprawy toczyły się gładko — oświadczył.

Erin podejrzewała, że Gruby Tony i mafia nie miały żadnego związku ze śmiercią Gonzala. Należało raczej przypuszczać, że chodziło o nieporozumienie między Gonzalem a jednym z wielu dostawców.

— Wie pan co? — zwróciła się do szefa. — Może by pan poprosił Grubego Tony'ego, żeby wpadł dziś wieczór do klubu?

Orly był wstrząśnięty. Zakołysał się niebezpiecznie na swym fotelu.

— Chciałabym go rozebrać — dodała Erin. — I zobaczylibyśmy, czy nie odmroziłby sobie swoich obwisłych mafiosowskich cycków.

Dziewczyny zaszemrały z podziwu. Co w nią wstąpiło?

— No? — przynagliła Erin. — Niech pan do niego zadzwoni. Jej pracodawca wyglądał na pokonanego.

— Jesteś na bardzo cienkim lodzie — ostrzegł ją niepewnie. Erin uśmiechnęła się.

— Założę się, że w „Różowej Farmie” jest przytulnie i ciepłutko.

— O Chryste! — jęknął Orly. — Nawet o tym nie myśl. Odwróciła się do koleżanek. — Głosujemy? — Kobiety jedna po drugiej podniosły ręce.

— Nie! — krzyknął Orly. — Trzymajcie się z daleka od tych pieprzonych Lingów!

— W takim razie niech pan podkreśli ten cholerny termostat — zażądała Urbana Sprawł, czując nowy przypływ odwagi. — Gruby Tony na pewno nie życzy sobie, żeby jego tancerki zwalniały się z powodu przeziębienia.

Obie Moniki zaczęły chichotać. Shad odwrócił się do ściany obitej imitacją czerwonego pluszu, żeby ukryć uśmiech. Wiedział, że nie ma żadnego Grubego Tony'ego ani powiązań z mafią. Głównymi udziałowcami „Żwawego Bobra” była grupa stosunkowo niegroźnych chirurgów ortopedów z Lowell w stanie Massachusetts.

Właściciel lokalu niechętnie zgodził się podnieść temperaturę w głównej sali do dwudziestu dwóch stopni. Erin upierała się przy dwudziestu trzech.

— W porządku — poddał się ostatecznie Orly — ale chcę widzieć wisienki twarde jak kamyki. Mówię poważnie!

Erin przeszła do drugiego punktu porządku dnia.

— Omawialiśmy pewne pomysły dotyczące nowej nazwy.

— Zapomnijcie o tym! — parsknął Orly. — Już powiedziałem, że nic z tego.

— Mamy coś klasa.

— Chcecie klasę? No to naucz te pieprzone lale, jak się tańczy. A wtedy może porozmawiamy o nazwie z klasą. A tymczasem „Żwawy Bóbr” jest w sam raz.

— „Tańczące Cukiereczki” — rzekła Erin. — Sexy, ale nie wulgarne. Co pan o tym myśli?

— Myślę — oświadczył szef — że dałem tym dziewczynom wideo z najbardziej bajeranckiej knajpy w Dallas, prawda? Miały tylko wrzucić je do swoich magnetowidów i obejrzeć pieprzoną taśmę. Chodzi mi o to, że nawet szympans mógłby nauczyć się paru takich kroków...

— To musi potrwać — wzięła je w obronę Erin.

— Gadka-szmatka. — Orly wskazał na Sabrinę pochłoniętą polewowaniem paznokci u nóg. — Oglądałaś taśmę?

Dziewczyna opuściła głowę i odparła, że nie.

— Sprawa zamknięta. — Właściciel lokalu uderzył dłońmi w podłokietniki fotela. — Sprawa zamknięta. Zmienimy nazwę, kiedy zobaczą trochę tańca z klasą.

Urbana Sprawł pomachała ręką.

— Panie Orly, oglądałam to wideo. Mam wrażenie, że te dziewczyny z Dallas są dobre w piruetach.

— Och, o to chodzi? — Jego głos ociekał sarkazmem.

— „Tańczące Cukiereczki” — powtórzyła Erin. — Niech pan o tym pomyśli, dobrze?

Ktoś zastukał cicho do drzwi. Orly machnął ręką w stronę Shada, który przeszedł w głąb gabinetu i ustawił się strategicznie przy drzwiach.

— Kto tam? — zapytał.

Gruby głos z drugiej strony oznajmił:

— Policja.

Shad popatrzył w kierunku szefa, oczekując instrukcji.

— O kurwa — powiedział Orly. — Co teraz? — Jego twarz nabrała koloru gipsu.

Erin nie była pewna, co ma sądzić o sierżancie Alu Garcii. Nie wiedziała, czy jest dobrym policjantem czy marnym, ale zdawała sobie sprawę, że nigdy nie zrobiłby kariery w FBI. Nie był namiętym sporządzaczem notatek.

Inne jednak czynniki świadczyły na jego korzyść. Minęło jedenaście minut i detektyw jeszcze nie poczynił jej żadnych propozycji ani nawet nie zapytał, czy jest zamężna. Odróżniało go to od większości gliniarzy, którzy zaglądali do „Żwawego Bobra”.

Siedział naprzeciwko Erin w łoży znajdującej się w głębi sali. Orly, usprawiedliwiając się udawanymi symptomami grypy, wymknął się przednimi drzwiami. Shad stał przy barze, targując z hurtownikiem dwie skrzynki haitańskiego rumu. Na scenie Urbana Sprawł tańczyła pod świntuszającą piosenkę rapową.

Erin miała na sobie koronkową górę, białe figi i buty na wysokim obcasie — trudno było to uznać za idealny strój do policyjnego przesłuchania. Garcia palił cygaro, nie zwracając uwagi na otoczenie. Podał dziewczynie kserokopię prawa jazdy ze stanu Floryda. Gdy Erin zobaczyła fotografię Jerry'ego Killiana, wiedziała już, że patrzy na martwego człowieka.

— Co się właściwie stało? — zapytała. Czowała, że w ustach jej zaschło, a w uszach rozlegało się lekkie brzęczenie.

— Utonął — wyjaśnił detektyw. — Pani fotografia wisi w jego mieszkaniu.

— Moja i tuzin innych.

— Znalazłem na stoliku nocnym cały stos papierowych serwetek. Wiedziała pani o tym? Wszystkie ze „Żwawego Bobra”.

— W ogóle nie widziałam jego sypialni — odparła stanowczo Erin.

— Robił notatki na tych cholernych serwetkach. Liściki do siebie samego, do dzieci, do pani — Garcia przerwał na chwilę. — Czy dym pani nie przeszkadza?

— Nie — odparła Erin. — Wprost szaleję za zapachem dymu cygara i terpentyny.

Bez słowa przeprosin sierżant zgasił cygaro.

— Niech mi pan powie, co się stało — poprosiła Erin. Wciąż jeszcze z trudem do niej docierało, że Pan Oczko nie żyje. — Chcę wiedzieć wszystko — dodała.

— Pani przyjaciel pływał sobie w charakterze denata po rzece Clark Fork i popsuł mi moje łowy na pstrąga. Była tam pani kiedy, nad Clark Fork? — Garcia sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął kopertę ze zdjęciami rodzinnymi. Odnalazł fotografię przedstawiającą rzekę oraz góry i podał ją tancerce. — Hrabstwo Mineral, stan Montana. Piękna okolica, prawda?

Erin przytaknęła. Na pierwszym planie widać było przystojną kobietę i dwoje dzieci. Rodzina Ala Garcii sprawiała zupełnie normalne wrażenie.

— W hrabstwie Mineral nie zdarza się zbyt wiele zabójstw — ciągnął detektyw. — Koroner zerknął na Pana Turystę przyodzianego w strój wędkarski i uznał, że śmierć nastąpiła w rezultacie przypadkowego utonięcia. Ponieważ jednak jestem upartym, źle wychowanym Kubańcem z wielkiego miasta, uprzejmie poprosiłem o zajrzenie do środka klatki piersiowej Pana Turysty.

Koroner, miły facet, mówi „nie ma sprawy”. I otwiera go od razu na miejscu.

Niskokaloryczny lunch wykonał powolne salto w żołądku Erin. Zapytała jednak Garcie, co znaleziono w organizmie Jerry'ego Killiana.

— Niewiele. — Sierżant trzymał cygaro czubkiem do góry, jak pędzel. — Trochę wody w płucach. Należało się tego spodziewać. Ale kiedy człowiek tonie w jeziorze albo rzece, zazwyczaj wchłania również trawę, żuczki, piasek, nie uwierzy pani, co jeszcze. Pewnej nocy znaleźliśmy pływaka niedaleko Key Biscayne, który miał w oskrzelach małego anioła morskiego, taką rybkę, wie pani?!

Al Garcia mówił głośno, żeby mogła go słyszeć przez muzykę.

— Nie wygląda pani najlepiej — stwierdził. — Może przyjdę kiedy indziej?

— Czy zechciałby pan przejść do sedna sprawy? — poprosiła ze zniecierpliwieniem Erin. — Za dziesięć minut mam występ.

— Jasne — odparł Garcia. — Oto ono. W Clark Fork jest pełno owadów i liści — wystarczyłoby zaczerpnąć kubeczek wody z rzeki i zobaczyłaby pani, co mam na myśli. Ale woda w ciele Killiana była zadziwiająco czysta.

— Z wodociągów — domyśliła się Erin.

— Jest pani bystrą dziewczyną.

— A więc ktoś go zabił?

— Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że pewnie w wannie — stwierdził Garcia.

— Czy możemy wyjść na zewnątrz? — zaproponowała Erin.

— Tylko jeżeli pozwoli mi pani zapalić.

Shad wyszedł za nimi na parking. Erin dała mu znak, żeby spływał. Al Garcia zachowywał się, jakby mu to było zupełnie obojętne. Zapalił cygaro i oparł się o swój samochód, niebieski caprice bez oznakowań.

— Mówi pan poważnie, że Jerry został zamordowany? — spytała Erin.

— Jego eksmałzonka oświadczyła, że co roku jeździł na zachód na ryby. Tym razem było inaczej pod jednym względem. Przyjechał tam, ale nie wyrobił sobie karty wędkarskiej. Cholernie dziwne. — Detektyw odwrócił się i wydmuchał dym w ciemność. — Dwóch miejscowych chłopaków widziało go płynącego w dół rzeki na pontonie. Był sam w czasie burzy.

— Żył?

— Wątpię. Przychodzi pani coś na myśl, pani Grant?

— Niech mi pan pozwoli przemyśleć wszystko — rzekła Erin. — Sytuacja jest dość skomplikowana. — Instynkt macierzyński nakazywał jej przemilczeć sprawę Angeli i obietnicę Jerry'ego Killiana. Nie można było również wykluczyć, że Garcia już o tym wiedział.

— A tak do protokołu — dodał. — Nie zabiła go pani, prawda?

Dziewczyna roześmiała się z pełną zdziwienia goryczą.

— Nie, proszę pana. Nie kochałam go, nie spałam z nim i zdecydowanie go nie zabiłam.

— Wierzę pani — oświadczył Garcia. — Ale mam słabość do wysokich obcasów.

Podał jej swój bilet wizytowy. Przeczytała go ze zdumieniem.

— Tu jest napisane, że pracuje pan w hrabstwie Dade!

— No tak, w tym cały problem. Jesteśmy w Broward, prawda? — Sierżant przesunął w ustach tam i z powrotem ogryzek cygara. — Montana jest daleko stąd, pani Grant. Może upłynąć sporo czasu, zanim uda mi się rozkręcić jakieś zainteresowanie tu, na miejscu.

— Ale formalnie to nie jest pańska jurysdykcja.

— Słusznie — przytaknął uprzejmie. — Wtykam nos w nie swoje sprawy, dokładnie tak.

— Dlaczego? — spytała Erin.

— Ponieważ znalazł go mój chłopak. — Garcia wyjął kluczyki do samochodu. — Ma pani dzieci, więc pani zrozumie.

— Dobrze się czuje? Chodzi mi o pańskiego syna.

— Jasne. On po prostu chce wiedzieć, co się stało, a ja wolę powiedzieć mu prawdę. A poza tym z dumą muszę stwierdzić, że pływacy to i tak moja działka.

Garcia zamilkł. Wyglądał na zmęczonego, zatroskanego i dziesięć lat starszego, niż zapewne był. Erin z trudem opanowała pragnienie, aby zwierzyć mu się ze wszystkiego.

— Bardzo chciałabym pomóc — zapewniła — ale wątpię, czy potrafię. Pan Killian był gościem, i to wszystko. Prawie go nie znałam.

Sierżant pstryknięciem odrzucił cygaro. Z sykiem wylądowało w kałuży.

Gdy wsiadł już do samochodu, Erin gestem poprosiła go, żeby opuścił szybę. Podeszła do drzwi i zapytała:

— Skoro nie prowadzi pan oficjalnego dochodzenia, to jakim sposobem wszedł pan do jego mieszkania?

— Poprosiłem administratora. — Garcia puścił do niej oko. — Odnaka jest odznaką. — Zapuścił silnik. — Niech pani wraca do środka — poradził — zanim się przeziębii.

— Czy będzie nabożeństwo? — zainteresowała się.

— Za Killiana? Nieprędko. Koroner obiecał mi, że nie podpisze dokumentów przez jakiś tydzień, dopóki nie sprawdzę tutaj wszystkiego.

— A więc gdzie jest ciało Jerry'ego?

— W lodówce w centrum Missouli — wyjaśnił Garcia. — Leży tam razem z dwutonowym martwym łosiem.

Kuzynka Joyce nie była ostatnią osobą na świecie, którą Mordecai miał ochotę zobaczyć, ale zajmowała na liście takich osób wysoką pozycję.

— Katastrofa — oznajmiła, rzucając na jego biurko stos kolorowych slajdów. — Znalazłam je w szufladzie z bielizną Paula.

— A jak się on czuje? — zapytał adwokat.

— Lepiej — odparła Joyce. — Chwilowo.

— Nie udało się zlokalizować tej synagogi-widma?

— Nie było żadnej synagogi — oświadczyła. — Obejrzyj slajdy.

Były to zdjęcia wykonane w czasie nieszczęsnego wieczoru kawalerskiego przez przyjaciela Paula Gubera. Prawnik zaczął metodycznie je oglądać pod światło lampy na biurku. Joyce usiadła, pociągając nosem.

— I to jest człowiek, za którego chciałam wyjść za mąż!

Mordecai, oglądając slajdy, marzył o rzutniku i ekranie. Kobiety wyglądały pogodnie, były wspaniałe i kompletnie gołe. Adwokatowi zrobiło się żal Paula, rozpoznał bowiem wyraźnie jego młodzieńczą twarz przytuloną czule do nagich ud brunetki. Czekająca go perspektywa mogła zjeżyć każdy włos w koziej bródce Mordecaia.

— Najwyraźniej w grę wchodził alkohol — rzekł. — Zbyt wiele alkoholu.

— Nie próbuj go bronić. Chcę, żebyś zaskarżył tego sukinsyna.

— Za co? Jeszcze nie byliście po ślubie.

— I to się nazywa prawnik! — prychnęła Joyce, wydmuchując nos.

— A co to takiego? — Mordecai oglądał ostatni slajd, zdecydowanie inny od pozostałych. Widać było na nim srebrnowłosego mężczyznę z wydatnym brzuszkiem, który stał nad wciąż kłęczącym Pauliem Gubrem. Nieznajomy trzymał oburącz nad głową zieloną butelkę, sprawiając wrażenie, że wykonuje zamach toporem. Twarz miał wykrzywioną z wściekłości. Znajdujący się za nim wyższy mężczyzna wyraźnie rzucił się do przodu z wyciągniętymi rękami, próbując powstrzymać atak.

— Dynamit! — oświadczył Mordecai. — Wyjął z górnej szuflady szkło powiększające i pochylił się nad slajdem.

— Bardzo się cieszę, że tak dobrze się bawisz — stwierdziła Joyce. — Moja przyszłość leży w gruzach, ale dzięki Bogu, ty zachowujesz świetny humor.

— Joyce?

— Co?

— Zamknij się, z łaski swojej.

Pochlipywanie ucichło. Na twarzy kuzynki adwokata pojawił się wyraz zimnej furii.

Gdy Mordecai podniósł głowę, cały promieniał radością.

— Znam tych facetów!

— Kogo? Z czego się tak cieszysz?

— Joyce, natychmiast jedź do domu. Zaopiekuj się swoim narzeczonym.

— Nie mogę. Gra w golfa.

— Nie! — krzyknął Mordecai. — W żaden sposób nie może grać w golfa. Jest bardzo ciężko chory. Ma napady migreny. Zamroczenia. Podwójne widzenie. Idź i znajdź go, Joyce. Troszcz się o niego.

Popchnął ją w stronę drzwi.

— Zobaczę się z tobą jutro. Wtedy pogadamy.

Joyce się zaparła

— A co ze mną? Mam zapomnieć, co widziałam na tych zdjęciach? Mój narzeczony, człowiek, którego zamierzałam poślubić, liże brzuch jakiejś obrzydliwej kurwy! Mam puścić w niepamięć ten straszliwy obraz?

— Jeżeli jesteś sprytna, owszem — odparł adwokat. — Ponieważ w dalszym ciągu trzymamy w rękach cholernie dobrą sprawę.

— Chcesz pozwać bar z gołymi babami?

— Nie bądź głupia. — Mordecai schwycił kuzynkę za ramiona. — Pierwsza zasada: zawsze sięgaj do najgłębszej kieszeni, czyli w tym wypadku do kieszeni gościa, który zaatakował Paula.

— A kim on jest? — spytała Joyce.

— Pomówimy o tym później.

— Ktoś znany? — Miała nadzieję, że będzie to gwiazdor filmowy.

— Daj mi obejrzeć jeszcze raz te zdjęcia.

— Później — zbył ją prawnik, popychając w stronę drzwi.

— Dostaniemy pieniądze? Jesteś tego absolutnie pewny?

— Och tak, jestem pewny, że tak — stwierdził Mordecai. — Jestem tak pewien, jak tylko to możliwe.

Wreszcie opłaciło się należeć do Partii Demokratycznej, pomyślał.



## 11.

Północ zastała Dawida Dilbecka i Christphera Rojo bawiących się jak mrówki w „Różowej Farmie”. Świątowali dobrą wiadomość przekazaną kongresmanowi przez Malcolma Moldowsky'ego za pośrednictwem Erba Crandalla — zagrożenie szantażem zniknęło! Uszczęśliwiony Dilbeck nie pytał o szczegóły. Zresztą żadnych mu nie podano. Moldy był magikiem, jego triki musiały pozostać tajemnicą i magią. Obaj panowie wypili zdrowie cholernego małego skurwysyna, a potem skupili uwagę na scenie. Wkrótce niebieskawą mgiełkę wypełniły samolociki fabrykowane z obiegowych zielonych banknotów. Gdy nadeszła pora zamykania lokalu, Dilbeck i Rojo byli serdecznie zaprzyjaźnieni z dwiema tancerkami z „Różowej Farmy”.

Świt powitali całą czwórką sto dwadzieścia kilometrów dalej, na południowo-wschodnim brzegu jeziora Okeechobee. Ubrany jedynie w krótkie kalesony i podkolanówki, Chris Rojo wygłaszał mowę na temat uprawy trzciny cukrowej i roli, jaką odgrywał w niej kongresman Dilbeck. Tancerki, skarżąc się, że pogryzły je czerwone mrówki, wycofały się na swoich dziesięciocentymetrowych szpilkach w przytulne, klimatyzowane wnętrza limuzyny, gdzie Pierre przygotowywał „krwawą Mary”.

Rojo wędrował po grobli tam i z powrotem, bez przerwy prowadząc charakterystycznie błyskotliwy kokainowy monolog.

— Dwieście tysięcy akrów błota, wspaniałego błota — głosił. — Słodziutka trzcina cukrowa jak okiem sięgnąć...

Zaćmione dzinem siatkówki Dilbecka nie rejestrowały niczego, co

znajdowało się poza sznurowadłami jego butów. Pierwsze promienie słońca ogrzewały jego nagie ramiona, podrażniając swędzące ślady niedawnych wędrowek owadów. Kongresman przestępował z nogi na nogę, zachowując się, jakby spędził całą noc w wyjątkowo malutkiej łódce.

— Mogę rzygnąć — poinformował Chrisa.

Była to pierwsza wizyta młodego milionera na polach, gdzie wyrastała rodzinna fortuna. Wzniósł szczupłe brązowe ramiona ku niebu i zawołał:

— Dwadzieścia trzy centy za funt! — Jego wrzask sprawił, że Dilbeck skrzywił się cierpiętniczo. — Dwadzieścia trzy centy! — ryknął ponownie Rojo. — Dziękuję ci, *Tio Sam*! Dziękuję ci, Davey!

Dwadzieścia trzy centy za funt stanowiło przeciętną ceną hurtową cukru produkowanego przez przedsiębiorstwo rodziny Christophera Rojo. Tę wywindowaną cenę ustanowił Kongres Stanów Zjednoczonych, a zaakceptowała ją Korporacja Kredytów Towarowych, agencja Departamentu Rolnictwa. Rojo miał istotne powody, by okazywać wdzięczność — na rynku światowym cukier trzcinowy z Karaibów sprzedawano zaledwie po dwadzieścia centów za funt. Szytywne kwoty importowe zasadniczo uniemożliwiały import zagranicznego cukru do Stanów, pozwalając tym samym rodzinie Rojo utrzymać ceny, a dzięki temu — nader wystawny styl życia. Za każdym razem, gdy organizacje handlu międzynarodowego zaczynały atakować kwoty importowe, Kongres natychmiast rzucał się z odsieczą. Dilbeck był jednym z największych przyjaciół Wielkiego Cukru i Chris Rojo nigdy nie pomijał sposobności, aby okazać swoją wdzięczność. Teraz, o poranku, zamknął kongresmana w dzikim acz niezgrabnym uścisku.

Polityk poczuł, że chwieje się na nogach, i szybko się wyzwolił.

— Nie czuję się najlepiej. Gdzie są dziewczyny?

— Któż to wie? — odparł Rojo. — Wyluzuj się, przyjacielu. Dziewczyny będą zawsze.

Kongresman popatrzył w słońce, mrużąc powieki.

— Czy je przelecieliśmy?

— Nie mam pojęcia.

— Ja również — stwierdził Dilbeck. — Zakładam jednak, że tak.

— Biorąc pod uwagę, że wszystko kosztowało tysiąc dolców, szczerze na to liczę.

Kongresman skrzywił się, słysząc tę sumę.

— Tyle zapłaciłeś?

— Pięćset od każdego. I co z tego? — Rojo mówił wysokim, piskliwym głosem. — Dla mnie to nic nie znaczy — oznajmił. — Tylko pieniądze.

Dilbeck poczuł, że wysokość tej sumy wywołuje u niego gorączkę. Dotknął karku i zauważył, że jest wilgotny. Zastanawiał się, co się stało z jego koszulą. Miał nadzieję, że jedna z tancerek pana Linga pożarła ją w napadzie seksualnego szału.

— Żyjemy w zwariowanym świecie, Davey — rzekł Rojo. — Daję jakiejś dziewczynie pięćset dolców za samą przejażdżkę, jasne? Dla tych biednych palantów, którzy ścinają trzcinę — machnął ręką w stronę pól — to trzytygodniowa płaca.

— Poważnie? — zapytał polityk.

— To dziwny kraj, przyjacielu. A teraz muszę znaleźć swoje spodnie.

Gdy wrócili do limuzyny, Christopher Rojo dołował ostro po kokainie, a David Dilbeck znajdował się na krawędzi zawału serca. Pierre trzymał drzwi otwarte, oni tymczasem gramolili się na tylne siedzenie. Tancerki spały, tworząc jaskrawą płataninę blond włosów, koronek i spandeksu. Koszula Dilbecka i spodnie Roja leżały skotłowane na podłodze samochodu. Kongresman wygarnął garść lodu z przenośnej lodówki i przyłożył do czoła.

— Ależ kurewsko gorąco — poskarżył się.

— Floryda, człowieku — mruknął Chris Rojo.

Tkwiający w milczeniu za kierownicą Pierre odwrócił się po polecenia, dokąd ma jechać.

— Do cywilizacji — rozkazał młody człowiek. — I przyciśnij gaz.

Dilbeck obserwował płaskie brązowe pola przepływające obok z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, na wysokie łądygi trzciny rozciągające się po sam horyzont. Nie mógł uwierzyć, że istoty ludzkie mogą pracować w takim duszącym upale od świtu do zmierzchu. Słyszał, że warunki są trudne, ale Chryste Wszechmogący, nie wyobrażał sobie, że to aż tak wygląda.

— Ile im płacisz? — zapytał Christophera Rojo.

— Dziewczynom? Już ci powiedziałem, Davey. Pięć setek na głowę.

— Nie, chodzi mi o robotników sezonowych.

— A, ci. — Rojo szamotał się, usiłując wpackować nogi do nogawek

zmiętych spodni. — Ojciec mi mówił, że do trzydziestu dolicz dzień. Wszystko zależy, czy brygadzysta jest w dobrym humorze. Ale kiedy odejmie się mieszkanie i wyżywienie, fajki i wódeczność.... kto wie? Poza tym opieka medyczna też nie jest tania.

— Jezu! — jęknął kongresman.

— Hej, przecież wciąż wracają. W porównaniu z Santo Domingo mamy tu przecież pieprzony Klub Śródziemnomorski.

— Jak długo pracują?

— Aż zrobią swoje — wyjaśnił młodzieniec. — Ojciec twierdzi, że dobry robotnik ścina na godzinę tonę trzciny. Dasz wiarę? Całą cholerną tonę... Zdziwiający, ile człowiek może dokonać, gdy ma odpowiednią motywację.

David Dilbeck odwrócił się do okna i zamknął oczy. Samo myślenie o tym przyprawiało go o zawrót głowy i mdłości.

Sędzia był zaskoczony, gdy Erin usiadła przy jego stoliku.

— Pamięta mnie pan? — zapytała. — Matka niespełniająca warunków.

Sędzia sztywno wysączył swoją whisky.

— Miałem nadzieję, że to wizyta towarzyska — oświadczył.

Erin opanowała się z wysiłkiem. W przerwie wypła dwa martini, co rzadko jej się zdarzało w czasie występów. Chodziło o fakt, że Jerry Killian nie żył. Nawet marginalne powiązanie ze sprawą morderstwa groziło zniweczeniem jej szans na odzyskanie Angeli. Przecież próbując jej pomóc, Killian mógł zaczepić niewłaściwe osoby. Dokąd zaprowadził go ten porażony plan? Czy rzeczywiście usiłował wywrzeć nacisk na członka Kongresu? Erin musiała zdobyć więcej informacji, zanim opowie Alowi Garcii o swoim współudziale. Sędzia był jej najpoważniejszym tropem, ale zarazem niezwykle ryzykownym. Wykonała unik w najbardziej oczywistym kierunku.

— Chciałabym, żeby pan wysłuchał mojej wersji sprawy.

— Już to zrobiłem — odparł sędzia. — W czasie rozprawy.

Kelnerka przyniosła następnego drinka, na który stróż prawa spojrział z utęsknieniem, lecz nie zdecydował się napić. Erin zastanawiała się, czy Shad doprawił go w zwykły sposób.

— Dzięki panu — rzekła — moja córka jest pod opieką nieoprawnego przestępcy.

— Akta nie zawierają żadnej wzmianki na ten temat.

— Akta zostały wyczyszczone, panie sędzio. Darrell Grant jest płatnym informatorem urzędu szeryfa i pan dobrze o tym wie. Wyczyszcili jego kartę karalności.

Wijąc się w ciemnej loży, sędzia wcale nie sprawiał tak imponującego wrażenia jak na sali sądowej. Tutaj, w „Żwawym Bobrze”, był po prostu kolejnym napalonym starym pierdołą o nieprawdopodobnych marzeniach.

— Mój były mąż handluje kradzionymi fotelami inwalidzkimi — powiedziała Erin. — I robi z naszej córki swoją współniczkę.

Sędzia wyjaśnił jej, że oparł swoją opinię na faktach udokumentowanych w czasie rozprawy — na tym polega prawo.

— Ale prawdą jest również, że decyzja może być zmieniona. — Poruszył szklaneczką burbona, obracając kostki lodu ruchem przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. — Czy zatańczy pani na moim stoliku?

— Nie robię tego.

— Inne tańczą.

— A ja nie — oświadczyła Erin.

— W takim razie może coś innego? — Sędzia objął szklanekę obiema dłońmi, jak święty kielich. W jego głosie zabrzmiały przebiegłe nutki. — Wspomniałem pani przyjacielowi o pewnym konkretnym pomysle.

— Któremu przyjacielowi?

— Temu „specjalnemu”.

Oczywiście, pomyślała Erin.

— Mam mnóstwo „specjalnych” przyjaciół — zapewniła. — Z mnóstwem specjalnych pomysłów.

Sędzia wyduł swoje przypominające parę dżdżownic wargi i oznajmił:

— Pani się ze mną bawi. — Przez chwilę grzebał pod stołem, zupełnie jakby się drapał, ale wyciągnął spod blatu Biblię. — Przychodzi tu często, aby modlić się za takie grzesznice jak pani.

— Ooo, znakomicie.

— I przez cały czas trzymam tę świętą księgę na kolanach.

— Jasne — przytaknęła Erin. — Lewituje?

— Walczę z diabłem na jego własnym terenie.

— Oczywiście — potaknęła.

— Dobro przeciwko złu. Wieczna walka. — Sędzia znalazł suchy fragment stołu i położył na nim Biblię. A potem pozwolił sobie wypić hałaśliwie łyk burbona. Na scenie obie Moniki tańczyły przebrane za rewolwerowców — miały ozdobione frędzelkami cholewki butów, stetsony, kabury, a na każdej nagiej piersi błyszczała srebrna gwiazda. Sędzia na chwilę odpłynął.

— Muszę już iść się przygotować — powiedziała Erin, zbierając się do wyjścia z łoży.

Sędzia natychmiast się ocknął.

— Czy to oznacza, że odpowiedź brzmi „nie”?

— A jaka według mojego „specjalnego” przyjaciela miała być?

— Pan Dilbeck nie był pewien.

Wreszcie, odetchnęła Erin. Kongresman Jerry'ego.

— Rozmawialiśmy o sprawie pani opieki nad dzieckiem — kontynuował sędzia. — Zaproponowałem ustne wynagrodzenie. Czy nie powtórzył?

Ustne wynagrodzenie! Niewiarygodnie sprytne! Prawdziwy z niego Noel Coward.

— Czcigodny panie sędzio — zaczęła. — Nie znam nikogo o nazwisku Dilbeck. A bez względu na to, co mu pan zasugerował, zapewniam, że moja odpowiedź brzmi „nie”.

Sędzia sprawiał wrażenie bardziej zaskoczonego niż obrażonego.

— W porządku — odparł, mieszając lód. — Ale może moglibyśmy się wspólnie pomodlić któregoś pięknego niedzielnego poranka.

Uśmiechający się kretyńsko adwokat czekał już w drzwiach.

— Proszę wejść, proszę wejść, proszę wejść!

Shad nie dowierzał serdeczności.

— Usłyszałem za pierwszym razem. Jakie są wiadomości z „Delicato”?

Mordecai zaprowadził go do sali konferencyjnej.

— Kawy, panie Shad?

— Odpowiedzi, panie Mordecai.

Shad wyciągnął zza paska bezprzewodową wiertarkę black and decker z pięciomilimetrowym wiertłem, a potem bez słowa zaczął wycinać eleganckie dziurki w reprodukcji Matisse'a.

— Nowy pointyizm — wyjaśnił zbaraniałemu adwokatowi.

BRAK STRONY 127

**BRAK STRONY 128**



znak sekretarce, aby opuściła pokój. — Proszę uważać — zwrócił się do siłacza.

Shad delikatnie trzymał kciukiem i wskazującym palcem każdej dłoni konika polnego oraz japońskiego żuka. Poruszone przez niego martwe owady tańczyły zgrabną polkę na blacie stołu.

— Nadawaj pan — zgodził się łaskawie. — Cały zamieniłem się w słuch.

Adwokat pokazał mu kolorowy slajd z wieczoru kawalerskiego Paula Gubera.

— Proszę spojrzeć.

— Co to takiego?

— Proszę. Niech pan trzyma za róg.

Shad włączył owady z powrotem do szyku i poświęcił swoją uwagę diapozytywowi. Podniósł go pod światło i przymrużywszy jedno oko, zaczął wpatrywać się w obiekt wielkości znaczka pocztowego.

— No, no, ale widok — mruknął.

— Wie pan, gdzie wykonano niniejsze zdjęcie?

— Jasne. W klubie.

— A kto na nim jest?

— Ja, Erin i paru pijanych dupków.

— Erin to ta striptizerka?

Głowa Shada odwróciła się powoli.

— Ona jest tancerką. Najlepszą.

Ton jego głosu był morderczy. Słodki Jezu, pomyślał Mordecai, a teraz w dodatku obrazilem przyjaciółkę tego potwora. Czy coś jeszcze może pójść nie tak?

Adwokat niepewnym głosem zaczął rozwijać temat.

— Ten młody człowiek nazywa się Paul Guber. Jest moim klientem.

— W takim razie niech Bóg ma go w swojej opiece.

— A ten starszy mężczyzna wykonujący zamach butelką po winie? — Czy poznaje go pan?

Shad ponownie spojrzął na diapozytyw.

— Nie. Ale butelka jest po szampanie. Chyba to korbel.

— Ten człowiek nazywa się David Dilbeck. Czy interesuje się pan polityką, panie Shad?

— A czy wyglądam na takiego, który interesuje się polityką?

— Pan Dilbeck jest członkiem Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Bramkarz rozważał ten problem, oglądając slajd kolejny raz.

— Facet wpakował się w cholerną sytuację — stwierdził. — Jak się domyślam, masz pan zamiar zaprosować go do skarpetek.

— Może dojść i do tego — przyznał Mordecai. — Tuszę jednak, że uda nam się w rozsądnej atmosferze dojść w tej sprawie do prywatnej ugody.

— Jednak? — Shad nie pochwalał pokrętnego gadania. Uszczypnął adwokata w pulchne policzki i poinformował:

— Bardziej mi się podobałeś ze skorpionem w jadacze.

— Puść! — wrzasnął prawnik.

Shad go puścił.

— A do czego ja jestem tu potrzebny? I już bez żadnych psycholów. Mam dosyć tej lipy.

Mordecai roztarł policzki.

— Widział pan wszystko, panie Shad, całą napaść. Gdy ludzie Dilbecka dowiedzą się, że mam naocznego świadka, wleżą na ścianę.

— Powiedz mi pan, ile forsy może mieć taki byle jaki kongresman? — zapytał Shad.

— Niech mi pan wierzy. Im marniejsi, tym więcej mają. — Prawnik wycofał się ostrożnie z zasięgu rąk ekscentrycznego klienta. — Ale należy pamiętać, że nie chodzi nam o Dilbecka. Poważne pieniądze są u człowieka, który ma Dilbecka na własność, z duszą i ciałem.

Bramkarz znowu zaczął się bawić zdechłymi owadami.

— Powiniennem wypróbować je na szachownicy — zauważył.

— Proszę — powiedział Mordecai. — Niech mi pan zaufa. Wiem wszystko o Dilbecku, byliśmy delegatami na zjazd Mondale'a w osiemdziesiątym czwartym.

— Zaraz się rozplącę — oznajmił Shad.

— Tu chodzi o miliony dolarów!

Wyglądało na to, że facet mówi poważnie. Shad zawiesił chwilowo swoją decyzję wdeptania go w ziemię.

— Miliony — powtórzył ochryłym głosem Mordecai. — Ludzie, do których należy David Dilbeck, zrobią wszystko, aby utrzymać go na stanowisku. A są to jedni z najbogatszych sukinsynów na Florydzie. Mają dość pieniędzy, żeby je przepuszczać.

— W takim razie — oświadczył Shad — pomóżmy im.

## 12.

Orly zatrudnił nową tan cerkę, której pseudonim sceniczny brzmiał Marvela. Była wysoką platynową blondynką o zgrabnej figurze i dobrze wiedziała, jak się ruszać. Podczas pierwszej nocy, występując w klatce, dostała dwa razy więcej napiwków niż Erin.

Później, jedząc waniliowego loda, Urbana Sprawł oznajmiła Erin, że już najwyższy czas, aby miała jakąś konkurencję.

— I wolną noc — mruknęła Erin. Tańczyła tego dnia marnie i z tak wymuszonym, nieszczerym uśmiechem, że tylko najbardziej pijani widzowie mogli tego nie zauważyć. — Cały mój zmysł koncentracji szlag trafił — dodała.

— Chcesz o tym porozmawiać?

— Pan Oczko nie żyje.

— O mój Boże! — szepnęła Urbana.

— Być może zamordowany.

— Słodki Jezu!

Aż do tej pory Erin nie podała nikomu prawdziwego powodu wizyty sierżanta Garcii w „Żwawym Bobrze”. Dziewczyny uznały, że tematem ich rozmowy był eksmąż Erin, obiekt stałego zainteresowania wielu agend policyjnych.

Urbana zaczęła ją błagać o szczegóły śmierci Jerry'ego Killiana.

— To długa historia — odparła Erin. — I mam wrażenie, że jestem w samym jej środku. — Wyciągnęła rękę do tyłu i zamknęła drzwi do garderoby na klucz. — Najwyraźniej ktoś faceta utopił.

— Z twojego powodu?

— Pośrednio.

— W takim razie lepiej się ukryj, dziewczyno. Zamieszkać ze mną i Royem. — Przyjaciół Urbany, Roy, był mechanikiem w gangu motocyklowym. Roy i Urbana przywykli do niespodziewanych gości. Ale Erin podziękowała jej.

— Na twoim miejscu siedziałabym już w pierwszym odlatującym stąd samolocie — dodała przyjaciółka.

— Nie wyjadę bez Angeli. I najpierw muszę zdobyć więcej pieniędzy. — Jej zasoby były ograniczone, a wydatki duże, kosztowne.

Urbana zaproponowała tańce na stolikach i prywatne przyjęcia.

— Jesteś jedyna, która tego nie robi.

— Może do tego dojdzie.

— Są też inne sposoby — kontynuowała Urbana. — Wiem, że nie zgodziłabyś się, ale niektóre dziewczyny tak robią. Wszystko zależy, czego potrzebujesz i jak bardzo.

Erin poklepała ją po ręce i poprosiła, żeby się nie martwiła.

— Prędzej wykonam skok na Jiffy Marts, niż zgodzę się na takie numery. Czy mogłabyś przekazać panu Orly'emu, że zrywam się dziś wcześniej?

Erin była zbyt zmęczona, aby zmyć makijaż i się przebrać. Na czerwonej górce i minifigi włożyła więc szare spodnie od dresu i workowaty podkoszulek. Związała włosy w luźny koński ogon, wrzuciła napiwki do portmonetki, a buty na obcasie do torby. Spojrzała na odbicie w lustrze swojej twarzy o zmęczonych oczach i podsumowała:

— Ależ jestem odlotową dziewczyną.

— Jeżeli mogę ci w czymś pomóc — zaproponowała Urbana — powiedz tylko.

— Mogłabyś połamać Marveli nogi?

— Idź już do domu, kochanie. Prześpij się trochę.

— Spać? A co to takiego? — Erin pożegnała się i otworzyła drzwi garderoby. W mrocznym korytarzyku Monique Sr usiłowała naprawić zerwaną podwiązkę.

— Musiało mi się coś takiego zdarzyć akurat tej nocy, kiedy przy stoliku numer jeden siedzi John Chancellor — poskarżyła się.

— Tak? — odparła Erin. — A ja jestem entuzjastką Brokawa.

Erin poszła do domu i przyrządziła sobie martini. Nastawiła na cały regulator taśmę Toma Petty'ego i rozebrała się. Leżąc na łóżku, wpatrywała się w znane, wychudłe twarze na ścianie — plakaty legendarnych gwiazd rocka, w tym również tych nielicznych, którzy jeszcze żyli. Plakaty były podarunkiem od jednego z jej zagorzałych wielbicieli, faceta zajmującego się promocjami koncertów. Tak bardzo chciał jej zaimponować, że pewnego razu sfalszował na płycie kompaktowej autograf Petera Framptona. To było gorzej niż żalotne.

W mieszkaniu Erin znajdowała się minimalna liczba ozdób, stanowiło ono bowiem tylko czasowe miejsce jej pobytu. Nie chciała więc inwestować w nic, co nie było plastikowe, przenośne, czyli co mogła przetransportować w jeden dzień samotna kobieta. Nawet aparatura audio, jedyna ekstrawagancja, na jaką sobie pozwoliła, dawała się zmieścić w czterech lekkich pudłach.

Nic jej nie wiązało z tym lokalem, nawet wspomnienia. O trzech mężczyznach, którzy byli w jej sypialni, potrafiła równie łatwo zapomnieć jak o całym wyposażeniu z przeceny. Jeden z nich nawet jeszcze nie zdążył zdjąć spodni, gdy Erin kazała mu zniknąć. Oglądała *60 minut*, swój ulubiony program telewizyjny, gdy młody gość zauważył, że nie przepada za tą audycją, ponieważ „za dużo w niej gadają”. Erin poleciła mu więc zapiąć spodnie i spadać w podskokach. Nigdy więcej nie umówi się z graczem w baseball, a przynajmniej z nikim, kto nie byłby w ekstraklasie.

Położyła sobie poduszkę pod głowę i pomyślała jadownicie: Ależ sobie urządziłam życie!

Telefon na stoliku nocnym sprawiał wrażenie rozpalonego do czerwoności. Tyle możliwości, aby z niego skorzystać. Zadzwoić do mamy i pożyczyć pieniędzy na nowych prawników? Może kiedy zatkaną Biscayne zamarnie.

Skontaktować się z Garcia i wszystko wyśpiewać? Erin wątpiła, czy jej problemy domowe wzmruszą detektywa do łez. Ale może zaintrygowałyby go niezwykle szczegóły szantażu planowanego przez Jerry'ego Killiana. Zabójstwo na tle politycznym mogło stanowić dla niego pożądaną odskocznnię od rutyny domowych i narkotykowych morderstw.

Może powinnam wykonać ten telefon, zastanawiała się Erin. Mieć to za sobą.

Zmieniła jednak zdanie i postawiła pustą szklanę po martini na podłodze. Jimi Hendrix wisiał nad jej głową, dotykając językiem swojej leworęcznej gitary Stratocaster. Zmarł, mając dwadzieścia siedem lat. Nie ze mną te numery, kolego, postanowiła Erin.

Wzięła telefon ze stolika i położyła go sobie na brzuchu. Wybrała numer w Deerfield Beach i zamknęła oczy, myśląc: *proszę, proszę, proszę!*

Angela podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

— Kochanie?

— Mamusia?

— To ja. Nie obudziłam cię?

— Gdzie jesteś, mamusiu?

— Czy twój ojciec jest tam? Jeżeli tak, to mów cichutko.

— Czy możesz się z nami zobaczyć? Każdego dnia jeździmy na wycieczki do szpitala.

— Którego szpitala, kochanie?

— Do różnych. Tatuś ubiera się jak doktor Shaw.

— O Boże! — jęknęła Erin.

— A potem sadza mnie w fotelu na kółkach i bardzo szybko nim wiezie. Możesz się z nami zobaczyć? Będziemy jechali bardzo szybko... Ty też będziesz mogła popychać.

— Angela, posłuchaj mnie.

— Chyba muszę już iść. Kocham cię, mamusiu.

— Angelo...

Długa cisza. Czyjś oddech. A potem wilgotne kasznięcie.

— Angie?

Darrell Grant roześmiał się wysokim, podsycanym prochami śmiechem.

— Chyba będę musiał zakażać zmienić ten numer.

— Jesteś głupim, cholernym dupkiem! — krzyknęła Erin. — Jeżeli będziesz posługiwał się tą małą dziewczynką i cię złapią...

— Do diabła, nie dam się złapać. Wymarzony układ, nie mówiłem ci? Ukradłem kitel lekarski, prawdziwe słuchawki... Człowieku, jak ja fachowo wyglądam! Poważnie się zastanawiam, czy nie zając się na boku ginekologią...

— Darrell, oni ją zabrają! Opieka społeczna zabierze ją nam obojgu. Na zawsze.

— Boże, ty się musisz ciągle zamartwiać. Już ci powiedziałem, że mnie nie złapią. Układ wygląda tak: ubieram Angie w piżamkę, dzięki czemu wygląda jak prawdziwa pacjentka. Pamiętasz jej piżamkę w Ciasteczkowe Potwory? Tę z falbankami na dole...

— Ty dupku!

— No, nie bądź taka ważna. Machasz cyckami, żeby zarobić na życie, więc mnie nie krytykuj, kochanie, do kurwy nędzy...

Erin cisnęła telefon na podłogę. Była zbyt wściekła, aby płakać, zbyt zdenerwowana, by zasnąć. Wciągnęła bawełnianą koszulkę i dzinsy, a potem schwyła z komódki kluczyki do samochodu.

Agent specjalny Tom Cleary był w szlafroku koloru czerwonego wina i brązowych miękkich papuciach. Na Erin robił czarujące wrażenie. Nigdy nie widziała go niestarannie ubranego czy choćby w pogniecionym ubraniu. Poderwany ze snu, miał włosy ułożone w ostry czubek, zupełnie jak u ptaka, kardynała.

— Kawy? — wychrypiał.

Siedzieli w kuchni i rozmawiali po cichu, podczas gdy żona Cleary'ego podgrzewała butelkę dla wyjącego na górze niemowlaka. Było to ich czwarte dziecko w ciągu sześciu lat i problemy wywołane tą płodnością dawały już o sobie znać. Gdy Erin przeprosiła za tak późną wizytę, pani Cleary stwierdziła, że nie ma sprawy. Najmniejszego kłopotu! Niewiele brakowało, by eksplodowała wymuszoną uprzejmością. Dopiero kiedy poszła na górę, jej mąż wyraźnie się rozluźnił i odetchnął z ulgą.

— Potrzebuję pomocy — oznajmiła Erin, pochylając się do przodu.

— Znowu Darrell?

— Oczywiście. — Opowiedziała mu o tym, że jej były mąż został informatorem policji, o wysokich kosztach walki w sądzie o opiekę nad dzieckiem, o wymyślonym przez Granta sposobie kradzieży wózków inwalidzkich, w którym Angela odgrywała rolę figury antki...

— Poczekaj chwilkę — przerwał jej agent. — Dostał opiekę? Chyba niemożliwe.

Erin poczuła suchość w gardle.

— Sędzia twierdzi, że jestem nieodpowiednią matką. Co ty na to? Cleary wciąż nie mógł uwierzyć.

— Nieodpowiednią matką? — Powiedział to pełnym przerażenia szeptem, jakby mówił o jakiejś obrzydliwej chorobie. — Co, na litość... Erin, czy coś się stało?

Nie mogę mu się przyznać, gdzie pracuję, pomyślała. Nigdy nie zrozumiałaby „Żwawego Bobra”.

— To długa historia — rzekła.

— Darrell dotarł do sędziego?

— No cóż, coś w tym stylu.

Kawa była gotowa. Cleary nalał. Na górze niemowlak przestał wreszcie płakać.

— Tom, on zamienia moją córkę w jakąś cyganekę — uskarżyła się Erin.

Agent FBI pokiwał poważnie głową.

— Problem polega na tym, że nie możemy naruszać jurysdykcji...

— Chciała coś dodać, ale Cleary nie dopuścił jej do głosu. — Daj mi skończyć, Erin. Twój rozwód jest z powodztwa cywilnego, całkowicie poza naszym kręgiem zainteresowania. Jeżeli jednak masz dowód, że sędzia jest skorumpowany, może będziemy mogli ubić interes...

— Nie mam dowodu — odparła ostro Erin. — Sądziłam, że to należy do twojego wydziału.

Oczy Cleary'ego błysnęły gniewnie, lecz ciągnął dalej:

— Afera z fotelami inwalidzkimi, przyznaję, jest obrzydliwa. Stanowi jednak przypadek kradzieży, czyli coś, co nie wchodzi w zakres kompetencji Biura.

— Ale miejscowi mają Darrella na swojej cholernej liście płac!

Agent był przygnębiony, lecz w dalszym ciągu nieporuszony jak skała. Erin czuła się pokonana.

— Jeden twój telefon i gliniarze odrzucą go jak śmierdzące jajo. Jeden marny telefon, Tom.

— Nie działałam w taki sposób. Zasady są zasadami.

— Wcześniej mi pomogłeś...

— Przepuściłem nazwisko przez komputer. Prosta sprawa, Erin.

— Cleary zdjął okulary i zaczął masować sobie skronie. — Nie mogę



jednak — oświadczył zmęczonym głosem — otworzyć sprawy federalnej przeciwko twojemu byłemu mężowi. Bardzo mi przykro.

— Mnie również — mruknęła Erin w kubek z kawą.

Agent zapytał, czy informacje na temat Jerry'ego Killiana okazały się pomocne. O tak, zapewniła, bardzo się przydały. Podziękowała mu za kawę i podniosła się szybko, chcąc wyjść, ale Cleary zatrzymał ją pytaniem:

— W jaki sposób pasuje do tego wszystkiego? Myślę o Killianie.

— Następną długą historią — wykręciła się od odpowiedzi. Cleary wpadłby w popłoch, gdyby się dowiedział, że Jerry Killian nie żyje. Automatycznie skojarzyłyby morderstwo z przeciekami danych komputerowych i czułyby się w obowiązku wyznaczyć naruszenie przepisów. Nagromadziłyby się kilka metrów sześciennych papierów, zanim zaczęłoby się rzeczywiste dochodzenie w sprawie utonięcia Killiana. Tymczasem Toma Cleary'ego z całą pewnością przeniesiono by do jakiegoś odpowiednika Syberii dla pracowników FBI, gdzie jego żona stanęłaby w obliczu mroźnych zim i ograniczonych możliwości zdobycia pomocy domowej. Ostatecznie Biuro ustaliłoby fakty związane ze śmiercią Killiana i uniewinniło wygananego agenta. Do tej jednak pory Darrell Grant może wylądować bezpiecznie na Tasmanii albo gdziekolwiek indziej, zabierając ze sobą Angełę.

Erin nie miała czasu czekać na FBI. I chciała, aby Tom Cleary pozostał w Miami. Być może będzie go jeszcze potrzebowała. Odprowadzając ją do drzwi, agent zapytał, gdzie pracuje.

— W knajpie — odparła. — Pracuję przy barze. — Nie było to jakimś beczelnym kłamstwem. Tak samo skłamała swoim dziadkom.

— Jakiej knajpie? — nalegał Cleary.

— Nie znasz jej, Tom. Na pewno nie znajduje się w twojej jurysdykcji.

Agent spokojnie przyjął jej sarkazm. Wyraził zaniepokojenie, że Erin podaje drinki. Wyjaśniła, że zarobki są niezłe.

Cleary oświadczył głosem przepełnionym poczuciem winy:

— W sprawie Darrella bardzo chciałbym jakoś nagiąć przepisy, ale nie mogę. Po prostu nie mogę.

— Rozumiem, Tom. — Erin sprawdziła dyskretnie, czy w pobliżu

nie ma żony, i szybko cmoknęła go w policzek. — Dziękuję za wszystko — powiedziała.

Gdy wróciła do domu, w ESPN pokazywali mistrzostwa Meksyku w boksie. Twarz jednego z zawodników była sina i poobijana, krew spływała mu z czegoś, co sprawiało wrażenie trzeciej dziurki w nosie. Drugi bokser zadawał starannie wymierzone ciosy w złamany nos przeciwnika do chwili, aż krwawienie stało się tak silne, że sędzia ringowy poślizgnął się na ringu.

Swego czasu Erin nie mogła pojąć, jak istota ludzka może zadawać takie cierpienia przeciwnikowi, którego właściwie nie zna. Teraz, gdy myślała o swoim byłym mężu, zaczęła rozumieć, co kieruje bokserami — było to proste przeniesienie agresji z rzeczywistego życia na ring.

Do rana zdołała się opanować. Wykonała sto przysiadów, ponownie podłączyła telefon i zadzwoniła jeszcze raz. To również był daleki strzał.

Erb Crandall zauważył coś nowego we frontowym holu apartamentu Malcolma J. Moldowsky'ego. Był to kolorowy portret Johna Mitchella, byłego prokuratora generalnego i skazanego wyrokiem sądowym przestępcy.

— Mój drogi przyjaciel i nauczyciel — wyjaśnił Moldy. — Okrutnie zniesławiony, wyprzedzający swoją epokę człowiek. Ot, amerykańska tragedia.

— Wiem o nim wszystko, Malcolmie.

— Polityczny geniusz — ciągnął Moldowsky. — Jego kardynalnym błędem była źle ulokowana lojalność. Wziął na siebie ciężar winy Nixona.

— A kto tego nie robi? — Erb Crandall był w college'u, kiedy trwały przesłuchania w aferze Watergate. Zapamiętał Johna Mitchella jako gburowatego starucha, który nie potrafił się wyłgać z najprostszej sytuacji.

— Członek zespołu najwyższej klasy — oświadczył promieniejąc Moldowsky i pogłaskał ramę portretu z czułością, która zaniepokoiła Crandalla. — Czy masz swojego bohatera? — zapytał Erba.

— Nie.

— To bardzo cyniczne, Erb.

— Ludzie mający swoich bohaterów zazwyczaj w coś wierzą. A jak to wygląda u ciebie?

Moldy zastanawiał się nad jego pytaniem, nalewając dwa koniaki. Podał jedną lampkę Crandallowi i odrzekł:

— Wierzę we wpływy dla wpływów.

— Pociąganie za sznurki?

— Podniecające, prawda?

— Mówiąc szczerze, niekiedy rzygać się chce — odparł Crandall.

— Wciąż jeszcze jesteśmy w okopach, Erb, bądź cierpliwy.

— Chcesz powiedzieć, że któregoś dnia mogę skończyć... jak on?

— Wskazał na oblicze Johna Mitchella. — O rany, Malcolm, nie mogę się doczekać.

— Jesteś cynicznym fiutem.

Siedzieli w szykownym salonie Moldowsky'ego, z którego rozpościerał się panoramiczny widok na Ocean Atlantycki. Odległe światła statków handlowych i pasażerskich mrugały na Prądzie Zatokowym. Na Crandalla widok ten działał kojąco, a koniak rozgrzewające

Moldy zażądał aktualnych informacji na temat kampanii reelekcyjnej. Z przyjemnością dowiedział się, że republikański konkurent Davida Dilbecka, prawnik handlarz akcesoriami, zgromadził jak dotąd zaledwie sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Nieszczęsny palant większość swojego czasu poświęcał na odpieranie ataków prasy i próby wyjaśnienia dwóch dawnych wyroków skazujących za oszustwa pocztowe w Little Rock w stanie Arkansas. Moldy osobiście wykopał tę kartę karalności i przekazał zaprzyjaźnionemu dziennikarzowi z Miami.

W komunikacie z frontu wewnętrznego Erb Crandall poinformował, że każdy żywy członek klanu Rojo, w tym również parę tuzinów dalekich kuzynów, posłusznie przesłał czek z maksymalną dopuszczalną składką na komitet reelekcyjny Davida Dilbecka. Dodatkowe tysiące dolarów spływały od rzekomo zwykłych obywateli, pragnących wesprzeć wyjątkową działalność kongresmana. Sprawdzanie nazwisk ofiarodawców ze spisami wyborców czy choćby z książką telefoniczną na nic by się zdało. Nazwiska należały do karaibskich robotników rolnych importowanych przez przemysł cukrowniczy do zbioru trzciny cukrowej. Wykorzystanie niedających się zidentyfikować imigrantów do zakamuflowania prowadzonych przez rodzinę

Rojo nielegalnych dofinansowań było natchnionym pomysłem Moldy'ego.

— Davey w dalszym ciągu nic o tym nie wie — oznajmił Crandall.

— Więc mu nie mów — poradził Moldowsky.

— Uważa, że uwielbiają go maszy.

— Podtrzymuj go w tym przekonaniu, Erb. Potrzebujemy kandydata głęboko przeświadczonego o swej wartości.

— O, to tylko Davy'ego — odparł Crandall. — Jest cholernie głęboko przeświadczony, że wymyka się mojej kontroli. — Podał Moldy'emu najnowszy rachunek kongresmana z „Różowej Farmy”. Pan Ling bezczelnie wliczył do niego czterdzieści dolarów za „wymianę uszkodzonych ciast”.

— A gdzie ty byłeś? — zapytał Moldowsky Crandalla.

— Wyszedł tylnymi drzwiami, Malcolmie. Chris Rojo podstawił mu samochód.

— Pytałem, gdzie byłeś?

— Spałem w saloniku.

— Świetna robota.

— Odpieprz się! — oburzył się Crandall. — Dzisiaj wieczorem sam możesz się nim zajmować. Chętnie zapłaciłbym, żeby to zobaczyć.

Moldowsky zdenerwował się na wiadomość, że Dilbeck ponownie wykręcił swój stary numer. Najwidoczniej ten idiota nie wyciągnął żadnych wniosków z incydentu w „Żwawym Bobrze”.

— Może by mu dosypać coś do jedzenia? — zaproponował Erb. — Myślałem o saletrze.

— Tak? A ja o thorazynie. — Moldy w dalszym ciągu nie mógł ogarnąć umysłem rozmiarów głupoty kongresmana. Czy nie zdaje sobie sprawy, jak mało dzieliło go od katastrofy? Jerry Killian zniknął, ale jeżeli Dilbeck nie będzie się trzymał z dala od knajp ze strip-tizem, mogą się znaleźć inni jemu podobni, inni niebezpieczni szantażyści.

— Jest coś jeszcze — oświadczył Crandall.

Moldowsky gwałtownie rozluźnił krawat, jakby uciekał od stryczka.

— Niech się domyśle. Uciekł i przeleciał cheerleaderkę \*. Powiedzmy, nieletnią cheerleaderkę. Z katolickiej szkoły dla dziewcząt.

\* *Cheerleaders* — grupa dziewcząt (najczęściej przystojnych i krótko ubranych) w barwach klubowych zagrzewająca kibiców do dopingowania drużyny (przyp. tłum.).

— Życzyłeś sobie, żebym informował cię na bieżąco o wszystkich niezwykłościach.

— Więc mnie informuj, Erb. Zanim umrę z pieprzonej niepewności.

Crandall wrzucił do ust przeciwkaszlowego dropsa.

— Dziś rano nasz kongresman otrzymał dziwny telefon.

— Tu czy w swoim waszyngtońskim biurze?

— W Waszyngtonie. Wiadomość odebrała jedna z sekretarek. — Erb Crandall przesuwał cukierka od jednego policzka do drugiego. — Dzwoniła kobieta.

— Wstrząsające.

— Podobno była przyjaciółką Jerry'ego Killiana.

— Wpuszczasz mnie w maliny. — Szczeka Moldy'ego obwisła. — Erb, niech to lepiej będzie dowcip.

— Widzisz, jak pękam ze śmiechu?

— Co jeszcze?! — ryknął Moldowski. — Co jeszcze powiedziała?

— W tym rzecz, Malcolmie. Nie zostawiła nazwiska ani numeru telefonu. Według sekretarki była bardzo uprzejma. Poinformowała, że zadzwoni kiedy indziej, gdy kongresman będzie osiągalny.

Moldy rozwichrzył palcami włosy. — Crandall poznał po tym geście, że jego rozmówca jest zdenerwowany. Nienaganny wygląd był jednym ze znaków firmowych Moldy'ego.

— Wspomniałeś Daveyowi?

— Oczywiście, że nie.

— Która sekretarka odebrała telefon?

— Jedna ze starszych, Beth Ann. Nie martw się, o niczym nie wie. Nazwisko Killiana nic dla niej nie znaczy. — Crandall hałaśliwie pogryzł dropsa i popił koniakiem. — Malcolmie, najwyższy czas, żebym dowiedział się wszystkiego.

— Ciesz się, że nie wiesz.

— Ale twierdziłeś, że sprawa jest załatwiona.

Moldowski zapatrzył się na morze.

— Tak sądziłem.

W chwili gdy rozległ się sygnał pagera, sierżant Al Garcia siedział na zamrażarce do mięsa, żuł gumę i odwał papierkową robotę. W zamrażarce znajdowali się złożeni jak mebelki ogrodowe Ira i Stephanie

Fishmanowie, lat osiemdziesiąt jeden i siedemdziesiąt siedem. Zmarli w dwudniowym odstępie w lipcu pierwszego pełnego roku prezydentury Geralda Forda. Córka Audrey, ich jedyne dziecko, umieściła martwych Fishmanów w przemysłowej zamrażarce Searsa, nabytej specjalnie w tym celu. Ira i Stephanie pobierali łącznie tysiąc siedemset dolarów miesięcznie z tytułu ubezpieczenia społecznego, dodatków dla weteranów i opiekuńczych. Chronicznie bezrobotna i pozbawiona jakichkolwiek perspektyw Audrey, nie czuła naglącej potrzeby informowania władz ani kogokolwiek innego o śmierci swych rodziców. Przyjaciele uznali, że małżonków zmęczyły upały i wrócili na Long Island. Nikt oprócz ich córki nie wiedział, że leżą sobie spokojnie, idealnie zamrożeni, pod trzema tuzinami mrożonych obiadów Swansona, przeważnie stekami Salisbury. Czeki z ubezpieczenia społecznego przychodziły w dalszym ciągu i przez wszystkie te lata Audrey je inkasowała.

Jej tajemnica była bezpieczna aż do dzisiejszego dnia. Wstała wcześniej i jak zwykle pojechała parafialnym autobusem do bingo „Seminole”. Mniej więcej około południa młodociany przestępca Johnnie Wilkinson włamał się przez okno do sypialni państwa Fishmanów w poszukiwaniu gotówki, broni ręcznej, kart kredytowych i wyposażenia stereo. Ciekawość (a może głód) zwróciły jego uwagę na wielką zamrażarkę, a wrzaski, które rozległy się wkrótce potem, zaalarmowały przechodzącego nie opodal listonosza. Gdy Audrey wróciła, zastała swój mały dom wypełniony kłębiącymi się gliniarzami. Natychmiast ją aresztowano, ale detektywi nie byli pewni, jakie należy przedstawić jej zarzuty.

Minie wiele dni, zanim Fishmanowie rozmrożą się w wystarczającym stopniu, aby mogli być poddani właściwej autopsji, choć Garcia miał wrażenie, że zmarli śmiercią naturalną. W stanie Floryda prawo nie zakazywało zamrażania zmarłych krewnych, ale nie zgłaszając śmierci rodziców i magazynując ich ciała w dzielnicy mieszkalnej, Audrey popełniła cały szereg przestępstw. Wyłudzenie pieniędzy z ubezpieczenia było przestępstwem federalnym. Nie leżało to w jurysdykcji Ala Garcii ani też nie wzbudzało jego szczególnego zainteresowania, toteż kiedy zapisał jego pager, poczuł się nawet zadowolony.

Erin spotkała się z nim „U Denny'ego” na Biscayne Boulevard. Zajął łóżę położoną najdalej od wystawy z mrożonymi ciastami.

Gdy Garcia usiłował zapalić cygaro, Erin wyjęła mu je z ust i zgasiła w filiżance kawy.

— To było niepotrzebne — burknął z urazą.

— Niech pan wyciąga swój notes — poleciła.

— Stare dobre szkolenie FBI — uśmiechnął się detektyw.

— Wie pan o tym?

— Nie jestem taki wolny, na jakiego wyglądam. — Pojawiła się kelnerka i Garcia zamówił hamburgera z frytkami. Erin poprosiła o sałatkę.

— Co pan jeszcze chce wiedzieć? — zapytała.

— Przeszła pani przez fazę blondynki.

Erin się roześmiała.

— Boże. Tylko nie moje prawo jazdy!

— Lepiej pani wygląda jako brunetka. — Sierżant wyjął notes. Zacisnął skuwkę w zębach, traktując ją jako substytut utraconego cygara. — Na dobrą sprawę zdobyłem jedynie podstawowe wiadomości — oznajmił. — Wzrost, waga, stan cywilny. Piękne wielkie zero w Federalnym Rejestrze Skazanych, i bardzo dobrze. A tak, przekroczyła pani kredyt na kartę Visa mniej więcej o sto dolców. O rany, dobrze znam ten schemat.

— Jestem pod wrażeniem — odparła Erin.

— Nie ma potrzeby.

— Wie pan o Darrellu?

— Trudno go nie zauważyć. Ale posłuchajmy o świętej pamięci panu Killianie.

Im dłużej mówiła, tym lepiej się czuła. Garcia zachowywał się tak, jakby wierzył w każde jej słowo, chociaż przez cały czas zastanawiała się, czy nie jest to jego stały element gry. Detektyw sprawiał aż do przesady niegroźne wrażenie. Sporządzał notatki niechlujną gliniarską stenografią, pilnie uważając, aby pisanie nie przeszkadzało mu w konsumpcji hamburgera. Jak łatwo było przewidzieć, podniósł z zainteresowaniem głowę, gdy usłyszał, że Killian chwalił się swoim dojściem do kongresmana. — Wyciągnęłam jego nazwisko od sędziego — oznajmiła Erin. Obserwowała, jak sierżant starannie kaligrafuje dużymi literami: DILBECK.

— Bez względu na to, co Jerry próbował, modłę się, żeby nie ta sprawa była przyczyną jego śmierci.

— Miłość potrafi być niebezpieczna — stwierdził Garcia.

— Nie powstrzymałam go... W porządku, doszłam do wniosku, że daje mi jakąś szansę odzyskania córki. Wiem, że to brzmi głupio.

— Nie dla mnie — rzekł detektyw. — Czytałem akta rozwodowe.

— Cudownie — mruknęła Erin. Akta były stekiem oszczerstw. Darrell Grant wymyślił niesamowite kłamstwa na temat jej seksualnych apetytów i przekupił dwóch swoich kumpli, aby je potwierdzili. Znalazły się tam również surowe słowa samego sędziego, podkreślającego, iż Erin jest niegodna macierzyństwa. Spojrzała ostro na Garcia. — Nie wyrządziłabym krzywdy mojej córce za żadne skarby światła!

— Wiem o tym.

Erin z wściekłością podniosła do ust widelec z sałatką. Smakowała jak mokre pieluchy.

— Chciałem powiedzieć — zaczął sierżant — że wcale dla mnie nie brzmi głupio, iż zainteresowała się pani planem Killiana. Pani były mąż jest popieprzonym gówniarzem, jeżeli mogę wyrazić się tak brutalnie. Nie powinien wychowywać dziewczynki. Ma na imię Angela, prawda?

— To, co nagadał sędziemu i co znajduje się w aktach...

— Niech pani nie zawraca sobie tym głowy — poradził Garcia.

— Wszystko jest kłamstwem.

— Przecież mówię, żeby pani nie zawracała sobie tym głowy. Co pani myśli o placku cytrynowym?

Erin poprosiła o jeden kawałek, Garcia wziął dwa. Potem odwinął nowe cygaro, trzymając je poza zasięgiem dziewczyny.

— Proszę — zwrócił się do niej. — Błagam panią. — Poczuli, że się uśmiecha. Gdy detektyw obciął koniec, wzięła zapalniczkę i ją otworzyła. A potem pochyliła się nad stołem i przypaliła mu cygaro.

— Przewieźli już ciało z Montany — poinformował Garcia, wypowiadając słowa w kłębach dymu. — Do Atlanty, powinienem dodać. Była żona Killiana chciała go tam pochować.

— A co z dochodzeniem w sprawie morderstwa?

— W hrabstwie Mineral nie lubią tego słowa. Chodzi mi o słowo „morderstwo”. Najwięcej, na co zdołali się zdobyć, to „niewyjaśnione okoliczności”. Koroner oświadczył, że ponownie otworzy sprawę, jeżeli przedstawię mu coś nowego. Coś poza paroma kroplami wody z kranu w płucach.



— Zajmuje się pan tym?

— W wolnych chwilach oczywiście. — Garcia rozparł się w krześle w pozie pełnego zrelaksowania. Zapytał, czy w „Żwawym Bobrze” zdarzyło się ostatnio coś niezwykłego. — Niech pani dobrze pomyśli — dorzucił.

— Jest raczej spokojnie. Mamy dosyć dużego kierownika sali.

— Żadnych incydentów? Poważnych bójek?

Erin wspomniała zwariowanego pijaka z butelką szampana.

— Wysłał młodego człowieka do szpitala — dodała. — Jestem pewna, że odnotowano tę sprawę w meldunkach.

— Gdzie więc był ten wasz wspañiały „kierownik sali”?

— Niewiele mógł zdziałać. Trzymali go pod lufą.

— Tylko niech pani teraz nie przerywa — polecił sierżant.

— Nie mówiłam o facecie, który uderzał butelką, ale o jego ochroniarzu.

— Często macie ochroniarzy w „Żwawym Bobrze”

— Nie padł ani jeden strzał — zapewniła Erin. — W ciągu pięciu minut było już po wszystkim.

— I nie rozpoznała pani tego pijaka z butelką?

— Przecież drugi czepiał się mojego uda. Ten facet z butelką po korbelu pojawił się jak spod ziemi.

Garcia pochylił się do przodu.

— Czy widziała pani jego twarz? Czy poznałaby go pani, gdyby spotkała go powtórnie?

— Może — Erin umilkła na chwilę. Ale Shad lepiej go widział niż ja.

— Bramkarz?

— Niech go pan nigdy tak nie nazywa. Oficjalny tytuł brzmi „kierownik sali”.

— Muszę z nim pogawędzić — stwierdził detektyw.

Erin sceptycznie zapatrywała się na tę możliwość.

— To typ silnego, milczącego mężczyzny. — Uznała, że nie należy obciążać Garcii opinią, jaką Shad miał o gliniarzach.

— Któżgoś wieczoru wpadnę do klubu — obiecał sierżant. — Przedstawi nas pani sobie i porozmawiamy tak, jak okoliczności na to pozwolą. Najwyżej powie mi „nie”.

Błąd, pomyślała Erin. To nie wszystko, co Shad może zrobić. Garcia zapytał, czy Jerry Killian był na sali w wieczór, kiedy nastąpił

incydent z butelką szampana. Erin nie pamiętała i obiecała, że dowie się u koleżanek tancerek.

— A teraz zadam pewnie głupie pytanie — rzekł Garcia — ale pomoże mi ono oszczędzić nieco czasu. Czy kogoś aresztowano?

Erin zachichotała. Nie mogła się powstrzymać.

— Uznaję tę odpowiedź za „nie”. — Detektyw dał znak, że prosi o rachunek.

Erin dodała, że jest jeszcze coś, o czym powinien wiedzieć.

— Dzisiaj zadzwoniłam do biura kongresmana. Powiedziałam im, że byłam bliską przyjaciółką Killiana.

— Ślicznie — stwierdził Garcia. — Domyślałam się, że nie odebrał telefonu osobiście.

— Słusznie.

— I mam nadzieję, że nie zostawiła pani nazwiska?

— Oczywiście — przytaknęła. — Chce pan, żebym spróbowała jeszcze raz?

— Bardzo proszę tego nie robić. — Sierżant wyslizgnął się z łoży i poszedł zapłacić rachunek. Erin czekała przy frontowych drzwiach, a potem wyszła z nim na ulicę. Padał drobny letni deszcz. Palmy rosnące wzdłuż bulwaru były oklapnięte i anemiczne.

Garcia stanął pod markizą „U Denny'ego” i napisał coś na kawałku papieru. Podał go dziewczynie mówiąc:

— Mój domowy numer. Niech go pani strzeże nawet za cenę życia.

Erin włożyła karteczkę do torebki.

— Czy pana żona wie, czym się pan zajmuje?

— Niech się pani tym nie martwi i dzwoni o każdej porze. Osłonił cygaro od deszczu i odprowadził ją do samochodu. — Donna wszystko zrozumie. Proszę mi zaufać.

— Założę się, że też miała swojego Darrella — domyśliła się Erin.

— Mistrza świata w tej kategorii. Przy nim pani facet wygląda jak ministrant.

— Co się stało?

— Po pierwsze, zapuszkowałem dupka — wyjaśnił Garcia. — A potem ożeniłem się z jego żoną.

— Zrobione z klasą — zawyrokowała Erin.

— Aha. Donna też zawsze mi to powtarza.

## 11.

Rankiem dwudziestego piątego września pochowano Jerry'ego Killiana w Decatur Memorial Gardens, kilka kilometrów za Atlantą. Pogrzeb nastąpił po krótkiej ceremonii, w której uczestniczyła żona zmarłego, jego córki i dziewięciu przyjaciół ze stacji telewizyjnej na Florydzie. Wszystkich przybyłych na pogrzeb sfotografował w tajemnicy mężczyzna ukryty w sosnowym zagajniku. Człowiek ten miał na sobie ciemny kombinezon grabarza, ale pracował dla Malcolma J. Moldowsky'ego. Korzystał z małoobrazkowego aparatu fotograficznego Leica z teleobiektywem i automatycznym napędem i dla pewności powtarzał każde ujęcie.

Wczesnym popołudniem sześć odcinków czarno-białych negatywów leżało już na biurku Moldy'ego w Miami. Każdą z osób na wszystkich kadrach zidentyfikowano i żadna z nich nie mogła powiązać świętej pamięci Jerry'ego Killiana z kongresmanem Davidem Lane'em Dilbeckiem.

Moldowsky był przekonany, że kobieta, która dzwoniła do biura Dilbecka, nie zjawiała się na pogrzebie. Kim mogła być? Kochanka? Cichy wspólnik w planowaniu szantażu? Odnalezienie jej nie zapowiadało się łatwo. Gdyby Killian pracował w jakimkolwiek innym miejscu, nie zaś w stacji telewizyjnej, Moldy mógłby wysłać dyskretnego prywatnego detektywa, żeby pogadał z jego przyjaciółmi i kolegami. W tym jednak wypadku podobny krok stwarzał zbyt wielkie ryzyko. Ludzie pracujący w mediach byli zazwyczaj zbzikowani

i podejrzliwi, a wizyta prywatnego detektywa wzbudziłaby tylko ich zainteresowanie. Najbezpieczniejszą strategią było więc oczekiwanie. Może tajemnicza kobieta zadzwoni znowu, a może nie.

W tej sytuacji Malcolm J. nie mógł czuć się spokojny. Przypominało to mieszkanie w domu, w którym znajduje się żyjąca na swobodzie kobra. W końcu kiedyś stanie się na niej. Pozostawało tylko pytanie, kiedy.

Darrell Grant ładował fotele inwalidzkie, gdy pojawili się niezapowiedziani Merkin i Picatta. Detektywi z wydziału napadów wysiedli z nieoznakowanego samochodu i wolnym krokiem obeszlą trzykrotnie ciężarówkę. Wreszcie jeden z nich zapytał Granta, co, kurwa, właściwie robi.

— Interesy — odparł.

— Ukradłeś je? — zapytał Merkin.

— Oczywiście, że nie. — Darrell Grant był wyraźnie rozdygotany i twarz pokryły mu kropelki potu.

— Co jest dziś na tapecie, tygrysie? — odezwał się Picatta.

— Folger — wyjaśnił Grant, wtaczając everest-and-jenningsa po pochylni. — Czy zechcielibyście się łaskawie przesunąć, żebym mógł skończyć? Proszę. — Martwił się czymś, co powiedziała Erin... O tym, co może się stać z Angie, jeżeli go znowu zamkną.

Picatta i Merkin wymienili typowe glińskiarskie spojrzenia, co tylko zwiększyło nerwowość Darrella. Przeciągnął długi sznur przez szprychy foteli i przywiązał je do pierścienia w ścianie skrzyni ciężarówki. Dzięki temu nie będą jeździły naokoło świata przy każdym skręcie.

— Co z twoją furgonetką? — zainteresował się Picatta.

— A co ma być?

— Chodzi mi o to, dlaczego wynajmujesz ciężarówkę.

— Furgonetka jest za mała — wyjaśnił Darrell. — Chyba oczywiście.

— Taak — rzekł Merkin. — Ten interes z zepsutymi fotelami wyraźnie rozkręca się jak wściekły. Wkrótce pewnie wystąpisz o koncesję.

Picatta roześmiał się. Grant zamknął ciężarówkę i usiadł na zde-  
rzaku.

— To nie kradzież samochodów — zauważył Picatta. — Samo-  
chody mają numery identyfikacyjne, które można sprawdzić.

— I rejestracyjne — dodał jego partner.

— I książki wozu — dorzucił Picatta. — A całe piękno foteli inwa-  
lidzkich polega na tym, że są właściwie nie do ustalenia.

Darrell Grant wyciągnął sztylet i zaczął czyścić paznokcie, wycie-  
rając ostrze o dzinsy. Gliniarze nie mogli uwierzyć, że facet jest aż  
takim twardzielem.

— Myślicie panowie, że je ukradłem? — odezwał się. — Albo po-  
wiedzmy inaczej: Czy chcecie usłyszeć całkowitą, najszczerzą praw-  
dę? Gdybym rzeczywiście ukradł te cholerne fotele, czy naprawdę  
chcielibyście to wiedzieć?

— Nie — odparł Merkin. — Nie chcielibyśmy.

— W takim razie przestańcie mi wciskać kit, dobra?

— Zabawne — stwierdził Picatta. — Waśnie zamierzaliśmy zrobić  
ci taką samą propozycję.

Darrell Grant podniósł na nich pełen udawanej niewinności  
wzrok.

— Daleś nam w tym miesiącu trzy cynki, oszałamiająca liczba,  
prawda? — Picatta przerwał na chwilę. — Trzy pewne, ciepłutkie  
cynki. Jesteś gotów na ostateczny wynik, tygrysie? Nic, wielkie zero.

Darrell postukał nożem o kolano.

— Wiecie, jak to bywa w życiu — oświadczył. — Raz się wygrywa,  
raz przegrywa.

— Jesteś — oznajmił Merkin — pieprzoną krynicą mądrości.

Detektywi przeprowadzili analizę lipnych informacji Granta. Rze-  
komy handlarz koki okazał się sprzedawcą pakietów z detergentem  
do prania Tide, a wielki rabuś bankowy — nastolatkiem, który rozbi-  
jał (ale rzadko skutecznie) podmiejskie automaty handlowe. Nato-  
miast szajka nadzwyczaj wyrafinowanych złodziei zagranicznych  
samochodów była w rzeczywistości trójką nieszczęsnych złodziei  
kapsli do kół.

— Pechowa seria — stwierdził Darrell Grant, wpatrując się w  
swoje adidasy.

Picatta kucnął, żeby spojrzeć mu w oczy.

— Popatrz na mnie, przystojniaczku. Mówię do ciebie.

— Dostałem złe informacje, to wszystko.  
— Nadstawiliśmy za ciebie karku, tygrysie.  
— I jestem wdzięczny...  
— Nie raz, ale dwa razy nadstawiliśmy za ciebie karku. Gdzie jest twoja córeczka?

Grant zeszytywniał. Nóż wypadł mu z ręki.

— To nie wasz cholerny interes — warknął.

Merkin złapał go brutalnie za grzywkę.

— Blondasku, pozwól, że ci przypomnę pewne życiowe prawdy. Wszystko, co robisz, jest naszym interesem. Czym jeździsz, co jesz, gdzie śpisz, co kradniesz albo nie. A nawet, czy podcierasz tyłek lewą czy prawą ręką. Wszystko jest naszym interesem.

— Jest z opiekunką — rzekł Darrell Grant. — Czuje się świetnie.

— Odrzącił rękę detektywa i przygładził włosy. Gdy się nachylił, żeby podnieść nóż, Picatta odrzucił go kopniakiem.

— Zawsze możemy zadzwonić do sądziego.

— Pieprzę was obu.

— W takim razie daj nam parę spraw — zaproponował Merkin.  
— Ale dobrych.

— Co oznacza — dodał Picatta — że musisz kręcić się po ulicy z szeroko otwartymi swoimi ślicznymi niebieskimi oczkami. Daj spokój fotelom, tygrysie.

— I prochy — ostrzegł go Merkin. — Pomyśl o tym tak: A co będzie jeżeli sędzia nagle wezwie mnie, żeby mu zrobić siusiu do próbki? Chcesz utrzymać opiekę nad córką, to bądź czysty.

— Ćpuny nie są dobrymi rodzicami — skomentował Picatta. — To dobrze znany fakt.

Darrell Grant wstał.

— Dziękuję, doktorze Spock. — Z ponurą miną podniósł sztylet i wsiadł do szoferki ciężarówki. — Będę w kontakcie.

Gdy samochód odjechał, Merkin zmarszczył brwi.

— Serce się kraje na taki widok... Tyle goryczy w tak młodym człowieku.

— A czego się spodziewasz po zawodowym dupku?

— No tak — przyznał Merkin. — Ale to nasz dupek.

Shad był podenerwowany i zamknięty w sobie. Niewątpliwie wynikało to z jego pracy — pijaczkowie, nieobliczalne dziewczyny, Orly i cały ten bajzel. A na dodatek Kevin, disc jockey, wszedł w fazę Hammera — dwadzieścia bitych minut najbardziej irytującej muzyki, jaką Shad kiedykolwiek słyszał. Wreszcie nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Wskoczył do kabinki, odtrącił Kevina na bok i wyrwał płytę kompaktową z odtwarzacza. „Żwawy Bóbr” pogрузzył się w ciszy — tancerki zatrzymały się w pół ruchu. Goście zaczęli pomrukiwać z niepokojem. Peruwiański turysta, obawiając się policyjnego rajdu, rzucił się do drzwi, a z blatu porzuconego przez niego stolika rozległo się pełne zawodu przekleństwo Monique Jr. Zbiegły Peruwiańczyk ozdabiał jej podwiązki dwudziestodolarowymi banknotami.

Shad pogryzł płytę kompaktową Hammera jak wielki lśniący wafel, nawet nie czując, że ostre odłamki kaleczą mu język i dziąsła. Wypluł krwawą masę na pulpit z mikrofonem i polecił Kevinowi, żeby zaczął grać Boba Segera albo umrze. Pan Orly, obserwujący całą scenę z głębi klubu, wycofał się bez słowa do swego wyłożonego imitacją czerwonego pluszu sanktuarium.

Erin czekała mniej więcej godzinę, aż bramkarz się uspokoi. Gdy podeszła do niego, siedział samotnie w narożnej łoży i czytał wydaną wielkim drukiem *Przemianę* Kafki.

— Dobra książka? — odezwała się.

Shad podniósł głowę.

— Zaczynam współczuć karaluchom.

— Chciałam zapytać, jak wygląda sprawa z twoim pozwem. Wykidajło pokręcił ponuro głową.

— Przeszedłem na inne projekty, dziecinko.

— Jakże?

Shad od jakiegoś czasu bił się z myślami, czy powinien włączyć Erin do planu Mordecaia. Była jego przyjaciółką albo kimś, kto najbardziej pasował do tego określenia. Ale by ją zaskoczył informacją, że pijany wariat z butelką po szampanie jest kongresmanem! Warto byłoby jej o tym powiedzieć, po prostu tylko po to, żeby zobaczyć jej cudowny uśmiech. Z drugiej jednak strony, w grę wchodziła potencjalnie ogromna suma pieniędzy. A im więcej uczestników przedsięwzięcia, tym mniejsza działka dla każdego z nich. Są chwile, uznał

Shad, gdy wymogi finansowe usuwają w cień przyjaźń.

— Zostałem zobowiązany do zachowania tajemnicy — oświadczył. — Przepraszam, nie ma w tym nic osobistego.

— Czy w dalszym ciągu wiąże się to z jogurtem?

Roześmiał się, wyraźnie rozluźniony.

— Ani z jogurtem, ani z żadnymi pieprzonymi owadami.

Erin zapytała o ranę głowy. Shad pochylił się, aby jej pokazać, jak goi się ślad po sztylcie Darrella Granta.

— Blizna znika — rzekł. — Czuję się trochę rozczarowany.

Po raz piąty przeprosiła go za tamto zdarzenie.

— Daj spokój — odparł. — Marzę o następnym spotkaniu z twoim byłym.

— Jeżeli będę miała na to jakiś wpływ, raczej do niego nie dojdzie — powiedziała. Przez chwilę wyobraziła sobie Darrella Granta ładowanego do karetki pogotowia.

Na głównej scenie pojawiła się nowa tancerka, Marvela. Obiema rękami chwyciła jeden ze złotych słupków, wyprostowała długie nogi i przechyliła się lubieżnie do tyłu. Zaczęła obracać głowę, zamiatając wkoło włosami w rytm muzyki. Mężczyźni w przednim rzędzie ryknęli entuzjastycznie.

— Jak sądzisz? — Erin zwróciła się do Shada. — Chodzi im o jej cycki czy włosy?

— Zdecydowanie włosy.

— Podobno poprzedniej nocy zgarnęła cztery setki.

— Doprawdy? — Shad zanotował w pamięci, że musi porozmawiać z tą wyobrażającą sobie Bóg wie co Marvelą. Dała mu zaledwie pięć dolców napiwku. — W dalszym ciągu jesteś najlepsza — pocieszył ją.

— Bo ja wiem. Ona rzeczywiście potrafi tańczyć.

— Ale nie tak jak ty. — Ponownie zagłębił się w Kafce.

Erin zdawała sobie sprawę, że powinna zacząć tańczyć, zarobić parę zielonych, ale ta przerwa dobrze jej robiła. Z przyjemnością siedziała z Shadem w ciemnej łoży.

— Mam niewielki problem — odezwała się.

— O co chodzi? — Podniósł wzrok znad książki.

— Chciałabym, żebyś z kimś porozmawiał.

— Z kim?



— Jest w porządku. Myślę, że może mi pomóc.

— Pytałem, kim jest?

Gdy wyjaśniła, że to gliniarz, Shad parsknął:

— Masz coś więcej niż mały kłopot.

— No cóż, owszem. Jest detektywem z wydziału zabójstw.

— Chryste Przenajświętszy!

— Nie jest aż tak źle, jak ci się wydaje. — Kiedy jednak opowiedziała mu, co się zdarzyło Panu Oczko, zaczęło to wyglądać rzeczywiście paskudnie. Shad nie mógł pojąć, dlaczego ktokolwiek miałby zadawać sobie trud zabijania tego małego faceta, i szczerze mówiąc, niewiele go to obchodziło. Bardziej martwił się o Erin.

— Czy nie powinnaś zrobić sobie wakacji? — zapytał. — Polecałbym Marsa.

— Detektyw chciałby się dowiedzieć czegoś o tej nocy sprzed kilku tygodni, kiedy jakiś facet zagroził ci rewolwerem.

— Nie przypominam sobie. Przykro mi.

— Daj spokój — rzekła, szczypiąc go w ramię. — To by mi pomogło w sprawie Angeli. Wszystko jest powiązane.

— W jaki sposób? — zdziwił się Shad. — Twoja córka wplątana w... Jak ci się udało coś takiego? — Nie mógł uwierzyć, że Erin wkołała się w taką aferę.

— Ciii — szepnęła.

Do łóżki podeszła Monique Jr i oświadczyła, że pan Orly pragnie porozmawiać z Shadem. Wyjaśniła, że Kevin żąda przeprosin. Bramkarz odparł, że z przyjemnością go przeprosi, gdy tylko Kevin okaże choć odrobinę gustu w doborze muzyki. Monique bez entuzjazmu zgodziła się przekazać jego słowa panu Orly'emu.

Gdy tylko odeszła, Shad odwrócił się do Erin i oznajmił, że praca kierownika sali zaczyna go męczyć.

— Bezwzględnie muszę znaleźć sobie inne zajęcie.

— Ja również — przytaknęła Erin — Pracę, w której mogłabym znowu nosić majtki.

Shad podniósł ręce do głowy i ścisnął ją lekko, jakby sprawdzał stopień dojrzałości arbuza. Zmrużył oczy, a potem zamrugał kilkakrotnie.

— Zaczynam się martwić faktem, że nie dostrzegam już zwykłych rzeczy. Na przykład dopiero teraz dotarło do mnie, że masz piersi na wierzchu.

Erin zasłoniła się gwałtownie.

— O Jezu, przepraszam. Byłam właśnie w połowie numeru...

— Rzecz w tym, że powinienem wcześniej zwrócić na to uwagę. Nie sądzisz?

— Ale tyle tego widzisz...

— Właśnie! Zbyt wiele. Muszę z tym skończyć. — Wskazał leżącą na stoliku książkę. — Facet w tej historii zmienia się w pieprzoną stonogę. Budzi się pewnego ranka i bingo, jest robalem. Brzmi może kretyńsko, ale rzeczywiście zmusza do myślenia. Jeżeli człowiek nie uważa, może się zmienić w ciągu jednej nocy.

— Może więc raczej t y potrzebujesz wakacji.

— Tak, niewykluczone, że masz rację. — Shad zabębnił lekko pięściami po stole. — Dobra, pogadam z twoim cholernym detektywem. Ale jak już wspomniałem, z moją pamięcią nie jest najlepiej.

Erin pochyliła się nad stołem i pocałowała go w szerokie czoło.

— Hej, masz nowe figi — spostrzegł Shad.

— Jasne.

— Cholernie odlotowe.

— Popatrz, są na rzepy, a nie na zatrzaski. — Zademonstrowała, jak działa zapięcie.

— Niech mnie licho. — Shad ze skupieniem obejrzał plastikowy prostokącik. — Ten, kto je wymyślił, pewnie zgarnął kupę szmalu.

— Ta, która je wymyśliła...

Bramkarz wzruszył ramionami.

— Jedno jest pewne: w całym interesie zajmujemy się nie tym, co trzeba.

— Amen — zakończyła Erin.

Gdy David Dilbeck usłyszał ostatnie dane na temat akcji zbierania funduszy, polecił Erbowi Crandallowi, aby wezwał limuzynę. Należało to uczcić! Crandall odparł, że na pewno nie, dziś wieczorem zostają w domu.

— Erb — przekonywał kongresman. — Przypomnij sobie, jaki miałem dzień. Trzy cholerne wiece antycastrowskie. Fidel jest tyranem. Fidel jest draniem. Fidel jest potworem...

— Każdy polityk musi śpiewać na tę nutę.  
— Ale to męczące, Erb. Człowiek musi się wyluzować.  
— Nie ma mowy, Davey.  
— Kupiłem nową perukę...  
— Zapomnij o tym.  
— Będziemy siedzieli daleko z tyłu, Erb. Żadnego pełnokontaktowego tańca, jak Boga kocham. Zadzwoń do Lingów i zamów stolik.  
Crandall wysunął kontrpropozycję. Kongresman popatrzył na niego zaciekawiony.

— Gdzie jest Pamela? — spytał Erb.

— W Wirginii. U któregoś Kennedy'ego na przyjęciu na rzecz zwalczania chorób. Nie jestem pewien, którego.

— Którego Kennedy'ego?

— Nie, którego chorób — odparł Dilbeck. — Chyba chodzi o jakiś rodzaj anemii.

— Ale Pameli dzisiejszej nocy z całą pewnością nie będzie w domu?

— Aż do niedzieli.

— W takim razie możemy bezpiecznie przyjąć gości.

Kongresman rozpromienił się.

— Im więcej, tym weselej.

O wpół do dziesiątej przybyły tancerki z „Różowej Farmy” z własną muzyką. Erb Crandall podprowadził obie kobiety do tekowego stołu znajdującego się w prywatnym pokoju Dilbecka. Kongresman zjawił się w luźnym białym płaszczu kąpielowym, usiadł po turecku na podłodze i poprosił Erba, żeby przyniósł z lodówki butelkę korbe-la. Tancerki wyraziły obawę, że mogą uszkodzić piękne drewno stolika, więc Dilbeck zaproponował, żeby zdjęły szpilki i tańczyły na bosa. Sekretarz wrócił z szampanem, nalał trzy kieliszki, położył butelkę na lodzie i wyszedł z pokoju. Przyciągnął na korytarz fotel i usadowił się niedaleko wyjścia z sanktuarium pracodawcy. Przez ściany przesączało się dudnienie nieznośnie monotonnego rytmu muzyki. Mniej więcej po godzinie Erb powędrował do apteczki Pameli Dilbeck w poszukiwaniu lekarstwa na migrenę. Znalazł flakonik darvonu i połknął dwie tabletki, popijając je w kuchni szklanką soku pomarańczowego.

Gdy wrócił na swój posterunek, odniósł wrażenie, że muzyka

rozbrzmiewa głośniejsz niż do tej pory, i spostrzegł, iż drzwi do pokoju są otwarte. Zanim zdążył zerknąć do środka, jedna z tancerek wyskoczyła z łazienki po drugiej stronie korytarza. W jednej ręce trzymała kędzierzawą czarną perukę, w drugiej mokry ręcznik. Wyraźnie się spieszyła.

— Wszystko w porządku? — zapytał Crandall.

— Cudownie — odparła. — Mam nadzieję, że zna się pan na udzielaniu pierwszej pomocy.

W pomieszczeniu nie było śladu drugiej dziewczyny. Kongresman leżał nieprzytomny tuż obok stolika. Jego szlafrok rozchylił się, odsłaniając różowy tłusty brzuch i jedwabne kalesonki w turecki wzorek. Erb ukląkł przy nim i położył dłoń na unoszącej się i opadającej gwałtownie piersi Davida Dilbecka.

— Atak serca — zaryzykował diagnozę.

— Pomyłka — sprostowała tancerka bez peruki i wyjaśniła, co się naprawdę stało.

— Jezu Chryste! — jęknął Crandall. — Gdzie go trafiła?

— Między oczy.

— Jak?

— Prawym sierpowym.

— Pięścią? — Erb uznał to za niezwykle wyczyn. Starannie obejrzał bladą twarz Dilbecka. Między brwiami kongresmana zaczynał już nabrzmiewać paskudny niebieski guz, w którego środku widać było niewielkie, doskonale prostokątne wgłębienie.

— Miała pierścionek — zauważył Crandall.

— Z akwamaryną — poinformowała tancerka. — Kamień jej znaku.

Erb Crandall umieścił poduszkę pod głowę Dilbecka i owinął mu wokół szyi wilgotny ręcznik. Dziewczyna zaproponowała, że zadzwoni pod dziewięćset jedenaście, ale on ją powstrzymał.

— Gdzie twoja partnerka? — zapytał.

— W samochodzie. Jest przerażona jak cholera.

Kongresman poruszył się nieznacznie, wydając królicze piśnienie. Crandall przysunął usta do jego ucha i powiedział: — Davey, obudź się! — Poszkodowany uspokoił się ponownie. Erb podszedł do biurka i znalazł numer telefonu prywatnego lekarza Dilbecka. Potem zadzwonił i zostawił pilne wezwanie w aparacie zgłoszeniowym.



— Nie miał powodu tego robić — oceniła. — Wszystko odbywało się jak należy, taka miła prywatka. Nie wiem, co w niego wstąpiło.

— Sam zachodzę w głowę — rzekł Crandall. Gdzie jest ten lekarz?

— Może powinien dać sobie spokój z szampanem?

— Tak, pewnie o to chodzi. Szampan.

Dziewczyna podeszła bliżej, żeby po raz ostatni spojrzeć na siniak między brwiami Dilbecka.

— Do licha — zauważyła. — Moja koleżanka ma w pierścionku cholernie duży kamień.

— Do widzenia — powiedział Erb Crandall.

— Czy limuzyna może nas odwieźć do Lauderdale?

— Oczywiście — potwierdził. — Bierzcie limuzynę. Bawcie się dobrze.

## 14.

Paul Guber wysłuchał planu Mordecaia bez szczególnego entuzjazmu.

— Nie chcę mieć z tym nic wspólnego — oświadczył.

Adwokat zacmokał z dezaprobatą.

— Przecież to wyjątkowa okazja.

— Już coś takiego od ciebie słyszałem. Odpowiedź brzmi „nie”.

Siedząca ze swoim narzeczonym Joyce oznajmiła z naciskiem:

— Mówimy tu o naszej przyszłości, Paul. Dzięki temu będziemy urzędzeni na całe życie.

Ponura mina młodego człowieka wyraźnie wskazywała, że wcale nie ma ochoty być urządzony na całe życie z Joyce. Mordecai poczuł, że jego misternie utkana intryga się rozłazi, więc błyskawicznie ruszył na jej ratunek.

— Chodźcie — zwrócił się do zdenerwowanej pary. — Urządzimy sobie przejażdżkę.

Godzinę później siedzieli w lincolnie jadącym na północ dwupasmową szosą znaną jako „Krwawa 27”. Prawnik wygłaszał ciągły monolog, aby ukryć w ten sposób zdenerwowanie ogarniające go zawsze w czasie jazdy po autostradzie. Joyce zapomniała, jak koszmarnym kierowcą jest jej kuzyn — krótkowidz o paskudnym refleksie i ograniczonej swobodzie ruchów za kierownicą z powodu zbyt dużego obwodu w pasie. Gdy dotarli do Clewiston, Paul Guber był już

kłębkami nerwów. Mordecai z podskokiem zaparkował samochód i wy dostał się z przedniego fotela.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Paul.

— Młyn do mielenia trzciny cukrowej — wyjaśnił adwokat. — Widziałeś kiedyś coś takiego?

Młyn był właściwie porozrzucanym bezładnie zbiorowiskiem szop, kominów i składów. Żniwa miały się odbyć dopiero za kilka tygodni i właściwie panował tu spokój, jeżeli nie liczyć jazgotu pneumatycznych narzędzi oraz grup rozebranych do pasa mechaników pracujących przy traktorach, platformach i autobusach dla sezonowych robotników. Stojący przy szosie, osypujący się niebiesko-biały znak głosił: FARMY ROJO. I mniejszymi literkami:

ODDZIAŁ KORPORACJI CUKROWNICZEJ SWEETHEART.

— No, dobra — rzekł Mordecai. — Poprosimy o przewodnika?

— Nie — odparł Paul. Joyce podzieliła jego zdanie z obawy, że materiał jej importowanej bluzki wchłonie intensywne zapachy otoczenia.

Adwokat usiadł ciężko na zderzaku samochodu.

— Doskonale — oznajmił. — Jak sobie życzycie.

Joyce ze zniecierpliwieniem skrzyżowała ręce na piersi.

— Tam wszystko się lepi. Czy możesz przejść do rzeczy?

Mordecai westchnął jak zółw.

— Celem tej wyprawy w teren jest zilustrowanie finansowych rozmiarów waszego przypadku. — Rodzina Rojo — skinął głową w stronę znaku — jest warta przynajmniej czterysta milionów dolarów.

— Hmm — mruknęła Joyce.

— Ostrożnie licząc.

— Nie skarżymy rodziny Rojo — zauważył Paul Guber.

— Zgadza się. — Przytaknął prawnik. — Ale skarżymy ich ulubionego kongresmana; jegomościa, dzięki któremu całe to bogactwo jest możliwe. Czy już rozumiecie? Cukrowe pieniądze.

— Posłuchaj. Dostałem po łbie w knajpie ze striptizem. I nic więcej.

— Krótkowzroczny pogląd — zganiał go Mordecai.

— Mam cholerne szczęście, że mój szef się nie dowiedział. Jeżeli ta sprawa trafi do sądu, wylecę z pracy.



— Paul, nie będziesz potrzebował pracy — oświadczył adwokat.

— Będziesz potrzebował ciężarówki na forszę. Powiedz mu, Joyce.

Jad zawarty w fotografiach z wieczoru kawalerskiego najwyraźniej stracił swoją moc, ponieważ Joyce z całych sił poparła plan kuzyna.

— Mordecai przysięga, że w ogóle nie dojdzie do procesu. Pamiętaj, kochanie, że to rok wyborów.

— Co oznacza — wtrącił prawnik — że ugoda zostanie zawarta szybko, w tajemnicy i będzie opiewała na poważną sumę.

Paul Guber mruknął sceptycznie.

— Mówimy o dwóch—trzech milionach dolarów — dodał Mordecai. — Bardzo sympatyczna fortunka dla młodożeńców. — Uznał, że lepiej nie wspominać o udziale Shada w całym przedsięwzięciu ani też o jego procencie od zysku.

Paul bezmyślnie kopał kamyczki, gdy nad ich głowami przelatywał wielki odrzutowiec, zagłuszając całą rozmowę. Gdy znowu zapadła cisza, odwrócił się do Joyce i Mordecaia.

— Moja odpowiedź w dalszym ciągu brzmi „nie” — rzekł.

— Prześpij się z tym — poradził prawnik. Mrugnął znacząco do kuzynki. — Powinniście omówić całą sprawę w cztery oczy.

Paul odparł, że nie musi się z tym przesypiać ani tym bardziej omawiać tego — zdecydowanie odmawia skarżenia kogokolwiek. — Co się stało, już się nie odstanie. Nie ma trwałego kalectwa, a moje ubezpieczenie pokryło rachunki za szpital. — Wykonał kilka serii podskoków, na co Joyce westchnęła z niepokojem.

— Widzicie? — zapytał, łapiąc oddech. — W przyszłym tygodniu wracam do firmy.

Zrozpaczony Mordecai klepnął mięsistą dłonią o maskę lincolna.

— Istnieje prawniczy termin na określenie twojego stanu — powiedział. — Brzmi on „ograniczone zdolności”. Co znaczy, że obrażenia głowy mają wpływ na twój osąd.

Joyce skinęła głową.

— Nie śpi dobrze.

Paul Guber przestał podskakiwać i opuścił bezwładnie ręce.

— Jesteście nieprawdopodobni — oznajmił, dysząc ciężko. Wściekle spojrzenie Joyce nie zdołało go zastraszyć. — Ta skłonność do kombinowania musi być cechą rodzinną.

— Tak to traktujesz? — Głos narzeczonej był napięty jak struna. Mordecai wcisnął się między nich.

— Dajcie spokój. Grzecznie i spokojnie pojedziemy teraz do domu.

Joyce uparła się, że ona będzie prowadzić. Adwokat wcisnął się obok niej na przednie siedzenie lincolna. Paul Guber siedział samotnie z tyłu i zasnął, zanim dojechali do skrzyżowania 1-595. Słyszając jego chrapanie, Mordecai zachichotał ponuro.

— Młody Paul jest głupi — ocenił.

— Mnie to mówisz!

— Mamy taką szansę — dodał. — Taką rzadką, rzadką szansę!

Joyce zerknęła do tyłu na chrapiącego przyszłego męża. I nie było to spojrzenie przepełnione czystą, absolutną miłością.

— Zastanawiałam się... — zaczęła.

— Mów dalej.

— Czy w ogóle go potrzebujemy? Chodzi mi o to, że kiedy wszystko jest już powiedziane i zrobione... — Udała, że z uwagą wpatruje się w szosę. — Załóżmy, że od razu zgodzą się na zawarcie ugody... Wtedy nawet nie będziesz musiał wypełniać dokumentów sądowych, prawda?

— Owszem. Kilka telefonów, parę spotkań, czek wystawiony na fundusz powierniczy... Taki sposób jest najlepszy dla wszystkich zainteresowanych.

— A więc... Czy go w ogóle potrzebujemy? — Joyce powtórzyła cicho pytanie.

Prawnik przesuwając palcami po licznych fałdach na karku, zastanawiając się przy akompaniamencie chrapania swojego klienta.

— Dobrze pytanie — pochwalił kuzynkę. — Bardzo dobre pytanie.

Gdy Erin przyjechała do „Żwawego Bobra”, zobaczyła na dachu grupę robotników rozbierających neonowy napis. Orly i Shad stali na parkingu, pograżeni w dyskusji. Kiedy wysiadła z samochodu, szef przywołał ją gestem.

— No cóż, masz czego chciałaś — oznajmił.

— Zmieniacie nazwę?

— Musimy — odparł Shad. Wyglądało na to, że doskonale się bawi.

Orly mruknął, żeby nie zadzierała nosa. Decyzja nie ma nic wspólnego ze skargą tancerek i jest całkowicie kwestią prawną.

— Co pan powie! — roześmiała się Erin. — Jakiś inny klub strip-tizowy ma tę samą koszmarną nazwę.

— Wcale nie klub — rzekł Orly. — Piła łańcuchowa.

Shad przygryzł dolną wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Erin również z trudem się opanowywała. Z kamienną twarzą stwierdziła:

— Panie Orly, nigdy nie słyszałam o pile łańcuchowej „Żwawy Bóbr”.

— Ja również! — parsknął. — Najwyraźniej są cholernie znani w Nowej Anglii.

— Przysłali list polecony — wyjaśnił Shad. — Grożą pozwaniem do sądu.

— Możesz w coś takiego uwierzyć? — Właściciel lokalu podniósł ręce do nieba. — Twierdzą, że psują *image* ich firmy, wykorzystując tę nazwę w celu propagowania seksu i nagości. Pieprzone dupki prawnicze!

Podjechała ciężarówka z alkoholami i Shad poszedł sprawdzić ła-dunek. Na dachu ostatni plastikowy element słowa BÓBR padał ofiarą klucza francuskiego. Orly skrzywił się na ten widok, ponieważ miał do zapłacenia jeszcze trzy raty za niszczone właśnie szyld.

— Jakim cudem — zastanawiał się na głos — można zniesławić narzędzie ogrodnicze?

Erin powiedziała, że imponuje jej, iż firma produkująca piły łań-cuchowe słyszała o tak daleko położonym klubie noszącym tę samą nazwę. Jej szef odparł, że doniósł na niego pewien przebywający na wakacjach komiwojażer.

— Podobno przejeżdżał obok i zauważył nazwę.

— Jasne — przytaknęła Erin. — Po prostu przejeżdżał obok.

— W każdym razie moi dupkowaci prawnicy porozmawiali z ich dupkowatymi prawnikami i uznali, że łatwiej zmienić ten cholerny napis, niż iść do sądu.

Erin nie mogła powstrzymać się, żeby mu nie wbić szpili, wspo-minając mafię.

— Nigdy nie przypuszczałam, że mafia może się przestraszyć po-zwu.

— Strach nie ma z tym nic wspólnego — burknął Orly. Tym razem

dopiekła mu zdrowo. — Mały Nicky i chłopaki tacy jak on nie lubią rozgłosu. Taka sprawa mogłaby się znaleźć na pierwszych stronach gazet.

— Nie pomyślałam o tym.

— A więc orzekli, że pieprzyć wszystko, trzeba tylko zmienić nazwę.

— Koniec epoki — oznajmiła Erin z szyderym smutkiem.

— Znasz mnie dobrze. Cholernie bym chciał powalczyć z tymi skurwysynami!

— Pewnie przeciągaliby sprawę latami — dodała dziewczyna. — Najlepiej być praktycznym.

Orły gwałtownie potarł nos, jakby starając się spędzić trzmiela.

— Każdy mówi, że żyjemy w wolnym kraju, ale to pieprzenie w bambus. I to wszystko, co mogę powiedzieć. — Podreptał w stronę wejścia na salę. Erin szła obok niego. Zapytała, czy zastanowił się już nad nową nazwą.

— Prawdę mówiąc, tak. I nie chcę usłyszeć żadnego głosu protestu, zrozumiano?

— Niech mi pan zdradzi tę tajemnicę — poprosiła.

Orły wmaszerował do klubu. Erin nie poczuła się urażona, że nie przytrzymał jej drzwi. Facet był świnią i nic na to mógł poradzić. W biurze poszedł prosto do lodówki i wyjął zimnego doktora Peppera. Myśl o zaproponowaniu napoju tancerce nawet nie przyszła mu do głowy.

— No to jaka jest ta nowa nazwa? — powtórzyła prośbę.

— Będiesz dorosłą dziewczynką? Nie będziesz pisać?

— Nie będę.

— No, dobra — odparł, siorbiąc napój. — „Intymna Łaskotka”.

Co ty na to?

— Żartuje pan.

— Uważam, że jest świetna. — Orły mlasnął. — Kobięca. Śmieszna. Podoba mi się.

— Jest koszmar — stwierdziła Erin. Wstała, by wyjść.

— Pamiętaj, żebyś mi nie robiła z tego powodu kłopotów...

— „Intymna Łaskotka”?

— Hej, przecież to nie jest czytelnia chrześcijańskiego towarzystwa naukowego, ale bar z golizną. Mam produkt do sprzedania.

— Pan jest szefem — rzuciła Erin.

— Czasami myślę, że zapominasz, w jaki sposób zarabiasz na życie. A zarabiasz, zrzucając ubranie za pieniądze. Ale jakbyś próbowała o tym zapomnieć. — Orly kołysał się w tył i przód za swoim biurkiem. — To tylko nazwa, kochanie, w żaden sposób nie zmienia towaru.

Erin nie ustępowała. Chciała, żeby jej szef był wciąż w defensywie.

— Obu Monikom bardzo się „Intymna Łaskotka” spodobała — oznajmił. — Przypomina im nazwę francuskiego butiku.

— Nie — zaprotestowała Erin. — Brzmi jak nazwa jachtu ginekologa.

Orly z hukiem wyrzucił puszkę w biurko.

— Tylko to ci w głowie! — warknął. — Nic nie poradzę, że masz robaczywe myśli.

Gdy Erin szła korytarzem, słyszała jeszcze wrzaski Orly'ego:

— Do cholery, przecież ma więcej klasy niż „Różowa Farma”! Ma więcej klasy niż ci pieprzeni Lingowie!

Sierżant Al Garcia spędził ranek w kamieniołomie na przedmieściach Hialeah. Szukał tu głowy Francisca Goyo, handlarza bronią, którego porwano na Key Biscayne, zamordowano w Carol City i rozczłonkowano w Homestead. Części ciała odnajdywano w różnych częściach hrabstwa Dade. Sierżant pokonał setki paskudnych kilometrów swoim caprice, zbierając szczątki denata. Al Garcia nie cierpiał rozczłonkowań, ponieważ papierkowa robota zwiększała się proporcjonalnie do części ciała. Traciło się wiele godzin na opisanie zwykłego odciętego kciuka. Oczywiście sprawa Francisca Goyo spowodowała powstanie biurowego totalotka. Żeby wygrać, należało zgrać konkretny element ciała denata z datą odnalezienia. Gdy anonimowy informator zadzwonił z doniesieniem o pływającym w Hialeah przedmiocie przypominającym głowę, detektyw Jimbo Fletcher ryknął radośnie — jeżeli rzeczywiście byłaby to głowa zamordowanego handlarza bronią, zarobiłby sześćdziesiąt pięć zielonych. Chociaż Garcia nie lubił Fletchera, miał szczerą nadzieję, że istotnie odnajdzie ową brakującą część nieżyjącego señora Goyo. Pragnął zamknąć wreszcie sprawę. Miał już podejrzanego i motyw, potrzebny był mu tylko w miarę skompletowany denat.

W czasie gdy policyjni pletwonurkowie badali mętne głębiny kamieniołomu, Garcia spacerował po brzegu. Wiał tak silny wiatr, że nie mógł zapalić cygara. Piasek z potężnych stert wydobytego wapienia zacinał po szeroko rozlanej wodzie, kłując detektywa w oczy. Wędrując po kredowym kurzu, Garcia rozmyślał o Killianie i niemal niemożliwych do pokonania przeszkodach w rozwiązaniu sprawy morderstwa. Problemy jurysdykcji były strasznie pogmatwane i wszystko zależało od miejsca śmierci Killiana. Jeżeli został zabity w swoim mieszkaniu, sprawa należała do policji w Fort Lauderdale. Jeżeli zamordowano go niedaleko rzeki w Montanie, śledztwo było w kompetencji władz hrabstwa Mineral, jeśli zaś porwano go z Florydy do Montany wbrew jego woli, do działania powinno włączyć się FBI.

Garcia osobiście nie miał żadnej jurysdykcji, żadnego prawnego pretekstu do zajmowania się tą sprawą, oprócz jednego — nikt inny nie wydawał się nią zainteresowany. Sierżanta dręczyło staroświeckie przekonanie, że nikt nie powinien tak łatwo wykręcić się od odpowiedzialności za morderstwo. Chciał również ukarać drani, którzy spaprali wakacje jego rodzinie. Fakt, że w sprawę może być zamieszany ważny polityk, czynił zadanie tym bardziej nagłym. Sprawa ta fascynowała go do tego stopnia, że miał ochotę wziąć dłuższe zwolnienie lekarskie od swoich obowiązków w wydziale zabójstw hrabstwa Dade. Nie cierpiał każdej minuty straconej na tak przyziemnym zajęciu jak na przykład zbieranie szczątków Francisca Goyo, zwykłego drobnego kryminalisty, którego dane o karalności zajmowały pięć stron. Świat jedynie skorzystał na jego nagłym odejściu. Dlaczego, zastanawiał się Garcia, jestem tu na tym odludziu, poszukując czyjejs głowy? Wciąż umykał mu kosmiczny sens tego przedsięwzięcia.

W południe jeden z policyjnych pletwonurków wynurzył się z płuskim. Płynął, trzymając wysoko nad wodą jakiś przedmiot o rozmiarach dużego kokosa. Zakładając najgorsze, Garcia wyciągnął z bagażnika obszerną dokumentację Francisca Goyo. Wróciwszy na brzeg zobaczył, że pletwonurkowie zgromadzili się wokół obciętego łba cętkowanego wieprza. Na łbie tkwiła baseballowa czapeczka Atlanta Braves.

— Fletcher będzie wkurzony — oznajmił detektyw.

Pletwonurkowie dyskutowali nad symboliką swojego znaleziska.

Ofiary ze zwierząt były popularne wśród wyznawców *santerii*, czarnej magii popularnej w niektórych rejonach południowej Florydy. W zależności od rodzaju ceremonii zabijano kurczaki, kozy, żółwie i inne stworzenia w ofierze, która miała zapewnić przychyłność poszczególnych bóstw. Znalezienie tych koszmarnych ofiar w publicznych miejscach nie było czymś niezwykłym. Zagadkę stanowiła czapeczka baseballowa — żaden z gliniarzy nie wiedział, jak ją interpretować. Czy wieprza pozbawiono łba, aby rzucić klątwę na Atlanta Braves, czy też jako ofiarę dziękczynną? Aby uzyskać jakąś wskazówkę, pletwonurkowie zwrócili się do Ala Garcii. Był Kubańczykiem i najstarszym wiekiem, uznano go więc za najbardziej kompetentnego w sprawach okultystycznych.

— To nie żadna ofiara religijna — wykręcił się Garcia — lecz zwykłe zwierzątko domowe.

— Nie ma mowy — skrzywił się nurek, który znalazł łeb.

— Nigdy nie oglądałeś *Green Acres!* Mieli tam kawał cholernej świni.

— Daj spokój, Al — upierał się nurek. — Jacy ludzie zabiliby swoje zwierzątko domowe?

— Hej, *chico*, jest przecież recesja. Wszystkie więzi ulegają zerwaniu. — Wygłosiwszy tę posepną refleksję, detektyw opuścił kamieniołomy, ale zamiast wrócić na posterunek, skręcił na skrzyżowaniu na północ, w stronę hrabstwa Broward. Po drodze zatrzymał się przy sklepie z narzędziami, zadzwonił do Donny i uprzedził ją, że pewnie spóźni się na obiad.

— Co się dzieje? — zapytała.

— To co zwykle — odparł. — Morderstwo. Panienci topless. Nagie zawody zapaśnicze w oleju.

— Biedactwo.

— Zobaczmy się koło dziewiątej.

— Doskonale — powiedziała Donna. — Oczekuję, że zostanie mi to wynagrodzone.

Shad spełniał wszystkie oczekiwania Garcii, a nawet je przekraczał. Jego muskulatura była niesamowita, lecz typowa w wykonywanym zawodzie. Większe wrażenie wywarła na detektywie skumulowana groźba emanująca z postaci Shada — lśniaca, gładka głowa,

wysunięta agresywnie szczęka, przekrwione, ale beznamiętne oczy. Trudno było zgadnąć, w jakim jest wieku. Sprawiał wrażenie nie mniejszego dziwu natury niż żywy dinozaur — wolno mrugający powiekami i nieustraszony. Gdy się odzywał, mówił cicho, lecz ton jego głosu był twardy. A kiedy się uśmiechał, co zdarzało się nader rzadko, nie pokazywał zębów.

Erin Grant jednak najwyraźniej miała do niego zaufanie. Na tej też podstawie Garcia wywnioskował, że mimo swojego brutalnego wyglądu Shad zachowywał się w stosunku do tancerek po dżentelmeńsku. Był to obiecujący znak.

Znaleźli stosunkowo czystą łóżę nie opodał klatki do tańczenia. Erin poprosiła Kevina, żeby nieco ściszył muzykę, dzięki czemu sierżant nie musiał jej przekrzykiwać. Garcia rozłożył na stoliku kilka czarno-białych fotografii. Bez ponaglania tancerka natychmiast zidentyfikowała pijaka z butelką po szampanie. — Ale wtedy miał wąsy — zauważyła, wskazując palcem.

Detektyw był zdecydowanie uszczęśliwiony.

— Wiesz, kto to taki? Nasz przesławny kongresman Dilbeck!

Patrząc na zdjęcie, Erin pomyślała: Cudownie. Takie już moje szczęście.

— To był wariat — oznajmiła. — Szajbnięty pijaczek.

Garcia z entuzjazmem pokiwał głową.

— Czy dostrzegasz już sens w tym wszystkim? Twój mały kumpel Jerry był świadkiem napaści, rozpoznał Dilbecka na scenie i postarał się wykorzystać tę sprzyjającą okoliczność. Ze wszystkich możliwości szantażu wybrał jednak najmniej egoistyczną — chciał ci pomóc odzyskać dziecko.

Erin nie mogła oderwać wzroku od fotografii Dilbecka — przylepiony uśmiech, zadowolone z siebie spojrzenie. Nie wyglądał tak dystygowanie, gdy walił Paula Gubera w głowę.

— Sukinsyn — rzuciła.

Al Garcia oczekiwał, że Shad potwierdzi tożsamość pijanego lubieżnika. Ale się nie doczekał.

— Coś pan kojarzy? — zapytał.

— Nie — odparł bramkarz. Będzie musiał jak najszybciej skonsultować się z Mordecaiem. Wmieszanie się w sprawę policji mogło spieprzyć plan adwokata i poważnie zaszkodzić emeryturze Shada.



Sierżant wybrał fotografię Erba Crandalla.

— A co z nim?

Brwi Shada zbiegły się nad nosem.

— Nie jestem pewien.

— A ja tak — wtrąciła się Erin. — To jest ten, który miał rewolwer.

— Bardzo możliwe — oświadczył Garcia. — Pan Crandall ma pozwolenie na broń. On, a także siedemdziesiąt pięć tysięcy innych wybitnych obywateli Florydy.

Shad zapytał, czy Crandall jest zawodowym ochroniarzem. Detektyw wyjaśnił, że jego oficjalny tytuł brzmi „kierownik sekretariatu członka Kongresu Dilbecka”. — Czyli niańka — dodał, stukając palcem w poważną twarz Crandalla. — A także, krążą plotki, inkasent. Ale to nas niezbyt interesuje.

Garcia przepytął Erin również o pozostałe fotografie — kolekcję pomocników i kumpli Davida Dilbecka, lecz żaden z nich nie wydał jej się znajomy.

— A więc nasz scenariusz wygląda, jak następuje — podsumował sierżant, składając dłonie. — Pani Grant zdecydowanie zidentyfikowała kongresmana Dilbecka i pana Crandalla jako osoby, które znajdowały się w „Żwawym Bobrze” w nocy szóstego września. Rozpoznała także kongresmana jako człowieka, który wskoczył na scenę i zaatakował innego gościa. Napaść zakończyła się, gdy pan Crandall wy dobył broń i wyprowadził pana Dilbecka z klubu. Czy tak?

— Tak — potwierdziła Erin. Zerknęła podejrzliwie na Shada, który z zakłopotaniem wiercił się w krześle. Martwiło go, że musi migać się przed Erin. Gdyby ona i gliniarz wiedzieli o tej obciążającej fotografii, którą dysponował Mordecai!

— Nie ma sprawy, panie Shad — rzekł Garcia. — Jeżeli pan nie pamięta, to pan nie pamięta. Proszę tylko, żeby pan o tym pomyślał.

— Widuję takich dupków co noc. Zaczynają już wyglądać tak samo.

— Chryste, dobrze wiem, co pan chce powiedzieć. Erin, czy mógłbym prosić o dietetyczną colę?

— Ona nie jest kelnerką — zaprotestował bramkarz.

— Bardzo przepraszam, ma pan rację. Sam sobie przyniosę...

Garcia podnosił się, lecz Erin powstrzymała go gestem dłoni.

— I tak muszę się przebrać. Kiedy będę wracała, przyniosę trzy.

Gdy dziewczyna skierowała się do garderoby, Shad zaczął się wycofywać z łoża. Sierżant złapał go za łokieć i polecił, żeby siedział spokojnie. Nie był pewien, czy wykidajkę jego rozkaz rozbawił, czy oszołomił.

Detektyw pochylił się ku niemu.

— Posłuchaj pan, panie kierowniku sali. Nie wiem, co jest grane, i dlaczego pańska pamięć nagle zrobiła się taka gówniana. To pański interes i z całą pewnością nie jesteś mi pan ni cholery dłużny. Ale wiem, że obchodzi pana ta ładna dama, prawda?

Na pulsującym karku Shada wystąpiły żyły.

— Oto umowa — oznajmił Garcia. — Dziewczyna wplątała się w szantaż. Nie ze swojej winy — po prostu jakiś zwariowany z miłości klient usiłował grać bohatera i próbował zwrócić jej córkę. Zna pan pana Darrella Granta, zgadza się?

Shad ledwo dostrzegalnie skinął głową.

— Ha! Pańska pamięć poprawia się z każdą sekundą. — Detektyw roześmiał się serdecznie. — W każdym razie wielbiciel Erin wpadł na pomysł, żeby przycisnąć kongresmana i zmusić go do wpłynięcia na sędziego prowadzącego sprawę rozwodową. Dama odzyskuje córeczkę, klient awansuje na sir Galahada. Kłopot jednak polega na tym, że ktoś go załatwił pierwszy, i dlatego tutaj siedzę.

— Erin ma kłopoty?

— Możliwe — przytaknął detektyw. — Jest rok wyborów, a to nie najlepsza pora na seksualne skandale. Mogą sobie pomyśleć: Do diabła, kogo obchodzi martwa striptizerka?

— Nie jest striptizerką. Ona tańczy.

— Rzecz w tym, że nie chce pan przecież, by zginęła. Ja również. Jest miła, ciężko pracuje, kocha swoje dziecko i tak dalej. A więc jeżeli coś ważnego zaświta w tym pańskim niewiarygodnym czerepie, niech pan zadzwoni. — Garcia złożył fotografie i wsunął je do kieszeni. — A jeżeli jeszcze się pan nie zorientował — dorzucił — oświadczam, że potrzebuję każdej dostępnej pomocy.

Shad siedział z kamienną twarzą, lecz w jego wnętrzu aż się kołowało. Potrafił świetnie ocenić gliniarzy i wiedział, że ten tutaj nie

jest wciskaczem kitu. Erin mogła być w prawdziwym niebezpieczeństwie i to z jakiego powodu — polityki? Ta kobieta była tancerką, na litość boską. I jedyne, czego chciała od życia, to odzyskać swoją córeczkę.

Wszystko jest jednym wariactwem. Świat oszalał. Shad czuł w piersi dziwną gorączkę.

Garcia wstał i położył na stoliku pięciodolarowy banknot.

— Wypij pan moją colę — rzekł. — Wygląda pan na spragnionego.

## 15.

Kongresman Dilbeck ocknął się pod wpływem ostrego zapachu wody kolońskiej Malcolma Moldowsky'ego i usiadł, kaszląc gwałtownie. Przy jego łóżku stali Moldy i Erb Crandall. Miny mieli surowe i bez cienia współczucia.

Wygłoszone przez Moldowsky'ego słowa powitania tylko potwierdziły jego nastrój.

— Dzień dobry, kapuściany łbie.

— Cześć, Malcolmie.

— Erb powiedział mi o twoim wieczorku.

— Bardzo mi przykro, Malcolmie. Dałem się ponieść.

— Wiesz, co powinniśmy zrobić. Nauczyć cię twórczego onanizmu. Może przynajmniej wtedy nie napastowałbyś kobiet.

— Może przydałyby się te nadmuchiwane lalki — dodał Crandall.

— Można je zamówić w pełnym wyborze, we wszystkich kształtach i kolorach.

Dilbeck miał wrażenie, że cały świat wiruje, i powoli opuścił pulsującą z bólu głowę na poduszki. Z ulgą skonstatował, że znajduje się we własnej sypialni, nie zaś w szpitalu. Na tej podstawie wyciągnął wniosek, być może przedwczesny, że jego obrażenia nie są zbyt poważne. Dotknął obolałego miejsca i jęknął melodramatycznie — guz był ogromny.

— Czy nie potrzebuję lekarza? — zapytał.

— Już był i poszedł — poinformował go Crandall. — Jesteś wielkim

szcześciarzem — żadnego wstrząsu, żadnych uszkodzeń mózgu.

— O ile możemy to stwierdzić — wtrącił Moldy.

Kongresman błagalnym tonem poprosił, żeby dali mu spokój. Ból głowy go zabija.

— Ale musisz być dzisiaj na zebraniu w sprawie gromadzenia funduszków, Davidzie.

— Nie ma mowy, Malcolmie. Popatrz tylko na mnie. Tylko popatrz!

Moldowski podszedł bliżej i pochylił się nad nim groźnie jak dentysta.

— Pod żadnym pozorem nie możesz opuścić tego zebrania, rozumiesz? W prezydium będą Bradley, Kerry i Moynihan, którzy nie życzą sobie sprzeciwu. A co ważniejsze, możemy zdobyć sześć potencjalnych głosów ze Wzgórza.

— Ci faceci są w dalszym ciągu wkurzeni z powodu tej podwyżki pensji...

— Wyjątkowo wkurzeni — przytaknął Moldowski. — Dlatego właśnie załatwiamy im lot pierwszą klasą. Dlatego właśnie załatwiliśmy, że w ich apartamentach czekają na nich szampan i świeżutkie owoce cytrusowe. Mamy czas podlizywania się, Davey. Wszyscy liczą, że znowu wyprostujesz wszystkie sprawy.

— O co ci właściwie chodzi?

— O to, że dzwonił starszy Rojo. Między innymi.

Oszołomiony aromatem bijącym od Molodowsky'ego, Dilbeck zaczął gwałtownie kichać. Moldy cofnął się natychmiast, osłaniając nos i usta przed zarazkami. Gdy kongresman odzyskał zdolność normalnego oddychania, oświadczył, że nie chce, aby widziano go w czasie publicznego wystąpienia w tak żalnym stanie jak obecnie.

Erb Crandall oznajmił:

— Przecież to nie będzie publiczność, Davidzie, ale naiwniacy podający ci na talerzu po tysiącu dolarów. Powiedz im, co tylko chcesz. Powiedz im, że oberwałś pieprzoną piłką golfową.

— Zablokowaliśmy media — poinformował Moldy. — Bądź więc uprzejmy zwlec swoją dupę z łóżka.

David Dilbeck dotknął siniaka i się skrzywił.

— A co z prześwietleniem? — zaniepokoił się. — Jak można być

pewnym, że nie mam wstrząśnienia mózgu, skoro nie zrobiono mi rentgena?

— Lekarz sprawdził ci uszy — wyjaśnił Crandall — czy nie ma w nich świeżej krwi.

— Jezus, Maria, Józefie święty!

Skomlenie Dilbecka zaczęło działać Moldowsky'emu na nerwy.

— Obłożymy twoją pieprzoną głowę lodem, dobra? Leż przez cały dzień na grzbiecie, a do wieczora opuchlizna ustąpi.

— Otóż to — potwierdził Erb. — Będziesz oszalamiający jak zawsze.

— Przestań lekceważyć sytuację.

Moldy otworzył fiolkę z lekarstwami i wytrząsnął z niej dwie pomarańczowe tabletki. Poleciał Dilbeckowi, żeby je połknął, a ból głowy minie.

— Erb powiedział mi, co się stało. Moim zdaniem masz szczęście, że ta dziewczyna nie rozdeptała ci jaj.

Jak zwykle kongresman nie pamiętał prawie żadnego szczegółu incydentu.

— Jak się nazywała? — zapytał.

— Jeanne Kirkaptrick — odparł Erb. — Bardzo ostra panienka.

— Mówię serio. Nie mogę sobie ni cholery przypomnieć. Jak się nazywała. Jak wyglądała. Była blondynką czy rudą. Boże, zupełna pustka.

— I niech tak pozostanie — mruknął Moldy. Zaciągnął zasłony i w pokoju zapanował mrok. — A teraz odpocznij. Czeka cię wspianiała noc.

— Malcolmie?

— O co chodzi, Dave?

— To był ostatni raz, przysięgam na Boga. Jestem wyleczony.

— Bardzo chciałbym ci uwierzyć. Bardzo.

— Przysięgam na grób mojej matki, Malcolmie. Nigdy więcej. Nigdy! Tak strasznie mnie boli.

Moldowsky pożegnał się i wyszedł z pokoju. Jego zapach jednak pozostał jak przemysłowy smog. Crandall wypełnił ręcznik kostkami lodu i położył go na głowie kongresmana.

— Erb, wierzysz mi? — spytał Dilbeck. — Wyrzuciłem już wszystko z mojego systemu. Na dobre.

— Jasne — przytaknął Crandall. — Jeżeli będziesz mnie potrzebował, jestem w holu. Spróbuj się zdrzemnąć.

David Dilbeck spał, a pod jego powiekami rozbłyskiwały psychodeliczne wizje. W końcu fantastyczne rozbłyski ustąpiły miejsca kojącym scenom. Śnił o cudownej tancerce z gęstymi kasztanowymi włosami, o małych krągłych piersiach i uśmiechu, który potrafiłby zmiękczyć serce kata.

Gdy się obudził, lód w ręczniku dawno się roztopił i poduszka pod jego policzkiem była mokra. Oddech miał gorący i nieregularny, ale głowa już go nie bolała. Usiadł gwałtownie, pobudzony świadomością, że kobieta, która tańczyła w jego śnie, istnieje naprawdę, że nie mógł wymyślić takiego uśmiechu.

Gdzieś już widział tę tancerkę. Promienny moment pogrzebany głęboko w podświadomości przez pijackie zamroczenie.

Tak, widział ją. I z całą pewnością się uśmiechała.

— Co ten sen miał znaczyć? — śpiewnym głosem zwrócił się do milczących ścian. — Kim jest ta piękna? — Zrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka. Pokój zafalował pod jego stopami. Niepewnym krokiem ruszył do łazienki i włączył światła. Z niepokojem sprawdził uszy, czy nie ma w nich śladów krwi, ale znalazł zaledwie grudki woszczyzny.

— Kim ona jest?! — zawołał do lustra. — Czego ode mnie chce?

Po niecałym tygodniu Marvela uciekła do „Różowej Farmy”. Otrzymała tam bowiem pięćsetdolarową premię przy podpisywaniu kontraktu, wolne poniedziałki i nowy zestaw strojów. Orły szalał. Wszystkim, którzy chcieli tego słuchać, oświadczał, że bracia Ling są już denatami — przynętą na aligatory, nawozem pod orchidee, kiełbasą śniadaniową. DE-NA-TA-MI. Zapewniał, że dzwonił na Staten Island i załatwił kontrakt na zabójstwo. Nikt bezkarnie nie odbierze mu tancerki!

Następnego dnia zainstalował między reflektorami nad sceną maszynę wiatrową. Oznajmił, że jest to część nowej kampanii, dzięki której „Intymna Łaskotka” stanie się lokalem wyższej klasy — nowa nazwa, nowy odjazdowy *image*. Erin i pozostałe tancerki podejrzewały, że Orły modernizuje lokal przede wszystkim dlatego, aby zakasować zniechędzonych Lingów.

Maszyna wiatrowa była zamkniętym w osłonie elektrycznym wentylatorem skierowanym w dół pod takim kątem, żeby pęd powietrza rozwiewał włosy tancerek. Efektem miał być ich drapieżny, wyzywający wygląd.

— Wpadłem na ten pomysł, oglądając wideoklipy Stevie Nicks — wyjaśnił Orly Erin. — Sama spróbuj.

Przetańczyła krótki kawałek przed wiatrakiem. Powietrze uderzające ją w twarz sprawiało, że bez przerwy musiała mrugać. Nie sądziła, że sprawia szczególnie seksowne wrażenie.

Po jej występie szef powiedział:

— Chodzi o twoje włosy.

— A więc do tego zmierzamy.

— Posłuchaj tylko. Czyby cię to zabiło, gdybyś wyhodowała je tak, aby sięgały za ramiona? Albo przynajmniej zrobiła trwałą? — Dobrze wiedział, że nie powinien nawet sugerować przefarbowania włosów.

— Stevie ma swój wygląd — oświadczyła tancerka. — A ja mam swój.

— Kupiłem również świece dymne i niebieską neonową lampę stroboskopową.

— Naprawdę się pan stara — pochwaliła Erin. — I wszystkie doceniamy ten fakt. — Gdyby jeszcze można było znokautować te cholerne zawody zapaśnicze w oleju.

Orly otworzył nowe pudełko z papierowymi serwetkami.

— Zauważyłaś coś? — zapytał. — Popatrz. Żadnych biustów. Żadnego średniego dołu.

Poprzednie serwetki klubu miały rysunki przedstawiające seksowne gołe dziewczyny w kapeluszach z piórami i butach na wysokich obcasach.

— Te są eleganckie — oświadczyła Erin. — Stosunkowo.

Jej szef był zadowolony.

— Przyszło mi do głowy, że po co przesadzać z cyckami i tak dalej? Nie ma sensu patrzeć na te rzeczy na serwetce, jeżeli ma się wszystko w naturze przed samym nosem.

— Bardzo rozsądne — ponownie pochwaliła Erin. Orly był beznadziejny, ale przynajmniej się starał. W gruncie rzeczy długowłosym tancerkom i tym, które nosiły obfite peruki, chyba podobało się występowanie przed wentylatorem. Tylko Urbana Sprawł odmówiła



korzystania z niego, skarżąc się, że powoduje u niej nasilenie się alergii na drobiny kurzu. Oznajmiła, że nie ma sposobu, aby goła osoba mogła w taktowny sposób dać sobie radę z ciekącym nosem, zwłaszcza w czasie tańca. Orly niechętnie się zgodził.

Dyskusja na temat nowej maszyny wiatrowej trwała w garderobie przez cały wieczór. Większość tancerek uważała ją za cenną nowość. Fakt, że właściciel lokalu wydawał pieniądze na inwestycje, podnosił na duchu. Wstępne opinie widzów były również pozytywne, sądząc po napiwkach. Dla stałych klientów klubu rozwiewane podmuchem powietrza włosy były interesującym odstępstwem od ołowianego kroku tanecznego i mało energicznych ruchów podbrzuszem.

— A skoro już mowa o klientach — rzekła Erin — czy pamiętacie Pana Oczko?

Obie Moniki potwierdziły, że owszem, pamiętają. Erin zapytała, czy widziały go może w noc, kiedy wydarzył się incydent z butelką po szampanie. Monique Jr oświadczyła, że tak, wykonywała dla niego prywatny taniec na stoliku numer trzy, kiedy wybuchła bójka. Pamiętała wszystko dokładnie, ponieważ Jerry Killian popędził do głównej sceny, żeby zobaczyć całe zamieszanie, pozostawiając ją bez zapłaty, tańczącą na pustym stoliku.

— Byłam wkurzona — stwierdziła Monique Jr — ale potem wrócił i dał mi całe dziesięć dolarów. — Przewróciła oczami z lekceważącą miną.

— Czy coś powiedział? — indagowała Erin.

— Że mam zuchwałę sutki, cokolwiek, u diabła, może to znaczyć.

— Nie, nie. Czy mówił coś o tym, co widział... O bójce?

— Zapytał, czy znam faceta z butelką, a ja zaprzeczyłam. Potem był ciekaw, czy wiem, co to rycerskość, i odparłam, że jasne, wiem. No, cóż — oznajmił — z przyjemnością dowiesz się, że jeszcze nie zaginęła. — A ja na to, że wspaniale, bardzo się z tego cieszę. I znowu zaczął o moich sutkach.

Urbana Sprawl była zachwycona zademonstrowaną przez młodszą Monique umiejętnością dokładnego odtworzenia rozmowy sprzed trzech tygodni. Większość tancerek nie zwracała uwagi na czcze głędzenie klientów.

— Zawsze pamiętam facetów, którzy dają marne napiwki — wyjaśniła Monique Jr. — Tak samo jak tych, którzy dają dobre.

Erin poprawiła włosy, przeciągnęła szminką po wargach i skierowała się do klatki na trzy tańce. Kevin wrzucił jeden z jej ulubionych kawałków Allman Brothers i dziewczyna posłała mu całusa. Długie piosenki były marne dla interesów, ale od czasu do czasu potrzebowała którejś z nich, żeby oderwać się od codzienności, odpłynąć z muzyką.

Dziś wieczorem wykorzystała ten czas, aby myśleć o morderstwie. Fakty zdawały się pasować do scenariusza sierżanta Ala Garcii. Killian był na widowni, gdy napalony kongresman zerwał się z łańcucha. Mały facet prawdopodobnie rozpoznał Dilbecka, mimo jego fałszywych wąsów i całego przebrania, i wpadł na pomysł szantażu.

A jakiś czas potem został zabity...

Erin był pogrążona w myślach do tego stopnia, że nie od razu zauważyła klienta. Stał pod klatką, patrzył na jej tyłek i czekał, żeby się odwróciła. Wreszcie zawołał ją po imieniu i Erin tańcząc zbliżyła się do krat. Wyciągnął rękę i włożył pieniądze za jej podwiązkę. Był to banknot pięćdziesięciodolarowy. Dziewczyna uśmiechnęła się i skrzyżowała ramiona na piersi, prowokująco udając zakochaną od pierwszego wejrzenia. Później usiadła przy jego stoliku, żeby mu podziękować — był to obowiązujący w knajpach ze striptizem rytuał, gdy klient dał wyjątkowo duży napiwek. Uważano, że trzy-, czterominutowa wizyta zupełnie wystarcza, dłuższy pobyt oznaczał stratę cennego czasu pracy tancerki. Przyjacielska pogawędka nieodmiennie prowadziła do spraw handlowych i doświadczone striptizerki były mistrzyniami w ich realizacji. Dobra tancerka stolikowa mogła namówić klienta na pół tuzina prywatnych numerów pomiędzy jej występami. W taki też sposób większość z nich zarabiała. Erin była jedyną, która dostawała napiwki wyłącznie za taniec na scenie.

Ten hojny klient miał około trzydziestu pięciu lat i był ubrany jak wysoki rangą urzędnik pożyczkowy. Zbyt ostrożnie popijał Jacka Danielsa i nawet nie rozluźnił krawata. Najwyraźniej miał jakieś plany na wieczór. Gdy Erin podziękowała mu za napiwek, sięgnął po jej rękę:

— Jeżeli tyle płacę, żeby popatrzeć, to wyobraź sobie, ile zapłaciłbym, żeby dotknąć.

Kolejny cwaniak, pomyślała Erin. Próbowwała uwolnić rękę, ale mężczyzna jej nie puszczał.

— Najwidoczniej jesteś tu po raz pierwszy.

— Skąd wiesz?

— Przypuszczam, że środkowy zachód — Chicago, Minneapolis?

— St Paul — odparł nieznajomy. — Jesteś zupełnie dobra, Słodki Pyszczku.

— Słodki Pyszczku? Na nic lepszego cię nie stać? — Nie miała ochoty na głupie gadki. Minęło wiele miesięcy od czasu, gdy po raz ostatni próbował ją obmacywać jakiś przyjezdny palant — nazywał ją „Słodkie Majteczki”. Tamten był z Syracuse i miał najbardziej owłosione łapy, jakie widziała poza ogrodem zoologicznym.

— Proszę mnie puścić — odezwała się do faceta z St Paul.

— Zatańcz dla mnie.

— Już to zrobiłam.

— Ale nie tutaj. Mam pokój w hotelu przy plaży. — Jego dłoń była sucha i silna. — Pokój z sauną.

— Nie, dziękuję.

— Za dwa tysiące dolarów?

— Nie jestem tego warta, możesz mi wierzyć. — Erin wbiła paznokcie w miękki spód przegubu mężczyzny. Krzyknął ze złością i puścił ją. Gdy odsunęła się od stołu, noga faceta wystrzeliła do przodu i wykopała spod niej krzesło. Erin przewróciła się do tyłu.

Śmiech klienta zakończył się zduszonym piśnięciem. Gdy Erin wstała, zobaczyła zakrwawioną i pełną głębokiego ubolewania twarz mężczyzny wciśniętą w zgięcie łokcia Shada. Bramkarz okładał go metodycznie z typowym dla siebie spokojem, ale w wyrazie jego twarzy Erin dostrzegła autentyczną wściekłość. Był to nader rzadki przypadek.

— Dosyć! — poleciła.

Wykidajło upuścił faceta prosto na nos. Ten przekręcił się na plecy i wybełkotał coś o pozwaniu do sądu.

— Doprawdy? — zapytał Shad. — Chce pan zadzwonić do żony? Zaraz przyniosę telefon. — Trącił go mocno czubkiem buta. — No?

Dziesięć minut później mężczyzna z St Paul siedział już przypięty pasami w swoim wynajętym thunderbirdzie. Przekręcił lusterko wsteczne, żeby sprawdzić stan nosa i warg, które zdążyły już spuchnąć do rozmiarów parówek.

Shad oparł się o drzwiczki samochodu.

— Nigdy już tu nie wracaj — poradził.

— Nie miałem żadnych złych zamiarów.

— Czy ona wygląda na dziwkę? — Łysa, potężna głowa wykidajły wypełniła framugę okna. — Odpowiedz, koleś. Czy ta dama wygląda na kurwę?

Facet z St Paul dygotał.

— Naprawdę przepraszam.

Shad przywołał Erin do samochodu i polecił niefortunnemu klientowi, żeby przeprosił jeszcze raz. Zrobił to z zapalem.

— Powinieneś nauczyć się szacunku — rzekła Erin.

— Bardzo przepraszam. Jak Boga Kocham.

— Jak myślisz, co to za lokal? — spytał Shad. — Czy wygląda na burdel? — Mężczyzna energicznie pokręcił głową.

— To firma z klasą — dodała dziewczyna. — Na pewno zauważyłeś serwetki.

Facet z St Paul odjechał szybko w florydzką noc, a Erin objęła Shada w pasie.

— Jesteś dzisiaj w paskudnym nastroju — powiedziała. — O co chodzi?

— Po prostu obawiam się o ciebie. I to wszystko.

— Dlaczego?

— Dlatego, że są źli ludzie na tym świecie.

Roześmiała się.

— Ale ty jesteś tutaj, żeby mnie chronić.

— Słusznie — przytaknął. Jutro z samego rana pójdzie do Mordecaia i wycofa się z umowy. Stawki stały się zbyt cholernie wysokie.

W dole ulicy rozległo się wycie syren. Chwilę później koło „Intymnej Łaskotki” przemknął policyjny radiowóz, a potem dwa następne samochody policyjne i kolejna karetka pogotowia. Erin podeszła do krawężnika, żeby zobaczyć, czy zdarzył się jakiś wypadek. Wkrótce przyłączył się do nich nieposiadający się z radości Orly.

- Bóg jednak istnieje! — oznajmił.
- O co chodzi? — zapytała dziewczyna.
- Tylko posłuchaj.

Jak na dany znak, syreny zaczęły cichnąć jedna po drugiej. Błyskające światła skupiły się kilka przecznic dalej, po drugiej stronie autostrady.

- Chyba jakaś katastrofa — domyślił się Shad. Orly zachichotał.
- Żadna katastrofa. — To „Różowa Farma”.

— Co pan zrobił? — zainteresował się Shad. Wykręcił pan jakiś numer?

— Tym razem nie ja, ale Marvela. Właśnie zadzwoniła, wysłuchując swoje śliczne oczęta. — Orly tryumfował. — Chce wrócić do swojej dawnej pracy. Ha!

- Zdarzyło się coś paskudnego — orzekł bramkarz.

Jego szef się uśmiechnął.

— Tak, bardzo paskudnego. Facio padł trupem przy jej stoliku. Biedna Marvela, pomyślała Erin.

- I to nie byle kto — dodał Orly. — Cholerny sędzia.

Erin usłyszała swój głos:

- Który sędzia?

— A kogo to obchodzi? Martwy sędzia jest martwym sędzią. Mam nadzieję, że ci pieprzeni Lingowie sikają teraz żyłkami...

Erin ruszyła ulicą w stronę migających niebieskich i czerwonych świateł. Orly zawołał ją, ale nie zwróciła na jego krzyki uwagi. Kilku kierowców zatrąbiło na jej widok, ale ona — stukając wysokimi obcasami, ubrana jedynie w wysadzone cekinami minifigi i koronkowy stanik — szła coraz szybciej i szybciej, powtarzając cicho:

- Może, może, och może pan Orly ma rację.

Może rzeczywiście Bóg istnieje.

Sędzia uważał Marvelę za szczupłego, rozkosznego archaniola. Ona jedyna w klubie Orly'ego flirtowała w odpowiedni sposób. Pozostałe tancerki były obojętne, niedbałe, nawet oziębłe, niektóre w ogóle nie chciały dla niego występować. Sędzia podejrzewał, że Erin nastawiła dziewczyny przeciwko niemu — prawdopodobnie pogardzały

nim, ponieważ rozdzielił ich przyjaciółkę z jedynym dzieckiem. Cóż za brak zrozumienia! Przecież usprawiedliwienie jego postępowania znajdowało się tutaj, w Biblii, jasne jak słońce, ale żadna z tancerek nie chciała posłuchać jego wyjaśnień, bez względu na to, jak duże dawał im napiwki. Zdaniem sędziego wszyscy mają jakiś dar. Każdemu wyznaczono jakieś specjalne zadanie na ziemi. Uważał, że macierzyństwo jest jedną sprawą, a tańczenie nago — drugą.

Marvela, jako nowa, nie wiedziała, że sędzia został nieoficjalnie poddany ostracyzmowi. Wykonała dla niego kilka wspaniałych tańców na stole i przez kilka dni był nią oczarowany. Gdy porzuciła klub Orły'ego, sędzia chętnie podążył za nią do „Różowej Farmy” i nowego wspaniałego świata tańca pełnokontaktowego.

Odległość pomiędzy dwoma klubami wynosiła kilkaset metrów, ale jemu wydawało się, że jazda trwa całą wieczność. Chcąc uniknąć rozpoznania przez przejeżdżającego kierowcę, znalazł miejsce do zaparkowania daleko od świateł ulicznych. Dyskrecja była niesłychanie ważna do czasu, aż uzyska nominację do sądu federalnego. Potem będzie mógł odpoczywać, jak mu się spodoba. Dotąd nie słyszał, aby kogoś postawiono w stan oskarżenia za uczęszczanie do małego baru.

Gdy sędzia przekręcił kluczyk w stacyjce, serce tłukło mu się o jego kruche jak u ptaka żebra. Czuł lekki zawrót głowy, ale uznał to za rezultat podniecenia. Przed wejściem do lokalu Lingów odmówił w myśli modlitwę, dziękując Bogu z góry za dary, które wkrótce otrzyma. Za możliwość położenia dłoni na cudownej Marveli, za to, że poczuje, jak ociera się o niego swymi atlasowymi udami — będzie to spełnienie jego marzeń!

Niestety, tak się nie stało. Oczekiwanie zabiło go na chwilę przed rozpoczęciem się pełnego kontaktu. Umarł z językiem na stole i Biblią balansującą na kolanach. Jedną jego dłoń wczepiona była w krocze jak szczypecie homara i pozostała w tym miejscu podczas energicznych prób pomocy, w tym również masażu serca.

Śmierć nastąpiła w wyniku ogromnego wylewu krwi do mózgu. Znaczna część mózgu sędziego na dobrą sprawę eksplodowała, gdy tańcząca Marvela położyła swój *bustier* na czubku jego głowy. Obdarzony szybkim refleksem wykidajło usunął ten szczegół garderoby, zanim pojawili się pielęgniarze.

Biorąc pod uwagę natężenie ruchu ulicznego, ich czas reakcji był oszałamiający. Doprowadzeni do białej gorączki Lingowie nie zdążyli usunąć ciała z lokalu i mogli jedynie narzekać na dzikie zamieszanie. W ciągu paru minut od pojawienia się pierwszego policjanta „Różowa Farma” opustoszała, jakby stwierdzono w niej przeciek gazu trującego. Barmani i tancerki uciekli ostatni.

Gdy pojawiła się Erin, zobaczyła staruszka wyciągniętego na podłodze. Otaczali go młodzi medycy w niebieskich dresach. Jeden z nich klęczał obok nieruchomej postaci, ugniatając klatkę piersiową sędziego w idealnym zgraniu z lecącym z głośników *Rhythm Nation* Janet Jackson. Lingowie trzymali się z daleka, jazgocząc jedynie o negatywnej reklamie, utracie dochodów i ewentualnej wizycie urzędników stanowych zajmujących się wyszynkiem.

Erin podeszła i jak gdyby nigdy nic stanęła między sanitariuszami. Ich wysiłki wyraźnie traciły tempo, podobnie zresztą jak muzyka. Mężczyzna na podłodze był bez wątplenia denatem. Erin pochyliła się, aby popatrzeć dokładniej. Wyglądał zupełnie jak jej sędzia, lecz nie była tego do końca pewna.

— Czy możecie mu zdjąć maskę tlenową? — poprosiła.

Jeden z medyków, oszołomiony jej strojem, z radością spełnił życzenie. Zapytał przy okazji, czy znała ofiarę.

— Przelotnie — odparła.

Marvelę, przebraną już w zwykłe ubranie, przesłuchiwało dwóch funkcjonariuszy mundurowych i jeden detektyw. Dziewczyna paliła papierosa za papierosem, zaciągając się gwałtownie i strząsając popiół w kufel po piwie. Erin usiadła przy barze i czekała, aż gliniarze skończą. Po chwili wszedł Shad i przyłączył się do niej.

— Powinnaś sobie obejrzeć śmigłowiec na zewnątrz — powiedział.

— Marnowanie paliwa — stwierdziła Erin. — Jest martwy jak fładra.

— To nie jest śmigłowiec ze szpitala, ale z Kanału 7.

— Poważnie? — Erin zaśmiała się mrocznie. — Shad, cieszę się z tego. Przyznaję ze wstydem, ale to prawda.

— No cóż, facio był kutasem.

— I takim hipokrytą!

— Może zdołasz odzyskać swoją dziewczynkę.

— O tym właśnie myślę — przytaknęła Erin. — Wiem, że to paskudne w tej sytuacji...

— Daj spokój. Facet był fiutem. — Bramkarz sięgnął za dobrze wyposażony kontuar barowy Lingów i wziął dwie szklanki. Potem odczepił dozownik i nalał do obu coli. Erin obserwowała, jak sanitariusze układają martwego sędziego na noszach, przykrywają brązowym kocem i przypinają pasami.

— Mój adwokat — rzekła — będzie wstrząśnięty.

— Podobnie jak twój były. — Usta Shada wykrzywiły się w chłodnym uśmiechu. — Chciałbym być przy tym, jak mu to powiesz.

— Wątpię, czy będą miała tę przyjemność — stwierdziła Erin.

Gdy policja skończyła przesłuchiwanie Marveli, tancerka podeszła do baru i usiadła obok Erin.

— Nawet go nie dotknęłam — zwierzyła się ze zdumieniem.

Potem zaczęła łkać i Erin ją objęła. Nie знаła Marveli zbyt dobrze, ale potrafiła zrozumieć szok, jaki dziewczyna przeżyła, w chwili gdy klient strzelił kopytami.

Shad przeskoczył kontuar i nalał szlochającej Marveli dewara. Tancerka powtarzała, że nie wiedziała, co się stało — przecież ledwo zdążyła zdjąć stanik.

— Nie mogę uwierzyć, że umarł. U m a r ł! Nawet nie usiadłam mu na kolanach...

— Już dosyć — przerwała jej Erin. — To nie była twoja wina. Pogłaskała Marvelę po włosach, które pachniały marlboro i pianką do włosów. Łzy dziewczyny kapały na nagie ramię Erin.

— Spójrz na wszystko z innej strony — poradził Shad. — Facet umarł, patrząc na cipkę. Można gorzej skończyć.

Marvela była niepokieszona. Wypiła drinka i drżącymi rękami wyciągnęła kolejnego papierosa.

— Powinam się trzymać zwykłego pozowania. W kostiumach kąpielowych i bluzeczkach.

Shad podał jej ogień.

— Na litość boską!

— To moja wina. Umarł przeze mnie!

— Cicho! — uspokajała ją Erin. — Wykonywałaś tylko swoją pracę.



## 16.

Rita i Alberto Alonso zgodzili się zaopiekować Angelą, w czasie gdy Darrell Grant odwoził transport kradzionych foteli inwalidzkich do St Augustine. Alberto bardzo lubił dziewczynkę, ale Rita wolała towarzystwo swoich psów. Jej szczeniaki wyrosły i stawały się coraz bardziej rozbrykane. Darrell nakazał więc siostrze, aby trzymała jego córkę w przyczepie, z dala od tych cholernych wilków. Rita zapytała, gdzie są zabawki dziewczynki, i Darrell odparł, że w ciężarówce nie było na nie miejsca. Alberto powiedział, żeby się nie martwił, bo tutaj jest mnóstwo rzeczy, którymi Angie może się zająć. Przyniósł worek piłeczek golfowych i wysypał je na podłogę. Angela bawiła się nimi najlepiej, jak potrafiła.

Alberto spał przez cały dzień, a Rita w tym czasie zajmowała się na podwórku zwierzętami. Dziewczynkę zafascynował ekscentryczny wygląd ciotki — maska łapacza baseballisty, papieros, robocze rękawice, workowate ubranie. Siedziała godzinami w oknie obserwując, jak Rita pracuje ze swoimi psychopatycznymi podopiecznymi. Raz, gdy była sama w przyczepie, wzięła telefon i wybrała zapamiętany numer telefonu mamy. Nikt nie podnosił słuchawki, ale Angela nie rozłączała się przez dwadzieścia pięć minut. Rita weszła do środka i dostała ataku furii. Schwyciła telefon i postawiła go na lodówce, poza zasięgiem rąk dziecka.

Darrell Grant z przyjemnością wyrwał się z miasta. Wolny od rodzicielskiej odpowiedzialności, nie musiał się już ukrywać, pożerając

speeda, od którego coraz bardziej się uzależniał. Prochy dawały mu odwagę do kradzieży i pomysłowość w kłamaniu. Pomagały mu również uporać się z Merkinem i Picattą, którzy bez przerwy go nękali. Detektywi byli złośliwie upierdliwi i zawsze żądali gorących cynków. Darrell nie miał nic przeciwko kablowaniu innych kryminalistów, zwłaszcza jeżeli alternatywą byłoby więzienie, ale czasem po prostu nie było nic do nadawania. Merkin i Picatta wydawali się nie rozumieć, że tak wielu drani cierpi na chroniczne lenistwo. Bywało, że mijały tygodnie albo i miesiące między jednym przestępstwem a drugim. A mimo to ciągle domagali się nowych danych i świeżych donosów. Jeżeli nie było pod ręką poważnych przestępstw, oczekiwali od Granta, że pójdzie na ulicę i zacznie węszyć.

Problem polegał na tym, że Darrell nie miał czasu zajmować się handlarzami prochów — obrót fotelami inwalidzkimi był pełnoetatowym zajęciem. Liczył, że kurs do St Augustine na przykład da mu trzy kawalki na czysto — dom opieki już czekał, pieniądze po dostarczeniu towaru. Ale wtedy właśnie zadzwonili Merkin z Picattą, nudząc go, żeby spotkał się z jakimś kubańskim barmanem w pieprzonym Hallandale, który być może handlował na kilogramy. Grant musiał szybko myśleć i jak zwykle w takich sytuacjach speed ocalił mu dupę. Sprawił, że Darrell przypomniał sobie nazwisko Tommy'ego Tinkera, handlarza heroiną. Wiedział, jak bardzo gliniarze w południowej Florydzie uwielbiają takie sprawy. Była to nie tylko przyjemna odmiana po detalistach, ale również gwarancja wyróżnienia, najczęściej w postaci tytułu funkcjonariusza miesiąca. Dlatego też Darrell wystawił Tommy'ego Tinkera jako handlarza heroiną numer jeden na wschód od 1-95 i powiedział Merkinowi oraz Picattcie, gdzie dokładnie na Sunrise Boulevard mogą go znaleźć.

— Gramy czy uncje? — spytał Picatta.

— Uncje — odparł szybko Darrell. — Ale nie sprzedaje białym facetom. W przeciwnym razie bardzo chętnie bym go wystawił.

I obaj detektywi wystartowali w poszukiwaniu czarnego handlarza prochami, a Darrell pojechał do St Augustine. Mijał właśnie granice Vero Beach, gdy jego mózg zwolnił obroty na tyle, aby mógł uświadomić sobie, że Tommy Tinker został skutecznie załatwiony bombą zapalającą w Nowym Orleanie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym

siódmym. Grant przeżył krótki przyływ paniki, ale ani przez chwilę nie rozważał możliwości zawrócenia czy wykonania telefonu. Wrzucił do ust trzy następne pięknotki i wdepnął pedał gazu. Wkrótce ciężarówka pędziła w takim samym tempie jak jego serce i życie wydało mu się piękne.

Kongresman w porę pojawił się na galowym spotkaniu zorganizowanym w celu zbierania funduszków. Był już w stanie ubrać się bez pomocy, ogolić tępą brzytwą i wyszczotkować włosy. Makijaż w kolorze opalenizny ukrył guza, który skurczył się do rozmiarów zielonej kulki umieszczonej pośrodku brwi.

Erb Crandall zawiózł go do hotelu i trzymał się u jego boku przez cały wieczór. Obiad miał dobrą obsadę, a wygłaszane na nim mowy były pochlebne. Najbardziej wylewną pochwałę wygłosił senator Moynihan, który nigdy dotąd nie spotkał Davida Dilbecka, dzięki czemu nie był obciążony złymi wspomnieniami.

Po deserze Dilbeck osobiście wyszedł na podium i udało mu się przemawiać przez jedenaście minut bez powtarzania. Zadał o to, aby obsypać absurdalnymi komplementami kolegów, od których głosów zależało odnowienie dotacji cenowych dla krajowego cukru. W duchu modlił się, aby jego uwagi zaczęły kruszyć lody powstałej niechęci — w końcu jak często takie płotki porównuje się do Rooseveltów czy Kennedych! Erb Crandall stwierdził, że pozostali kongresmani sprawiali wrażenie autentycznie wzruszonych. Dilbeck liczył na to, ponieważ niewiele brakowało, żeby zakrzuszył się serwowanymi komplementami.

Potem jak piłeczka w elektrycznym bilardzie wędrował od stolika do stolika, dziękując sponsorom za ich hojność. Zazwyczaj uwielbiał być w centrum zainteresowania, ale dzisiaj ta uwaga straszliwie go męczyła, obraz w lewym oku miał bowiem zamazany, a w uszach dudniła niewidzialna orkiestra stalowych bębnow. Podtrzymywał się na duchu, powtarzając w myśli mantrę Erba — każdy uścisk dłoni wart jest tysiąc dolarów.

Przy jednym z dalszych stołów powitał go korpulentny gość o zarumienionych policzkach i rozbieganych oczkach gryzonia, ubrany jak na pogrzeb. Mężczyzna oznajmił, że jest prawnikiem, i przedstawił

towarzyszącą mu surowo wyglądającą kobietę jako swoją kuzynkę.

Dilbeck zauważył lekkie rodzinne podobieństwo.

— Czy pan mnie pamięta? — zapytał adwokat.

— No cóż, wydaje mi się, że skądś pana znam — skłamał Dilbeck.

— San Francisco. Ekspres Mondale'a.

— Oczywiście, oczywiście. — Kongresman zupełnie go nie kojarzył, większość czasu na zjeździe spędził bowiem przy barze w toplesowej rewii Carol Dody. — Widziałem się z Fritzem jakieś trzy tygodnie temu — zaimprovizował. — Wyglądał zupełnie fantastycznie.

Adwokat poprosił go, żeby przysiadł się na parę minut, ale Dilbeck podziękował, informując, że zorganizowano mu strasznie napięty program. I wtedy właśnie prawnik wręczył mu fotografię.

— Do pańskiego albumu — oznajmił.

— Jezusie, Mario, Józefie święty! — jęknął kongresman.

Przysłonił niesprawne oko i spojrzał na kolorową podobiznę własnej pijanej osoby, uderzającej butelką w głowę nieznanego. Niezbyt sobie przypominał tę scenę, pamiętał jedynie kobietę. To była tancerka z jego snu — rany boskie, istniała naprawdę! Dilbeck poczuł absolutnie niestosowne do sytuacji mrowienie.

— To jest fotografia powiększona z diapozytywu umieszczonego przeze mnie w bardzo bezpiecznym miejscu — oświadczył adwokat. Przerwał i przesunął palcem po górnej wardze. — Jeżeli mogę zauważyć, proszę pana, wygląda pan lepiej bez wąsów.

Kongresman uśmiechnął się anemicznie. Erb Crandall, zaglądający mu przez ramię, z ulgą stwierdził, że w tle zdjęcia nie widzi własnej podobizny. Zastanawiał się jednak, czy istnieją jeszcze inne fotografie z tej sekwencji — na przykład takie, na których trzyma w ręku rewolwer. Jezu, cóż to była za wredna noc.

— Zdziwiające — rzekł Dilbeck — że nic z tego nie pamiętam.

— Ale to pan, prawda? — tryumfował prawnik.

Crandall sucho zażądał jakiegoś dowodu tożsamości. Mordecai podał mu urzędową wizytówkę ze słowami:

— Jestem zdania, że sprawa dotyczy również Joyce. Zaatakowany mężczyzna był jej narzeczoną.

Erb Crandall przysunął wargi do ucha Dilbecka i szepnął:

— Nie mów już ani słowa.

— W porządku, Erb. Słowo honoru, że nic sobie nie przypominam.

Adwokat ciągnął dalej:

— Zapewne jest pan ciekaw stanu tego młodego człowieka. Niestety, nie mam dobrych wiadomości. Doznał w czasie tej napaści poważnych obrażeń.

Kongresman się zgarbił.

— Cóż mogę powiedzieć? Strasznie mi przykro.

— Zamknij się! — syknął Crandall.

— Bardzo ładnie i miło, że jest panu przykro — odezwała się Joyce — ale mój Paul już nigdy nie będzie taki sam.

— Poważny uraz głowy — dodał prawnik. — Trzyma pan w ręce butelkę po szampanie. Po korbelu, jeżeli się nie mylę.

Kongresman podał fotografię swojemu sekretarzowi pytając:

— Byłeś tam, Erb. Co się, u diabła, stało?

Kątem oka Crandall dostrzegł nierówny wężyk sympatyków, wśród których znajdowało się również kilku prominentnych przedstawicieli rodziny Rojo, zmierzający w kierunku Davida Lane'a Dilbecka. Zgrabnym ruchem schował zdjęcie do kieszeni smokinga i zaproponował Mordecaiowi, że spotka się z nim na górze w apartamencie gościnnym.

— Doskonale — odparł adwokat. — Liczyliśmy na trochę prywatności.

— Za piętnaście minut — rzucił Crandall. A następnie popędził w poszukiwaniu Malcolma J. Moldowsky'ego.

Tracąc siły, David Dilbeck zdołał zakończyć swój obchód — ściskając rękę, udając, że poznaje rozmówcę, chichocząc z kulawych dowcipów, dziękując za banalne pochlebstwa... Ale myślał jedynie o smukłej tancerce, której honoru tak szlachetnie bronił owego wieczoru w „Żwawym Bobrze”. Czy ona również o nim myśli?

Joyce chodziła tam i z powrotem po holu, a w tym czasie w apartamencie gościnnym Mordecai konferował sam na sam z Moldowskim. Nie było żadnych formalności. Adwokat przedstawił swoje żądania, Moldy sporządził kilka notatek. Pognieciona w kieszeni smokingu Crandalla fotografia leżała między nimi na stoliku.

— Wymuszenie — oświadczył z namysłem Moldowsky.

— W moim zawodzie nazywa się to negocjowaniem umowy. Czy przypuszcza pan, że żartuję, napomykając o wystąpieniu z powództwem cywilnym? Fotografia mówi sama za siebie, panie Moldowsky.

— Nie pochwałam szantażu.

Mordecai wzruszył ramionami.

— Inni adwokaci najpierw złożąliby pozew, a potem wystąpili z propozycją ugody. Oczywiście założenie sprawy natychmiast spowodowałoby zainteresowanie całym incydentem opinii publicznej. Biorąc pod uwagę pozycję pana Dilbecka, uznałem, że zechce uniknąć rozgłosu.

— Bardzo dziękuję, że okazał się pan tak cholernie delikatny. — Moldy wstał i zrobił sobie drinka. Zerknął kątem oka na obciążające zdjęcie czcigodnego Davida Lane'a Dilbecka — morderczo oszalałego z namiętności. Ależ to by wyglądało na pierwszych kolumnach gazet.

— Rozumiem, że musi pan mieć nieco czasu — powiedział prawnik. — Musiał pan przeżyć poważny szok.

— Niezupełnie — odparł Moldowsky. — Ten mężczyzna nazywa się Paul Jonathan Guber. Leżał pięć dni w klinice ogólnej hrabstwa Broward z ranami ciętymi, siniakami i lekkim wstrząśnieniem mózgu. Obecnie czuje się zupełnie nieźle, ale jak sądzę, nie należy to do sprawy, prawda?

Mordecai był tak oszołomiony, że przez chwilę nie mógł zdobyć się na odpowiedź. Po paru sekundach rzekł:

— Czy mam rozumieć, że w trosce o zdrowie mojego klienta zadzwonił pan do szpitala?

Malcolm Moldowsky postukał wypolerowanym paznokciem o bok szklanki.

— Interesowaliśmy się tym na życzenie kongresmana — oznajmił. Erb Crandall śledził poczynania młodego człowieka od wieczoru, w którym wydarzył się ów incydent.

— Jestem pod wrażeniem — stwierdził Mordecai. — Z drugiej jednak strony pańskie zainteresowanie stanem mojego klienta może zostać uznane za przyznanie się do odpowiedzialności. Sąd może dowieść, dlaczego pan Dilbeck nie ujawnił się z własnej woli. Podobnie prokurator stanowy.

Moldy był wyraźnie rozbawiony.

— Jak pan myśli, z kim pan prowadzi interesy?

— Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. Miałem nadzieję, że przeprowadzimy cywilizowaną dyskusję. — Adwokat wstał i wygładził garnitur. — Będę w sądzie z samego rana. Niech pan przygotuje kongresmana na najgorsze.

— Siadaj, cwaniaku — polecił Moldowsky.

— Nie, łaskawy panie. Już swoje powiedziałem.

— Trzy miliony to za dużo.

— Doprawdy? — Tym razem rozbawiony był Mordecai. — Czy wie pan, jakie były dochody Cukru Sweethart w ubiegłym roku?

Moldy z sykiem wciągnął powietrze przez przednie zęby i wolno postawił szklankę na stole. Prawnik w dalszym ciągu był bardzo z siebie zadowolony. Żałował, że Joyce nie może zobaczyć go w działaniu, jak trzyma za jaja tych ważniaków.

— Zna pan człowieka o nazwisku Jerry Killian? — zapytał Moldowsky.

Mordecai odparł, że nigdy o nim nie słyszał, i Moldy zorientował się, że facet mówi prawdę. Cały Dilbeck — dać się zaszantażować dwukrotnie za to samo! A właściwie trzy razy, jeżeli liczyć tajemniczą kobietę, która dzwoniła do biura w Waszyngtonie.

— Muszę wiedzieć, kto jeszcze bierze udział w tej sprawie.

— Moimi klientami są Joyce i Paul — poinformował adwokat. Nie wspomniał, że Paul Guber, który nie wyraził zainteresowania planem, nigdy nawet nie usłyszy o pieniądzach. Zataił również, że skromny udział w ugodzie przypadnie gwałtownemu bramkarzowi o nazwisku Shad.

— Czek powinien być wypisany na fundusz powierniczy mojej firmy — zażądał.

— Czek? — Malcolm Moldowsky roześmiał się.

— Na pewno nie ma pan zamiaru płacić gotówką.

— Nie. Przelew telegraficzny.

— Spoza kontynentu?

— Nassau — rzucił Moldy. — Może Kajmany. Czy stwarza to jakiś problem?

— Nie, dopóki będą to dolary amerykańskie. — Mordecai próbował zgrywać starego wygę.

— Ale trzy miliony nie przejdą — rzekł Moldowsky. — Niech Pan przystanie na dwa koma pięć.

— Proszę nie bawić się w ciuciubabkę, panie Moldowsky. Obaj znamy cenę cukru i dlatego utrzymuje się na tak wysokim poziomie.

— Nie przeciągaj struny, cwaniaku. Według moich informacji Paul Guber całkowicie odzyskał zdrowie.

— Z ludzkim mózgiem nigdy nic nie wiadomo — zadumał się Mordecai. — Jednego dnia człowiek czuje się doskonale, a następnego znajduje się na intensywnej terapii.

— Och, widzę, że jesteś ostry.

— Perspektywa procesu mogłaby się odbić wyjątkowo niekorzystnie na psychice młodego człowieka i jego przyszłej małżonki. Zaleciłbym przeprowadzenie konsultacji.

Moldy machnął dłonią w powietrzu.

— Przestań pan pieprzyć. Porozmawiam z pewnymi ludźmi i zwrócę się do pana.

— Oczywiście.

— A tymczasem niech pan pogada z Joyce. I wyjaśni jej konieczność zachowania tajemnicy.

— Proszę się nie martwić — zapewnił Mordecai. — Jest sprytną osobą.

I wkrótce będzie bogatą.

Jacht rodziny Rojo nazywał się „Sweethart Deal”. Miał trzydzieści metrów długości i wykonany został w Holandii. We wszystkich trzech apartamentach znajdowały się bary i systemy audio Dolby.

Stał zacumowany przy Turnberry Isle na Intercoastal Waterway. Moldowsky przybył tam około drugiej w nocy. Starsi bracia Rojo, Joaquin i Willie, zaproponowali mu filiżankę kubańskiej kawy, Moldy jednak nie potrzebował jej — zupełnie nie chciało mu się spać. Dwie młode kobiety brały kąpiel z bąbelkami, a Christopher, któremu urwał się film, leżał na dywanie obok plamiastego ocelota w obroży wysadzanej szmaragdami. Dziki kot wylizywał sobie łapy i mruczał.

Bracia Rojo zaprowadzili gościa do małego saloniku na pokładzie kapitańskiego i Willie zapytał o Erba Crandalla.

— Nie zapraszałem go — odparł Moldowsky — dla jego własnego dobra.



— Powiedz nam, jaki masz problem, Malcolmie.

Przedstawił go krótko: kongresman wplątał się w przykrą sytuację, sporządzono kompromitującą fotografię i obecnie pojawił się prawnik, który żąda trzech milionów dolarów.

Panowie Rojo głęboko się zaniepokoiłi i zaczęli rozmawiać między sobą cicho po hiszpańsku. Moldy zauważył, że bracia mieli na sobie identyczne szlafroki z wyszytą na lewej piersi nazwą jachtu. Jedno ucho Joaquina pokrywały białe, zaschnięte bąbelki mydła.

— Wybór jest niewielki — dorzucił Moldowski.

— Trzy miliony dolarów nie wchodzi w rachubę — rzekł Willie.

— Jestem pewien, że zgodzi się na dwa.

Joaquin Rojo zaklął pod nosem. Moment zagrożenia pozwem nie mógł być gorszy.

— Dilbeck powinien natychmiast wyprowadzić ustawę cukrową z komitetu, żeby pełen skład Izby Reprezentantów przegłosował ją przed listopadowymi wyborami.

— Niemożliwe — odparł Moldowski. — Przecież te palanty nie zdołałyby nawet wycisnąć z siebie kamienia żółciowego. Wszyscy są w swoich okręgach i prowadzą kampanie. — A poza tym — dodał — przewodniczący Izby nie chce, żeby ustawę przedstawić tak szybko — jest zbyt kontrowersyjna. Ralph Nader w „Nightline” narobił smrodu wokół subsydiowania Wielkiego Rolnictwa. Lobby tytoniowe i ryżowe wpadły w panikę, co spowodowało, że ich pionki w Kongresie zrobiły to samo. Wynik głosowania w Izbie w tej chwili byłyby bardzo niepewny, więc najlepiej poczekać. — A to oznaczało, że ród Rojo jeszcze przez kilka miesięcy będzie potrzebował Davida Dilbecka. Ten zaś powinien być czysty jak lza.

— Jak groźna jest ta fotografia? — zapytał Willie.

— Fatalna — zapewnił Moldy.

— *Mierda*. W takim razie zapłaćmy te cholerne pieniądze.

— Nie! — stwierdził Joaquin. — Nie pozwolę się szantażować.

— A czy mamy jakąś inną możliwość? — Willie odwrócił się do Moldowsky'ego. — Co, Malcolmie?

Nie wspominając nazwiska Jerry'ego Killiana, Moldy wyznał, że kilka tygodni temu powstał podobny problem.

— Przeprowadziłem całą sprawę osobiście. Ale ta jest bardziej skomplikowana.

— Z powodu zdjęcia?

— A także prawnika.

Willie Rojo skinął głową.

— Też jestem zaniepokojony. Po prostu zapłaćmy temu skurwysynowi i zapomnijmy o wszystkim.

Jego brat wstał, potrząsając bladą pięścią.

— Nie, Wilberto. Jeżeli chcesz płacić, zrób to ze spadku, który zapisujesz swoim dzieciom. Ja jestem przeciwny!

Znowu nastąpiła eksplozja po hiszpańsku i tym razem bracia kłócili się coraz głośniej. Moldowsky od czasu do czasu chwycił pojedyncze słowa. Wreszcie Joaquin Rojo usiadł.

— Malcolmie — odezwał się. — Co wiesz o uprawie trzciny cukrowej?

Moldowsky wzruszył ramionami i przyznał, że niewiele.

— Sądzi się ją w blocku — wyjaśnił Joaquin. — Najczęściej w błocie po trzcinie wodnej albo po flaszowcu. Nazywają je czarnym złotem, ponieważ dzięki niemu otrzymuje się tak bogaty cukier. Farmer może mieć dziesięć dobrych sezonów na jednym polu, a potem wydajność zaczyna spadać. Dlaczego? Ponieważ przy każdych zniwach ilość błota się zmniejsza. — Zilustrował to, zmniejszając odstęp między kciukiem i palcem wskazującym. — W końcu gleby jest zbyt mało, aby uprawiać trzcinę, i ziemia staje się bezużyteczna. A pod spodem jest solidny wapień.

— A gdy błoto znika, Malcolmie, znika na zawsze — dodał Willie. — Nasi ludzie uważają, że zostało nam jeszcze pięć, może sześć sezonów.

— Co potem?

Joaquin rozłożył ręce.

— Kamieniołomy. Bloki mieszkalne. Ośrodki golfowe. Na razie to nieistotne.

— Później tak — zauważył jego brat. — Ale teraz nasze interesy wiążą się wyłącznie z trzciną cukrową. Chcemy, aby te ostatnie lata były dobre.

— Dziedzictwo — skomentował Moldowsky.

— Bardzo proszę usunąć kłopot pana Dilbecka — powiedział Willie Rojo.

— Zakładam, że nie płacicie prawnikowi?

— Razem z bratem postanowiliśmy, że nie.

Ocelot w wysadzonej szmaragdami obroży wszedł po stopniach i przysiadł u obutych w nocne pantofle stóp Williego. Leciwy mężczyzna sięgnął do kieszeni ozdobionego monogramem szlafroka i wyciągnął ociekające tłuszczem udko kurczęcia. Bracia patrzyli z miłością, jak zwierzę pochłania smakołyk razem z kością. Jej trzeszczenie zaniepokoiło nieco Malcolma J. Moldowsky'ego, który nie był szczególnym miłośnikiem kotów.

Joaquin ziewnął i oznajmił, że czas spać.

— Zadzwoń, kiedy będzie już po wszystkim — polecił Moldy'emu.

— Ale koszty mogą być wysokie.

Willie Rojo zachichotał i pozwolił ocelotowi oblizać tłuszcz kurczęcia ze swoich palców.

— Jak wysokie? — zapytał. — Jestem pewien, że nie wyniosą trzech milionów dolarów.

— Nawet w przybliżeniu — potwierdził Moldy. — Istnieje jednak pewne ryzyko.

— Mam nadzieję, że nie dla nas.

— Nie, panowie. Nie dla was.

Darrell Grant sprzedał fotele za trzy tysiące dwieście dolarów gotówką i pojechał prosto z St Augustine do Daytona Beach. Tam nabył cały zestaw kolorowych pigulek i zabrał z chodnika dwie prostytutki. Gdy dziwki doszły do wniosku, że zasnęły, wpuściły do pokoju w motelu swojego alfonsa, żeby przetrząsnął jego rzeczy. Darrell odczekał odpowiednio długo, a potem wsunął rękę pod poduszkę, gdzie ukrył swój sztylet. Z upiornym wrzaskiem wyskoczył z łóżka i dźgnął alfonsa w umięśnioną część uda. Gdy mężczyzna wił się na podłodze, a kurwy stojąc nad nim gorączkowo usiłowały powstrzymać krwawienie, Grant spokojnie ściągnął z łóżka prześcieradło i pocałował je na długie pasy. Potem związał szarpiącego się sutenera oraz obie dziwki i wepchnął im w usta brudne skarpetki. Kobiety nie opierały się, od chwili gdy z bliska dojrzały mikroskopijne źrenice faceta.

Zajmując się alfonsiem, Darrell nucił pod nosem temat muzyczny z *Księgi dżungli*, którą Angela miała na kasecie wideo. Wesolutko namydlili kędzierzawe czarne włosy mężczyzny i ogolił go na лыso.

Potem wyjął sztylet i wyciął idealne „G” w skórze na czaszce. Sutener jęczał i mruczał w brudny knebel. Krew ściekała dwoma strumykami po obu stronach głowy. Dziwki obserwowały scenę w milczeniu, obawiając się, że będą następne w kolejce.

— A teraz zamierzam dać wam lekcję — oznajmił Darrell Grant.

Wyjął klucze i pobiegł do ciężarówki. Dwie minuty później wrócił z elektrycznym zszywaczem, który ukradł na budowie w Boca Raton. Na jego widok jedna z kobiet zaczęła łkać. Grant podszedł do alfonsa i odwiązał mu jedną rękę. Wciąż jeszcze dysząc po biegu, zapytał:

— Chcieliście mnie okraść?

Sutener pokręcił gwałtownie głową.

— Kłamczuszek, kłamczuszek, maleńki świntuszek — zaśpiewał Darrell.

Podłączył zszywacz do gniazodka i pouczył:

— Następnym razem, jeżeli zechcesz pieniędzy, cwaniaczku, poproś uprzejmie. — Schwycił alfonsa za rękę i metalowymi zszywkami przyszpilił mu do ręki jednodolarówkę. Przytrzymał spust dosyć długo — ping, ping, ping — do chwili gdy zszywacz był już pusty. Powieki alfonsa zadrżały i facet zemdłał. Dziwki dygotały z przerażenia.

Nagle Darrell Grant poczuł się zmęczony. Wyciągnął się na łóżku i wybrał numer do Rity. Warknęła na niego, że dzwoni tak późno, przecież, do cholery, jest wpół do czwartej nad ranem.

Jej brat przeprosił i rzekł:

— Posłuchaj, może zostanę tu jeszcze kilka dodatkowych dni. Dobra?

— Nie ma sprawy. Erin przyjeżdża jutro.

— Co?

— Dzień odwiedzin — przypomniała mu Rita.

— Nie.

— Tak nam powiedziała.

— Jezu, Rita, czy wygadałaś się, że Angie jest u ciebie? Skąd, u diabła, ona o tym wie?

— Nic na to nie poradzę, że twoja córka wie, jak korzystać z telefonu. I umie się wspinać jak mała małpka.

— Angie do niej zadzwoniła? — Darrell wyrznął pięścią w goły materac. — Do diabła, nie mogę uwierzyć, że do tego dopuściłaś. —

Był zbyt naćpany, aby skoncentrować się jednocześnie na dwóch sytuacjach kryzysowych. Nie zauważył, że jedna ze związanych dziwek zdołała uwolnić rękę i gorączkowo zajmowała się następnymi wężłami.

Darrell ścisnął słuchawkę, jakby chciał ją udusić, i wrzasnął:

— Nie wpuszczaj tej cipy do domu, rozumiesz?!

— To dzień odwiedzin — powtórzyła Rita.

— Żaden pieprzony dzień odwiedzin!

— W takim razie wracaj i sam załatw sprawę. Muszę tresować moje wilki.

— Panie Jezu!

— I jeszcze jedno. Było o tym w wiadomościach... Jak się nazywał sędzia, który załatwiał wam rozwód?

Darrell powiedział jej.

— No tak, Alberto twierdzi, że to on. Nie żyje, Darrell.

— Poczekaj...

— Było w telewizji — dodała Rita. — Zmarł wczoraj w nocy w knajpie ze striptizem.

Darrell Grant oparł policzek o śmierdzący materac. Zdecydowanie nastąpiła pora na następne prochy. Z drugiej strony słuchawki Rita opowiadała całą historię.

— Jego rodzina utrzymuje, że poszedł tam wygłosić kazanie nagim dziewczynom. Wierzysz w takie pierduły? Znaleźli na jego kolanach Biblię... O tym wszystkim było w telewizji.

— Będę rano w domu — wychrypiał Darrell.

— A co z Erin? — zapytała Rita. Z Daytona Beach nie nadchodziła żadna odpowiedź. — Darrell? Hej, braciszku, obudź się!

Ale on był wyłączony, palnięty przez dziwkę w czaszkę zszywaczem. Cała trójka ulotniła się z forszą, prochami, sztyletem i oczywiście ciężarówką. Nie zabrali brudnych skarpetek Darrella Granta i były one pierwszą rzeczą, jaką posmakował, w chwili gdy cztery godziny później odzyskał przytomność.

## 17.

Rankiem dwudziestego ósmego września, mimo lekkiej mżawki, sierżant Al Garcia wybrał się do motelu „Flightpath”, dwieście metrów na zachód od głównego pasa startowego międzynarodowego portu lotniczego Fort Lauderdale — Hollywood. Kierownik motelu, sympatyczny Grek o imieniu Miklos, zaprowadził go do pokoju dwieście trzydzieści trzy. W czasie gdy Miklos dopasowywał klucz, Garcia rzekł:

— Założę się, że dywan jest brązowy.

— Skąd pan wie?

— Przyśniło mi się — odparł detektyw. Hotelarz otworzył drzwi i z satysfakcją wskazał na dywan o barwie kakao.

— Czasami wzbudzam lęk w sobie samym — oznajmił sierżant. W rzeczywistości koroner hrabstwa Mineral znalazł pod paznokciem lewego kciuka Jerry'ego Killiana trzy brązowe włókna tkaniny dywanowej.

— Co jeszcze się panu przyśniło? — zapytał Miklos.

— Że w tym pokoju zamordowano mężczyznę o nazwisku Killian.

— O nie! — zawołał Miklos. — Nie mów pan takich rzeczy. — Poinformował, że pokojówka znalazła pod łóżkiem książeczkę czekową Killiana.

— Pewnie specjalnie ją rzucił — stwierdził Garcia — żeby źli faceci jej nie dostali. — Ludzie robią najdziwniejsze rzeczy w obliczu śmierci.

- Wysłałem ją natychmiast po znalezieniu, następnego dnia — oświadczył Miklos.
- Postąpił pan bardzo słusznie.
- Kto wezwał policję?
- Nikt — rzekł Al Garcia. — Otworzyłem pocztę pana Killiana. Była w niej książeczka czekowa i pański list.
- Miklos zachmurzył się.
- Czy to w porządku? Otwierać czyjeś listy?
- Och, jasne. Jestem funkcjonariuszem policji, no nie? — Sierżant ukląkł i wczołgał się pod łóżko. Jego palce obmacywały kosmaty dywan w poszukiwaniu innych poszlak. Znalazł jednak tylko skamieniałe okruchy pizzy i pięciocentówkę. Wstał i otrząpał spodnie.
- Od kiedy zacząłem tu pracować, umarło siedmiu ludzi — powiedział Miklos. — Bardzo smutne. Siedmiu w ciągu siedmiu miesięcy.
- Goście?
- Tak, proszę pana. Narkotyki, postrzały, zasztyletowania, problemy z sercem. Policja przychodziła wielokrotnie. Zawsze potem zmieniamy dywany i prześcieradła.
- Może to sprawa lokalizacji — zasugerował Garcia, podnosząc głos, aby przekrzyczeć ryk schodzącego do lądowania odrzutowca. Miejsce było idealne dla gości, którzy nie chcieli być słyszani. Wyjął fotografię Jerry'ego Killiana.
- Nigdy go przedtem nie widziałem — zapewnił Miklos. — Mówi pan, że został zamordowany?
- Tak. Przypuszczam, że w wannie.
- Łazienki sprzątamy trzy razy w tygodniu.
- O rany — rzekł Garcia. — Ładnie musi wyglądać wasz rachunek za lizol. Mogę popatrzeć?
- Grek usiadł na łóżku i czekał. Usłyszał, że detektyw majstruje przy kranach nad wanną.
- Panie Miklos, co się stało z kurkiem od ciepłej wody?
- Ktoś złamał.
- Kiedy?
- Nie wiem. Ze dwa tygodnie temu.
- Al Garcia wyszedł, wycierając ręce o ręcznik. Nad głowami zawył kolejny odrzutowiec.

— Wygląda, jakby ktoś wylał go kopem ze ściany — zauważył. Topiony Jerry Killian musiał stoczyć niezłą walkę.

— Twierdzi pan, że było morderstwo, ale pokojówka nie znalazła żadnego martwego ciała — zauważył Miklos.

— Bo zabójca wywiózł trupa do Montany i wrzucił go do rzeki.

— Po co?

— Żeby mi spieszyć wakacje — oświadczył sierżant. — Czy mogę obejrzeć książkę gości?

Miklos wprowadził go z powrotem do biura, które było niewiele większe od łazienki. Nazwisko Killiana nie figurowało w spisie przybyłych, ale Garcia czułby się wstrząśnięty, gdyby było inaczej. Wynotował wszystkich, którzy wynajmowali pokój dwieście trzydzieści trzy w ciągu minionych dwóch tygodni. Jedno nazwisko pojawiło się pięciokrotnie.

— Jest miejscowy — wyjaśnił hotelarz.

— Miejscowym kim?

— Biznesmenem. Pracuje w rozrywce.

— Aha — skomentował Garcia. — To znaczy, że jest alfonsem.

Miklos poprawił się niepewnie.

— Człowieku, no nie wiem.

Detektyw zapytał go, czy zapamiętał jakichś innych gości z pokoju dwieście trzydzieści trzy. Miklos odparł, że tak, jeden facet wprowadził się z workiem pełnym skoczków pustynnych i kamerą wideo.

— I pan to uznał za niezwykłe? — uśmiechnął się Garcia. — Proszę dalej.

— Innej nocy było trzech Jamajczyków. Wyjaśniłem im, że tam jest tylko jedno łóżko, ale powiedzieli, że w porządku, *mon*. Trzech wielkich facetów w tamtym pokoju! Sam pan widział, jaki jest mały.

Detektyw postukał w książkę gości. Grek odnalazł nazwisko: John Riley. Wygodnie bezosobowe. Adres wskazywał na równie nic niemówiącą skrytkę pocztową w Belle Glade. Jezioro Okeechobee.

— Wielcy, silni faceci — dodał Miklos. — Wymeldowali się przed północą.

— Jestem pewien, że zapłacili gotówką.

— Nie spotykamy się tu zbyt często z kartami kredytowymi — wyjaśnił Miklos.

— Pamięta pan, czym przyjechali? Czy w samochodzie był ktoś jeszcze?



— Człowieku, nie wiem.  
— Go jeszcze? — indagował Garcia. Mówił pan, że się wyróżniali.  
— Wszyscy mieli blizny. Bardzo paskudne blizny.  
— Na twarzy?  
— Na nogach.  
— Niech pan opowie coś więcej — poprosił Garcia.  
— Wszyscy byli w krótkich spodniach. Czerwone, zielone, bo ja wiem, ale na pewno bardzo jaskrawe.  
— Spodenki gimnastyczne — stwierdził detektyw.  
— Dlatego właśnie zobaczyłem blizny. — Grek opuścił rękę i poklepał się po łydce. — Wszystkie w tym miejscu.  
— Bardzo mi pan pomógł, panie Miklos.

Uprzejmy kierownik motelu zaproponował sierżantowi, że pokaże mu inne pokoje, w których umarli jacyś goście. Detektyw odparł, że nie, dziękuje, może innym razem.

— Może ci Jamajczycy zabili mężczyznę, który zgubił książeczkę czekową.

— Niezły pomysł — zgodził się Garcia.

Miklos puścił oko.

— Albo pańskie sny podpowiedzą, kto to zrobił.

Detektyw roześmiał się.

— Zasluguję nas to.

Hotelarz odprowadził go do samochodu i zwierzył się po drodze, że wystąpił o posadę nocnego recepcjonisty w Ramada koło plaży. Ale lista kandydatów liczy dwie strony.

— Mam jednak więcej doświadczenia niż inni.

— Jasne — przytaknęła sierżant. — Powodzenia z nową pracą.

— Dziękuję — odparł Miklos. — A panu z pańskim morderstwem.

Erin dojechała do parkingu przyczep o siódmej. Rita była właśnie na podwórzu i wrzeszczała na swoje wilki. Drzwi otworzył Alberto Alonso, który dopiero co powrócił z elektrowni atomowej i nie zdążył jeszcze zdjąć swojego gabardynowego munduru strażnika. Erin była wstrząśnięta widząc, że pozwolono mu nosić broń.

— Kawy? — zapytał Alberto. Odpiął kaburę i niedbałym ruchem

przewiesił ją przez oparcie krzesła. Dziewczyna poczuła, że robi jej się niedobrze. Wyobraziła sobie przez chwilę, jak jej córka bierze do ręki pistolet, uważając broń za zabawkę.

— Gdzie jest Angela? — zapytała z napięciem.

— Myślę, że śpi.

Erin sprawdziła obie sypialnie. Były puste. Wróciła do kuchni, gdzie Alberto Alonso zajmował się maszynką do kawy.

— Gdzie jest moja córka? — spytała ponownie.

— Lepiej pogadaj z Ritą.

— Nie, chcę, żebyś ty mi odpowiedział. — Czowała, że ręce trzęsą się jej z wściekłości. — Alberto, dzisiaj jest dzień odwiedzin.

Nalał filiżankę kawy przy stoliku.

— Pamiętam, jak byłaś tu ostatnim razem. Zniknąłeś i nawet się nie pożegnałeś.

— Nie czułam się najlepiej — odparła.

— Rita była cholernie wkurzona z powodu poczty.

— Wszystko odesłałam.

Alberto Alonso popatrzył na nią nad krawędzią filiżanki.

— Dobrze wyglądasz w dzinsach — ocenił. — Jak leci w pracy? Słyszałem, że zmieniono nazwę lokalu.

Erin poczuła, że brakuje jej tchu. Co ta para kretynów zrobiła z jej córką?

— W porządku — oznajmiła. — Pójdę zapytać Sheen z dżungli.

— Poczekaj — Alberto zachichotał nerwowo. — Może uda się nam załatwić wszystko między nami. Tylko tobą i mną.

Słyszeli, jak Rita wywrzaskuje przekleństwa. Brzmiało to tak, jakby wleczono ją przez krzaki.

— Lupa nie lubi smyczy — wyjaśnił Alberto.

Erin uspokoiła się. Wyprowadzenie Alberta w pole nie powinno być trudne. Podeszła do okna i zerknęła przez żaluzje.

— Rita ma pełne ręce roboty — poinformował. Powędrował z powrotem do kuchni i sprzątnął ze stołu talerze i nakrycia.

— Co powiedziała byś na mały występ? — szepnął do Erin. — Tak jak robisz w klubie, tylko prywatnie.

Pomyślała o tamtej nocy, kiedy tańczyła na stole w mieszkaniu Jerry'ego Killiana — był wtedy taki słodki i skromny. Z Albertem Alonso sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

— Tylko jeden numerek, dobra? — nalegał. — A wtedy pokażę ci, gdzie jest Angie. — Usiadł na stolku i z podnieceniem dał jej znak, żeby weszła na stolik.

— Muzyka by mi pomogła — oświadczyła.

— Poudawaj — doradził. — Gdyby Rita usłyszała stereo, zaraz by się chciała dowiedzieć, co się dzieje.

Erin nie była pewna, czy może zatańczyć właśnie teraz — obojętne, czy z akompaniamentem jej piosenek, czy bez. W tej chwili mogła jedynie myśleć o Angeli. Darrell Grant musiał zadzwonić do Rity i polecić jej ukrycie dziecka. Jeżeli dowiedział się, że sędzia nie żyje, na pewno domyślał się, co planuje Erin. To, że Grant zlekceważy jakikolwiek nakaz sądowy albo polecenie sądu, było oczywistym wnioskiem. Mógł zwać z kraju przed przekazaniem opieki nad córką. Dla Darrella nie była to sprawa praw rodzicielskich, ale współzawodnicstwo, zabawa w ciuciubabkę, w której Angela stanowiła nagrodę. Erin wiedziała, że musi uderzyć szybko, zanim jej były mąż wróci do miasta.

Wspięła się na stół, nieomal uderzając głową w sufit przyczepy. Zaczęła nucić *Brown-eyed Girl*, wolno poruszając biodrami i czekając na podjęcie przez Alberta nieuniknionej próby obmacywania.

— Szybciej — polecił.

Erin uśmiechnęła się swoim scenicznym uśmiechem. Gdy tańczyła, jej pantofle ślizgały się na plastikowym blacie. Po mniej więcej minucie zaczęła słyszeć w głowie wyraźną, delikatną muzykę. Umazany kawą uśmiech Alberta wydawał się odległy i nieszkodliwy. Nawet nie drgnęła, gdy jego dłonie zacisnęły się na jej kostkach.

— Ruszaj się szybciej — nalegał.

Wszystko będzie w porządku, pomyślała. Cicho zaśpiewała pierwszy wers.

— Nie tak głośno — burknął, zerkając w stronę drzwi.

— To taka wspaniała piosenka — zauważyła Erin.

— A może trochę cyczuszków? — poprosił cicho Alberto.

Erin uniosła brwi.

— Tylko zerknę — powiedział. — Może zdjęłabyś bluzkę.

Wciąż się uśmiechając, rozpięła dwa górne guziki. A potem zaproponowała:

— Zajmij się resztą, dobrze?

Alberto rozpromienił się błogo. Wstał ze stolka i wyciągnął do niej

ręce. Jego palce poruszały się jak karaluchy. Erin wiedziała, że facet nie będzie w stanie nawet znaleźć, a co dopiero pokonać, drobnych guzików jej bluzki. W tak wyjątkowych stanach podniecenia mężczyźni zdawali się tracić swoje umiejętności precyzyjnego działania. Łapy Alberta natychmiast spoczęły na brzuchu Erin i zaczęły wędrować rytmicznymi, okrężnymi ruchami. Jego brutalny dotyk spowodował, że dziewczyna poczuła nieprzyjemny dreszcz, ale tańczyła dalej jak zawodowiec. Postękiwania Alberta przybrały na sile wraz z tempem obmacywania. Między jego zębami ukazał się koniuszek języka — przypominający ślimaka zwiastun podniecenia.

Następnym ruchem Erin rozwichrzyła włosy Alberta i było to więcej, niż mógł wytrzymać. Niezgrabnie spróbował złapać ją za piersi i przyciągnąć w dół, w stronę swoich oczekujących warg. Dzięki temu stał się dla niej celem, któremu nie potrafiła się oprzeć. Podniosła prawe kolano do góry jak majoretka — wysoko i mocno — trafiając w sam czubek nieogolonego podbródka Alberta. Rozległ się przypominający wystrzał trzask.

Alberto wylądował na plecach, plując krwią. Erin stała nad nim i sceniczny uśmiech zniknął z jej twarzy. Bluzkę miała całkowicie zapiętą. W ręce trzymała dzbanek z kawą i Alberto widział parę unoszącą się z jego boków.

— Mam zamiar wylać ci ją na jaja — oświadczyła.

Alberto usiłował się odezwać, ale zamiast słów z jego ust wydobyły się bąbelki.

— Nie jestem pewna, czy to cię zabije — dodała celując — ale bardzo bym tego chciała.

Z jego gardła wyrwał się pisk:

— Aęna yhepa! Ane am est!

— Następną przyczepa?

Histerycznie pokiwał głową. Erin odstawiła dzbanek i wybiegła z przyczepy. Alberto zaczął dławić się nadgryzionym kawałkiem języka. Rita wpadła przez drzwi. Przy jego nodze stanęła Lupa. Uszy jej sterczały.

— Ajajj! — wrzasnął Alberto, osłaniając się rękami. Ale wilk poczuł już zapach świeżej rany.

Erin trzymała Angelę za rękę przez całą drogę powrotną do Fort Lauderdale.

— Co się stało? — zapytała dziewczynka.

— Po prostu cieszę się, że cię widzę, kochanie. — Minęło czternaście miesięcy, odkąd mogła być sama ze swoją córeczką — bez kręcącego się w pobliżu Darrella Granta. Był to najgorszy rok w życiu Erin. Zastanawiała się, co utraciła.

— Pani Bickel ma akwarium. Pozwoliła mi karmić węgorze — oznajmiła Angela.

Pani Bickel była leciwą, najbliższą sąsiadką Rity i Alberta Alonso. Dawła właśnie dziewczynce na śniadanie obsmażane w kuchence mikrofalowej orzechy, gdy Erin pojawiła się, żeby zabrać córkę.

— Nie zauważyłam akwarium — powiedziała matka.

— Jest w sypialni przy telewizorze. Węgorze są zielone i zjadły jej wszystkie ładne rybki.

— Rozumiem — westchnęła Erin. Najwyraźniej pani Bickel doskonale wpisywała się w demograficzny obraz parkingu przyczep. — Czy jedziemy teraz do twojego domu? — zainteresowała się Angie.

— Oczywiście. Do n a s z e g o domu.

— Na cały dzień?

— Jeszcze lepiej — zapewniła Erin.

Angela sprawiała wrażenie zmartwionej. Erin poczuła, że serce jej się ściska na myśl, iż jej córeczka wolałaby raczej pozostać z Darrellem, Ritą albo staruszką z węgorzami. Był to jej najstraszliwszy, całoroczny koszmar. Teraz czuła się jak sparaliżowana i obawiała się, że powie coś, co może wywołać bolesną eksplozję szczerości Angie: „Chcę tatusia!”. Erin nie mogłaby tego znieść.

Dziewczynka przerwała dręczącą ciszę jednym słowem:

— Pizamka.

Miała na sobie swoją ulubioną, ozdobioną Wielkim Ptakiem i Ciasteczkowym Potworem.

— Jest brudna — wyjaśniła. Pociągnęła za rękawek, aby pokazać to mamie. — Wszystkie moje ubranka są u tatusia. I co z czystymi majteczkami?

— Jedziemy kupić ci trochę nowych ubranek — wyjaśniła Erin.

— Dobrze!

- Lubisz robić zakupy?
  - Nie wiem. Tatuś zabiera mnie tylko do szpitali.
  - Słusznie. Żeby cię wozić w fotelach — rzekła matka i pomyślała: Jakim cudem zdołam kiedykolwiek wyjaśnić postępowanie tego człowieka jego córce? W jakim wieku dziecko jest w stanie pojąć, że ojciec jest niepoprawnym draniem?
  - Raz widziałam chłopczyka, którego wieziono w fotelu — zwierzyła się Angie.
  - W szpitalu?
  - Tak. Tatuś powiedział, że chłopczyk jest bardzo chory i dlatego nie możemy się ścigać.
  - Tatuś miał rację — przytaknęła Erin.
  - A kiedy zawieźli chłopczyka do pokoju, tatuś zabrał jego fotel i zawiózł do domu.
  - Ooo?
  - Żeby go naprawić — wyjaśniła z dumą Angela. — Trzeba mu było wstawić nowy hamulec.
  - Tak twierdził tatuś?
  - I nowe koła. Czy to nie miłe z jego strony?
- Erin westchnęła.
- Angie, cieszę się, że zadzwoniłaś ubiegłej nocy.
  - Ja też.

Dla Mordecaia słowo „szantaż” stanowiło zbyt melodramatyczne określenie jego postępowania wobec kongresmana Davida Lane'a Dilbecka. Po prostu była to twarda gra. Jeżeli pozbawić całą sprawę nudnych formalności postępowania sądowego i spojrzeć na istotę rzeczy, nie sposób dojrzeć jakiejś różnicy — dawać forszę albo... W sądzie, jak i poza nim podstawowy element negocjacji stanowiła groźba. Była to sztuka, sedno wybranej przez Mordecaia metody zarabiania na życie.

Jeżeli człowiek przewróci się w supermarkecie, wynajmuje adwokata i supermarket zawiera ugodę, przyznając poszkodowanemu sześciocyfrową sumę. Często tak bywa i nikt nie nazywa tego szantażem. A w tym wypadku niewinny człowiek zmasakrowany przez pijanego kongresmana wynajął adwokata i prosi — już mamy do czynienia z wymuszeniem! Mordecaia bawiła ta podwójna moralność.

Atak na Paula Gubera był brutalny i niedający się niczym usprawiedliwić — każdy adwokat zajmujący się sprawami uszczerbku na zdrowiu rzuciłby się na ten przypadek. Oczywiście większość z nich nie organizowałaby tajnej ugody wbrew woli klienta ani nie planowałaby zatrzymać lwiej części pieniędzy dla siebie. Nie był to może najchlubniejszy moment działalności Mordecaia w palestrze, lecz w dzisiejszych czasach człowiek musi postępować tak, jak nakazują okoliczności. W ciągu piętnastu lat praktyki młodzieńcze fantazje na temat zdobycia ogromnego majątku przekształciły się w gorzkie rozczarowanie. Fiasko sprawy karalucha „Delicato” było najlepszym przykładem jego niezmiennego pecha. Teraz napalony kongresman wydał się Mordecaiowi pierwszą realną szansą zgarnięcia siedmiocyfrowego łupu. Wychodził przy tym z założenia, że będzie to jego jedyny skok.

Na początku lat siedemdziesiątych Mordecai należał do licznego grona idealistycznych młodych absolwentów wydziału prawa, którzy popędzili do południowej Florydy, marząc o obronie za astronomiczne honoraria przemycających narkotyki gangsterów. W przewidywaniu kolumbijskiej klienteli nauczył się nawet kastylijskiego hiszpańskiego! Ale gdy przybył do Miami, z rozczarowaniem przekonał się, że aresztowanych narkotykowych baronów z Ameryki Południowej jest przynębiająco mało, a liczba obrońców przewyższa liczbę potrzebujących obrony. Przeciężny adwokat miał bardzo niewielkie szanse zdobycia jako klienta miliardera zajmującego się szmugłem narkotyków. Mordecaiowi zdarzało się co najwyżej bronić od czasu do czasu kuriera albo detalistę. Nie minęło wiele czasu, a przeniósł się do Fort Lauderdale i zajął sprawami odszkodowań.

Strategia jego postępowania wydawała się dobrze umotywowana — hrabstwo Broward rozrastało się o wiele szybciej niż Dade i większość nowo przybyłych była w podeszłym wieku. A z obserwacji Mordecaia wynikało, że starszokowie częściej się przewracają niż ludzie młodzi i ich obrażenia zazwyczaj bywają bardziej skomplikowane. Co ważniejsze — napływ emerytów, całych ich tysiący, był niewyczerpany i zwiększał się z każdą zimą. Bloki mieszkalne wyrastały od plaży do brzegów Everglades i Mordecai uważał, że to wysokościowe skarbcze bankowe.

Urządził biuro i zaplanował, że stanie się absurdalnie bogaty. Ale

nic z tego. Jego dochód był przyzwoity, lecz nie oszałamiający. Do-  
stawał drobne sprawy o zaniedbanie obowiązków, powództwa ubez-  
pieczeniowe i uwierzytelnienia testamentów, których nienawidził.  
Powiedział swojej sekretarce, że gdyby jego klienci poświęcali na  
upadki połowę czasu, który marnowali na zamawianie projektów  
nowych willi, oboje byłiby już na emeryturze na Bermudach.

Mordecai nie mógł jednak być wybredny. Południowa Floryda  
roila się od młodych prawników, którzy jak głodne szakale błędzili po  
sądach, walcząc o najdrobniejszy kasek. Konkurencja we wszystkich  
specjalnościach była dzika, ponieważ nie dla wszystkich wystarczyło  
pracy. Tę rozpaczliwą sytuację doskonale odzwierciedlały nocne re-  
klamy telewizyjne. Telewizja, która kiedyś była wyłączną dziedziną  
adwokatów zajmujących się pozwami o zaniedbanie, teraz przyciąga-  
ła wszystko — imigrację, rozwody, adopcje, uwierzytelnienia, nawet  
wykroczenia drogowe. Jeden z byłych kolegów klasowych Mordecaia  
zasłynął, przybierając przydomek „Doktor R.U.I.A”. Przeżywali naj-  
sprytniejsi.

Mordecai nie zamawiał reklamówki, ponieważ wiązałoby się to z  
nieznośną koniecznością doprowadzenia do porządku swojej figury.  
Jego matka dręczyła go nieustannie — marzyła o obejrzeniu syna w  
telewizji! — ale on trwał w uporze. Może popełniał błąd. Może jego  
kariera nabrałaby impetu, gdyby zdecydował się na blichtr  
autopromocji. Ale z drugiej strony, co byłoby gorsze: wycisnąć forszę z  
obleśnego polityka, czy pozwalać na dalsze prowadzenie samochodu  
pijanym kierowcom?

— Muszę żyć w zgodzie z samym sobą — zwierzył się Joyce.

— Postąpiłeś słusznie — orzekła.

Jechali na spotkanie z Malcolmem J. Moldowskim, który za-  
dzwonił z samego rana. Moldowsky oznajmił, że ma dobre wiadomo-  
ści i chce się z nimi zobaczyć za godzinę. Mordecai polecił więc  
Beverly przesunąć poranne spotkania i w euforycznym nastroju wy-  
biegł z biura. Gdy gnał przez hol, jego uwagę przyciągnął błysk pro-  
mienia słonecznego odbijającego się od gigantycznej łysiny Shada.  
Bramkarz stał, zacisnąwszy mocno usta, przy zachodniej windzie.  
Adwokat nieomal potknął się w pełnym biegu. Po co ten wariat dziś  
przyszedł? Czy jakimś cudem zwąchał, że ugoda dochodzi do skutku?  
Prawnik wymknął się niepostrzeżenie przez wschodnie wyjście.



Kiedy zabierał Joyce, kuzynka zauważyła:

— Jesteś podniecony. Może ja poprowadzę.

— Nie. Doskonale dam sobie radę.

Joyce ostrzegła go, że jezdnia jest śliska, i sprawdziła, jak zapięte są jej pasy.

— Jesteś pewny, że dobrze wiesz, dokąd jechać?

— Dom Naleśników. Tak właśnie powiedział.

— W Davie? Dlaczego tak daleko?

— Nie wiem, Joyce, ale tak kazał. — Jego głos był napięty. — Czy naprawdę sądzisz, że nie zapisałbym czegoś tak poważnego? — Wyciągnął notatkę z kieszeni i pokazał kuzynce.

— Patrz na drogę — rozkazała. A potem, odczytawszy jego gryzmoły, rzekła:

— W porządku, zapisałeś, że Dom Naleśników. Zobaczmy.

Mordecai milczał przez dłuższy czas. Joyce szukała stacji radiowej, która odpowiadałaby jej gustowi, on zaś zastanawiał się, dlaczego Moldowsky nalegał, aby była obecna na spotkaniu.

— Joyce, chcę cię prosić o przysługę. Gdy tam przyjedziemy, pozwól, że ja będę mówił.

— Nie musisz być nieuprzejmy.

— Posłuchaj...

— A poza tym to był mój pomysł, żeby wyłączyć Paula.

Prawnik nabrał głęboko powietrza w płuca.

— Zgadza się.

— Może więc nie jestem taka głupia?

— Nie powiedziałem, że jesteś głupia. Po prostu mamy do czynienia z delikatną sytuacją. Oni są poważnymi ludźmi i oboje musimy uważać na to, co mówimy.

Joyce opuściła osłonę przeciwsłoneczną i sprawdziła makijaż w lusterku.

— Ja również jestem poważną osobą — oświadczyła. — Zwolnij, zaraz będzie zjazd.

Zjechali z międzystanowej autostrady na Davie Road i szybko zauważyli Międzynarodowy Dom Naleśników. Podniecony Mordecai omyłkowo zaparkował swojego lincolna w strefie zastrzeżonej dla niepełnosprawnych. Zanim zdążył stamtąd wyjechać, w przednią szybę zastukał ubrany na niebiesko mężczyzna. Adwokat uchylił okno.

— Pracuję dla pana Moldowsky'ego — oznajmił nieznajomy. Niebieski ubiór okazał się koszulą kręglarza. — Czeką w wiejskim klubie.

— Kim pan jest? — zapytał Mordecai.

— Posłańcem — odparł mężczyzna. — Na pół etatu. Chce pan zobaczyć legitymację?

Prawnik wzruszył ramionami i rzucił:

— Wskakuj pan.

Mężczyzna polecił mu, żeby pojechał Orange Drive na zachód, do Flamingo Road.

— Jak daleko? — chciał się upewnić adwokat.

— Niezbyt.

Joyce uśmiechała się szyderczo. Wyciągnęła rękę i szturchnęła kuzyna w ramię.

— Mówiłam ci — oświadczyła. — Dom Naleśników! Wiedziałam, że to nie może być tu.

— Dostyc — warknął Mordecai.

Kobieta odwróciła się do nieznajomego na tylnym siedzeniu.

— Jak się nazywa ten klub? „Bystry Strumyk” czy „Sosnowe Opactwo”?

Wahanie mężczyzny było tak krótkie, że nawet go nie zauważyła.

— „Bystry Strumyk” — odparł.

— Słyszałam, że jest po prostu cudowny.

— Tak. — Mężczyzna skinął głową. — Też tak słyszałem.

— Czy mają tam szwedzki stół?

— Joyce, na litość boską — odezwał się błagalnie adwokat.

Facet w koszuli kręglarza pochylił się do przodu.

— Tak, mają niesamowity szwedzki stół — zapewnił. — Niech pan zwolni i skręca.

## 18.

Erin wyprowadziła się ze swojego mieszkania tego samego dnia, w którym porwała Angie. Znalazła odpowiednie miejsce w podmiejskim osiedlu zwanym Inverrary, gdzie Jackie Gleason mieszkał kiedyś w luksusowej willi z pokojem bilardowym. Ze względu na okoliczności wzięła to, co było pod ręką — mieszkanie z dwiema sypialniami, które było zbyt drogie jak na jej możliwości. Kaucja wyniosła tysiąc dolarów oraz komorne za pierwszy i ostatni miesiąc wynajmu. Zapłaciła gotówką i podpisała umowę swoim panięńskim nazwiskiem. Przeprowadzka, której dokonała własnoręcznie razem z Angellą, zajęła trzy kursy i jej jedyną ofiarą padł plakat Jimiego Hendrixa, który rozdarł się, gdy Erin zdejmowała go ze ściany.

Nazajutrz wycofała następne dwa tysiące dolarów z rachunku oszczędnościowego, pojechała do swojego adwokata i dała mu pieniądze, co (według zestawienia jego sekretarki) zmniejszyło jej zadłużenie z jedenastu do dziewięciu tysięcy dolarów. Tego samego popołudnia adwokat poprosił nowego sędziego, który przejął sprawę rozwodową Erin, aby pozbawił Darrella Granta opieki nad dzieckiem, ponieważ pozostawił je z niebezpiecznie nieodpowiedzialnymi krewnymi. Na decyzję sędziego w poważnym stopniu wpłynęły pistolet Alberta i wilki Rity. Ani Darrell, ani jego adwokat nie pojawili się, aby złożyć protest. Sędzia zarządził, że rozprawa odbędzie się za cztery tygodnie. Bardzo chciał się również dowiedzieć czegoś więcej na temat zajęcia Erin.

Koleżanki pogratulowały Erin i natychmiast zaczęły rozpieszczać Angie w garderobie „Intymnej Łaskotki”. Po kolei bawiły się z dziewczynką tak długo, aż mała zasnęła na podłodze. Erin nie była uszczęśliwiona sytuacją — klub nie stanowił odpowiedniego miejsca dla dziecka. Nowy sędzia źle by to przyjął.

Tancerki, które miały dzieci, zazwyczaj pracowały na dziennej zmianie, dzięki czemu noce spędzały w domu. Erin nie mogła sobie pozwolić na pracę w dzień, ponieważ zarobki były wówczas paskudne, a obecnie znajdowała się na granicy bankructwa — mieszkanie, adwokat, nowa garderoba Angie.

— Buciki są cudowne — powiedziała Urbana Sprawł, dotykając palcem maleńkich reeboków. — Gdzie je znalazłaś? — zapytała szepcąc, żeby nie obudzić dziewczynki.

— Robię dziś stoliki — oznajmiła Erin. — Nie spadnijcie więc ze sceny, kiedy mnie zobaczycie.

— Cholera, ależ musisz być splukana. — Urbana wiedziała, jak bardzo jej przyjaciółka nienawidziła tańców na stolikach. — No, ale przynajmniej zarobisz forszę — dodała. — Naprawdę dobre pieniądze.

— Pierwszy, który mnie dotknie...

— Nie, dziewczyno. Zawołasz Shada. Po to tu jest. — Urbana zdjęła stanik i krytycznie obejrzała swoje piersi w lustrze. — Moskit uciął mnie w lewą — poinformowała.

Erin pocieszyła ją, że prawie tego nie widać.

— „Prawie” to za dużo. — Urbana znalazła słoiczek z ciemnym pudrem w kremie i zamaskowała ślad po ukąszeniu. — Nie martw się — odezwała się do Erin. — Wszystkie robimy stoliki. Prawdę mówiąc, ty jedna się wyłamywałaś. Co świadczy, jaką doskonałą jesteś tancerką. Większość dziewczyn zmarłaby z głodu na napiwkach ze sceny.

— No cóż, teraz tańczę za dwie — odparła Erin.

Weszła Monique Sr i oświadczyła, że przy stoliku numer pięć siedzi Keith Richards.

— Kazałam Kevinowi puścić trochę Stonesów — oświadczyła z podnieceniem. — W następnym kawałku zatańczę tak, że spadną mu skarpetki.

— Keith Richards — powtórzyła Erin, nie mogąc ukryć rozbawienia.

— Co? Nie wierzysz mi?

Urbana zapytała, co pije.

— Black Jack z wodą.

— W takim razie to nie Keith. On pije czysty rebel yell. — We wszystkich, nawet najdrobniejszych szczegółach dotyczących Rolling Stonesów Urbana była chodzącą encyklopedią.

Monique Sr była niepokieszona. Erin, czując się winna, zasugerowała:

— Hej, może się przesiadł?

— To on — upierała się Monique Sr. — Idź i sama zobacz.

— Wierzymy ci — zapewniła Erin.

— A wcale nie — zaprotestowała Urbana. — Zresztą, co za różnica? Stonesi nie uznają tancerek. Jaka dla nas korzyść, gdyby rzeczywiście to był on?

Monique Sr już zamierzała zaproponować Urbanie, żeby się pieprzyła, ale w ostatniej chwili spostrzegła śpiącą Angie. Uznała, że nie będzie kłęła w obecności dziecka.

— Gdybyś stwierdziła, że to Rod Stewart — mówiła dalej Urbana — wtedy miałybyśmy jakieś szanse. Ma tancerki we wszystkich swoich klipach. Jeżeli przy stoliku numer pięć usiadłby Rod, wtedy potraktowałabym cię serio...

Erin przerwała jej:

— Monique, chcesz żebyśmy popatrzyły?

— Keith byłby wniebowzięty — odparła lodowato tancerka.

— W takim razie chodźmy. — Erin otworzyła drzwi i ujrzała w nich nabuzowanego, wściekłego pana Orly'ego. Monique Sr krótko przeprosiła zebranych i szybko wróciła na salę.

Orly wmaszerował do środka i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał ze złością na skuloną na dywanie Angie i warknął:

— Mogę stracić licencję. Przekonaj mnie, że na terenie lokalu nie przebywa nieletnia. Powiedz mi, że to karłowata striptizerka w tenisówkach. W przeciwnym razie stracę moją pieprzoną licencję na wyszynk alkoholu.

Erin przeprosiła za przyprowadzenie Angie do klubu i wyjaśniła, że stało się tak tylko z powodu nagłej zmiany sytuacji rodzinnej.

— Kurwa! — burknął Orly i opadł na składane krzeselko.

— Niech pan nie obudzi dziecka, panie Orly — ostrzegła go Urbana Sprawł.

— Proszę się nie martwić — uspokoiła go Erin. — Ona nie śpi, ale hibernuje.

Ogarnięty zapachami kosmetyków pan Orly natychmiast stał się ofiarą ataku uczulenia. Starał się jednak najlepiej, jak potrafił, stłumić swoje bulgoczące kichnięcia.

— Ciii — upomniała go Urbana. — Przecież nie powinien pan nawet wchodzić do garderoby. Może pan zapomniał?

— Wybacz, proszę — odparował. — Widzisz, nie mogłem się opanować. Minęło przynajmniej dziesięć minut, od chwili kiedy widziałem twój goły tłusty tyłek, i dlatego wpadłem tu, żeby sobie zerknąć. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeżeli zaraz zrobię sobie dobrze, co?

— O Boże, ależ jest pan w fatalnym nastroju — zauważyła Erin.

— Cholernie słusznie. — Szef schwycił garść chusteczek z pudełka na toaletce. — Dzięki temu, że sędzia wyciągnął u nich kopyta, bracia Ling mają publikę na stojących miejscach. Interes tak im idzie, że przyjmują rezerwacje. Rezerwacje. W takim cholernym, małym barze!

— Wszystko przez dziennik telewizyjny — skomentowała Erin. — Takiego rozgłosu nie zdobędzie się za pieniądze.

Orly zaczął wyrażać się w zdecydowanie obsceniczny sposób, ale szybko się zreflektował i z irytacją zerknął na śpiącą dziewczynkę.

— Rozmawiamy o martwym człowieku, o sztywniaku — wychrypiał z goryczą. — Czyli o czymś najgorszym, co można sobie wyobrazić. A ludzie stoją w kilometrowej kolejce, żeby zobaczyć, gdzie to się stało! Nie rozumiem ludzkiej natury. Słowo daję, nie rozumiem.

W oczach Urbany migotały złośliwe błyski.

— Niech pan trzyma kciuki — zaproponowała. — Może tu również umrze ktoś znany.

— Na pewno nie, jeżeli dalej będziecie tak tańczyć — zareplikował Orly. — Moi klienci mogliby wyciągnąć kopyta jedynie z nudy.

— Dość tego! — zareagowała ostro Erin. — Mówię serio.

Urbana wymknęła się na numer w klatce. Orly wcisnął się głębiej w składane krzesło, które obejmowało jego tors jak przerosnięte szczypce do bielizny.

— Nawet Marvela na tym korzysta — poskarżył się.

— A więc już się otrząsnęła ze smutku?  
— Lingowie umieścili jej imię wielkimi literami nad wejściem: „Przyjdźcie zobaczyć dupę, która zabiła sędziego!”.

— Naprawdę tak napisali?

— Parafrazuję — przyznał się jej szef. — Rzecz w tym, że moje wpływy są mniejsze o piętnaście procent.

Szykując się na najgorsze, Erin zapytała:

— Czego więc pan od nas chce?

— Zastanówcie się jeszcze raz nad tańcem pełnokontaktowym.

— Absolutnie wykluczone. Głosowałyśmy, panie Orly.

— Tak, tak. — Odrzucił pomysł jednym ostrym machnięciem ręki. — A co powiesz w takim razie na to: kukurydza z masłem?

Erin milczała. Chciała, żeby bez żadnej pomocy i popędzania wykrztusił każdy zboczony szczegół swojej propozycji. Chciała, żeby czuł się najbardziej nieswojo, jak tylko to możliwe.

— Zamiast oliwy Wesson — dodał. — Co o tym sądzisz?

Twarz tancerki nie zdradzała żadnych uczuć. Nawet nie mrugała powiekami. Dłonie Orly'ego biegały po jego brzuchu jak dwa tłuste kraby.

— Zapasy! — wykrztusił. — Na litość boską, o tym przecież mówię. Kukurydza z masłem zamiast oliwy. Zaczęli to robić w West Palms. Faceci wchodzą do środka pojemnika i toczą walki zapaśnicze z dziewczynami. Myślę o dwudziestu dolarach za rundę.

Wreszcie Erin się odezwała:

— Sprawdzę, czy dobrze zrozumiałam. Wyobraża pan sobie, że wskoczę do kupy polanych masłem warzyw i będę się w nich tarzała na golasa z bandą pijanych palantów?

— Nie nago. Topless. — Orly odgryzł paznokcie i wypluł go na podłogę. — Wydział zdrowia nie zgodziłby się na pełną nagość. Nie przy produktach spożywczych.

— Co się stało z klasą tego lokalu? — zapytała Erin. — Nowa nazwa, nowy *image* — co się z tym stało?

— Stali się ci pieprzeni Lingowie, ot co. — Orly sprawiał wrażenie niepocieszonego. W jego głosie pobrzmiwały nutki autentycznego wstydu. — Jeżeli chcesz usłyszeć prawdę, ja cierpię. Potrzebuję jakiegoś cholernego, wystrzałowego numeru, Erin. Ta kukurydza z masłem jest właśnie czymś takim. Słyszałem, że yuppiesi mają świra na tym punkcie.

— A więc do tego doszło — stwierdziła.  
— Nie mogę cię przecież zmusić.  
— Jasne — przytaknęła. — Nawet pod dubeltówką by mnie pan do tego nie zmusił.

Właściciel lokalu wyprostował się i zrobił minę człowieka interesów.

— O co ci właściwie chodzi: zapasy czy sama kukurydza? Bo przyszło mi do głowy coś jeszcze.

— Nie mogę się doczekać.

— A co powiesz na coś takiego? Zapomnijmy o kukurydzy z masłem...

— Brawo.

— Pomyśl o makaronie. — Brwi Orly'ego zatańczyły. — Wspomniałaś o klasie, no cóż, proszę bardzo. Co może mieć więcej klasy niż makaron?

— Zawody zapaśnicze w makaronie?! — Erin poczuła, że traci kontakt z rzeczywistością.

— Nitki jajeczne, spaghetti, wybieraj...

— Muszę się rozebrać, panie Orly. Czy mogę liczyć na trochę prywatności? Proszę.

Gdy wstał, krzesło odpadło od jego tyłka i zagrzechotało na podłodze. Angie poruszyła się, lecz nie obudziła.

— Pomyśl o tym — zaproponował jeszcze raz Orly. — Mówiłem ci już, że w West Palm to bomba.

Obserwowała w lustrze, jak podchodzi do drzwi.

— Co się stało ze zwykłym, normalnym tańcem? — zastanowiła się głośno.

Sabrina przysłała przypilnować Angie w czasie występu Erin.

— Słyszałam, że robisz dziś stoliki — odezwała się, czesząc czarną perukę. — To nie takie złe.

— Dopóki nie próbują obmacywać — zauważyła Erin.

— Dzisiaj nie będą. Shad jest w jednym ze swoich nastrojów. — Szczotka Sabriny zaczęła o zbity lok i peruka wyskoczyła jej z dłoni. — Cholera — zakląła.

Erin zapięła minifigi i sprawdziła w lustrze pupę, żeby upewnić się, czy tasiemka jest pośrodku.

— Rzecz w tym, że potrzebuję pieniędzy — powiedziała.

— Dobrze ci pójdzie — zapewniła Sabrina. — Uważaj tylko, żeby nie spaść.



Gdy Erin weszła na scenę, Kevin grał *Honky Tonk Woman*. Piosenka poprawiła jej humor niemal w takim samym stopniu jak widok Monique Sr tańczącej zapamiętałe na stoliku mężczyzny, który przy pewnej dozie wyobraźni rzeczywiście przypominał Keitha Richardsa.

I dzięki temu Erin mogła zachować zdrowe zmysły.

W głowie Beverly tańczyły wizje pastylek valium. Telefony dzwoniły jak wściekle, poczta piętrzyła się stosami, a ten koszmarny łysy człowiek już drugi dzień z rzędu czytał w poczekalni „National Geographic”. Ten sam człowiek, którego usiłowała zasztyletować nożem do otwierania listów! Ponowne z nim spotkanie wzbudziło w niej uczucie zakłopotania, ponieważ w ciągu szesnastu lat pracy sekretarki w kancelarii adwokackiej nigdy dotąd nie zaatakowała klienta. Nieco przerażona Beverly nieśmiało usiłowała go przeprosić.

— Za co? — zapytał łysy mężczyzna. Już zdążył zapomnieć o incydencie. Beverly przeraziła się go jeszcze bardziej.

— Muszę zobaczyć się z szefem — oznajmił Shad.

— Minął się pan z nim.

To było wczoraj. Adwokat popędził na spotkanie i dotąd nie powrócił. Nawet nie zadzwonił z pytaniem, czy były dla niego jakieś wiadomości. Dzisiaj irytacja Beverly przerodziła się w niepokój: Mordecaia nie można było odnaleźć. Jak do tej pory, przepuścił cztery konsultacje, dwa poświadczenia i ważną rozprawę w sądzie okręgowym. Nieobecność w sądzie była o tyle istotna, że z rozprawą wiązało się przekazanie honorarium adwokackiego, czyli okazja, której Mordecai nigdy nie przepuszczał.

Sekretarka nic z tego nie rozumiała. Teraz właśnie dzwonił urzędnik z banku, chcąc potwierdzenia numeru konta depozytowego klienta. Urzędnik wyrecytował numer i Beverly odparła, że jest prawidłowy.

— Wszystkie wpłaty zazwyczaj przechodzą przeze mnie — poinformowała.

Urzędnik jednak skorygował, że nie chodzi o wpłatę, lecz o wypłatę. Poważną. Powiedział, że Mordecai przekazał telefoniczne polecenie natychmiastowej likwidacji konta.

Beverly wcale się to nie podobało. Zapaliło się światelko następnej

linii — Paul Guber, nieco zaniepokojony. Od dwóch dni nie miał wiadomości od narzeczonej. Takie milczenie nie było w zwyczaju Joyce — normalnie nekłała go telefonami co godzinę. Czy Mordecai przypadkiem nie wie, gdzie ona jest?

Biedna Beverly nie potrafiła udzielić żadnej odpowiedzi. A teraz jeszcze Shad zawisł nad jej biurkiem. Dzisiaj ubrany był w panterkową bluzę i spodnie.

— To zaczyna być śmieszne — oznajmił.

— Wiem, wiem — zgodziła się sekretarka. — Nie mam pojęcia, gdzie on przepadł.

— Niech no sprawdzę — rzekł Shad. Wyminął ją i otworzył drzwi do gabinetu adwokata. Beverly, bojąc się zaprotestować, podążyła za nim.

— Czy to pani włączyła te wszystkie światła? — zapytał.

Sekretarka zaprzeczyła. Gdy wychodziła, lampy były zgaszone.

— Może pracował do późna w nocy — zasugerowała. Telefony wciąż dzwoniły, ale ich nie odbierała. Postanowiła nie spuszczać Shada z oczu.

Okrążył biurko, niczego nie dotykając.

— Ktoś tu wszystko sprawdzał — oświadczył.

— Po czym pan poznał?

— Tu jest zbyt cholernie porządknie — wyjaśnił. Człowiek pracujący do późna w nocy zostawiłby jakiś bałagan, a biurko Mordecaia było niezwykle schludne, każdy ołówek leżał na swoim miejscu. Nawet kosz na śmieci wyglądał, jakby go wyczyszczono odkurzaczem.

Shad zapytał, czy jest tu sejf, do którego można wrzucić dokumenty. Beverly odpowiedziała, że nie — adwokat trzymał wszystkie ważne papiery w bankowej skrytce depozytowej.

— Ile było kluczy?

— Chyba dwa.

— A gdzie są?

— Nie wiem — odrzekła. — Nie mówił mi tego.

— Nieźle — mruknął Shad.

— Nie powiedział mi nawet, w jakim banku.

— Jasne.

Beverly wysunęła sugestię, że może światło zostawili sprzątacze. Co by wyjaśniało również idealny porządek w pomieszczeniu.

Shad pokręcił głową. Gabinet zrewidowali zawodowcy.

— Zdaje się, że na biurku stał terminarz Rolodex?

Sekretarka obejrzała uważnie biurko.

— Tak, zamknięty. Trzymał go przy telefonie.

— No cóż, ktoś go zabrał — stwierdził Shad. Cholera, to była ku-rewsko zła wiadomość.

— Czy powinnam zawiadomić policję?

— Bardzo proszę — odparł. — Ale mam wrażenie, że raczej oni zadzwonią pierwsi.

Gdy Erin wracała z pracy do domu, śledził ją jakiś mężczyzna. Była trzecia w nocy i pusto na ulicach. Mężczyzna zachowywał odległość kilkuset metrów od starego fairlaine'a dziewczyny. Dobrze wykonywał swoją robotę, ponieważ Erin w ogóle się nie zorientowała, że ciągnie za sobą ogon.

Zaparkowała samochód pod latarnią i zaprowadziła Angelę przez parking do domu. Mężczyzna stanął niewiele dalej, włączył radio w samochodzie i drzemał do świtu. Obserwował budynek do dziesiątej rano. Erin nie pojawiła się do tej pory, więc odjechał.

Było tak przez dwa dni z rzędu. Trzeciego ranka Erin wyszła z domu, niosąc koszyk z bielizną. Angela dreptała tuż za nią. Wsiadły do fairlaine'a i pojechały do pralni niedaleko Oakland Park Boulevard. Mężczyzna podążył za nimi i zaparkował przy sklepie wideo po drugiej stronie ulicy. Przez lornetkę obserwował dziewczynę wkładającą bieliznę do pralek, a później przekładającą pranie do suszarek. Gdy skończyła pranie i wyszła, nie pojechał już za nią z powrotem pod jej dom, lecz przebiegł przez ulicę do pralni, myśląc po drodze: To najbardziej chora rzecz, jaką kiedykolwiek robiłem...

Kongresman był nieugięty.

— Erb — oznajmił, wymachując fotografią striptizerki. — Pragnę jej.

— Nie, wcale nie — odparł Crandall.

— Nigdy nie czułem czegoś podobnego.

— Owszem, czuleś.

— Pragnę jej na te wszystkie cudowne sposoby, na jakie mężczyzna może pragnąć kobiety.

— Daj mi trochę pieprzonego luzu — poprosił Erb.  
— Jeżeli nie pomożesz mi jej odnaleźć, zajmę się tym osobiście.  
— Po wyborach.  
— Nie mogę czekać tak długo — upierał się Dilbeck. — Jestem pod jej urokiem, Erb. Jestem... oczarowany.

— Przykro mi — odrzekł Crandall. — Mam swoje rozkazy.

Podróżowali pierwszą klasą rejsem Deltę z Miami do Dulles — jednodniowy, szybki występ. Ktoś wydawał jakieś kretyńskie przyjęcie dla Tipa O'Neilla. Dilbeck wędrował między fotelami, przyciskając rzeczoną fotografię do piersi. Po prostu nie potrafił się zamknąć i usiąść.

— Czy widziałeś jej zdjęcie? Czy zwróciłeś uwagę na jej wygląd?

— Bardzo przystojna — przyznał Erb.

— Chcę, żebyś ją odnalazł i zaproponował jej pracę w moim zespole.

— Może zjadłbyś śniadanie — zaproponował Crandall. Inni pasażerowie zaczęli już pomrukiwać. Gdy następnym razem Dilbeck znalazł się w jego zasięgu, Erb schwycił fotografię ze „Zwawego Bobra”, wsunął ją do lotniczego czasopisma i zamknął je w dyplomatce.

Kongresman wkrótce się zmęczył. Usiadł i rzekł:

— Erb, nie chcę prowadzić tej kampanii bez niej. Nawiedza moje sny.

— Doprawdy? A czy wiesz, kto m n i e się śni po nocach? Malcolm J. Moldowsky.

— Muszę dowiedzieć się o niej wszystkiego. Wszystkiego.

— Nawet nie wiemy, jak się nazywa — skłamał Crandall.

— Dowiedz się, do diabła. Dowiedz się każdego szczegółu! — Oczy Dilbecka płonęły. — Erb, ona nie jest taka jak inne.

— No tak, można się tego domyślić ze zdjęcia. Przez chwilę sądziłem, że to Julie Andrews tańcząca w Alpach. Z tą tylko różnicą, że jest goła i jakiś facet trzyma twarz między jej nogami.

Kongresman schwycił go za ramię i oświadczył:

— Boże, jestem beznadziejnie zakochany.

To częściowa prawda, uznał Crandall. W tej części o beznadziejności.

— Zjedz swój omlet — poradził Dilbeckowi.

— Powiedziałeś, że po wyborach?

— Tak jest.

— Może zdołam jakoś dotrwać, Erb. Może zdołam wytrzymać, jeżeli będę miał coś, co do niej należy. Coś, co mógłbym k o c h a ć!

— Mów ciszej — polecił Crandall. — Zobaczę, co się da zrobić.

Kongresman ponownie pociągnął go za rękę.

— Ale nie to co inni. Żadnych majteczek, podwiązek czy stani-ków.

— W takim razie co?

Gdy Dilbeck wyszeptał mu, o co chodzi, Erb nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Jesteś całkowicie zboczony — stwierdził.

— Ale co w tym złego? No powiedz, Erb.

Dlatego właśnie Crandall znalazł się w pralni i ukradkiem zeskrobywał strzępki nitek z filtra suszarki. Nie jakieś tam zwykłe nitki, lecz pochodzące z osobistego prania pięknej tancerki. Potem zawinął różową kosmatą kulkę w chusteczkę do nosa. Zauważył, że klient zerka nad stosem złożonej bielizny pościelowej, więc mignął fałszywą odznaką FBI, którą trzymał pod ręką na takie okazje.

Kiedy powrócił do domu, kongresman czekał na niego w holu. Jego włosy były świeżo wyszczotkowane, a policzki lśniły. Przyjął strzępki z wdzięcznością, biorąc je w złożone dłonie.

— Mój Boże — rzekł. — Dokonałeś tego! — I na długo zniknął w głównej łazience.

Erb Crandall zamknął frontowe drzwi, poszedł do pokoju i położył się na sofie. Włączył teleturniej, upił się dżinem, po czym opuścił powieki i próbował przypomnieć sobie, kiedy polityka była dobrą zabawą.

## 19.

Shad zadzwonił do sierżanta Ala Garcii z propozycją rozmowy. Detektyw zabrał go w południe i pojechali nową autostradą międzystanową na zachód, za miasto. Bramkarz zastanawiał się, dokąd jadą. Opowiedział Garcii o wymyślonym przez Mordecaia planie wyciśnięcia pieniędzy z kongresmana. Sierżant chciał dowiedzieć się czegoś o fotografii.

— Kto jest na niej oprócz Dilbecka?

— Facet, którego łomocze — odparł Shad. — A także ja i Erin.

— Gdzie jest oryginał?

— To kolorowy slajd. Ma go prawnik, pewnie w skrytce bankowej, ale nie wiem, gdzie. Nawet sekretarka tego nie wie.

Garcia zapytał o Mordecaia. W jaki sposób Shad go poznał? Jakie wywarł na nim wrażenie? Shad wypowiedział się ze wszystkiego, zaczynając od przewalanki z karaluchem. Detektyw chichotał, słuchając historii o zastępczyni, która zjadła dowód rzeczowy w postaci jogurtu, ale poza tym był całkiem poważny.

— A więc przypuszczasz, że adwokat zrobił podejście pod Dilbecka z kopią fotografii? — odezwał się.

— Taki miał zamiar.

— I obiecał ci udział w wypłacie?

— Tak. Ponieważ byłem naocznym świadkiem.

— I ponieważ spieprzył twoją sprawę z karaluchem.

— I to jeszcze jak — przyznał bramkarz, spluwając przez okno.

— A teraz przepadł i zacząłeś się martwić. Przypuszczasz, że twojemu adwokatowi przydarzyło się to samo co biednemu Jerry'emu Killianowi. I obawiasz się, że możesz być następny.

— Nie o siebie się martwię — stwierdził Shad.

— Ani ja, Kulo Bilardowa. Chodzi o twoją przyjaciółkę striptizerkę.

— Przyjaciółkę tancerkę.

— Słusznie. Miła kobieta.

Shad mrugnął, wpatrzony w dal przed siebie.

— Odzyskała córeczkę. A to podnosi stawkę.

— Rozumiem, o co chodzi.

Dojechali do splątanego skrzyżowania autostrad. Garcia skierował się na północ drogą numer siedemdziesiąt dwa. Po obu stronach widniała równina pełna wody i trzciny.

— Dokąd, do cholery, jedziemy? — zapytał Shad.

— Do pięknego śródmieścia Belle Glade. Może cygaro?

Bramkarz oświadczył, że jasne, czemu nie. Al Garcia był zadowolony. Obydwaj zapalili i samochód wypełnił się dymem. Detektyw opuścił szyby.

— Dobrze? — upewniał się.

— W porządku — przyznał Shad.

— Hej, *chico*, ty się zaciągasz?

— Tak. Lubię.

— Cholera — rzekł sierżant. — Czy cię nie pali jak diabli?

Shad odparł, że nic nie czuje.

— Mam coś, co nazywają wysokim progiem.

Jechali mniej więcej piętnaście kilometrów bez słowa, paląc cygara. W końcu detektyw zapytał, jakie ma się wrażenia, pracując w klubie z gołymi dziewczynami.

Wykidajło mruknął ciężko:

— Po jakimś czasie przestaje się zwracać uwagę.

— Daj spokój.

— Słowo daję. Doszedłem do stanu, że zaczynam się podniecać, gdy się ubiorą. Tak to jest, kiedy się za długo pracuje w tym interesie.

— Znam facetów, którzy zabiliby, byle tylko dostać taką robotę — stwierdził Garcia.

— Mogą ją sobie wziąć. Takie przebywanie w ciągłym towarzystwie nagich kobiet psuje zdolność odbioru. Po jakimś czasie są to

tylko cycki i dupy — nic szczególnego. To tak, jakbyś pracował na linii montażowej Ferrari. Wkrótce widzisz po prostu samochody i nic więcej. Rozumiesz?

— Wszystkim można się znudzić.

— Słusznie — przytaknął Shad, przygryzając cygaro. — A kiedy laski stają się nudne, czas na zmianę zawodu.

— Znam ten ból — oświadczył sierżant, wskazując kciukiem do tyłu. — Zgadnij, co mam w bagażniku. Chłodziarkę Igloo. A co w chłodziarce? Ludzką głowę.

Shad gwałtownie wypluł cygaro za okno i wytarł usta rękawem kamuflażowej bluzy.

— Nie żartuję — potwierdził Garcia. — Własność niejakiego Francisca Goyo, denata. Nawet ci nie powiem, ile zmarnowałem paliwa na tę sprawę. Tego kutasa rozrzucano po dwunastu różnych adresach.

— Dlaczego — zainteresował się Shad — trzymasz jego głowę w lodówce?

— Żeby mi nie zasmrodził samochodu.

— Nie o to mi chodziło.

Detektyw wyjaśnił, że windsurfer na Key Biscayne natknął się dziś rano na ten koszmarny detal.

— Muszę go podrzucić do kostnicy, jadąc do domu. Mają tam zamrażarkę pełną señora Goyo.

— Cholera — mruknął ponuro bramkarz.

— Ale wiem, o co ci chodziło z tą nudą. Dzień w dzień takie samo gówno. — Garcia strząsała popiół z cygara. — Chcesz się zamienić na pracę?

— Cholera — powtórzył Shad.

Detektyw podjechał prosto pod urząd pocztowy w Belle Glade. Poprosił Shada, aby nie straszył przechodniów i pozostał w samochodzie. Przy okienku Garcia okazał odznakę policyjną i zapytał o skrytkę pocztową, której numer podali trzej tajemniczy Jamajczycy w motelu „Flighpath” Urzędniczka, przystojna kobieta o gęstych popielatych włosach, wyjaśniła, że skrytka rzeczywiście należy do pana Riley, ale pan Riley nie odbierał poczty od sześciu miesięcy. Z bardzo poważnego powodu.

— Zszedł — wyjaśniła.

— Bardzo mi przykro.



— W takim razie jest pan w mniejszości.

— Kto mógłby mi powiedzieć coś więcej na ten temat? — dociekał Garcia.

— Każdy — odparła urzędniczka. — Riley był zarządzającym personelem w Farmach Rojo. Brał procent od pensji swoich żniwiarzy i wszyscy o tym wiedzieli. Pewnego ranka przejechał go autobus dowozący robotników. — Kobieta zamilkła na chwilę. — Według patrolu drogówki stanowej był to wypadek.

— Ale może i nie — odpowiedział sierżant.

— Osobiście skłonna jestem przypisać to palcowi boskiemu. Riley był złym człowiekiem. A złym ludziom często zdarza się coś złego.

— I zdarzyło się sześć miesięcy temu?

— Przynajmniej. Ale zbieracze trzciny w do tej pory przeklinają jego nazwisko.

— Czy ktoś przeklina bardziej niż pozostali?

— Nie rozumiem — stwierdziła urzędniczka.

— Czy ktoś miał jakiś szczególny powód, żeby nienawidzić Riley-a? Kobieta była serdecznie rozbawiona.

— A jakiego jeszcze powodu mieliby ci ludzie potrzebować? — Zaczęła sortować pocztę, układając ją w zgrabne stosy. Na wielu kopertach widniały zagraniczne znaczki i niezgrabnie wypisane adresy. Belle Glade było miastem robotników sezonowych. — Wygląda na to, że szuka pan kogoś konkretnego — wyraziła przypuszczenie urzędniczka.

— Niech się pani nie śmieje — rzekł Garcia. — Trzech Jamajczyków.

— O rany!

— Prosiłem, żeby się pani nie śmiała.

— Ale wszyscy jego pracownicy są z Jamajki.

— Domyśliłem się tego. I wszyscy go nienawidzili, prawda?

— Bardziej niż grzechotnika!

Wróciwszy do samochodu, sierżant zapytał Shada, czy chciałby pojechać do Clewiston i obejrzeć zakład przerobu trzciny cukrowej. Bramkarz stwierdził, że za cholerę go to nie interesuje.

— To by pomogło jakoś wszystko uporządkować — poinformował detektyw.

— Oszczędź sobie benzynę i opowiedz mi o tym, wracając do Lauderdale.

— Po co ten pośpiech?

Kark Shada nabrzmiął gwałtownie.

— Ponieważ masz w bagażniku pieprzoną głowę Kubańczyka!

— Señor Goyo był Panamczykiem.

— Jezu! — jęknął Shad.

Na środku drogi pojawił się królik błotny i Al Garcia wyminął go, nawet nie zwalniając.

— Tego kongresmana — oświadczył — trzymają za jaja producenci cukru. Potrzebują go w Waszyngtonie, żeby pilnował interesów. A więc gdy ten fiutek Killian zagroził mu szantażem, faceci od cukru zrobili się nerwowi. Nadążasz?

Shad wskazał przed siebie i uprzedził:

— Ograniczenie prędkości.

— Na litość boską, przecież jestem gliną — oburzył się sierżant. — Pamiętasz? — Zamigotał światłami, gdy przejeżdżali koło funkcjonariusza drogowki stanowej. — Nawet mnie nie słuchałeś — zwrócił się do swego towarzysza.

— Słuchałem. Forsa z cukru.

— Killian wysunął żądanie najprawdopodobniej tak dziwaczne, że spłoszył tym ludzi popierających Dilbecka. Załatwić sprawę opieki? — pomyśleli. Nacisnąć na sędziego? Mamy do czynienia z szajbussem, uznali. A więc ktoś — nie sam Dilbeck, lecz ktoś blisko niego — wykonał telefon.

— I pa-pa, świrusie.

— Słusznie. Zjawia się trzech ścinaczy trzciny i porywają Killiana, zapewne z jego mieszkania.

— Skąd wiesz, że to byli ścinacze trzciny?

— Blizny, człowieku. Mieli blizny na nogach. Ścinacze zawsze kaleczą się przypadkowo tymi cholernymi maczetami, bez względu na to, jacy są dobrzy. W każdym razie zawieźli Killiana do taniego motelu i — dla dowcipu — zarejestrowali się pod nazwiskiem martwego szefa. Utopili go właśnie w motelu. A potem położyli na lodzie...

— Coś podobnego — mruknął Shad. — Kolejne pieprzone igloo.

— Nie sądzę — odparł Garcia. Prowadził jedną ręką, a drugą gestykulował, trzymając w palcach wygasły gryzek cygara. — W każdym razie zamrozili go i zawieźli prosto do Missouli, w stanie Montana. A może nawet wykorzystali firmowy odrzutowiec panów Rojo, kto wie...

— Dlaczego do Montany? — zdziwił się Shad.

— Tam Killian spędzał wakacje. Rozumiesz, wszystko było urządzone tak, żeby jego śmierć wyglądała na wypadek przy łowieniu ryb.

Wreszcie bramkarz skrzywił się w uśmiechu. Jego ogromna biała kopała zakołysała się w rytm tłumionego śmiechu.

— Co jest?

— Człowieku — wyjaśnił Shad. — Trzech Jamajczyków podróżujących po Montanie!

— Taa, rozumiem.

— Jezu Chryste, czy to nie odlot? Jamajscy kowboje!

— Mieli tupet — przyznał Al. — Kimkolwiek byli.

— Nigdy ich nie złapiesz.

— Racja.

— Nawet za milion lat.

— Jestem całkowicie pewien — stwierdził Garcia — że są już z powrotem na Jamajce. Albo nie żyją.

Kontrolka temperatury na tablicy z przyrządami błysnęła czerwono i sierżant zjechał swoim caprice na pobocze. Otworzył maskę i sprawdził mocowanie przewodu. Wydawało się w porządku. Nie było również przecieku z chłodnicy.

— Kable — burknął i zatrasnął maskę.

Shad zniknął z samochodu. Al znalazł go czterdzieści metrów dalej, na polu za trzecim rzędem wysokiej trzciny cukrowej.

— A więc tak to wygląda — stwierdził dryblas. Tłusta niebieska końska mucha wpila się w jego lśniąca skórę na głowie. Była tak wielka, że wyglądała jak tatuaż.

Garcia ułamał lodygę trzciny i powąchał ją.

— Ależ te skurwysyny robią interes. Mają wody, ile zechcą, i właściwie za darmo. Importowaną niewolniczą siłę roboczą do zbiorów. Potem sprzedają plony po wywindowanych cenach — dzięki uprzejmości Kongresu Stanów Zjednoczonych. A kiedy już zrobią swoje, pozwala im się wywalić całe świństwo prosto do Everglades.

Shad był pod wrażeniem.

— Kraina Wielkich Możliwości — oznajmił, grzebiąc w czarnym błocie czubkiem buta.

— Miliony milionów dolarów — ciągnął Garcia. — Killian nie miał

pojęcia, na co się porywa. To samo dotyczy twojego mistrza adwokackiego.

Wsiedli z powrotem do samochodu. Shad podziękował za następne cygaro. Końska mucha w dalszym ciągu siedziała przyszana do jego głowy. Detektyw wyciągnął rękę i zgonił ją.

Parę kilometrów dalej Shad zapytał:

— Dlaczego zająłeś się tą sprawą? Jakoś nie widzę związków z Miami.

Garcia uśmiechnął się ponuro.

— Obwód poseski Dilbecka znajduje się w hrabstwie Dade. To najlepsze, na co mnie stać.

— Nędznie — stwierdził bramkarz..

— Nikt oprócz mnie się tym nie interesuje. A ja nie mogę pozwolić, żeby zabójstwo uszło płazem.

— Inaczej mówiąc, robisz wszystko za friko.

— I dlatego potrzebuję twojej pomocy — przyznał sierżant.

— Uważasz, że się dobrać do Erin?

— Sądzę, że jeżeli będzie trzeba, dobrać się do każdego, kto jest na tej fotografii. Moim zdaniem nawet się nie zawahają.

Shad odwrócił się i popatrzył przez okno. Wyjechali już z terenów rolniczych. Na zachodzie, na horyzoncie, migotały Everglades.

— Odzyskała swoją dziewczynkę.

— Już mówiłeś.

— Obawiam się, że to nie ma znaczenia.

— Nie dla tych ludzi. — Garcia zatrzymał się przy ośrodku wędkarskim, żeby kupić trochę lodu na głowę Francisca Goyo. Shad zmarszczył się, słysząc odgłos otwieranego bagażnika i wysypujących się z plastikowego pojemnika kostek. Miał nadzieję, że sierżant nie zechce pokazać mu swojego cholernego trofeum. Niektórzy gliniarze lubią wykręcić taki pieprzony numer.

Gdy ponownie znaleźli się na szosie, dryblas przyznał się, że przez jakiś czas był na utrzymaniu stanu.

— Och, wiem. Zabójstwo.

— Dwa zabójstwa — sprostował Shad.

— Tak brzmiał wyrok. Popędnionym przestępstwem było zabójstwo. — Garcia zobaczył, że kontrolka temperatury ponownie się zaświeciła, i wyrznął w tablicę pięścią. Światelko zgasło. — Boże, po-błogosław General Motors — oznajmił.

Shad zapytał, czy wie również o napaści z obciążającymi okolicznościami. Detektyw odparł, że jasne.

— Mój szef, pan Orly, skoczyłby pod pieprzony sufit — oświadczył Shad. — Zatrudnianie przestępcy i tak dalej. Mógłby stracić licencję.

Garcia patrzył na drogę.

— Nie przejmuj się szefem — rzekł. — Ja musiałem wiedzieć, on nie.

— Doceniam to.

— Jeszcze jedna sprawa. Wolalbym się nie przekonać, że masz gnata, rozumiesz? Bo gdybym go zobaczył, musiałbym coś zrobić. Na przykład zapuszkować twoją dupę, kapujesz? Takie jest prawo: przestępcom nie wolno nosić broni. A więc nie czuj się w obowiązku wyciągać jej i bawić się, bo będzie kłopot.

— Jasne — przytaknął Shad. — Porozmawiajmy o Erin.

— Taak. — Detektyw zabębnił palcami o kierownicę. — Musimy coś wykombinować.

— Nie powinniśmy mieć z tym problemu — oznajmił Shad. — Z moją urodą i twoim rozumem.

Malcolm J. Moldowsky bez wytchnienia błdził po swoim mieszkaniu. Nic nie mogło go uspokoić — ani widok oceanu, ani doskonały koniak. Był oburzony, głęboko oburzony, że człowiek o jego pozycji jest zmuszony się martwić.

Moldy był na szczycie — zdradziecko potężny, obrzydliwie bogaty i w dużej mierze nietykalny. Aż do tej chwili. Ostatnio jego arogancja, na którą tak ciężko zapracował, utraciła nieco swojej siły. Czuł się zagrożony, nawet niepewny. Winni temu byli inni. Beznadziejna niekompetencja groziła zniszczeniem dzieła, na którego stworzenie Moldowsky poświęcił wiele lat. Wiedział, jak jego bohater, John Mitchell, musiał się czuć, gdy tamci idioci spaprali proste włamanie. Praca całego życia zniszczona przez niewiarygodną głupotę.

Chroniąc karierę Davida Dilbecka, Moldowsky wyszedł daleko poza ramy zwykłego handlu wpływami. Nielegalne działania nie były niczym nowym. Moldy'ego martwił charakter ostatnich przestępstw — wspaniałego kryminalistę w białym kołnierzyku zmuszono do opuszczenia swojego naturalnego środowiska. Przeadresowanie funduszków wyborczych było kaszką z mlekiem. Bezprawne

wynagradzanie obieralnego urzędnika przypominało dziecięcą zabawę. Fałszowanie finansowych sprawozdań kampanii wyborczych stanowiło rutynową czynność. Ale to! Niech szlag trafi tego Dilbecka.

Po raz pierwszy od wielu lat Moldowsky rewidował swoją samoocenę. Nienawidził tego uczucia, ponieważ nie cierpiał jakichkolwiek form introspekcji. W branży Moldy'ego największym wrogiem było sumienie. Ponownie nalał sobie koniaku i znowu zaczął wędrować po pokoju. Mijając lustro spostrzegł, że przepuścił szlufkę z tyłu spodni, a także źle zapiął lewy mankiet. Boże, już choćby tylko to świadczyło, jak bardzo był poruszony!

A przyczyną jego zdenerwowania była nagła i niespodziewana śmierć sędziego prowadzącego sprawy rozwodowe. Sędziego, który nie chciał pomóc kongresmanowi i odmówił załatwienia głupiej sprawy opieki rodzicielskiej. Sędziego, który nie potrzebował, aby mu wyświadczono przysługę, ponieważ już na swój własny, wesoły sposób wspinał się na federalny szczebel kariery.

Upór sędziego pociągnął za sobą śmierć Jerry'ego Killiana. Moldowsky nie widział innego wyjścia — wyeliminowanie szantażysty usuwało zagrożenie dla Davida Dilbecka. Było to proste, logiczne, celowe, ale czy tak naprawdę konieczne? Moldy wściekał się na samego siebie, że w ogóle zwraca sobie tym głowę. Decyzja w sprawie Killiana wtedy wydawała się zupełnie słuszna. Kto mógł przewidzieć, że sędzia będzie tak uprzejmy i wyciągnie kopyta?

Moldy był człowiekiem, który potrafił docenić okrutną ironię losu. W normalnych warunkach rozbawiłyby go podejrżane okoliczności, w jakich wykorkował świętoszkowaty palant, któremu mózg eksplodował na widok morza nagich piersi. Ekipa telewizyjna, która najechała „Różową Farmę”, nie pozostawiła zbyt wielkiego pola dla obraźni.

Moldowsky'ego ogarnęło zupełnie nieznanne mu dotąd uczucie zwątpienia. Może działałem zbyt pochopnie? Gdybym dał Killianowi na wstrzymanie, powodził go za nos przez parę tygodni, wtedy śmierć sędziego rozwiązałaby oba nasze problemy. Sprawę Grant kontra Grant przekazano by komu innemu i Killian zszedłby z Davida Dilbecka.

No cóż, pomyślał Moldy. Co się stało, to się nie odstanie. Trzej zbieracze trzciny z Jamajki wrócili do domu. A za miesiąc niedaleko Montego Bay wydarzy się straszliwy wypadek samochodowy i nikt nie wyjdzie z niego żywy. Dziennik pokładowy „Gulfstreama II” braci

Rojo wykaże zaś rejs do Aspen, nie do Missouli. A gdyby go dalej naciskano, FAA potwierdzi wszystko dzięki taśmom z wieży kontrolnej. Córka zastępcy dyrektora administracyjnego zawdzięczała pracę Malcolmowi J. Moldowsky'emu...

Telefon brzęknął dwukrotnie i Moldy podniósł słuchawkę. Stał przy szerokim oknie i patrzył na przestwór Atlantyku. Pod zachmurzonym niebem woda miała szary i niepociągający odcień. Tuż za horyzontem, w Nassau, z drugiej strony połączenia, znajdował się mężczyzna. Był to bankier wykształcony w Londynie, który jednak w sposobie mówienia zachował łagodną wyspiarską melodię. Poinformował Moldowsky'ego, że nadszedł przelew telegraficzny.

— Co mamy zrobić z saldem?

— Pozostawiam to całkowicie pańskiej decyzji — odparł Moldy.

— Możemy umieścić je na funduszu powierniczym — zaproponował bankier.

— Do licha, jeżeli o mnie chodzi, może pan wszystko zatrzymać i kupić sobie nowego hatterasa.

Bankier zachichotał nerwowo.

— Z pewnością pan Mordecai pozostawił jakieś instrukcje.

— Prawdę mówiąc, nie.

— Ale proszę pana, saldo wynosi ponad osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Jestem pewien, że spodziewa się właściwego zainwestowania swoich pieniędzy. — Przerwał. — Czy są jakieś problemy, o których powinienem wiedzieć?

— Nic, o czym powinien pan wiedzieć. Fundusz powierniczy jest zupełnie w porządku, panie Cartwright.

— Pod warunkiem, że nie będzie potrzebował częstego dostępu.

— Nie — stwierdził Moldowsky. — Tego na pewno nie będzie potrzebował.

Podziękował Cartwrightowi i odłożył słuchawkę. Telefon natychmiast odezwał się po raz drugi. Tym razem dzwoniło z holu — przyszedł z wizytą Erb Crandall. Moldowsky wyjął następną szklankę, na wypadek gdyby gość miał ochotę się odprężyć. Nie miał. Oznajmił, że jest gotów zrezygnować z pracy w komitecie wyborczym Dilbecka.

— Wyluzuj się, Erb — poradził Moldy.

Crandall stał sztywno, z rękami złożonymi na piersi.

— Mówiłem ci, że facet jest bombą zegarową. No cóż, lont już się pali.

Moldowsky był zadowolony, że przecucie go nie zawiodło i zaczął pić wcześniej.

— Co takiego zrobił? — zapytał.

Crandall opowiedział mu o tajnej misji w celu zdobycia strzępków z pralni.

— Boże! — westchnął Moldy. — Paskudnie.

— A to dopiero początek, Malcolmie. Chce więcej.

— Więcej czego?

— Zwariował na punkcie tej striptizerki. Tej na fotografii.

— Chce więcej strzępków? — Moldowsky skrzywił się.

— Nie tylko.

Opisał aktualne fantazje kongresmana. Malcolm J. Moldowsky zachwiał się i poczuł, jak brandy gotuje mu się w gardle.

— Odbiło mu totalnie — powiedział ochryplym głosem. — Zupełnie zwariował.

— Dziękuję, doktorze Freud. — Erb Crandall podszedł do baru i wziął zimną puszkę piwa imbirowego, którą zaczął przesuwając tam i z powrotem po bolącym czole. Opadł ciężko na fotel, odwrócony tyłem do oceanu. — I co teraz, Malcolmie?

— Dziewczyna — oświadczył Moldy. — To oczywiste.

W sprawie pieniędzy Urbana Sprawł miała rację. W pierwszą noc tańczenia na stolikach Erin zarobiła dodatkowo dziewięćdziesiąt dolarów. Shad trzymał się blisko i nikt jej nie tknął. Mimo wszystko nie cierpiała tego. Stoliki w klubie były tak małe, że tancerki nie mogły poruszać stopami, nie skopując przy okazji klientom drinków na kolana. Sam występ polegał właściwie nie na tańczeniu, lecz raczej na wiciu się w jednym miejscu, co było zajęciem w sam raz dla dziewczyn z dużymi piersiami — siła ciężkości wykonywała za nie całą robotę. Mocną stroną Erin była przecież choreografia, a na stoliku po prostu nie było na nią miejsca. Stawała się więc kolejną striptizerką podskakującą, żeby dostać napiwek.

Następnym minusem była muzyka. Tancerka na głównej scenie mogła sobie wybierać piosenki. I słusznie, tyle że dziewczyny występujące na stolikach nie wiedziały, jaka melodia będzie następna. Większość listy muzycznej Kevina stanowiło disco, techno, fusion, hip-hop i rap, czyli dokładnie to, czego Erin nie cierpiała. Nie miała



do żadnego z tych kawałków serca i udawanie, że jest inaczej, byłoby dla niej męką. Uśmiechała się w tak wymuszony sposób, że wkrótce mięśnie jej twarzy zupełnie zdrętwiały. Pod koniec zmiany spojrzała w lustro i zobaczyła uśmiech numer pięć — pełen dobrych chęci, ale zupełnie nie seksowny. Co prawda klienci od stolików bynajmniej tego nie zauważali — ich spojrzenia wbite były raczej w jej podbrzusze.

Drugiej nocy Erin zarobiła na stolikach dwieście dziesięć dolarów, trzeciej — sto osiemdziesiąt pięć. Czwartej zjawił się detektyw z wydziału zabójstw. Usiadł z Shadem i zaczęli rozmawiać. Erin obserwowała ich z zaciekawieniem z blatu stolika numer pięć, gdzie wbrew zdrowemu rozsądkowi tańczyła wyjątkowo długi kawałek Pauli Abdul albo — jak nazywał ją pan Orly — Kareem Abdul Pauli. Chciała zakończyć taniec, żeby się dowiedzieć, po co Al Garcia przyszedł do klubu. Gdy piosenka dołomotała do końca, klient wyciągnął rękę i wsunął za jej podwiązkę banknot. Podziękowała mu, gdy pomógł jej zejść ze stolika. Poprawiając minifigi, Erin zobaczyła, że mężczyzna dał jej banknot studolarowy. Podziękowała mu ponownie, tym razem standardowym uściskiem i cmoknięciem w policzek zarezerwowanym dla szczególnie hojnych widzów.

— A może jeszcze jeden? — zapytał mężczyzna. Był przystojnym młodym Latynosem, z zaczesanymi do tyłu włosami i palcami obu dłoni połyskującymi złotem. Miał drogie ubranie i nie sprawiał wrażenia na tyle pijanego, żeby mógł stwarzać problemy, więc Erin odparła, że jasne, i ponownie weszła na stolik. Shad i Garcia wciąż siedzieli przygarbieni przy barze, pogrążeni w rozmowie. Dziewczyna liczyła, że potrwa to jeszcze jakiś czas. Rozsądna tancerka nie opuszcza przecież hojnego klienta, zwłaszcza jeżeli jest winna prawnikowi dziewięć kawałków.

Wykonała więc dla młodego Latynosa pięć tańców, za każdym razem otrzymując setkę. Pieniądze ją cieszyły, ale również wzbudzały podejrzliwość. Facet czegoś od niej chciał. I rzeczywiście.

W końcu nadeszła pora na jej taniec na głównej scenie. Kevin puścił kawałek Black Crowesów, który obudził całą knajpę. Piosenka była szybka, wredna i Erin bardzo ją lubiła — wymachiwała nogami, wykonywała piruety, wyginała się, zużywając mnóstwo niewykorzystywanej dotąd energii. Shad siedział samotnie przy barze, Al Garcia natomiast stał przy automacie telefonicznym koło drzwi, odwrócony

plecami do sceny. Obojętny, pomyślała Erin. Całkowicie nieporuszony moim natchnionym występem. Dziwne.

Młody Latynos podszedł do rampy i przywołał ją gestem. Wsunął jej za podwiązkę dwieście dolarów. Gdy dziewczyna pochyliła się, aby mu podziękować, położył dłoń na jej ramieniu i coś szepnął.

Shad sprężył się, czekając na reakcję Erin. Był gotów ruszyć szybko do akcji, jeżeli palant spróbuje ją obmacywać. Słowa młodego człowieka wydawały się dziwić Erin, ale jej nie zdenerwowały. Gdy wróciła na środek sceny, miała przylepiony uśmiech, lecz oczy spokojne. Wykonała nawet płynny piruet w stylu Stevie Nicks przed maszyną wiatrową. Shad trwał na posterunku.

Po występie Erin znów wróciła do młodego Latynosa i bramkarz zauważył, że nie zaczęła kolejnego tańca. Wkrótce młodzieniec wstał i opuścił klub. Tancerka podeszła do baru i oznajmiła:

— Napiłabym się martini.

Shad zapytał, co się stało.

— Nic — odparła Erin. — Interes rozrywkowy.

— Zdobyłaś niezłego entuzjastę — stwierdził Al Garcia i usiadł po jej drugiej stronie. — Wiesz, kto to był?

— Powiedział, że ma na imię Chris.

— Christopher Rojo — wyjaśnił detektyw. — Z cukrowej rodziny Rojo.

— To tłumaczy pieniądze — rzekła Erin. Ale nie tłumaczy tego. — Obróciła się na stołku i położyła prawą nogę na kolanach Shada.

— Gdzie masz but? — spytał.

— Właśnie zakupił go młody Christopher — poinformowała. — Za jeden tysiąc dolarów.

Szerokie czoło bramkarza pokryły zmarszczki zdziwienia. Sama Erin czuła lekki zawrót głowy. Pieniądze stanowiły dar niebios, ale sprzedawanie używanego obuwia bogatym zbrojeńcom nie było zawodem jej marzeń.

— Pieprzony but — mruknął Shad. — Po co?

Erin zakryła twarz dłońmi.

— Nie chcę o tym myśleć.

— Miłość — oświadczył Al Garcia. — Czyż to nie wspaniałe?

## 20.

Merkin przykrył mikrofon słuchawki dłonią i zapytał Picattę, czy zgodzą się na rozmowę na ich koszt z Darrellem Grantem.

— Nie znam żadnego Darrella Granta — odparł głośno Picatta. — A ty?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Skąd dzwoni?

— Z aresztu hrabstwa Martin — poinformował Merkin.

Uśmiechnął się i odsunął słuchawkę od ucha. Słysząc było, jak Darrell błaga telefonistkę z międzymiastowej, żeby go połączyła.

Picatta pochylił się w stronę słuchawki i ryknął:

— Jedyne Darrell Grant, jakiego znam, jest kłamliwym skurwysynem, którego warunkowe zwolnienie zostanie natychmiast cofnięte, gdy pojawi się w hrabstwie Broward!

— Czy to ten sam nieszczęsny Darrell Grant — dodał Merkin — któremu właśnie ma być odebrana opieka nad dzieckiem, ponieważ zagubiona od tylu lat lista jego karalności nagle odnalazła się w sądowym komputerze?

— Cholerna sprawa — dorzucił Picatta. — Po tylu latach. Słyszałem, że nowy sędzia był bardzo zdziwiony.

Na drugim końcu przewodu Darrell Grant umilkł nagle. Telefonistka z międzymiastowej, prawdziwy anioł, ponownie zapytała detektywa Merkina, czy opłaci rozmowę.

— Nie, proszę pani — oznajmił. — Niech pani powie panu Grantowi,

że jeżeli chce pogadać, powinien zadzwonić do pana Thomasa Tinkera, rzekomego hurtownika heroiną, o którym nam doniósł. Centrala na cmentarzu połączy go od razu. A teraz do widzenia.

Merkin odłożył słuchawkę i telefonistka przerwała połączenie. Darrell z ponurą miną oddał mikrotelefon posterunkowemu, który odwiesił go na aparat umocowany do ściany aresztu.

— Robią mi kawał — wyjaśnił Grant.

— Wcale to nie brzmiało jak kawał. — Posterunkowy założył jego ręce za plecy i skuł je kajdankami.

— Popelnia pan cholerny błąd. Pracuję dla tych chłopaków.

— Doprawdy? I kazali ci przyjechać aż tutaj, żeby ukraść fotel inwalidzki panny Brillstein?

Gliniarz odstawił Darrella do celi i poinformował, że ktoś z biura wyznaczającego adwokata z urzędu wpadnie później, aby omówić sprawę obrony.

Darrell Grant znalazł sobie miejsce na stalowej pryczy między dwoma śpiącymi pijaczkami.

— Da mi pan znać, kiedy Merkin zadzwoni — zwrócił się do funkcjonariusza.

— Niech ci się to przyśni.

— Pracuję dla urzędu szeryfa w hrabstwie Broward!

— Dawno, dawno temu — rzucił gliniarz znikając.

Nieszczęśliwy Darrell Grant siedział, kiwając się na pryczy, zgrzytając zębami trzonowymi, drapiąc się i postukując stopą. Czy Merkin blefuje, czy rzeczywiście go odstawili? A co gorsza, czy rzeczywiście przekazali kartę jego karalności adwokatowi Erin? Darrell nie chciał uwierzyć, że detektywi mogliby się okazać takimi skurwysynami. Musiał wrócić do Lauderdale i przekonać się, co i jak. A tymczasem potrzebował czegoś, co oczyściłoby mu mózg i uspokoiło nerwy. Zapytał współwięźniów, gdzie można trafić trochę prochów. Nie byli szczególnie pomocni.

Bysiowaty rudzielec z dwoma wytatuowanymi kobrami podszedł do niego.

— Hej, plażowy chłopczyku. Czy to prawda, że ukradłeś fotel inwalidzki kalece?

— Nie wiedziałem, że jest kaleką — odparł Darrell. — Myślałem, że jest tylko stara.

Dom Rencistów Palm Lake — wybrał go starannie, biorąc pod uwagę, że wciąż był zamroczony po walnięciu go przez dziwkę...

Samo południe. I fajna filipińska pielęgniarka wioząca pannę Elaine Brillstein podjazdem w stronę mikrobusu. Siostra paplała, popychając pannę Brillstein, która mrużyła oczy przed światłem słonecznym, przytrzymując mocno na kolanach kosmaty biały sweter. — *Przepraszam panie.* — Kto to? — zapytała panna Brillstein, mrużąc oczy jeszcze silniej. — *Przepraszam, czy mógłbym pomóc?* — No cóż, owszem — oświadczyła panna Brillstein. — *Dziękuję bardzo.* — *Przytrzymam drzwi.* — *Proszę wziąć mój sweter.* — *Zaraz, już pani służę.* — O, cóż za miły młody człowiek.

Natychmiast gdy panna Brillstein znalazła się w mikrobusie, a pielęgniarka, wsunięta do środka, zmagająca się z pasem bezpieczeństwa starszej pani, Darrell Grant porwał fotel inwalidzki i rzucił się do ucieczki. Dwie przecznice dalej odblokowała się dźwignia hamulca i Darrell przeokoziółkował przed samym wejściem do szkoły. A na środkowym pasie stał czarno-biały radiowóz, zmuszając wyścigowców do zmniejszania prędkości. Grant po prostu nie mógł uwierzyć w swoje kurewskie szczęście.

— Gliniarze powiedzieli, że ta staruszka ma polio — odezwał się rudzielec z wężami na rękach.

Darrellowi zdawało się, że oczy ma obolałe i opuchnięte. Straszliwie chciało mu się spać.

— Myślałem, że ta choroba już nie istnieje — odrzekł. Bysio zbliżył się jeszcze bardziej.

— Moja ciocia ma polio.

— Tak? — burknął Darrell. — Czy nazywa się Brillstein?

— Nie.

— W takim razie zajmij się własnymi pieprzonymi sprawami. — Bez swoich prochów Grant był wściekły na cały świat.

Rudy pokręcił głową.

— Założę się, że dobrze byś wyglądał na wózku inwalidzkim.

— Ale nie tak dobrze jak ty — warknął Darrell — z półmetrowym oślim fiutem w tyłku.

Później, gdy się obudził w szpitalu hrabstwa i zobaczył, że nie zadali sobie trudu, aby przykuć go do noszy, Darrell Grant pogratulował sobie wymyślenia tak odważnego i błyskotliwego planu.

W południowej Florydzie zniknięcie prawnika rzadko kiedy było informacją na pierwsze strony gazet. Zdarzało się jednak dosyć często, zazwyczaj zbiegając się z kradzieżą pieniędzy klienta. Mężczyzna z Izby Adwokackiej Stanu Floryda, opisując ten scenariusz Beverly, używał określenia „przywłaszczenie”.

— Ile? — zapytała sekretarka.

— W przybliżeniu osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

— Nie ma mowy — odparła. — Nie mogę w to uwierzyć.

— W takim razie co według pani się stało? Gdzie jest?

— Może go porwano. — Beverly powiedziała mu, że pewnej nocy kancelarię Mordecaia splądrowali włamywacze — skradziono nawet rolodexa! Facet z Izby Adwokackiej zainteresował się, czy zawiadomiła policję. Beverly przyznała, że nie zrobiła tego.

— Ponieważ obawiała się pani — stwierdził kontroler — że poszlaki wskazałyby na samego Mordecaia.

— Ciągle miałam nadzieję, że się pojawi.

Mężczyzna z Izby był współczujący, ale zarazem stanowczy.

— Konto funduszu powierniczego zostało zlikwidowane na jego bezpośrednie polecenie. Fundusze przetransferowano z kraju trzy dni temu.

— Tak — potwierdziła ponuro. — Dzwoniono z banku.

Facet z Izby Adwokackiej siedział za biurkiem Mordecaia, za postawioną na blacie otwartą dyplomatką. Kancelaria była zamknięta — chwilowo, jak głosiła informacja na drzwiach. Beverly nie zdradzała szczególnego optymizmu. Odbieranie wszystkich wściekłych telefonów pozostawiła automatowi zgłoszeniowemu. Kontroler zapytał:

— Czy zna pani najczęstszy powód pozbawienia prawa do wykonywania zawodu adwokackiego na Florydzie?

— Niemoralne postęпки?

— Blisko, ale nie. Zdefraudowanie funduszków klienta. Niektórzy adwokaci po prostu nie mogą się powstrzymać.

Beverly siedziała w krześle z wysokim oparciem, w którym Mordecai zazwyczaj sadził swoich klientów. Zgodziła się na to, ponieważ była ciekawa, co Izba wie na temat miejsca pobytu jej szefa.

— Czy miał wielu klientów w podeszłym wieku? — dociekał mężczyzna.

— Niestety, nie — odparła. — A dlaczego pan pyta?

— To część metody postępowania. Starsi klienci zazwyczaj dość konserwatywnie podchodzą do swoich pieniędzy. Składają je gdzieś i nie ruszają. Czasami przez wiele lat.

— Na przykład na konto funduszu powierniczego ich adwokata — stwierdziła Beverly.

Gość z Izby Adwokackiej skinął głową.

— A przez ten czas saldo rośnie. Niektórzy prawnicy podbierają pieniądze, nazywając to pożyczaniem. Niekiedy nawet starają się je zwrócić. Inni po prostu pakują je do swojej kieszeni.

Sekretarka nieszczególnie lubiła Mordecai a i nie miała złudzeń co do prawości jego charakteru. Nigdy jednak nie uważała go za kogoś, kto może zwać z pieniędzmi klienta. Sprawiał na niej wrażenie raczej drobnego krętacza i faceta, który chodzi na skróty. Defraudacja jej zdaniem przekraczała jego ambicje.

Przedstawiciel Izby mówił dalej:

— Któż wie, co jest takim impulsem. Finansowe trudności, hazard, potajemny romans. Co doprowadza nas do oczywistego zapytania...

— Nie byliśmy ze sobą związani — przerwała mu stanowczo Beverly. — Niech pan choć trochę uwierzy w mój gust.

— Wygląd o niczym nie świadczy. Nawet fizycznie... — przybysz szukał odpowiedniego słowa — nieatrakcyjny mężczyzna może być obdarzony pewnym urokiem.

— Ale nie Mordecai — zaprotestowała Beverly. — Proszę mi wierzyć.

— A jakie żywił uczucia do swojej kuzynki?

Sekretarka spojrzała ze zdziwieniem.

— Jaka kuzynka? Joyce?

— Tak. Sądzimy, że są razem. Czy kiedykolwiek wspominał o swoim z nią związku?

— Joyce i Mordecai! — Sama myśl była tak perwersyjna, że Beverly nieomal miała nadzieję, iż jest prawdziwa. Joyce była chciwą małpą, zawsze polującą na duży łup. Może uwiodła Mordecaia do tego stopnia, że dał się namówić na szwindel. Żaden mężczyzna nie jest odporny na uwodzenie, a Mordecai, który nie umawiał się z nikim od lat, był szczególnie podatny. Beverly wyobraziła sobie oboje kuzynów splecionych w uścisku i wzdrygnęła się.

Reprezentant Izby Adwokackiej kontynuował:

— Narzeczony Joyce nie jest za bardzo przekonany do tej teorii, ale muszę stwierdzić, że zdarzają się dziwniejsze rzeczy.

— Może to nie był romans — zasugerowała sekretarka — lecz zwykła umowa handlowa.

Jej rozmówca złożył ręce na piersi.

— I po co byłaby mu potrzebna kuzynka? Sam miał dostęp do konta funduszu. Nie potrzebował współpracownicy.

— Nie, sądzę, że nie.

— W wielu wypadkach takiego nagłego zniknięcia adwokat zabiera ze sobą kobietę. Często jest nią jego sekretarka.

— No cóż, ja wciąż jestem tutaj — odparła kwaśno Beverly. — I jest mi winien pensję za dwa tygodnie.

— Mogło być gorzej. Mogła pani być jedną z klientek.

— Czy właśnie klient pana wezwał? — Przybycie kontrolera do kancelarii zdziwiło Beverly. Izba Adwokacka Florydy nie słynęła z szybkich i agresywnych działań przeciwko swoim zbłąkanym członkom.

Mężczyzna rzekł:

— Dostaliśmy informację. Tylko tyle mogę powiedzieć. — Wręczył jej służbową kartę wizytową z numerem w Orlando. — Jeżeli otrzyma pani od niego wiadomość, proszę namówić go do jak najszybszego powrotu i zwrotu pieniędzy. Im dłużej będzie nieobecny, tym bardziej sytuacja będzie się pogarszać.

Beverly czuła się opuszczona jak nigdy dotąd.

— Jak mam tłumaczyć powód zamknięcia kancelarii? Jaką notatkę umieścić na drzwiach?

Przedstawiciel Izby Adwokackiej zamknął dyplomatkę i zdecydowanym ruchem zatrzasnął mosiężne zamki.

— Zalecamy „Śmierć w rodzinie”. Większość klientów nie domaga się wtedy szczegółów.

Przeszli z sali do biura Orly'ego — Orly, Al Garcia, Shad i Erin. Angela została w garderobie pod opieką jednej z całkowicie ubranych Monik.

Garcia przyciskał Orly'ego:

— Muszę wiedzieć więcej na temat tych telefonów.

— Ja również — dodała Erin.



— Jakiś facet, nie wiem, kto. — Orly siorbał doktora Peppera. — Pytał o pewnego klienta...

— Jerry'ego Killiana.

— Tak i co z tego? Była bójka na scenie i ten Killian znajdował się na widowni. Facet zadzwonił i powiedziałem mu, co chciał...

— Skąd znał pan nazwisko Killiana?

— Pokwitowania z kart kredytowych — wyjaśnił właściciel lokalu. — W każdym razie facet, który dzwonił, żądał, żebym dał mu znać, jak ten klient pokaże się znowu.

— Dlaczego się pan zgodził? — spytał sierżant.

— Bo muszę pamiętać o swojej licencji, a facet twierdził, że może mi narobić kłopotów. Mówił, że pracuje dla kongresmana. No i... kilka nocy później Killian faktycznie się pojawił. Tym razem był na zewnątrz, kręcił się koło samochodu Erin. Pamiętasz?

Shad i Erin kiwnęli jednocześnie głowami.

— Rozumiesz pan — ciągnął Orly. — Nie mogę pozwolić, żeby klienci nagabywali moje tancerki. Gość przy telefonie zapewnił, że dopilnuje, aby się to nie powtórzyło. I wszystko. Koniec historii. Nie słyszałem o nim aż do dzisiaj.

Garcia trzymał w ręce notes, ale nie pisał zbyt wiele.

— Dlaczego nie chce mi pan zdradzić nazwiska tego człowieka?

— Pan niczego nie rozumie. Taki jest charakter moich interesów. Nie życzę sobie żadnych numerów. Muszę myśleć o swojej licencji.

Erin poinformowała go, że Killian został zamordowany.

— Kurwa! — Orly wciągnął głęboko powietrze i spojrział na detektywa. — To dlatego pan tu jest?

— Ależ z pana bystrzak. A teraz podaj mi pan to cholerne nazwisko.

Orly sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

— Może powinienem porozumieć się z moim prawnikiem. Może powinien pan przyjść jutro.

— Jeżeli będę musiał przyjść jutro — oznajmił Garcia — przyjdę z facetami z wydziału wyszynku. Kapujesz pan? Zamkniemy interes na cztery spusty, *chico*.

— Pieprz się pan! — Właściciel lokalu był zmęczony i przez to lekkomyślny.

Poruszył się Shad.

— Panie Orly, niech pan lepiej posłucha. To żadne wciskanie kitu.

Al postukał długopisem w kolano.

— Rzecz w tym, że życie Erin jest w niebezpieczeństwie. Poradziłem jej, aby wyjechała z miasta, lecz zaszyły pewne komplikacje.

Nowy sędzia zabronił Erin wywozić Angie z Florydy.

— Dopóki muszę tu tkwić, równie dobrze mogę pracować — oświadczyła. — Zwłaszcza że jestem bez grosza.

Zdziwienie Orly'ego jeszcze bardziej się pogłębiło.

— Kto chciałby cię zabić? Oczywiście, oprócz twojego byłego.

Ktoś zastukał gwałtownie do drzwi. Zanim Orly zdążył odpowiedzieć, do środka wpadła Sabrina. Miała na sobie cienki podkoszulek i różowy dół bikini. Była upačkana żółtą mazią, w której Erin z przygnębieniem rozpoznała kukurydżę z masłem. W platynowej peruce, którą dziewczyna ścisnęła w ręce, wciąż tkwiły pojedyncze ziarenka.

— Nie mogę tego robić! — zawołała.

— Później — przerwał jej Orly. — Mamy zebranie.

— Ale napchało mi się do nosa...

— Powiedziałem: później.

Tancerka wybiegła i zapadła chwila ciszy. Wreszcie Orly rzekł:

— Erin jest z nich najlepsza.

— A więc nie chciałby pan, żeby coś jej się stało — stwierdził Garcia.

— Jasne, że nie chciałbym.

Erin oznajmiła, że czuje się głęboko wzruszona. Jej szef podrapał się w rękę.

— No i twoja dziewczynka. To ma znaczenie.

— Cóż za serdeczność — zauważył sierżant.

— Facet nazywa się Moldowsky. I nie każ mi pan przeliterować. Melvin albo jakoś podobnie.

— Doskonale. Czego chciał dzisiaj? — drążył Garcia.

Orly wskazał kciukiem na Erin.

— Pytał o nią. Jaka jest. Czy ma problemy z narkotykami. Czy ma przyjaciela.

Erin poczuła ukłucie lęku. Nigdy nie słyszała o tym człowieku.

— Następną sprawą — dodał Orly. — Wie o dziecku. Wie, że ma kłopoty z byłym mężem. Ten facet wie bardzo dużo.

— Wspomniał Angie? — Głos Erin się załamał. Pochyliła się do przodu, zaciskając pięści. — I co mu pan powiedział?

— Ni cholery — zapewnił. — Przysięgam. — Spojrzenie dziewczyny przeszywało go na wylot. Orly ze złością machnął ręką w stronę Shada. — Shad, czy nie tak to załatwiłem?

Bramkarz potwierdził wersję szefa:

— Byłem, kiedy ten dupek zadzwonił. Pan Orly nie powiedział mu ni cholery.

— W porządku — odetchnęła Erin z ulgą. — Przepraszam.

— To gruba ryba — wyjaśnił Orly. — Rzucił kilka nazwisk, żeby zwrócić moją uwagę. W przeciwnym razie kazałbym mu się odpięprzyć. — Zmrużonymi świńskimi oczkami popatrzył na Garcia. — Utracę licencję i będzie cholerna rozróżba. Rzecz w tym, że muszę się opowiadać poważnym ludziom.

— Niech się pan nie martwi, panie Orly. Zgodzi się pan współpracować i wszystko będzie przecudownie.

— Współpracować? — Właściciel lokalu powtórzył przeciągle. — Słodki Jezu Wszechmogący, czego pan jeszcze żąda? Przecież podałem to cholerne nazwisko.

— Owszem, podał pan — przytaknął sierżant. — Gdyby jeszcze do kompletu znalazł się numer telefonu...

Orly zrobił zniecierpliwioną minę człowieka, który ma coś lepszego do roboty.

— Tak, Moldowski zostawił numer. Jest gdzieś tutaj. — Zaczął bez zapału grzebać w papierach na biurku.

— Doskonale. Chciałbym, żeby pan do niego zadzwonił — oświadczył detektyw.

Orly zmarszczył brwi.

— Po cholere? Nie zamierzam do nikogo telefonować.

— Daj pan spokój — uciął Garcia. — Znajdźmy ten numer.

Shad mrugnął do Erin, jakby chciał powiedzieć: zapowiadają się wesołe momenty.

Garcia pozostał w klubie aż do jego zamknięcia. Czekał na parkingu, dopóki Erin nie wyszła z Angie. Próbował zaprzyjaźnić się z dziewczynką, ale mała była zmęczona i rozkapryszona. Wsiadła do samochodu i położyła się na tylnym siedzeniu. Al stwierdził, że to cholernie nie w porządku trzymać dziecko w klubie.

— Przykro mi, że masz zastrzeżenia — odparła Erin. Nie była w

nastroju do wysłuchiwania wykładu o wychowaniu. — Wszystkie dziewczyny za nią przepadają. A poza tym, żeby nie widziała, w jaki sposób jej śliczna mamusia zarabia na życie, nie wolno jej wchodzić do sali.

— Spokojnie — rzekł sierżant. — Nie mówię nic o atmosferze. Chodzi mi o bezpieczeństwo małej.

Kiedy Erin wsiadała do samochodu, przytrzymał jej drzwi. Zapuściła silnik i przegazowała go hałaśliwie.

— Dopóki Darrell jest w pobliżu, chcę, żeby przez cały czas była blisko mnie — oznajmiła.

— Mamusiu, czy możemy już jechać do domu? — rozległo się z tylnego siedzenia.

— Pomyśl o tym — mówił szeptem Garcia. — Gdyby ktoś miał jakieś zamiary wobec ciebie, gdzie przede wszystkim by przyszedł? Prosto tutaj. Założmy, że gówno trafi w wentylator... Chciałabyś, żeby dzieciak akurat spał sobie w garderobie?

— Doskonale — odparła Erin. — W takim razie znajdź mi przedszkole otwarte o trzeciej w nocy. — Wrzuciła bieg. — A ponadto czego mam się bać? Ty i Shad będziecie nas bronić.

Ruszyła szybko, piszcząc oponami na zakręcie. Dziecinada, pomyślała, ale również cudowne lekarstwo. Jechała ostro całą drogę do domu.

Kiedy dwadzieścia minut później Al podjechał pod jej dom, Erin i Angela ciągle jeszcze siedziały w samochodzie. Twarz kobiety patrzącej w stronę mieszkania była napięta. Gdy podszedł do samochodu, zobaczył mały rewolwer leżący pod przednią szybą. Dziewczynka tkwiła z tyłu jak porcelanowa lalka.

Poleciał Erin, żeby schowała broń. Wskazała na okno na drugim piętrze mówiąc:

— W sypialni pali się światło.

— Nie zostawiłaś go?

— Na pewno — oznajmiła z przekonaniem. Wychodząc do pracy, wszystko wyłączała. Przyzwyczaiła się do tego już dawno — rachunki za elektryczność były mordercze.

Obserwowali okno czekając, czy nie pojawi się w nim jakiś cień. Nic jednak nie poruszało się za zaciągniętymi do połowy zasłonami.

— Daj mi klucz — polecił Garcia.

— Pewnie drzwi są otwarte.

— I broń.

Erin podała mu klucze i trzydziestkę dwójkę.

— Zabezpieczony — powiedziała.

— Dziękuję. Gdyby coś się stało, naciśnij klakson.

Drzwi wejściowe były zamknięte. Detektyw otworzył je cicho i wszedł do środka. Przez długą, niekończącą się chwilę nic się nie działo. Można było odnieść wrażenie, że Ala Garcię połknął mrok. Erin wpatrywała się w okna i nasłuchiwała, czy nie rozlegnie się stłumiony wystrzał, ale do jej uszu dobiegał jedynie cichy oddech Angeli. W końcu w pozostałych oknach po kolei zaczęły zapalać się światła, gdy sierżant przechodził z jednego pokoju do drugiego. Wreszcie pojawił się w drzwiach i dał Erin znak, że może przyjść.

W mieszkaniu wszystko wyglądało zwyczajnie. Garcia towarzyszył jej i Angeli, gdy przechodziły przez kuchnię, salonik i wchodziły na górę do sypialni. Chyba niczego nie brakowało.

A więc jednak się myliłam, pomyślała Erin. Zostawiłam cholerne światło włączone.

— To wszystkie twoje rzeczy? — zapytał sierżant.

— Angela i ja podróżujemy z minimalnym bagażem. — Fakt, że w jej sypialni przebywał detektyw, sprawiał na niej dziwne wrażenie. Spostrzegła, że Al się uśmiecha, patrząc na rozwieszony plakatów muzyków rockowych.

— Oszczędzam na van Gogha — zażartowała.

— Ale mnie się podoba.

Angie pobiegła w głąb korytarza i wróciła z rysunkiem.

— Sama go namalowałam — oświadczyła, wciskając mu kartkę.

— Ładny pies.

— Nie, to wilk. Cioci Rity. — Dziewczynka przesunęła palcem po rysunku. — Widzisz kudłaty ogon? A tutaj, pod drzewem, są wilcze szczeniaczki.

— Słusznie — przytaknął detektyw. — Wilki.

Erin wyjęła mu rysunek z rąk.

— Rodzina Darrella. Muszę wziąć aspirynę.

Łazienka była ostatnim miejscem, w którym spodziewała się odnaleźć ślady intruza. Początkowo niczego nie zauważyła. Wyjęła z apteczki flakonik advisów i połknęła trzy pastylki. Stojąc przy umywalce i patrząc w lustro poczuła jednak, że coś jest nie na swoim miejscu. Odwróciła się i zobaczyła, co ją niepokoiło.

— Boże! — Czują, jak po karku przebiega jej zimny dreszcz.

Garcia wszedł do łazienki i Erin poprosiła go, żeby popatrzył na odsuniętą zasłonę prysznicza.

— Nigdy jej tak nie zostawiasz?

— Nigdy — potwierdziła.

Angie przecisnęła się między nogami dorosłych i wyjaśniła:

— Z powodu pleśni.

— Słusznie — przytaknęła matka. — Kiedy zostawia się ją taką ściśniętą, łatwo pleśnieje.

Sierzant się uśmiechnął.

— Codziennie uczę się czegoś nowego.

Erin dała córeczce szklankę mleka czekoladowego i położyła ją do łóżka. A potem razem z Alem sprawdzili apteczkę, szuflady bielizniarki, toaletkę. Niczego nie brakowało, nic nie było nawet przesunięte, ale Erin miała pewność, że ktoś tu był.

W jej mieszkaniu.

Nie Darrell Grant. Gdyby się tu znalazł, nie wyszedłby bez pozostawienia śladów. Jego ego nie zniosłoby anonimowego włamania. Nie, Darrell, zmasakrowałby coś, co było jej osobistą własnością, i zostawił na widoku.

Usiadła na krawędzi wanny i przesunęła palcami po zasłonie, jakby w poszukiwaniu poszlak.

— Niesamowite — stwierdził Garcia. — Na pewno nie była to robota przeciętnego włamywacza.

— Nie stać mnie na spakowanie się i przeprowadzkę. Po prostu nie stać.

Detektyw oparł się o umywalkę. Marzył o zapaleniu cygara.

— Ciekaw jestem, czego szukał — rzekł.

Erin odparła, że jest zbyt zmęczona, by sprawdzać.

— Jeszcze jedna próba — zaproponował sierżant. — Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Może się powiedzie. Wymień po kolei, co robiłaś przed pójściem do pracy.

— Daj spokój.

— Mówię poważnie. Wstając rano, każdy postępuje w ustalony sposób. Powiedz mi, co ty robisz.

— Chyba moją najważniejszą czynnością jest płukanie zębów.

— Nie ma sprawy. Przypomnij sobie krok po kroku.

Erin ustąpiła. Była za bardzo zmęczona, by się upierać.

— No cóż. Najpierw wzięłam prysznic, uczesałam się, ogoliłam nogi. Potem poprawiłam paznokcie... Poczekaj... — Spojrzała na framugę okna, na której trzymała przybory toaletowe.

— Boże, to obrzydliwe. Teraz już wiem, czego brakuje. — Wstała, dygocąc całą. — Angela nie może tu zostać — oświadczyła. — Nawet przez jedną noc!

Al Garcia objął ją opiekuńczym gestem.

— Powiedz mi, co zabrali.

— Nie uwierzysz — szepnęła Erin. — Sama w to nie wierzę.

## 21.

Kongresman leżał płasko na łóżku. Miał na głowie czarny kowbojski kapelusz, na nogach buty z zielonej jaszczurczej skóry, a w pasie owinięty był białym ręcznikiem. Chirurgiczna blizna na mostku pulsowała w ultrafioletowym świetle jak dżdżownica.

— Co ty wyprawiasz? — spytał Erb Crandall.

— Stworzyłem sobie nastrój. — David Dilbeck otworzył oczy. — Masz, czego chciałem?

— Tak, mam. Gdzie jest żona?

— W Etiopii, dzięki UNICEF-owi. A potem Paryż i być może Mediolan. Podobają ci się czarne światła?

— Przywołują wspomnienia.

— Pierre znalazł je w sklepie w Grove. Pokaż mi, co , zdobyłeś, Erb.

Crandall przeszedł ostrożnie przez czerwoną poświatę.

— Jezu, coś ty zrobił? — jęknął.

Za pomocą chusteczek kongresman przywiązał jedną rękę i obie stopy do słupków łóżka. Nad cholewkami butów jego blada skóra lśniła niczym powleczone werniksem.

— Wazelina — wyjaśnił. — Najpierw rozgrzałem ją w kuchence mikrofalowej — najlepiej nastawić na temperaturę sosów. — Pełna obrzydzenia mina Erba skłoniła Dilbecka do dodania: — Wszystko przez to, że nie pozwalasz mi wyjść i się zabawić.

— Davidzie — poprosił Crandall. — Powiedz mi, że piłeś.



— Ani kropelki, przyjacielu.

A więc zwariował, pomyślał Erb. Coraz bardziej z górką. Zastanawiał się, jak by zareagował przewodniczący Partii Demokratycznej stanu Floryda, widząc obecnie swojego starszego kongresmana.

Dilbeck wyciągnął wolną rękę.

— No, daj. Czekiałem całą noc.

Crandall upuścił na jego otwartą dłoń przedmiot skradziony z mieszkania striptizerki. Kongresman wiał się na łóżku, oglądając uważnie zakazany skarb — różową jednorazową maszynkę do golenia.

— Czy jest autentyczna?

— Z jej własnej łazienki — odparł drętwo Crandall.

Polityk obrócił maszynkę między palcami i z podnieceniem w głosie zauważył:

— Założę się, że korzystała z niej dziś rano.

— Nie wiem.

— Widzę malutkie włoski!

— Uważaj, Davey. — Przy jego pechu ten głupi dupek poderżnię sobie żyły na przegubach.

Pierś Dilbecka unosiła się i opadała gwałtownie.

— Erb, czy lubisz Gartha Brooksa?

— A kto to taki?

Kongresman uśmiechnął się z rozmarzeniem.

— Buty mam pełne wazeliny.

No cóż, pomyślał Crandall. Dostyc już tego. Wyjął z kieszeni jeden z instrumentów włamywacza — maleńki śrubokręt — i przycisnął jego ostrze do karku Dilbecka. Ten zrobił zdziwioną minę, ale się nie przestraszył.

Sekretarz nacisnął mocniej mówiąc:

— Wyświadczam nam obu ogromną przysługę.

— Erb, proszę. Przecież to niewinna zabawa.

— Jesteś chorym pętakiem.

— Natychmiast przestań! — zażądał Dilbeck.

— Nie dlatego zająłem się polityką, Davidzie, żeby bawić się w alfonsa i kraść dla takiego perwersyjnego starego fiuta jak ty. Może nie uwierzysz, ale kiedyś miałem ideały.

Crandalla ponosiła romantyczna iluzja. Był nie tyle człowiekiem

kierującym się ideałami, ile działającym pod wpływem instynktu. Do polityki przyciągnął go słodki zapach szansy. Reakcja na Watergate zagwarantowała demokratom ogromne zwycięstwo i dlatego Crandall zainwestował swoją lojalność w tę właśnie partię. Nie była to sprawa wyboru między dobrem i złem, lecz między wygraną a przegraną. Od czasu do czasu Erb Crandall zastanawiał się, czy ta decyzja była słuszna, ale jeszcze nigdy dotąd nie wystawiano jej na tak wielką próbę.

— Wiesz co? — powiedział do leżącego, związanego kongresmana. — Nawet ten dupek Nixon nie wykręciłby takiego numeru.

— Może byłby lepszym prezydentem, gdyby spróbował. — Dilbeck uniósł swoje srebrzyste brwi. — Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

Zniechęcony Erb odłożył śrubokręt.

— Dobry chłopiec — pochwalił go Dilbeck.

— Za godzinę przychodzi Moldy. Gdybym cię zabił, nie miałbym czasu na posprzątanie bałaganu.

Kongresman oglądał maszynkę do golenia pod różnymi kątami, jak bezcenny klejnot.

— Jak ma na imię?

— Erin — rzekł sekretarz.

— Piękne. Zapewne irlandzkie. Erin jaka?

— Mniejsza z tym.

— Daj spokój, Erb. Nie będę próbował jej odnaleźć, obiecuję.

Crandall podszedł do drzwi.

— Muszę się napić. Między nami mówiąc, wyglądasz w absolutnie porąbany sposób.

Dilbeck nie zwrócił uwagi na jego słowa.

— Erb, wyświadcz mi jeszcze jedną małą przysługę.

— Niech zgadnę. Chcesz, żebym przywiązał ci drugą rękę do łóżka.

David Dilbeck zachichotał.

— Lepiej nie!

— W takim razie co?

Kongresman pomachał w powietrzu różową maszynką.

— Ogot mnie, Erb. Ogot mnie całego!

Crandall z pełną obrzydzenia miną wymaszerował z pokoju.

David Lane Dilbeck był jedynym synem Chucka „Słomki” Dilbecka, niegdyś najwybitniejszego asenizatora opróżniającego szamba w hrabstwach Dade, Broward i Monroe. We wczesnych latach rozkwitu południowej Florydy, zanim wybudowano kanalizację, niemal każda rodzina miała wkopany na podwórzu zbiornik szamba. Te masywne, przyplaszczone zbiorniki stanowiły zasadniczy element każdego gospodarstwa domowego, a zarazem źródło częstych, pełnych niepokoju szeptów. Wylanie szamba było koszmarem każdego mieszkającego na wsi mężczyzny, toteż obawiano się go w takim samym stopniu jak huraganu czy ataku serca. Czyszczenie zatorów było paskudną robotą i tylko niewielu zahartowanych przedsiębiorców startowało w tej konkurencji.

Nazwisko Dilbecka było powszechnie znane w interesie usuwania nieczystości i jego sława trwała nawet wówczas, gdy większość zbiorników szamb południowej Florydy zdążyła już doszczętnie przerdzieć. Młody David nie poświęcił ani jednego dnia na pompowanie szamb (twierdził, że dostaje od tego wysypki), ale szybko docenił fakt posiadania słynnego ojca. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, w wieku dwudziestu czterech lat, oznajmił śmiało, że będzie kandydował do rady miejskiej Hialeah. Wielu obywateli miasta było dawnymi klientami Chucka Dilbecka i z radością poparło ambitne zamiary jego syna. W razie kryzysów szambowych szybkie działanie było najistotniejszym czynnikiem i w związku z tym należało koniecznie dbać o przychylność „Słomki”. Setki miejscowych właścicieli szamb z entuzjazmem przyłączyło się więc do pierwszej kampanii politycznej młodego Davida. Wygrał ją bez problemów.

Nawet jak na standardy Florydy Hialeah było — i pozostało — skandalicznie skorumpowanym miastem. Najłatwiejszy sposób zarobkowania członków rady miejskiej polegał na przyznawaniu lokalizacji w zamian za gotówkę, nieruchomości i inne atrakcyjne drobiazgi. David Dilbeck miał szczęście, że znalazł się w Hialeah w najbardziej kokosowym okresie, kiedy wciąż jeszcze było wystarczająco dużo ziemi do przydzielenia i wybrukowania. Spędził cztery owocne kadencje na słuchaniu, uczeniu się i pomyślnym unikaniu oskarżenia. Doszedł do doskonałości w negocjowaniu łapówek i utrzymał tę umiejętność, kiedy przeniósł się do Tallahassee jako młodszy członek senatu stanowego.

Atmosfera w stolicy Florydy była inna, a tempo życia szybsze. Korupcja stanowiła zajęcie towarzyskie o bogatych tradycjach, odpowiednio wyższe były też stawki. Aby nie wzbudzać zbytniego zainteresowania wścibskich reporterów, członkowie legislatury starali się nie dać przyłapać na jawnym sprzyjaniu przedstawicielom grup nacisków. David Dilbeck ciężko pracował, żeby nabrać ogłady. Nauczył się ubierać, mówić i pić jak dżentelmen. Senat pełen był prymitywnych samouków, w większości bezczelnie skorumpowanych. Ale przyjętych zasad przestrzegano z żelazną konsekwencją i nowicjusz, który nie zwracał uwagi na protokół, drogo płacił za swą nierozwagę. Dilbeck szybko się przystosował i wkrótce pobierał nauki u boku najwybitniejszych złodziei. Nagrody przychodziły do niego w zwykły sposób.

Właśnie w Tallahassee po raz pierwszy dowiedział się, że na niektóre kobiety szczególnie podniecająco działają politycy i dlatego chętnie z nimi sypiają. Dilbeck zdobywał tę przyjemną wiedzę stopniowo i z każdym nowym podbojem zajęcie to coraz bardziej go wciągało. Zawsze spodziewał się, że służba publiczna uczyni go bogatym, ale nigdy nie marzył, że tak urozmaici jego życie seksualne. Przez osiem lat nurzał się w rozpuście i wreszcie — zgodnie ze wzniosłą tradycją Południa — ożenił się ze wspaniałą półdziewiczą córką magnata fosfatowego, która rzadko zgadzała się z nim spać. Pamela Randle Dilbeck bardziej interesowała się modą i wydarzeniami towarzyskimi. Mąż zachęcał ją więc do częstych podróży.

W połowie lat siedemdziesiątych kariera Dilbecka uległa zahamowaniu w korytarzach władzy stanowej, gdzie „popęnił” dwa akty prawne. Żaden z nich nie był jakimś szczególnym kamieniem milowym prawodawstwa. Jedna ustawa zakazywała sprzedaży nieletnim w soboty — w sklepach sportowych — magazynków do broni maszynowej. Uchwalono ją minimalną większością głosów, ponieważ Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie stawiało zażarty opór. Poza tym osiągnięciem Dilbecka była wspólna rezolucja uznająca karłowatą salamandrę Okaloosa za oficjalne ziemnowodne stworzenie stanu Floryda. Dzięki temu zmotoryzowanym członkom społeczeństwa udostępniono za trzydzieści sześć dolarów plus podatek tablicę rejestracyjną ze znaczkiem owej salamandry. Znaczek ten zaprojektował za wydatkowane z funduszy ogólnych czterdzieści tysięcy dolarów energiczny instruktor sztuk plastycznych z Uniwersytetu Stanowego

Florydy, przypadkiem pieprzący również w czwartkowe popołudnia pewnego senatora.

Wielki przełom w karierze Dilbecka nastąpił wraz ze zgonem w wieku osiemdziesięciu dwóch lat kongresmana Wade'a L. Sheetsa z South Miami. Czcigodny stary demokratą był śmiertelnie chory przez większą część trzech kadencji, toteż rzadko widywano go na Kapitolu. Osoby zbliżone do Sheetsa ze smutkiem informowały, że jego liczne problemy ze zdrowiem pogłębiła szybko postępująca demencja starcza. Pod koniec kongresman stanowczo odmawiał noszenia spodni i żądał, aby zwracano się do niego „kapitanie Lindbergh”. Kiedy Sheets zmarł, kilku miejscowych polityków stanęło w dołkach do biegu po jego miejsce w Izbie Reprezentantów. Wśród mających nadzieję znajdował się również David Lane Dilbeck.

Na pogrzebie Sheetsa wygłosił on zaskakująco piękną mowę, która wywołała pełen wzruszenia śmiech i łzy licznie zgromadzonych żałobników. Emocjonalny charakter wystąpienia był tym bardziej zaskakujący, gdy wzięło się pod uwagę, że Dilbeck spotkał Wade'a Sheetsa zaledwie dwa razy w życiu i w obu wypadkach chory kongresman był chyba nieprzytomny. Wspaniały panegiryk Dilbecka (napisany przez młodego, energicznego pracownika o nazwisku Crandall) pełnymi garściami czerpał z dawnych wystąpień Johna F. Kennedy'ego, który z kolei równie pełnymi garściami czerpał od kogoś innego. Nikt w pogrążonym w ciszy kościele nie spostrzegł plagiatu. Inni kandydaci na miejsce zmarłego Sheetsa również wygłosili mowy, ale żadna z nich nie była tak wzruszająca i zapadająca w pamięć. Wiedzieli, że przegrali, gdy wszystkie stacje telewizyjne rozpoczęły dziennik od fragmentu filmu przedstawiającego Davida Dilbecka na podium. Ta jedna ckliwa przemowa zapewniła mu sukcesę po W. L. Sheetsie. Bezsprzecznie Dilbeck okazał się gwiazdą tego pogrzebu.

Był podekscytowany podróżą aż do Waszyngtonu — im dalej znajdzie się od swoich wyborców, tym trudniej im będzie go kontrolować. Tam ponownie zmodyfikował swoje złodziejskie metody tak, aby odpowiadały miejscowym zwyczajom. Na Kapitolu łapówki typu „forsa w torbie” zdarzały się rzadko. Grupy szczególnych interesów działały w bardziej subtelny i wyrafinowany sposób. Przychylny kongresman mógł otrzymać w zamian za decydujący głos cztery miejsca w łóżu na mecz Redskinsów. Takie sposoby załatwiania spraw były

praktycznie niemożliwe do wysłedzenia, a tym bardziej do zaskarżenia. Szybka metoda zdobycia serca polityka były także ogromne datki na kampanię wyborczą. Dlatego właśnie Davida Dilbecka uwiodło potężne lobby cukrowe. Inne gałęzie przemysłu też się przekonały, że kongresman jest w równym stopniu podatny na przejawy ich zainteresowania. Przez dwa dziesięciolecia był więc zadowolony ze swojej funkcji dobrze opłacanego lokaja. Przetrwiał kilka ostrych ataków republikanów i liczne niekorzystne artykuły w prasie i zawsze udawało mu się wygrać reelekcję. Ci, którzy posiadli na własność duszę Dilbecka, siedzieli cicho, ponieważ dobrze im służył. Tak więc nigdy nie groził mu żaden skandal.

Aż do tej chwili.

— Dobry wieczór, diakonie.

— Cześć, Malcolmie. — Kongresman w obecności - Moldowsky'ego czuł się onieśmielony. Z Erbem Crandallem dawał sobie radę, ale Moldy był kimś zupełnie innym. Jego lojalność nie przekraczała granic wytyczonych przez punkty kontraktu.

— Gdzie masz swój strój kowbojski? — zapytał Moldy.

— A więc Erb ci powiedział — Dilbeck zamienił buty i kapelusz kowbojski na brązowy dres do joggingu. Stał z niedbałą miną w swoim prywatnym gabinecie, popijając mrożoną herbatę.

— Erb jest zaniepokojony — oświadczył Moldowsky. — Szczerze mówiąc, ja też.

Jak zawsze, kongresman podziwiał elegancję Moldy'ego, który miał na sobie wspaniałe włoski garnitur gołębiego koloru i krawat w kolorze indygo. Jego dzisiejsza woda kolońska była szczególnie godna zapamiętania — pachniał niczym gaj pomarańczowy.

— Davidzie — rzekł, spacerując po pokoju. — Doszły mnie pogłoski o wazelinie.

— Próbuję sobie poradzić...

— ...a także o strzępkach z pralni. Czy to możliwe? — Mina Moldy'ego wskazywała, że ma zamiar splunąć na dywan.

— Malcolmie, chciałbym wytłumaczyć. Wzbierają we mnie siły, zwierzęce popędy... I po prostu muszę stawić czoło...

— Siadaj — warknął Moldowsky. Przy swoim jamnikowatym wzroście nie cierpiał patrzeć w górę na człowieka, którego mieszał z błotem. — Siadaj, do cholery!

Dilbeck zrobił, jak mu kazano. Malcolm J. Moldowsky wolnym krokiem przemierzał gabinet, co chwila zatrzymując się, by popatrzeć ponuro na wiszące na ścianie fotografie i oprawione wycinki prasowe. Nie odwracając się do Dilbecka, rzucił:

— Erb znalazł w twoim biurku damski pantofel. Skąd go wzięłeś?

— Chris go dla mnie kupił.

— Od tej striptizerki?

— Tak, Malcolmie. — Polityk wypił łyk herbaty. — Te drobiazgi pomagają mi przetrwać. To niewinna zabawa.

Moldy poczuł przyływ rozpacz. Szaleństwo było jedyną rzeczą, której nie potrafił załatwić, zmanipulować, przeinaczyć czy zaciemnić. A David Dilbeck był niezaprzeczalnym świrem.

— Co Erb zrobił z pantoflem? — zaniepokoił się kongresman. — Nie wyrzucił go, prawda?

Nie do wiary, pomyślał Moldowsky. Facet zachowuje się jak jakiś cholerny épun.

— Chętnie zataszczyłbym twoją dupę z powrotem do Waszyngtonu i zamknął w moim mieszkaniu do chwili głosowania nad ustawą cukrową. Niestety, mamy na karku kampanię wyborczą. Byłoby niezbyt korzystne, gdybyś zniknął — oznajmił.

— Tak sędzę — przytaknął z roztargnieniem Dilbeck.

— Davidzie, czy rozumiesz, jaka jest stawka?

— Oczywiście.

— A gdybym tak sprowadził ci kobietę, żeby była tylko do twojej dyspozycji... kiedy wpadasz w jeden ze swoich nastrojów. Może nawet dwie kobiety...

Kongresman podziękował mu za propozycję, twierdząc, że nie rozwiąże to jego problemów.

— Miłość mnie pochłoneła — poinformował.

— Miłość?! — Moldowsky roześmiał się sarkastycznie.

— To przerażające, Malcolmie. Czy nigdy nie żywiłeś do nikogo głębokiego uczucia?

— Nigdy — odparł zgodnie z prawdą Moldy. Trzymał się callgirls. Mówiły jego językiem.

— Nie martw się, wszystko będzie w porządku — zapewnił go Dilbeck. — Wspaniale uporam się z tym do wyborów. — Postawił szklankę na poręczu fotela. — Erb powiedział, że Flickman chce przeprowadzić debatę. Jestem gotów.

— Machnij ręką na tego dupka — poradził Moldowsky.

Eloy Flickman był pechowym przeciwnikiem Dilbecka w wyścigu do Kongresu. W normalnych okolicznościach debata mogła okazać się korzystna, ponieważ pod względem zapatrywań Flickman znajdował się nieco na prawo od Huna Attyli. W czasie swojej kampanii wyborczej obiecywał: telewizyjne transmisje egzekucji na handlarzach narkotyków, bezpłatną sterylizację matek pobierających zasiłki z opieki społecznej i wojskową inwazję Stanów Zjednoczonych na Kubę. Nawet stanowe władze GOP\* traktowały go z dystansem, zapewniając krzykliwemu sprzedawcy urządzeń technicznych jedynie nominalne poparcie.

\* Grand Old Party — Wielka Stara Partia, czyli Partia Republikańska (przyp. tłum.)

Dilbeck oświadczył:

— Mógłbym go zniszczyć, Malcolmie.

— Po co zawracać sobie głowę? Sam siebie niszczy.

— Martwię się jego kubańskimi propozycjami. Są wystarczająco zwariowane, żeby chwycić.

— Żadnej debaty! — postanowił zdecydowanie Moldowsky. Przestał chodzić i stanął przed samym nosem Dilbecka. — Davey, mamy pilniejszą sprawę — tę cholerną striptizerkę, w której tak się zadurzyłeś.

Kongresman schylił głowę.

— Cóż mogę powiedzieć? Już nie potrafię panować nad swoimi impulsami.

W snutyh przez Malcolma Moldowsky'ego wielkich wizjach przyszłości David Dilbeck nie figurował. W dniu, w którym ustawa cukrowa wyjdzie z komitetu, będzie skończony. Denat. Moldy i rodzina Rojo pozbawią go stanowiska przewodniczącego. Pozostali kongresmani będą uszczęśliwieni, mogąc przejąć jego szczególną rolę. Z całą pewnością żaden z nich nie był tak zdecydowanie psychiczny. A na okres przejściowy Moldy opracował inny plan. Kryło się w nim pewne ryzyko.



— Chcę ci zrobić propozycję — zwrócił się do Dilbecka. — Najpierw jednak musisz mi coś obiecać. Żadnego kolekcjonowania strzępków z pralni, maszynek do golenia czy jej cholernych pantofli. Rozumiesz?

— W porządku. Ale co w zamian? — odezwał się sceptycznym tonem kongresman.

— Randka.

Dilbeck wstał powoli, a jego oczy otwierały się coraz szerzej.

— Boże, mówisz poważnie?

— Jej szef zadzwonił do mnie dziś wieczorem. Powiedział, że dziewczyna może się zgodzić, jeżeli cena będzie odpowiednia.

— Kiedy? — Głos Dilbecka zadrżał. — Teraz, zaraz?!

Nie do wiary, pomyślał Moldowsky. Chyba zaraz zmoczy spodnie.

— Zawiąż sobie na supelek — poradził kongresmanowi.

— Wspomniałeś o randce.

— Dopracowuję szczegóły.

Dilbeck nie interesował się, jakie są układy między Moldym, a właścicielem baru striptizowego. Trzymał rozmówcę za ramiona.

— Jeżeli uda cię się zorganizować spotkanie, to jak Boga kocham...

Moldowsky strącił jego rękę.

— Wtedy będziesz się przyzwicie zachowywał do wyborów? Skończysz z tymi porąbanymi pomysłami?

— Przysięgam na grób ojca, Malcolmie.

— Bardzo śmieszne.

„Słomka” — bajerant do końca — kazał się pochować w wyłożonym jedwabiem zbiorniku szamba. Moldowsky pomyślał: Jego zwiariowany syn mógłby okazać chociaż taką klasę.

Dilbeck wytarł spocone dłonie o kolana.

— Malcolmie, czy rozmawiamy o zwykłej randce, czy innego rodzaju?

— Interesuje cię, czy będziesz mógł przelecieć tę dziewczynę? A, to już jest sprawa między wami. Do cholery, nie mogę zajmować się wszystkim...

— Masz rację, masz rację...

— Nie mogę ci go postawić i wsadzić za ciebie. Niektóre rzeczy musisz robić sam.

Kongresman był cały w skowronkach.

— Przyjacielu, nie wyobrażasz sobie, co to dla mnie znaczy. — Uniósł szklankę w toaście. — Za następny strzał w dziesiątkę, Malcolmie.

— Powiedz raczej: cud — poprawił go Moldy. — Pieprzony cud.

— Twoja specjalność!

— O tak — mruknął Moldowsky.

Kongresman David Dilbeck nie miał pojęcia o drastycznych krokach, które zostały już poczynione, aby ocalić jego bezwartościową skórę.

W latach siedemdziesiątych niegdyś oszłamiające rafy podwodne koło Miami i Fort Lauderdale obumarły, zatrute ściekami zrzuconymi prosto do oceanów z toalet eleganckich nabrzeżnych hoteli. Podwodne rury odprowadzały brudy na odległość kilkuset metrów od brzegu, dzięki czemu plażowicze nie widzieli tryskających z nich brązowych pióropuszy. Uważano, że nawet najbardziej zagorzały turysta mógłby mieć pewne opory przed nurkowaniem w potokach gówna.

Dziesięciolecia odkładania się śmierdzących osadów ostatecznie zabiły delikatne korale i odstraszały lśniące ryby. Rafy stały się szarymi, pozbawionymi życia bryłami o zdecydowanie nietropikalnym charakterze. Szyprowie łódek spacerowych i właściciele sklepów ze sprzętem do nurkowania skarżyli się, że ich klienci uciekają na Floryda Keys i Bahamy, gdzie woda wciąż jeszcze jest na tyle czysta, że można w niej dostrzec własną rękę, jeżeli trzyma się ją blisko. Kilka rad miejskich położonych na wybrzeżu miejscowości południowej Florydy podjęło nieśmiałe działania, chcąc zmniejszyć poziom zanieczyszczenia morskiego środowiska naturalnego, ale rafy się nie zregenerowały. Uśmiercone korale mają zwyczaj pozostawać martwe.

Biolodzy wysunęli teorię, że można zwabić ryby, nawet jeżeli nie ma już prawdziwych raf, i w ten właśnie sposób zrodziła się koncepcja „sztucznych raf”, które nie były ani tak egzotyczne, ani nie stanowiły produktu nowoczesnej techniki, jak można by sądzić z ich nazwy. Tworzono je, zatapiając stare statki. Spoczawszy na dnie, statki-widma przyciągały stada drobnych rybek, które z kolei zwabiały barakudy, chropiki, rekiny, graniki i lucjany. Właściciele łodzi i

instruktorzy nurkowania byli szczęśliwi, ponieważ nie musieli już płynąć czterdziestu mil, aby pokazać klientowi prawdziwą rybę.

Z punktu widzenia prasy program tworzenia sztucznych raf był wielkim sukcesem — powstał bowiem swego rodzaju żywy skład złomu w głębinach. Teraz usuwanie odpadów można było ze spokojnym sumieniem przedstawiać jako czynność pożyteczną dla środowiska. Co kilka miesięcy kolejny stary frachtowiec odnotowywano na pewną odległość od brzegu i wysadzano go dynamitem. Lokalne stacje telewizyjne rzucały się na tę okazję, ponieważ dzięki niej miały szansę wykorzystania swoich kosztownych śmigłowców w innych celach niż tylko do informowania o ruchu na drogach. Zgodnie z przewidywaniami te opisywane na wszystkie strony wysadzania stały się regularną atrakcją turystyczną południowej Florydy, obserwowaną przez setki widzów na łodziach, którzy wybuchali dzikim entuzjazmem, w chwili gdy przerdzewiały statki eksplodowały i znikwały pod falami.

Rankiem drugiego października wyholowano z Port Everglades na wybrane miejsce niedaleko Fort Lauderdale trzydziestometrowy gwatemalski bananowiec o nazwie „Princess Pia”. Statek dokładnie wypatroszono. Zniknęły zatarte dwa silniki wysokoprężne, przerdzewiały wyposażenie nawigacyjne, aparatura radiowa, pompy zęzowe, liny, węże pożarnicze, rury, armatura, pokrywy luków, osłona wiatrowa, nawet kotwica. Z jednostki zabrano wszystkie przedstawiające jakąkolwiek wartość przedmioty. Pozostał jedynie goły kadłub, odłuszczone, aby zminimalizować fioletową plamę, która na pewno powstałaby w chwili zatonięcia statku.

Przygotowania zajęły prawie miesiąc, a nadzór nad nimi sprawował inspektor ze straży przybrzeżnej, specjalista do spraw ochrony środowiska hrabstwa Broward, oraz agent ze Służby Celnej Stanów Zjednoczonych, która skonfiskowała jednostkę czternaście miesięcy wcześniej. Gdy przedstawiciel Służby Celnej przekonał się ostatecznie, że „Princess Pia” nie ma już żadnych schowków ani też dodatkowego ukrytego ładunku haszyszu, podpisał protokół. Inspektor ze straży przybrzeżnej i specjalista do spraw ochrony środowiska obezli tę kupę złomu po raz ostatni wieczorem pierwszego października. Później obydwaj mężczyźni zeznali pod przysięgą, że nie licząc ładunków wybuchowych, „Princess Pia” była owej nocy pusta — a zwłaszcza jej ładownia rufowa.

Firma, która podjęła się zniszczenia statku, umieściła na jego pokładzie strażnika, który miał zapobiec kradzieży dynamitu. Strażnik pełnił skrupulatnie służbę mniej więcej do trzeciej w nocy, kiedy to grupa przyjaźnie usposobionych dokerów zaprosiła go na pokład japońskiej barki do przewozu drewna na karty i pornograficzne filmy wideo. Ogólnie rzecz biorąc, „Princess Pia” pozostawała bez dozoru przynajmniej przez trzy, a być może nawet przez pięć godzin. Zeznania w tym względzie się różniły.

Co do dalszego przebiegu wydarzeń, różnic zdań nie było. O świcie dwie motorówki patrolu morskiego i kuter straży przybrzeżnej popłynęły przodem i ustawiły się między armadą gapiów a nafaszerowanym dynamitem frachtowcem. Miejsce nowej sztucznej rafy wybrano w odległości trzech mil od brzegu, ale doprowadzenie tam „Princess Pia” zabrało całą godzinę. Na oceanie była ostra, krótka fala i przy północno-wschodnim wietrze osiągającym prędkość dwudziestu węzłów kapitan holownika płynął powoli, zachowując ostrożność.

O dziewiątej rano statek umocowano na miejscu, dziobem pod wiatr. Motorówki policyjne oczyszczały strefę bezpieczeństwa, zataczając coraz szersze łuki, i dokładnie o dziesiątej sygnał radiowy zdetonował dwa ładunki wybuchowe — na dziobie i na rufie. Z obu końców trysnęły wysokie kolumny brudnego dymu i „Pia” dramatycznie przechyliła się na sterburtę. Zatonęła w ciągu dziewięciu minut. Gapie klaskali, wrzeszczeli i wyli syrenami.

Nikt nie podejrzewał, że do pokładników ładowni rufowej był umocowany łańcuchami lincoln continental z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Nikt też na razie nie wiedział, co znajdowało się w jego wnętrzu.

## 22.

Ring zapaśniczy znajdował się w tylnej sali, gdzie była również scena i niewielki barek w kształcie podkowy. Erin tańczyła na stolikach, podczas gdy Urbana Sprawł zmagала się w trzystu czterdziestu litrach kukurydzy Green Giant z uczestnikami wieczoru kawalerskiego. Gościem honorowym wieczoru był młody bankier specjalizujący się w pożyczkach pod zastaw nieruchomości. Towarzyszyło mu wielu wyblakłych i całkowicie pozbawionych kondycji kolegów. Nie mieli najmniejszych szans w potyczkach z Urbana, która walczyła ostro i do maksimum wykorzystywała swój fantastyczny biust. Wspecjalizowała się w obezwładnianiu przeciwników bez użycia rąk.

Erin wciąż nie mogła zrozumieć popularności zapaśniczych zawodów topless, stanowiących największą atrakcję co lepszych knajp ze striptizem. Nie było niczego erotycznego w kotłowaniu z gołą do pasa kobietą w kadzi pełnej zimnych warzyw, chociaż świadomość tego faktu docierała do większości klientów wraz z uczuciem wilgoci i zdecydowanie zbyt późno. W chwili gdy zadzwonił dzwonek, niewielu było w stanie opuścić ring o własnych siłach. Młodzi bankierzy wydawali się szczególnie wykończeni po rundach z Urbana Sprawł.

Przechodząc od stolika do stolika, Erin właściwie nie zwracała uwagi na komiczny pogrom na ringu zapaśniczym. Myślała o polityce, która nagle w dramatyczny sposób wtargnęła w jej życie. Dziewczyna nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była w kabinie

do głosowania. Kampanie wyborcze nudziły ją. Każdy polityk uśmiechał się takim samym kretyńskim uśmiechem i wygłaszał takie same kretyńskie przemówienia. Erin była zdziwiona, że ktokolwiek może uwierzyć w chociaż jedno ich słowo. Przypomniała sobie, że gdy próbowała obejrzeć telewizyjną debatę między Bushem a Dukakisem, dostała gwałtownych skurczów żołądka.

Agent Cleary, niech Bóg ma go w swojej opiece, często strofował ją za zbyt cynizm. W dniu wyborów pouczył swój personel, że demokracja jest bezskuteczna bez „świadomego i aktywnego elektoratu”. Stwierdził, że ludzie mają taki rząd, na jaki zasługują, i ci, którzy nie głosują, nie powinni się skarżyć. Słusznie, pomyślała Erin. I dostałam za swoje, bo nie zwracałam uwagi. Złodzieje tacy jak David Lane Dilbeck nie zostaliby wybrani nawet na stanowisko hycła, gdyby nie ogólna apatia społeczeństwa.

A teraz przyszła kara, dumiała dalej. Muszę umówić się z tym dupkiem.

Al Garcia przedstawił sytuację na swój doprowadzający do szału lakoniczny sposób. Erin, którą rzadko kiedy szokował zakres ludzkiej nikczemności, była oszołomiona tym, co usłyszała — Jerry Killian zginął z powodu c u k r u . Małego zakochanego palanta zabito, ponieważ zagroził karierze skorumpowanego kongresmana. Według Garcii główny wkład Dilbecka w rządzenie państwem polegał na przeznaczaniu bilionów dolarów na zapomogę dla karteli cukrowych. Biedny Pan Oczko stał się niebezpieczny dla tego układu, sprzątnięto go więc niczym muchę.

Sierżant oświadczył, że chce złapać zabójców, zanim zaczną szukać Erin. Uważała, że to wspaniały pomysł, i zgodziła się pomagać mu w każdy możliwy sposób. Instynkt samozachowawczy stał się najważniejszym motywem jej działania, drugim — poczucie winy. Erin nie mogła zapomnieć, że właśnie jej erotyczny taniec spowodował fatalne opętanie Jerry'ego Killiana.

Mężczyźni są tacy bezradni, myślała, tak łatwo ich oczarować. Monique Jr miała rację — zrobią wszystko za „to”. Wszystko.

Tego właśnie nie potrafiła zrozumieć matka Erin. W klubach striptizowych dla yuppiesów właściwie nie kobiety były wykorzystywane i poniżane, ale mężczyźni. Jej matka uważała, że tego rodzaju miejsca są targiem mięsa, i rzeczywiście, z tą tylko różnicą, że mięsem byli klienci. Doświadczone tancerki zawsze jednym okiem

obserwowały drzwi wejściowe, oczekując na następny znak. Jeżeli dziewczyna znalazła się na swojej robocie, mogła pracować nad facetem przez całą noc i wyciągnąć mu z portfela ostatniego dolara. Nie musiała obciążać mu druta, pieprzyć się z nim czy nawet udawać, że gotowa byłaby to zrobić. Wystarczył dziewczęcy uśmiech, siostrzany uścisk, kilka minut rozmowy na osobności. Urbana Sprawł twierdziła, że są to najłatwiej zarobione pieniądze na świecie — trzeba tylko zapomnieć, że jest się nago.

Ponieważ mężczyzną można zawsze oczarować. Taka jest rzeczywistość.

Erin obawiała się jednak kongresmana. Nie był wstydlivy i uprzejmy jak Killian czy inni stali klienci. O nie. Dilbeck jest natrętny, prymitywny i najprawdopodobniej rąbnięty. Al Garcia ostrzegł ją przed nim.

— Myślisz, że on ukradł moją maszynkę do golenia?

— Zapytaj go — odparł sierżant.

Największym przeżyciem dla Erin była jednak konieczność odesłania Angeli. Taką decyzję podpowiadał rozsądek, bo w żadnym wypadku dziewczynka nie mogła pozostać w nowym mieszkaniu. Na dobrą sprawę w ogóle nie mogła przebywać w pobliżu matki, dopóki nie zniknie niebezpieczeństwo. Erin straszliwie przeżywała to rozstanie. Nienawidziła ponownej samotności. Nienawidziła cichych popołudni i obiadów w pojedynkę. Ale przynajmniej Angie była teraz bezpieczna i Darrell Grant nie mógł jej odnaleźć. Mimo wszystko jednak...

— Hej, maleńka!

Na nodze Erin zacisnęła się ręka. Oprzytomniała gwałtownie i wróciła do rzeczywistości — Urbana tarzająca się w kukurydzy, ryczący z głośników Aerosmith, jej stanik i minifigi spoczywające koronkową kupką między butelkami po michelobie i jej stopami. Przy stoliku siedzieli trzej młodzi bankierzy, usiłujący sprawić wrażenie spokojnych i niewzruszonych. Najbardziej pijany z nich wciąż strzelał podwiązką Erin, za którą wkładano napiwki. Poprosiła go, żeby przestał, ale nie posłuchał. Odsunęła jego rękę od swojej nogi i zatoczyła krąg na stoliku, wykonując unik, lecz kiedy przestała się obracać, dłoń bankiera powróciła, pełznąca po jej udzie jak modliszka. Erin poszukała wzrokiem Shada, nie mogła go jednak dostrzec.

— Dosyć tego! — rzuciła.

Tym, co poczuła następnie, był język. Bankier oblizywał jej nogę od kostki po kolano długimi, wilgotnymi pociągnięciami. Erin schwyciła go za włosy i odciągnęła jego głowę. — Zachowuj się przyzwoicie — powiedziała ostro. Ale i tym razem nie posłuchał.

Tego ranka na kolumnie 6-D wydawanego w Fort Lauderdale „Sun Sentinel” pojawiła się mała notatka zatytułowana: IZBA ADWOKACKA PROWADZI ŚLEDZTWO W SPRAWIE ZAGINIONEGO ADWOKATA. Licząca cztery akapity informacja głosiła, że Izba Adwokacka stanu Floryda bada, czy prawnik nazwiskiem Mordecai ograbił konto funduszu powierniczego swojego klienta i uciekł z kraju. Z notatki wynikało, że mężczyzny nie widziano od kilku dni i przypuszcza się, iż uciekł na Bahamy z niewymienioną z nazwiska towarzyszką.

Sierżant Al Garcia wyciął notkę i dołączył do znajdującej się w teczce dokumentacji na temat zabójstw. A potem pojechał na róg ulicy w Liberty City, gdzie dwaj handlarze crackiem uczynili naszej planecie ogromną przysługę, zabijając się nawzajem w strzelaninie o świcie. Świadkowie byli równie nieliczni jak żałobnicy, lecz sierżant wyjął notes i zabrał się do roboty. Następnym człowiekiem, który wyciął informację z „Sun Sentinela”, był Erb Crandall siedzący w sali kasowej Sunshine Fidelity Saving Banks na Gait Ocean Mile. Crandall miał właśnie popełnić drobne przestępstwo w grze o wielką stawkę, polegające na sfalszowaniu nazwiska w kartotece schowków depozytowych. Poszukiwał mianowicie kolorowego diapozytywu Kodaka, pilnie potrzebnego Malcolmowi Moldowsky'emu. Był to oryginał zdjęcia przedstawiającego kongresmana Davida Lane'a Dilbecka na scenie „Żwawego Bobra”, atakującego Paula Gubera butelką po szampanie. Erb Crandall liczył, że bez kłopotu znajdzie obciążający dowód w schowku depozytowym. Złożył wyćwiczony podpis Mordecaia w kartotece i podał kluczyk urzędnikowi. Ten z kolei wyciągnął ze ściany stalowe pudło i je otworzył. Zaprowadził Erba do pozbawionego okien pomieszczenia i zostawił go samego.

Gdy Crandall podniósł pokrywę, nie zobaczył diapozytywu. Schowek depozytowy prawnika został opróżniony. Na jego dnie leżała jedynie służbowa wizytówka:



Sierż. Alberto Garcia  
Komenda Policji Hrabstwa Dade  
Wydział Zabójstw (305) 471-1900

Kiedy Crandall odnosił pudło depozytowe do biurka urzędnika, palce mu dygotały. Z najwyższym trudem powstrzymywał się, by nie uciec z banku.

Tego wieczoru przy obiedzie detektyw Al Garcia wyjął wycinki prasowe i przeczytał je powtórnie. Zaimponowało mu, że ktoś zadał sobie trud wrabiania prawnika, który najprawdopodobniej był już martwy. Kawalek o funduszu powierniczym brzmiał bardzo zgrabnie.

Andy zapytał:

— Al, czy już ich złapałeś? Facetów, którzy zabili tego człowieka w rzece?

— Jeszcze nie — odparł Garcia.

Chłopiec bez przerwy mówił o pływaku. Było to najważniejsze wydarzenie rodzinnych wakacji.

— Jacyś podejrzani?

— Nie, Andy. Bardzo trudna sprawa.

— Macie natychmiast skończyć ten temat — poleciła Donna. — Pamiętaj o naszej umowie.

Głosiła ona: żadnych rozmów o umarlakach podczas jedzenia. O pracy Ala można było rozmawiać dopiero po sprzątnięciu talerzy.

— Przepraszam, mamusi — powiedział Andy.

Lynne, dziewczynka, zapytała, czy w następne lato będą mogli pojechać do Sea World. Chciała zobaczyć żółwie i rekiny. Jej brat stwierdził, że wolałby raczej wrócić do Montany i poszukać jakichś śladów.

Donna przepędziła dzieci od stołu i przyniosła mężowi imbryk z herbatą.

— No i zobacz, w co cię wplątałem — rzekł.

— W porządku. Ona sprawia miłe wrażenie.

— Oczywiście, że jest sympatyczną osobą. Następne pytanie brzmi: Dlaczego pracuje w barze ze striptizem? Zgadza się?

Żona wzruszyła ramionami.

— Żadna tajemnica. Weź kawalek ciasta.

Garcia był zaintrygowany.

— Czy mogłabyś robić coś takiego? Zdejmować ubranie przed tymi wszystkimi obcymi pijakami?

— Gdybym musiała — padła odpowiedź. — Dla dzieciaków.

— Jezu, przecież jest milion innych zajęć. Ta dziewczyna nie jest głupia. Potrafi pisać na maszynie siedemdziesiąt słów na minutę.

— Wspominałeś, że ma dług u adwokata.

— Tak — przyznał sierżant. — Ale kto nie ma?

— A więc może chce zrobić majątek. Czy to przestępstwo?

— Masz rację, kochanie.

— Lubię ją.

— Ja też — przyznał. — Chociaż przez tę właśnie pracę wpakowała się w takie cholerne kłopoty.

— Nie kochanie, to przez facetów. — Donna ukroiła kawałek szarlotki i położyła go na talerzu. — A więc jak ona wygląda, Al?

— Widziałas ją. — Żeby podrażnić żonę, milczał przez długą chwilę. — Aa, chodzi ci o to, jak wygląda bez ubrania? Szczerze mówiąc, nie zwróciłem uwagi.

Donna uśmiechnęła się.

— Jesteś żalosnym łgarzem. Zjadaj deser.

Zadzwoił telefon. Donna nie potrudziła się, żeby wstać. Tylko gliniarze dzwoniли w porze obiadowej. Al poszedł do kuchni i podniósł słuchawkę. Wrócił z ponurą miną.

— To z biura szeryfa hrabstwa Broward — poinformował.

— Wciąż nie chcą tej sprawy?

— Wiedziałem, że tak będzie. — Garcia usiadł ciężko. — Cholera, nie mogę nawet namówić tego kowbojskiego koronera, aby stwierdził, że Killian był ofiarą zabójstwa. A poza tym brakuje narzędzia zbrodni, świadków i podejrzanych. — Odgryzł duży kęs ciasta. — Nie mam pretensji do biura szeryfa, że powiedziało pas. — Kolejny duży kęs. — Przynajmniej postawili sprawę jasno i nie śmiali się zbyt głośno.

— Uspokój się — poradziła Donna. — Zadławisz się na śmierć.

— Dobre ciasto.

— Nie do tego stopnia dobre. A teraz mów, co jeszcze jest nie w porządku.

— Skończyłem na zabawie w głuchy telefon z dwoma przygłupimi detektywami. Rozumiesz, eksmąż dziewczyny był TI w hrabstwie Broward. — Nie musiał tłumaczyć żonie policyjnego żargonu. Poznała go dobrze od pierwszego męża, handlarza prochami

— W dalszym ciągu jest tajnym informatorem?

— Nie — odparł Garcia, przeżuając mechanicznie. — Odstawili go, kiedy znalazł się za kratkami z powodu dużej kradzieży na wybrzeżu.

Donna pokręciła głową.

— Nie chwytam. Przecież aresztowanie byłego Erin jest chyba dla niej dobrą wiadomością, prawda?

— Och, wspaniałą — potwierdził Al, ocierając usta. — Gdyby udało im się utrzymać tego skurwysyna w pudle...

— Żartujesz?!

— Nie, rzeczywiście uciekł. Ze szpitala okręgowego! Ukradł fotel inwalidzki i wyjechał przez pieprzone drzwi!

Donna poprosiła go, żeby mówił ciszej.

— Mamy towarzystwo — przypomniała mu. — Gdzie jest twoje cygaro?

— Poczekaj, jest jeszcze coś. — Garcia machnął w powietrzu obiema rękami. — Eksmąż dziewczyny, a ojciec Angeli, jest nie tylko podstępny, nie tylko gwałtowny, ale ma pieprzony problem z narkotykami. Czy to nie dobry dowcip?

Andy wbiegł do jadalni i zapytał, dlaczego Al tak wrzeszczy.

— Praca — wyjaśniła matka. — A cóż by innego.

Chłopiec wspiął się na kolana Garcii.

— Może potrzebujesz następnych wakacji?

Donna odwróciła się, tłumiąc śmiech.

— A więc wszyscy tu są cholernymi spryciarzami — oznajmił Al, łaskocząc chłopaka, aż zaczął pisać.

Shad siedział przy barze w głównej sali. Dręczyły go problemy zarządzania.

Orly zdołał podkupić u braci Ling Lorelei, słynną pytonią księżniczkę. Dzisiaj miała po raz pierwszy wystąpić w „Intymnej Łaskotce”, ale pojawiła się rozhisteryzowana i z zapuchniętymi od płaczu oczyma. Orly nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi, więc przekazał ją Shadowi, który miał akurat przerwę i czytał wydaną dużym drukiem *Dżumę* Camusa. Książka sprawiła, że bramkarz zaczął nieco lepiej zapatrywać się na kwestię zamieszkiwania w południowej Florydzie.

Przerwał mu spazmatyczne łkania Lorelei. Jej wąż zginął

i podejrzewała o porwanie mściwych braci Ling. Gdy Shad przekazał tę wiadomość Orly'emu, właściciel polecił mu znaleźć innego węża dla nowej gwiazdy. Bramkarz zwrócił jego uwagę na fakt, że w sąsiedztwie nie ma nocnych sklepów z gadami. Niestety, Lorelei odmówiła występu bez Bubby, tak się bowiem nazywał jej trzymetrowy birmański pyton.

— Mówi, że tworzyli zespół — poinformował Shad. — Twierdzi, że wąż był tresowany.

Orly zgniótł pustą puszkę po doktorze Pepperze i cisnął ją jak granat za bar.

— Po pierwsze, nie ma czegoś takiego jak tresowany wąż, rozumiesz? A punkt B, czy widzisz pieprzony napis nad drzwiami?

Stoi tam napisane jak wół: LORELEI, a klienci przyjeżdżają aż z Miami. Powiedz jej, że ma dziesięć minut na wyniesienie swoich cyców na scenę.

Shad zerknął na korytarz, gdzie lkała skulona z rozpaczy pytonia księżniczka.

— Potrzebuje więcej niż dziesięć minut — ocenił. — Wygląda jak siedem nieszczęść.

Orly zaklął, zapamiętał szarpiąc i masując nozdrza.

— Nie znasz nikogo, kto miałby jakiego cholernego węża?

— Owszem, ale nie tak dużego — odparł Shad. — Znam paru chłopaków, którzy hodują grzechotniki.

— Jezu Chryste Wszechmogący.

— Nie za bardzo nadają się do tańca.

— Dobra — oznajmił Orly. — Wiem, co zrobisz. Pójdiesz zobaczyć się z tymi pieprzonymi Lingami. Dowiesz się, ile chcą za pytona dziewczyny.

— Nazywa się Bubba.

— Mniejsza o to. Zaproponuj pięć stów.

Shad odrzekł, że Lingowie zaproponują, aby się pieprzył i spadał.

— Nienawidzą pana jak zarazy — uświadomił szefowi.

— Ale to przecież interesy. A teraz się pośpiesz.

Bramkarz odłożył książkę Camusa za bar, pod talerzyki z prażoną kukurydzą. Następnie udał się do „Różowej Farmy”, gdzie bracia Ling kazali mu na siebie czekać godzinę — denerwujące pociągnięcie. Shad spędził ten czas, popijając „dziewicę Marię” i obserwując baletowe talenty, na wypadek gdyby Orly zażądał od niego złożenia raportu szpiegowskiego. Widok jego groźnej, łysej postaci szybko

przerzedził klientelę i dodatkowo zirytował Lingów. Shad w końcu uzyskał audiencję, ale bracia zareagowali na propozycję w sprawie pytona bardziej cholerycznie, niż się spodziewał.

Gdy wrócił, zastał „Intymną Łaskotkę” pogrążoną w dzikim zamię-  
scie. Wszystko wskazywało na to, że przyczyną zamieszania stała się  
Erin. Sanitariusze zakładali blademu i oszołomionemu młodemu  
człowiekowi kołnierz ortopedyczny. Ofiarę otaczał tuzin równie wy-  
moczkwatych towarzyszy z tkwiącymi we włosach ziarnkami kuku-  
rydzy. Z większej odległości sprawiali wrażenie, jakby zbombardowa-  
ły ich wróble. Mężczyźni zadawali pytania sanitariuszom, starając się  
przekrzyczeć łomot muzyki. Urbana Sprawł podjęła kroki zapobie-  
gawcze, wciskając swój gigantyczny biust między Erin i czerwonego  
na twarzy, szalejącego z wściekłości Orly'ego.

— Cholera — westchnął Shad i zagłębił się w chaos.

Później, w gabinecie, Orly bełkotał o odpowiedzialności sądowej,  
odszkodowaniach i licencji na wyszynk.

— Pan mnie nie słucha — powiedziała Erin. — Ten człowiek mnie  
dotknął.

Urbana Sprawł, która zdążyła już wziąć prysznic i się ubrać, po-  
parła przyjaciółkę.

— Wszystko widziałam, panie Orly. Dostał to, na co zasłużył.

Szef parsknął:

— Rzeczywiście zasłużył na przetrącenie karku? Podróż do szpi-  
tala za małe muśnięcie?

— Dotknął mnie między nogami — wyjaśniła Erin.

— Wielka sprawa. Był pijany.

Erin odwróciła się do Urbany.

— Dlatego właśnie nie cierpię tańców na stolikach.

— Mogłaś okaleczyć faceta, kopiąc go w taki sposób w głowę —  
zauważył Orly.

— A niby co miała zrobić? — zapytała Urbana. — Pozwolić mu na  
miłą, przyjacielską palcóweczkę?

Orly skrzywił się, odwracając głowę.

— Chryste, dosyć tego. Nie mówmy już o tym.

— A więc jeżeli Shad skroi klientowi dupę, wszystko jest w po-  
rządku, ale nam nie wolno? Tak wygląda sprawa?

— Powiedziałem: dosyć.

— Urbana ma rację— przyłączyła się Erin. — To niesprawiedliwe.

— Pieprzę sprawiedliwość — rzucił właściciel lokalu, nadymając policzki. — Obowiązkiem Shada jest zachowanie porządku. Wy macie tańczyć. I taka jest prawda.

Stojący w drzwiach Shad niechętnie włączył się do rozmowy.

— Wysłał mnie pan na miasto — zauważył. — W przeciwnym razie nie doszłoby do tego.

Orly roześmiał się zjadliwie.

— Cudownie. Teraz okazuje się, że wszystko jest moją winą. No cóż, pieprzę was wszystkich razem.

Urbana była wściekła. Pochyliła swój imponujący biust nad biurkiem i potrząsnęła pokrytym day-glo paznokciem przed jego twarzą.

— Nikt nie będzie mnie dotykał, jeżeli nie mam na to ochoty. Zwłaszcza mojego dołu. Nie obchodzi mnie, kim jest, jaki z niego waśniak i ile ma forsy. Nie zgadzam się i już. Ten mały dupek miał szczęście, że wykręcił się naciągniętym karkiem, bo gdybym to była ja, wyrwałabym mu jaja gołymi rękami. O tak...

Orly wytrzeszczył oczy patrząc, jak Urbana demonstruje swoją technikę obrywania wymaginowanych jąder wymaginowanemu głupolowi.

— ...i niech pan nie myśli, że bym tego nie zrobiła!

— Ta dziewczyna wyrabia złą opinię wielkim cycom — oświadczył jej szef.

— No cóż. — Erin wstała. — Skończyłam na dzisiaj.

— Chwileczkę...

— Nie. Idę odwiedzić moją córkę.

Po wyjściu dziewczyny Shad również stanął w jej obronie. Wyjaśnił Orly'emu, że Erin ma wiele powodów, by być nerwowa — sprawa opieki, włamanie do mieszkania, a teraz jeszcze uganiający się za nią kongresman.

— Przeżywa zły okres. Dlatego dzisiaj puściły jej nerwy.

Orly wytarł kark brudną chusteczką.

— Tylko ty i ja w tej knajpie nie cierpimy na psychozę maniackalną, a czasami nie jestem pewien nawet tego.

— Wszystko przez muzykę — oświadczył Shad. — Boli mnie od niej głowa.

— Pogadaj z Kevinem.  
— Kevin odsyła mnie do pana.  
— Nie odróżniam rapu od reggae. Chcesz poznać moją tajemnicę? Nawet nie słucham. — Przekręcił niewidzialną gałkę w lewym uchu. — Po prostu się wyłączam. Nie słyszę ni cholery. — Zapytał, jak poszło z Lingami.

— Paskudnie — odparł Shad.

— Nie mają węża tej dziewczyny?

— Owszem, mają. Po prostu nie wezmą okupu.

Orly uniósł dłonie.

— Dlaczego nie, do kurwy nędzy? Interes to interes.

— Przede wszystkim dlatego, że nienawidzą pana jak zarazy.

— Dlatego, że zatrudniłem Lorelei?

— Z powodu wszystkiego — wyjaśnił Shad.

— A więc odpowiedź brzmi „nie”. Zajęło ci dwie cholerne godziny, żeby wycisnąć z tych porąbanych Japońców jedno marne NIE. Tymczasem szajbnięta striptizerka traktuje moich klientów w stylu Chucka Norrisa...

— Odpowiedź brzmiała nie tylko „nie” — uściślił bramkarz. — Dostałem również coś takiego. — Położył na biurku szefa podłużną paczkę. — Bracia Ling chcieli, żebym ją panu przekazał.

Właściciel „Intymnej Łaskotki” popatrzył na niezgrabną paczkę owiniętą w serwetki „Różowej Farmy” i zabezpieczoną taśmą klejącą.

— Co to takiego, do diabła? — zapytał.

— Mniej więcej trzydzieści centymetrów martwego Bubby.

Orly pisnął i odsunął się od biurka, byle dalej od nieotwartej paczki.

— A nie mówiłem, że to zwierzaki? Mówiłem! Jezu, co jeszcze powiedzieli ci cholerni Lingowie?

— Powiedzieli, że mają tego więcej.

## 23.

Pogodnym rankiem trzeciego października Perry Crispin i Willa Oakley Crispin poszli na plażę.

Przystojna młoda para rozłożyła ręczniki zabrane z ich apartamentu w hotelu „Breakers” i wyciągnęła się na białym piasku. Po kolei wysmarowali się filtrem słonecznym 29 — Perry wypisał „Kocham Cię” na brzuszku żony, podczas gdy Willa narysowała wielkie serce na obficie pokrytym piegami grzbiecie męża.

Silny wiatr przynosił słonawy zapach i uderzał spienionymi falami o brzeg. Crispinowie zamierzali trochę popływać, ale nieco później, kiedy się spocą. Oboje mieli identyczne czarne okulary Ray-Ban i różowe tenisowe daszki przeciwsłoneczne. Uśmiechali się do siebie, szeptali i często dotykali nawzajem, jak przystało na młodożeńców. Willa i Perry pochodzili z licznych, bogatych rodzin w Connecticut i ich ślub był odpowiednio wystawny. Palm Beach stanowiło pierwszy etap ich miesiąca miodowego. Potem jechali do Freeport, St Bart's i wreszcie do Cozumel. Jaskrawe słońce stało wysoko i Crispinowie lśnili na swoich ręcznikach. Byli bezwstydnie romantyczni, całkowicie zrelaksowani i pozbawieni jakichkolwiek obaw o swoją przyszłość. Każde z nich oczekiwał okazały fundusz powierniczy.

Koło południa cudowny nosk Willi lekko się zaróżowił. Perry zaniepokoił się tym — jego ojciec miał udziały w czterech klinikach dermatologicznych i rak skóry był częstym tematem spotkań rodzinnych.



Od dawna Perry był wyczulony na przebarwione znamiona i podejrzane zmiany skórne. Oznajmił swojej nowo poślubionej, że pora schronić się przed promieniowaniem ultrafioletowym.

— Muszę się opalić — zaprotestowała.

— Kochanie, mamy jeszcze całe cztery tygodnie.

Gdy szli przez plażę w stronę hotelu, podążał za nimi szczupły blondyn w brudnych dżinsach i kowbojskich butach. Perry i Willa nie zauważyli go — byli pogrążeni w dyskusji na temat złej jakości filtrów przeciwsłonecznych i zasadności stosowania w przyszłości maści cynkowej, przynajmniej na nosy.

Mężczyzna idący za nimi powiedział:

— Przepraszam państwa.

Crispinowie się odwrócili. Nieznajomy nie był odpowiednio ubrany jak na Palm Beach. Jego niebieskie oczy były przekrwione i rozbiegane. Włosy miał z jednej strony zmierzwione, jakby dopiero co wstał z łóżka.

— Macie samochód? — zapytał.

Willa się przestraszyła. Perry popatrzył oceniająco na mężczyznę i zrobił niewielki krok do przodu. Nieznajomy wyciągnął zardzewiały nóż do steków i ostrzegł:

— Nie mam zamiaru pytać po raz drugi.

Crispinowie zaprowadzili Darrella Granta do swojego wynajętego samochodu — czerwonego thunderbirda. Darrell oświadczył, że pochwała wybór. Zabrał Perry'emu kluczyki i polecił młodej parze usiąść z tyłu.

— Po co? — zapytała Willa.

— Dopóki nie przejedziemy przez most — wyjaśnił Grant.

Intercoastal Waterway oddziela miasto Palm Beach od West Palm Beach. Trudno znaleźć dwa bardziej różniące się od siebie światy. West Palm jest dla normalnych ludzi, Palm Beach — dla ekscentrycznych bogaczy. Gliniarze na wyspie znani są z tego, że błyskawicznie wykopują niepożądanych gości — czarnych, Latynosów i w ogóle każdego, kto nie ma na sobie koszulki polo. Jeżeli pracujesz w którejś z rezydencji, w porządku. W przeciwnym razie zabieraj bracie dupę na drugi koniec mostu. Darrell Grant doszedł do wniosku, że Crispinowie mogą mu pomóc w przedostaniu się obok nadzorującego ruch gliniarza z Palm Beach.

— Masz torebkę? — zwrócił się do Willi.

Młodożeńcy schwycili się za ręce. Perry z ulgą stwierdził, że żona zostawiła swoją obrączkę z dwukaratowym brylantem w hotelu. Miał nadzieję, że to samo zrobiła z czekami podróżnymi.

— Halo?? — zawołał Darrell.

— Tak, mam torebkę.

— Grzeczna dziewczynka.

— Ale w niej tylko czterdzieści dolarów.

Grant parsknął.

— A ty, stary?

— Tylko karty kredytowe — odparł Perry.

— Jasne. — Darrell przejechał na czerwonym świetle przez Worth Avenue. Odpowiadał mu sposób, w jaki prowadziło się thunderbirda. — W porządku, kochanie, dawaj gotówkę. I swoje lekarstwa.

Willa sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Mąż wskazał na jej torebkę. Wyjęła dwie dwudziestki i nerwowym gestem, zupełnie jakby karmiła niedźwiedzia w zoo, podała je nad zagłówek.

— Nie mam żadnych pigułek — oświadczyła. — Tylko antykoncepcyjne.

— Mogą być. — Schwycił pieniądze, puszczając kierownicę. W drugiej ręce trzymał nóż, przesuwał jego zardzewiałym ostrzem po szczecinie zarastającej szczękę.

— Przykro mi, ale nie może mi pan zabrać tych pigułek — zaprotestowała Willa.

— Nie może być? — Darrell był szczerze rozbawiony.

— Rozchoruje się pan — tłumaczyła. — Nie są przeznaczone dla mężczyzn.

— Zachoruję?

— Są z hormonów!

— O kurwa! — roześmiał się Grant. — Może więc wyrosną mi cy-cuszki. Czy o to ci chodzi? A może nawet cipka.

— Nie. Nie o to chodzi...

— No to bądź grzeczną dziewczynką i daj mi te pieprzone pigułki. — Ramię Darrella opadło i wbiło zardzewiały nóż w białą tapicerkę. Ostrze z sykiem rozcięło sztywne winylowe pokrycie.

— Willa, daj temu człowiekowi, czego chce — polecił Perry.

— Nie.

— O Boże! — jęknął jej mąż. — Nie bądź głupia.

— Doskonale, Perry. I co będziemy według ciebie robili przez następne cztery tygodnie, trzymali się za ręce? — Willa objęła torebkę obiema rękami. — Nasz farmaceuta jest w Westport, pamiętasz?

— Nie mogę w to uwierzyć — westchnął Crispin.

— Co, chcesz, żebyśmy zaszła w ciążę?

Na przednim siedzeniu Darrell Grant nucił temat z *Dźwięku muzyki*, ulubionego filmu wszystkich czasów jego siostry Rity. A może to była *Mary Poppins*. Zawsze myli te dwa filmy.

— W którym występuje Dick van Dyke? — zapytał. — Czy dobrze myślę?

Młodożeńcy nie mieli pojęcia, o czym on gada. Bredzenie ćpuna. Willa pochyliła się do przodu, aby błagać go dalej.

— Proszę, niech mi pan nie zabiera moich pigułek antykoncepcyjnych. To nasz miódowy miesiąc.

Przed nimi znajdował się jeden z mostów zwodzonych prowadzących do West Palm. Nareszcie, pomyślał Darrell, będę mógł pozbyć się tych bezmózgich szczeniaków.

— Moja siostra jest pielęgniarką — ciągnęła Willa. — Te pigułki są bardzo mocne. Na pewno się pan po nich rozchoruje.

Przed nimi bramka zaczynała się zamykać, a most podnosić. Grant zaklął i wdepnął hamulec.

— To tylko przepływa żaglówka — odezwał się słabiutkim głosem Perry Crispin. — Nie powinno długo potrwać.

Darrell odwrócił się gwałtownie w fotelu. Wyciągnął łapę w stronę Willi i rzucił krótko:

— Pigułki!

Pokręciła zdecydowanie głową. Jej mąż siedział, oszołomiony.

— Posłuchaj, głupia cipo — warknął Grant. — Nie mam najmniejszego zamiaru zreć tego świństwa, rozumiesz? Zamierzam przejechać przez most i opchnąć je jakiemuś zaćpańcowi, który nie odróżni pigułek antykoncepcyjnych od LSD. Kapujesz?

W oczach młodej kobiety pojawiły się łzy. Zamrugwała żałośnie, spoglądając na męża.

— Perry. On mnie nazwał cipą.

Perry Crispin czuł się fatalnie. Zdawał sobie sprawę, że powinien zaatakować tego zwariowanego ćpuna w obronie honoru swojej żony.

Z drugiej jednak strony obezwładniało go przerażenie. Zdawało mu się, że za chwilę jego pęcherz nie wytrzyma.

— Nie martw się — pocieszył żonę. — Zdobędziemy nowe pigułki.

— W jaki sposób? Moje recepty są w Westport. — W jej głosie zabrzmiały rozpaczliwe nutki.

— FedEx, kochanie. A teraz zrób, co ten człowiek każe.

Most zwodzony zaczął opadać — najpierw jedna strona, potem druga. Darrell oświadczył, że policzy do pięciu, a potem wytnie Willi serce i zmusi Perry'ego, żeby zjadł je na lunch. Kobieta natychmiast otworzyła torebkę i dała szaleńcowi swoje pastylki. Ten przejechał przez most i zaparkował przy Mini-Mart. Wziął okulary Ray-Ban Perry'ego Crispina i jego różowy daszek tenisowy. A potem kazał im zabierać swoje żalosalne dupski z samochodu.

Trotuar palił nagie stopy Crispinów, którzy jak kulawe flamingi w podskokach pokuśtykali do trójkątnego skrawka cienia. Darrell Grant poprawił wsteczne lustro thunderbirda, aby lepiej widzieć doskonale pasujące okulary przeciwsłoneczne. Młode małżeństwo obserwowało go ponuro, czekając, aż wreszcie sobie pojedzie. Willa w dalszym ciągu była rozgniewana.

— Bardzo ci dziękuję — zawołała jadownicie — za zepsucie nam miesiąca miodowego!

Darrell skrzywił się pogardliwie i przegazował silnik.

— Nigdy dotąd nie słyszeliście o gumkach? To nowość, kolego. Zakładasz go sobie na fiuta.

— Perry nie będzie ich używał — ton głosu Willi był pełen wyrzutu. Crispin odwrócił głowę.

— Jasne — mruknął Grant. Zanim odjechał, pomachał im na pożegnanie nożem. Dopiero po dwóch godzinach znalazł épuna tak nawalonego, że kupił pigułki antykoncepcyjne, święcie przekonany, iż są belgijskimi dilaudidsami. Darrell dostał za nie trzydzieści dolarów, co razem z czterdziestką Willi Crispin wystarczyło na zatankowanie T-birda i kupienie paru czerwonych. Był już na haju, gdy dojechał do międzystanówki, którą popędził na południe w poszukiwaniu swojej kochanej dziewczynki i jej nędznej matki.

Bracia Rojo przebywali w Santo Domingo, dzięki czemu Malcolm Moldowsky mógł otrzymać jacht do swojej dyspozycji. Erb Crandall dokładnie o dziewiątej przywiózł kongresmana i poszedł prosto do nabrzeżnego baru, żeby pić w samotności. Zdążył już przekazać złą wiadomość o schowku depozytowym adwokata. Moldy wziął wizytówkę detektywa z wydziału zabójstw dwoma palcami, delikatnie jak motyla.

— To zmienia postać rzeczy — powiedział, poruszając wizytówką tam i z powrotem, jakby podziwiał hologram. — Sądzę, że nadeszła pora na plan B. — Erb Crandall nie prosił o wyjaśnienia.

Jego zdaniem nadeszła pora, aby odrzucić lojalność partyjną i zacząć myśleć o własnej sytuacji. A także o chronieniu własnego tyłka.

Crandall był wdzięczny Moldy'emu, że nie poprosił go, aby został na jachcie.

Gdy David Dilbeck wkroczył do głównej kabiny, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była fotografia ze „Żwawego Bobra”. Moldowsky przypiął ją do ściany nad barkiem.

— Ku pamięci — wyjaśnił, nalewając politykowi drinka.

Kongresman nie mógł oderwać wzroku od twarzy Erin.

— Czy nie jest wspaniała? — Z zachwytu niemal nie mógł złapać tchu.

— Nie patrz na nią, Davidzie — rzekł Moldy. — Spójrz na siebie.

— Miałem złą noc.

— Nie może być. — Stuknął szklaneczką w brzuch Dilbecka. — Usiądź i się napij.

Kongresman zrobił, co mu kazano.

— Piwo imbirowe? To głupie, Malcolmie.

Moldowsky wspiął się na płócienny fotelik reżysera. Miał na sobie wyprasowane białe spodnie, marynarski pulower i buty na gumowej podeszwie. Była to jedna z niewielu okazji, kiedy Dilbeck widział go w sportowym ubraniu.

— Chcę, żebyś był trzeźwy — zaczął Moldy. — Chcę, żebyś zapamiętał każde cholerne słowo, które ci powiem. Nie obchodzi mnie, jak się dogadasz z dziewczyną. Ale musisz z nią porozmawiać, Davidzie. Musimy dowiedzieć się o pewnych sprawach.

— Dobry Boże, przecież ona nie jest żadnym szpiegiem. Jest tylko striptizerką...

— Sprowadź ją tutaj jutro wieczorem — polecił Moldowsky. — Tu będziesz bezpieczny.

— Bezpieczny przed czym?

— Przed szantażystami, Davidzie. — Moldy wskazał na fotografię. Wzrok kongresmana ponownie przywarł do Erin, zasłaniającej się przed butelką.

— A co będzie, jeżeli mnie nie polubi? — zapytał Dilbeck.

Moldowsky rozgryzł zębami trzonowymi kostkę lodu.

— Pokocha cię, możesz mi zaufać. Dwa tysiące dolarów potrafią kupić szczerą miłość.

— A co ja dostanę w zamian?

— Dwie godziny tańca.

— I to wszystko?

— Na początek.

Kongresman wypił łyk piwa imbirowego. Nie smakowało mu.

— Chcę sexy muzykę, szampana, świece, całe dziewięć metrów...

Moldy oświadczył, że wszystko jest już załatwione. Powtórzył całą serię pytań, które Dilbeck powinien zadać tancerce. Polityk odparł, że nie ma mowy, to by popsulo nastrój.

— Daj spokój — zaprotestował Moldowsky. — Jesteś najcwańszym sukinsynem, jakiego kiedykolwiek znałem. Bądź na luzie. Spokojny.

Dilbeck miał opory.

— Malcolmie, obawiam się, że ją spłoszę. To może być moja jedyna szansa. — Po raz kolejny jego oczy powędrowały w stronę ziarnistej fotografii. — Fantastyczna — szepnął.

Moldy zerwał się na równe nogi i ściągnął zdjęcie. Podbiegł do fotela Dilbecka i stanął przed nim z nosem na wysokości jego brody.

— Zrobisz, jak ci każę — warknął. — Musimy zdobyć pewne informacje. Sprawa jest niezmiernej wagi, Davidzie — dodał, akcentując słowo „niezmiernej”. — Zwłaszcza biorąc pod uwagę wydarzenia z ubiegłego miesiąca.

Jego oddech pachniał burbonem i miętowym płynem do płukania ust. Ta mieszanina gryzła się straszliwie z aromatem wody kolońskiej. Dilbeck odwrócił głowę i złapał haust świeżego powietrza. Jacht zakolysał się lekko na fali pozostawionej przez przepływającą motorówkę.

— Zrobisz to — powtórzył Moldy do ucha kongresmana.

— Ale nie rozumiem...

Moldowsky odwrócił się gwałtownie. Schwycił z barku szklaneczkę burbona i wypił porządny łyk. Na materiale jego kieszeni rysował się wyraźnie kształt małego prostokąta. Była to karta wizytowa detektywa z wydziału zabójstw, wyjęta ze schowka depozytowego adwokata.

— Ludzie usiłują cię skrzywdzić, Davidzie — oświadczył. — Musimy się upewnić, że do nich nie należy.

Dilbeck pokręcił głową.

— Masz paranoiczne pomysły.

— Zrób mi przyjemność.

— Ale przecież ona jest tylko striptizerką.

Moldowsky złapał go za gors koszuli.

— Fannie Fox — zauważył — też była „tylko striptizerką”. Donna Rice była tylko modelką i aktoreczką. Elisabeth Ray była tylko sekretarką, która nie potrafiła pisać na maszynie. Gennifer Flowers była tylko piosenkarką country. Jeszcze do ciebie nie dociera? Zapytaj Chucka Robba. Albo tego napalonego idiotę Harta. Czy Teddy'ego Kennedy'ego, na litość boską. Wszyscy powiedzieliby ci to samo — w polityce kradzież to kłopoty, ale dupa to śmierć.

Rozluźnił uchwyt i wyczerpany opadł na stołek barowy.

— Ci, którzy lekceważą historię — oznajmił — zasługują na obcięcie jaj.

— W porządku — ustąpił David Dilbeck. — Porozmawiam z dziewczyną.

— Dziękuję.

— Jestem sprytniejszy niż inni.

Moldowsky opanowywał się z największym trudem.

— Jestem również silniejszy — dodał kongresman.

— Tak — burknął Moldy. — Jesteś prawdziwą skałą. Istnym Gibraltarem.

Dilbeck podsunął się do baru i odstawił piwo imbirowe. Odwrócony tyłem do Moldowsky'ego, nalał sobie bardzo mocnego rumu z colą.

— Malcolmie — odezwał się. — Jak sądzisz, czy pozwoliłaby mi się ogolić?

Moldy upadł na kolana i puścił widowiskowego pawia na dywan braci Rojo.

Al Garcia usłyszał muzykę dobiegającą z mieszkania Erin. Zastukał głośno i zadzwonił. Gdy nie usłyszał odpowiedzi, wyjął klucz, który mu dała, i wszedł do środka. Dziewczyna leżała nieruchomo na łóżku z poduszką na głowie. Miała na sobie różowe figi i stanik. Wydawało mu się, że oddycha normalnie. Pół dzbanka martini wietrzało na nocnym stoliku, a stereo ryczało na pełen regulator. Garcia przykręcił aparaturę.

— Co, u licha, robisz? — rozległ się stłumiony głos Erin. Detektyw przysiadł na krawędzi łóżka.

— Musimy porozmawiać.

— Orly nie pozwala mi już tańczyć pod Jacksona Browne'a.

— Dlaczego?

— Ani van Morrisona. Twierdzi, że kawałki są za wolne i dziewczyny na stolikach się wkurzają.

— Erin, jak ci pasuje dzin?

— Po raz pierwszy nazwałeś mnie Erin. — Jej twarz wyłonila się spod poduszki. — A przy okazji, chciałabym z powrotem mój rewolwer.

— Jest w bielizniarce — odparł sierżant.

— Załadowany?

— Tak, proszę pani.

— Dobrze. Która godzina?

— Południe. — Garcia spróbował przykryć ją prześcieradłem. Erin skopała je i zaśmiała się ponuro.

— Tylko mi nie mów, że jesteś skrupowany — powiedziała.

Detektyw zaczerwienił się. Przypomniała mu, że przecież kilka razy widział ją nago w klubie.

— To co innego.

— Och? — Erin rozpięła stanik i rzuciła go w stronę Ala.

Wylądował mu na prawym ramieniu. A potem zsunęła figi i rzuciła je na podłogę. — No, proszę — oznajmiła, rozkładając ramiona.

Sierżant wbił spojrzenie w czubki butów.

— Pozwól, niech zgadnę. Jesteś zmartwiona spotkaniem z kongresmanem.

— Zmartwiona to za mało. Zdenerwowana, zde gustowana i bardzo samotna. I nie mogę mieć jedyne go, na czym mi zależy...

— Angela ma się doskonale — zapewnił Garcia. — Wkrótce już



powinnyście być razem. — Zdjął stanik z ramienia, złożył go starannie i położył na łóżku.

Dziewczyna otuliła się prześcieradłem. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

— Ubiegłej nocy jakiś facet zaczął mnie dotykać.

— Chryste.

— Odkleiłam się. Nic szczególnego.

— Zraniłaś go?

— Nie.

— No więc o co chodzi? — Detektyw wyjął cygaro z kieszonki koszuli. Włożył je do ust, lecz nie zapalił.

Erin patrzyła w sufit.

— Śnił mi się ten drugi mężczyzna na fotografii; ten, który obejmuje mnie za kolana. Śniło mi się, że jego również zabili tak jak Pana Oczko.

Garcia powiedział jej, żeby się nie martwiła.

— Nazywa się Paul Guber, jest cały i zdrow. Na kilka tygodni wyjechał do Nowego Jorku.

— Pod wpływem twojej sugestii? — Erin szturchnęła go żartobliwie palcem nogi.

— Jego firma ma biura na Wall Street. Chyba nadeszła odpowiednia pora na złożenie wizyty.

— Zatrzaszczyłeś się o wszystkich, prawda?

Detektyw z nieszczęśliwą miną pokręcił głową. Poinformował ją o komicznej ucieczce Darrella Granta z aresztu hrabstwa Martin. Przyjęła wiadomość spokojniej, niż się spodziewał. Była przecież pod znieczulającym wpływem kilku martini.

— Darrellowi — oświadczyła — zupełnie odbiło.

— Czy jest wystarczająco świrnięty, aby pokazać się w klubie?

— Możliwe — Erin przewróciła się na brzuch. — Czy mogę się ubrać?

Garcia wyszedł z pokoju, żeby zadzwonić. Gdy wrócił, dziewczyna miała na sobie biały podkoszulek i dżinsy. Stała przed lustrem i szcztokowała włosy. DzbANEK był pusty.

— Wylałam — wyjaśniła, spoglądając na niego ostro. — Nie jestem taka zalana, jak sądzisz.

Poszli do „Friday's” i zamówili cheesburgery. On wziął piwo, ona

piła kawę. Prowadzili całkowicie przyjazną rozmowę, aż do chwili kiedy detektyw zapytał, czy ma przyjaciela.

— Cholera, nie rób tego — ostrzegła.

— Czego?

— Sam wiesz.

Sierżant przeżuwał w zamyśleniu.

— Moje zainteresowanie ma czysto zawodowy charakter. Staram się sprawdzić wszystkie elementy.

— Nie próbujesz mnie podrywać?

— Nie. — Podniósł do góry prawą rękę z cheeseburgerem w dłoni. — Przysięgam na Boga.

— Na pewno?

— Na rany Chrystusa, Erin, poznam cię z moją żoną.

Przeprosiła go, robiąc głupią minę. Przez cały czas czuła się jak dziwka.

— To wcale nie znaczy, że mam taką paskudną opinię o sobie samej...

— Możesz mi wierzyć — powiedział Al. — Doskonale cię rozumiem.

— Wszystko przez tę cholerną robotę. — Była tak przyzwyczajona do tego, że robiono jej propozycje, iż automatycznie reagowała podejrzliwie na każdego mężczyznę, który tego nie czynił (stąd jej cynizm wobec płci przeciwnej). Na taką postawę Erin poważny wpływ miało małżeństwo z Darrellem Grantem.

— Odpowiedź brzmi „nie”. Nie mam przyjaciela, odparła. — Ale wiesz o tym, prawda?

— Tak myślałem.

— Pod koniec nocy nie zostaje mi zbyt wiele energii na mężczyzn. Ani chęci, jeżeli już o tym mówimy.

— Ryzyko zawodowe — stwierdził Garcia, atakując stos frytek. — Czy jest jakiś mężczyzna, któremu ufasz całkowicie?

— Nie śmieję się — rzekła — ale ufam Shadowi.

Detektyw uśmiechnął się.

— Ja też.

Po lunchu pojechali nad ocean. Erin oznajmiła, że chce postać w słońcu i wypocić dżin. Garcia zaparkował przy Bahia Mar i przeszli chodnikiem na plażę. Sierżant marzył, żeby zdjąć marynarkę i krawat, bo ludzie dziwnie na niego patrzyli.

Dziewczyna podeszła do wody, żeby zamoczyć palce stóp. Al zatrzymał się kilka metrów od fal. Zapalił cygaro i dmuchnął dymem nad prawym ramieniem, w bezpiecznej odległości i na zawietrznej od Erin.

— Uważasz, że jestem kurwą? — zapytała.

— Nie bądź śmieszna.

Cofnęła się od wody.

— Ale nie chciałbyś, żeby twoja córka robiła to co ja.

— Moja córka nie wyjedzie z domu, dopóki nie ukończy trzydziestu lat.

Erin uśmiechnęła się.

— Angie jest zafascynowana kostiumami scenicznymi mamusi.

— Kiedyś zrozumie — zauważył.

Dziewczyna przeciągnęła się. Słońce pieściło cudownie jej twarz i ramiona.

— Wmawiam sobie, że tylko tańczę.

— A ja, że jestem mistrzem zwalczania zbrodni. I co z tego?

Erin zapragnęła skoczyć do wody. Wykonała rozbieg i rzuciła się w fale. Przepłynęła pięćdziesiąt metrów i zatrzymała się. Płynąc na plecach, zamrugła, uwalniając oczy od słonej wody. Fale podwinęły jej podkoszulek, wydymając go na piersiach. Mewy unosiły się nad przybojem, krzycząc przeraźliwie. Srebrzysty cefal wyskoczył nad powierzchnię i pomknął ku głębinom. Usłyszała szum wody pod deską windsurfingową i lubieżne gwizdnięcie płynącego na niej nastolatka. Ze spokojnym uśmiechem pogroziła mu palcem.

Potem wyszła z wody. Al Garcia zaproponował jej marynarkę i Erin pomyślała: Jak można nie lubić tego faceta?

— Przypuszczam, że nie przepadasz za mokrymi podkoszulkami? — powiedziała.

— Proszę. — Zarzucił jej marynarkę na ramiona. — Bądź miła dla starego, wstydliwego pierdoły.

Na parkingu sierżant zaczął szukać w samochodzie czystego ręcznika. Erin spostrzegła lodówkę Igloo i wyraziła nadzieję, że w środku jest schłodzona szóstka piwa. Detektyw wyjaśnił, że lodówka służy do przechowywania ludzkich szczątków, a nie napojów chłodzących.

— Bee — skrzywiła się dziewczyna. Wyjęła przezroczystą torebkę z niebieskimi maskami chirurgicznymi. — Założę się, że wyglądasz w

nich bombowo. Garcia stwierdził, że bywają przydatne. Rzucił jej należący do Donny plażowy ręcznik w paski.

— Zadam ci pytanie, które bardzo chcesz zadać mnie — odezwała się Erin. — Jak, do cholery, do tego doszło?

— Do czego?

— Że zajmujesz się taką robotą. Trupy każdego dnia — nie zniósłabym tego.

— Hej, to rozwijający się przemysł — odparł. — Stan mógłby sprzedawać pieprzone akcje.

Jadąc do domu, omawiali randkę Erin z kongresmanem. Zасыpywała go pytaniami: Czy będzie sama? Jak długo ma z nim zostać? Co powinna zrobić, jeżeli znowu odbije mu palma? Niektóre odpowiedzi Garcii były bardziej pocieszające od innych.

W samochodzie zapiszczał telefon. Al rozmawiał przez niecałą minutę, a potem, marszcząc brwi, odwiesił słuchawkę.

— Obowiązki wzywają — domyśliła się Erin.

— Kuferek — mruknął Garcia. — Miami International.

— To dziewięćdziesiąt minut drogi.

— Nie ma pośpiechu. Facet leżał tam od święta Labor Day. — Wyjaśnił, że smród nie jest tak dokuczliwy, jeżeli przed otwarciem kufra maskę chirurgiczną skropi się od środka old spice'em. Dla Erin była to kwintesencja koszmaru.

Wrócili do mieszkania. Zanim weszła, poczekała przy drzwiach wejściowych, aż Al sprawdzi, czy nie ma śladów intruza. Wyszedł i oświadczył, że wszystko w porządku. Nie wspomniał jednak, że wylał do otworu ściekowego wanny jej butelkę befeatera.

Stojąc w wejściu, poprosił ją jeszcze, aby przemyślała sprawę spotkania się z Davidem Dilbeckiem sam na sam. Jeżeli postanowi zmienić decyzję, zrozumie ją. Sprawa była ryzykowna.

— Nie zmienię — oznajmiła.

— W takim razie bądź przygotowana na najgorsze. Za dwa kawałki będzie chciał czegoś więcej, niż tylko popatrzyć.

— O, z całą pewnością dostanie coś więcej niż tylko to — zapewniła. — Mam tylko jedną wątpliwość: Czy mogę wziąć ze sobą własną muzykę?

Al Garcia powiedział, że jasne, oczywiście.

## 24.

Orly zapytał Shada, skąd wziął skorpiona. Bramkarz poinformował, że kupił okazjnie na ulicy.

— Martwego czy żywego?

— Żywego.

Orly pochylił się, żeby przyjrzeć się z bliska.

— Jest chory czy co?

— Nie — odparł Shad. — Utopiłem go.

— W czym.

— W Johnniem Walkerze.

Szef roześmiał się, wciągając powietrze przez szparę między zębami.

— Z czarną czy czerwoną etykietką?

— Czerwoną — wyjaśnił Shad. Wyjął pincetą martwego skorpiona ze słoika.

— Wielki skurwiel — zauważył Orly. — Wpadłeś na pomysł, żeby wyglądało na winę firmy?

— Jasne. — Bramkarz włożył martwego skorpiona do dwustu-pięćdziesięciogramowego pojemnika z twaróżkiem. Przysypał pan-cerz i kleszcze białymi grudkami, pozostawiając jedynie sterczący kolec.

— I zapłacą ci? Myślę o firmie — dociekał Orly.

— A pan by nie zapłacił? — Shad umieścił pokrywkę na pojemniku i mocno przycisnął krawędzie. Jeszcze nie zdecydował, czy za-skarży producenta, czy ogólnokrajową sieć supermarketów, które rozprowadzały produkt.

— Czy facet, który ci sprzedał skorpiona, to ten sam, od którego kupiłeś węża?

— Nie.

— Bo Lorelei nie jest nim zachwycona.

— Słyszałem.

Shad zdołał kupić w tak krótkim czasie jedynie na wpół ślepego boa dusiciela za dwieście dolarów. Dwuipółmetrowy gad był złośliwy, niespokojny i wyjątkowo trudny do współpracy na scenie. Nawet z zaklejoną plastrem paszczą wzbudzał w tancerce lęk.

— Boi się go zakładać sobie na szyję — poinformował Orly.

— Niech więc jej pan powie, żeby nie wieszala go na szyi.

— W takim razie gdzie? Jest zupełnie goła, człowieku.

Shad wzruszył ramionami.

— Chciał pan nowego węża, no to ma go pan.

— Nasikał na nią — dodał szef.

— Słyszałem.

— A teraz ona grozi, że rzuci pracę. I wróci do „Różowej Farmy”.

— Co, u diabła, panie Orly — rzekł Shad. — Wężę sikają. — Miał uczucie, jakby obcinali mu czubek czaszki piłą łańcuchową. Umieścił twarózek w lodówce i napisał dużymi literami ostrzeżenie dla dziewczyn, żeby go nie jadły. Orly bez słowa obserwował w lustrze jego poczynania. Do garderoby weszła kulejąc Monique Jr. Złamał jej się obcas, ale Shad od ręki go przykleił. Nowo zatrudniona Danielle wpadła dokonać kosmetycznych poprawek — kiedy uniosła swoje nowe, krągłe piersi, bystrooki klient zauważył ślady cięć po ostatniej operacji plastycznej. Shad przypudrował jej blizny maybellinem.

Gdy znowu zostali sami, szef oznajmił:

— Lingowie nie wiedzą, z kim mają do czynienia.

— Przecież im powiedziałem.

— O Grubym Tonym? Nickym Scarfo?

— Dokładnie — przytaknął bramkarz. — Jakoś się nie przejęli. A skoro już o tym mowa, Gruby Tony wyciągnął kopyta. Lingowie czytali o tym w „The Herald”.

Orly oparł łokieć o toaletkę.

— Moim zdaniem Ameryka wpada w kanał. Dlaczego? Bo ci

pieprzeni cudzoziemcy nie szanują naszych narodowych instytucji — ani Detroit, ani Wall Street, ani nawet mafii.

Shadowi nie spodobał się kierunek, w którym zmierzała ich rozmowa. Za chwilę Orly poprosi go, żeby dokonał sabotażu w „Różowej Farmie”. Temat ten poruszany był już niejednokrotnie.

— Chciałbym panu pomóc — rzekł. — Ale nie mogę.

— Co w tym wielkiego?

— Po prostu nie mogę. — Wahał się, czy powiedzieć mu o swojej karalności, ponieważ komisja przyznająca prawo wyszynku niechętnym okiem patrzyła na zatrudnianie wyrokowców. — Niech pan zadzwoni do Northa — poradził. — Zatrudni pan prawdziwego mistrza zapalki. — Oczywiście telefonu nie będzie. Orly nie znał nikogo z mafii.

Właściciel klubu wziął szczotkę i zabębnił nią o toaletkę.

— Ci cholerni Lingowie — westchnął. — Nie mogę uwierzyć, że pocięli na kawałki zupełnie zdrowego węża.

Shad przyznał, że rzeczywiście załatwili sprawę zdecydowanie.

— Złamali dziewczynie serce — dodał Orly. — Hej, sprawdź, czy jest coś chłodnego do picia w lodówce.

Shad znalazł mu wodę sodową.

— Tak sobie myślę — rozrzewnił się Orly, oblizując krawędź puszki. — Pamiętasz czasy, kiedy przychodzili do nas przede wszystkim motocykliści? Gdy byliśmy „Biuściastą Pułapką” i „Pałacem Rozkoszy”? Motocykliści, dziewczyny motocyklistów, bójki motocyklistów. Wtedy wszystko działo się według zasad.

— To był kanał — ocenił Shad bez cienia żalu.

— No tak, lecz wszyscy wiedzieli, co jest grane. Striptizerki się puszczały. Klienci handlowali prochami. Każdy miał nóż albo gnata.

— Stare dobre czasy — zakpił bramkarz. — Zaraz się rozplącę.

— Rzecz w tym, że owszem, to była speluna. Był kanał. Ale był też jakiś pieprzony porządek rzeczy. — Właściciel pociągnął łyk wody sodowej, popłukał nią usta i połknął. — Wtedy nie musiałeś łamać sobie głowy takimi draniami jak Lingowie. Konkurencja? Nie było żadnej. Discjockeye. Listy nagrań. Maszyny wiatrowe. Pieprzone tresowane pytony. Zapomnij o wszystkim. Wtedy dziewczyny ni za cholerę nie umiały tańczyć i śmiałem twierdzić, że nie groziło im zatrudnienie w „Playboyu”. Pamiętasz Cienką Lizzie?

Shad nie mógł powstrzymać chichotu. Lizzie była motocyklową

tancerką o wzroście stu sześćdziesięciu dwóch centymetrów i wadze osiemdziesięciu kilogramów. Na plecach miała wytatuowany kolekcyjnerski samochód. Któż by ją zapomniał? Czerwono-niebieski dodge numer czterdzieści trzy.

— Pamiętasz? — zapytał rozpromieniony Orly. — I może obciągnęła połowę Fort Lauderdale na moim parkingu, ale ta dama nie sprawiała mi żadnych kłopotów. Żadnych. Kiedy mówiłem jej, żeby tańczyła szybko, tańczyła szybko. Jak kazałem tańczyć wolno — tańczyła wolno. To było na długo, zanim zaczęły być modne te zawody zapaśnicze, ale wiesz, co ci powiem? Gdybym kazał Lizzie uprawiać zapasy w oleju przekładniowym, nawet by nie pisnęła. Dziewczyna była zdyscyplinowana i знаła reguły gry.

Shad otworzył fiolkę z aspiryną Bayera i przeżuł pięć pastylek. Szef zaproponował mu łycezek wody sodowej, lecz on podziękował.

— A teraz spójrz, jak się zmieniły interesy — kontynuował Orly. — Dzięki twojej przyjaciółce Erin moje tancerki na dobrą sprawę stworzyły związek zawodowy. Wybierają swoje melodie, godziny pracy. Tymczasem ja przez tych wszystkich bankierów, prawników i księgowych, którzy przychodzą do mojej knajpy, płacę potrójne stawki ubezpieczeniowe. A za każdym razem, gdy wybuchą bójka, dostają prawie zawału, zastanawiając się, który yuppiesowski dupek zechce mnie teraz zaskarżyć.

— Jedno trzeba przyznać motocyklistom — stwierdził Shad. — Nie procesowali się.

— Jasne.

— Z drugiej strony zarabia pan teraz prawdziwy szmalec. Wody sprzedajemy cztery—pięć razy więcej.

Orly zgniótł puszkę i z brzękiem cisnął nią o ścianę.

— Wysokie dochody — oznajmił — to nie wszystko w życiu.

Shad również czuł się rozczarowany, lecz z innych powodów. Miał jednak dosyć zdrowego rozsądku, aby nie dzielić się swoimi najskrytszymi myślami z szefem.

— Mogłem zatrudnić się w „Taco Bell” w Orlando — wspominał Orly. — Piętnaście minut od pieprzonego Disney Worldu — nie mówiłem ci? W październiku rok temu.

— Mówił mi pan — przytaknęła bramkarz. Żona Orly'ego zaprotestowała przeciwko tej propozycji, ponieważ meksykańskie jedzenie powodowało u niej podrażnienie okrężnicy.



— Tak przypadła moja najlepsza szansa na uwolnienie się — oświadczył właściciel lokalu. — A wszystko dlatego, że Lily dostaje rozwolnienia po *fajitas*.

— I dlatego woli, żeby prowadził pan knajpę ze striptizem?

— Wiem, że to głupie, ale zupełnie jej to nie przeszkadza. — Orly zniżył głos do szeptu. — Mówiąc między nami, jestem już taki zmęczony gołymi dupami, że nie mogę tego wytrzymać. Jak Boga kocham, minęły całe lata, od kiedy miałem porządnego stojaka.

Shad przyznał, że ten rodzaj pracy wyczerpuje. Przekonał się na własnej skórze.

— Zapytam cię wprost — rzekł Orly. — Co będzie, jeżeli trafisz dużo szmalu w tym interesie ze skorpionem? Powiedzmy, że firma produkująca twarożek odpali ci kilkaset tysięcy? Chyba będę potrzebował nowego bramkarza?

— Może tak, a może nie. Dosyć pana lubię, panie Orly.

— Hej, mógłbyś nawet kupić udział w tej knajpie. Moglibyśmy zostać cholernymi partnerami!

— Szczerze mówiąc — uściślił Shad — nie lubię pana aż tak bardzo.

— Mniejsza z tym. Nie ma sprawy.

To była najdłuższa rozmowa, jaką przeprowadzili ze sobą w ciągu jedenastu lat. Orly był najwyraźniej czymś podenerwowany. Shad zapytał, co wprawiło go w taki nastrój.

— Zupełnie nic — warknął szef.

— Moldowski znowu dzwonił? W sprawie Erin.

— Na domiar wszystkiego złego, tak. — Orly zrobił ponurą minę. — Szuka zdjęcia tego napalonego kongresmana. Fotografii zrobionej tutaj, w klubie. Jestem pewien, że nic o tym nie wiesz.

— Nie. Co jeszcze?

— Zostawił wiadomość dla Erin. — Wyciągnął z wilgotnej kieszeni na piersi kawałek papieru i podał go Shadowi. — Jutro dziesiąta wieczór w Turnberry. Tam jest też nazwa jachtu.

Bramkarz z wysiłkiem próbował odczytać bazgroły Orly'ego. Pot szefa spowodował, że atrament się rozmazał.

— Sweetheart jakaś tam — powiedział. Nie podobał mu się pomysł, że Erin spotka się z Dilbeckiem na łodzi.

— Przypuszczam, że będzie się pieprzyła z tym facetem — dorzucił Orly.

— Dlaczego?  
— Przecież on jest politykiem, na litość boską!  
— A ją dobrze pan zna — zaprotestował Shad.  
— Członek Kongresu Stanów Zjednoczonych! I ty chcesz mi wmówić, że to tylko prywatny wieczorek taneczny? Chcesz mi wmówić, że nie będzie żadnego seksu?

— Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby coś takiego się zdarzyło.

Orly z mizernym skutkiem starał się ukryć rozczarowanie. Shad miał podobne kłopoty, aby nie okazać gniewu. Skierował na szefa miażdżące spojrzenie.

— Pieprzyć licencję na wyszynk — oznajmił.

Orly zeszczywniał.

— Ale ten facet trzyma mnie za jaja!

— W takim razie sam się pan z nim prześpij.

— Uspokój się, uspokój! — Orly nerwowo szarpał go za przedramię. — Rozumiesz, o to mi właśnie chodzi. W tym jest cały cholerny problem. Dawno temu nie przejmowalibyśmy się takim paskudztwem. Wieśniacy, motocykliści i dziwki — tacy nas odwiedzali. A jak teraz popatrzysz na salę, na każdym pieprzonym stoliku zobaczysz pagery i telefony komórkowe. Wyszuszone fiuty w szelkach od projektantów mody, jak Boga kocham! Parking pełen beemerów i blazerów, ale kurwa mać, nie mogę spać nocami. Nie, do dupy z tą pieprzoną lepszą klientelą.

— I politykami — dodał Shad. Pragnienie, aby udusić pana Orly'ego, nieco osłabło.

— Motocykliści są lepszymi klientami — ciągnął jego szef. — Jak Boga kocham, Shad, wołałbym mieć cały bar pełen motocyklistów niż jednego palantowatego kongresmana. Z bójkami dawaliśmy sobie radę, pamiętasz? Do diabła, wołałbym nawet mieć do czynienia każdej nocy z walkami na noże niż z tym paskudztwem. Jakiś facet, którego na oczy nie widziałem, ukręca mi jaja z powodu licencji na wyszynk.

Za pięć minut Urbana Sprawł zaczęła walkę zapaśniczą w zbiorniku gotowanego spaghetti. Shad postanowił pilnować porządku, podniósł się więc i powiedział:

— Co się stało, to się nie odstanie. Załatwimy wszystko jak trzeba.

— W jaki sposób?

— Niech się pan o to nie martwi, panie Orly.

Przeszli razem do głównej sali. Rapowa muzyka łomotała elastycznie o ściany. Na scenie Lorelei zmagala się z nowym wężem, który owinał się całą długością wokół jej prawej nogi. Nawet najbardziej pijany widz zdawał sobie sprawę, że tego nie było w programie.

Orly przystawił złożone dłonie do ucha Shada i krzyknął:

— Może powinienem wywiesić napis na drzwiach: „Politykom wstęp wzbroniony”? Zboczeńcy i masowi mordercy mile witani, ale żadnych cholernych polityków!

Bramkarz zamarkował uśmiech. Był taki wkurzony, że mógłby odgryźć kociakowi głowę.

— Dawajcie mi codziennie motocyklistów — powtarzał Orly. — I żadnego więcej kongresmana w mojej knajpie...

Na scenie Lorelei ze stoickim spokojem szamotała się w świetle reflektorów. Potem wrzasnęła coś, że noga jej sinieje.

Muszę jak najszybciej się stąd wyrwać, pomyślał Shad. Zanim narobię sobie jakichś kłopotów.

Malcolm J. Moldowsky wiedział, że kongresmana nie może szantażować obrzydliwy bramkarz po odsiadkach. Bardziej problematycznie przedstawiała się sprawa młodego maklera Paula Gubera, który nieoczekiwanie wyjechał z miasta. Ale najbardziej niepokoiła Moldy'ego trzecia osoba związana z zakończonym skandalem wieczorem kawalerskim — striptizerka.

Gdyby Erin Grant miała ochotę, sama, własnoręcznie zniszczyłaby kruchą reputację Dilbecka. I dlatego właśnie Moldowsky zaaranżował spotkanie ich obojga.

Moldy spędził rano czwartego października na strategicznej naradzie wysokiego szczebla. Sam ze sobą. Nigdy nie potrzebował ani nie szukał rady innych. W ciszy rodziła się jasność umysłu, a samotność pomagała odzyskać perspektywę. Przede wszystkim musiał zapomnieć o swojej osobistej pogardzie dla Davida Dilbecka i skupić się na realizowaniu misji, za którą mu płacono. Nadeszła pora, aby zebrać myśli.

Potrzebował amunicji, lecz nie znalazł niczego szczególnego w przeszłości Erin. Akta sądowe dotyczące opieki były pełne smakowitych

oskarżeń, ale Moldowsky ze sceptycyzmem traktował wiarygodność jej eksmeża. Darrell Grant sprawiał wrażenie godnego pogardy drań. Nie było sensu otwierać tej puszkę z robakami.

Moldy postanowił obchodzić się z panią Grant bardzo delikatnie. Ostrzegł kongresmana, żeby patrzył, lecz nie dotykał. Żeby nie zrobił niczego, co mogłoby ją przestraszyć albo rozgniewać. Jeżeli powie „nie”, nie sprzecząj się. Jeśli wszystko inne zawiedzie, spróbuj przynajmniej się zaprzyjaźnić.

Żeby tak można było mieć pewność, że Dilbeck będzie się trzymał scenariusza! Należało unikać sprawy nieżyjącego Jerry'ego Killiana. Należało przeprowadzić delikatne dochodzenie na temat córki striptizerki. Gdyby pani Grant poskarżyła się na sposób prowadzenia rozprawy o przyznanie opieki, Dilbeck powinien zaproponować swoją pomoc mówiąc: „Zupełnie dobrze znam nowego sędziego” — ot, taki umiarkowany tekst, bez żadnych przechwałek czy nachalstwa. Gdyby zaś kobieta nawiązała do incydentu w „Żwawym Bobrze”, kongresman powinien wyrazić ubolewanie, ale niczego nie proponować. Moldowsky wbijał mu te punkty w głowę. Starał się przedstawiać wszystko w możliwie prosty sposób, ponieważ wiedział, że mózg Dilbecka będzie zamroczony pożądaniem. Podjął środki ostrożności, żeby zabezpieczyć striptizerkę przed seksualną napaścią, lecz nie sposób było uniknąć ryzyka. Kongresman się rozsypywał. Cała sprawa przypominała wyścig z czasem.

Malcolm Moldowsky wpatrywał się w swoje odbicie w szybie okiennej. Podobało mu się to, co widział — portret eleganckiego, pewnego siebie mężczyzny w warunkach stresu. Nawet w domu Moldy rzadko kiedy czuł się swobodnie bez marynarki i krawata. Czytał, że Nixon był taki sam, ale co z tego? Niedbałe ubranie ograniczało geniusz Moldy'ego — w bluzie od dresu i pogniecionych dockersach czuł się słaby. Tego ranka miał na sobie trzyczęściowy ciemnoszary garnitur szyty w Paryżu, a do tego krawat koloru czerwonego wina z szarym ukośnym paskiem.

Usiadł przy wykonanym z wiśniowego drewna biurku w swoim prywatnym pokoju. Telefon dzwonił często, lecz odbieranie pozostał automatycznej sekretarce. Robił zapiski w prawniczym notesie. „Czego ona chce?” — napisał. A potem sporządził listę możliwych scenariuszy, od najgorszego do najlepszego.

Najgorszy: Striptizerka zechce utopić kongresmana. Może zrobić to z własnej woli albo z namowy wrogów. Nie będzie nawet potrzebowała fotografii — w zupełności wystarczyłaby popołudniowa konferencja prasowa. A wyjawienie całej sprawy oznaczałoby natychmiastową katastrofę. Nawet gdyby Dilbeck nie przepadł później w wyborach, skandal z pewnością zagroziłby subsydiom cukrowym. Rodzina Rojo straciłaby miliony. On więc, Malcolm Moldowsky, musi zrobić wszystko, żeby zapobiec takiemu nieszczęściu. Z trudem naprawił polityczny *image* Dilbecka i głosowanie komitetu było prawie załatwione. Pozostała tylko jedna przeszkoda w osobie republikańskiego kongresmana z północnej Alabamy o nazwisku Tooley, który twierdził, że jest odrodzonym chrześcijaninem, i nie szczędząc trudu, prowadził krucjatę przeciwko filmom dozwolonym od lat czterestu, wszystkim rodzajom muzyki rockowej i corocznemu wydaniu „Sports Illustrated” poświęconemu kostiumom kąpielowym. Moldy przypadkiem wiedział, że kongresman Tooley jest syfilitycznym starym oszustem, ale nie miało to większego znaczenia. Gdyby skandal seksualny wyszedł na jaw, ten skurwysyn natychmiast potępiłby Davida Dilbecka. I co gorsza, nie głosowałby za poparciem tego samego wniosku co grzeszny poganin — ani za subsydiami dla farm, ani za żadną inną głupotą. W razie skompromitowania Dilbecka ustawa cukrowa byłaby poważnie zagrożona.

Na dole listy Moldy'ego znajdował się jego wymarzony scenariusz. Co będzie, jeżeli striptizerka odpuści sobie całą sprawę? Może nie ma pretensji z powodu ataku butelką od szampana, nie zamierza szantażować gorącokrwistego kongresmana, śmierć Jerry'ego Killiana nie budzi jej wątpliwości. Może po prostu chce, żeby zostawiono ją w spokoju i by mogła tańczyć, ile dusza zapagnie.

Mało prawdopodobne, uznał Moldowsky. Kobieta niewątpliwie potrzebuje pieniędzy i na pewno wie, jak bardzo mogłaby zaszkodzić Davidowi Dilbeckowi, otwierając jedynie usta. Moldy uważał jednak, że milczenie Erin Grant było do kupienia. Miał wrażenie, że chętnie przyjąłaby większą sumę i spokojnie opuściła miasto razem z córeczką. Takie rozwiązanie byłoby doskonałe. Wypłacenie okupu wiązało się z określonym ryzykiem, ale zorganizowanie zniknięcia na stałe nie wchodziło już w rachubę. Nie w sytuacji, gdy w cieniu majaczy gliniarz z wydziału zabójstw.

Al Garcia irytował Moldy'ego. Jakim cudem jego karta wizytowa znalazła się w skrytce depozytowej adwokata? Czy detektyw zajmował się zniknięciem Mordecaia? Moldowsky zapisał sobie, żeby sprawdzić w Izbie Adwokackiej. W końcu to on poinformował kontrolerów o „planie” związanym z funduszem powierniczym zaginionego prawnika.

Były jeszcze inne zagadki: Dlaczego gliniarz z wydziału zabójstw hrabstwa Dade węszył w okolicy Fort Lauderdale? Czy Garcia prowadził również dochodzenie w sprawie śmierci Jerry'ego Killiana? A co ważniejsze, czy to właśnie on zabrał diapozytyw ze skrytki Mordecaia?

Doświadczenie nauczyło Moldowsky'ego, że należy liczyć się z najgorszym. Założmy, że Garcia depcze mu po piętach. Założmy, że jakoś dowiedział się o planach szantażu. Założmy, że coś podejrzewa w związku ze śmiercią Killiana i zniknięciem adwokata...

Pozwólm, żeby zakładał, co mu się żywnie podoba, postanowił Moldy. Nie istnieje żaden dowód, żadna poszlaka ani nić wiążąca te nieszczęsne wydarzenia z kongresmanem. Zabójstwa? Samotnego kawalera spotkał wypadek w czasie wyprawy wędkarskiej w Montarne; adwokat, drobny kauzyperda, zwiął z miasta ze zdefraudowaną forszą. Jakie zabójstwa? Co, u diabła, robi Garcia? Moldowsky zastanawiał się, czy detektyw nie prowadzi maleńkiej rozgrywki na własną rękę. Może karta wizytowa była pozostawioną przynętą. Jeżeli tak, jedynym rozsądnym posunięciem będzie zignorowanie skurwysyna. Należy rozegrać wszystko na zimno.

Kłopot w tym, że Moldowsky cierpiał na patologiczny brak powściągliwości. Cechowały go rozbudowane ego i choleryczny temperament wykluczający wszelką cierpliwość. Nie był przyzwyczajony do nieróbstwa. Miał tyle powiązań i tyle władzy, że jego pierwszym odruchem było złapać za telefon, aby kogoś załatwić. Tak właśnie postępowali wielcy manipulatorzy — dostrzegali grożące niebezpieczeństwo i ruszali mu naprzeciw. Lecz ktoś, kto handluje wpływami, jest tylko tyle wart, ile jego informacje, a Moldy nic nie wiedział o tym natrętnym kubańskim gliniarzu. Ta sprawa gryzła go przez cały ranek. Dwa—trzy telefony rozwiązałyby problem... Ale po co wpadać w panikę? Przy jego dokładności, ostrożności... jakkolwiek błąd był

po prostu niemożliwy, nawet śmieszny. Señor detektyw Garcia nie dysponuje żadnymi atutami. Nikt nie zdołałby tak szybko powiązać jednego z drugim.

Mimo wszystko jednak Moldowsky złapał się na tym, że wciąż spogląda na telefon. Wypiełgnowane paznokcie stukały niespokojnie po blacie biurka. Musiał zdobyć więcej informacji. Jego ręka wystrzeliła nad biurkiem w stronę rolodexsa. Palce przebierały wprawdzie karty indeksowe. To był niesamowity skarbiec informacji. Nazwiska i numery, numery i nazwiska. A każda z tych osób winna była Malcolmowi J. Moldowsky'emu przysługę.

Władza, którą dysponował, była jak narkotyk.

## 25.

Dwaj goryle pilnujący jachtu braci Rojo byli oszołomieni przybyciem Erin. Usta pokryła krwistoczerwoną szminką, w uszach miała złote kolczyki w kształcie kół, a na sobie białą mini, pantofle na wysokim obcasie i bluzę bez rękawów w łososiowym kolorze. Wyglądała wspaniale, pachniała wspaniale. Chodzące marzenie. Wynajęte oprychy zazdrościli Davidowi Lane'owi Dilbeckowi.

— Czy pani Grant?

— Nie — odparła Erin. — Jestem Tipper Gore.

— A kim jest pani przyjaciel? Nie był zaproszony.

Z cienia wyłonił się Shad. Oprychy w lśniących czarnych garniturach drgnęły niepewnie. Zaciśnęły pięści i nadęły torsy, ale na ochroniarzu striptizerki nie zrobiło to wrażenia. Był szeroki jak szafa, a czerwony beret ledwo zakrywał czubek wielkiej, guzowatej łysej głowy. Jego usta tworzyły okrutną, zaciśniętą szczelinę. Pomrugiwał wytrzeszczonymi oczami małymi jak u węgorza. Zza paska wystawał mu rewolwer kalibru trzydzieści osiem, a na jego lewym ramieniu siedział kinkażu — południowoamerykański szop. Kinkażu jadł batonik.

— Rozluźnijcie się — odezwał się Shad do oprychów. — Jest na smyczy.

— Kim, u diabła jesteś?

— Aniołem stróżem — wyręczyła go Erin. — Nie widać?

— Niech spada — polecił jeden z goryli.



Erin wzięła Shada za rękę.

— Jeżeli on odejdzie, ja również — oznajmiła.

Goryle cofnęli się i przeprowadzili krótką naradę. Jeden z nich zniknął na jachcie i po chwili wrócił z decyzją:

— OK, panie aniele stróżu, możesz zostać, ale z nami. Twoja małpa jednak wraca do zoo.

— To nie małpa — uściślił Shad. Kinkażu zapiszczał z pyskiem pełną nugatu. Gdy Shad pogłaskał go po karku, zwierzak obrócił się i ugryzł go w przegub. Ochroniarze podskoczyli, lecz bramkarz nawet nie zareagował. Wytarł krew o spodnie maskujące i powiedział.

— Dostałem go od faceta pracującego w kiosku spożywczym. Uwielbia czekoladę.

— Zwariowany palant — mruknął jeden z goryli.

Dwie pary spacerujące w świetle księżyca nadeszły nabrzeżem. Mężczyźni mieli białe smokingi, kobiety, obie blondynki, lśniące wieczorowe suknie. Pili rum runners i się śmiali. Kobiety były pod wrażeniem wysokich masztów łodzi rybackich i lśniących jachtów, a mężczyźni wyglądali na doświadczonych żeglarzy. Obaj byli o wiele starsi niż ich partnerki. Gdy dotarli do pomostu, przy którym stał zacumowany „Sweetheart Deal”, rozmowy umilkły. Mężczyźni popatrzyli na Erin i uśmiechnęli się tolerancyjnie. Na pokładzie mikrocefaliczni goryle braci Rojo sterczeli ramię przy ramieniu jak wypakowane steroidami słupy ogłoszeniowe. Shad poprawił swój czerwony berecik.

Jedna z blondynek zapytała:

— Hej, czy mogę pogłaskać małpkę?

— To nie małpa, ale kinkażu — szop południowoamerykański.

— Och, kocham szopy.

— W takim razie nie ma sprawy. Głaszcz pani.

— Nie gryzie, prawda? — zainteresował się jeden z białych smokingów.

Shad zrobił urażoną minę.

— Ależ skąd, proszę pana.

— Zobaczmy się później — rzekła Erin. Prześlizgnęła się między dwoma gorylami i otworzyła drzwi do kabiny.

Szefem Ala Garcii w wydziale zabójstw był porucznik William Bowman, który grał kiedyś jako pomocnik w drużynie uniwersytetu florydzkiego. Billy Bowman nie cierpiał cygar i był jedenaście lat młodszy do Garcii, sierżantowi jednak to nie przeszkadzało, ponieważ jak na Anglosasa, Billy był całkiem przyzwyczajonym gliniarzem. Najczęściej zostawiał Ala w spokoju.

W wieczór kiedy Erin miała tańczyć dla kongresmana, Billy Bowman zawołał Garcie do swojego gabinetu. Odbyla się tradycyjna dyskusja na temat beznadziejnej obrony Miami Dolphins, po której nastąpił krótki wywiad na temat świętej pamięci Francisca Goyo.

— Znaleźliśmy już wszystko — poinformował go Garcia — oprócz czterech palców stóp oraz pośladka.

— Dobra robota.

— Billy?

— Tak?

— Po co tu jestem?

Bowman uderzył pięścią o pięść.

— Czy to kosmiczne pytanie? Takie jak: jaki jest cel tego wszystkiego? Albo: jaki jest wielki plan Pana Boga?

— Nie, *chico* — burknął Garcia. — Chodzi mi o to, po co, do cholery, jestem tutaj, w twoim gabinecie. I prowadzimy jakąś marynistyczną rozmowę.

— Co byś powiedział na propozycję, aby zamknąć drzwi?

Al wyciągnął nogę i zatrzasnął je kopnięciem.

— Miałem ciekawy telefon od szefa — oznajmił Bowman — który z kolei miał ciekawy telefon od jednego z członków rady hrabstwa.

— Co ty powiesz? — odparł Garcia.

— Czy pracujesz nad jakąś sprawą z Broward?

— Nad kilkoma, Billy.

— Zaginiony adwokat?

— Bardzo fascynujące — zapewnił Al. — Napijmy się kawy.

W ciągu następnych trzydziestu paru minut opowiedział porucznikowi Bowmanowi całą historię, zaczynając od pływaka w Montarne. Billy był dobrym słuchaczem i zadawał celne pytania. Gdy Garcia skończył, porucznik stwierdził, że opowieść wywarła na nim wrażenie.

— Kazałeś im otworzyć schowek depozytowy bez nakazu sądowego — zauważył.

— Znam w banku jedną dziewczynę — wyjaśnił Al. Jest teraz wiceprezesem. Zastawiliśmy maleńką pułapkę.

Billy Bowman się skrzywił.

— Nie słyszałem o tym.

— Ten, kto otworzył schowek prawnika, znalazł wizytówkę. A ten, kto znalazł moją wizytówkę, złapał za telefon.

— I o to ci właśnie chodziło.

Prowadząc dochodzenie, Garcia hojną ręką rozdawał służbowe wizytówki. Często wręczał je nawet głównym podejrzanym, żeby zbadać ich reakcję.

— A więc pod czym tyłkiem zapaliłeś teraz ogień? — zapytał porucznik.

— Jeżeli miałbym zgadywać — rzekł sierżant — to Malcolma Moldowsky'ego.

Bowman powiedział, że nigdy o facecie nie słyszał, na co Garcia odparł, że wcale się nie dziwi, bo polityczni manipulatorzy, podobnie jak wampiry, unikają światła dziennego.

— Wszystko odbyło się tak: Moldowsky zadzwonił do radnego, który zapewne ma wobec niego jakieś zobowiązanie. Może kilka wielkich zobowiązań, kto wie. A członek komisji przekreślił do szefa z pytaniem, co to za facet ten Garcia i czemu węszy po hrabstwie Broward? Bo ostatnią rzeczą, jakiej nasza firma potrzebuje, jest jakieś jurysdykcyjne starcie z biurem szeryfa.

— Wierz mi albo nie — odezwał się Bowman — ale ten radny z komisji rozegrał wszystko dosyć sprytnie. Stwierdził, że jest droгим przyjacielem zaginionego adwokata. Spotkali się podobno w czasie zbierania funduszków na kampanię Dukakisa i nie może uwierzyć, że... Jak się ten kutas nazywał?

— Mordecai.

— Tak. No więc nie może uwierzyć, że Mordecai mógłby zwać na wyspy ze zdefraudowanymi pieniędzmi.

Garcia wybuchnął śmiechem.

— Zrobienie z tego osobistej sprawy było rzeczywiście niezłe pomyslane. Że martwi się o kolegę i tak dalej.

— Właśnie. I że będzie bardzo wdzięczny za przekazanie wszelkich

informacji na ten temat. Oczywiście zachowa wszystko w tajemnicy.

Bowman odebrał telefon, a Garcia w tym czasie nalewał kawę. Mundurowy policjant z patrolu zastrzelił włamywacza po pościgu na Palmetto Expressway. Porucznik zrobił notatki i zapowiedział, że zaraz tam pojedzie. Odłożył słuchawkę klnąc, ponieważ włamywacz był ciotą, co oznaczało, że miejscowe stacje telewizyjne dostaną ho-pla.

— W całej mojej karierze — oświadczył — nigdy nie zabiłem faceta w koktajlowej sukni bez ramiączek. A ty?

— Świat się zmienia, Williamie. — Garcia uniósł kubek z kawą w toaście.

Billy położył na biurku reeboki numer trzyście.

— A jeżeli chodzi o tego prawnika... Przypuszczasz, że nie żyje?

— Najprawdopodobniej.

— I gdzieś go podrzucano, jak tamtego faceta?

— Tak, ale licho wie, gdzie.

— Everglades są idealne — zauważył Billy Bowman. — Dlaczego jeździć do jakiegoś Zadupia Górnego w stanie Montana, jeżeli na własnym podwórku masz Everglades? Cholera, zwłoki rozkładają się tu szybciej niż gdziekolwiek indziej w kraju. Powszechnie znany fakt, Al.

— Nie mów, że przeprowadzano takie badania.

— Słowo daję. Miami ma najszybszy czas rozkładu. Z powodu upału.

— Doprawdy? — mruknął Garcia. — Myślałem, że to z powodu wilgotności.

— Rzecz w tym, że Montana nie ma sensu.

— Ma, jeżeli twoja ofiara rzekomo pojechała tam na wakacje. Killian łapał pstrągi, pamiętasz? Ale cholera wie, gdzie wpakowano tego pieprzonego adwokata. Pewnie w najbliższy wykop.

Porucznik milczał przez dłuższą chwilę. A potem odezwał się:

— Al, nie możesz tak po prostu pójść i zapuszkować pieprzonego kongresmana.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Chyba że złapiesz go na gorącym uczynku. I najlepiej jeżeli nagrasz to na wideo, a świadkami będą papież i Mary Tyler Moore.

— Wiem, Bill.

— Gdzie schowałeś diapozytyw? Po prostu jestem ciekaw.

Garcia nie zareagował. Bowman był sprytnym facetem i uświadomienie sobie sytuacji nie powinno mu zająć zbyt wiele czasu. Zajęło jedenaście sekund.

— Masz rację — przyznał. — Nie chcę wiedzieć.

— Powiedz szefowi, że nie prowadzimy wspólnie z Broward żadnej sprawy zaginionego prawnika.

— Po prostu sprawdzałeś cynk.

— Słusznie — przytaknął Garcia. — Zero.

— Szkoda, że nie mogliśmy w niczym więcej pomóc.

— Tak — potwierdził sierżant. — Wielka szkoda.

— I przekażą to wszystko wprost Moldowsky'emu?

— Możesz się założyć.

— I co wtedy, Al? Czy sądzisz, że aresztowanie nastąpi jeszcze za naszego życia?

Garcia potarł brodę.

— Szczerze mówiąc, mam gówno, a nie dowody. Ale dysponuję paroma pięknymi teoriami.

Bowman lubił Ala, ponieważ był on wspaniałym detektywem i nie miał ambicji bycia kimś więcej. Porucznik pragnął zostać któregoś dnia szefem całości i gliniarze tacy jak Garcia często pozwalali mu błysnąć. Wolał więc, aby jego podwładny był szczęśliwy i wydajny, nie męczył się i nie spalał. Al kochał wyzwania i Bowman zazwyczaj próbował iść mu na rękę. Lecz tym razem...

— Jak wygląda sprawa jurysdykcji? — zapytał Garcie.

— Kiepsko. Dilbeck mieszka w hrabstwie Dade. Moldowsky również.

— Ale zbrodnie popełniono gdzie indziej, prawda? — Bowman ponownie stuknął kostkami palców. — Al, czy mnie znienawidzisz, jeżeli powiem, że działasz na własną rękę?

— Byłbyś wariat, gdybyś tego nie zrobił. Może wezmę kilka dni zwolnienia.

— Jako przyjaciel jednak bardzo bym chciał, aby udało ci się wykręcić ten numer.

— Skomplikowana sprawa, Bill.

— Tak, ale mam osobisty powód. Głosowałem na tego głupiego skurwysyna.

- Nie zalewasz? — Garcia nie mógł uwierzyć, że Billy był zarejestrowanym demokratą. Jego szef zdjął nogi z biurka.
  - Pamiętam, co mi powiedziałaś dawno temu...
  - Życie to kanał i wszyscy usiłujemy omijać gówna.
  - Bardzo pouczające, Al. Dziwię się, że Hallmark nie kupiło praw autorskich.
  - Dewiza życiowa — stwierdził sierżant.
  - Wiesz, co jest smutne? Zaczynam uważać, że masz rację. Zaczynam myśleć, że wszystko jest beznadziejne.
  - Oczywiście, że beznadziejne — zgodził się Garcia. — Niech cię to jednak nie załamuje.
  - Jestem wkurzony, Al. Głosowałem na tego dupka.
  - Zrób tak. Jutro z samego rana zamów sobie czas na strzelnicę. Weź uzi, automat, i niech ci odbije na mniej więcej godzinę. Rozwal wszystko, co się da. Poczujesz się o tysiąc procent lepiej.
- Bill Bowman zgodził się, że to zupełnie niezły pomysł. Wrzucił do teczki notes i magnetofon.
- No cóż, lepiej będę się zbierał.
  - Powodzenia z włamywaczem-ciotą.
  - Dzięki, Al. Wszystkiego najlepszego z kongresmanem-degeneratem.

David Lane Dilbeck powitał Erin pokornie. Miał na sobie niebieski golf, białą koszulę, zaprasowane spodnie z wielbłądziej wełny i drogie pantofle z tłoczonej skóry. Jego srebrne włosy były przyczesane, jakby w ciągu ostatniej godziny szczotkował je ze dwadzieścia razy. Dodatkowo spowijał go aromat aramisa.

Erin była przyzwyczajona do nadmiaru wody kolońskiej, ale nie była pewna, czy poradzi sobie z rozprasającym jej uwagę komicznym wyglądem golfa.

- Wspaniała łódź — powiedziała.
  - Należy do przyjaciela — wyjaśnił Dilbeck. — Mogę z niej korzystać, kiedy tylko zechcę.
  - Na takie imprezy?
- Kongresman wyjąkał, że nie.

— Co jest w stereo? — spytała dziewczyna.

— Dean Martin. Muzyka dla kochanków.

Traktuje sprawę serio, pomyślała Erin. Rzeczywiście, to był Dean Martin.

— No cóż, miła — przyznała. — Ale przyniosłam własną.

— Doskonale. — W głosie Dilbecka brzmiał zawód. — To twój występ.

Erin nigdy dotąd nie rozmawiała z członkiem Kongresu Stanów Zjednoczonych. Spodziewała się lepszego wyglądu, atmosfery pewności siebie, jeżeli nie wręcz zarozumiałości. Ale David Dilbeck sprawiał wrażenie zwykłego napalonego starucha, takiego jak wszyscy inni.

— Spróbujmy więc — podała mu kasetę. — Sama przygotowałam ten zestaw. — Przeszła do łazienki i przebrała się w kostium sceniczny. Sprawiało jej to kłopot — pomieszczenie było koszmarnie małe. Wcisnęła się w białą górę, pod którą miała koronkowy stanik i dobrze minifigi. Była pewna, że Dilbeck z radością przyjmie takie akcenty ubioru panny młodej.

Gdy wyszła, ze stereo leciała muzyka ZZ Top. Zgrała basy i trochę podkreśliła natężenie głosu. Za scenę służył jej stół kapitański, wysunięty na środek pokoju. Kongresman wtulił się w brezentowy fotel reżyserski. Skrzyżował nogi i złożył ręce. Koło jego prawego łokcia stało srebrne wiaderko do szampana.

Erin weszła na stolik i sprawdziła przyczepność. Gdy zaczęła tańczyć, poczuła lekką klaustrofobię. Sufit w salonie jachtu był niski, a na pokrytych boazerią ścianach brakowało luster. Erin nigdy dotąd nie występowała bez luster i teraz czuła się niepewnie. Lustra pozwalały jej skupić uwagę na pracy stóp, nie zwracać uwagi na spojrzenia.

Broda Dilbecka podskakiwała o pół taktu za muzyką, próbował jak cholera wyglądać na rockera. Dziewczyna zdjęła górę i rzuciła mu ją na kolana. Z lekko rozchyłonymi ustami patrzył z czcią na jej ubranie. Odetchnął z cichym pomrukiem. Gdy podniósł wzrok, tancerka uśmiechnęła się do niego uśmiechem za milion dolarów. Odpięła minifigi, a potem zsunęła je w dół. Jego szyja zwiotczała i zachybotła lekko.

Niesamowite, pomyślała Erin. Prawdziwy trans seksualny. Miała

wrażenie, że jest świadkiem rzadkiego zjawiska, czegoś w rodzaju całkowitego zaćmienia Słońca.

*She Got Legs* przeszło w *Brown-Eyed Girl*, ta zaś piosenka w *Under My Thumb*. Z każdą melodią tempo tańca stawało się wolniejsze, a wraz z nim puls kongresmana. Wywrócił oczy, a szczęka mu opadła, odsłaniając całą fortunę w złotych koronkach. Dilbeck był dużym mężczyzną, lecz w miarę jak muzyka płynęła z głośników, zdawał się wyraźnie kurczyć — jak marionetka, którą odcięto od sznurków. Występowanie przed katatonikiem potęgowało w Erin uczucie samotności. Brakowało jej luster Orly'ego.

Gdy taśma się skończyła, mężczyzna wyprostował się gwałtownie i zaczął klaskać. Jego gwałtowny powrót do życia zaskoczył Erin. Dilbeck złożył dwa studolarowe banknoty, wsunął je za podwiązkę tancerki i zaproponował szampana. Włożyła górę i wyłączyła magnetofon. Kongresman podsunął jej krzesło.

— Jest pani naprawdę niezwykła — oświadczył.

— Pan również.

— Najcudowniejsze niebieskie oczy!

— Są zielone, ale mimo to dziękuję.

Dilbeck podał jej kieliszek i zaproponował toast za nową przyjaźń.

— Pamiętasz mnie? — zapytał. — Kiedy spotkaliśmy się po raz ostatni, miałem wąsy. — Już zrobił odstępstwo od scenariusza Moldowsky'ego.

— Jak mogłabym zapomnieć — odparła Erin. — Niemal wyrznięłś mnie w głowę.

— Tak mi przykro..

— Co, na litość boską, cię naszło?

Odwrócił wzrok.

— Słowo daję, nie pamiętam. To było niewybaczalne. — Wypił szybko szampana. — Mam nadzieję, że mi wybaczysz. — Bardzo sprytny sposób wybadania nastroju dziewczyny, pomyślał. Jeżeli pozwoli zakończyć temat, najprawdopodobniej nie zamierza wycisnąć z niego pieniędzy.

— Co powiesz na następny numer? — odezwała się Erin.

Kongresman się rozluźnił.

— Cudownie — zapewnił, ściągając przez głowę golf.



Po czwartym kawalku był bezradny, wyczerpany i zawiany. Erin dała jeden z najlepszych występów w swoim życiu. Dilbeck siedział po turecku na podłodze. Zrzucił pantofle i rozpiął koszulę. Ona przysiadła bez stanika na krawędzi stołu. Kongresman schwycił ją za kolano, lecz odepchnęła jego rękę.

— Kocham cię — wyznał. — Kocham cię rozpaczliwie.

— Ja ciebie też, kochanie.

— Zostań moją przyjaciółką.

— Kim?

— Co byś powiedziała... — Jego powieki zatrzepotały. — Co byś powiedziała na mieszkanie nad Intercoastal? I samochód. Na przykład nowy lexus? Mogłabyś rzucić pracę i żyć jak królowa.

— Chyba żartujesz. I wszystko tylko za to, że zostałabym twoją przyjaciółką?

— Cokolwiek zechcesz.

— O rany. — Erin postanowiła nieco się zabawić. — Davey, czy mogę zadać ci pytanie?

— Każde, kochanie.

— Nie będę się musiała z tobą pieprzyć, prawda?

Dilbeck zmrużył ze zdziwieniem oczy.

— No cóż — rzekł, poruszając wargami jak koń od pług.

— Mam wrażenie — ciągnęła Erin — że nie spodziewałbyś się seksu w zamian za swoją uprzejmość. Wiem, że nie jesteś takim człowiekiem.

Zachichotał żałośnie. Namacał butelkę szampana i pociągnął łyk. Dziewczyna potarła lewą stopą o jego nogę.

— Nie uwierzyłbyś, jacy potrafią być niektórzy faceci — oznajmiła. — Takie świnię. Dają sportowy samochód i spodziewają się przynajmniej ręcznej roboty. Czasami nawet dwóch!

— Hmm — mruknął Dilbeck. — Coś podobnego.

Erin udało się w przekonujący sposób westchnąć z obrzydzeniem.

— Tacy właśnie są faceci. Jak Boga kocham.

— Ale ja cię kocham!

— Jasne, że tak, Davey. Nie mogłabym jednak przyjąć mieszkania ani niczego innego. To nie byłoby w porządku.

— Proszę. Chciałbym, żebyś miała cudowne życie.

Kongresman obserwował z żalem, jak dziewczyna wkłada stanik. Lubiła gorączkę takich nocy jak ta, gdy taniec dobrze jej wychodził. Uczucie pełnej kontroli było nie do opisanego. A co najważniejsze, plan — cudownie zuchwały plan — zaczynał nabierać kształtu.

— Co właściwie robisz w Waszyngtonie? — zapytała Dilbecka. — Opowiedz mi o swojej pracy.

Zebranie myśli zajęło mu dłuższą chwilę.

— Przede wszystkim pomagam ludziom. Moim wyborcom. — Zrobił teatralną pauzę. — Może o tym nie wiesz, lecz kiedyś próbowałem pomóc także tobie.

— Doprawdy?

— Tak, proszę pani. Ze względu na twoją córkę.

Erin zeszczywniała.

— Nie wiedziałam — przyznała.

— Ależ tak, ależ tak. Rozmawiałem z pewnym sędzią. Nie słuchał jednak głosu rozsądku.

— Z sędzią od mojej sprawy rozwodowej?

— Tak, tym staruchem. Trudny człowiek, niech Bóg ma w opiece jego duszę.

— Dlaczego to zrobiłeś? Skąd wiedziałeś o mojej sprawie? — Stała się, żeby w tonie jej głosu brzmiało zaciekawienie, a nie oskarżenie. Była to ważna część rozmowy i Al Garcia chciałby poznać każdy szczegół. Czy Dilbeck był w wystarczającym stopniu pijany, aby wygadać, co spotkało Jerry'ego Killiana? Najwyraźniej nie.

— Powiedział mi mały ptaszek — zażartował.

Erin nalegała, ale nie ustąpił.

— Cieszę się, że spróbowałem — oświadczył. — Bardzo współczuję pracującym matkom.

— Dziękuję. Nie miałam pojęcia.

Przysunął się bliżej stołu.

— Znam również nowego sędziego.

Erin stwierdziła, że zainteresowanie jej problemami rodzinnymi kogoś tak ważnego jak Dilbeck jest dla niej prawdziwym zaszczytem.

— Na tym polega moja praca — rzekł. — Pomagać ludziom. — Jego dłoń spoczęła na jej udzie. Dała mu trzy, może cztery sekundy przyjemności, zanim ją strąciła.

— Cała sprawa układa się doskonale. Moja córka jest już ze mną.  
— Cieszę się. Pamiętaj jednak, jeżeli będziesz czegokolwiek potrzebowała...

— Jesteś kochany.

— Cokolwiek zechcesz...

— Hej, Davey?

— O co chodzi?

— Czy ukradłeś mi maszynkę do golenia z łazienki?

Dilbeck poszarzał. Moldy nie przygotował go na taki obrót spraw.

— Boże przebacz, zrobiłem to — przyznał.

— Jesteś chory.

— Tak też mówi Erb.

— Kim jest Erb?

— Erb Crandall. Pracuje dla mnie.

— Po co wzięłeś moją maszynkę?

Policzki kongresmana zadrżały. Wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać.

— Tak bardzo cię kocham — powiedział. — Wziąłem również trochę strzępków.

— Strzępków?

— Z twojego prania. Strasznie przepraszam.

Erin stanęła na stole i oparła dłonie na biodrach. Dilbeck leżał na drewnianej podłodze jak kupka nieszczęścia.

— Davey, nie chcę być wścibska, ale co zrobiłeś ze strzępkami po moim praniu?

— Obawiam się, że się z nimi kochałem.

Pomieszczenie zaczęło wirować.

— Podejdź bliżej — poleciła.

Kongresman schwycił za rogi stołu i podniósł się na klęczki.

— Zamknij oczy! — rozkazała.

— O Boże! — W głowie Dilbecka eksplodowały najdzikie marzenia.

Dziewczyna zdjęła pantofel i z całej siły wbiła dziesięciocentymetrowy obcas w jego prawą dłoń. Tyle, jeżeli chodzi o zachowanie spojoju, czego tak stanowczo domagał się Garcia.

Dilbeck właściwie nie wrzasnął, raczej pisnął. Erin pełną garścią chwyciła go za wybrylantynowane srebrne włosy.

- Davey, jeżeli kiedykolwiek znowu wejdiesz do mojego mieszkania, kiedykolwiek, zastrzelę cię. Rozumiesz?
- Cierpiący kongresman zdołał wyszeptać:
- Ale tak bardzo cię Kocham!
- Wiem o tym, słoneczko.

Dwóch goryli zapytało Shada, czy rzeczywiście jest aniołem stróżem. Powiedział, że tak, ale w księżycowe noce pracuje w barze z gołymi panienkami. Goryle chciały dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Shad wyjaśnił, że muzyka jest koszmarna, a pensja nędzna.

— Mniejsza z tym — oznajmił jeden z oprychów. — Pomyśl o tych wszystkich laskach.

— Laska nie zapłaci twojego czynszu — stwierdził Shad. Wyjął kostkę lodu ze szklanki i dał ją kinkażu. Zwierzę gryzło ją warcząc.

Drugi goryl, z małymi kalafiorowatymi uszami, zapytał Shada, czy musi płacić tancerkom za seks.

— A może dają ci za friko? Jaki jest układ?

— One płacą mnie — odparł bramkarz.

— Ee tam, pieprzysz.

— Tak mam napisane w kontrakcie. Pierwszy oprych przyznał:

— Tak, słusznie.

— Którą tylko zechcę.

Shad przeniósł kinkażu z jednego ramienia na drugie. Koszulę miał lepką od krwi, ponieważ zwierzę podrapało go głęboko pazurami. Goryl z kalafiorowatymi uszami skrzywił się widząc, co się stało. Razem ze swoim partnerem trzymał się na pokładzie rufowym jachtu daleko od dziwnego faceta i jego nie mniej dziwnego stworzenia. Shad wiedział, że bardziej bali się kinkażu niż jego. I o to chodziło.

— I co, musisz oglądać wszystkie przesłuchania? — dopytywał pierwszy goryl.

— Oglądać? Cholera, przecież to ja je zatrudniam.

— Człowieku! W takim razie musisz wszystko widzieć.

— Wszystko — potwierdził Shad z chytrym uśmieszkiem.

— Długo tam już robisz?

— Dziesięć—jedenaście lat.

— O rany. Pomyśleć o tych wszystkich zderzakach, na które się napatrzyłeś.

— Tysiące — palnął Shad. — Mózg staje. — Nie mógł wprost uwierzyć, że wynajęci ochroniarze są aż takimi głupolami.

— Kiedy robisz przesłuchania — dociekał pierwszy goryl — co właściwie oceniasz? Po prostu rozmiary? Pytam dlatego, że kiedyś byłem z dziewczyną, która miała gigantyczne balony, ale jak zdjęła stanik, wcale nie wyglądały tak rajcownie. Kapujesz, o co mi chodzi?

— Mamy bardzo wysokie wymagania — oświadczył Shad.

Kalafiorowatouchy zainteresował się inną sprawą.

— Przesłuchiwałeś kogoś sławnego? To znaczy zanim stał się sławny.

— Jasne — odparł Shad, myśląc gorączkowo. Te matoly uwierzą we wszystko. — Przez jakiś czas tańczyła w klubie Kim Basinger. Również Meryl Streep, lecz wtedy występowała pod innym nazwiskiem.

— Nie wciskasz kitu?

— Chesty LeFrance. To był jej pseudonim.

— Kim Basinger, w porządku — skomentował pierwszy ochroniarz. — Ale Meryl Streep? Człowieku, przecież ona właściwie nie ma przedsięwzięcia.

— Owszem, teraz nie — potwierdził Shad. — Gdybyś ją jednak widział przed operacją! Giganty.

Kinkażu spełzył mu po ręce i zeskoczył na pokład. Shad ostro pociągnął za smycz. Zwierzę zaryczało i przewróciło się na grzbiet.

— Ale numer — powiedział goryl z kalafiorowatymi uszami.

— Tak, dobrze go wytresowałem — zgodził się Shad. Szczerze mówiąc, kinkażu wcale go nie rajcował. Cieszył się, że dwie godziny dobiegały już końca i będzie mógł oddać zwierzaka.

— A co z wami, chłopaki? — zapytał. — Podoba się wam robotą?

Jeden z nich oznajmił, że wolałby znaleźć się na dole i robić to, co stary. Drugi zwierzył się, że największy kłopot sprawia mu powstrzymywanie się, żeby nie zasnąć. Shad zapytał, ile stary im płaci.

— Nie pracujemy dla niego, ale dla panów Rojo.

— Kto to taki?

- Farmy Rojo — wyjaśnił ochroniarz z kalafiorowatymi uszami.
- Dostajemy dwieście dziennie.
- Cholera — westchnął Shad.
- I przez większość czasu czekamy.
- Pierwszy dodał:
- Nazywają nas kierowcami, lecz to pieprzenie w bambus. Jesteśmy ochroną. Rojo często urządza rozrywki i wtedy mamy oko na gości... A skoro o tym mowa. — Dał znak partnerowi, który podszedł do drzwi salonu i słuchał przez chwilę.
- Muzyka przestała grać — poinformował. — Chyba tylko rozmawiają.
- W takim razie kim jest ten facet? — dociekał Shad. — Jakaś szycha?
- Przyjaciel rodziny.
- Kinkażu zaczął chodzić nerwowo, płacząc smycz wokół nóg Shada. Obaj goryle Rojo doskonale się bawili, widząc, jak łysol usiłuje się uwolnić. W końcu zirytowany Shad puścił smycz. Kinkażu zaszył się w róg i usiadł, oblizując łapy.
- Nigdy nie słyszałem o striptizerce z ochroną — zauważył jeden z ochroniarzy.
- Shad odrzekł, że kobieta w dzisiejszych czasach musi być bardzo ostrożna.
- Facet ze zdeformowanymi uszami wskazał na jego rewolwer.
- Czy to trzydziestkaósemka?
- Special.
- Też chcę coś takiego. Jak długo musiałeś wyrabiać pozwolenie?
- Nie zawracałem sobie głowy pozwoleniem. Miałem kiedyś drobne kłopoty, rozumiesz?
- Paskudna sprawa.
- Pieprzone komputery. — Shad wylał zawartość szklaneczki za poręcz.
- Ale mimo to zatrudnili cię w aniołach stróżach?
- Bez problemu. Wystarczyły referencje. — Bramkarz wskazał na głowę. — No i to.
- W drzwiach pojawiła się Erin. Wyglądała na zmęczoną, lecz całą i zdrową.
- Gotowa? — zapytał Shad.

— Tak jest.

Podał jej rękę i pomógł zejść z jachtu na pomost.

— Miła noc — powiedziała, uśmiechając się do księżycy.

— Bardzo przyjemna — zgodził się z nią Shad. Pomachał na pożegnanie obu przyglupim gorylom.

— Poczekaj! — zawołał ten z normalnymi uszami. — Nie zapomnij swojej małpy!

Al Garcia spotkał ich w knajpce z bajglami. Erin i Shad spóźnili się, ponieważ bramkarz nie mógł odnaleźć faceta, który pożyczył mu kinkażu. Po dwudziestu minutach kręcenia się w kółko zjechał na bok, otworzył drzwi i wyrzucił torbę snickersów, a następnie wypuścił zwierzaka i się oddalił. Gdy wszedł do knajpki, kelnerka zauważyła pokrwawioną koszulę i zaproponowała, że zadzwoni pod dziewięset jedenaście. Myślała, że pchnięto go nożem.

Garcia czekał przy stoliku w głębi restauracji. W ustach trzymał niedopałek bardzo starego cygara. Zapytał Erin, jak jej poszło z kongresmanem.

— Kaszka z mlekiem. — Przekazała mu nieco ocenzone sprawozdanie. Wyznanie Dilbecka na temat strzępków było najważniejszym punktem programu. Nawet Shad był oszołomiony.

— Ale zaszczyt — skomentował.

Sierżant dopytywał, czy polityk próbował czegoś niezwykłego, w czasie gdy ona tańczyła. Odpowiedziała, że nie, tylko zwykłe próby obmacywania. Nie wspomniała o rozwaleniu mu ręki.

— Jakie odniosłaś wrażenie? — indagował detektyw.

— Po pierwsze, Davey nie jest zbyt bystry. Po drugie, zapewne nie wie dokładnie, co się stało z Jerrym Killianem.

Garcia zgodził się z nią.

— Nie miałyby odwagi zrobić tego samemu, a ludzie, którzy załatwili sprawę, byli na tyle sprytni, że go nie poinformowali.

— Innymi słowy — powiedział Shad — straciliśmy cholerny czas.

Kelnerka przyniosła tacę z bajglami i dzbanek kawy. Bramkarz zdjął koszulę i poprosił wstrząśniętą kobietę, żeby wyrzuciła ją do śmieci. W czasie gdy jedli, Al zasypywał Erin pytaniami.

— Czy dowiedziałas się, do kogo należy jacht?

— Do przyjaciela — odparła dziewczyna. — Tylko tyle.

Garcia uśmiechnął się.

— Pamiętasz Kubańczyka, który zapłacił tysiąc dolarów za twój pantofel? „Sweetheart Deal” należy do jego rodziny.

— Ludzie od cukru?

— Tak. Trzymają Dilbecka za jaja.

Erin zabębniła palcami po stole.

— A więc chłopak kupił mój but w prezencie dla Dilbecka.

— Miły gest — zauważył Shad. — Fetysz miesiąca.

— Czy jesteście miłośnikami historii? — zapytał sierżant. — Bo ja kocham amerykańską historię. — Pochylił się nad stołem i ściszył głos. — Próbuję sobie wyobrazić, co Tom Paine pomyślałby o kongresmanie, który kocha się ze starymi butami i resztkami po praniu.

Erin przyznała, że istotnie, państwo zmierza ku zagładzie. Według niej najsympatyczniejszym miejscem do zamieszkania jest w tej chwili Tasmania.

Al Garcia zainteresował się, czy David Dilbeck wspomniał coś o fotografii, i tancerka wyjaśniła, że właściwie nie mówił o tamtej nocy w „Żwawym Bobrze”, tylko ją przeprosił.

— A co z Angelą?

— Zapropował mi pomoc u nowego sędziego — oświadczyła Erin. — Był to jedyny moment, kiedy się zdenerwowałam. Sprawiał wrażenie za bardzo zaangażowanego.

Shad wstał, żeby zadzwonić do klubu i upewnić się, iż w czasie jego nieobecności nie przytrafiła się żadna katastrofa. Odebrał Orly, wściekły, że bramkarz wziął wolną noc. Brytyjski marynarz omal nie udusił się na śmierć w basenie z makaronem — uratowała go Monique Sr, robiąc mu zmodyfikowane sztuczne oddychanie.

— Przykro mi, że tego nie widziałem — powiedział Shad.

Jego szef odłożył słuchawkę.

Lysy wykidajło wrócił do stołu i oznajmił, że lepiej będzie, jak sobie pójdzie. Pan Orly jest wkurzony. Garcia zaproponował dziewczynie, że odwiezie ją do domu.

W samochodzie odezwała się:

— No, a teraz mów ty.

— O czym?



— Nucisz, Al. Nigdy dotąd nie nucileś. Co się stało?

— Postęp! — Detektyw pomachał ogryzkiem cygara. — Zapamiętała ich bardzo miła dama w „Holiday Inn” w Missouli. Jamajczycy wynajęli pokój i zamówili pół tuzina kotletów schabowych. Kilka tygodni temu. Widocznie niezbyt wielu Jamajczyków podróżuje o tej porze roku po Montanie. W każdym razie ta miła dama przepuściła ich rachunek przez komputer i odczytała mi pozycje.

— I?

— Była dwudziestodwuminutowa rozmowa telefoniczna — wyjaśnił Garcia. Cygaro podskakiwało mu w ustach. — Z pewną rezydencją w Miami, stan Floryda.

— Dilbeck? — zapytała Erin.

— Boże, jak bym tego chciał — westchnął sierżant. — Nie, kochanie. Malcolm Moldowsky, dobra wróżka naszego kongresmana. Facet, który wciąż dręczy twojego szefa.

A więc nie ma żadnej wątpliwości, pomyślała Erin. Zamordowali Pana Oczko.

— Nigdy tego nie udowodnię — stwierdził Al — mogę jednak rozpętać małe piekło. Czy złoty chłopczyk Davey wspominał Moldowsky'ego? Pomiędzy wzvodami, oczywiście.

— Mówił o facecie, który nazywa się Crandall.

— A nie o Moldowskim?

— Nie dzisiejszej nocy — odparła Erin. — Spróbuję znowu następnym razem.

Stopa detektywa ześlizgnęła się z pedału gazu.

— Czy się nie przesłyszałem?

— Będę tańczyła dla Daveya jeszcze raz.

— Za cholerę...

Dziewczyna przerwała mu.

— Dał mi tysiąc dolarów, Al. Wyszłam dzisiaj z trzema kawalkami. Jeszcze parę takich nocy, a spłacę mojego prawnika i będę miała gotówkę w banku.

— Za duże ryzyko.

— Jest niegroźny. Uwierz mi, to mały chłopczyk.

Nie przyznała się detektywowi, o co jej chodziło, ponieważ nie mógłby jej pomóc. Prawdę mówiąc, pewnie usiłowałby ją powstrzymać przed realizacją planu. Również Shad byłby nieodpowiednim

wspólnikiem — jest zbyt impulsywny, zbyt porywczy. Gdyby zrobiło się gorąco, zapewne wylądowałby z tyłu radiowozu. Być może ona również. Nie mogła ryzykować.

— Gdzie się odbędzie następna randka? — spytał wyniośle Garcia.

Erin wzruszyła ramionami.

— Wszystko zależy wyłącznie od niego.

— Och, na litość boską!

Jechali w pełnej napięcia ciszy przez kilka kilometrów, zanim wreszcie się odezwała:

— Al, o co chodzi?

— O nic. — Wypluł resztkę cygara przez okno. — Coś mi się wydaje, że miałaś dobry występ, prawda?

— Dziś poszło łatwo. Lubię, jak jest łatwo.

Trzepnął obiema dłońmi w kierownicę.

— Chryste, to nie jest zabawa! Wyciągnąłem twojego martwego znajomka z rzeki, nie pamiętasz?

Nie było go ze mną, pomyślała. Nie widział wszystkiego na własne oczy. Dilbeck jest całkowicie bezradny.

Garcia ostrzegł ją, że pakuje się w niebezpieczną sytuację. Uważał, że powtórne spotkanie z kongresmanem byłoby nadużyciem szczęścia. Zarzuciła mu, że nic nie rozumie.

— Oczywiście, że rozumiem — stwierdził. — Nie chodzi ci przecież o pieniądze, mam rację?

— Niezupełnie. — Jej oczy błysnęły.

— Ale o władzę. Po prostu o władzę.

— Al — rzekła. — Naogłądałeś się za dużo programów Oprah.

## 26.

Następnego dnia Erin zabrała córeczkę na *101 Dalmatynczyków* w South Miami. Po filmie zatrzymały się w lodziarni, gdzie zamówiła dwie porcje czekoladowo-pistacjowych. Angela, liżąc loda, zapytała:

— Czy będziemy miały kiedyś psa?

— Jasne — odparła matka.

— Ale nie takiego jak ciocia Rita.

— Co powiedziała byś na dalmatyńczyka? Takiego jak w filmie.

— Nie, chcę dużego doga — oznajmiła dziewczynka. — Tylko żeby nie gryzł, dobrze?

— W takim razie weźmiemy szczeniaka. Razem go wytresujemy.

— A co z tatusiem?

Erin mocno rozgryzła pistację.

— Dobre pytanie — stwierdziła.

— Nie lubi psów. Woli ptaki.

— Pamiętam. Pies będzie twój i mój.

Angela zrobiła zamyśloną minę.

— Czy tatuś ma kłopoty?

— Tak, dziecinko. Obawiam, się, że tak.

— A ty też masz kłopoty?

— Nie, Angie. U mnie wszystko w porządku.

Potem spacerowały po sklepie Burdine's i oglądały ubrania.

Erin kupiła córce dwie sukienki, dwa dresy i parę białych bucików Nike z różowymi wstawkami.

— Mamusiu, przecież to nie są moje urodziny — zauważyła Angela.

— Wiem, kochanie.

— Co się stało?

— Nic — odparła matka. — Kocham cię, to wszystko.

— Ja też cię kocham, mamusiu. Ale nie płacz.

— Wcale nie płaczę. To moje uczulenie.

Angie popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

— Kiedy ma się uczulenie, to się kicha, a nie płacze.

— Dla twojej informacji, młoda damo, istnieje wiele różnych uczuleń.

Trzymając się za ręce, szły pasażem. Idący naprzeciwko nich przystojny Latynos popychał przed sobą mały fotel inwalidzki z siedzącą w nim dziewczynką. Dziewczynka była blada i miała kruczoczarne włosy zaplecione w warkoczyki. Na jednej jej nodze widać było stalową klamrę.

Erin szybko pociągnęła córeczkę w stronę drzwi sklepu z zabawkami.

— Pamiętasz te wszystkie Barbie, które ci zginęły...

— Ale mamusiu...

— Wybierzmy jakieś nowe.

— Ale mamusiu, popatrz! — Angela zauważyła przejeżdżający obok fotel. — To wózek everest-and-jennings.

Cudownie, pomyślała Erin. Nauczył ją nawet marek.

— Tatuś tak samo mnie popycha — wyjaśniła Angie. — Tylko dlaczego jadą tak wolno?

— Bo ta dziewczynka jest chora. Szybka jazda mogłaby być dla niej niebezpieczna.

— Może kiedy poczuje się lepiej?

— Tak, dziecinko. Kiedy poczuje się lepiej.

Erin zastanawiała się, czy nie powiedzieć córce najsmutniejszej z prawd — że niektórzy chorzy ludzie nigdy nie odzyskują zdrowia. Mogłaby przy tej okazji wrócić do rozmowy na temat ojca i wyjaśnić Angeli, dlaczego nigdy nie będzie z nim znowu. Ale nie zrobiła tego. Dziecko miało zaledwie cztery lata i całe życie, aby poznać smutek. Tego dnia były dalmatyńczyki, lody i nowe lalki. W sklepie z zabawkami

kupiły dwie Barbie i ubranka dla nich — kostiumy kąpielowe oraz wieczorowe suknie. Erin zaprotestowała jednak przeciwko futrzanym etolom i Angie się nie upierała. W samochodzie zapytała:

— Mamusiu, kiedy pojedziemy do domu?

— Już niedługo. — Erin modliła się w duchu, aby córeczka miała na myśli jej dom, a nie Darrella Granta. — Myślisz o naszym nowym mieszkaniu, prawda?

Angela z podnieceniem skinęła głową.

— Podobają mi się schody. Są bardzo śmieszne. — Przerwała na chwilę. — Dokąd pójdzie tatuś?

Co powinnam jej powiedzieć? — zastanawiała się Erin. Że tatuś pójdzie do więzienia? Samo słowo „więzienie” wzbudzało lęk. A może określić je jako specjalne miejsce dla dorosłych, którzy wpadli w kłopoty. Albo jeszcze lepiej — wielki budynek, który wygląda jak szpital, lecz jest ogrodzony drutem kolczastym. Ostatecznie postanowiła pominąć milczeniem dalszy los Darrella.

— Zaopiekują się nim — zapewniła.

— Czy ma inną przyjaciółkę?

— Nie wiem. — Pytanie zaskoczyło matkę.

— Bo nie chcę, żeby był samotny.

— Nie będzie samotny, dziecinko, obiecuję ci. — Erin wyobraziła sobie przygnębiający obraz Angie, która jako młoda kobieta lojalnie odwiedza w czasie weekendów ojca w więzieniu Raiford. Darrell niewątpliwie spróbowałby namówić ją do przemykania mu papierosów i prochów.

— Dokąd teraz pojedziemy? — zainteresowała się Angie.

— Na Victoria Street.

— Co tam jest?

— Tam mamusia kupuje swoje ubrania do pracy.

— Twoje ubrania kelnerki?

— Tak — potwierdziła z westchnieniem. — Moje ubrania kelnerki.

Była już prawie piąta, gdy wróciły do Miami. Erin nie chciała się jeszcze żegnać, ale została jej tylko godzina na powrót do klubu, a ruch w kierunku północnym był piekielny.

Angela pocałowała ją w nos i uszczypnęła w podbródek. To była ich wspólna zabawa.

— Mamusiu, dziękuję ci za nowe Barbie.  
— Pamiętaj, bądź grzeczna i pozwól innym się bawić.  
— Obiecuję. — Dziewczynka wyskoczyła z samochodu, mocno trzymając torbę, w której znajdowały się lalki. Stała na chodniku i pomachała.

— Biegnij do środka — poleciała Erin. Posłała jej pocałunek i dotknęła palcem czubka nosa. Kiedy Angie szła w stronę domu, wolno ruszyła. W połowie drogi do przecznicy spojrzła w lusterko i zobaczyła, że córeczka biegnie za samochodem. Zahamowała gwałtownie z piskiem opon.

— Mamusiu? — Angela stała na czubkach palców i zaglądała przez okno. Policzki miała zaróżowione i nie mogła złapać tchu. Przyciskała do piersi torbę z lalkami.

— Co się stało, kochanie? — zaniepokoiła się Erin.

— Boję się.

— Czego? — Otworzyła drzwi samochodu i Angie wspięła się jej na kolana. Erin obejrzała się, by sprawdzić, czy na ulicy jest ktoś, kto mógłby przerazić dziewczynkę. Nie zauważyła nikogo.

— Angie, o co chodzi? Czego się boisz?

— Proszę, nie wpadnij w kłopoty jak tatuś.

— Och, kochanie, i to wszystko?

— Proszę!

— Nie martw się — powiedziała i mocno przycisnęła córeczkę do piersi. — Nie martw się o mnie.

Darrell Grant zadzwonił do swojej siostry z Wal-Mart i spytał:

— Gdzie najbliższej ciebie jest jakaś woda?

— Nie mów mi, że masz łódź.

— Samochód — wyjaśnił Darrell — ale muszę się go pozbyć.

— Nie wrzucisz go chyba do wody?!

— Jasne, że wrzucę.

— Nowiutki samochód?

— Chryste Panie, czy nie możesz odpowiedzieć na proste pytanie?

I wrzucił skradzionego thunderbirda do kanału melioracyjnego przy Turkey Point, gdzie pracował Alberto Alonso. Potem pojechał autostopem na parking przyczep i z apetytem zjadł zrobioną przez Ritę kanapkę z masłem orzechowym i bananem.

— Przez cały czas dzwonią gliniarze — powiadomiła go. — Alberto twierdzi, że musiałeś coś upieprzyć.

— Czy masz gatoradę? Tę zieloną? — zapytał Darrell.

— Ale nie jest zimna.

— Może być.

Rita naląła mu do wysokiej szklanki.

— Orzeł porwał szczeniaka.

— Nie gadaj? — zdziwił się Darrell. — Prawdziwy orzeł?

Rita zapewniła, że wyglądał zupełnie jak orzeł, kiedy znurkował na podwórko.

— A poza tym twoja żona skopała Alberta. A potem dopadła go również Lupa...

Darrell pomachał kanapką i oznajmił:

— Daj sobie siana, co?

— Dzisiaj po południu pojechał do Veterans' Hospital. Ma zainfekowany cały język.

— Cholera, Rita, może byś pozwoliła człowiekowi skończyć lunch? — Darrell nadął policzki podkreślając, jak bardzo chce mu się rzygać.

Siostra przeprosiła go. A potem dodała:

— Nie możesz tu zostać.

— Wiem.

— Gliniarze ciągle tu zagląдают.

— Muszę pożyczyć twój samochód — oświadczył Darrell.

— Ma złamaną półośkę.

— A co z pontiakiem po drugiej stronie ulicy?

— Jest pani Gomez — odparła Rita. — Nie rozmawiamy ze sobą, od kiedy wilki dopadły jej syjamskiego kota.

Darrell poinformował ją, że zamierza ukraść pontiaca, a nie pożyczyć. Siostra zapytała, od kiedy potrafi spać na krótko stacyjkę.

— Nie potrafie — przyznał Darrell. — Ale z całą pewnością wiem, jak włożyć kluczyk.

Z podwórka rozległ się chór szczekań i zawodzeń. Rita chwyciła maskę łapacza i wybiegła. Darrell rzucił się do łazienki i zrewidował apteczkę. Była wypełniona plastrami, gazą i antyseptycznymi maściami. Szybko wypatrzył butelkę kodeinowego tylenolu, zapisanego zmasakrowanemu Albertowi. Wysypał pigułki do przedniej kieszeni dżinsów.

Kiedy siostra wróciła, przygotowywał sobie następną kanapkę.

— Jaki więc masz plan, braciszku?

— Posłuchaj — rzekł, wycierając usta. — Zamierzam wziąć moją śliczną córeczkę i wynieść się do diabła z Florydy. Jak ci się to widzi?

— Chcesz zacząć nowe życie?

— Właśnie.

— Bo jesteś za sprytny na te pierduły.

— Wiem o tym, Rita. Dobrze o tym wiem.

Zawsze twierdziła, że jej przystojny brat powinien być aktorem. Bez trudu wyobrażała go sobie w jednej z jej ulubionych oper mydlanych — może w roli czarującego włóczęgi we *Wszystkie moje dzieci*?

— A co z twoją żoną? — zapytała.

Darrell zaśmiał się ponuro.

— Erin będzie bardzo szczęśliwa, jeżeli nie zrobię jej krzywdy przed odjazdem — oznajmił.

Rita naląła mu jeszcze gatorady. Tym razem wrzuciła do niej garść kostek lodu.

— No, nie wiem. Samemu wychowywać dziecko?

Brat popatrzył na nią zimno.

— O co ci chodzi?

— Chciałam tylko powiedzieć, że może łatwiej by ci było bez niej. Zaczynać wszystko od nowa i tak dalej.

— Jestem świetnym ojcem, Rito.

— A kto mówi, że nie?

— Poza tym Angie i ja jesteśmy partnerami.

— I to mi się właśnie nie podoba — stwierdziła Rita. — Wykorzystywać małą dziewczynkę w taki sposób!

— Hej, ona się tym doskonale bawi — zaprotestował Darrell. — Tylko ją zapytaj, czy jej wesoło z tatusiem.

— Boże, jestem pewna, że tak. Kiedy kradniecie fotele inwalidzkie.

— Hej, powinnaś słyszeć, jak się śmieje, gdy jedziemy korytarem. Jak powiewają jej jedwabiste włosy. Siostry machają i mówią: „Zobacz, co za śliczny aniołek” — Uśmiechnął się. — I znikamy za drzwiami.

— Jesteś za dobry na coś takiego, Darrell — powtórzyła Rita. — Zupełnie cygańskie numery.



— No cóż, ale działają — oświadczył brat — jakkolwiek to nazwiesz. — A teraz, jak myślisz, gdzie stara pani Gomez trzyma kłuczyki?

Rankiem po wieczorze, kiedy Erin tańczyła na jachcie, David Lane Dilbeck dał jedno z najwspanialszych przedstawień w całej swojej politycznej karierze. Zaczęło się od mitingu w Małym Haiti, na którym kongresman napiętnował służbę imigracyjną Stanów Zjednoczonych za bezduszne traktowanie czarnych uciekinierów z Karaibów. Oznajmił, że Ameryka zawdzięcza swoją siłę i dziedzictwo odważnym „ludziom łodzi” i Ojcowie Założyciele czuliaby głęboki wstyd, widząc, jak odtrąca się najbardziej potrzebujących i zrozpaczonych. Jedyne niezręczny moment zaistniał wtedy, gdy przemawiający łamanym kreolskim Dilbeck źle przetłumaczył inskrypcję Emmy Lazarus na Statui Wolności („Dajcie mi wasze woły, wasze bezpłodne gavy, wasze zepsute chłodnice ciężarówek...”). Tłum Haitańczyków, aczkolwiek zaskoczony, w dalszym ciągu okazywał entuzjazm.

Następnie kongresman pomknął na *barbecue* urządzone przez Legion Amerykański, gdzie opowiedział o bitwie pod Inchon tak barwnie, że wielu weteranów uznało, iż brał udział w wojnie koreańskiej. Mylili się bardzo, albowiem na skutek wnetrostwa, czyli braku jądra, Dilbeck w ogóle nie służył w wojsku. Zrelacjonował jednak tę żalosalną historię z podniesionym czołem. Jego głos się załamywał, gdy plastycznie opisywał cierpienia młodego człowieka, któremu odmówiono możliwości walki za ojczyznę.

— Wychodząc z komisji poborowej tej smutnej jesieni tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego — ciągnął — przysięgłem sobie przezwyciężyć tę niedomogę i służyć Ameryce z takim samym oddaniem jak każdy człowiek z dwoma normalnie funkcjonującymi jądrami. Zapal patriotyczny zaprowadził go najpierw do władz municipalnych, a potem do Kongresu! — Pozwólcie mi realizować mój sen — grzmiał David Dilbeck. — Pozwólcie mi służyć dalej! — Wśród weteranów zerwały się wiwaty. Odłożyli pieczone żeberka i zaczęli machać trzymanymi w lepkich palcach miniaturowymi amerykańskimi flagami. Kongresman położył zabandażowaną dłoń na sercu i zaintonował *Gwiazdzisty sztandar*.

Ostatnim punktem programu było osiedle Sunset Bay i tutaj

Dilbeck wspiął się na szczyty — był błyskotliwy, serdeczny i wymowny. Erb Crandall nie wierzył własnym oczom. Zadzwoił do Malcolma Moldowsky'ego z automatu telefonicznego koło sali recepcyjnej, w której polityk przemawiał do trzystu emerytów.

— Malcolmie, to niewiarygodne — powiedział. — Doprowadził ich do łez!

— Mówi o Izraelu?

— Tak, ale wywalił cały tekst. Mówi z głowy.

— O Jezu! — jęknął Moldy. — Widzisz jakichś reporterów?

— Tylko Kanał 10, ale wszystko w pełnym porządku. Jest wspaniały, Malcolmie. Płaczą jak bobry nad swoimi *bajgele*.

Moldowsky próbował wyobrazić sobie tę scenę.

— Erb, proszę cię o uczciwą odpowiedź. Czy David wie cokolwiek na temat Bliskiego Wschodu?

— Jest słaby w geografii — przyznał Crandall — ale rozprawił się z całym problemem palestyńskim. Naliczyłem cztery owacje na stojąco.

Moldy zgrzytnął zębami.

— I dobrze wygląda?

— Jak milion dolarów. A co najlepsze, przyszedł Eloy Flickman, aby z zaskoczenia przeprowadzić z nim debatę. Dlatego pojawiła się ekipa telewizyjna.

— Podstępny skurwysyn.

— Davey rozerwał go na strzępy — oznajmił Crandall. — To było fantastyczne. Flickman zwiął jak oparzony pekińczyk.

— Czy wszystko w porządku? — Moldowsky usłyszał w słuchawce nową falę oklasków. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Co zaszło ubiegłej nocy między Dilbeckiem i striptizerką? — zastanawiał się. — Musiała go chyba zapieprzyć do omdlenia.

Moldy zażyczył sobie pełnego sprawozdania.

— Daj Davida do telefonu.

— Jest na fali, Malcolmie. Doszedł do sprawy holocaustu.

— Poczekam.

Sześć minut i dwie owacje później kongresman podszedł do telefonu.

— A więc opowiedz mi o swojej płomiennej randce — polecił Moldowsky.

— Czysta rozkosz — zapewnił go Dilbeck, nie mogąc złapać tchu.

- Żadnej próby szantażu? Chcę wiedzieć prawdę. Co z fotografią?
- W ogóle nie poruszaliśmy tego tematu. Okazała się prawdziwą damą.
- A ty prawdziwym dżentelmenem?
- Mnichem, Malcolmie. A skoro już o tym mowa, za kilka dni będę potrzebował jachtu. Erin znowu przyjdzie zatańczyć.
- Dlaczego?
- Bo dobrze się bawiła — odparł obronnym tonem kongresman.
- Bardzo mnie polubiła, Malcolmie. Och, i będę potrzebował więcej gotówki.
- Davidzie, chcę, żeby tam byli moi ludzie.
- To nie będzie konieczne... — Gwar przypominający krakanie wron zagłuszył dalsze słowa Dilbecka. — Malcolmie, muszę złożyć kilka autografów. Porozmawiaj z Erbem, dobrze?
- Moldy przestępował z nogi na nogę tak długo, aż w słuchawce rozległ znowu się głos Crandalla:
- Malcolmie, szkoda, że tego nie widzisz. Ustroili go w jarmułkę.
- Przez kilka dni trzymaj się blisko niego.
- Nie, obawiam się, że to niemożliwe. — Od tej pory Crandall zamierzał trzymać się z daleka od hormonalnych przygód Dilbecka.
- Jadę do Atlantic City.
- Za cholerę — zaprotestował Moldy.
- Malcolmie, pozwól, że coś ci wyjaśnię. Nie pracuję dla ciebie, lecz dla Davida. A David uważa, że byłoby wspaniale, gdybym wziął kilka dni wolnego i poleciał do Atlantic City.
- Pewnie dlatego, że ma wielkie plany...
- No cóż — rzekł Erb Crandall. — Dostałem miejsca w pierwszym rzędzie na koncert Cher.
- Doprawdy? Mam nadzieję, że twój samolot wyrznie w pieprzoną górę.
- Dziękuję, Malcolmie. Na pewno wyślę ci pocztówkę.
- Mógłbyś przynajmniej dowiedzieć się, kiedy spotka się z tą dziewczyną? A może proszę o zbyt wiele?
- Zobaczę, co się da zrobić — obiecał Crandall. — Cokolwiek zdarzyło się ubiegłej nocy, Davey stał się nowym człowiekiem. Cały błyszczący, Malcolmie.
- Przypuszczam, że to dobrze. Błyszczący?

- Jest jak młody Kennedy, według dam z Hadassah.
- Bardzo śmieszne.
- O rany — w głosie Crandalla brzmiał wyrzut.— Myśleliśmy, że będziesz zadowolony.
- Ten człowiek jest chory. Wiesz o tym. Ja też wiem.
- Nosi w teczce jej pantofel.
- A ty zwiewasz do pieprzonych kasyn.
- Malcolmie?
- Co?
- Będzie mi ciebie brakowało.

Erb Crandall dotarł do parkingu dokładnie w chwili, gdy odjeżdżała stamtąd limuzyna kongresmana. Pomachał uprzejmie. Kierowca Pierre przyłożył dłoń do daszka czapki. David Lane Dilbeck pozostał niewidzialny za przyciemnionymi szybami.

Na dolnej wardze Orly'ego rozwijała się paskudna narośl. Erin nie mogła na niego patrzeć, mimo że toczyli właśnie zażartą sprzeczkę. Wpatrzyła się w obite imitacją czerwonego pluszu ściany, gdy tymczasem jej szef mówił, że nie ma mowy, żeby wzięła wolną noc w sobotę.

- To byłoby dwa razy w tym tygodniu!
- Potrafię liczyć — odparła Erin.
- Odpowiedź brzmi: W żaden pieprzony sposób. Coś mi się wydaje, że szykujesz się na następną balangę.
- Owszem — przyznała. — Z kongresmanem Dilbeckiem.
- Kurwa! — Orly nie miał wyjścia, musiał się wycofać. Nie chciał wkurzać polityka i z całą pewnością nie uśmiechało mu się, żeby ten cholerny Moldowski znowu urywał mu jaja.
- Będę pracowała na dwie zmiany w poniedziałek — obiecała Erin.
- No jasne. — Orly w zamyśleniu skubał wrzód. — Ciekaw jestem, jaki on jest? — zapytał.
- Nic szczególnego.
- Dobre napiwki?
- Niezłe — przyznała Erin. Wiedziała, do czego zmierza jej szef.
- Nie spałam z nim — dodała. — Może pan zapytać Shada.
- Już to zrobiłem.

— I co powiedział?

— Że tylko tańczyłaś.

— Niech pan nie robi takiej zdziwionej miny.

Orly wzruszył pulchnym ramieniem.

— Jest wielką szycią. Tacy faceci zazwyczaj chcą pełnej obsługi.

Dziewczyna poczuła, że zaczynają ją swędzić ręce. Zawsze tak było, gdy zbyt długo przebywała w gabinecie Orly'ego.

— Lorelei ma zapalenie żył — poinformował. — Leci do domu w Dallas.

— Przykro mi.

— Wszystko przez tego pieprzonego węża. Za mocno ścisnął jej nogi.

Erin odważnie zerknęła na twarz Orly'ego. Wyglądał na przygnębiętego i zdeprymowanego. Oczywiście na jego nastrój pewien wpływ miała narośl. Dziewczyna odczuła niemal współczucie.

— Jak było na jachcie? — spytał właściciel „Intymnej Łaskotki”.

— Dobrze, chociaż nie ma tam luster. Tańczyłam na ślepo.

— Będę potrzebował Shada w klubie — uprzedził Orly. — Przy zapasach w makaronie. Ubiegłej nocy jakiś facet o mało nie kopnął w kalendarz.

— Doskonale dam sobie radę sama — zapewniła Erin. — Niech pan posłucha. Wiem, że jeszcze jest wcześnie, ale może już zaczęłam swoje występy?

Szef odparł, że bardzo dobrze, tylko bez wolnych kawałków.

— Nie chcę bić piany, mówię zupełnie poważnie. Nie można się rozbierać pod pieprzonego Jacksona Browne'a.

— Kongresman Dilbeck byłby innego zdania. — Erin wstała i odsunęła krzesło. — A to jest fragment, który spodobał mu się najbardziej.

Zaczęła śpiewać *Down on the boulevard, they take it hard*. Tańczyła w workowatych dżinsach i pantoflach. Atak kickbokserski — cios, cios, prawa noga wysunięta, a potem obrót. *They look at life with such dis-regard*. — Cios, kopnięcie, drugie, szpagat.

Kiedy zakończyła, Orly gwizdnął i oświadczył:

— Cholera.

— Mówiłam panu.

— To był Jackson Browne?

— Tancerki na stołach — oznajmiła Erin — nie wiedzą, ile tracą.

Urbana Sprawł doniosła, że jakiś typ siedzący w zielonym pontiacu trzepie konia. Shad podszedł do drzwi i popatrzył na samochody stojące na parkingu. Zielony pontiac był zaparkowany na samym końcu, niedaleko drogi, i bramkarz dostrzegł jedynie sylwetkę kogoś za kierownicą. Poszedł za barek, po łyżkę do opon, ale w tej samej chwili Orly zawołał go, żeby przerwał bójkę między dwoma mężczyznami przy stole do gry w foosball. — Faceci w szelkach! — ryknął Orly. Zanim Shad dotarł do pontiaca, samochód był pusty. Postanowił pokręcić się po okolicy.

Darrell Grant włamał się do klubu przez drzwi przeciwpożarowe. Siedział już w garderobie, gdy zjawiła się Monique Sr, aby odświeżyć makijaż. Uśmiechnęła się o niego promiennie i zapytała:

— Czy pan jest Kieferem Sutherlandem?

— To ja. — Darrell był naćpany kodeiną, halcionem i jakimiś nieznanymi mu cytrynowożółtymi kapsułkami, które nabył u gazeciarza na Dixie Highway. Jego powieki były na wpół przymknięte, a język przyklejony do zębów. — Szukam pani Erin Grant — powiedział. — Pracuje tutaj na golasa.

Monique Sr poprosiła go, żeby odłożył nóż. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że go trzyma.

— Stracił pan trochę na wadze — zauważyła dziewczyna — od ostatniego filmu. Mam na imię Monique. — Gdy wyciągnęła w jego stronę rękę, Darrell machnął ostrzem. Tancerka krzyknęła i cofnęła dłoń. Na jej palcach pojawiła się strużka krwi.

— Cicho — ostrzegł Grant. Złapał ją za ramię i szarpnięciem posadził sobie na kolanach. Monique Sr prosiła, żeby przestał, i zaciśnęła pięść, by powstrzymać krwawienie.

Darrell potarł szczecinę na podbródku o jej kark. Podrzucił ją na kolanach i oświadczył.

— A teraz wiadomość z ostatniej chwili, słoneczko. Nie jestem Keithem O'Sutherlandem.

— Tak mi się zdawało.

Odciął ramiączka jej stanika, który upadł na dywan. Monique Sr obserwowała w lustrze jego bezmyślny uśmiech i zamglone oczy. Poczula, jak pod nią sztywnieje.

— Proszę mnie puścić. Znajdę Erin — zaproponowała.

— Po co ten pośpiech. — Zauważył zwitek banknotów za jej czarną podwiązką. — Ile tu masz?

— Nie wiem. Może setkę.

— Wspaniale. — Przesunął nóż płazem po jej nodze, wciskając go pod podwiązkę. Poruszył przegubem i podwiązka pękła. Zwitek pieniędzy wpadł do jednej z miseczek leżącego stanika.

— Podnieś to — rozkazał Darrell.

Gdy dziewczyna się pochylila, stwierdził:

— Trzeba przyznać, że masz kawał cyca.

— Proszę mnie puścić.

Wsunął nóż za prawe ucho jak ołówek. A potem objął Monique Sr od tyłu i schwycił dłońmi jej piersi.

— Według mojej oceny — oszacował — są mniej więcej trzy razy większe od tego, co ma moja była żona.

— O kurwa! — jęknęła tancerka — Teraz już wiem, kim jesteś.

Machnęła do tyłu łokciem, trafiając go prosto w prawą skroń.

W jego pozbawionych życia niebieskich oczach nie pojawił się nawet najmniejszy ślad bólu. Otoczył klatkę piersiową dziewczyny obiema rękami i ścisnął. Gdzieś w głębi jego gardła zrodził się pomruk, który zaczął narastać w melodyjne mruczando.

Monique Sr, która przez osiem lat uczyła się grać na fortepianie, poznała wysokie C z krzyżykiem. W nie mniejszym stopniu zaskoczyła ją siła mężczyzny. W lustrze widziała, jak jej twarz staje się coraz bledsza. Ściany zaczęły pulsować w rytm wypełniającego jej głowę niesamowitego pomruku Darrella.

Gdy Monique Sr odzyskała przytomność, usłyszała, jak Grant mówi do niej:

— Obudź się, Mała Dorotko. — Czują jego nogi podrygujące pod jej pośladkami, i uświadomiła sobie, że w dalszym ciągu trzyma ją na kolanach. Otworzyła oczy i zobaczyła w lustrze, że rozciął jej również minifigi.

— Jeżeli chcesz mnie pieprzyć, to się pospiesz — warknęła.

Darrell poruszył się pod nią.

— Bardzo bym chciał, ale chyba straciłem rozpęd.

— W takim razie puść mnie. Od dziesięciu minut powinnam występować w klatce.

— Siedź — rozkazał. — Może jak znowu pościskam twoje cyczki...

— Nie — odparła. — Tego wieczoru nic już z ciebie nie będzie. Czuję to.

— Zamknij się!

— Nie twoja wina, kochanie. Wszystko przez te prochy.

Darrell Grant jedną ręką gmerał przy rozporoku. Ale właściwie nie było po co.

— Zobacz, co zrobiłaś — uskarżył się płaczliwie.

— Nie moja wina.

Przesunął czubkiem noża po śladach zostawionych przez bikini.

— A co powiedziałaabyś na mały tatuaż? Bądź pierwsza w całej klasie.

— Proszę, nie skalecz mnie znowu — Monique Sr zwróciła się do niego błagalnym tonem. Tancerka z bliznami nie bardzo mogła liczyć na pracę, a już z pewnością nie w dobrym klubie.

Gdy ukłuł ją czubkiem noża, obiecała zrobić, co tylko zechce.

— Dobra dziewczynka — pochwalił.

Otworzyły się drzwi i do garderoby weszła Erin. Kilka sekund trwało, zanim cała scena dotarła do jej świadomości: Darrell Grant rozparty w krzesło, Monique Sr dygocząca na jego kolanach, błysk stali opartej o opalony brzuch koleżanki.

Jej eksmąż zachichotał.

— Idealnie. Zamknij te cholerne drzwi i przysuń sobie krzesło.

Erin od razu się zorientowała, że jest naprany, i pożałowała, iż zostawiła rewolwer w domu.

— Mam zamiar dać tej damie przelot jej życia, a ty będziesz patrzyła — oświadczył.

— Jasna cholera — jęknęła Erin. Usiadła i mrugnęła do Monique Sr, której jednak wcale nie podniosło to na duchu. Dziewczyna podniosła rękę i pokazała krew.

— Urządzimy dla ciebie peep show — zakomunikował Darrell.

— Kiedy tylko będziesz gotów — odparła Erin, krzyżując nogi.

Grant przestał się nieprzytomnie uśmiechać i wydał wargi w dzieciennym skupieniu. Poleciał Monique Sr, żeby go dotknęła. Wyjaśniła, że już to robiła.

— W takim razie — rozkazał — ś c i ś n i j .

— Ściskam — stwierdziła.

— Ni cholery nie czuję.

— No to oboje jesteśmy w takiej samej sytuacji — skonstatowała Monique Sr.



Erin złożyła ręce na piersi.

— Czekam, panie Seksmaszyno.

Darrell zmrużył oczy, napiął się i wyszczerzył zęby.

— Może powinieneś wziąć na przeczyszczenie — zasugerowała była żona.

Monique Sr zdała sobie sprawę, że się śmieje. Mięśnie mężczyzny — ramiona, nogi, szyja — zwiotczały.

— Niech cię cholera — burknął do Erin.

— Doskonale. A teraz puść Monique i omówmy wszystko jak do-  
rośli ludzie.

— Nic z tego, dopóki nie zaprowadzisz mnie do Angie.

— Lepiej porozmawiaj z sędzią — poradziła Erin. Nie mogła się powstrzymać. Dokładnie ten sam tekst powtarzał jej bardzo wiele razy.

Dotknął ostrzem noża karku Monique Sr. Po policzkach tancerki spływały łzy i rozpuszczony tusz do rzęs. Erin wiedziała, że koniecznie musi utrzymywać swojego eksmęża w stanie rozkojarzenia. Jaka-  
kolwiek oznaka słabości natychmiast dodałaby mu odwagi.

— Monique, bardzo cię przepraszam — powiedziała. — Darrell  
robi za pierwszym razem paskudne wrażenie.

— Skaleczył mnie w rękę! — zawołała dziewczyna, znowu poka-  
zując ranę. — To nie jest śmieszne, Erin. Daj mu, co chce!

— Chcę mojej córki — warknął Darrell.

— No cóż — odparła Erin. — Już jej nie mam.

Grant kiepsko przyjął tę wiadomość. Zepchnął Monique Sr na  
podłogę i dziko rzucił się na swą byłą żonę. Gwałtowność jego ataku  
zaskoczyła Erin. Próbowwała unieść nogi, żeby go odepchnąć, ale już  
na niej siedział. Krzesło załamało się i oboje runęli na ziemię. Darrell  
wbił kolana w jej klatkę piersiową. Przeklinał ją przy tym i wyzywał  
tak długo, aż stracił oddech. Nie potrafiłaby zliczyć, ile razy nazwał ją  
brudną, głupią kurwą.

Niepokoilią się nożem. Gdzie się podział? Ramiona Darrella zwisa-  
ły po bokach. Przyciśnięta do podłogi Erin nie mogła dostrzec jego  
dłoni ani nawet podnieść głowy.

— Oddaj mi Angie! — wysapał Darrell.

— Miażdżysz mnie — zauważyła Erin.

Monique Sr musiała wybiec, ponieważ drzwi były otwarte

i garderobę wypełniała muzyka taneczna z sali — coś ostrego Glorii Estefan. Niezbyt idealna muzyka, żeby przy niej umierać, pomyślała Erin.

— Kto ją zabrał? — zapytał Darrell.

— Zaprowadzę cię do niej — wyjęczała Erin.

Jego prawa ręka uniosła się. Między kciukiem a palcem wskazującym trzymał ostrze noża.

— Utraciłem moją dziewczynkę — bełkotał, zalewając się łzami.

— To nieprawda — powiedziała.

— Wszystko przez ciebie.

— Darrell, jeszcze nie jest za późno.

Obrócił nóż w palcach, chwytając go teraz za trzonek.

— Czy ty nie rozumiesz? Uciekłem z aresztu. A to znaczy, że nie mam przed sobą żadnej przyszłości.

— Każdy coś czasami spieprzy — stwierdziła uspokajająco Erin.

— Chciałem wyruszyć z Angie w podróż. Już nic z tego. Mam rację?

Jedna z jego powiek była zamknięta. Erin modliła się, aby przeskodziło mu to w skutecznym użyciu noża.

— Jeżeli mnie zabijesz — ostrzegła — nigdy jej nie zobaczysz.

— A jeżeli cię nie zabiję — odparł — będę siebie nienawidził za to, że nie próbowałem.

Erin zawsze uważała, że jej były mąż jest niezdolny do zabicia kogokolwiek, chyba że przez przypadek. Teraz jednak, widząc Darrella bawiącego się tanim nożem, uświadomiła sobie, że być może źle go oceniła. Co będzie, jeżeli ją zabije? Pomyślała bezsensownie, że jej matka byłaby bardzo rozczarowana. Gdyby jej córka została zaszlachtowana, mając na sobie stanik wysadzany cekinami i minifigi — no cóż, rzeczywiście nie mogłaby tego w żaden sposób wytłumaczyć swoim przyjaciółkom w klubę miłośniczek orchidei.

— Darrell — odezwała się.

— Zamknij oczy. Nie mogę tego zrobić, kiedy na mnie patrzysz.

Ale ona nie chciała zamknąć oczu. Przeszywała go spojrzeniem.

— Nie pozwolę ci tego zrobić ze względu na Angelę...

— Zamknij się! — wrzasnął. — Kto tu ma nóż, ty czy ja?

— Nie pozwolę ci.

— Zamknij swoje cholerne zielone gały!

— Dlaczego? — zapytała Erin. — Przypominają ci kogoś?

— O Chryste! — Trzymając oburącz nóż, uniósł go nad głową.  
— Odlóż go, Darrell — poleciła zduszonym szeptem.  
— Nie ma mowy.  
— Darrell, proszę cię. Dla dobra Angie.  
— Kazałem ci zamknąć ślepią!  
— Rzuć ten pieprzony nóż! — Męski głos w drzwiach. Erin poczuła, że Darrell Grant zeszytywniał. Pochylił głowę, czekając, ale nie rzucił pieprzonego noża.

— Juniorze — oznajmił głos. Głos Shada. — Liczę do trzech.  
Erin widziała, jak jej były mąż porusza ustami, licząc po cichu:  
— Jeden Misisipi, dwa Misisipi... — A potem trzask łamanej gałęzi. Tak przynajmniej zabrzmiał ten dźwięk.

Darrell zleciał z Erin jak wyrzucony sprężyną. Teraz do piosenki Glorii Estefan dołączyło się przeraźliwe wycie. Dziewczyna usiadła, osłaniając rękami piersi. W pokoju znajdował się Shad z łyżką do opon w dłoni, pan Orly, ściskający puszkę doktora Peppera, oraz wrzeszczący Darrell Grant. Jego ręka zwisała skrzywiona i złamana nad łokciem. Jasny szpic kości sterczał z przebitej szarej skóry i na przód jego dżinsów kapał czarny płyn.

— Juniorze, liczyłeś zbyt wolno — stwierdził Shad. Zerwał z głowy beret i pochylił lśniąca łysinę w stronę Granta. — Pamiętasz, jak kroileś dynię? Założę się, że tak.

— Wyprowadź go — wymamrotał Orly i zniknął w głębi korytarza.

Erin wstała dygocąc. Rozmazane twarze w lustrze wirowały. Wskazała na odbicie, które najbardziej przypominało twarz jej byłego męża.

— Darrell — powiedziała. — Wiedziałam, że nie będziesz mógł tego zrobić. — A potem dodała: — O Boże, nie czuję się dobrze.

Shad podtrzymał ją jedną ręką, gdy zaczęła osuwać się na podłogę. Jęczący Darrell Grant jakoś zdołał się podnieść i chwiejnym krokiem wybiegł z garderoby. Bramkarz położył tancerkę na niewielkiej sofie i wetknął pod jej głowę pachnącą kurzem poduszkę.

— Zaraz wrócę — oznajmił. — Junior zapomniął swojego noża.

## 27.

Shad przeszukał teren, ale nie mógł znaleźć Darrella. Zakradł się do sąsiadów i zbadał bar z pieczonymi kurczakami, potem salki wypożyczalni wideo położonej nieco dalej na ulicy. Gdy wrócił do „Intymnej Łaskotki”, pontiac zniknął. Ten dupek znowu uciekł.

Erin była zaskakująco spokojna. Skorzystała z telefonu Orly'ego i zadzwoniła do biura szeryfa hrabstwa Martin, aby zameldować, że widziała swojego zbiegłego eksmęża. Opisała jego paskudną ranę i wysunęła sugestię, że Darrell może pojawić się w miejscowym pogotowiu. Gliniarz z drugiej strony w niczym nie przypominał Ala Garcii. Słuchał jej informacji niepewnie i zadawał liczne nieistotne pytania. Erin musiała literować swoje nazwisko trzykrotnie, ponieważ wciąż pytał, czy nazywa się „Aaron, jak ten gracz w baseball”.

Gdy wreszcie skończyła rozmowę, Orly zauważył:

— Mamy przepisy zabraniające mężom i przyjaciółom przychodzenia do klubu.

— Darrell nie jest ani jednym, ani drugim — odparła Erin. — I wcale go nie zapraszałam.

— Czy jest wystarczająco szajbnięty, żeby tu wrócić?

— Trudno zgadnąć, panie Orly. Policja go szuka.

— Cudownie. Może powinniśmy urządzić pojedynek strzelecki na ringu do zapasów.

— Chłopak nie jest w kondycji do walki — stwierdził Shad. — Rozwaliłem mu kość łokciową na proszek.

— Jego co? — zdziwił się pan Orly.

Erin oświadczyła, że wraca do domu, żeby wziąć gorący prysznic. Shad zabrał swój specjal kalibru trzydzieści osiem i pojechał za nią. Nie było najmniejszego śladu zaczajonego pontiaca. Zaparkował koło domu dziewczyny i poczekał, aż światło w jej mieszkaniu zgaśnie. Potem objechał cały blok cztery razy i wrócił do klubu. Zastał Orly'ego w barze od frontu.

— Ci pieprzeni Lingowie — pienieł się z wściekłości właściciel lokalu — próbują ukraść Urbanę. Zaproponowali jej tysiąc papierów.

Shad nic nie odrzekł. Miał wrażenie, że czeka go coś jeszcze.

— A poza tym zakablowali mnie w wydziale zdrowia — oznajmił Orly, ścisząc głos.

— Chciał pan powiedzieć: w wydziale wyszynku?

— Nie, zdrowia. — szef rozłożył żółty papier, rozprostował go gwałtownie kantem dłoni i przesunął po blacie baru w stronę bramkarza. — Przeczytaj — polecił.

W dokumencie oskarżano Orly'ego o używanie „skażonych produktów spożywczych w sposób stwarzający bezpośrednie i nieuniknione zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego”. Shad uznał, że odnosi się to do zapaśniczych zawodów topless w makaronie.

— Cholerne kłamstwo — stwierdził Orly.

— Wiem — potwierdził Shad. — Towar jest zawsze świeży. Osobiście sprawdzam daty ważności na opakowaniach.

— I tak właśnie powiedziałem temu małemu fiutowi.

— I co?

— Mówi, że ma próbkę nieświeżego wermiszelu pobraną z ringu — zapomniałem kiedy, w ubiegły wtorek czy coś koło tego. Zresztą jest to w skardze. Zapakował ją do słoika i wysłał do jakiegoś pieprzonego laboratorium w Miami.

W protokole sporządzonym przez inspektora sanitarnego wymieniono trzy rodzaje bakterii o paskudnie brzmiących nazwach: *Escherichia coli*, *Shigella dysenteriae* oraz *Staphylococcus*.

— Pieprzenie w bambus — oświadczył wykidajło. — Chcą nas wrobić.

— Czytaj dalej — jęknął Orly.

— Hej, co to za bełkot o otworach ciała?

W protokóle bowiem stwierdzano: „W czasie tak zwanych zawodów

zapaśniczych zaobserwowano, iż niektórzy klienci płci męskiej próbowali wkładać wyżej wzmiankowane skażone produkty spożywcze do ust oraz innych otworów ciała występujących kobiet”. Shad przesunął dokument z powrotem w stronę szefa i rzekł:

— Ale to się nie zdarza codziennie. Faceci się upijają i sam pan wie, jak jest.

Orly odwrócił się od baru.

— Przedstawili wszystko jak jakąś obrzydliwość. A w kwestii formalnej, to przecież tylko pieprzony makaron.

Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Sabrina była na głównej scenie, Monique Jr w klatce, a nowa dziewczyna o imieniu Suzette tańczyła na stolikach w pierwszym rzędzie. Powodem do jej chwały był epizod w ostatnim wideoklipie George'a Michaela. Orly twierdził, że grała zakonnice w kolarskich spodenkach.

Kevin puszczał wyłącznie Prince'a, Madonnę albo Mary Mark i ból głowy sprawił, że Shad zaczął się zastanawiać, czy mózg nie puchnie mu od muzyki. Zdjął berecik i położył torebkę z kostkami lodu na swędzącym czubku głowy.

— Gdzie się podziała Urbana? — zapytał.

Orly odparł, że poszła do „Różowej Farmy” negocjować z Lingami.

— I tyle jest warta lojalność. — Milczał przez chwilę. — Czy mają tam maszynę wiatrową? Bo Urbana nie będzie tańczyła blisko niej.

— Słusznie — przytaknął Shad.

— A nie mówiłem? Tysiąc to tysiąc. B

ramkarz poradził mu, żeby się nie martwił.

— Nie zgadza się na pełen kontakt. Nawet za milion.

— A czy przyszło ci do głowy — zareplikował Orly — że może nie będą tego od niej żądali?

Shad dał znak barmanowi, żeby przyniósł szefowi świeżego doktora Peppera. Orly ciągnął dalej:

— Bracia Ling nie są głupi. Wiedzą o zagrożeniu odpowiedzialnością cywilną. Takimi cycami może bez trudu zabić człowieka. — Obliznął krawędź puszki. — Posłuchaj mojej teorii: rezygnują z pełnego kontaktu i mierzą wyżej. Próbują sobie załatwić klasę, wiesz? Być tacy szanowani jak my.

— Szanowani — powtórzył Shad. Pan Orly bywa czasami bardzo

zabawny. Bramkarz poprawił torebkę z lodem tak, żeby pasowała do kształtu czaszki. — Jest pan pewien, że to oni zakablowali?

— A któż by inny? Wciąż są wkurzeni za tancerkę z węzłem, jak jej tam było na imię.

Kevin podszedł do baru i radośnie poprosił o Perriere'a, ale spełniał wyraźnie, gdy poczuł na sobie wzrok Shada. Discjockey szybko się wycofał. Shad rzucił za nim puszką, lecz chybił i Kevin szybko zwił do swojej budki.

— Ten cholerny inspektor sprawdził całą knajpę — skarżył się dalej Orly. — Dosłownie cegła po cegle.

— Tak?

— Prawdę mówiąc, wpadłem w lekką panikę. Wyrzuciłem twój twarożek do kibla.

Shad zamknął oczy.

— Cholera — mruknął.

— Musiałem — usprawiedliwił się szef. — Facet był nieubłagany. Wyłowiłby tego pieprzonego skorpiona i co wtedy? I bez tego groził, że nas zamknie.

— A więc spuścił go pan z wodą?

— Załatw sobie następnego. I daj mi rachunek.

Bramkarz był przybity.

— Mam pieprzonego pecha. To wszystko.

Orly gestem polecił mu, żeby wyszedł z nim na zewnątrz. Nic bardziej nie mogło Shada ucieszyć. Hałas ruchu ulicznego zdawał się kołysanką Brahmisa w porównaniu z bezmyślnym łomotem, który Kevin puszczał przez system stereo.

Na parkingu Orly wybrał sobie nowiutkie volvo i usiadł ciężko na masce.

— A więc co zrobimy z tymi Lingami? Jestem otwarty na koncepcje.

— Mózg mnie boli — oświadczył Shad.

— Jesteś jedyny, komu mogę zaufać.

— Nie jestem podpalaczem, panie Orly. Nie potrafię rozpalić ognia pod pieprzonym *barbecue*.

— No dobrze, w takim razie pomyślmy obaj.

Ciemnoszara acura podjechała i zatrzymała się koło frontowej markizy. Z samochodu wysiadła Urbana Sprawla, ubrana jak na bal

dobroczynny na rzecz zwalczania raka wydawany w Palm Beach. Obaj mężczyźni nigdy nie widzieli jej w tak wspaniałym stroju.

— I co? — W głosie właściciela „Intymnej Łaskotki” brzmiało napięcie.

— Jestem tutaj, prawda? — odpowiedziała pytaniem tancerka.

— A więc dajmy sobie spokój.

Shad spojrzął na Orly'ego.

— Mówiłem panu.

Orly z piskiem zsunął się z maski.

— Poczekaj chwileczkę, dziewczyno. Odrzuciłaś tysiąc dolarów, żeby zostać tutaj i pracować dla mnie?

— Niech pan nie będzie fiutem — odparła z irytacją Urbana.

Shad uścisnął jej rękę.

— Nie musisz o tym przypominać.

— Chciał się bawić w wycieraczki moimi piersiami.

— Kto? — zainteresował się Orly.

— Ling. Próbował opuścić mi ramięczka i...

— Który Ling? — odezwał się Shad.

— Ten mały. Złamałam dwa paznokcie na jego gębie. — Urbana zademonstrowała uszkodzony manikiur. — Nie pracowałabym dla tych skurwieli nawet za milion. — Przecisnęła się między mężczyznami i szybkim krokiem ruszyła do klubu.

— Któryś z nas powinien otworzyć jej drzwi — rzekł Orly.

Bramkarz popatrzył z namysłem w dół ulicy, w stronę odległego, mrugającego neonu „Różowej Farmy”.

— Panie Orly — zwrócił się do szefa. — który to ten mały Ling?

— Czy ma to teraz jakieś znaczenie?

— Nie. Rzeczywiście nie ma.

„Princess Pia” zaczęła przywabiać ryby w dniu, w którym zatonała na głębokości dwudziestu siedmiu metrów nie opodal plaży Fort Lauderdale. Kapitanowie łodzi do nurkowania, tacy jak Abe Cochran, badali złomowany statek regularnie, zwłaszcza w tych dniach, gdy nie starczało im paliwa i energii, i nie mieli ochoty oddalać się zbyt daleko od portu. Miejsce, do którego zabierali swoich klientów, zależało przede wszystkim od tychże klientów. Wytrawni płetwonurkowie za nic w świecie nie zgodziliby się na badanie tak typowo turystycznej



lipy jak nowo zatopiony frachtowiec. Ale turystom to odpowiadało. Byli uszczęśliwieni już samym wydmuchiwaniem bąbelków i oszołamały ich najmniejsze nawet przejawy morskiego życia. Wielu z nich nie odróżniało ryby anielskiej od jesiotra zachodniego i pozostawiało kapitanowi Abe Cochranowi wolną rękę w wyborze podmorskich widoków.

Rankiem szóstego października Kate Esposito i jej przyjaciel weszli na pokład dziesięciometrowej łodzi Cochrańa „Alimony III”. Przyłączyło się do nich czworo młodych agentów biur turystycznych, którzy przybyli do Fort Lauderdale na kongres. Abe Cochran bez trudu ocenił, ile jest warta jego grupa, i położył łódź na kurs prowadzący prosto do wraku „Princess Pia”. Morze było spokojne, a kotwica złapała przy pierwszym zarzuceniu. Agenci turystyczni cierpieli na paskudnego kaca, dlatego Cochran podał im fajki i polecił pływać blisko rufy, żeby mieć ich na oku. W ten sposób Kate Esposito i jej przyjaciel znurkowali do wraka sami.

Kate nauczyła się nurkowania jako nastolatka w basenie YWCA w Bostonie, ale od dawna jej marzeniem było odwiedzenie tropików. Bardzo liczyła na pierwsze spotkanie z mureną i na tę właśnie okazję jej przyjaciel nabył niedrogi aparat fotograficzny do zdjęć podwodnych.

Gdy rzucili się do tyłu z łodzi Abe Cochrańa, Kate zauważyła, że woda jest bardziej mętna, niż oczekiwała. W ogłoszeniach turystycznych używano określenia „przezroczysta jak kryształ”, tymczasem ona widziała zaledwie na odległość trzech metrów przed sobą. Jej rozczarowanie zmniejszyło się jednak, gdy podpłynęła do leżącego na prawej burcie wraku „Princess Pia”. Sprawił na niej wrażenie ogromnego i niesamowitego, zupełnie jak „Titanic”. Razem z przyjacielem przepłynęli wzdłuż ogołoconego frachtowca. Chmury małych prądkowanych rybek pływały tam i z powrotem dynamicznymi susami, a w pewnym momencie ze sterówki wdzięcznie wyfrunęła para lamparcich płaszczyk. Każdy widok powodował chmurę bąbelków wypuszczanych przez podnieconą parę wycieczkowiczów, usiłujących robić zdjęcia każdemu napotkanemu stworzeniu.

Kate była lepszym pletwonurkiem i właśnie ona postanowiła zbadać wnętrze kadłuba. Z filmów dokumentalnych wyświetlanych na kanale Discoveries wiedziała, że mureny wolą ciemne i ustronne

zakamarki. Być może jakaś zamieszkała już w zatopionej „Princess Pia”. Dziewczyna postukała w butlę przyjaciela i znakami zasygnalizowała swój zamiar. Pomachał niezgrabnie i podał jej aparat. Ukryte za maską oczy Kate błysnęły z irytacji. Wpłynęła samotnie przez otwarty luk ładowni rufowej, a chłopak obserwował jej pomarańczowe płetwy znikające wewnątrz statku. Spojrzał na zegarek — daje jej dziesięć minut, a potem wyruszy za nią.

Mleczne słupy bladawego światła przesywały mrok ładowni. Kate Esposito płynęła wolno, po omacku. Powierzchnia metalu była gładka i czysta, ponieważ wrak był zupełnie nowy. Wodorosty zwisały cynamonowymi mackami z brasów, a szkółki narybku migotały jak lśniące okruchy w zamglonym mroku. Gdy dziewczyna wpłynęła głębiej do ładowni, woda stała się chłodniejsza i mocniej napierała na jej nogi. Na tle matowego żelaznego poszycia statku błysnął jakiś przedmiot w kształcie talerza. Kate sięgnęła po niego, doskonale zdając sobie sprawę, że nie może to być nic cennego. Ale mimo wszystko nie spodziewała się, że lśniącym obiektem okaże się szprychowy kapsel z koła samochodu. Śmiejąc się w maskę, wypuściła go z ręki.

Pojawił się przed nią długi, szary kształt. Podpłynęła bliżej i dostrzegła ostre zarysy chromu i szkła. Był to samochód, umocowany łańcuchami do pokładu ładowni! I to żaden stary złom, ale nowa amerykańska limuzyna.

Bardzo dziwne, pomyślała Kate. Na zderzaku odczytała nazwę: Lincoln Continental. Kto chciałby zatopić nowiutkiego lincolna? Może był to dowcip, reklamowy numer jednej ze stacji radiowych. Dziewczyna wypisała palcem swoje imię na warstwie alg pokrywających winylowy dach. A potem zrobiła zdjęcie napisu dla swojego przyjaciela.

Z wyjątkiem pękniętej przedniej szyby continental wyglądał na wyjątkowo dobrze zachowany. Nawet nalepka na zderzaku była cała: **CZY PRZYTULIŁEŚ DZIŚ SWOJEGO ADWOKATA?**

Kate Esposito zauważyła, że pokrywa bagażnika samochodu jest lekko uchylona. O, to idealne miejsce na murenę, uznała. Z siatkowej torby wyjęła garść mrożonych sardynek, które Abe Cochran dał jej, aby miała czym karmić napotkane stworzenia morskie. Wzięła jedną

sztynną rybkę i pomachała nią kusząco nad szczeliną bagażnika lincolna. Ale żaden żylasty zielony węgorz nie pojawił się, aby połknąć przynętę. Po mniej więcej minucie sardynka rozlazła się w jej palcach. Kate wyjęła następną i spróbowała ponownie. I znowu nic.

Nikogo nie ma w domu, pomyślała. Czubkiem płetwy podważyła pokrywę bagażnika. Otworzyła się powoli.

Jej przyjaciel próbował właśnie złapać małego żółwia morskiego, gdy Kate wypadła z luku frachtowca i kopiąc gorączkowo płetwami, pomknęła w stronę powierzchni. Chłopak pospieszył śladem bąbelków do łodzi Cochрана. Dotarł tam, w chwili gdy Kate wypełzła właśnie na tekową platformę do nurkowania i klęczała na czworakach, wyrzucając z siebie śniadanie. Agenci biur podróży mieszali wodę koło dziobu, bulgocząc z podnieceniem przez swoje fajki.

Abe Cochran lakonicznie nakazał wszystkim powrót na pokład. Chłopak Kate zerwał maskę i zapytał dziewczynę, co takiego zobaczyła wewnątrz „Princess Pia”.

— Kraby — załkała — obgryzające martwego adwokata.

Nurkom z biura szeryfa hrabstwa Broward wydobyć ciała Mordecaia i jego kuzynki Joyce zajęło cztery godziny. Zachowanie podwodnej scenerii zbrodni okazało się zbyt wielkim wyzwaniem, szczególnie gdy pojawiło się stadko agresywnych rekinów cytrynowych. Lincolna continentala pozostawiono do następnego dnia.

W południowym dzienniku telewizyjnym poinformowano o odkryciu dwóch ciał wewnątrz wraka „Princess Pia”. Kapitan Abe Cochran odmówił rozmowy z reporterami i podkreślił swoją decyzję, zamierzając się butlą powietrzną na kamerzystę z Kanału 7. Chłopak Kate Esposito był bardziej wymowny. W przeprowadzonym na żywo wywiadzie barwnie opisał odnalezienie przez przyjaciółkę samochodu z martwym prawnikiem. Sierżant Al Garcia, który miał telewizor w swoim gabinecie, natychmiast zadzwonił do przyjaciela w Zakładzie Medycyny Sądowej hrabstwa Broward i poprosił o pozwolenie asystowania przy autopsji. Doktor oczywiście się zgodził. Biorąc pod uwagę nieprzyjemny stan zwłok, raczej nie spodziewał się tłumu widzów.

Garcia, który najpierw zatrzymał się w banku Mordecaia, zjawił się w biurze koronera w Hollywood\* jako ostatni. W skład pechowego zespołu wyznaczonego do przeprowadzenia sekcji wchodził dwaj chirurdzy anatomopatolodzy, trzej detektywi z biura szeryfa i dwóch studentów pierwszego roku medycyny z uniwersytetu w Miami. Izba Adwokacka stanu Floryda odmówiła przysłania swojego przedstawiciela. \* Oczywiście, w stanie Floryda, około dwudziestu kilometrów na południe od Fort Lauderdale (przyp. tłum.)

Przed wejściem do prosektorium Garcia zgasił cygaro i skropił tradycyjnie wodą kolońską Old Spice wewnątrz jednorazowej maski chirurgicznej. Najpierw otworzono worek zawierający ciało Mordecaia i okazało się, że kraby były dokładne. Czaszka została właściwie objedzona do czysta, dzięki czemu chirurdzy łatwiej odnaleźli trzy otwory po pociskach małego kalibru. Detektywi z biura szeryfa robili notatki i pokazywali to tu, to tam żółtymi ołówkami numer trzy. Nikt nawet nie odwrócił głowy, gdy zatykający usta studenci rzucili się do drzewi.

Chirurdzy mocno się natrudzili, by rozciąć namoknięty garnitur w prążki martwego adwokata. Garcia przysunął się do stołu i zapytał, czy mógłby sprawdzić kieszenie. Anatomopatolodzy wzruszyli ramionami i cięli dalej.

Sierżant wstrzymał oddech, udając, że przeszukuje ubranie Mordecaia. Jeden z detektywów wyburczał pytanie, czego, do cholery, szuka.

— Tego — wyjaśnił Al Garcia. Trzymał w palcach mały klucz.

Malcolm J. Moldowsky przepuścił południowy dziennik telewizyjny, ponieważ jadł lunch z dwoma stremowanymi senatorami stanowymi i zarozumiałym subskrybentem obligacji z Nowego Jorku. Nie obejrzał też dziennika o szóstej — tym razem bowiem był w łazience, przygotowując się do ważnego obiadu z gubernatorem. Ostatnio stan Floryda nękał właścicieli kopalń fosfatów z powodu odprowadzania radioaktywnych ścieków do wód stanowiących własność publiczną. Przemysł produkcji nawozów sztucznych uważał pomysł oczyszczania odpadów i bezpiecznego ich zakopywania za

wywrotowy, wynajęto więc Moldowsky'ego za sześciocyfrowe honorarium, aby przedstawił sprawę swojemu staremu kumplowi gubernatorowi, dzięki czemu czeplanie się kopalń dobiegłoby końca i atmosfera powróciłaby do normy.

Dla Moldy'ego ubieranie się zawsze stanowiło precyzyjnie opracowany rytuał, zaczynający się od nałożenia skarpetek. Potem przychodziła kolej na bieliznę, koszulę, spinki do mankietów, krawat, spodnie i wreszcie buty. Doprowadzanie do perfekcji węzła na kravacie przez dwadzieścia minut nie należało do rzadkości. Tym razem w czasie tej operacji ktoś zastukał do drzwi wejściowych. Moldowsky'ego zaskoczyło i zirytowało to najście. Ochroniarz w holu powinien go uprzedzić o przybyciu gościa. Moldy, jeszcze z gołymi nogami, podszedł do drzwi, za którymi zobaczył krępego Kubańczyka z gęstymi wąsami, wilgotnym cygarem w zębach i telefonem komórkowym pod pachą.

— Tak? — zapytał ostrym tonem.

— Garcia błysnął odznaką i wszedł do środka. Uśmiechnął się na widok portretu Johna Mitchella.

— Albo ma pan niezwykle poczucie humoru — zwrócił się do gospodarza — albo jest pan jednym z najbardziej chorych facetów, jakich w życiu spotkałem.

— Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska — powiedział Moldowsky.

Sierżant się przedstawił. Moldy zorientował się, że twarz krzywi mu się w grymasie.

— I skąd pan jest?

— Wydział zabójstw.

— Czy są jakieś kłopoty w tym budynku?

— Jestem tego pewien — odparł Garcia — ale nie dlatego tu jestem. A może włożyłby pan jakieś spodnie?

Malcolm J. Moldowsky skinął głową, zniknął w łazience i jak robot skończył się ubierać. Wyszedł, otrzepując nitki z wełnianej marynarki. Przez jego umysł przewijały się setki możliwości, lecz żadna z nich nie była dobra. Zagrał zbyt nierozważnie, wywierając nacisk na przedstawiciela rady administracyjnej. Próba przywołania sierżanta Garcii do porządku wywarła odwrotny skutek.

— Jestem umówiony na obiad z gubernatorem — poinformował Moldy — i trochę się spieszę.

— Ja też — rzekł detektyw.— Jestem umówiony na kręgle z Ivaną Trump.

Ironiczne spojrzenie gliny było nie do zniesienia. Moldowsky usiadł w fotelu. Nakazał sam sobie zamknąć się, być ostrożnym i uważać.

— Czy zna pan adwokata o nazwisku Mordecai? — zapytał Garcia.

— Nie, nie znam.

— Został zamordowany. Hej, wiem, o czym pan myśli, i może ma pan rację. Niewykluczone, że społeczeństwu wyświadczono przysługę, a zabójcy powinniśmy wręczyć medal. Martwy adwokat, to martwy adwokat, prawda?

Moldowsky nic nie odrzekł. Gardło miał tak obolałe, jakby połknął kilka żyletek.

— Nie wdając się w makabryczne szczegóły — ciągnął sierżant — przedstawię pewien scenariusz. W kieszeni nieżyjącego adwokata znaleziono kluczyk do skrytki depozytowej w Lauderdale. A w sejfie była karta z rolodeksa, na niej zaś pańskie nazwisko i numer telefonu...

— Niemożliwe — stwierdził Moldy, myśląc jednocześnie: Ty podstępny fiucie. — A potem dodał: — Sierżancie, absolutnie nie znam tego człowieka.

— Przypuszczam, że pan kłamie, Malcolmie, ale odłóżmy ten drobiazg na inny dzień. Czy chciałby pan usłyszeć, co jeszcze odnaleziono w skrytce bankowej?

— Zupełnie mnie to nie obchodzi. — Moldowsky nie poznawał własnego głosu.

— Diapozytyw Kodaka. — Al Garcia przerwał, aby ocenić reakcję rozmówcy, wyrażającą się w serii mrugnięć. — Fotografię wykonano w klubie striptizowym, a znajduje się na niej pewien dobrze znany kongresman.

Moldy ze stoickim spokojem udawał, że nic o tym nie wie. Bał się spojrzeć w lustro na ścianie — podejrzewał, że górną wargę ma spoczną i drżącą.

Garcia wyjął notes i otworzył długopis bic.

— Czy jest pan pewien, że ten martwy adwokat nie próbował pana szantażować? On oraz kobieta, która nazywała się Joyce Mizner.

Wielki manipulator wstał i poprawił mankiety.

— Sierzancie, naprawdę robi się już bardzo późno. Proszę przyjść jutro do mojego biura.

Detektyw, w dalszym ciągu sondując, radośnie rzucił nazwisko, które Erin usłyszała od Dilbecka:

— A czy zna pan Erba Crandalla?

— Oczywiście — potwierdził Moldowsky. Czuł, że od ciągłego panowania nad mimiką twarzy chwyta go skurecz.

— Skąd go pan zna? — dociekał Garcia.

— Z areny politycznej. Możemy porozmawiać o tym jutro.

— Jasne. — Al zatrasnął notes i wsunął go niezgrabnie do kieszeni płaszcza. Potem wyjął kawałek papieru i przesunął palcem po kolumnie cyfr. Wreszcie wziął telefon komórkowy i wybrał numer.

Na biurku Malcolma Moldowsky'ego zaczął dzwonić telefon. Moldy wbił w niego pełne nienawiści spojrzenie.

— Niech go pan odbierze — poradził sierżant.

Moldy się nie poruszył.

— Nie przepadam za gierkami.

Telefon dzwonił dalej.

— Do pana — przypomniał mu Garcia — O co panu chodzi?

Detektyw wyłączył telefon komórkowy. Aparat gospodarza również ucichł. Garcia uśmiechnął się — czuł się jak Colombo.

— Ma pan zastrzeżony numer — stwierdził.

— Oczywiście — odparł Moldy. — Ale pan jest funkcjonariuszem policji. Wystarczyło zadzwonić do Southern Bell.

— Nie w taki sposób go uzyskałem. — Garcia pokazał kawałek papieru. Była to kopia szczegółowego rachunku z „Holiday Inn” w Missouli, gdzie zabójcy zatrzymali się po wrzuceniu ciała Jerry'ego Killiana do rzeki Clark Fork. Ktoś z pokoju dwieście dwanaście dzwonił pod ten numer tamtej nocy. Rozmawiał dosyć długo — wyjaśnił.

— Nie przypominam sobie takiej rozmowy. — Policzki Moldy'ego płonęły. Zakładał, że Jamajczycy dzwoniли na kartę kredytową, a nie bezpośrednio z pokoju. B e z p o ś r e d n i o !

— Może chce pan skontaktować się ze swoim adwokatem? — zaproponował sierżant.

Moldowsky roześmiał się ostro i powiedział, żeby nie był śmieszny.

— Pański wybór — uznał detektyw. — Jeszcze jedno pytanie, *chico*. Gdzie mógłbym dzisiaj wieczorem znaleźć Davida Dilbecka?

Moldy rzekł, że nie ma pojęcia.

— Doprawdy? A ja słyszałem, że nie może podetrzeć sobie tyłka bez pańskiego pozwolenia.

Opanowanie Moldowsky'ego wreszcie prysnęło. Ryknął na całe gardło. Zaczął tupać nogami, biegać po pokoju i tłukąc pięściami w kredens, przysięgać, że Al Garcia przez resztę swej nieszczęsnej kariery zawodowej będzie wypisywał mandaty za złe parkowanie.

— A więc — zauważył detektyw — jest pan wpływowym człowiekiem?

— Owszem, do cholery.

— A ja pana obraziłem?

— Gorzej, sierżancie.

— W takim razie proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny.

— Garcia wstał. — Znajdę kongresmana na własną rękę. — Poprawił Moldowsky'emu krawat i skonstatował, że wygląda jak milion dolarów. — Ale pańska woda kolońska mogłaby przyprawić o mdłości robala — dodał. — Osobiście wolę coś bardziej dyskretnego.

Gdy tylko detektyw wyszedł, Malcolm Moldowsky niepewnym krokiem podszedł do biurka i schwycił słuchawkę telefonu — narzędzie jego geniuszu, instrument jego zdrady. Znajomy kształt pod dłonią przywracał mu wiarę w siebie, ale teraz Moldy nie był pewien, jaki powinien być jego następny ruch. Do kogo należało zadzwonić, żeby pozbyć się tego straszliwego kłopotu? Kto dysponuje odpowiednią władzą, aby wszystko ukryć?

Nikt, skonstatował pośepnie. Znalezione zwłoki adwokata, jak również tę przekłętą fotografię ze „Żwawego Bobra”. Skrytka bankowa została otwarta, opróżniona, a potem znowu otwarta. Wtedy umieszczono w niej dowody rzeczowe — kartka z rolodexa była sprytnym posunięciem. Ten kutas Garcia miał przynajmniej wyczuć ironii...

Wzrok Moldowsky'ego spoczął na portrecie wielkiego Johna Newtona Mitchella — oczy z ciężkimi powiekami, arogancki uśmiešek. Co on by zrobił, ten sprytny, stary ropuch? „Iść w zaparte przed tymi skurwysynami”. Oczywiście. Do niczego się nie przyznawać, wszystkiemu zaprzeczać. Może się uda. Afera Watergate mogłaby się



wyciszyć i porosnąć kurzem, gdyby... Gdyby Nixon, ten paranoiczny gnom, słuchał, co się do niego mówi.

Słodki Jezu, pomyślał Moldowsky. Muszę znaleźć Davida, zanim to zrobi ten cholerny Kubańczyk.

Zadzwoił pod prywatny numer kongresmana. Dwukrotnie odezwał się sygnał, po czym włączyła się automatyczna sekretarka. Moldy pozostawił krótką wiadomość, lecz bez instrukcji, które tylko zamieszająby Dilbeckowi w głowie. Potem spróbował złapać Erba Crandalla w Atlantic City, ale okazało się, że nie jest zameldowany w żadnym z większych hoteli. Albo Erb gdzieś się zamelinował, albo skłamał, podając miejsce swego pobytu.

Moldowsky poczuł zimny ciężar w piersi. Odłożył słuchawkę i sięgnął po kluczyki samochodu.

Gdzie Dilbeck ma się spotkać ze striptizerką? Czy to dzisiejszej nocy?

## 28.

Erin przyszła do klubu z prezentem dla Monique Sr — przezroczystą jedwabną bluzką od Neimana.

— Przepraszam za tamtą noc — powiedziała. — Darrell to Darrell. Beznadziejna sytuacja.

Bluzka się spodobała. Monique Sr włożyła ją na sceniczny stanik Day-Glo.

— Och, Erin, jest piękna! — wykrzyknęła.

— Ale nie do pracy. Jest dla kogoś szczególnego.

— Szczególnego? Chciałabym... — Obróciła się przed lustrem najpierw w jedną stronę, potem w drugą. — Zgadnij, kto siedzi przy ringu? Garrick Utley.

— Nie możesz brać udziału w zapasach — zaprotestowała Erin. — Przecież masz zranioną rękę.

— Będę nosiła różowe wieczorowe rękawiczki, dopóki się nie zagoi. Pan Orly mówi, że wyglądam jak Mamie van Doren.

Monique Sr opowiedziała Erin o zniechęcającym spotkaniu Urbanu Sprawł z braćmi Ling.

— Żałosne. Zawsze słyszałam, że są obmacywaczami — stwierdziła Erin.

Były jeszcze inne nieprzyjemne plotki z garderoby. Orly ponownie cichaczem obniżył temperaturę do dwudziestu stopni, żeby dziewczynom twardniały sutki. Ponadto dysponująca wieloma perukami Sabrina otrzymała propozycję wystąpienia za trzy tysiące dolarów w pornograficznym filmie w South Beach.

- Zamierza ją przyjąć — poinformowała Monique Sr.
- Gdzie jest?
- W klatce. — Monique Sr zdjęła bluzkę i powiesiła ją na ramiączku. — Jesteś za bardzo ubrana — zwróciła się do Erin.
- Pójdę i powiem jej, że przysłaś.
- Sabrina była jak zwykle uroczą. Czowała w Erin bratnią duszę, ponieważ obie miały niewielkie piersi i drańskich eksmeżów.
- Opowiedz mi o tym tak zwanym filmie — poprosiła Erin.
- Mam się pieprzyć z dwoma facetami w wannie z gorącą wodą, i to wszystko.
- Dlaczego chcesz się zgodzić?
- Sabrina wydawała się zdziwiona pytaniem.
- Bo mi dobrze zapłaca — wyjaśniła.
- Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, dam ci je.
- Oczy tancerki rozszerzyły się z rozbawieniem.
- Trzy kawalki? Daj spokój.
- Ile zechcesz.
- Erin, nic nie rozumiesz. Nie mogę już wytrzymać tych pieprzonych zapasów. Makaron jest równie obrzydliwy jak kukurydza z masłem.
- Ale gdy wystąpisz w pornusie...
- Hej, przecież nie wiesz, jak to jest. Pijacy próbują ci wetknąć zimne spaghetti w tyłek... Jezu, sama powinnaś kiedyś spróbować. — Był to jeden z nielicznych momentów, kiedy Erin widziała Sabrinę wściekłą.
- Porozmawiam z Orlym. Skończymy z tym.
- Posłuchaj, film nie może być gorszy od zapasów.
- Widziałaś kiedyś choć jeden?
- Sabrina przyznała się, że nie.
- No cóż, a ja widziałam — stwierdziła Erin. — Kiedy pracowałam w FBI, przechwycili w porcie lotniczym całą ciężarówkę taśm. Pewnej nocy agenci urządzili sobie w piwnicy prywatny przegląd.
- Ciekawość Sabrinę była nieklamana.
- I jakie one są? Rzeczywiście takie paskudne?
- Wiesz, co to znaczy ujęcie ze spustem?
- Sabrina zaprzeczyła. Erin wyjaśniła.
- Bee — Sabrina się zaczerwieniła.

- Reżyser nic mi o tym nie mówił.
- Jasne.
- Pozwól, żebym wszystko sobie przemyślała.
- Nie spiesz się — poradziła Erin.

Sabrina poprawiła szminkę na wargach i wróciła na salę. Do garderoby weszła Urbana Sprawł i zademonstrowała swoje połamane paznokcie.

- Mężczyźni są zakałą świata — oznajmiła.
- Generalnie rzecz biorąc, owszem — zgodziła się z nią Erin.
- Chyba lubisz tego kubańskiego gliiniarza?
- Jest szczęśliwie żonaty.
- Kolejny pożeracz serc.
- Jego żona opiekuje się moją córką — poinformowała Erin. —

Ona też jest wspaniała.

- A ty siedzisz tutaj w sobotnią noc.
- Och, mam wielkie plany — odparła Erin. — Dziś w nocy tańczę

dla kongresmana.

- Litości — westchnęła Urbana. — Po co?

Erin ziewnęła i przeciągnęła się, wyciągając ręce nad głowę.

- Ponieważ to mój obywatelski obowiązek.

Rita cierpliwie oczyściła ranę brata.

- Nie bardzo mogę coś poradzić na złamanie — oświadczyła.
- Nawet nie próbuj.
- Co za syf masz na koszuli?
- Mozarella — wyjaśnił Darrell — Nie pytaj.

Rita zrobiła łupki na jego złamaną lewą rękę. Wykorzystała bandażę, plaster i kij golfowy Alberta Alonso. Łopatką kija sterczała koło palców Darrella.

— Gotowe — oznajmiła, odgryzając ostatni kawałek taśmy. — A teraz zniknij, zanim Alberto wróci do domu.

- Skóra Darrella była żółtawoszara. Oddychał szybko.
- Przydałoby mi się trochę morfiny — powiedział.
- Nie mamy morfiny. Może nuprin?
- Jezu Chryste!
- Mówią, że jest lepszy od tylenolu.
- Rita, przysięgam na Boga...

— W porządku, a takie specjalne pigułki dla Lupy? Weterynarz dał mi butelkę, kiedy się oszczeniła.

Darrell Grant popatrzył z nadzieją.

— Psia morfina?

— Tak, chyba tak.

Znalazła butelkę i próbowała odcyfrować nazwę leku. Ani ona, ani jej brat nie słyszeli o nim.

— Tu jest napisane, żeby dawać dwie kapsułki co sześć godzin.

— Doza dla pieprzonego pudła — skonstatował Darrell. — Daj mi cztery i zimnego buscha.

Potem wymiotował przez dwadzieścia pięć minut. Rita wycierała mu brodę i ponaglała, bo Alberto był już w drodze do domu. Darrell oświadczył, że nie jest w stanie nigdzie jechać. Siostra pomogła mu zejść z frontowych schodów i pokazała, gdzie się może ukryć. Miał się wczłogać pod przyczepę.

— Gdzie postawiłeś pontiaca? — zapytała. — Pytam, na wypadek gdyby pani Gomez nałożyła okulary.

— Tam, za Circle K. — Darrell wciskał się pod przyczepę. Ciągnął za sobą usztywnioną łupkami rękę jak kawał drewna. Łopatka kija golfowego złobiła bruzdę w ziemi.

— Przyniosę ci koc — zaproponowała Rita.

— A co z twoimi cholernymi wilkami?

— Nie martw się. Trzymają się po osłoniętej stronie.

— Rita, nie mogę siedzieć tu, pod spodem!

Na podjeździe pojawił się samochód. Siostra przyłożyła palec do ust i zniknęła.

Darrell Grant usłyszał głos Alberta Alonso, zgrzyt żwiru pod jego roboczymi butami, zatraskujące się drzwi...

W pułapce! — pomyślał. Powoli odwrócił głowę w lewo, potem w prawo, aby ocenić warunki panujące w bunkrze. Zastanawiał się, czy przyczepa Rity może spaść z fundamentów i zgnieść go jak pluskwę. Mało prawdopodobne, uznał. Trajler był praktycznie nowy, zastępował ten, który Rita i Alberto stracili w czasie huraganu. Darrell oparł zdrowe ramię o aluminium — odniósł wrażenie, że konstrukcja jest tak mocna, jak tylko to możliwe w wypadku ruchomego domu. Powietrze było tu zimne jak w grobowcu i pachniało intensywnie gryzoniami. Ale mimo wszystko lepiej spędzić noc tutaj niż na śmietniku za „Pizza Hut”, pocieszał się Grant.

Ból w okaleczonej ręce był ostry i nieustanny, chłód przeszywał jego pozostałe kończyny. Przez całe życie Rita powtarzała mu, jaki jest sprytny, przystojny i szczęśliwy. „Możesz dokonać wszystkiego, co zechcesz — przekonywała. — Masz aparycję i potrafisz się wysławiać”. Myśląc o przeszłości, doszedł do wniosku, że małżeństwo z Erin było jego największym wyczynem, najważniejszą szansą życiową. Wszystko zdawało się potwierdzać ów fakt. Do cholery, i tak bardzo starał się być dla niej miły. Próbował przyzwoitego życia — trzeźwość, monogamia, stała praca, wszystkie te pierduły. Po prostu nie był do tego stworzony. Absolutnie nie nadawał się do odpowiedniego zachowania i życia zgodnie z prawem. Erin nawet nie starała się go zrozumieć. Kiedy małżeństwo się rozpadło, jego siostra była bardzo rozczarowana. Darrell wyjaśnił jej: „Potrzebuję dziewczyny, która potrafi myśleć szerzej. Jak ja”.

Teraz, zastanawiając się nad aktualnymi sprawami, Grant skupił się na dwóch problemach — jak powstrzymać palący ból w ramieniu i odebrać Angie byłej żonie.

Po kolacji Rita zajrzała pod przyczepę. Była przygotowana na spotkanie ze swoimi wilkami — miała na sobie maskę łapacza, robocze rękawice i suknię. Darrell zauważył, że do swojego stroju dodała plastikowe osłony na łydki.

— Przyniosłam ci trochę pieczonego kurczaka — powiedziała. — Super chrupki.

Włożyła mu do ust zimne udko. Odgryzł potężny kęs i wypluł kość.

— Czy to pani Gomez zachorowała na raka? — zapytał.

— Nie, jej mąż. Zmarł w sierpniu.

— Założę się, że ma jakieś pigułki.

— Darrell, nie!

— W apteczce w łazience. Jestem pewien. — Podniósł głowę. — Rita, oszaleję z bólu. Proszę.

— Przecież już ukradłeś samochód tej biednej kobiecie.

— Ale jej mąż wyciągnął kopyta, prawda? Po co więc mają się marnować zupełnie dobre lekarstwa, no nie?

— Zupełnie nie wiem, czego szukać.

— Demerol, dilaudids, kodeina. Cholera, przynieś wszystko, na czym jest nazwisko jej starego.

— A potem pójdziesz sobie — nalegała Rita. — Zanim ci cholerni gliniarze znowu się tu zjawią.

— Obiecuję — odparł.

Potrzebował jeszcze czegoś, lecz nie mógł poprosić o to swojej siostry, ponieważ nigdy by się nie zgodziła. Nigdy w życiu.

Nie ma sprawy, pomyślał Darrell, bo wiem, gdzie to jest. Wiem dokładnie, gdzie Alberto go trzyma — w tym samym miejscu co każdy inny pieprzony *macho* w Miami.

W schowku na rękawiczki w swoim samochodzie. Całkowicie załadowany.

Odwołanie obiadu było proste. Prawdę mówiąc, mniej rozkojarzony Malcom J. Moldowsky dosłyszałby nutkę ulgi w głosie gubernatora. „Problemy żołądkowe? — zapytał. Och, jaka szkoda, Malcolmie. Zadzwoń, kiedy poczujesz się lepiej”. Gdy odłożył słuchawkę, gubernator odwrócił się do swojego asystenta i powiedział: „Módlmy się, żeby to był rak”.

Jadąc w stronę wież na Turnberry Isle, Moldy analizował sytuację, próbując opanować panikę. Gliniarz nie ma nic oprócz slajdu Kodaka i rachunku z motelu.

Telefon z Missouli można wytłumaczyć. Będzie twierdził, że miał wówczas gości u siebie w domu. Mnóstwo międzymiastowych rozmów, dzwoniono do niego i od niego. Nietrudno będzie znaleźć kogoś, kto za odpowiednią cenę zezna: „Tak, przypominam sobie, że wujek chłopaka tej a tej dzwonił z Montany. Naprany jak mrówka, pieprzył jak potłuczony. Jak on się nazywał...?”

Fotografia z baru była czymś zupełnie innym. Z całą pewnością ten cholerny Garcia znał związaną z nią historię. Malcolm Moldowsky ścisnął gwałtownie kierownicę, zygzakując w ruchu ulicznym. Przez jego głowę przewijała się wciąż jedna i ta sama koszmarna scena...

Kongresman ubrany jedynie w kowbojskie buty i boksyerskie spodenki, przygnębiony i nieswój na dziobie jachtu. A kubański gliniarz, pykając złośliwie cygarem, krąży jak wygłodzona pantera, wymachując diapozytywem, i zadaje brutalne pytania szybciej niż David Lane Dilbeck jest w stanie wymyślić wiarygodne odpowiedzi.

Dilbeck — rozdygotany, chwiejny, ustępujący. „Tak, sierzancie, to ja jestem na tym zdjęciu. Ja z butelką szampana. Proszę mnie zrozumieć, nie czuję się zbyt dobrze. Potrzebuję pomocy, aby zapanować

nad moimi zwierzęcymi popędami. Proszę zapytać tę panią. Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy...”

Moldy jechał coraz szybciej. Pocięsział się myślą, że kongresman nie ma pojęcia, co się stało z szantażystami, Killianem i adwokatem. Davy nie orientował się przecież, jak drastyczne kroki poczyniono, aby ustrzec go przed skandalem. Ten fiut Garcia będzie mógł wypytować go przez cały boży dzień i wyjść z pustymi rękami. Istniało wiele zbrodni, do których mógłby się przyznać dręczony David Dilbeck, ale morderstwo do nich nie należało. Ruch zamarł przy skrzyżowaniu Golden Glades, ponieważ na jednym z podjazdów złożyła się ciężarówka z naczepą przewożąca wapień. Moldowsky kłął, warczał, stukał wypolerowanymi palcami po tablicy rozdzielczej. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Garcia tak bardzo interesuje się utopionym wędkarzem. Sprawy były w jurysdykcji hrabstwa Broward, a nie Dade. Czego chciał? O co mu chodziło? Przecież ten zwariowany skurwiel przyszedł do niego, nie okazując najmniejszego szacunku czy uprzejmości. Naigrawał się z niego, szydził... zupełnie jakby było w tym coś osobistego.

Samochody posuwały się doprowadzającymi do szału szarpnięciami. W ramach kuracji Moldy oparł obie pięści o klakson. W jadącej przed nim furgonetce kędzierzawa kobieta pokazała mu palcem znak ogólnie uznany za obelżywy, a mężczyzna na miejscu pasażera wystawił przez okno MAC-10, dając mu do zrozumienia, żeby był cierpliwy i przestał, do cholery, hałasować.

Aby się nieco rozerwać, Moldowsky włączył radio i trafił na program z telekonferencją, którego gościem był republikański konkurent Dilbecka, Eloy Flickman. Moldy'ego bardzo pocieszyło to, co usłyszał. Flickman zalecał teraz obowiązkowe podwiązywanie jajowodów wszystkim samotnym matkom starającym się o bony żywnościowe. Któremuś ze słuchaczy wyjaśnił, że rodzący się przemysł turystyczny Kuby zwabia zbyt wielu gości z Europy, toteż tylko bezpośrednie uderzenie nuklearne na Hawanę może wyeliminować powstające niebezpieczeństwo ekonomicznego zagrożenia. Cudownie, pomyślał Moldy. Ten facet jest patentowanym durniem. Dilbeck powinien wygrać wybory w cuglach, o ile tylko nic nie pojawi się w nagłówkach gazet.

Korek uliczny powoli zaczął się rozładowywać. Malcolm Moldowsky przełączył się na stację z muzyką klasyczną i próbował się



rozluźnić. Dzisiejsza misja była nieskomplikowana — usunąć kongresmana z jachtu braci Rojo i trzymać jak najdalej od wszelkich nagich kobiet.

Jeżeli detektyw dotrze tam pierwszy, no cóż... Być może łapówka zdoła coś załatwić? Może tego właśnie oczekiwał Garcia?

Moldy miał taką nadzieję. Życie okazałoby się wtedy o wiele łatwiejsze.

Gdy zapadła ciemność, Darrell Grant zwinął rewolwer z samochodu Alberta i wczuł się z powrotem pod przyczepę. Potem pojawiła się Rita z trzema flakonami lekarstw przepisanych na receptę, a należących do zmarłego Rogelia Gomeza. Darrell wysypał pigułki na dłoń zdrowej ręki i zjadł po trzy z każdej buteleczki. Godzinę później cały świat był rozmazany, ale on czuł się cudownie. Ból ręki zniknął, podobnie jak większość jego krótkoterminowej pamięci. Rita musiała przypomnieć mu, gdzie ukrył skradzionego pontiaca.

Kiedy w końcu zdołał zlokalizować wjazd na autostradę, posuwał się po niej w geriatrycznym tempie. Jego wzrok i refleks były beznadziejne. Łupki zrobione przez Ritę okazały się trwale, lecz niewygodne — kij golfowy przeszkadzał w prowadzeniu wozu. Darrell musiał wystawić rękę przez okno, jakby przez cały czas sygnalizował skręt w lewo. Ponieważ jednak znajdował się w hrabstwie Dade, nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Podróż do Fort Lauderdale zajęła mu dziewięćdziesiąt minut. Przez całą niemal drogę Darrell włókł się za pełznącym wolniutko autobusem kościelnym zielonoświątkowców. Jakimś cudem dostrzegł zjazd na Commercial Boulevard w samą porę, by w niego skręcić. Zatrzymał się przy barku typu „fast-food” nie opodal „Intymnej Łaskotki”, oczywiście pod zakazem parkowania. Obudzony przez ponurego zastępcę kierownika, znalazł sobie inne miejsce. Stąd miał niczym niezakłócony widok na knajpę Orly'ego. Rzęch Erin był zaparkowany niedaleko frontowego wejścia między porsche'em a cadillakiem.

Jakby była kimś szczególnym, pomyślał Darrell.

Zaczął się śmiać. Wszystko dzisiaj wydawało mu się zabawne — widok martwego oposa na autostradzie spowodował, że chichotał

przez całą drogę z Okeechobee Road do Miramar. Były to rzeczywiście prochy klasa. — Niech cię Bóg błogosławi, señor Gomez! — zawołał, salutując niebu kijem golfowym.

Nie minęło zbyt wiele czasu, gdy przed klubem Orly'ego pojawiła się limuzyna. Darrell odniósł wrażenie, że oczy płatają mu figla.

Kierowca, czarny facet w czapce, wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi. Grant pochylił się do przodu, próbując mruganiem przywrócić ostrość widzenia. Spodziewał się zobaczyć tę znakomitość. Wiadomo, że gwiazdy rocka lubią zaglądać do takich knajp. Oglądał kiedyś takie wideo w MTV.

Ale z klubu wyszła i skierowała się do limuzyny jego ekszona! Miała na sobie dzinsy, obszerny biały podkoszulek i sandaalki. W rękę trzymała torbę i pudło z butami. Wyglądało na to, że wcześniej wraca do domu. Była sama. Ani śladu Angie.

Darrell Grant był wstrząśnięty, widząc, że wsiada do limuzyny.

— Ale kurwa — rzekł półgłosem, przekręcając kluczyk w stacyjce pontiaca. — Co ona sobie, do cholery, myśli? Że niby kim jest? No kim?

I znowu zaczął się śmiać.

Gdy limuzyna ruszyła spod klubu, pontiac jechał tuż za nią.

## 29.

Shad poszedł do Searsa i kupił dwa wielkie podwórzowe kubły na śmiecie z zamykanymi na zatrzask pokrywami. Potem pojechał na farmę węzową niedaleko portu lotniczego Tamiami, na zachód od Miami. Mężczyznę, do którego należała, nazywano Juanem z Dżungli. Facet wyjaśnił Shadowi, że większość jego gadziego towaru zniszczył huragan. Towarzystwo ubezpieczeniowe do tej pory nie wypłaciło mu odszkodowania.

— Twierdzą, że mój szacunek strat jest naciągany — poskarżył się Juan. — Ale mam dokumenty na każdego cholernego węża. Poświadczone.

— Takie jak na psy? — zdziwił się Shad.

— *Exactamente.*

— I wszystkie zginęły w czasie burzy?

— Trudno powiedzieć. — Juan z Dżungli z namysłem przesuwał palcami po brylantowym kolczyku. — Najczęściej po prostu znikają z pola widzenia. Zakładam, że część uciekła i że część to ofiary śmiertelne.

Shad próbował nadać swoim słowom ton pewnej nadziei.

— Węże są twardymi klientami — stwierdził.

— Niektóre tak, inne nie. Jednego starego grzechotnika porwał wiatr i trzasnął nim jak biczem. Widziałem na własne oczy.

— Ale szczury i myszy wyszły cało? — dopytywał Shad.

— Rzeczywiście, proszę pana. Ile potrzeba?

— Setka powinna wystarczyć. Same szczury.  
— Ale nie mam białych — odparł Juan. — Same na wpół dzikie norwegi.

— Doskonale.

Klatka miała trzy metry długości i metr wysokości. Była wykonana ze sklejki i drutu, a wewnątrz znajdowała się skłębiona masa gryzoni, na dwa—trzy osobniki gruba. Spodziejając się jedzenia, szczury na widok Juana z hałasem ruszyły w stronę drzwiczek. Właściciel zgrabnie łapał gołymi rękami piszczące zwierzaki i jednego po drugim wrzucał do wielkich pojemników na śmieci.

Shad beznamyślnie obserwował całą scenę. Nie czuł szczególnej odrazy do gryzoni.

— Wygląda na to, że masz nadwyżki — zauważył.

Juan z Dżungli parsknął.

— Szczurów powyżej tyłka i żadnego węża, żeby je żarł. Proszę swoją setkę. — Zatrzasnął pokrywy pojemników i oznajmił:

— Dzięki Bogu, w poniedziałek dostanę transport boa. Mam nadzieję, że będą głodne.

— Była u nas tancerka, która próbowała występować z boa — oznajmił Shad.

— Jaka wielkość?

— Kogo? Węża? Dwa metry z hakiem.

— Do tego lepsze są pytony — stwierdził Juan. — Nie gryzą tak cholernie.

Shad zapytał, ile jest winien. Juan z Dżungli odparł, że pięćdziesiąt dolców.

— Człowieku, ale tanio. — Bramkarz podał mu gotówkę.

— Obniżka pohuraganowa — wyjaśnił hodowca. Muszę przenieść te małe skurwysyny, zanim mi przypieprzą z artykułu jedenastego. Każdego dnia mają dwanaście nowych miotów i jak tak dalej pójdzie, przysięgam, że zaczną zżerać się nawzajem.

We dwóch zanieśli pojemniki do samochodu Shada. Słysząc było odgłos wielu małych łapek drapiących gorączkowo o gruby plastik. Gdy pakowali zwierzęta, Juan zapytał o tancerkę z boa dusicielem. Lysy klient wyjaśnił, że zachorowała i wróciła do Teksasu.

— A co z węzem? — zainteresował się sprytnie Juan z Dżungli.

— Trzymam go w składziku w klubie.  
— Zdrowy?  
— Trochę dalekowidz, ale poza tym w porządku.  
— No cóż, na pewno mógłbym go wykorzystać — skonstatował Juan. — Jeżeli kiedyś chciałby go pan sprzedać.  
— Jeszcze nie — odparł Shad.

Gdy wrócił do klubu, pan Orly zechciał zobaczyć szczury. Bramkarz pozwolił mu zajrzeć do jednego z pojemników.

— Cholera — powiedział jego szef, krzywiąc się z obrzydzeniem.  
— Wszystko załatwione?  
— Tak — potwierdził Orly. — Chciałbym tam być i to widzieć. Pieprzeni Lingowie. — Roześmiał się złośliwie. — Dużo bym dał, żeby mieć wszystko na wideo.

Shad zapytał o Erin. Właściciel lokalu poinformował, że pojechała na spotkanie z tym cholernym napalonym kongresmanem.

— Gdzie? — zainteresował się wykidajło..  
— Przypuszczam, że na łodzi. Ale kogo to obchodzi?

Shad zadzwonił do biura Ala Garcii i zostawił wiadomość. Potem zniknął w składziku i wyszedł z niego z zawiązaną na supeł wielką, brudną poszewką na poduszkę. Orly życzył mu szczęścia.

— Wracaj od razu — polecił. — Będzie tu cholernie dużo roboty.  
— Jak dawno odjechała?  
— Erin? Pół godziny temu, góra. — Orly popatrzył na niego z niepokojem. — Nie martw się o nią. Po prostu bierz z powrotem tyłek w troki, dobra?

Shad krążył wokół „Różowej Farmy” tak długo, aż zobaczył samochód inspektora z wydziału zdrowia, szarego dodge'a aries z żółtymi tablicami stanowymi. Był to odzew na telefon Monique Jr, której bezradnemu dziewczęcemu głosikowi nie potrafi się oprzeć żaden mężczyzna. „Szczury, wszędzie są szczury! — piszczała. — Gryzą mnie, gryzą!” Wydział zdrowia dotrzymał obietnicy i natychmiast kogoś przysłał. Shad wiedział, że inspektorzy rozdeptywali się nawzajem, byle tylko zdobyć takie zadanie.

Bramkarz zaparkował samochód, dostawił drabinę do ściany budynku i wciągnął pojemniki na dach. Wywietrzniki klimatyzacji

sterczały jak niskie kominy na każdym krańcu budynku. Shad podważył przerdzewiałe kratki i wysypał szczury do systemu wentylacyjnego. Odniósł wrażenie, że maleństwa są mu za to wdzięczne.

Lingowie zaszyli się w biurze, chowając się przed inspektorem. Polecili jednej z tancerek stolikowych, żeby go upiła i udobruchała. A wtedy porozmawiają.

Shad wdarł się do środka i zaskoczył obu braci.

— Co jest w worku? — zapytał Ling w czarnym smokingu i czapeczce jankesów. Shad wiedział, że to kierownik sali „Różowej Farmy”. Siedział na poobdzieranej sofie obitej sztuczną skórą w kolorze byczej krwi. Za biurkiem tkwił drugi Ling, ubrany w szary pulower i dwa złote łańcuchy na szyi. On również zainteresował się zawartością poszewki.

— Wstać! — rozkazał Shad.

Obydwaj Lingowie zademonstrowali ten sam irytujący sposób śmiania się przez zęby, połączony z syczącym wciąganiem powietrza. Shad wyjął specjalną kalibru trzydzieści osiem i wystrzelił trzy poszarpane dziury w wiszącym na ścianie portrecie rodzinnym. Jeden z pocisków dziwacznie zdeformował podobiznę babci Lingów. Bracia zdawali się co nieco wstrząśnięci.

— Bingo — oznajmił łysy intruz. — Kto następny?

Lingowie wstali szybko. Bramkarz z „Intymnej Łaskotki” ustawił ich plecami do siebie na środku pokoju.

— Chcesz nas zastrzelić? — odezwał się jeden z Azjatów.

— Nie — odparł Shad. — Chcę was zmierzyć. Zdejmij tę cholerną czapkę.

Szybko ustalili, że Ling w smokingu jest przynajmniej pięć centymetrów wyższy od Linga w złotych łańcuchach.

— A, więc to ty — zwrócił się do tego niższego — łapałeś za cycki moją przyjaciółkę.

Niższy Japończyk zmarszczył się ze złością. Na jego policzku wyraźnie widać było ślady paznokci Urbany. Ktoś zastukał do drzwi i Shad schował rewolwer za pasek spodni.

Rozległ się zdenerwowany głos osobnika nieokreślonej płci:

— Panie Ling, niech pan szybko przyjdzie! Natychmiast! — Przez muzykę taneczną przewiercił się krzyk kobiety. Bracia popatrzyli na

siebie z niepokojem. Shad polecił temu w smokingu, żeby wyszedł i sprawdził, o co chodzi.

— Może powinniśmy zadzwonić po policję — zaproponował wyższy Ling.

— Proponowałbym raczej deratyzatora — poradził Shad.

Wyższy z braci nacisnął mocno obiema rękami czapkę tak, że daszek niemal dotykał czubka jego nosa, i bez słowa wymknął się z gabinetu. Shad zamknął drzwi na klucz i popchnął mniejszego Linga na obrotowy fotel.

— To nie twój interes — zaprotestował Azjata. — Ten twój szef cię napuścił. Pan Pieprzony Człowiek Mafii.

Łysol wykręcił mu rękę, żeby sprawdzić czas na fałszywym rolek-sie. Robiło się późno. Ling wyszarpnął ramię.

— Gruby Tony, pieprzenie w bambus — rzucił, zapluwając się niechęć. — Orly pewnie myśli, że my głupi, co? Mafia jest i w Japonii. Mnóstwo pieprzonej mafii!

Shad rozwiązał węzeł poszewki. Czuł się spokojny i szczęśliwy, i był to rzadki moment moralnej czystości.

— Nie łapałem za niczyje cycki — skłamał Ling.

Łysy bramkarz otworzył poszewkę i przechylił ją w stronę wiszącej pod sufitem lampy, tak żeby można było zajrzeć do środka.

— Czuję się z tym dobrze — oznajmił, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Ling dostrzegł wijące się ruchy na dnie worka. Bez trudu rozpoznał kształt ciężkich, muskularnych zwojów ocierających się o materiał.

— Lepiej tego nie rób! — wrzasnął.

Shad rozkazał mu wstać i opuścić dzinsy. Japończyk odmówił, więc Shad wyciągnął rewolwer i szturchnął nim Linga w pępek. Ten zacisnął zęby i oświadczył:

— Wolę raczej zostać zastrzelony na śmierć. Ale zrób to szybko.

Co za aktor z tego typu, pomyślał Shad. Ling patrzył z niepokojem na poszewkę.

— Jesteś chorym człowiekiem — skonstatował.

— Doprawdy? Przecież to ty pociąłeś biednego Bubbę na kawałki.

Azjata skrzywił się ze zdziwieniem.

— Bubbę?

Shad palnął go w skroń kolbą rewolweru i mniejszy Ling upadł, na chwilę tracąc przytomność. Obudził się nagi, rozpalony i w niewygodnej pozycji. Wisiał bowiem na drzwiach gabinetu, przywiązany za przeguby do haka na ubrania.

Mały Ling kłął i wił się, tłukąc o drzwi łokciami i piętami. Z głębi korytarza dobiegały odgłosy narastającego chaosu. Wyciągnięty na sofie Shad zajmował się uwolnionym boa dusicielem. Lorelei zapomniała przed wyjazdem z miasta zdjąć plaster krępujący wężowi paszczę.

— Co robisz? — zapytał Japończyk.

— Staruszek jest prawie zamorzony głodem — wyjaśnił łysy wykidajło. Umieścił gada na podłodze pod wiszącymi bezradnie nogami. Gdy piaskowobrazowa masa zaczęła się rozwijać, mniejszy z Lingów zrobił grymas przerażenia. Boa, który zasadniczo jest stworzeniem żyjącym na drzewach, szukał czegoś, po czym mógłby się wspinać. Z braku drzewa wybrał gołą nogę Azjaty. Im energiczniej wisielec wierzgał, tym mocniej wąż zaciskał sploty.

— Wiesz co? — odezwał się Shad. — Twój fiut wygląda zupełnie jak chomik.

Po krótkiej chwili namysłu Ling wydał serię przeraźliwych, wysokich wrzasków. Język boa delikatnie jak piórkiem badał jego drżącą skórę.

— On mi odgryzie siusiaka! — zawołał.

Shad uznał, że jest to bardzo śmieszne.

— Twojego co? Tak go nazywacie u was w Japonii?

— Weź ze mnie tego węża, do cholery!

Boa kontynuował swoją złowróżbną wspinaczkę.

— Byłeś bardzo niegrzeczny — wyjaśnił jego dręczyciel — łapiąc moją przyjaciółkę za piersi.

— B-b-bardzo przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. — Ling zaczął żałośnie skomleć. — Niektóre dziewczyny nie mają nic przeciwko temu.

— Och, poważnie w to wątpię. — Shad zastanawiał się, jak długo hak utrzyma ciężar Japończyka.

Ling z wysiłkiem zmusił się, by znieruchomieć. Obawiał się, że dalsza szamotanina zdenerwuje gada.



— Proszę — wyszeptał błagalnie — Zdejmij go ze mnie! Zrobię wszystko, co zechcesz!

Shad ziewnął. Ściągnął beret i przesunął dłonią po głowie. Język boa wysuwał się i chował błyskawicznymi ruchami, celując mniej więcej w stronę pomarszczonego organu Linga.

— Oho, ho — powiedział bramkarz z „Intymnej Łaskotki”.

Biedactwo rzeczywiście było głodne.

Ling obwisł bezwładnie na drzwiach, pojękując mimowolnie.

— On ma zamiar mnie zjeść — stwierdził. Zamglone oczy boa śledziły każde drgnienie nieszczęsnego członka Azjaty.

— Jeżeli zachowujesz się jak zwierzę, jesteś traktowany jak zwierzę — oznajmił Shad. — Pamiętaj o tym.

— P-p-powiedziałem przepraszam.

Łysy wykidajło skrzywił się w gorzkim uśmiechu.

— „Przepraszam” to odpowiednie słowo.

Głowa węża uniosła się płynnym ruchem i jego jasny, muskularny kark wygiął się w kształt litery „S”.

— Przygotuj się — ostrzegł Shad.

— O mój Boże!

— Nie bądź taki mazgaj. Nawet nie jest jadowity.

— Ale mój siusiak!

Atak boa był tak szybki, że oko ludzkie nie zdołało go dostrzec, Ling poczuł ukłucie zębów, zanim jego umysł zarejestrował obraz uderzającej otwartej paszczy węża. Zemdlał w połowie wrzasku.

Gdy odzyskał przytomność, leżał twarzą do dołu na zakurzonej, wystrzępionym dywanie. Po Shadzie i boa dusicielu nie było ani śladu. Kiedy Ling przetoczył się na plecy, wysiłek wywołał eksplozję bólu między jego nogami. Jedną ręką ostrożnie zbadał zaatakowany organ i po chwili westchnął z wdzięcznością. Był ugryziony, ale cały i na swoim miejscu. Z pełną wyczerpania ulgą Ling zamknął oczy.

— Chory człowiek — powiedział. — Bardzo chory człowiek.

Jego uwagę zwrócił dobiegający od strony sufitu cichy dźwięk.

Otworzył oczy w samą porę, by dostrzec grubego brązowego szczura wyskakującego z przewodu klimatyzacyjnego. Gryzoń wylądował z poirytowanym piskiem prosto na smutnym i zdziwionym obliczu Linga.

Niektórzy z klientów „Różowej Farmy” byli tak pijani, że inwazja gryzoni w ogóle nie wywarła na nich wrażenia. Tancerki i kelnerki zareagowały jednak w bardziej inteligentny sposób — uciekły. Wszystkie tańce pełnokontaktowe ustały. Większy z braci Lingów uzbroidł swoich dwóch bramkarzy w aluminiowe kije do baseballa i zarządził gwałtowny, lecz nieskuteczny kontratak. Gryzonie okazały się szybkie i zręczne. Jakby kierowany palcem opatrności, jeden szczur wyskoczył z reklamy micheloba, aby napaskudzić do whisky inspektora.

Shad obserwował wszystko ze stołka przy barze. Uznał, że wydarzenia przybierają zupełnie pomyślny obrót. Akt sabotażu nie był szczególnie wyrafinowany, ale pan Orly nie powinien był oczekiwać cudów w tak krótkim czasie. Szef chciał spalić tę knajpę! Pożar na cztery wozy bojowe byłby bardziej satysfakcjonujący z widowiskowego punktu widzenia, ale nie wyłączyłby braci Ling z interesów. Po prostu odbudowali by lokal za pieniądze z ubezpieczenia i najprawdopodobniej przy okazji ulepszyli — nowe markizy, nowy wystrój, nowy system dźwiękowy. Orly'emu taka perspektywa wcale się nie podobała i dlatego uwzględnił jako alternatywę plagę szczurów. Wiadomość o gryzoniach powinna być katastrofą dla „Różowej Farmy”.

Ekipa telewizyjna wygrała wyścig z policją o pięć minut. Na scenie przepiękna naga Brazylijka kłęzczała, tłukąc w kawałek pozbawionego życia futra. Jej bronią był standardowy pantofel na wysokim obcasie i przy każdym uderzeniu piersi tancerki kołysały się jak dzwony kościelne. Shad zastanawiał się, w jaki sposób pracownicy telewizji zmontują taśmę tak, aby dała się wyemitować w dzienniku o jedenaściej.

Wyszedł na parking, żeby popatrzeć na przyjeżdżające radiowozy — przestał liczyć po dziewiątym. Autobus pełen sierotek mógłby spikować z mostu i nie doczekałby się tyłu gliniarzy. Shad uśmiechał się cynicznie. Nic nie było w stanie sprowadzić kawalerii na odsiecz tak szybko jak striptizerki w opałach.

Jedna z tancerek, drobna brunetka, rozpoznała go w zbierającym się tłumie.

— Pracujesz w lokalu przy tej samej ulicy.

— Do dzisiaj.

— Mniej więcej dwa miesiące temu byłam u was na próbach.

Kiedy lokal nazywał się jeszcze „Żwawy Bóbr”.

Shad powiedział, że przypomina sobie, chociaż nie była to prawda. Dziewczyna wciągnęła długi różowy sweter, aby okryć nim przezroczysty kostium sceniczny. Shad uznał, że wygląda wyjątkowo atrakcyjnie. Zaczynał uwielbiać ubrane kobiety.

Brunetka wskazała na poszewkę.

— Co tam masz?

— Boa dusiciela — odparł. — Chcesz go?

— Po co?

— Do występów.

Dziewczyna odmówiła z podziękowaniem.

— Jedna tancerka z wężem w mieście wystarczy — stwierdziła.

— Ale Lorelei wyjechała — wyjaśnił Shad. — Tereny łowieckie są wolne.

— Bo ja wiem? Nie przepadam za węzami.

— A kto, do diabła, przepada? — Podał jej boa w poszewce. —

Przemyśl to — poradził. — Przygotuj numer.

Wrócił do „Intymnej Łaskotki” i poinformował Orly'ego, że szczyry odniosły wspaniały sukces. Szef oznajmił, że domyślił się tego, bo lokal wypełnili klienci wypłoszeni z „Różowej Farmy”. Chciał się też dowiedzieć, czy honor Urbany został pomszczony, więc Shad opisał mu przejścia młodszego Linga. Orly śmiał się tak, że parsknął wodą sodową przez nos.

— Te dupki — wybulgotał — są skończone.

— Gratuluję — rzekł Shad odwracając się.

Właściciel „Łaskotki” polecił mu, aby sprawdził stolik numer cztery.

— Siedzi przy nim banda zaćpanych rockersów. Jeden z nich ma cholerne dildo.

— Muszę sprawdzić, co z Erin — przypomniał Shad.

— Ni cholery. Pracujesz dziś na sali.

— Nie, panie Orly. Mam już tego dosyć. — Przeskoczył przez bar, otworzył kasę i wyjął z niej sześćdziesiąt cztery dolary. — Wczorajsza pensja — wyjaśnił, układając banknoty w wachlarzyk. — Dzisiejsza robota była za friko. — Odszukał książkę Camusa w miękkiej oprawie i wsunął ją za pasek.

— Do cholery, nie możesz ode mnie odejść! — zaprotestował Orly.

— Nadeszła pora.

— Co, do kurwy nędzy, chcesz przez to powiedzieć? „Nadeszła

pora”! — Zagroził bramkarzowi drogę. — Chcesz podwyżkę? Tak wygląda twoja metoda wyciągania ode mnie forsy? Shad chwycił go za miękkie ramiona.

— Duszę się w tym świecie — oświadczył.

— Bądź poważny — perswadował Orly uwalniając się. — Dupecji od ściany do ściany, a ty się dusisz? Wybacz, że nie załamuję się i nie wybucham płaczem.

— To nie pańska wina, panie Orly. Widziałem już zbyt dużo.

Szef zaproponował mu wakacje. Zasugerował, żeby Shad wziął tydzień wolnego, poleciał na wyspy i urządził sobie systematyczne bara-bara. Ale tamten pokręcił głową.

— Tydzień nie starczy — odparł.

— W takim razie weź dziesięć dni.

— Pan mnie nie rozumie, panie Orly. Muszę zupełnie z tym zerwać. Zatraciłem umiejętność dziwienia się.

— Och, na litość boską! — jęknął właściciel lokalu. Zaprowadził wykidajkę do cichego kąta, daleko od parkietu. — Kim chciałeś zostać, gdy byłeś małym chłopcem? Czy rozbijanie głów w barze ze striptizem stanowiło twoją życiową ambicję?

— Chciałem grać w drużynie „Fortyniners” — przyznał się Shad.

— W porządku. I co się stało?

— Wypieprzyli mnie w dziewiątej klasie.

Orly wywrócił oczy.

— Chodzi mi o to, że prawie nikt nie zostaje tym, kim pragnął. Każde marzenie obraca się w gruzy. Ja na przykład marzyłem, żeby zostać położnikiem. — Machnął pulchną ręką w kierunku oświetlonej stroboskopowymi lampami sceny za jego plecami. — A to jest najbliższe moich marzeń. Nadażasz? Tak wygląda stawianie czoła rzeczywistości.

Shada nieco zbliła z tropu komiczna informacja o medycznych aspiracjach pana Orly'ego i uznał ją za jedno z najbardziej spektakularnych kłamstw, jakie kiedykolwiek słyszał.

— Istnieją różne rodzaje rzeczywistości — wyjaśnił — Chcę, aby do mojej wróciła tajemnica.

— Pieprzę tajemnicę. Porozmawiajmy o lojalności. Gdy cię zatrudniałem, do cholery, miałaś jeszcze brwi. I to było dawno temu.

Shada nie wzruszyły sentymentalne wspomnienia. W jego pamięci nie zapisała się żadna bożonarodzeniowa podwyżka.

— Czy ci się ten fakt podoba, czy nie, masz do czynienia z boskim planem dotyczącym twojej osoby. Do tego zostałeś stworzony...

— Powinien pan być kaznodzieją w telewizji — zauważył bramkarz.

— Jeżeli chodzi ci o skorpioną, mówiłem przecież, że mi przykro z tego powodu. Rzecz w tym, że się spietrałem, gdy wszedł inspektor.

Shad zapewnił, że nie ma sprawy.

— No wiec co, kurwa mać, mam jeszcze powiedzieć?

— Tylko *adios* — odparł Shad.

Orly zwiesił głowę, godząc się z klęską. Potrząsnął gigantyczną dłonią swego dotychczasowego pracownika mówiąc:

— Przypuszczam, że dostałeś jakąś propozycję.

— Nie, ale mam pewne ciekawe plany. — Duży mężczyzna pożegnał się i przygnębiony właściciel „Łaskotki” obserwował, jak wielka, lśniąca perłowo kopuła płynie nad tłumem w stronę drzwi.

Urbana Sprawł zeskoczyła ze stolika i objęła Shada czule na pożegnanie.

— Mój bohater — zamruczała.

— To właśnie ja, dziecino — przytaknął, po czym wyjął z kieszeni czerwony beret i nałożył go pod zawadiackim kątem dziewczynie na głowę. — Erin jest na jachcie? — zapytał.

— Tańczy z całej duszy.

— O co jej, do diabła, chodzi? — Shad musiał przekrzykiwać rapowy kawałek, który Kevin sadystycznie puszczał na dziewięćdziesiąt decybeli.

Urbana odwrzasnęła mu do ucha:

— Coś mi się wydaje, że szykuje jakąś drakę!

Muzyka miała chyba wpływ na zdolność widzenia i zmysł równowagi Shada. Każdą basową nutę odbierał jak uderzenie młotem w mózg. Zastanawiał się, ile potrzebowałby pocisków, żeby załatwić głośniki na ścianach.

— Naprzód i do góry — powiedział do Urbany Sprawł i precyzyjnie się do wyjścia z sali.

Eleganckie mieszkanie Malcolma J. Moldowsky'ego znajdowało się dwadzieścia minut jazdy samochodem od domku stanowiącego własność Jessego Jamesa Bradena i jego żony. Dla Ala Garcii równie dobrze mogło się znajdować w drugim końcu wszechświata.

Jesse James Braden został zamordowany z powodu dwóch powiązanych ze sobą wydarzeń. Dokładnie o siedemnastej dziesiąt szóstego października. Braden wylał shaker „krwawej Mary” na świeżo upraną tapicerkę toyoty camry swojej żony. Było to pierwsze wydarzenie. Dokładnie o siedemnastej jedenastej ryknął śmiechem na widok tego, co zrobił. Było to drugie wydarzenie.

A dokładnie o siedemnastej dwanaście żona Jessego Jamesa Bradena wywlokła go z samochodu i śmiertelnie postrzeliła w genitalia.

Opinie sąsiadów na temat tego, czy pani Braden zareagowała przesadnie, były podzielone. Świadkowie zgodnie stwierdzali, że Jesse był zatwardziałym grzesznikiem i często zachowywał się w sposób prowokujący do zabójstwa. Nie tyle zresztą samo postrzelenie wywoływało ożywione dyskusje, ile obrany przez panią Braden anatomiczny cel. Mężczyźni w tłumie, zarówno trzeźwi, jak i wręcz przeciwnie, byli zdania, że takie zwykłe rozlanie napoju alkoholowego — i późniejszy mało elegancki śmiech — niezbyt usprawiedliwiają trzy strzały oddane w męzowskiego penisa. Kobiety z sąsiedztwa jednak zapewniały, że denat otrzymał, na co zasłużył — sprawiedliwą karę za lata świńskiego uganiania się za dziwkami, pijackiej przemocy i ogólnie rzecz biorąc, niewłaściwego zachowania. Jesse James Braden, potwierdzały, nie szanował ani żony, ani jej osobistych rzeczy.

W tę burzliwą dyskusję punktualnie o osiemnastej czterdzieści siedem wkroczył Al Garcia. Nie miał najmniejszej ochoty się tu znaleźć — chciał czekać w zasadzce na autentycznego członka Kongresu Stanów Zjednoczonych, potem okazać odznakę i warczącym tonem odczytać mu prawa, napędzając skurwielowi stracha. Przeczynał, że facet się rozsypie i zacznie gadać. Garcia tęsknił do tej chwili.

A tymczasem stał na frontowym trawniku, który niczym nie różnił się od miliona innych trawników, z tą jedynie różnicą, że mężczyzna, który go kosił, leżał obecnie w rabatce z odstrzelonym fajfusem.

Pielęgniarze orzekli, że Jesse James Braden wykrwawił się równo w trzy minuty. Oświadczyli, że sikało z niego jak z hydrantu.

Sierżant liczył na to, że uda mu się skończyć zbieranie zeznań w ciągu godziny, ponieważ relacje świadków były zgodne w każdym szczególe, z wyjątkiem ostatnich słów Jessego Jamesa Bradena — wygłoszonej przez niego krótkiej, ale pełnej inwektyw tyrady. Jego żona, bezpiecznie skuta w kajdanki, upierała się, aby pokazać Garcii plamy soku pomidorowego na siedzeniu samochodu. Żądała, by fotograf policyjny zrobił ich zdjęcie, żeby sędzia sam mógł ocenić, co zrobił ten nic niewart Jesse. Gdy detektyw zapytał o narzędzie zbrodni, pani Braden zaprowadziła go do kuchni. Umieściła pistolet w lodówce, razem z wódecznością swojego małżonka.

Praca Garcii przebiegała gładko, dopóki na scenie zbrodni nie pojawił się pogrążony w żalobie brat Jessego, który otworzył ogień ze strzelby kalibru szesnaście. Francis Scott Braden chybił żonę Jessego o siedem metrów, ale zahaczył policjanta z patrolu i rozwalil tylną szybę nieoznakowanego caprice sierżanta. Nieoczekiwany incydent oznaczał dla Ala dwie dodatkowe godziny papierkowej roboty. Ów fakt znowu przypomniał mu, jak bardzo nienawidzi rodzinnych zabójstw. Jego zdaniem była to praca nie dla detektywa, ale dla sprzątaczk.

Garcia otrzymał wiadomość od Shada, dopiero kiedy siedział w samochodzie i jechał międzystanówką, a powietrze wdzierało się przez rozwaloną szybę, rozrzucając policyjną dokumentację. Prowadził caprice najszybciej, jak się dało, przeklinając sobotni nocny ruch uliczny, ponieważ spóźniał się na wielkie przedstawienie — występ Erin tańczącej wśród burzy.

## 30.

Erin przygotowała sobie drinka z minibarku mieszczącego się z tyłu limuzyny. Zastanawiała się nad snem, który miała ostatniej nocy — kochała się z mężczyzną w gaju palm kokosowych. Jej partner przypominał nieco Ala Garcię. W tym śnie był dzień, cytrynowożółte słońce paliło, wisząc wysoko. Mężczyzna był nagi, ale ona miała na sobie czarną, wysoko rozciętą suknię. Pamiętała, że usiadła na nim, mówiąc, żeby się uspokoił i rozluźnił, a w kolana kłuły ją ostre, suche źdźbła. W śnie rozbrzmiewała również muzyka — Linda Ronstadt śpiewała *Carmelite*. To było jak magia. Erin nie pamiętała orgazmu, lecz przypominała sobie, że przetoczyła się na bok, delikatnie pociągając za sobą partnera, jakby ważył nie więcej niż dziecko. Położył głowę na jej piersiach, zamknął oczy i w jakiś tajemniczy sposób już nie przypominał Ala Garcii. Teraz był kimś innym, nieznanym, ale ona go nie odepchnęła. Pozwoliła mu odpoczywać. W swoim marzeniu sennym w dalszym ciągu czuła podniecenie. Morska bryza wiała nad gajem i porcelanowe niebo pełne było tropikalnych ptaków — ar, kakadu, papug kardynałów i flamingów. Erin pocałowała mężczyznę w czoło, aby go obudzić. Chciała mu pokazać płomiennie barwy kołujące i rozsypujące się nad ich głowami. Nieznajomy drgnął i mruknął coś po hiszpańsku, lecz nie otworzył oczu. W jej śnie te barwne przełoty zdawały się trwać cały ranek. Wreszcie Erin dostrzegła swoją córkę, która biegła na bosaka, pojawiając się i znikając pomiędzy



przypominającymi miotły drzewami. Angela, z szeroko otwartymi uważnymi oczyma, śmiała się, ścigając zmieniające się jak w kalejdoskopie stada ptaków. Erin wyslizgnęła się spod mężczyzny i pomknęła przez gaj palmowy za córeczką. We śnie nagie pnie palm pochylały się i kołysały złośliwie, blokując jej drogę. Śmiech Angie stawał się coraz mniej znajomy i coraz bardziej odległy. Erin zatrzymała się bez tchu i odwróciła twarz do słońca. Niebo było puste, ptaki zniknęły. Obudziła się, zлана gorącym potem.

Teraz, w limuzynie, dżin befeater pomógł jej zrozumieć znaczenie snu i umocnił decyzję, którą podjęła przed wieczornym spotkaniem z Dilbeckiem. Wzburzyła ją świadomość, że kongresman uniknie odpowiedzialności za przyczynienie się do morderstwa Jerry'ego Killiana, ponieważ znajduje się poza zasięgiem Ala Garcii. Myśl, że ten arogancki stary satyr wywinie się ze wszystkiego, była dla niej nie do zaakceptowania, więc Erin postanowiła zniszczyć go sama. Dilbecka należało nie tyle zranić, okaleczyć czy zabić, ile właśnie zniszczyć. Uważała, że może zrobić przynajmniej tyle, i że musi zrobić to sama. Kobieca robota.

Skończyła martini i zaczęła przebierać się dla polityka. Nałożyła koronkowy stanik i minifigi do kompletu, te z czerwonymi konikami morskimi. Buty również były czerwone, a całość uzupełniała minispódniczka koloru czerwonego wina. Na szyi zawiesiła długi sznur sztucznych pereł. Gdy się przebierała, zauważyła, że Pierre, haitański kierowca, obserwuje ją w lusterku, więc pokazała mu język.

— Przepraszam — rzekł i natychmiast odwrócił wzrok.

Erin przesunęła się na jedno z przednich, odchylanych siedzeń i położyła rękę na ramieniu szofera.

— Mówisz po angielsku?

— Niekiedy — potwierdził.

Nalała mu coli z minibarku. Przyjął napój z wdzięcznością.

— Czy jest w samochodzie telefon? — zapytała.

Kierowca gestem głowy wskazał telefon komórkowy pod skrytką na rękawiczki. Erin włączyła boczne światelko i otworzyła torebkę. Napisała coś na kawałku papieru i podała Pierre'owi. Nie czytając włożył kartkę do kieszeni na piersi.

— To numer telefonu — wyjaśniła. — Dziś w nocy sprawy mogą się dziwnie ułożyć. Powiedzmy, dokładnie o jedenastej.

— Nie pierwszy raz — stwierdził Pierre.

- Zrozumiem, jeżeli nie zechcesz mi pomóc — zapewniła Erin.
- Ale muszę wiedzieć o tym już teraz, zanim zacznę.
- Przecenisz moje poczucie lojalności.
- Praca jest pracą — wzruszyła ramionami dziewczyna. — Nie chcę stawiać cię w trudnej sytuacji.

Pojawiła się budka strażnicza na Turnberry Isle. Szofer błysnął światłami i skierował się w stronę bramy. Nie odwracając się oznajmił:

- Ale telefon może pochodzić z dowolnego miejsca, prawda? Uśmiechnęła się.
- Jesteś przyzwoitym facetem, Pierre.
- *Oui* — odparł, dotykając daszka czapki.

Kongresman David Lane Dilbeck lśnił z podniecenia i na skutek zastosowania pewnej ilości wazeliny. Włożył strój Gartha Brooksa, wyglansował buty, skropił się specjalną kowbojską wodą kolońską, wyciął włoski sterczące z nosa...

Tancerka zadzwoniła do niego dzisiaj rano z intrygującą i nieco niepokojącą propozycją. Nie wszyscy mężczyźni wyraziliby na nią zgodę.

Dilbeck jednak natychmiast się zgodził, ponieważ czuł rodzącą się więź cielesną z tą kobietą. Coś iskrzyło między nimi, jakaś obietnica namiętności. Przy pierwszym spotkaniu zachowywała się tak twardo, rzeczowo — ręce przy sobie, palancie, i tak dalej. Ale w miarę jak noc mijała, wyczuł, że dziewczyna zaczyna mięknąć, pojawiły się jakby ślady uczucia. Znaki były zbyt delikatne, aby mieć pewność — w końcu omal nie zmiażdżyła mu ręki jednym ze swoich szpilkowych obcasów — niemniej jednak...

Ale nawet to posunięcie nabrało sensu później, gdy odebrał telefon Erin. Być może ból jest nieodłącznym składnikiem miłości. Taka perspektywa podniecała Dilbecka, czuł się zuchwały i skłonny do przygód. Często słyszał o takich dzikich kobietach. A teraz miał szansę poskromić i pojąć jedną z nich.

Przyjechał na Turnberry wkrótce po zmierzchu. Oprócz przedmiotów, których zażądała Erin, przywiózł dwa magnum, szampana korbel, trzy tuziny czerwonych róż, złotą bransoletę i reklamową torbę dobranych płyt kompaktowych — Smithereens, Pearl Jam, Toad the

Wet Sprocket, Men II Boyz, REM, Wilson Phillips. Sam nie znał się na muzyce i wcale go ona nie obchodziła, lecz wysłał zapalonego młodego asystenta, aby zrobił zakupy w Peaches, w nadziei, że jedna lub więcej z wybranych płyt może zawierać ulubioną muzykę tańieczną Erin. Gdyby deszcz podarków zawiódł, będzie mógł oszołomić ją plotkami o tajemnicach waszyngtońskiej Beltway.

W czasie pierwszej nocy na jachcie Dilbeck zorientował się, że jego pozycja nie wywiera na tancerce najmniejszego wrażenia. Większość kobiet sypiała z nim przede wszystkim dlatego, że był członkiem Izby Reprezentantów, wskutek czego to, co robiły, kwalifikowało się (w marginalnym stopniu) jako polityczne bara-bara. Erin natomiast traktowała go po prostu jak kolejnego napalonego i bogatego faceta. Nie przejawiała zainteresowania ani jego stanowiskiem, ani jego bardzo ubarwionymi osiągnięciami, sprzeciwiała się też jakiegokolwiek rozmowie, w której mógłby się popisać swoimi waszyngtońskimi znajomościami. Ich związek nie będzie mógł rozkwitnąć, uznał kongresman, dopóki tej kobiecie nie uświadomi w odpowiedni sposób, jaki jest jego status społeczny. Czekał na Erin, doprowadzał do perfekcji niektóre ze swoich najbardziej wypróbowanych dowcipów, tak skutecznych na cocktail-party. W celach dokumentacyjnych zabrał ze sobą również stosowne fotografie.

Erin weszła na pokład „Sweetheart Deal” około dwudziestej piętnaście. W salonie ponownie ogarnęło ją uczucie klaustrofobicznego zamknięcia.

— Gdzie jest Frick i Frack? — zapytała.

— Kto?

— Strażnicy.

— Na Wielkiej Bahamie — odparł Dilbeck. — Razem z braćmi Rojo. — Widok minispódniczki spowodował u niego łagodny skurcz między bliznami podwójnego bajpasu.

Dziewczyna pochwaliła jego westernowy strój.

— Dwight Yoakam? — spróbowała zgadnąć.

— Właściwie Garth Brooks.

— No cóż, rzeczywiście świetnie w nim wyglądasz. — Erin była zadowolona ze szczerego tonu swego głosu. Facet wyglądał absurdalnie. I dlaczego jego skóra tak dziwnie błyszczy?

Kongresman wręczył jej podarunki.

— Przywiozłem także parę zdjęć — oświadczył.

— Jakich? — Nie była w nastroju na porno.

— Moje fotografie przy pracy — wyjaśnił.

— Doprawdy? — Powstrzymała cisnący się na usta dowcip.

Uprzejmie podziękowała mu za róże i bransoletkę, ale polityk pomyślał, że miała minę kogoś, kto otrzymywał już takie prezenty w ramach gratyfikacji za usługi. Przejrzała stos płyt kompaktowych i odrzuciła wszystkie oprócz Smithereens. Jak poprzednio, przyniosła ze sobą własne piosenki, stanowiące podkład muzyczny jej tańca. Aby uczcić pamięć Jerry'ego Killiana, ponownie puściła ZZ Top.

Kongresman poinformował, starając się, aby doceniła jego godne mężczyzny osiągnięcie:

— Wymagało trochę zachodu, lecz znalazłem, czego szukałaś.

Erin uściśnęła jego ramię.

— Słoneczko, wiedziałam, że ci się uda.

Jej dotyk przyprawił go o rozkoszny dreszcz. Przez chwilę Dilbeck uważał uścisk za coś znaczącego, wstęp do pełnego kontaktu ciała, ale bardzo szybko uświadomił sobie, że tancerka potraktowała go jako podporę, aby ułatwić sobie wejście na stół. W mgnieniu oka pozbyła się minispódniczki. Perły pozostały.

— Po co ten pośpiech? — rzekł. — Sądziłem, że najpierw trochę pogawędzimy.

Erin zaczęła tańczyć. Zleciał czerwony staniczek.

— Jezu — mruknął kongresman.

— Siadaj, kowboju — poleciała dziewczyna. — Baw się.

Malcolm J. Moldowsky zbliżył się do nabrzeża niedbałym krokiem, jakby wybrał się na wieczorną przechadzkę. Zdjął nawet krawat, żeby bardziej przypominać jachtsmana.

Dwukrotnie przeszedł obok „Sweetheart Deal”. Nigdzie żadnego śladu kubańskiego detektywa. Moldy cicho wszedł na pokład. Usłyszał z wnętrza łomot muzyki: perkusja, ciężkie pasaże gitary. Gust Davy'ego skłaniał się raczej ku wyjcom country i na tej podstawie Moldowsky zorientował się, że Dilbeck nie jest sam. Występ się zaczął — Erin Grant już tu była.

Moldy powińszował sobie, że wyprzedził Garcię w wyścigu na

jacht. Przyłożył ucho do drzwi, ale nie usłyszał głosów zmieszanych z muzyką. Uznał to za pomyślny znak — milczenie zawsze było lepsze od odgłosów walki.

Położył dłoń na klamce i w tej samej chwili po pokładzie przesunął się cień. Malcolm Moldowsky odwrócił się gwałtownie i zobaczył stojącego na relingu rufy mężczyznę podświetlonego od tyłu światłami przystani. Facet przestępował z nogi na nogę do taktu stłumionego rytmu.

— Czego pan chce? — zapytał Moldy.

Mężczyzna zeskoczył na pokład i podszedł do niego.

— Mojej córki — oznajmił.

Moldowsky uśmiechnął się z wymuszoną cierpliwością. Facet był za młody na ojca tancerki.

— To jakaś pomyłka — powiedział — Pańskiej córki tu nie ma.

— W takim razie może cię zastrzelę — rzekł nieznajomy.

Na widok rewolweru Moldowsky podniósł wysoko ręce. Intruz sprawiał wrażenie wariata. Jego dżinsy były brudne na kolanach, tłuste blond włosy zmierzwione z jednej strony, a oczy zamglone i wilgotne. Do byle jak zabandażowanej ręki miał dziwacznie przymocowany kij golfowy. Moldy doszedł do wniosku, że gość jest ofiarą huraganu, może bezdomnym i niespełna rozumu. Ciągłe się tu kręcili tacy nałogowi włóczędzy, szukając okruchów roztrzaskanego życia.

— Tu nie ma twojej małej dziewczynki — poinformował.

Darrell Grant wycelował rewolwer i przymrużył jedno oko.

— Powiedz dobranoc, kurduplu.

Moldowsky jęknął cicho i zakrył twarz dłońmi. Gdy oczekiwał śmierci, zaczął egoistycznie myśleć o tym, co będzie potem. Zabity na jachcie z pijanym kongresmanem i striptizerką — co za nagłówek! Jakie zdjęcie wybiorą, żeby zilustrować artykuł? Miał nadzieję, że będzie to studyjny portret, a nie koszmarna fotografia z miejsca zbrodni. I jak go opiszą w notce biograficznej? Jako politycznego konsultanta? Przedstawiciela grup nacisku? Manipulatora? Jezu, i wypowiedzi. Nie zabraknie pełnych żalu wspomnień, a wszystkie będą jednakowo nieszczerze. Moldy przypuszczał, że zapaskudzi się umierając. Ale te okrutne skurwysyny będą miały uciechę. Wymuszony Moldowsky, który zsiąkał się w spodnie od Perry'ego Ellisa!

Ze strachem czekał na suche trzaśnięcie strzału. Nic się jednak nie stało.

Rzecz bowiem w tym, że Darrell Grant zupełnie nie znał się na broni palnej. Nie lubił rewolwerów, nigdy się z nimi nie stykał, nigdy z żadnego nie wystrzelił. A teraz, szykując się do strzału na pokładzie jachtu, nie mógł znaleźć tego cholernego języka spustowego. Jego palec szukał gorączkowo, lecz ciągle na przeszkodzie stawał mu dysk z twardego plastyku. Darrell podniósł rewolwer do światła i obejrzał niedającą się pokonać przeszkodę.

— Ja pierdolę — mruknął.

Była to blokada. Grant nie mógł uwierzyć w swojego przeklętego pecha. Głupi Alberto był jednym z niewielu obywateli w całym hrabstwie Dade, którzy wpadli na pomysł kupienia blokady spustu. Owo szeroko reklamowane urządzenie miało uniemożliwić złodziejazkom, takim jak Darrell Grant, użycie skradzionej broni przeciwko niewinnym obywatelom. Darrell jednak podejrzewał, że Alberta dręczyły inne obawy, na przykład ta, że Rita zastrzeli go w czasie snu.

W każdym razie zabezpieczony rewolwer był w takim samym stopniu śmiercionośny jak wycieraczka. Grant cisnął broń nad sterówką, w wody Intercoastal Waterway.

— Kurwa, nie do wiary — rzekł z chichotem.

Słyszając plusk, Malcolm Moldowsky zerknął przez palce. Rewolwer zniknął. Dlaczego? Właściwie nie bardzo go to obchodziło. Potwierdzało się jego przypuszczenie, że intruz jest psychicznie chory.

— Z drogi! — rzucił Darrell Grant i machnął łopatką kija golfowego sterczącego z prowizorycznych łupków.

— Pan naprawdę poważnie uszkodził sobie rękę — zauważył Moldy z udanym z troskaniem.

— Rajuśku, zupełnie nie zauważyłem — Grant uniósł prowizorycznie opatrzoną kończynę i szturchnął Moldowsky'ego w brzuch. — Podwójne otwarte złamanie — wyjaśnił. — Ale wiesz co? Gorzej bolały mnie wrośnięte paznokcie.

— Może zawieźć pana do lekarza?

Darrell Grant zaczął mówić cicho i bardzo wolno, zupełnie jakby udzielał objaśnień zagranicznemu turyście.

— Zejdź... mi... kurwa... z drogi. *Por favor?*

Moldy rozpląszczył się na drzwiach prowadzących do kabiny. ZZ Top falami przebiegał w dół i w górę jego grzbietu.

— Nie mogę pozwolić panu wejść — oświadczył. Musiał zadbać, aby społeczeństwo, nie wyłączając wariatów, w dalszym ciągu było nieświadome erotycznych ekscesów senatora.

— Ale moja córka — warknął głucho Darrell.

— Już mówiłem, że jej tu nie ma. Pomylił się pan.

Twarz Granta wykrzywił paskudny uśmiech.

— Hej, jechałem za jej matką, rozumiesz? Przez całą drogę z cyc-kowni. I widziałem, jak weszła na tę łódź niecałe piętnaście minut temu. A teraz jakiś kurduplowaty dupেক chce mi wcisnąć kit, że się pomyliłem?

Pięknie, pomyślał Moldowsky. Były mąż striptizerki. Cóż za wspa-niały wieczór.

— Może przeszlubiśmy do restauracji? — zaproponował. — Po-stawię panu drinka.

— Drinka? — Darrell Grant odrzucił do tyłu głowę i zawył do gwiazd. — Człowieku, nie potrzebuję drinka. Jestem pełen prochów, kapujesz? Naćpany. Najlepszymi pieprzonymi prochami, jakie zna ludzkość!

— Doskonale — odparł Moldowsky, napinając mięśnie.

— Te pigułki są cholernie dobre — ciągnął Darrell. — Przysze-dłem tu w poszukiwaniu bólu, rozumiesz? Jestem tu, aby spotkać się w pojedynkę z bólem, ponieważ sam nie mogę być zraniony. Nie ma takiej ludzkiej możliwości. Gdybym miał hak do szyn, dałbym ci go w tej chwili...

— Uspokój się pan — rzekł Moldy.

— ...i mógłbyś mi go wbić w głowę, powiedzmy tu — dotknął środka czoła — i wiesz co? Nie poczułbym ni cholery. O takiej jakości narkotykach mówię.

— Proszę — odezwał się Moldowsky — niech pan mówi ciszej.

— Nigdy jeszcze nie zabiłem karzelka.

— Przedyskutujmy tę sprawę.

— Nie, łaskawy panie, po prostu weźmiesz swoją małą dupkę z mojej drogi. Przyjechałem zabrać moją córkę.

— Po raz ostatni powtarzam, że jej tu nie ma.

Darrell Grant złapał go za rękaw.

— Masz rację w jednej sprawie, Mały. Rzeczywiście to było po raz ostatni. — Cisnął Malcolma Moldowsky'ego na pokład i stanął na jego piersi.

Moldy wił się bezsilnie, ale nie krzyczał. W beznadziejnie głupi sposób wciąż wierzył, że zdoła jeszcze umknąć publicznej sceny. Musiał zapobiec ściągnięciu na jacht hałaśliwego tłumu, przynajmniej dopóki znajduje się na nim David Dilbeck, wyczyniający Bóg wie co z gołą tancerką. Obawiając się powtórki katastrofy ze „Zwawego Bobra”, Moldowsky próbował obłaskawić intruza obietnicami.

— Jeżeli pozwoli mi pan wstać — zapewnił oszalałego eksmeża — pomogę panu znaleźć pańską córeczkę.

— Juu-huu! — zawołał Darrell.

— Mam mnóstwo znajomości — wysapał Moldy.

Po pierwszym uderzeniu wielki manipulator odniósł wrażenie, że jego nos eksplodował. Przez zalewającą oczy krew zobaczył, że facet ustawia się do uderzenia z bekhendu. Tym razem łopatką kija trafiła go prosto w gardło. Moldy zaczął spazmatycznie łąpać powietrze.

— Piłka! — wrzasnął Darrell.

Moldowsky zamknął oczy. To było o wiele gorsze niż zastrzelenie. Gazety będą miały używanie.

Bezradnie łąpał szaleńca za nogi. Następne dwa ciosy roztrzaskały mu dolną szczękę. Usta Moldy'ego wypełniły się ciepłą krwią, śliną i okruchami protezy. Nawet gdyby postanowił wezwać pomoc, nie zdołałby tego zrobić. Jego twarz była bez czucia, jak kawałek darni.

Boże, pomyślał, co za żalosna śmierć.

Te skurwiele z prasy staną na głowie, żeby ustalić, jakiego rodzaju kijem go zatłuczono. Z całą pewnością.

Kongresman zaproponował Erin pracę kierowniczką jego sekretariatu w Waszyngtonie.

— Co miałabym robić? — zapytała, kręcąc perłami.

— Podtrzymywać mnie na duchu — odparł. — Czterdzieści pięć



kawałków rocznie plus pełna opieka medyczna. — Trzymał butelkę szampana na ręku jak lalkę.

Dziewczyna spojrzała na niego z wysokości kapitańskiego stołu i powiedziała:

— Ale jesteś sprytny. — Prowokująco dotknęła stopą jego ramienia. Dilbeck próbował ją pocałować. Erin przypomniała sobie, że powinna zachowywać czujność. Ten obleśny staruch był na wpół przytomny.

— Czy nie nadeszła pora na zabawę w karczowanie dżungli? — zaproponował.

— Jeszcze nie. Podoba ci się ta piosenka?

— Tak, proszę pani. — Jego głowa zakołysała się i kowbojski kapelusz spadł na podłogę. Podniósł go i nałożył ponownie.

— Nazywa się *Miejsce chłosty* — wyjaśniła Erin.

Dilbeck popatrzył z zainteresowaniem.

— Naprawdę?

— Śpiewają Allman Brothers.

— No cóż, jestem takim niegrzecznym chłopcem — oznajmił. — Na pewno zasłużyłem na chłostę.

Erin tańczyła w dalszym ciągu. Najwyraźniej dzisiejszej nocy nie miał zamiaru wpaść w seksualną katatonię. Był w pełni świadomy i gotów do akcji.

— Czy nie zechciałabyś mnie wychłostać? — poprosił. — Jestem niedobrym, bardzo niedobrym chłopcem.

— Ale to tylko piosenka, słoneczko.

— Ja przecież tak bardzo cię kocham.

— Oczywiście, że tak.

— Pozwól, że ci udowodnię. — Włożył butelkę szampana do wiaderka z lodem i zaczął szamotać się z guzikami swoich dżinsów.

Erin odwróciła się, kręcąc pupą w rytmie blusa. Zaczyna się! — pomyślała.

— Zobacz — powiedział polityk.

Obróciła się w jego stronę, promieniejąc uśmiechem jak pięćset-watowa żarówka.

— Urocze — mruknęła.

Wstał niepewnie i pomachał trzymaną w ręku obwisłością.

— Proszę, dotknij.

— Jestem tancerką, słoneczko, a nie urologiem.

Kopnęła go lekko w mosznę i Dilbeck opadł w płócienny fotel.

— Boże, chyba za dużo wypilem — stwierdził. — Czy dałem ci już pieniądze?

— Oczywiście.

— I pokazałem ci moje zdjęcia?

— Schowaj swojego małego przyjaciela — poleciła.

— A wtedy obejrzyś moje zdjęcia?

Dziewczyna zapewniła go, że tak. Musiała w końcu zrobić przerwę. Gdy kongresman doprowadzał się do porządku, zeszła ze stołu i włożyła ubranie. Wyłączyła stereo, naląła na kostki lodu piwa imbirowego i przysunęła sobie krzesło. Upewniła się przy tym, że torebkę ma w zasięgu ręki.

Dilbeck otworzył trzymany na kolanach album. Postukał w fotografię dwadzieścia na dwadzieścia pięć, na której był uwieczniony z korpulentnym siwowłosym mężczyzną.

— Wiesz, kto to jest? — zapytał.

— Tip O'Neill — odparła Erin.

— Jesteś niezwykła — przyznał zaskoczony.

— Były spiker Izby Reprezentantów.

— Tak jest!

— No i co takiego wygrałam? Zestaw obiadowy?

Rozpromieniony polityk rzekł:

— Tip i ja jesteśmy bardzo sobie bliscy.

— Właśnie widzę. Wygląda, jakbyś drapał go po jajach.

Dilbeck się zaczerwienił.

— Proszę! Byliśmy na poranku modlitwy.

Erin wyciągnęła rękę i przewróciła stronę. Następną fotografię wykonano najwyraźniej przed Białym Domem. Dilbeck obejmował generała Colina Powella. Generał wyglądał, jakby przed chwilą go wypchnięto.

— Zrobiona w czasie wojny w Zatoce — wyjaśnił rzeczowo. — Colin i prezydent zaprosił; niektórych członków Kongresu na odprawę. Oczywiście, poufną.

Tancerka zapytała, czy dostali baloniki. Dilbeck o mało nie stracił cierpliwości.

— Kochanie — zganiał ją nagle chłodnym tonem. — Powinnaś okazać nieco szacunku.

— Przepraszam, Davey.

Szybko kartkował album, wskazując palcem na poszczególne utrwalone momenty.

— Popatrz tutaj: Bill Bradley, Chris Dodd... a tutaj Al D'Amato. Byliśmy wspólnie w Rijadzie w celu ustalenia faktów. A na tym jestem z Newtem Gingrichem. Przypomnij mi później, żebym ci opowiedział o Gingrichu.

— Mam nadzieję, że to, co ma na krawacie, jest resztkami *fondue* — zauważyła Erin.

— Posłuchaj — zaczął Dilbeck głosem bełkotliwym od szampana.

— Oni są cholernie ważnymi ludźmi. Ja sam jestem ważną osobą. — Z trzaskiem zamknął album i podniósł go oburącz, jak świętą księgę.

— Tu są ludzie, którzy przewodzą narodowi — oświadczył. — Ci, którzy sprawują kontrolę nad losami świata!

Erin ze wszystkich sił starała się nie roześmiać. Ten biedny fiutek rzeczywiście uważał się za podporę państwa.

— Nie sposób określić smaku czystej władzy — ciągnął kongresman. — Jest upajająca, kochanie. Absolutny nałóg. Jeżeli pojedziesz ze mną do Waszyngtonu, natychmiast sama się o tym przekonasz. Zrozumiesz również związane z nią pokusy.

Dziewczyna zapewniła, że wcale nie miała zamiaru stroić sobie jakichkolwiek żartów. Polityk położył album na stole i oparł na nim dłoń. Znowu powtórzył:

— To są ważni ludzie.

— Jak Chuck Norris?

— Było dobroczynne przyjęcie w Georgetown...

— Daj spokój, Davey...

— Na walkę z polio czy coś w tym rodzaju.

— Wiem, ale...

— Posłuchaj, Erin, powinnaś wreszcie zrozumieć, kim jestem. Okazać mi szacunek.

— Davey, wiesz czyje zdjęcie naprawdę chciałabym zobaczyć? Malcolma Moldowsky'ego. Masz je w swoim albumie?

Dilbeck zacisnął szczęki.

— Nie, nie mam. — A potem zapytał podejrzliwie: — Znasz Moldy'ego? — Czy to możliwe? Czy ten mały skurwysyn coś przed nim ukrywał? Szybko przeredagował pytanie: — W jaki sposób poznałeś Moldy'ego?

— Znam tylko opinię o nim — powiedziała tancerka, puszczając do niego oko.

Kongresman, bardziej zdezorientowany niż kiedykolwiek, zaklął rozmazanym pijacko głosem:

— Przestań, do cholery! Przestań sobie kpić i okaż choć trochę szacunku.

— Szacunku? — Erin się uśmiechnęła. — Czy przypadkiem nie jesteś tym dżentelmenem, który uprawiał seks ze strzępkami po moim praniu?

— Zmieńmy temat.

Ujęła go za przeguby i skierowała jego obwisłe dłonie ku swoim piersiom. Dilbeck sprawiał wrażenie zaniepokojonego, zupełnie jakby spodziewał się porażenia prądem elektrycznym. Dziewczyna nie pozwoliła mu się cofnąć.

— Podniecające, prawda? — zapytała. — Dwie przyjemne garście tłuszczu.

— Jezu...

— Tym właśnie jest zasadniczo kobieca pierś. Dziewięćdziesiąt osiem procent tłuszczu z wisienką na czubku. Co w tym pociągającego?

Wyszarpnął się, przyciskając pięści do brzucha.

— Tysiące dolarów — ciągnęła Erin — za to, żeby popatrzeć i pomacać. Możesz to pojąć, słoneczko?

— Dostyc tego. — Twarz kongresmana była szara i przygnębiona. — Zabijasz mnie. Zabijasz cały wieczór. Czy taki był twój zamiar?

— Jestem po prostu ciekawa — wyjaśniła. Zmuszała się, aby się uspokoić, opanować.

— Walczę z pokusami cielesnymi — oświadczył polityk. — Jak wszyscy mężczyźni.

— Masz żonę, Davey.

Sięgnął gwałtownie w stronę wiaderka do szampana.

— Gratuluję — warknął. — Ogłaszam oficjalnie, że wieczór został zniszczony.

Erin włączyła ulubioną taśmę van Morrisona. Zrzuciła spódniczkę, weszła na stół i znowu zaczęła tańczyć — tym razem wolno. Wkrótce David Dilbeck i jego pojękiwania przestały docierać do jej świadomości. Muzyka omywała jej duszę. Czowała się w euforii i pełna

energii. Każdy jej ruch był idealny — każdy wyrzut nogi, każdy płynny piruet, każde poruszenie biodrem. Zacisnęła sznur pereł między zębami i zamknęła oczy, wyobrażając sobie światło księżyca. Na zewnątrz, na pokładzie, rozległ się jakiś ostry dźwięk. Erin nie dopuściła go do siebie. Była daleko stąd, tańczyła na białym niczym cukier piasku plaży jakiejś wyspy. Za wydmami ciągnął się gaj palmowy, a jedynym dźwiękiem był dyskretny chór dzikich ptaków.

Darrell Grant nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział ją bez ubrania. Był pewien, że w łazience — myła głowę pod prysznicem, a on w tajemnicy bobrował po apteczce w poszukiwaniu darvonsów. Kurewsko dawno temu, pomyślał. Zapomniał już, jakie ma ładne ciało. Trochę mało rozwinięte w górnych partiach, ale mój Boże, jakie wspaniałe nogi! Stał, kołysząc się w drzwiach kabiny, oparty o framugę sterującym z łupków kijem golfowym, i czuł intrygujące mrowienie w podbrzuszu. Doprawdy zadziwiające zjawisko, biorąc pod uwagę dawkę wchłoniętych przez niego wysokooktanych farmaceutyków. Męska kanalizacja zaiste jest cudem natury.

Na jachcie znajdował się starszy facet ubrany w sztywne nowe dżinsy, koszulę w paski i czterolitrowy czarny kapelusz. Wyglądał na fiuta albo chorego, albo na jedno i drugie naraz. Darrell Grant wszedł do salonu i usiadł koło starego kowboja. Zdrową ręką pomachał figlarnie do swojej tkwiącej na stole eksmałzonki. Poczul, że sztywnieje. Pochylił się do przodu i pochwalił:

— Hej, jesteś całkiem niezła. Popatrzmy sobie na tę słodką dupczkę!

Widok byłego męża podziałał na Erin jak podmuch lodowatego wiatru. Sądziła, że Shadowi udało się na dobre popędzić kota Darrellowi, ale nie, zjawił się i znowu wszystko spieprzy. Zadziwiające. Jego obecność tutaj zwiększała możliwość fiaska. Erin nie przerywała jednak tańca, patrzyła na niego jak na puste miejsce i zastanawiała się nad następnym ruchem.

Darrell Grant poczul na swoim ramieniu dotyk lekkiej jak piórko dłoni. To stary kowboj podniósł się ze swojego fotela, przybliżył wargi do jego ucha i zapytał:

— Wie pan, kim jestem?

Odór oddechu mężczyzny spowodował, że Darrell się skrzywił:

— Słyszałeś kiedyś o listerynie?

— Kocham się w tej pani — zwierzył się kongresman.

— Ty biedny, stary palancie.

— A w moich butach jest pełno wazeliny.

— Ja też ją kiedyś kochałem — odparł Darrell — ale ona złała mi życie.

Wyglądało, jakby Dilbeck mu współczuł.

— Nazwijmy to konfliktem filozofii — wyjaśnił Grant. — Potrafi mieć morderczy wpływ na poczucie godności własnej.

— Zabójczy — przytaknął polityk — ale mimo wszystko jestem pod jej urokiem.

Poinformował, że jeśli chciałby zająć się tymi plamami krwi na koszuli, to w barku jest mnóstwo wody sodowej. Darrell odpowiedział, że nie, dziękuje. Jego potrzaskane kości znów zaczynały się odzywać, złomotanie tego dobrze ubranego kurdupla na pewno mu nie pomogło. Obawiał się, że środki przeciwbólowe zmarłego señora Gomeza przestawały już działać. Wysypał na dłoń następne pół tuzina tabletek, wrzucił je do ust i chleptał letniego szampana tak długo, aż oczy zaszkły mu łzami.

— Mam trochę tylenolu ekstra mocnego — oznajmił kongresman.

— Jezu Chryste.

Taśma van Morrisona skończyła się, ale Erin tańczyła dalej, nucąc *Carmélite*. Piosenka była niemal za wolna do tańczenia na stole.

Darrell Grant spróbował zahaczyć ją kijem golfowym za kostki.

— Gdzie jest Angie? — zapytał.

Erin się cofnęła.

— Niech jej pan da skończyć — poprosił Dilbeck. — To takie piękne.

— Taa, cały pieprzony balet. — Darrell gmerał w kieszeniach. — Hej, laluniu, to dla ciebie!

Wychylił się z krzesła i wsunął coś pod gumkę jej koronkowej podwiązki. Była to dziesięciocentówka. Erin przestała śpiewać i tańczyć. Wyjęła monetę i położyła ją na dłoni. Obydwaj mężczyźni czekali, co zrobi.

Z uśmiechem zeszła ze stołu i wciąż uśmiechając się, wkładała ubranie.

— Przypuszczam, że tej nocy to już wszystko — powiedział kongresman.

Darrell wyrznął ostro kijem golfowym w stół.

— Erin, chcę mojej córki! Bez żadnych cholernych sztuczek.

— Sprawa jest skończona — odparła, poprawiając perły.

— Pieprzę sąd — oświadczył Grant. — Angie i ja pojedziemy do Arizony. Emeryckiej stolicy Ameryki Północnej!

Erin otworzyła torebkę i wrzuciła do niej monetę. A potem wyjęła rewolwer.

— Wybierzmy się na przejażdżkę.

Darrell zaklął pod nosem. A Dilbeck poczuł delikatny skurcz w klatce piersiowej.

Cóż za sobotnia noc, pomyślała Erin. Ja i dwaj mężczyźni mego życia. Czyż nie jestem szczęściarą?

## 31.

Jak łatwo można było przewidzieć, Shada zatrzymano przy budce strażniczej przed Turnberry Isle. Ochroniarze pamiętali jego poprzednią wizytę z małpopodobnym stworzeniem na karku, ale tej nocy stwierdzili, że jego nazwisko nie figuruje na żadnej liście gości. Shad uniknął niesympatycznej dyskusji, wręczając im kupony na bezpłatne drinki rumowe i gołe zawody zapaśnicze w makaronie w klubie Orly'ego. Faceci z ochrony byli mu ogromnie wdzięczni. Sierżant Garcia pojawił się dokładnie w chwili, gdy przepuszczali łysola przez bramę. Detektyw błysnął odznaką i wjechał na ogrodzony teren. Zaparkował niedaleko Shada i obaj mężczyźni szybkim krokiem ruszyli w stronę „Sweetheart Deal”.

Przed wszystkim spostrzegli krew na pokładzie. W salonie Garcia obejrzał puste butelki po szampanie, album fotograficzny kongresmana i stos wciąż nierozpakowanych płyt kompaktowych. Eksbramkarz przejrzał kasety pozostawione na obudowie aparatury stereo.

— To jej — oznajmił.

Przeszukali kabiny, ale nie odnaleźli żadnego ciała czy śladów przemocy. Erin i Dilbeck zniknęli.

— *Mierda* — zaklął Al Garcia. Wyszedł na pokład i zbadał brązową rozbrzgi. Najwidoczniej ofiarę ciągnięto, a potem podniesiono z pokładu. Sierżant poczuł lekkie mdłości — nie na widok krwi, lecz na myśl, do kogo mogła należeć. Shad był na niebezpiecznej granicy



lodowatej furii. Schwycił się relingu i zapatrzył w wodę o kolorze ciemnej herbaty. Jego różowa czaszka lśniła od potu, a każdemu wdechowi towarzyszył złowrózby syk.

— Nie myśl za dużo — poradził Garcia.

Z gardła Shada wydobyło się dudnienie.

— Jasne. Cóż to dla nas odrobina krwi?

Detektyw przeszedł przez pokład i ukląkł.

— Tu też jest krew. Wiesz, co to znaczy?

— Nie wyrzucił jej za burtę. I co z tego?

Przy jachcie stał zacumowany dziewięciometrowy hatterass. Garcia postanowił go sprawdzić. Shad znalazł na mostku „Sweetheart Deal” latarkę i wspólnie przeszli na łódź do wędkowania. W kokpicie, przy fotelach wędkarskich zauważyli następne plamki krwi. A także fragment odcisku buta — zaokrąglonego obcasa męskiego trzewika.

— Nasz facet — stwierdził posepnie Shad.

— Może tak, a może nie. — Sierżant wskazał pojemniki na ryby.

— Chcesz, żebym czynił honory domu?

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu. — Były wykidajło odwrócił głowę.

Detektyw odpiął klamry zaciskowe i odchylił wieko.

— Niespodzianka, niespodzianka!

Shad odwrócił się i spojrzał do środka.

— Do diabła, kto to taki?

— Jeden z najpotężniejszych ludzi na Florydzie.

— Już nie.

— Nie — przytaknął Garcia. — Raczej denat.

Malcolm J. Moldowsky doskonale pasował do skrzynki na ryby, którą dzielił z trzema bonitami o szklistych ślepiach. Odór martwych ryb nie zdołał stłumić zapachu importowanej wody kolońskiej Moldy'ego.

— Nic z tego nie kapuję — przyznał się Shad.

— Bonito prawdopodobnie były jutrzejszą przynętą na rekiny — myślał na głos detektyw. — A pan Moldowsky jest późniejszym uzupełnieniem bufetu.

Shad pochylił się, aby popatrzeć z bliska.

— A więc to jest słynny Malcolm Moldowsky?

- Malcolm w czasie przeszłym — sprostował Garcia.
- Ładne ciuchy.
- Czujesz się już lepiej?
- Mniej więcej milion procent — potwierdził Shad. — Kto go załatwił?

Garcia pokręcił głową.

- Może Dilbeck dostał pierdolca?
- Nie mów takich rzeczy.

Obaj niepokoiłi się o Erin. Ten, kto zatłukł Moldowsky'ego, musiał być w paskudnym humorze. Eksbramkarz marszcząc brwi, popatrzył na zmasakrowane zwłoki.

— Przypuszczam, że powinieneś kogoś wezwać.

— Jeszcze nie teraz. — Sierżant zamknął skrzynkę na ryby. — Może poczekać.

Wrócili na „Sweetheart Deal” i przeszukali salon dokładniej niż poprzednio. Na podstawie ilości skonsumowanego szampana Garcia doszedł do wniosku, że kongresman był zbyt pijany, aby prowadzić.

— Ma limuzynę — zauważył Shad. — Dziewczyny widziały ją przed klubem.

— Pozostaje więc pytanie — rzekł detektyw — gdzie są obecnie.

Wiadomość znajdowała się w toalecie, gdzie Erin napisała szminką na wąskim lustrze: BELLE GLADE. Shad zaklął paskudnie pod nosem, gdy Al wyłowił z sedesu złotą bransoletkę. Patrząc na ociekającą wodą biżuterię, zauważył:

— Ma temperament, co? Proste „nie, dziękuję” nie dałoby takiego efektu.

Kiedy spieszyli do samochodu, Shad poprosił Garcie, żeby wezwał przez radio pomoc, ale sierżant zarzucił mu, że za dużo naoglądał się telewizji.

— Przede wszystkim to hrabstwo Palm Beach, które znajduje się daleko poza moim terytorium. A po drugie, co mam im powiedzieć, *chico!* — Odegrał scenkę telefonowania: — Słuchajcie, chłopaki, chodzi o striptizerkę, którą porwał kongresman, który z kolei zabrał ją do, wyobraźcie sobie, pieprzonego Belle Glade swoim cholernym jamnikowatym cadillakiem. Tak, powiedziałem „kongresman”. Tak, do Belle Glade. Dlaczego? No cóż, nie jesteśmy pewni. Ale byłibyśmy wdzięczni za sześć albo siedem oznakowanych jednostek, jeżeli macie je na podorędziu...

- Pieprz się — mruknął Shad.
- A gliniarze tak samo uwielbiają, jak nienawidzą polityków — wyjaśnił Garcia. — Jeżeli usłyszą, że chodzi o Dilbecka, wszyscy zgłoszą zero-sześć. Że są wolni od służby i nieosiągalni.
- A więc za całą pieprzoną kawalerię będziemy robili my dwaj?
- Czy masz coś przeciwko temu, żebym to ja prowadził?
- Jasne — zgodził się Shad. — To ty masz syrenę.

Darrell Grant nigdy nie jechał limuzyną. Bawił się wszystkim tak bardzo, że okoliczności przejażdżki zdawały się bez znaczenia. Pogodził się z faktem, że jego była żona trzyma go na muszce.

- Czy to twój samochód? — zapytał Dilbecka.
- Mam go do dyspozycji — wyjaśnił kongresman.
- Co robisz? W czym kręcisz?
- Jestem członkiem Izby Reprezentantów.
- Co to znaczy?
- Reprezentuję w Kongresie społeczeństwo południowej Florydy. A pan?

— Kradnę fotele inwalidzkie — odparł Darrell Grant.

Dilbeck z żalną miną zerknął w stronę Erin, która siedziała na ławeczce naprzeciwko dwóch mężczyzn. Róże od polityka leżały obok niej. W prawej ręce trzymała pewnie rewolwer.

— Darrell i ja byliśmy kiedyś małżeństwem. Co jeszcze mogę dodać? — Erin czuła niewytłumaczalny spokój, wzmagany jeszcze monotonna, łagodną jazdą.

Kongresman zapytał Granta, co mu się stało w rękę. Darrell odpowiedział, że połamał mu ją pieprzony przyjaciel Erin pieprzonym łomem. A potem zawołał:

— Hej, kierowco, czy telewizor działa?!

Dilbeck szepnął do dziewczyny urażonym tonem:

— Jaki przyjaciel?

Tancerka zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. Obaj są żałośni, pomyślała. Nonszalanckim gestem sięgnęła pod minispódniczkę, rozpięła figi i górę, zrzuciła je, a potem wcisnęła wszystko do torby. Trzymając bez przerwy rewolwer w rękę, wyczyniała gimnastyczne łamańce wkładając prosty bawełniany stanik i białe majtki. Uznała to za bardzo ważne, nie chciała bowiem, aby znaleziono ją w ubraniu

striptizerki. Gdy zmieniała bieliznę, polityk przyglądał się jej uważnie.

— Dlaczego białe? — zapytał z oślizgłym uśmiechem.

— Dla ciebie, dziecinko — odparła.

Darrell Grant oparł swoją obolałą głowę o szybę. Jechali międzystanówką, szybko zostawiając za sobą śródmiejski krajobraz. Wijące się linie na jezdni, strumień reflektorów z przeciwnej strony sprawiły, że poczuł zawrót głowy.

— Jestem poważnie naprany — skonstatował.

— Jeżeli to cię interesuje, mój były mąż ma problem narkotykowy — wyjaśniła Erin kongresmanowi.

— Wolałbym, żebyś odłożyła rewolwer — zwrócił się do niej Dilbeck.

— Chyba nie słuchałeś, co?

— Nigdy przedtem nie widziałem, jak tańczysz — oznajmił sennym głosem Darrell. — To było cholernie dobre.

— Och, zamknij się — rzuciła Erin.

— Przepraszam za ten numer z dziesiątakiem.

— Prawie zapomniałam o twoim zabójczym poczuciu humoru — rzekła.

Darrell rozkoszował się przestrzenią w limuzynie.

— Mógłbym się do tego przyzwyczaić — oświadczył, wyciągając nogi. — Komfort z kontrolowanym klimatem. Tak jest, proszę państwa!

David Dilbeck odezwał się tak, jakby Grant nie mógł go słyszeć:

— Jego złamanie wygląda paskudnie, Erin. Powinien zgłosić się do lekarza.

— Rita opatrzyła mi rękę — poinformował épun, podnosząc ją z dumą. — Moja wspaniała siostra.

— Troszczy się o ciebie — zauważyła Erin. — Tylko ona ci została.

— Nie, to Angie się o mnie troszczy. Angie kocha swojego tatuśka.

— Uważa, że jesteś zabawny. A to różnica.

— Kocha mnie!

Erin przestała z nim dyskutować. Może Darrell ma rację. Nie chciała teraz o tym myśleć.

— Kiedy wreszcie dojedziemy na miejsce? — spytał kongresman. — Muszę zrobić siusiu.

Dziewczyna zignorowała go.

— Zabiłem dzisiaj wieczorem człowieka — pochwalił się jej były mąż.

— Doprawdy?

— Tam, na łodzi.

— Miałeś jakiś konkretny powód?

— Próbuję sobie przypomnieć.

Erin uznała to za wytwór jego wyobraźni.

— Darrell dodał: — Nie było tak, jak przypuszczałem. Mówię o zabiciu tego faceta.

— Jak zwykle zbyt wiele się spodziewałeś — skostatowała Erin. Zastanawiała się, co z nim zrobić. Pieprzył jej wszystkie plany związane z Dilbeckiem.

— O Angie mówiłem zupełnie poważnie — zapewnił Darrell.

— Żartujesz? Czeką cię więzienie.

— Nie, Arizona. Stolica foteli inwalidzkich Ameryki Północnej.

— Porąbany skurwieli.

— I zabieram moją córkę.

— Najpierw cię zastrzelę — ostrzegła Erin.

David Dilbeck zaczął nagle łkać i szukać po omacku klamki u drzwi. Uspokoił się, gdy tancerka przycisnęła lufę do jego policzka.

— Od kiedy nosisz gnata? — zainteresował się jej eksmałżonek.  
— Jezu, nienawidzę rewolwerów.

— Dokucz mi prostata — oświadczył polityk.

— Przestańcie jęczeć — warknęła Erin. — Obydwaj.

Darrell podrapał się w kostkę u nogi łopatką kija golfowego.

— Przynajmniej powiedz nam, dokąd, do diabła, jedziemy. Hej, kierowco, czy mówicie po amerykańsku?

Pierre nie zareagował.

— Powiem wam, dokąd jedziemy — odparła Erin. — Zobaczyć naszego kongresmana w akcji.

Na początku października trzcina cukrowa niedaleko jeziora Okeechobee była zielona, gęsta i wysoka na trzy metry. Tereny te są najbardziej płaską częścią Florydy i z jadącego samochodu pola zdają się ciągnąć we wszystkie strony aż po horyzont. Za mniej więcej miesiąc

przybędą prawie dwa tysiące sezonowych robotników z Karaibów i rozpoczną wycinanie trzciny, młyny cukrowe zaś będą czynne przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale na początku października większość prac przy zbiorach wykonują maszyny. Niesamowite, przypominające kraby urządzenia zwane kosiarkami trzcinowymi ścinają trzcinę i układają ją w rzędach. Potem następne maszyny zabierają ją i przewożą do młynów firmy produkującej cukier.

Kongresman David Lane Dilbeck nie zastanawiał się zbyt nad techniką i metodyką uprawy trzciny cukrowej. Wystarczyła mu świadomość, że panowie Rojo są miłymi ludźmi, dobrze urodzonymi i tak bardzo hojnymi. Ogromne dotacje na kampanię były oczywiście ważne, ale Dilbeck chętnie zrezygnowałby ze swojego głosu w Kongresie za samą tylko możliwość używania od czasu do czasu ich wspaniałego jachtu. Bardzo cenił sobie również towarzystwo młodego Christophera, który podzielał jego zamiłowanie do wyuzdanych rozrywek i nigdy nie odmówił zapłacenia rachunku. Dla Davida Dilbecka zainteresowanie bogatych, potężnych ludzi było sympatyczną, dodatkową korzyścią z tej pracy.

Kongresman nie widział nic złego w dotacjach cenowych, które uczyniły z rodziny Rojo multimilionerów. Lobby zbożowe, mleczarskie i tytoniowe od lat naciągały podatników, melodramatycznie opowiadając o nieszczęściu „rodzinnych farmerów”. Dlaczego więc nie cukier? Podobnie nie spędzały mu snu z powiek zniszczenia, na jakie narażało rolnicze gospodarki biednych państw karaibskich odcięcie ich od chronionego rynku amerykańskiego. Nie cierpiał również z powodu długofalowych skutków spuszczenia miliardów litrów ścieków przemysłu cukrowniczego do Everglades. Dilbeck nie rozumiał, o co cały ten zgiełk. Prawdę mówiąc, Everglades nie obchodziły go w najmniejszym stopniu. Były senne, bagniste i pełne robactwa. Kiedyś, w czasie zebrania wyborczego w miejscowości Miccosukee, zgodził się na przejażdżkę ślizgaczem, ponieważ Erb Crandall uznał, że będzie to okazja do przeprowadzenia sensacyjnej sesji zdjęciowej. Ślizgaczowi skończyło się paliwo na Shark River i polityk spędził dwie koszmarnie godziny, wydłubując z uszu opite krwią komary.

— Widziałem ładniejsze wody w świńskim korycie — rzekł do Erin.

Tancerka znęcała się nad nim twierdząc, że kurwi się dla rodziny Rojo.

— Jak myślisz, skąd jest twoja woda do picia? — Wskazała przez okno limuzyny. — Stamtąd, Davey. A twoi kumple wpuszczają do niej nawozy.

Darrell Grant był znudzony do niemożliwości. Bez przerwy próbował wciągnąć Pierre'a do rozmowy, ale bez powodzenia. Szosa zwięzła się do dwóch tylko pasm i Grant poznał, że są na US 27. Limuzyna pograżyła się w mroku i jedynym śladem miasta był rozmazany, żółty jak siarka poblask. Darrell nie mógł sobie wyobrazić, dokąd Erin ich wiezie i po co. Staruch w kowbojskim ubranku w dalszym ciągu pozostawał zagadką. Czy to był jej nowy, bogaty fagas? Sam pomyślał, że Erin mogłaby zacząć polować na majątek, doprowadził go do wściekłości. Jaka matka, taka córka? Wszystko było możliwe.

Usiłował obmyślić jakiś plan, ale narkotyki źle wpływały na jego zdolność koncentracji. Tak naprawdę miał ochotę spać przez jakieś sześć miesięcy.

Gdy przybyli do Belle Glade, było wpół do jedenastej (tablica powitalna głosiła „Ta ziemia jest przyszłością”). Pierre skręcił z głównej szosy i pojechał wolno przez puste osiedle dla robotników sezonowych. David Dilbeck był zaniepokojony jego widokiem. Kazał kierowcy wdepnąć gaz, zanim oprychy wyroją się z ruder i zniszczą limuzynę.

— Jest wynajęta — wytłumaczył Erin.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nigdy dotąd tu nie byłeś?

— O co ci chodzi? — nadał się kongresman. Ciepélko, jakie od czuwał po korbelu, przeszło w koszmarną migrenę.

Pierre wyjechał z powrotem na szosę i podążał nią tak długo, aż znowu pojawiły się zielone pola. Erin poprosiła go, żeby stanął.

— Nie rozumie po angielsku — zauważył ze zniecierpliwieniem Dilbeck.

— Doprawdy?

Pierre zjechał z jezdni i zatrzymał się na poboczu, nie wyłączając silnika.

— Wsiadamy — oznajmiła energicznie Erin. — I Davey, nie zapomnij swojej zabawki do karczowania dżungli.

Dilbeck podejrzliwie popatrzył w noc.

Przed żniwami trzcinę cukrową się opala, aby usunąć liściaste, bezużyteczne wierzchołki i wypędzić zwierzęta z pól. W środku sezonu dym unosi się z pól gęstymi słupami, które często zasłaniają niebo. Tej nocy jednak było krystalicznie czyste — wypełnione konstelacjami gwiazd, których nigdy nie widzi się w mieście. Żółty księżyc w trzeciej kwadrze wisiał nisko nad horyzontem.

Pierre wysiadł i otworzył tylne drzwi limuzyny. Pierwszy pojawił się kongresman, trzymając wąską brązową paczkę. Za nim niepewnie wygramolił się Darrell, zahaczając z brzękiem sterczącą łopatką kija golfowego o błotnik samochodu. Ostatnia wyłoniła się Erin, ostrożnie stawiając nogi w pantofelkach na wysokim obcasie. Pierre podał jej małą latarkę.

Darrell Grant poskarżył się na gazy w żołądku.

— Pozwól mi zostać i się przekimać — poprosił.

— Oczywiście. W kufrze. — Erin wskazała lufą rewolweru. — Pierre, przygotuj panu Grantowi *budoir*.

Haitański kierowca spełnił jej prośbę. Otworzył pokrywę bagażnika i przesunął zapasowe koło, żeby zrobić miejsce.

— W kufrze? — Darrell klepnął polityka po plecach. — A nie mówiłem ci, że ma zabójczy wpływ na godność osobistą?

David Dilbeck sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

— Erin, ja mam chore serce.

— A kto go nie ma? Darrell, włóż do tego cholernego bagażnika. — Zaświeciła mu latarką w oczy.

— Zamierzasz mnie zastrzelić? — Roześmiał się głupkowato. — Jakoś sobie tego nie wyobrażam.

Ekszona kazała mu się położyć i zdrzemnąć. Grant stał, oparty ciężko o błotnik limuzyny.

— Chciałbym cię o jedno zapytać — rzekł. — Jak ty to robisz? Chodzi mi o kręcenie tyłkiem przed obcymi ludźmi. — Szturchnął kongresmana kijem golfowym. — Przed takimi chorymi starymi fiutami jak ten. Nie rozumiem, jak możesz to robić.

— Muzyka mi pomaga. To wszystko.

— Czyli że niby udajesz? Nie jestem tego taki pewien.

— Facetom łatwo zamydlić oczy.

David Dilbeck jęknął rozpaczliwie:

— Muszę siusiu.



Erin machnęła latarką w stronę rzędów trzciny.

— No więc siusiąj — warknęła. — Polityk oddalił się kaczkowatym krokiem, szarpiąc za guziki dzinsów.

Darrell wybełkotał pijacko:

— Nigdy nie myślałem o tobie jako o striptizerce. Właściwie śmiesz mnie to jak cholera.

— Wyczyściłeś nasz rachunek oszczędnościowy. Musiałam zapłacić adwokatowi.

— A poza tym postanowiłaś dorobić na boczkach w klubach ze striptizem, co? Czochrasz im włosy, bawisz się krawatami, mówisz, jak ładnie pachną.

— Może dlatego nazywają to drażnieniem.

— Boże, ależ na zimno pogrywasz.

Słychać było, jak Dilbeck nawadnia trzinę cukrową. Zawołał przez ramię:

— Ja ją naprawdę kocham!

— Żałosne — stwierdził narkoman.

— Nie zgłaszam sprzeciwu — uśmiechnęła się Erin.

— Wiesz, co myślę? Że w tym zasmakowałaś.

— Masz dzisiaj mnóstwo teorii, Darrell. — Czyżby ten złodziej-szek foteli inwalidzkich próbował palnąć jej kazanie, zastanawiała się. — Właż do bagażnika! — poleciła. — Przecież ten cholerny samochód tak bardzo ci się podoba.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa.

— Nie zrezygnuję z Angie. Zapamiętaj sobie: będę was tropił do samego piekła i z powrotem. — Przeszedł obok niej i skierował się w ku plantacji trzciny cukrowej.

— Stój! — Podniosła rewolwer w jednej ręce, a latarkę w drugiej.

Jej były mąż się odwrócił. W świetle latarki widać było, że szczyrzy zęby w uśmiechu.

— Nie zabijesz mnie. Nie zabijesz ojca swojego jedyne dziecko!

Erin zastanawiała się nad tym problemem. Wyobraziła sobie, jak Darrell masakruje lalki Angie, i mięśnie ręki z rewolwerem napięły się.

— Powiedziałeś sędziemu, że nie nadaję się na matkę. Rzeczywiście tak uważasz?

— To była taka adwokacka gadka, na litość boską. Zawsze

traktujesz osobiście różne gówna. — Błagalnym gestem rozłożył ramiona i w świetle latarki rozbłysnął metal kija golfowego. — Do diabła, byłaś dobrą matką. Tak samo jak ja byłem dobrym tatusiem. Reszta to tylko adwokackie pieprzenie.

W tej właśnie chwili Erin uświadomiła sobie, że nie wystrzeli. Nie musiała tego robić. Biedny skurwysyn był już prawie skończony. Bez forsy, zaćpany, okaleczony, uciekający przed policją — Darrell Grant przeszedł już do historii. Zabicie go byłoby przesadą.

— Wracaj — odezwała się. — Mam wobec ciebie pewne plany.

— Myślisz o takich planach jak więzienie? Nie, dziękuję. Spryćciula. — Pomachał jej zawadiacko i szedł przed siebie.

Erin przypomniała sobie rady Shada dotyczące strzelania. Kiedy masz wątpliwości, strzel w coś, cokolwiek.

Wystrzeliła dwukrotnie w ziemię koło nóg eksmeża. Trzask wystrzałów utonął bez echa w gęstwinie wysokich trzciny. Usłyszała, jak Darrell wrzasnął „kurwa”. Gdy skierowała latarkę w miejsce, gdzie stał przed chwilą, już zniknął, przemykając jak łania przez rośliny. Przesuwała wolno promieniem latarki wokół siebie, aż wreszcie dojrzała kongresmana nerwowo zapinającego rozporek. Wyszedł z wysokiej trawy i zapytał:

— Dobrze się czujesz?

Rewolwer parzył ją w dłoń. Niech cholera weźmie tego Darrella, pomyślała. Mam nadzieję, że nadejście na grzechotnika. Odwróciła się gwałtownie w stronę Dilbecka.

— Rozbieraj się! — rozkazała.

— Wiedziałem. Teraz każesz mi zatańczyć.

— Chciałbyś — odparła Erin.

Po ścięciu i złożeniu trzciny w stosy maszyna zagarnia łądygi, oczyszcza je z liści i przerzuca na platformę. Po jej zapełnieniu transporter przenosi trzcinę na długie przyczepy z burtami ze stalowej siatki, holowane przez ciągniki. Każda przyczepa mieści dwadzieścia ton trzciny i wysypuje swoją zawartość na bok. Ciągniki są zaparkowane w pewnych od siebie odstępach wzdłuż dróg gruntowych graniczących z polami trzciny cukrowej wokół Okeechobee.

Początkowo Darrell myślał, że dotknął go najkoszmarniejszy kaprys losu i trafił na ogrodzenie więzienia o średniej kategorii

bezpieczeństwa. Kiedy jednak podszedł bliżej, macając przed sobą wysuniętą ręką jak we mgle, przekonał się, że siatkowa konstrukcja jest właściwie burtą długiej przyczepy samochodowej. Wykorzystując gigantyczne koło jako stopień, zaczął się wspinać.

Przyczepa do przewozu trzciny zapewniała podwójną korzyść. Sprawiała wrażenie dobrej kryjówki przed opętaną chęcią mordu była małżonką, a także odpowiedniego miejsca, żeby się zdrzemnąć. Darrell wiedział, że musi położyć się w miarę szybko, zanim upadnie. Pigułki przeciwrakowe wywaliły mu wszystkie bezpieczniki. Zdawał sobie sprawę, że chyba źle obliczył dawkowanie i równie niewłaściwie ocenił tolerancję swojego organizmu. Eee, mniejsza z tym.

Przeszedł przez siatkę, rzucił się na wilgotne sterty przydymionej trzciny i zakopał w nie jak dżdżownica. Uznał, że jest sprytny, niewidzialny i bezpieczny. Gdyby poza tym był trzeźwy, mógłby także zgadnąć, jaki jest punkt docelowy przyczepy i przeznaczenie jej ładunku.

Po załadowaniu ich na polach przyczepy kierowane są do młynów i wyładowywane na pasy transporterów. Pierwszym etapem obróbki jest rozdrobnienie trzciny za pomocą lśniących noży obrotowych. Następnie z powstałych włókien, pod ciśnieniem pięciuset ton, wytłacza się sok służący do dalszej produkcji. Parowniki przekształcają oczyszczony sok trzcinowy w syrop, który następnie jest ostrożnie podgrzewany tak długo, aż powstanie mieszanina słodkiej melasy i kryształów. Do ich rozdzielania służą szybkoobrotowe wirówki.

Zazwyczaj z pół tony trzciny otrzymuje się około dwudziestu pięciu kilogramów nierektyfikowanego cukru. Ale na jego wagę i stopień czystości mogą też mieć poważny wpływ substancje obce, takie na przykład jak szczątki ciała ludzkiego.

Darrell Grant nadmiernie nafaszerował się medykamentami i zbyt dobrze się ukrył. Był pogrążony w głębokim, ćpuńskim śnie, gdy przyczepa z trzcina, w której się schował, ruszyła w kierunku młyna. Darrell się nie obudził, w każdym razie nie na tyle, aby miało to jakieś znaczenie. Żadne krzyki, jęki czy coś w tym rodzaju nie zakłóciło procesu obróbki cukru. Dokonał tego raczej kij golfowy umocowany do ręki Granta, który wklinował się między obrotowe ostrza i spowodował, że chłopcy z kontroli jakości przy galopowali do rozdrabniania.

Młyn był zamknięty przez trzy godziny; w tym czasie lokalna policja zbierała i pakowała szczątki. Szeryf z Palm Beach wydał później oświadczenie o śmierci włóczęgi, który zginął w niecodziennym wypadku podczas obróbki trzciny na Farmach Rojo. Władze zwróciły się do społeczeństwa z prośbą o pomoc w identyfikacji ofiary, którą opisano jako białego płci męskiej, w wieku około trzydziestu lat i o blond włosach. Nie sporządzono portretu pamięciowego, ponieważ rozdrabniarka pozostawiła bardzo niewiele materiału, który mógłby posłużyć policyjnym rysownikom do pracy. Notatka prasowa głosiła, że ofiara miała na sobie dżinsy i buty, a także była zapewne entuzjastą golfa. Doniesiono również, że Korporacja Cukrownicza Sweetheart ściśle współpracowała przy wyjaśnianiu tego incydentu.

W cukrowni rozkolportowano notatkę zapewniającą pracowników, że nieszczęsny wypadek nie ma najmniejszego wpływu na doskonałą jakość wyrobu. W prywatnych rozmowach jednak robotnicy z niepokojem zastanawiali się, ile właściwie martwego włóczęgi dostało się do dziennej produkcji. Powszechnie uważano, że jedna kropla krwi, jeden byle jaki włos łonowy czy nawet mikroskopijny okruch brodawki to i tak za dużo.

Obrzydliwe plotki zataczały coraz szersze kręgi i wielu pracowników przestało używać cukru do kawy czy herbaty. Farmy Rojo, jak większość producentów cukru, od dawna stosowały przepis zakazujący używania na terenie firmy sztucznych słodzików. Jego naruszenie traktowano jako wyraz nielojalności — rolniczy odpowiednik postawy sprzedawcy chryslera kupującego sobie toyotę. Mimo to jednak w ciągu kilku dni po koszarnej śmierci Darrella Granta zakonspirowana siatka przemytnicza zaczęła dostarczać do zakładowej stołówki pakieciki słodziku Sweet'n Low. Wewnętrzne dochodzenie nie zdołało ustalić winnych ani zlikwidować przemytu. Aby uniknąć rozgłosu związanego z konfliktem związkowym, kierownictwo cukrowni po cichu machnęło ręką na całą sprawę i wycofało się z wymogu używania wyłącznie cukru. Braci Rojo nigdy o tym nie poinformowano.

## 32.

Shad z całej siły wyrzwał w pokrywę schowka na rękawiczki.

— Przestań! — odezwał się Garcia. — Chryste, zapal sobie.

— Ależ z nas pieprzeni bohaterowie.

Sierżant pędził międzystanówką z prędkością ponad stu czterdzieści kilometrów. Łysa głowa Shada odbijała dziwacznie stroboskopowe rozbłyski migacza umieszczonego na tablicy z przyrządami. Powietrze z wyciem wdzierало się przez okno rozbite strzałem ze śrutówki. Eksbramkarz pogardliwie splunął w ciemność.

— Spoko — rzekł Garcia. — Hej, już dawno zrezygnowałem z bycia bohaterem. Czasem najlepszym wyjściem z sytuacji jest nadać sprawom jakiś impuls. — Detektyw energicznie pykał cygarem. — Dlatego właśnie zostawiłem swój bilet wizytowy w skrytce adwokata. Przeczuwałem, że w ten sposób mogę skłonić pana Moldowsky'ego do zrobienia czegoś kretyńskiego.

— Ale sam powiedziałaś, że to nie jest gra — przypomniał Shad.

— Trzeba było jednak wykonać jakiś ruch. No i wykonaliśmy.

— A teraz widzisz, co się stało. Erin porwano.

— Chyba nie doceniasz tej damy. — Sierżant opuścił szybę i strząsnął dwucentymetrowy stożek popiołu. — Czy zauważyłeś coś dziwnego w tym napisie na lustrze? Oprócz tego, że był sporządzony szminką?

Shad zgarbił się z ponurą miną. Zajął się obmyśleniem planu, jak

powinien potraktować kongresmana. Właśnie był na etapie kwasu solnego i rozległych ran twarzy.

— Wiesz, co mnie w tym uderzyło — wyjaśnił Garcia. — Słowa na lustrze nie były wypisane drukowanymi literami, ale zwykłymi. Przepięknym charakterem, prawda? A więc powiedz mi, *chico*, kto potrafiłby tak ładnie pisać z rewolwerem przystawionym do głowy i zdając sobie sprawę, że za chwilę zostanie porwany? Nikt, zgadza się?

Pozbawione brwi czoło Shada zmarszczyło się w namyśle. Jego jedwabiście różowa kopuła czaszki wyglądała w mroku jak głowa studziesięciokilogramowego niemowlaka.

— Sądysz, że wszystko zaplanowała?

— Istnieje takie prawdopodobieństwo — potwierdził Garcia.

— Ale nie ma mowy, żeby załatwiła tego typu w skrzynce na ryby.

— Zgadzam się. — Kłębiąca się zasłona niebieskiego dymu nie pozwalała dojrzeć wyrazu twarzy detektywa. — Z pewnością jednak miał jakiś swój plan gry.

Shad przypomniał sobie, co mu powiedziała Urbana Sprawl — że Erin wyruszyła narozrabiać.

— W takiej sytuacji zadałem sobie pytanie, kto trzyma atuty — ciągnął Garcia. — I doszedłem do wniosku, że bez wątpienia Erin, a nie Dilbeck. Facet jest starym, zarozumiałym pierdołą, który uważa się za dar niebios dla każdej dupy, ale najbardziej na świecie pragnie pokochać się z pewną oszalamiającą tancerką. Chodzi mi o to, że byłby w siódmym niebie, gdyby ta dziewczyna tylko uśmiechnęła się mniej więcej w kierunku jego fiuta. Nadażasz?

Dawny wykidajło wyciągnął Ałowi Garcii cygaro z kieszonki koszuli i oberwał zębami celofanowe opakowanie.

— Po takiej ilości szampana — zachichotał detektyw — założę się, że dziś wieczór staremu Dilbeckowi nie stanąłby, nawet gdyby użył wielokrażka. A Erin ma nad nim przewagę przynajmniej trzydziestu punktów współczynnika inteligencji.

— Mężczyźni dla niej wariują — przyznał Shad. — Sam się o tym przekonałem.

— Dilbeck nie jest typowym gwałcicielem. Ma na to za wysokie mniemanie o sobie.

— Wcale nie musi być typowy — oznajmił Shad, odgryzając

koniuszek cygara. — Wystarczy, żeby mu strzeliło coś takiego do łba.

Przez kilka kilometrów jechali w milczeniu. W miarę jak posuwali się na zachód, ruch na szosie malał.

— Belle Glade, kurwa mać — wymamrotał Shad. — Gdzie jest Belle Glade? — Odwrócił się do Garcii. — Przypuszczam, że masz jakiś pomysł?

— Wspomniałem ci o dawaniu impulsu sprawom... Widzisz, ludzie mają taką swoją koncepcję sprawiedliwości. Mówią o „systemie”, myśląc o gliniarzach, sędziach, sądach i więzieniach. Gdyby ten system działał sprawnie, powiadają, nie istniałby problem przestępczości. Ulice byłyby bezpieczne, a źli faceci odsiadywaliby dożywocie.

Shad roześmiał się ironicznie. Wyciągnął zapalniczkę i przypalił cygaro.

— Weź tego porąbanego skurwiela, byłego męża Erin. Masz przykład, jak cudownie działa cały ten system.

— Właśnie — przytaknął sierżant, machając ręką w powietrzu. — Darrell Grant był policyjnym kapusiem. Dobrzy faceci biorą złych facetów na pensję w imię wszechmocnej sprawiedliwości. Przeciętny podatnik nic z tego nie rozumie. Cały ten system jest grą, i to wszystko. Takich typków jak Moldowsky nawet nie mogę tknąć. To samo dotyczy kongresmana. Mogę więc jedynie spróbować nadać sprawom impuls. Sprawić, żeby gówno rozleciało się we wszystkie strony, i obserwować, gdzie się przylepi.

— Bo nie masz dowodów — zauważył eksbramkarz.

— Najmniejszego. Ale to wcale nie znaczy, że nie możemy wymierzyć sprawiedliwości.

— Człowieku, jesteś marzycielem.

— Być może — przyznał Garcia. — Jestem jednak pewien, że Moldowsky wystawił kontrakt na zabójstwo Jerry'ego Killiana, a także tego cwane go adwokata i jego kuzynki. I jestem też przekonany, że nawet za trylion lat nie zdołałbym skompletować dowodów. — Uniósł krzaczaste, nastroszone brwi. — A poza tym wiem jedno: dzisiaj wieczorem otworzyłem śmierdzącą skrzynkę na ryby i znalazłem w niej nieodwracalnie zeszęgo pana Malcolma J. Moldowsky'ego. Ironia losu, zbieg okoliczności, możesz to nazywać, jak sobie chcesz. Teraz jednak mam już coś, co będę mógł powiedzieć mojemu chłopakowi.

— Twojemu chłopakowi? — zdziwił się Shad.

— To on znalazł ciało w rzece.

Shad mruknął coś pośepnie.

— Przynajmniej mogę go poinformować, że jest po wszystkim — kontynuował sierżant. — I że zły facet dostał to, na co zasłużył.

— A ja jeszcze nie jestem gotów na świętowanie — oświadczył Shad. — Chcę zobaczyć Erin żywą. — Głośno zaciągnął się cygarem. — Mam nadzieję, że nie uruchomiłeś niewłaściwego biegu wypadków.

— Tak — odezwał się cicho detektyw. — Zawsze istnieje taka możliwość.

Shad pogodził się już z przejażdżką. Gdy przyjął do wiadomości, że Erin panuje nad sytuacją, poczuł się nieco lepiej.

— Obiecuj mi tylko jedno — zwrócił się do Garcii. — Że nie trzymasz w lodówce następnej ludzkiej głowy. — Wskazał kciukiem bażanik caprice.

— Noc jest jeszcze młoda — odparł z uśmiechem sierżant.

Kongresman rozebrał się, pozostając jedynie w spodenkach bokserkich i kowbojskich butach. Promień latarki Erin wędrował po jego galaretowanym ciele. Była trochę zakłopotana, ale to uczucie szybko minęło.

— I co teraz? — zapytał Dilbeck, odganiając owady.

— Pora zaczynać, sam wiesz co.

— Ach. — Ton jego głosu uległ zmianie. Z podnieceniem rozwinął brązową paczkę. Podniósł trzymaną w obu dłoniach maczetę i pokazał ją tancerce. — Pożyczył mi ją Willie Rojo. Wisi na ścianie jego prywatnego gabinetu.

— W bardzo dobrym guście — zauważyła Erin.

Polityk przesunął palcem po ostrzu.

— Chyba wiem, o co ci chodzi — oznajmił ze sprytnym uśmiechem.

— Wątpię — mruknęła dziewczyna.

— Chcesz się bawić — powiedział z nadzieją w głosie Dilbeck.

— Och, proszę.

— W odgrywanie ról...



— Nie, słoneczko...  
— Jesteś panią, a ja niewolnikiem!  
Ten palant rzeczywiście się podnieca, pomyślała Erin.

— Na czym więc polega twoja zabawa? — dociekał.

— Chcę, żebyś ściał trochę trzciny.

Z niepokojem cmoknął językiem.

— Ale nie wiem jak.

— Och, spróbuj — poprosiła Erin. — Dla mnie.

— Czułbym się lepiej, gdybyś schowała rewolwer.

— Wkrótce — obiecała.

Skierowała promień latarki w stronę dojrzałej trzciny cukrowej. Dilbeck zrobił krok do przodu i machnął maczetą na odlew. Łodygi zakołysały się, lecz nie upadły.

— Lepiej ci idzie z butelką po szampanie — zauważyła Erin.

— Tylko popatrz — parsknął kongresman i zaczął łomotać.

Każdemu zadanemu ciosowi towarzyszyło wysokie mruknięcie przypominające dźwięki wydawane przez Monice Seles, gwiazdę tenisa. Żniwiarska technika Davida Dilbecka wymagała jednak udoskonalenia. Właściwie nie tyle ścinał trzcinę, ile ścierał ją na proch. Erin oświetlała latarką rząd łodyg, żeby polityk widział, co rąbie. Nie chciała, żeby przez przypadek skosił sobie palce u nóg.

Po niecałej minucie przestał ciąć. Twarz miał zaczerwienioną, pierś unosił mu ciężki oddech, a plamiaste fakdy jego brzucha pokrywały krople potu. Spodenki bokserskie osunęły mu się poniżej pasa, odsłaniając rowek między pożyczowanymi pośladkami. Dyszał jak bezzębny, stary lew.

— Słoneczko, jeszcze nie koniec — powiedziała Erin. — Nadajesz nowe znaczenie pojęciu „sługa narodu”.

Dilbeck zgiął się wpół, głośno wciągając powietrze.

— Ciągłe jesteś ubrana — spostrzegł nagle.

— Oczywiście.

— Doskonale, doskonale. — Wytarł dłonie o spodenki. — Ile mam jeszcze wyciąć, zanim zaczniemy się bawić?

— Myślałam mniej więcej o tonie.

— Bardzo śmieszne...

— Robotnik sezonowy — wyjaśniła — ścina osiem ton dziennie.

— Osiem ton — mruknął kongresman. To samo mówił Chris Rojo. Te dane wydawały mu się absurdalnie nieprawdziwe.

— Jeden zbieracz, własnoręcznie — dodała tancerka. Wiele czytałam na temat uprawy trzciny cukrowej, możemy więc przeprowadzić merytoryczną dyskusję. — Zrzuciła pantofle na wysokim obcasie. — Sądziłam, że znasz się na cukrze, skoro kupiła cię rodzina Rojo.

— To cholerne kłamstwo — Dilbeck zeszywniał.

Erin oświetliła go latarką — rzeczywiście był wkurzony, lecz w opadających spodenkach trudno raczej zachowywać się z urażoną godnością.

— Zgadnij, ile panowie Rojo płacą zbieraczom trzciny.

— Nic mnie to nie obchodzi — warknął polityk. — I tak to dla nich lepsze niż zdychanie z głodu w *barrios* Kingston.

— A więc to działalność humanitarna! — Dziewczyna udała, że ociera łzy. — Proszę mi wybaczyć, panie kongresmanie, źle pana oceniłam. Przypuszczałam, że twoi kumple są zwykłymi chciwymi przedsiębiorcami wykorzystującymi biednych, znajdujących się w rozpaczliwej sytuacji nieszczęśników. A teraz dowiaduję się, że są świętymi! — Machnęła rewolwerem. — Wycinaj dalej, kochanie. A tak na marginesie, chciałam zauważyć, że na Jamajce nie mają *barrios*. Nazywają je slumsami. Jakoś znowu pomieszały ci się realia Trzeciego Świata.

Ożywiony gniewem Dilbeck rzucił się na trzcinę jak derwisz.

— Kim jesteś, żeby wygłaszać mi kazania? — rzucił pomiędzy stęknieniami.

— Tylko wyborcą — odparła. Przypomniała mu, że jego kompan od kieliszka, młody señor Rojo, dał jej za jeden pantofel tysiąc dolarów. — Ale biorąc pod uwagę, ile płaci swoim robotnikom — ciągnęła — przypuszczam, że stać go na taki wydatek.

Dilbeck przerwał ścinanie trzciny.

— Masz bardzo uproszczony pogląd na sprawę, młoda damo. Bardzo uproszczony.

— Davey, kiedy twój komitet będzie głosował nad dotacją cukrową? Zastanawiam się, co zrobiliby braciszczkowie Rojo, gdybyś się nie pojawił?

Polityk nie mógł zrozumieć, w jaki sposób wieczór, który zaczął się tak obiecująco, zepsuł się aż do tego stopnia. Striptizerka stoi z rewolwerem w samym środku pieprzonego niczego, a on tkwi w trzcinie cukrowej po bolące i spocone jaja. Doszedł do smutnego

wniosku, że dziki kowbojski seks nie figuruje już w planie dnia. W jego wyobraźni zaczęły się pojawiać bardziej nieprzyjemne scenariusze. Cała ta rozmowa o niewolniczej pracy, o rodzinie Rojo, głosowaniu komisji Kongresu... Dlaczego ta kobieta porusza takie sprawy?

Ciał trzcinę, dopóki nie zdrętwiało mu ramię. Wtedy opadł na kolana, podpierając się na maczecie.

— Dobra robota — pochwaliła Erin. — Zostało ci tylko czterysta pięćdziesiąt kilogramów. — Zastanawiała się, co powiedziała by na tę scenę jej matka, zaprzysięgła oportunistka. David Dilbeck był kimś, kogo mamuśka uznałaby za matrymonialną gratkę — bogaty, wpływowo i gdyby dobrze go ubrać, nawet z pewną prezencją.

— Czego właściwie chcesz? — wychrypiął.

Erin przykucnęła obok niego.

— Pamiętasz mężczyznę, który nazywał się Jerry Killian?

Dilbeck ostrożnie skinął głową.

— To ten, który próbował mnie szantażować. Z jego powodu rozmawiałem z sędzią na temat powtórnego rozpatrzenia sprawy twojej opieki nad córką.

— I co się stało, Davey?

— Sędzia odparł, że nie ma mowy. Wsiadł na swojego konika.

— A co z Killianem?

— Czy był twoim przyjacielem? — zapytał z wahaniem kongresman. — Nie wiem, co się stało. Malcolm zapewnił mnie, że sprawa została załatwiona. Nigdy już nie słyszeliśmy o tym człowieku.

— Dlatego, że został zamordowany.

Dilbeck opadł na czworaki.

— Mój Boże — jęknął. To prawda? Niemożliwe.

— Prawda. — Erin wstała. — I wszystko przez ciebie, przez rodzinę Rojo... — machnęła rewolwerem — ...przez ten cały cukier. — Obserwowała, jak siada z wysiłkiem. — Zginął człowiek, Davey. Tylko dlatego, że jesteś kanciarzem.

Jego twarz była barwy popiołu. Zażądał, żeby przestała świecić mu w oczy tą cholerną latarką.

— Dziewiętnaście lat — rzekł ochryplym głosem. — Dziewiętnaście lat służę w Waszyngtonie. Nie wolno ci mnie poniżać.

— Człowiek nie żyje — powtórzyła.  
— Przejrzyj moje dokumenty, młoda damo. Głosowałem za każdą ustawą gwarantującą prawa obywatelskie, która przechodziła przez Kongres. Weź najistotniejsze ustawy naszych czasów — o ubezpieczeniach społecznych, o równych szansach wynajmu mieszkań, niższych opłatach za telewizję kablową — i zobacz, jak głosowałem. I farmerzy, tak, masz do cholery rację. Popieram rodzinne farmy i nie wstydę się do tego przyznać!

Erin westchnęła w duchu. Dilbeck papugował mowę z kampanii wyborczej.

— ...a kto samodzielnie zablokował podwyżkę płac kongresmanów? Ja! Ja oddałem decydujący głos. Nie sądzisz, że wymagało to odwagi?

Dziewczyna gorączkowo starała się przerwać jego monolog.

— Kiedyś sama zadzwoniłam do twojego biura.

Polityk przerwał.

— Do Waszyngtonu? Po co?

— Zapytać cię o Jerry'ego Killiana. Byłeś zajęty.

— Gdybym wiedział...

— Co Rojo ci dali? Przyjęcia, dziewczyny, przejażdżki jachtem. Co jeszcze? Las Vegas? Czasem wakacje na wyspach? — Obeszła go naokoło. — Mam wrażenie, że jesteś człowiekiem, który nie odmawia żadnej darmochy.

Dilbeck otarł przedramieniem czoło.

— Mój ojciec — oznajmił z doskonale przeciwionym szacunkiem — był zwykłym człowiekiem pracy o zwykłych marzeniach. Wiesz, w jaki sposób zarabiał na życie? Opróżniał szamba!

— Na pewno bardzo by się nam teraz przydał — stwierdziła Erin. Podeszła do limuzyny, aby ponownie uzgodnić szczegóły z Pierre'em. Wróciła, niosąc martini w plastikowej szklaneczce.

— Niech cię Bóg błogosławi — powiedział kongresman, chłepcząc jak ogar.

Dziewczyna rozpięła minispódniczkę, opuściła ją do kostek i odrzuciła kopniakiem. Na twarz Dilbecka powrócił wyraz przyjemnego zmieszania. W jego zapadniętych oczach rozbłysła nadzieja. W prostym białym staniku wyglądała wspaniale i dziewiczo. Poczł znajome impulsy pożądania. Ta kobieta była aniołem, który pojawił się w nocy.

- Jesteś szatańska — mruknął. — Naprawdę cię Kocham.
- Czy masz najmniejsze wyobrażenie, co się tu dzieje? — zapytała.

Pokręcił pokornie głową.

— Wszystko jest w ręku Pana.

— O rany!

Odrzucił pustą szklanekę i oznajmił.

— Jestem diakonem!

— Tak, a ja śpiewającą zakonnicą. Wstań, Davey.

Kongresman był tak wyczerpany, że przyjęcie pozycji pionowej okazało się długofalowym zadaniem. Posługując się maczetą jak laską, zdołał się w końcu podnieść. Stał z opuszczonymi bezwładnie rękami, podczas gdy Erin dokonywała za pomocą latarki ostatecznej inspekcji. Wyłaniające się z kretyńskich butów, wciąż lśniące od wazeliny nogi były pokryte sterczącymi guzami i niebieskimi żyłami. Promień światła przesuwiał się po jego ciele — czerwone pomarszczone kolana, opadające spodniki, kołyszący się szary brzuch, nabrzmiała pooperacyjna blizna, pełna oczekiwania patrycjuszowska twarz i srebrzyste włosy, które w tej chwili przypominały rozczochraną strzechę, ozdobioną grudkami błota i kawałkami trzciny cukrowej.

— Ależ ty wyglądasz — burknęła.

Doszła do wniosku, że jest już między jedenastą a wpół do dwunastej. Teraz albo nigdy, pomyślała. Odrzuciła latarkę w gąszcz wysokich trzin najdalej, jak potrafiła. Rewolwer również.

*Chyba musiałam zwariować.*

— No, no, no — odezwał się Dilbeck.

W żółtej poświacie księżyca Erin widziała jego coraz szerszy uśmiech.

— A więc słusznie cię oceniałem — rzekł.

*Muszę być niespełna rozumu.*

— Davidzie — zapytała. — Chcesz rozmawiać czy tańczyć?

— Pełnokontaktowo?

*Mam zupełnie nie po kolei w głowie.*

— Jak tylko sobie życzysz, Kochanie.

Gdzieś w nocy zaczął śpiewać Jackson Browne.

*Gdzie, do diabła, oni są?*

W odległości siedemnastu minut jazdy, po dwupasmowej drodze omijającej rezerwat Loxahatchee, w kierunku miasta Belle Glade pędziły trzy samochody. Były to jasnoszare nowe fordys. Każdego prowadził ostrzyżony krótko mężczyzna w ciemnym garniturze. Łącznie było ich sześciu — po dwóch w każdym wozie — oraz przystojna ciemnowłosa kobieta z małą dziewczynką. Mężczyźni mieli pod marynarkami rewolwery, umieszczone w kaburach pod pachami. Dziewczynka trzymała dwie lalki Barbie — blondynkę i brunetkę. Siedząca obok niej na tylnym siedzeniu trzeciego samochodu kobieta powiedziała małej, żeby się nie martwiła, bo wszystko będzie w porządku.

Angela Grant odparła, że wcale się nie martwi.

Sierżanta Al Garcię zablokowała wolno poruszająca się furgonetka oklejona hasłami religijnymi. Kierowca albo nie dostrzegł w lusterku błyskającego migacza, albo nie wiedział, co oznacza. Detektyw zastanawiał się, dlaczego ludzie z nalepkami JEZUS na zderzakach zawsze jeżdżą piętnaście kilometrów poniżej ograniczenia prędkości. Gdyby Bóg był moim drugim pilotem, ciągnąłbym sto dwadzieścia, pomyślał.

Shad ssal swoje cygare i opowiadał smutne historie o straconych szansach — karaluch w jogurcie, skorpion w twarożku.

— Wszystko było tak dopracowane — narzekał. — Pieprzone kopalnie złota.

— To wszystko wygląda na cholerne oszustwo — stwierdził Garcia.

— Kurwa, współczujesz firmom ubezpieczeniowym?

Sierżant wduśił pedał gazu i minął chrześcijańską furgonetkę po poboczu. Kilka minut później nieoznakowany caprice wjechał do skromnej dzielnicy handlowo-usługowej w Belle Glade. Garcia wyłączył migacz i zwolnił, szukając wzrokiem limuzyny kongresmana. Oczekiwał, że będzie wyraźnie odcinała się od otoczenia.

Shad w dalszym ciągu opisywał, w jaki sposób umieszcza się dorosłego karalucha w mrożonym produkcie mleczarskim. Tajemnica, zwierzył się Alowi, kryje się w dobrej pincecie.

Detektyw, chętnie poznający z pierwszej ręki sekrety przestępczego sposobu myślenia, zapytał:

— A co z samym karaluchem? Jest coś szczególnego?

— Im świeższy, tym lepszy — poradził Shad.

W tej samej chwili kolumna trzech szarych fordów przemknęła obok nich w przeciwnym kierunku.

— A więc o to chodziło! — rzekł Garcia, zawracając caprice z piśkiem opon. Sprytna dziewczyna, pomyślał. Muszę jej to przyznać.

— Kto to był, u diabła?! — zawołał eksbramkarz, zapierając się w pokrywą schowka. — Pozwól, że cię o coś zapytam — zwrócił się do Garcii. Jego cygaro podskakiwało przy każdym wyboju. — Załóżmy, że jesteś facetem po odsiadce i przypadkowo masz akurat przy sobie gnata.

— Chybabym go wyrzucił — odparł Al.

— Tak? — Shad opuścił szybę. — Zamknij oczy — poprosił.

Rozluźnij się, kochanie — powiedziała Erin.

— Przecież to niemożliwe.

Przycisnęła się lekko do niego, wyobrażając sobie, że jest teraz z kimś innym. Próbowwała przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni obejmował ją mężczyzna w sposób, który miał jakieś znaczenie.

— Teraz rozumiem — oznajmił kongresman. — Próbujesz mnie zabić. Próbujesz doprowadzić mnie do cholernego ataku serca.

— Nie bądź śmieszny — zaprzeczyła Erin. — Gdybym chciała przyprawić cię o zawał, mogłam to zrobić już dawno.

Objęły ją wilgotne ramiona. W jednej dłoni Dilbecka w dalszym ciągu tkwiła maczeta.

— Ostrożnie — szepnęła dziewczyna.

— Moglibyśmy wyjechać razem na kilka tygodni — zaproponował polityk. — Skorzystać z jachtu.

— Brzmi ciekawie.

— Dałbym ci szczęście. Po wyborach zabrałbym cię do Waszyngtonu.

— Nie sądzę, słoneczko.

— Podobałoby ci się — ciągnął Dilbeck, grając dobrego wujka. — Zakupy są fenomenalne.

Erin powstrzymała chęć ugryzienia go.

— Opowiedz mi o tamtej nocy w klubie — poprosiła. — Tej, kiedy zaatakowałeś młodego człowieka.

— Tak mało z tego pamiętam — odparł zmieszonym tonem. Objął ją mocniej. — Byłem oszołomiony, przejęty, bezwolny. Przecież zasadniczo nie jestem człowiekiem gwałtownym. Chyba to oczywiste.

— Przestraszyłeś mnie — rzekła Erin. Sekundy mijały tak wolno. Patrząc na rzędy trzciny cukrowej, myślała o Darrellu Grancie, zastanawiając się, czy planuje jakiś kontratak. Co by zrobił, gdyby zobaczył, że Dilbeck mnie napastuje? Pewnie biłby brawo.

— Malcolm zapewnia, że młody człowiek, ten, którego zraniłem butelką, czuje się dobrze.

— Nawet nie wysłałeś mu kosza z owocami.

— Przecież nie mogłem. — Kongresman przestał tańczyć i ujął ją za ramiona. — W dalszym ciągu nie pojmujesz, prawda? Zajmuję wysoką, ale zarazem bardzo delikatną pozycję. Jest przecież rok wyborów, kochanie.

— Niemal zabiłeś człowieka — przypomniała mu.

— Posłuchaj. Nie życzę sobie, aby wymieniano mnie jednym tchem z Wilburem Millsem, Garym Hartem i innymi. Czy nie potrafisz zrozumieć mojej sytuacji? — Przytulił ją gwałtownie do swego lepkiego torsu. — Żyjemy w świecie, który nie zna przebaczenia, aniele.

Masz zupełną rację, pomyślała.

— Davey, proszę, nie wkładaj mi ręki do majtek. — Ostrze maczety dotykało chłodno jej uda.

— No cóż — powiedział. — Wciąż czekam na pełen kontakt.

— Przecież go masz.

— Nie, to wolny taniec.

— Przykro mi — oświadczyła stanowczo Erin, utrzymując rytm.

— Nie jechałem tak daleko tylko po to, żeby wszystko skończyło się na sucho.

— Davey, ależ jesteś romantyczny.

— Nie bądź taka! — Jego ramiona ponownie zacisnęły się wokół niej. Zaczął niezgrabnie ocierać się o nią podbrzuszem. — O, co ty na to? — zapytał.

— Przestań! — protestowała ledwo słyszalnym głosem Erin. Wilgotne włosy na piersi Dilbecka przypominały w dotyku mech. Na swój sposób była wdzięczna za to, że wokół panowały ciemności.



Dzięki nim, jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, nie będzie musiała oglądać wszystkich koszmarnych szczegółów.

— Jestem zmęczony tą zabawą — stwierdził polityk. Gwałtownie rozpoczął własną, konwulsyjną wersję erotycznego tańca — szarpał się i skakał, uderzając tłustym brzuchem o ciało dziewczyny.

Czuła, że stanik podwija się do góry, plastikowe perły wrzynają się w jej ciało. Podtrzymywała obiema rękami majtki myśląc: I tak wygląda moje panowanie nad sytuacją.

Nieskoordynowane ruchy Dilbecka oderwały nagle palce jej stóp od ziemi. Bicie go po ramionach okazało się bezskuteczne, spróbowała więc wrzasnąć.

Kongresmana wcale to nie zaniepokoiło.

— Wreszcie zaczęłaś rozumieć — wychrypiał. Schwycił jej naszyjnik ze sztucznych pereł i zaczął go skręcać, stopniowo zaciskając na gardle tancerki.

Wrzasnęła ponownie — z nie najlepszym rezultatem — i jeszcze raz, aż zaboląło ją gardło. Wreszcie naszyjnik pękł i plastikowe perły jak drobne ziarenka gradu posypały się po jej piersiach na leżące dokoła łodygi trzciny.

### 33.

Pierre czekał, oparty o drzwi limuzyny. Wetknął palce do uszu, bo radiomagnetofon grał na cały regulator. W piosence było coś o zakochanych adwokatach. Pierre nie rozumiał jej i podejrzewał, że nigdy nie zrozumie.

Gdy zauważył nadjeżdżające samochody, wyłączył muzykę. Pył gruntowej drogi zawirował w powietrzu, kiedy szare samochody zatrzymały się, tworząc trójkąt. Reflektory przecięły noc, a w ich ostrych białych promieniach ćmy wirowały jak konfetti.

Pierre szybko położył ręce na głowie, gniotąc swoją szoferską czapkę. Doliczył się sześciu mężczyzn w ciemnych, niemal karawaniarskich garniturach. Wsiadając z samochodów, wyciągnęli broń. Najwyższy z nich, z gładko przyczesanymi jasnoblond włosami i w okularach o szylkretowej oprawie, podszedł do szofera i zapytał, czy to on dzwonił.

— *M-pa konprann* — odparł Pierre i powtórzył to jeszcze dwa razy w sposób, który miał potwierdzić, że istotnie nie rozumie, o co go pytają. Na jakiś czas odniosło to pożądany skutek.

Uzbrojeni funkcjonariusze odbyli krótką naradę, która jedynie wykazała, że żaden z nich nie mówi po kreolsku. Jasnowłosa mężczyzna schwytał Pierre'a mocno za kołnierz.

— Gdzie ona jest? — zapytał. — Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Trzymając dłonie mocno oparte o czapkę, szofer gwałtownie wskazał łokciem. I w tej samej chwili ciszę przerwał krzyk, a potem

następne. Blondyn i jego trzej towarzysze zniknęli wśród rzędów trzciny. Pierre podziwiał, jak szybko potrafią biec, mimo że są ubrani jak na pogrzeb.

Kongresman doprowadził się do transu. Jego powieki opadły, a fałdy na gardle dygotały przy każdym stęknieniu. Trzymał jednak Erin w żelaznym uścisku. Wciskał ją coraz bardziej w głąb pola, a lodygi trzciny pochylały się i chwiały w rytm jego ruchów. Dziewczyna próbowała odzyskać kontakt z ziemię, ponieważ zdecydowanie nie chciała upaść. Dilbeck był potężnym mężczyzną i gdyby udało mu się znaleźć na niej, nie pozostałoby jej nic innego tylko zacisnąć zęby, zamknąć oczy i dać się ponieść muzyce...

Spróbowała wrzasnąć jeszcze raz, ale krzyk wyszedł jej słabo. Dusił się kwaśnym żarem bijącym od polityka, jego cuchnącym oddechem, odorem potu. Krótka, ale wyraźna sztywność szturchała ją przez spodenki bokerskie.

Erin próbowała „chwytu śmierci” za jądra. Nie wiedząc, że kongresman ma tylko jedno, zakończyła próbę z pustymi rękami. Dilbeck ścisnął ją jeszcze mocniej i osunął się powoli jak spróchniały dąb, pociągając tancerkę za sobą. Upadając Erin doszła do wniosku, że zabranie maczety było nie najlepszym pomysłem — sprytnym, lecz nie za bardzo. Teraz bowiem, przewracając się, miała niemalą szansę nadzieć się na to cholerstwo.

Na szczęście polityk upadł pierwszy, a ona wylądowała na nim. Wstrząs obudził Dilbecka z jego marzeń. Zaczął gładzić ją po czubku głowy, pomrukując, jak wspaniale pachnie. Białe stanik w dalszym ciągu pozostawał skotłowany nad jej piersiami, policzek miała przycisnięty do jego żeber. Nie słyszała już muzyki dobiegającej od strony limuzyny. Może trzcina była zbyt gęsta, może pochłaniała również jej krzyki?

I wtedy pomyślała nagle: Czy kiedykolwiek mnie tu znajdą?

Nagle Dilbeck zrzucił ją brutalnie. Uderzyła mocno o ziemię karkiem i ramionami. Dotknięcie zimnego błota przeszło ją chłodem. Kongresman wczółgał się na nią niezgrabnie, obezwładniając ją swoim ciężarem. Erin poczuła, jak ostrze maczety przesuwają się po jej biodrze, rozcinając gumkę majtek.

Gmerając drugą ręką, polityk powtarzał:

— Teraz to jest prawdziwa miłość.

Erin odwróciła się i delikatnie przycisnęła wargi do jego piersi.

— Och, to jest to — jęknął.

Potem jej język przesunął się, drażniąc...

— Jestem w niebie — mruknął Dilbeck.

...badając, aż napotkał ślady blizny...

— W kółko — zażądał. — Rób to w kółko.

...i ugryzła z całej siły, szarpiąc go jak kocica, dopóki nie odepchnęła jej jęcząc i niepewnie obmacując wyszarpaną, wilgotną dziurę w klatce piersiowej...

Dziewczyna wstała, wypluwając krew, mięso i włosy.

— Prawdziwa miłość! — prychnęła, ocierając gwałtownie usta. —

Co powiesz teraz?

Oszołomiony polityk zdołał się podnieść:

— Ty mała s-s-suko.

— Masz rację. — Erin osłoniła się rękami. — Jesteś mi winien nową parę majtek — oświadczyła.

W fioletowym mroku, wśród pogniecionych trzciny, kongresman jakimś cudem zdołał odnaleźć maczetę Williego Rojo.

— Och, nie bądź śmieszny — upomniała go tancerka.

Dilbeck sapał jak pompa hydrauliczna. Uniósł oburącz maczetę.

— Próbowałaś mi wygryźć serce — powiedział, zamierzając się do ciosu.

Erin odwróciła się i popędziła na bosaka przez pola. Wyobraziła sobie, że nagle obdarzony olimpijską sprawnością polityk pędzi, miażdżąc trzciny swoimi butami, podczas gdy pod jej bosymi stopami wiją się, pelzają robaki, pająki, węże mokasyny i inne najrozmaitsze paskudztwa. Wyobraziła sobie Darrella zaczajonego w wysokiej trawie, wyczekującego szansy zemsty. Biegła jednak dalej, myśląc o chłodnym, głębokim jeziorze, w które znurkuje, splukując z siebie brud, i zniknie w nim jak bóbr. Oczyma wyobraźni ujrzała Angelę, czekającą na brzegu ze swoimi lalkami, i pobiegła jeszcze szybciej.

Prosto w ramiona znajomego jasnowłosego mężczyzny.

Agenta specjalnego Thomasa Cleary'ego.

Mogę wytłumaczyć — oznajmił kongresman.

Trzej mężczyźni polecieli mu rzucić broń i podnieść ręce. Już zdążyli się wylegitymować jako agenci FBI. David Dilbeck poczuł ogromną ulgę.

— Wiecie, kim jestem? — zapytał, mrugając oczyma w ostrych snopach światła. Odrzucił maczetę — wylądowała pionowo, wbijając się z brzękiem w czarny muł. — Panowie, proszę — powiedział. — Mogę wytłumaczyć.

FBI szkoliło swoich agentów do wielu zadań, ale zapamiętanie twarzy wszystkich pięciuset trzydziestu pięciu członków Kongresu do nich nie należało. Poza tym nawet najbliżsi przyjaciele i koledzy Dilbecka nie rozpoznaliby go w luźnych spodenkach gimnastycznych i kowbojskich butach, z przekrwionymi oczyma, częściową erekcją i zmierzwioną, brudną srebrną grzywą włosów. Latarka jednego z funkcjonariuszy oświetliła koszmarną ranę po ugryzieniu, ziejącą w gęstym futrze pokrywającym tors faceta. Prawie nagi Dilbeck na polu uprawnym wcale nie przypominał czcigodnego dżentelmena z afiszów wyborczych. Na agentach wywarł raczej wrażenie zwykłego degenerata przyłapanego na próbie gwałtu.

— Dzięki Bogu, że jesteście — zapewnił kongresman gorąco. Uważał, że go ratują. Czy nie takie było zadanie FBI?

Agent poinformował go, że ma prawo zachować milczenie.

— Jezus, Maria — syknął Dilbeck. — Czy nie wiecie, kim jestem? — Wyjaśnił im, a potem powtarzał gwałtownie raz za razem, gdy zakładali mu kajdanki.

Funkcjonariusze FBI byli przez cały czas uprzejmi, stanowczy i niewzruszeni, nawet kiedy polityk określił ich mianem młodszych kolegów hitlerowskich brunatnych koszul.

— Czy to pańskie, proszę pana? — Jeden z agentów podszedł, trzymając w ręku czarny kowbojski kapelusz. Nałożył go Dilbeckowi na głowę.

— Tak jest z tyłu na przód — burknął zrzędliwie kongresman.

— Nie — zaprotestował agent. — Wygląda dobrze. A kogo pan właściwie udaje? George'a Straita? Dwighta Yoakama?

— Nikogo! — warknął Dilbeck. — Na litość boską!

Funkcjonariusze FBI obandażowali jego krwawiącą ranę, dali mu dwie aspiryny, żeby złagodzić ból, i zamknęli go w jednym z samochodów. Wyglądając przez zamknięte okno, Dilbeck nie mógł

otrząsnąć się z oszołomienia. W zbierającym się tłumku znalazło się jeszcze więcej agentów FBI, jego kierowca Pierre, ciemnowłosa kobieta i mała dziewczynka w piżamie, siedząca na ramionach ogromnego, łyszego kromaniończyka. W pewnym momencie posepnie wyglądający Kubańczyk zbliżył twarz do szyby i uśmiechnął się. Spomiędzy jego zębów sączył się błękitny dym.

Jakiś cholerny cyrk! — pomyślał kongresman.

Tęsknił za telefonem, z którego mógłby zadzwonić do Moldy'ego. Żeby doprowadził do porządku cały ten pieprzony bałagan.

Al Garcia pocałował żonę i powiedział:

— Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

— Przyjechali po Angie — wyjaśniła Donna. — Nie mogłam pozwolić, żeby zabrali ją samą... Al, co się tu dzieje?

Garcia wiedział, że jego żona dała niezły wycisk agentom, dzwoniąc do centrali, żeby potwierdzić ich tożsamość. Rany, ależ tego nie cierpieł. Zapytał Donnę o Andy'ego i Lynne.

— Są u twojej matki, nie zmieniaj tematu. Mów, co się tu dzieje.

— O ile mogłem się zorientować, chaos. — Sierżant przedstawił żonę Shadowi, który galopował między rzędami trzciny z Angie pokrzykując radośnie na jego ramionach.

— Gdzie jest mama? — dopytywała się dziewczynka.

— Zaraz będzie — obiecał Garcia, modląc się, żeby to była prawda. Federalni jak zwykle nic nie mówili. Obejrzeni dokładnie odznakę sierżanta, podobnie jak postrzelanego caprice, okazując przy tym minimalne zaciekawienie i absolutnie żadnej tolerancji.

Shad wyraził swoją opinię na temat ich złego humoru.

— Po co ich wezwwała? — zapytał cicho. — Co, u diabła, takiego mogą, czego ty nie możesz?

— Jurysdykcja — wyjaśnił Garcia. Wcale nie czuł się zbyt urażony wezwaniem FBI. Erin zdjęła mu z głowy tonę papierkowej roboty.

Shad postawił Angie na ziemi, żeby mogła odzyskać swoje lalki. Podeszedł do jednego z szarych samochodów i przyjrzał się dokładnie twarzy za szybą — rozczochanego starego satyra w założonym z tyłu na przód kapeluszu z rodeo. David Dilbeck miał oszołomioną minę bezdomnego psa ciągniętego właśnie do hyla.

— Zbok — mruknął były bramkarz. Przypomniał sobie tego dupka z pamiętnej nocy w klubie Orly'ego.

— Okaż odrobinę szacunku — upomniał go stojący obok Garcia. — Ten człowiek jest członkiem Kongresu Stanów Zjednoczonych.

— Kurwa, niewiarygodne — oznajmił Shad. Może nadeszła pora wpisać się na listę wyborców.

Stali razem w gąszczu trzciny cukrowej. Agent Cleary otulił Erin swoją marynarką. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego i trochę zakłopotanego. Jej widok w takim stanie wyraźnie nim wstrząsnął.

— Gdzie jest Angie? — zapytała Erin. — Przywiozłeś ją?

Cleary skinął głową, wycierając zaparowane okulary.

— Nie jestem pewien, dlaczego. Nie orientuję się też zbyt dobrze, o co tu chodzi.

— Na dobrą sprawę, o porwanie. — Erin przekazała mu skróconą wersję wydarzeń wieczoru. Chętnie opowiedziałaby wszystko, co wie, o kongresmanie, zaczynając od „Zwawego Bobra”, ale taka próba na nic by się nie zdała. Cleary był facetem o linearnym sposobie myślenia, a nie marzycielskim spiskowcem. Chciał mieć do czynienia z wyraźnie określonymi czynami i dającymi się udowodnić przestępstwami.

— Więc jesteś tancerką? — spytał zduszonym głosem.

— Do dzisiejszego wieczoru — odparła Erin. — Adwokaci są kosztowni, Tom. Już ci to mówiłam. Darrell zmuszał mnie do chaotycznych, bezsensownych działań. A skoro o nim mowa, mój kochany były mąż jest gdzieś tutaj — zatoczyła ręką szeroki łuk.

Gdy wspomniała Granta, agent się zasepił. Erin zdawała sobie sprawę, że Cleary ma wyrzuty sumienia, iż nie pomógł jej rozwiązać problemu Darrella tej nocy, gdy przyszła do niego do domu. Przepisy były przepisami. A teraz znaleźli się tutaj, na polu trzciny cukrowej.

— Wygląda na to, że miałaś trochę przejść — oznajmił neutralnym tonem funkcjonariusz FBI.

Jego systematyczny umysł pracowicie segregował fakty, starając się zaprowadzić jakiś porządek w tym domu wariatów. Przez chwilę walczył z pojawiającym się w wyobraźni obrazem jego byłej

sekretarki tańczącej nago na stolikach, potem jednak wyciągnął notes i zaczęły padać pytania: „Czy pan Dilbeck zgwałcił panią?” „Nie”; „Czy napastował panią?” „Tak”; „Czy próbował penetracji?” „W pewnym sensie”; „Czy miał broń?” „Tak”; „Czy groził pani?” „Zdecydowanie tak”; „Czy się obnażył?” „Próbował”. Agent notował i jednocześnie wyjaśniał:

— Nie jestem do końca pewien, czy to wchodzi w zakres naszych uprawnień. — Wciąż pisał. — Nie przewiózł cię przez granicę stanu, a więc z technicznego punktu widzenia jesteśmy w szarej strefie. — Dalsze notatki. — Z drugiej jednak strony używał broni, a więc jest taka możliwość.

Erin ze zniecierpliwieniem schwyciła długopis.

— Tom, ten człowiek jest kongresmanem. A to jest w twoim zakresie uprawnień.

— Tak — potwierdził Cleary. Nie usiłował się wykręcać.

— Wyglądasz blado — zauważyła — albo może to światło księżyca.

Bladość była autentyczna. Toma Cleary'ego mdliło na samą myśl o skutkach — codzienne pytania sędziego, niezbyt subtelne naciski, aby ujawnić szczegóły dochodzenia, straszliwie precyzyjne przecieki do mediów. Koszmar agenta — oskarżenie o charakterze seksualnym przeciwko znanemu politykowi. Cleary wyobrażał sobie papierki piętrzące się na wysokość obelisku Waszyngtona i kres swojej, tak dobrze się zapowiadającej kariery.

— Muszę usłyszeć całą historię — oznajmił kwaśno — jeżeli oczekujesz od nas wszczęcia postępowania.

Śmiejąc się dotknęła jego ramienia.

— Tom, na pewno tego nie oczekuję.

— A więc o co ci chodzi? — W jego głosie zabrzmiał gniew. — To nie żarty, Erin. Mówimy o członku Izby Reprezentantów.

— Ten stary fiut próbował mnie przelecieć.

Gdy Cleary zamknął notes, dziewczyna oddała mu długopis.

— Ten człowiek jest chory — powiedziała.

— Chcesz, żeby twoje nazwisko pojawiło się we wszystkich gazetach?

— Niespecjalnie — przyznała. W każdym razie nie przed ostateczną rozprawą w sprawie opieki.

— W takim razie ugrzęźliśmy, prawda?



Poradziła mu, żeby przestał myśleć jak facet z FBI, a zaczął myśleć jak ktoś, kto stara się o urząd. Cleary nadął policzki i udał, że ma ochotę puścić pawia.

— Nie musisz go aresztować, Tom — wyjaśniła Erin. — Uświadom mu tylko jego sytuację.

Rozmawiali przez kilka minut, a potem ruszyli z powrotem do samochodów.

— W dalszym ciągu chciałbym ci zadać mnóstwo pytań — poskarżył się Cleary.

— Masz tu gościa, z którym powinieneś porozmawiać. Detektyw. — Wzięła agenta za rękę i poprowadziła między rzędami trzciny cukrowej. — Nie uważasz, że Angie wyrosła?

— Jest piękna — ocenił Cleary. — Ma zielone oczy swojej przystojnej mamusi. — A chwilę później dodał cicho: — Czy ten skurwysyn zrobił ci krzywdę?

— Nie, Tom. Czuję się doskonale.

Sceneria przy drodze przypominała najazd na wytwórnę narkotyków — migotanie niebieskich świateł, grupki uzbrojonych mężczyzn, niewyraźny bełkot policyjnych radiotelefonów. Cleary najwyraźniej poszedł na całego. Erin poczuła się wzruszona i powiedziała mu o tym. Nie rozpoznała pozostałych agentów, ale starała się podziękować każdemu z nich. Zachowywali się z nienaganną uprzejmością i nie próbowali w zbyt natarczywy sposób zerkać na jej piersi widoczne spod luźnej marynarki.

Gdy Angie zobaczyła matkę, cisnęła lalki Shadowi i popędziła, przemykając między nogami funkcjonariuszy FBI. Erin chwyciła ją w objęcia, uszczypnęła w podbródek i pocałowała w czubek nosa. Rozchichotana dziewczynka odwzajemniła jej się tym samym.

Sierżant Garcia obserwował wszystko, siedząc całkowicie rozluźniony na masce swojego caprice. Cygara mu się skończyły, radował się więc gumą do żucia. Donna wydobywała właśnie dwa piwa z barku w limuzynie Dilbecka. Erin podeszła, podrzucając córeczkę w ramionach. Detektyw stwierdził, że tancerka ma zdecydowane zacięcie do efektów dramatycznych.

— Nie bądź taki wściekły — poprosiła dziewczyna.

— Kto, u diabła, jest wściekły?

— Al, nie chciałam cię wpędzić w kłopoty. Ani Shada.

— Mniejsza z tym — odparł Garcia. — Po prostu jestem ci wdzięczny za zaproszenie. Miałem większy ubaw niż na Wrestlemanii. — Wskazał na kluchowatą postać skuloną w rządowym samochodzie. — A więc to jest ten twój facet, kongresman Romeo.

Dilbeck zastukał skutymi przegubami w szybę, przywołując Erin. Machnęła wyniośle w jego stronę.

— Porozmawiasz z agentem Clearym? — zapytała sierżanta.

— Autentyczny funkcjonariusz FBI! Będę się czuł niezmiernie zaszczycony — Garcia zaproponował Angie listek gumy grejfrutowej.

— Wydaje mi się, że istnieje sposób, aby wszystko odkręcić — rzekła Erin.

— Sądzę, że masz absolutną rację.

Shad podszedł ciężko do samochodu, trzymając lalki Barbie jak dwie laski dynamitu.

— Jesteś mi coś winna — zwrócił się do Erin, która nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Odprowadził ją na bok i poinformował o odnalezieniu Malcolma Moldowsky'ego w skrzynce na ryby. Tancerka była wstrząśnięta. Szeptem opowiedziała mu o zwariowanej narkoeskapadzie Darrella. Shad szlachetnie zaproponował, że go wytropi i przerobi na pokarm dla szczeniąt. Erin mu podziękowała. Razem z Angie były już bezpieczne.

— Bierzemy wakacje od zaraz.

— Zasłużyłaś na nie — przyznał eksbramkarz, myśląc jednocześnie, jak bardzo będzie mu jej brakowało.

David Lane Dilbeck, wierząc, że jest mistrzem retoryki, uważał, iż dzięki swojej elokwencji zdoła wykręcić się z kłopotów. Chcąc podbudować swoją wiarygodność, głośno wyszydził propozycję wezwania adwokata. W związku z tym agenci FBI usadowili go na zderzaku samochodu i zgromadzili się wokół jak plemię ludożerców, aby go wysłuchać. Cleary pozwolił Alowi Garcii przyłączyć się do nich.

Detektyw był rozbawiony spektaklem — księżyc, cykady, pola szeleszczącej trzciny.

— Brakuje tylko ogniska i ciągutek — szepnął do Cleary'ego.

Dilbeck przedstawił niesamowitą historię. Agenci sporządzali notatki przy świetle latarek ołówkowych. Sierżantowi zrobiło się szczerze żal ich sekretarek.

Gdy kongresman skończył, Cleary oznajmił:

— A więc ustalmy: jest pan ofiarą, nie przestępcą.

— Oczywiście. Tak. Zostałem porwany pod groźbą użycia rewolweru.

— Hmm — mruknął Cleary.

Al Garcia uznał, że chwila wymagała nieco silniejszej reakcji, czegoś pośredniego pomiędzy ryknięciem śmiechem a okrzykiem pogardy.

— Polowała na mnie od tygodni — uzupełnił David Dilbeck.

— A więc był pan sam na jachcie — kontynuował agent — i pracował nad przemówieniem, gdy nagle i niespodziewanie wdarła się ta szalona kobieta i próbowała pana uwieść.

— Przemocą — dodał polityk. — A kiedy ją zgańłem, wpadła we wściekłość.

— I do tej próby uwiedzenia ubrała się w bawełniany stanik za dziewięć dolarów z domu towarowego Kmart?

— Nie, była w czerwieni. Koronkowa bardotka. M-m-minifigi w turecki wzór! Potem, kiedy jechaliśmy samochodem, przebrała się w białą bieliznę.

Agent Cleary poprawił okulary.

— A więc mamy uwierzyć, że pani Grant porwała pana w celach seksualnych. Czy właściwie zrozumiałem pańskie zeznanie?

— Była jak opętana — zapewnił kongresman. — Na pewno słyszał pan o takich smutnych przypadkach.

— A więc politycy też mają swoje fanki? — wtrącił się Garcia. — A ja myślałem, że tylko gwiazdy rocka i gliniarze z wydziału zabójstw.

Cleary przywrócił porządek następnym pytaniem:

— Panie Dilbeck, proszę wyjaśnić obrażenia na pańskiej piersi.

— Ugryzła mnie jak dzikie zwierzę!

Agent zapytał go, kto mógłby potwierdzić, że był nękanym przez nagą tancerkę.

— Jeden człowiek — odparł Dilbeck. — Nazywa się Malcolm J. Moldowsky. Potwierdzi każdy szczegół.

— Mało prawdopodobne — zauważył Garcia.

— Co to ma znaczyć? — zawołał polityk.

Sierżant zwrócił się do Cleary'ego.

— Czy mogę go poinformować? Proszę.  
— Tak, nie ma sprawy.  
— O czym? — zaniepokoił się Dilbeck.  
— Pański przyjaciel Malcolm — oświadczył detektyw — śpi obecnie z rybami.

Kongresman osunął się bokiem ze zderzaka. Agenci rzucili się, żeby podnieść go z ziemi.

Clery westchnął i spojrzął na Garcia, marszcząc brwi.

— Czy naprawdę było to konieczne?

Obaj mężczyźni siedzieli w caprice. Garcia, trzymając na kolanie butelkę piwa, zadzwonił złotą bransoletką przed nosem kongresmana.

— Zgubiłeś to?

Dilbeck odwrócił się z wyniosłą miną.

— Zmieniłem zdanie w sprawie skontaktowania się z adwokatem.

— Za późno. — Sierżant strzelił bąblem gumy. Z ciemnym bekiem smakowała nie najgorzej. Zwinął bransoletkę na dłoni. — Jesteś ugotowany — oświadczył.

— Niech pan posłucha...

— Zamknij się — zaproponował detektyw — i spróbuj zrozumieć, co się tu stało. FBI otrzymuje anonimowy telefon o kidnappingu. Podejrzanym jest członek Kongresu Stanów Zjednoczonych, ofiarą była pracownica Biura. Nadążasz?

— Erin dla nich pracowała?

— Czy to nie zabawne? W każdym razie agenci przybywają i znajdują podejrzanego — to znaczy ciebie — rozebranego do gatek i uzbrojonego w maczetę. Ścigasz ofiarę po polach farmy należącej do Joaquina i Wilberta Rojo. Dochodzenie wykaże, że broń użyta w czasie napaści również należała do tej wpływowej i znanej rodziny. Kongresmanie, chciałbym, żebyś wyobraził sobie to wszystko na pierwszej stronie „Miami Herald”.

Dilbeck zakołysał się na boki, z roztargnieniem skubiąc dolną wargę. Al Garcia zastanawiał się, czy przypadkiem nie wpada w autyzm.

— Gdybym to ja był na twoim miejscu — ciągnął detektyw — próbowałbym sobie wyobrazić, jakie wrażenie na rodzinie Rojo i wyborcach wywrze ta historia, a konkretnie fakt, że dałeś się porwać nimfomańskiej striptizerce. Pamiętaj, że nie ma rewolweru, żadnego dowodu rzeczowego ani żadnego świadka, który poparłby twoją wersję. Nawet twój kierowca twierdzi, że ta pani mówi prawdę.

— Niemożliwe — zaprotestował zduszonym głosem Dilbeck. — Nie zna angielskiego.

Sierżant się uśmiechnął.

— Twój kierowca jest skromnym facetem. Ma magisterium z hotelarstwa. Nie wspominał o tym?

Kongresman przestał się kołysać. Otulił głowę ramionami, jakby przygotowywał się do ataku mózdzierzowego.

— Na jachcie był jeszcze jeden mężczyzna — oświadczył ochryple. — Durrell jakiś tam.

— Mówisz o panu Darrellu Grancie, który jest zbiegiem poszukiwanym za kilka poważnych przestępstw. — Głos Garcii wydobywał się zza wielkiego purpurowego bąbla. — Na twoim miejscu nie liczyłbym na alibi ćpuna.

— Ale co z tym?! — David Dilbeck klepnął się w obandażowaną pierś. — Zostałem podstępnie zaatakowany... Każdy idiota może to zobaczyć. — Szarpał plastry i bandaże, dopóki nie odsłonił krwawej wyrwy. — Zobacz pan. — Nie mam już cholernego sutka! Nie mam!

— Muszę cię zmartwić, *chico*, lecz twoja rana ma zdecydowanie obronny charakter. Mężczyzna obezwładnił kobietę, więc co innego mogła zrobić?

Polityk zebrał poplątane bandaże i na wpół przytomnie usiłował na powrót je założyć.

— Prokuratorzy uwielbiają rany po ugryzieniu — rozwinął temat Garcia. — Pamiętam ofiarę, która do połowy odgryzła facetowi palanta. I właśnie dzięki temu go złapaliśmy — pojawił się na pogotowiu w Jackson, twierdząc, że miał niezwykle wypadek w czasie prac ogrodniczych. Technicy z kryminalistyki zdołali jednak porównać rany na fiucie tego typu ze wzorem użębienia ofiary. Ława przysięgłych wyszła na jakieś trzydzieści sekund.

Przygnębiony Dilbeck patrzył na swoją ranę jak na piętno.

— Co się teraz stanie? Z kampanią wyborczą i w ogóle?

— Gdyby to ode mnie zależało — oznajmił sierżant — zapuszkowałbym twoją tłustą dupę. Na twoje szczęście jest inaczej. — Wziął pustą butelkę po piwie i wyslizgnął się z samochodu. Na jego miejscu usiadła Erin. Skrzyżowała nogi i poprawiła marynarkę agenta Cleary'ego, upewniając się, że nie widać jej piersi. Chciała, żeby nic nie rozpraszało Dilbecka.

— Davidzie — ale się wpakowałeś — powiedziała.

Kongresman odsunął się od niej jak oparzony ślimak i przywarł do przeciwległych drzwi.

— Nazywałaś mnie „słoneczkiem”. — W jego głosie brzmiał wyrzut.

— Może do wszystkich tak mówię.

— Już cię nie Kocham! — wrzasnął.

— Ależ tak, Kochasz.

Po kilku minutach ciszy Dilbeck złożył pokrętne przeprosiny za swoje zachowanie. A potem zapytał, czy Erin zamierza wnieść oskarżenie.

— To plan B — odparła.

— A plan A?

— Wrócisz dzisiaj wieczorem do domu — zaproponowała — i dostaniesz ataku serca.

Polityk się skrzywił.

— To wcale nie jest zabawne.

— Łagodnego — wyjaśniła Erin. — Który będzie wymagał kilku tygodni leżenia w łóżku, ścisłej diety i samotności.

— Innymi słowy, mam zrezygnować z wyborów?

— Davey, próbuję wyświadczyć ci przysługę. Ale jeżeli wolisz plan B, nie ma sprawy. Czy byłeś kiedyś w programie „Hard Copy”?

Dilbecka opuściła ostatnią nadzieję.

— Na litość boską, wolę atak serca. Czy coś jeszcze?

— Oczywiście, słoneczko. — Tancerka wyciągnęła rękę i obróciła jego kowbojski kapelusz tak, żeby nie był już tyłem do przodu.

Śniadanie przed świtem. Postój ciężarówek na starej szosie numer czterysta czterdzieści jeden, zapchanej pikapami, wywrotkami, cysternami mleczarskimi, platformami przewożącymi sprzęt rolniczy. Całe miejsce śmierdziało jak pierdniecie diesla.

Shad, Donna i jej mąż-detektyw siedzieli obok siebie na przednim siedzeniu nieoznakowanego caprice. Donna popijała czarną kawę, Shad pochłaniał siódmego rogalika z lukrem, Al Garcia zaś atakował pikantną kiełbasę w nadziei, że usunie z podniebienia liczne warstwy grejfruta, piwa i dymu z cygar.

— Disney World — mruknął detektyw, przeżuując miarowo.

— Uważam, że to słodkie — oznajmiła jego połowica — chociaż nie jestem do końca pewna kierowcy.

Shad uspokoił ją mówiąc, żeby się nie martwiła, bo kierowca jest w porządku.

Pierre tankował limuzynę przy dystrybutorze. Czuł w lewej kieszeni spodni ciężar złotej bransoletki. Prezent dla żony, wyjaśnił mu gliniarz. Bardzo dziwne, pomyślał Pierre. Bardzo dziwny wieczór.

Angela spała, zwinęta w kłębek na siedzeniu. Erin przebrała się w dzinsy, podkoszulek i sandały, włosy związała w koński ogon. Stała w drzwiach limuzyny i rozmawiała z Clearym, agentem FBI, kończącym notatki. Wyglądał na zmęczonego, ubranie miał wygniecione i bardzo chciał już odjechać. Garcia z przyjemnością patrzył na innego stróża prawa zapracowanego do otępienia. Zwłaszcza że był to federalny.

— Gdzie są pozostali? — zapytała Donna.

— Odwożę kongresmana do domu — wyjaśnił Al. — Nie czuł się najlepiej.

Shad przerwał pożeranie rogalików, aby wyrazić żal, że Dilbeckowi udało się wykręcić sianem.

— Głosuję za mamrem — oznajmił — albo kulą w łeb. Ten sukinsyn zasługuje tylko na coś takiego.

Garcia zaprotestował pogodnie.

— Dla polityka są sytuacje gorsze od śmierci. Erin pięknie załatwiła sprawę, prawda?

Donna powiedziała, że Angie była strasznie podniecona podróżą do Disney Worldu.

— Najbardziej lubi jeździć w filizankach. Świetnie się bawi, kiedy kręci się jej w głowie. — Przerwała na chwilę. — Gdy tu jechałyśmy, pytała o swojego ojca.

Al wyjaśnił, że Darrell w dalszym ciągu ukrywa się w trzcinie cukrowej.

— Wyjdzie, kiedy będą wypalać pola. On i reszta robactwa.

— Przy pewnej dozie szczęścia prześpi cały cholerny ogień — burknął Shad z wypchanymi ustami.

Donna zawołała nagle, żeby przestał jeść, i wyjęła mu półksiężyc rogalika z ręki.

— Ależ obrzydliwe — skrzywiła się. — Cholerny robal!

Eksbramkarz wyrwał jej rogalik z ręki, włączył wewnętrzne światło i obejrzał znalezisko. Jego pełna nadziei mina nagle zrzędała.

— Cholernie mały — zauważył z powątpiewaniem w głosie. Wyciągnął winowajcę z suchego kawałka ciasta — stonogę o lśniącym pancerzyku barwy kakao. Dotknięta przez niego palcem, zwinęła się w obronny kłębek.

— Kiepsko — zauważył Garcia. — Będzie ci potrzebna ława przysięgłych złożona z samych naiwniaków.

— Tak? — Shad umieścił stonogę na czubku palca i podniósł ją do światła.

— Na twoim miejscu — poradził sierżant — poczekalbym na następnego gigantycznego karalucha.

— O czym, na litość boską, mówicie? — zapytała poirytowana Donna.

— O marzeniach — odparł Shad. — Nic ważnego. — Wyrzucił stonogę przez okno i wsadził resztę rogalika do wysmarowanych lukrem ust.

Agent Cleary zaniósł notatki do budki telefonicznej, gdzie pograżył się w oficjalnej rozmowie. Pierre odjechał cadillakiem od dystrybutora, a Erin wychyliła się przez okno i pomachała radośnie. Shad i Donna odpowiadzieli jej tym samym, Garcia zaś udał, że bije brawo.

— Wspaniały uśmiech — rzekł, gdy limuzyna odjechała.

— Wygląda na szesnaście lat — stwierdził Shad. — Słowo daję.

Detektyw podjechał caprice do dystrybutorów, aby uzupełnić paliwo przed długą jazdą do domu. Zdążył wystawić jedną nogę przez drzwi, gdy samochód zadrzał gwałtownie. Usłyszał brzęk rozbitych tylnych świateł i zaklął:

— O kurwa!

Ciągnik naczepowy wgniół tył nieoznakowanego samochodu policyjnego i kierowca stał teraz zbaraniały nad wgniecionym zderzakiem pojazdu Garcii. Uszkodzenia caprice okazały się niewielkie, ale sierżant był niepokieszony — znowu będzie musiał pisać obszerny raport powypadkowy, w trzech egzemplarzach. Przesłuchania świadków. Rysowanie szkiców. Zdjęcia dla firmy ubezpieczeniowej i kierownictwa. Godziny bezużytecznych wewnątrzwydziałowych pierduł...

— Gratuluję — zwrócił się do kierowcy. — Właśnie trafiłeś gliniarza.

— Przepraszam. — Mężczyzna był żylastym rudzielcem o rozbieganych, ociekających dexedryna oczach. — W ogóle was nie zauważyłem.

— Tak też sobie pomyślałem — odparł Garcia. Otworzył kufer caprice, żeby poszukać odpowiednich formularzy. Donna i Shad wysiedli, żeby zobaczyć, co się stało.



Eksbramkarz obszedł oba samochody i rzekł:

— Hej, Al. Spróbuj zgadnąć.

— Co? — pochyłony Garcia grzebał zażarcie w bagażniku.

— Kark mnie boli — oznajmił Shad.

Trzymając w ręku plik formularzy, detektyw zatrzasnął pokrywę bagażnika.

— Przecież ty nie masz żadnego pieprzonego karku — zaprotestował.

Shad mrugnął do niego porozumiewawczo i wskazał nieznacznie głową na ciągnik.

— Nie żartuję, człowieku. Cholernie mnie boli.

Donna stanęła na palcach, aby zbadać obrażenia.

— Pokaż mi, gdzie cię boli.

— Wszędzie — zapewnił Shad z teatralnym grymasem. Donna delikatnie masowała napięte mięśnie między jego czaszką i ramionami.

— Wracaj do samochodu — poleciła. — Lepiej będzie, jeżeli usiądziesz.

— Tak — przyznał były bramkarz. — Zostałem cholernie poważnie strauumatyzowany.

Zaniepokojony kierowca ciągnika przeprosił ich i wycofał się, aby za pomocą czarnej kawy poprawić stan swojej morfologii. Al Garcia podszedł do jego pojazdu, żeby obejrzeć go z bliska. Wkrótce Donna usłyszała męzowski śmiech, chociaż absolutnie nie mogła zrozumieć powodu — serdeczny, donośny, beztroski śmiech. Kierowcy innych ciężarówek zaczęli się gapić, poirytowani zakłóceniem ich porannego rytuału. Garcia sprawiał wrażenie napranego przygłupa.

Donna zobaczyła, jak Al trzyma się naczepy palcami wczepionymi w stalową siatkę. Trząsał się w histerycznym śmiechu. Naczepa była pełna trzciny cukrowej. Umocowany do burt niebiesko-biały napis głosił: FARMY ROJO.

— Teraz rozumiem — powiedziała Donna.

— No cóż, zabieraj się do roboty — oznajmił jej mąż, spazmatycznie łapiąc oddech. — Wezwij panu Shadowi karetkę pogotowia.

— Doprawdy, Al...

— Słodka sprawiedliwość — rzekł detektyw. Otarł oczy, próbując się opanować i zacząć zachowywać jak dorosły. I prawie zaraz poczuł, że śmiech wzbiera w nim ponownie niczym ogromna fala. Była to doprawdy wspaniała chwila.

## Epilog

Trzy tygodnie przed wyborami poinformowano, że DAVID LANE DILBECK, czytając przed snem, doznał lekkiego ataku serca. Choć nie występował już w pozostałej części kampanii wyborczej, uzyskał pięćdziesiąt dwa procent głosów i bez trudu został ponownie wybrany do Izby Reprezentantów. Następnego dnia oszołomił swoich politycznych popleczników, informując ich, że rezygnuje ze swojego miejsca w Izbie z powodu ciągłych problemów zdrowotnych. Kręgarz, kardiolog i urolog kongresmana wydali wspólne oświadczenie popierające jego decyzję.

Oponent Dilbecka, ELOY FLICKMAN, wycofał się z polityki i został pravicowym komentatorem radiowym w południowej Florydzie. Dzień po podpisaniu kontraktu z Radio Liberty Network Flickman zginął podczas pikietowania kliniki aborcyjnej, prowadząc reportaż na żywo. Kierowca samochodu, który go zabił, stracił kontrolę nad pojazdem, gdy jedno z jego siedmiorga dzieci zablokowało nóżkami kierownicę.

W styczniu Komitet Produkcji Rolnej, któremu przewodził poprzednio kongresman Dilbeck, przyjął uchwałę odnawiającą wielomilionowe dotacje dla amerykańskich producentów cukru. Wniosek po krótkiej dyskusji plenarnej przeszedł w Izbie przy dwustu siedemdziesięciu jeden głosach za i stu pięćdziesięciu przeciw. Z żarliwym poparciem ustawy wystąpił BO TO-OLEY, republikanin z północnej Alabamy, który nigdy przedtem nie pływał jachtem tak luksusowym jak „Sweetheart Deal” i był zachwycony, że krótkofalówka na jachcie odbiera wszystkie jego ulubione radiostacje biblijne.

Wkrótce po tajemniczej inwazji szczurów „RÓŻOWĄ FARMĘ” zamknięto z powodu licznych naruszeń przepisów sanitarnych. Dwa tygodnie później budynek spalił się do fundamentów. Bracia LING twierdzili, że pożar wybuchł, ponieważ tresowany wąż tancerki wplątał się w instalację elektryczną. Oskarżeni o próbę oszustwa ubezpieczeniowego, Lingowie uciekli do zachodniej Kanady, gdzie założyli sieć salonów masażu z motywami hokejowymi.

Szczałki DARRELLA GRANTA zidentyfikowano na podstawie pojedynczego czubka palca. Trzy dni później KORPORACJA CUKROWNICZA SWEETHEART dyskretnie powiadomiła hurtowników, że wycofuje cały granulowany cukier wyprodukowany między szóstym i dziewiątym października w związku z „możliwością zanieczyszczenia przez gryznie”.

Po przesłuchaniu PAULA GUBERA i innych klientów Izba Adwokacka stanu Floryda udzieliła ostrej publicznej nagany ADWOKATOWI JONATHANOWI PETEROWI MORDECAIOWI za „poważne wykroczenia natury etycznej”. Odniosła ona znikomy skutek, ponieważ Mordecai nie żył i nie prowadził już praktyki prawniczej. Paul Guber opuścił firmę brokerską i wstąpił do college'u rabinackiego w Chicago. Nigdy nie mówił o swoim krótkim narzeczeństwie ze zmarłą JOYCE MIZNER ani o nieszczęsnym wieczorze kawalerskim w „ŻWAWYM BOBRZE”.

ERB CRANDALL nie powrócił na Florydę. Osiedl w Atlantic City, gdzie przyjął stanowisko politycznego doradcy popularnego, ale przepracowanego członka rady miejskiej. Następnego lata, gdy Crandall odebrał w imieniu swojego pracodawcy dużą łapówkę w gotówce, napadło go trzech rabusiów żądających wydania niesionej przezeń papierowej torby. Jego zwłoki — z poszarpaną torbą zaciśniętą lojalnie w garści — odnaleźli niemieccy turyści pod słynną promenadą. Rada miejska niezwłocznie uczciła pamięć Crandalla, nadając ulicy jego imię.

Grupa chirurgów ortopedów, której własnością była „INTYMNA ŁASKOTKA”, sprzedała klub grupie dentystów, którzy wybrali nową, pikantną nazwę („Goła Konieczność II”) i zatrudniła nowe, energiczne kierownictwo (Johnny „Trzypalcy” Spaldano). Trzy pierwsze decyzje pana Spaldano sprowadziły się do wyrzucenia ORLY’EGO, dodania płatnego parkingu i powiększenia ringu do zapasów. Orly, uważając, że i tak miał więcej szczęścia niż jego poprzednik, zlikwidował skromny rachunek bankowy i przeniósł się do Penascoli, gdzie razem z żoną otworzył ostrygowy bar topless o nazwie „Jedz Mnie Na Surowo”.

URBANA SPRAWL tańczyła dalej w „Gołej Konieczności II”, do chwili gdy pan Spaldano zamienił w ringu kukurydzę z masłem na sardynki. Obecnie jest pielęgniarką na uniwersytecie Emory w Atlancie. SABRINA porzuciła występy taneczne i pracowała krótko w filmach dla dorosłych, zanim objęła rolę Lucette, energicznej paryskiej presenterki przyrządów gimnastycznych Thigh Diver. Obie Moniki również zrezygnowały z tańczenia nago i wyszły za mąż za swoich widzów. MONIQUE JR, której prawdziwe nazwisko brzmiało Loretta Brickman, wyszła za siedemdziesięcioletniego hurtownika diamentów, który przeżył trzy poprzednie żony. MONIQUE SR, czyli Frances Cabrera, poślubiła instruktora ceramika w średnim wieku, który w jej zakochanych oczach był idealnym sobowtorem Keitha Richardsa.

Mężczyzna znany jako SHAD, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Gerard L. Shaddick, wystąpił przeciwko Farmom Rojo, Przewozom Rojo i Korporacji Cukrowniczej Sweetheart o odszkodowanie za obrażenia doznane w chwili, gdy ciągnik z pełną naczepą uderzył w tył policyjnego samochodu sierżanta Ala Garcii. Shad uskarżał się na bóle karku, migreny, zaburzenia wzroku, zawroty głowy, dysfunkcje seksualne i chroniczne stany lękowe. Zawarto ugodę poza sądem na sumę dwóch milionów trzystu tysięcy dolarów. Wkrótce potem Shad nabył dwupoziomowy apartament w Telluride, stan Kolorado, i zareczył się ze swoją fizykoterapeutką, emigrantką z Norwegii.

RITA GRANT również wystąpiła przeciwko Farmom Rojo, żądając pięciu milionów odszkodowania za przypadkowe rozdrobnienie jej brata, Darrella. Pozew jednak szybko oddalono, gdy Rita została zmuszona do ucieczki z hrabstwa Dade razem z Lupą, jej ukochanym wilczym mieszkańcem. Urzędnicy nadzoru nad zwierzętami polecili jej oddać Lupę po tym, jak przeskoczyła trzymetrowy mur ogrodu zoologicznego i zgładziła dorosłą antylopę afrykańską springbok.

Morderstwo MALCOLMA J. MOLDOWSKY'EGO nie doczekało się wyjaśnienia. Po jego śmierci w prasie opisywano scenę zabójstwa z koszmarnymi szczegółami, informując przy okazji, że narzędziem zbrodni był kij golfowy wykonany przez MacGregora. Miejscowy publicysta scharakteryzował Moldy'ego jako bezwzględnego i podejrzanego manipulanta politycznego, który w końcu naraził się niewłaściwej osobie. Wygłaszający mowę pogrzebową kongresman Bo Tooley gniewnie określił artykuł jako „cholerne kłamstwo”, z lubością cytując w ten sposób idola Moldowsky'ego z czasów Watergate, Johna Mitchella. Pogrzeb był krótki i z udziałem niewielkiej liczby żałobników. Ze swojego łóża boleści wyrazi głębokiego żalu nadesłał David Dilbeck.

CHRISTOPHERA ROJO aresztowano podczas nocnego zakłócania spokoju w ekskluzywnym osiedlu Kennedy w Palm Beach. Świadkowie zeznali, że próbował zademonstrować swoje umiejętności zapaśnicze na Marii Shiver, Daryl Hannah i innych zaproszonych paniach. Zagrożony utratą wielu funduszy powierniczych, Christopher dobrowolnie udał się do zakładu leczniczego na kurację odwykową od alkoholu i narkotyków. Tam poznał swoją przyszłą żonę, kierownika działu w „Vanity Fair”.

Starsi bracia ROJO w dalszym ciągu zajmowali czołowe pozycje w przemyśle cukrowniczym Florydy, przeznaczając jednocześnie w tajemnicy duże powierzchnie upraw trzciny cukrowej pod przyszłe budownictwo mieszkaniowe i ośrodki golfowe. Kilka dni przed uchwaleniem przez Kongres nowych dotacji dla producentów cukru Wilberto i Joaquin Rojo oświadczyli, że fundują dwa pełne stypendia na Uniwersytecie Stanowym Georgii. Otrzymały je studentki KATHERINE i AUDREY KILLIAN, których ojciec niedawno utonął w czasie spływu rzeką w Montanie.

PIERRE ST BAPTISTE zrezygnował z pracy w Limuzynach Złoty Dylizans i został kierownikiem cateringu w nowym hotelu „Sheraton” na Key West. Wieczorami uczy angielskiego dzieci haitańskich uciekinierów.

Sędzia hrabstwa Broward przyznał ERIN GRANT stałą opiekę nad jej córką, ANGELA. Przeniosły się do Orlando, gdzie Erin podjęła nocną pracę tancerki jako najstarsza przyrodnia siostra Kopciuszka w słynnej Paradzie na Głównej Ulicy w Disney Worldzie. W dzień pracuje jako technik specjalista wprowadzania danych w miejscowym oddziale FBI. W chwili obecnej rozpatrywane jest jej podanie o przyjęcie do akademii w Quantico.